

HENRYK RZEWUSKI.

ZAPOROŻEC.

POWIEŚĆ.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Сентября 1876 года.

ZAPOROŻEC.

ROZDZIAŁ I.

W początku roku 1754 był wielki zjazd w Żytomierzu, bo razem przypadały i kadencya Trzech Króli i karnawał, czyli, jak go wówczas nazywano: święta bachusowe. Obywatele z różnych stron przybywali bądź dla attentowania sprawom własnym, bądź dla forsowania za sprawami przyjaciół; obywatelki dla zabaw przerywających jednostajność życia wiejskiego, lub żeby produkować córki dorosłe, ażali Bóg nie da im szczęścia. Było to żniwo zwłaszcza dla żydów posiadaczy domostw zajezdnych, które się przepełniały. Na Kamionce wszystkie dworki chrześciańskie były zajęte, kto do swojego, kto do przyjacielskiego, kto do najętego zajeżdżał. Zgoła wielki ruch był w mieście i na przedmieściach.

Po ulicach snuła się szlachta zamożna, bo oddana wyłącznie rolnictwu, które ją wzbogacało, a nie przemysłowi, który dziś pochłania fortuny obywatelskie. Skupiały się gruppy taratatek podszytych perwistkami. Podczas kiedy słudzy znosili tłomoki do izb, panowie rozmawiali z sobą przed domostwami o gospodarstwie i o sprawach mających się rozsądzić, lub już rozsądzonych na téj kadencyi. A najwięcéj mówiono o wypadku wydarzonym w Żytomierzu przed nowym rokiem, a który szczególnie szlachtę zajmował.

Przed samemi roczkami Święto-Michalskiemi, głośny na Rusi Watażka hajdamaków Kulbida, nocną porą w jednéj chałupie, w któréj się skrywał na Kamionce, schwytany przez pachołków starościńskich, po mężnym oporze ranny, został związany i zaniesiony przed gród. Kazano go leczyć w więzieniu, a gdy rany się wygoiły, jego sprawa przed grodem wprowadzoną była. Za obrońcę przydano mu pana Jakóba Bokuna, siostrzeńca i dependenta pana Bołsunowskiego, rejenta ziemskiego Żytomierskiego, jednego z najsławniejszych prawników owego czasu. Pan Jakób młody, ale już słynny z wymowy i nauki, wielką zjednał sobie sławę w obronie tego zbrodniarza i wszelkiemi siłami starał się go uniewinnić. Ale dowody przeciw niemu były tak oczywiste, że sąd grodzki dekretował go na śmierć, zostawując mu dwa dni na pojednanie się z Bogiem, a po ich upłynieniu miał być na przedmieściu Bernardyńskiém powieszonym. Otóż

kiedy przyszedł dzień egzekucyi, pan Jakób podburzył młodą palestrę, żeby go wyratować. Obskoczyli rydwan, do nich przyłączyło się pospólstwo zawsze przychylne hajdamakom, bo od nich krzywdy nie doświadczało, i wyrwali Kulbidę z rąk oprawców. Ten się skrył do kościoła bernardyńskiego, zkąd już nie można go było siłą wydobyć, propter immunitates Ecclesiae. A ztamtąd wpadł jak w wodę. Pan Jakób był o to turbowany i komu innemu toby na bardzo złe wyszło; jednakże wdanie się wuja to sprawiło, że nikt przeciwko niemu nie wystąpił z delacyą. Wisiała sprawa nad jego głową, ale że nikt nie chciał jéj popierać, bo rejenta miłowano, a jego się bano, więc pan Jakób w pokoju został.

Ponieważ mowa o rejencie, muszę czytelników moich z nim obeznać.

Na przedmieściu Bernardyńskiém, gdzie teraz rozciąga się ulica Kijowska, jedna z pierwszych w mieście o kilka razy dziś obszerniejszém, niż było w zeszłém stuleciu, stał porządny dworek z dwiema oficynami, własność pana Bołsunowskiego rejenta Żytomierskiego, najsłynniejszego jurysty, nie tylko w województwie Kijowskiém, ale w całéj ruskiéj prowincyi. Najmożniejsze pany dobijały się o jego posługi, najważniejsze sprawy były w jego rękach, interesa wszystkich tamecznych obywateli umiał na pamięć, a tak wielką pokładano ufność i w jego rozumie, i w jego charakterze, że trząsł wszystkiemi juryzdykcyami, i że nie bez jakiéjś słuszności nazywano go dyktatorem Kijowskiego powiatu.

Był to typ jurysty dawnego wieku. Bogobojny i poczciwy po swojemu, nie opuszczał żadnéj okoliczności, którąby jakiś zysk mu przynieść mogła. Jednak o skąpstwo nie był pomawiany, owszem żył okał że nie po pańsku. Jego dom przed nikim nie był zamknięty. W czasie kadencyi nie było dnia, żeby przynajmniéj dwudziestu gości nie zasiadało za jego stołem, a wino nie lało się potokiem. Percepty swoje co do szeląga zapisywał, wydatków nigdy: mawiał, że zdrowie mu milsze nad wszelkie rachunki, a że zgryzoty, jakichby doświadczał zapisywaniem wydatków, niezawodnieby mu je nadwerężyły. Podżyły kawaler, ale obyczajów nieskażonych, ani jednéj kobiety nie miał w całym domu; jego usługa aż do nadzoru bielizny i pieczywa chleba składała się z ubogiéj szlachty płci męzkiéj, na któréj czele był zaufany szlachcic, jakiś jego krewny, o kilka lat od niego młodszy, niejaki pan Jacek Mleczko. Ten był u niego totumfackim; zarząd domu na nim się opierał. Wszelkie na dom wydatki przez jego ręce przechodziły, a pan rejent, który w interesach prawnych Ojcu Świętemu nie wierzyłby, i wszystko sam bez niczyjéj rady ułatwiał, tak dalece jemu ufał w tém wszystkiém, co się li jego osoby tyczyło, że bez niego obuwia sobie nie sprawił.

Pan Jacek co tydzień przychodził do niego z regestrem, a pan rejent patrzy na podsumowaną kwotę; na szczegóły ani okiem rzuci, odlicza pieniądze, tyle tylko, że jęknie kilka razy. Jeżeli znajdzie w arkuszu regestrowym kawałek czystego papieru, odcina go starownie, żeby na nim zapisywać prawne konotatki, a to z czego nie może mieć użytku, w piec rzuca i na tém koniec.

Pan Jacek o sobie nie zapominał; mówiono powszechnie że swojego pana niemiłosiernie okradał, i że miał już po ludziach kapitały. Przyszło do tego, że przyjaciele rejenta otworzyli mu oczy, i że na nim wymogli, iż oddalił swojego ministra. Ale tak był do niego przywykły, tak był obcy wszystkiemu temu, co wprost lub ubocznie nie odnosiło się do prawnictwa, że wkrótce w jego domu wszystko do góry nogami się przewróciło. Służba się rozprzęgła, wino skwaśniało, stół zepsuł. Dependenci zaczęli sarkać, że nie mają należytéj wygody. Rejent zakłopotany, bo ciągle odrywany od jedynego zatrudnienia, do którego był usposobiony, pogodził się nakoniec ze swoją pijawką i na nowo oddał mu się z całym swoim domem w opiekę z większą jeszcze ufnością, jeżeli to być mogło, niż wprzódy, a jako recydywa jest zwykle silniejszą od pierwiastkowéj niemocy, tak pan Jacek po swoim powrocie jeszcze więcéj go okradał. A kiedy zaufani przyjaciele w tym względzie ponawiali panu rejentowi ostrzeżenia, on ich tak zbywał: „At, zachciało się! Człowiek nie anioł, żeby służąc drugim, mógł wchodzić w to co się u niego dzieje. Ja służę obywatelom a wiernie; kto mnie się powierzy, może spać spokojnie, bo ja jego sprawy nie zaśpię. U mnie nie ma żonki, żeby się mojém dobrem opiekowała. Jak się niém zajmę, mnie może być lepiéj, ale moim pryncypałom będzie gorzéj. Własna szkoda sumienia nie obciąża, a zawiedzenie cudzéj ufności bez restytucyi odpuszczone nie będzie. Moja chata to nie akta, żebym nie miał prawa zdać ją na pierwszego lepszego. Może Mleczko mnie okrada; żaden sługa swego nie przyłoży. Ale przynajmniéj mam co jeść, co pić i czém przyjąć łaskawych nawiedzających, a pokąd był oddalony, mnie gospodarzowi rumienić się czasem wypadało przed mojemi gośćmi. Wolę jakibądź zarząd, niż poczciwy nierząd. Niech tak bywa jak bywało, niech tak boli jak bolało.“ I zapija sprawę z przyjaciołmi.

Jako się powiedziało, zaskarbił sobie był nadzwyczajną sławę. A wszelako pryncypałom swoim więcéj rzeczywistéj szkody, niż korzyści przynosił, gdyż wedle obyczaju zawołanych jurystów ówczesnych, prawnictwo nie tyle było dla niego środkiem do otrzymania sprawiedliwości, ile pobojowiskiem, na którém mógł rozwinąć i udowodnić przed publicznością wielki swój rozum. I w saméj rzeczy był z niego mistrz strategii prawniczéj. Nikt lepiéj od niego nie umiał

spodjazdować strony przeciwnéj; zręczną ewazyą wywinąć się od wpisu, zmitrężyć kadencyę zerwaniem kompletu, podaniem obmowy na którego z sędziów ; utopić główną sprawę tworzeniem dziesięciu spraw akcessoryjnych: jedném słowem, tak wikłał swoich pryncypałów, że nigdy końca doczekać się nie mogli. Biada temu, którego sprawę wziął w opiekę; a jednak, że w owym czasie pieniactwo było więcéj dogodzeniem ambicyi, niż szukaniem zysku pieniężnego, każdy udawał się do niego po radę i miał się za szczęśliwego, jeżeli raczył od niego przyjąć umocowanie. Bo lubo nawet sprawa wygraną bywała, najczęściéj koszta na nią poniesione przewyższały korzyści pomyślnego wyroku. Ale strona zwycięzka przynajmniéj pocieszać się mogła, iż znękała i upokorzyła przeciwnika.

Tym sposobem niejednego pacyenta fortuna przez niego stopniała, co jego sumienia bynajmniéj nie obciążało. Bo kiedy podjął się czyjéj sprawy, poczytywał sobie za święty obowiązek wszelkich sprężyn poruszać, żeby ją wygrać, i dla osiągnienia tego celu każdy środek był dobry. Byle na swojém postawił, ani go zastanowiło, że nędza klienta może być skutkiem wygranéj. Nigdy nie dopuszczał stronom się godzić, bo każdą zgodę miał za ubliżenie prawu.

W całéj palestrze Żytomierskiéj miał tylko jednego współzawodnika, któremu publiczność przyznawała tyle światła i biegłości co i jemu. A tym był pan Marcin Nietyksza. Obaj nie posiadali się z radości, kiedy im wypadało za kratami stawać przeciwko sobie. Były to szermy, których koszta wprawdzie ich mocodawcy często wielką częścią swoich majątków opłacali, ale na nie zjeżdżało się całe okoliczne obywatelstwo, żeby zawyrokować, który z nich lepszy. Pokąd naród był wojowniczy, szranki rycerskie były dla niego najmilszą zabawą. Ale skoro duch rycerski utonął w prawnictwie, juryści zostali bohaterami epopei narodowéj, a kraty prawnicze tylu widzów ściągały, ilu wprzódy kruszenie kopij na turniejach. Długo w powiecie pamiętano sprawę między panem Nadolskim a panem Ihnatowskim. Każdy z nich był osiadłym na porządnéj wiosce; rządzili się jak najlepiéj, i żyli z sobą w sąsiedztwie i przyjaźni, aż wszczęła się między niemi zawzięta sprawa z powodu, iż pan Ihnatowski zajął w swoim owsie stadninę pana Nadolskiego. Pierwszy żądał od drugiego dwieście złotych za wynagrodzenie szkody, i na mniejszém byłby poprzestał. Zgoda łatwoby nastąpiła za pośrednictwem przyjaciół; ale że jeden udał się do pana Bołsunowskiego, a drugi do pana Nietykszy, ci nadto byli radzi spotkać się ze sobą, żeby zgodę dopuścić. Przyszło do tego, że sprawa przez osiem lat ciągnęła się w ziemstwie i grodzie, że było kilkanaście kondescencyów i dekretów, a że ona nie doszła do trybunału, to dlatego, że majątki obu stron poszły pod exdywizye, a ich właściciele zostali bez kawałka chleba.

Pan rejent, lubo żarliwy wyznawca wiary katolickiéj, nie widział w tém nawet materyi do spowiedzi, bo nikt nie jest obowiązany życzyć bliźniemu lepiéj niż sobie samemu. A że radził w dobréj wierze tym, co go prosili o radę, o tém wątpić się nie godzi, gdyż i sam sobie inaczéj nie radził. Pomimo znacznych wydatków, pieniądze tak rzęsisto na niego spadały, że z łatwością mógłby wyjść na pana. Ale on brałby za ubliżenie swojemu rozumowi, gdyby wszedł z kim w robotę zupełnie czystą. Wiele rachując na swoją głowę, lubił nabywać dobra zawikłane, zaprocesowane, żeby je potém oczyścić, a w rzeczy saméj procesa, które wraz z niemi kupował, jeszcze więcéj wikłał. Często powtarzał: — niech-no lat kilka pożyję, a po mojéj śmierci ogromne miliony znajdą. — A tak pięknie swoje interesa prowadził, że po jego śmierci pokazało się, że miał tytuł dziedzictwa na wielu dobrach, że był aktorem wielu spraw, a długów tyle, że dworek w którym mieszkał, kilka sprzętów i z dziesiątek kufrów napełnionych dokumentami, składały całkowite jego activum. Taką koleją poszedł i pan Nietyksza, niemniéj skory od pana rejenta do facyend podobnego rodzaju. Bo jeżeli tuzinkowi praktykanci jurysteryi zwykle się w krótkim czasie wzbogacali, zawołani łebacy palestry rzadko kiedy jakiś spadek po sobie zostawiali. Byli oni podobni do teraźniejszych sławnych wiściarzy, którym nie tyle chodzi o wygranie robra, ile o to, żeby jakimś głęboko obmyślonym impasem pobudzić wykrzyki zadziwienia próżniaków grę otaczających; wszystko to robiło się i robi nie dla siebie, ale dla galeryi. Lecz zostawmy na stronie przyszłość tych prawników, a zajmujmy się niemi o tyle tylko, o ile mieli styczności z tém co stanowi tło téj powieści.

Pomiędzy dostojnemi pryncypałami, którym pan rejent służył, najwięcéj był poważany JW. Kierdej łowczy wielki Litewski, pan szerokich włości w Litwie i na Rusi, z którego domu powstał, gdyż ojciec rejenta był ekonomem, a późniéj gracyalistą jeszcze ojca łowczego, kasztelana Kijowskiego, i kosztem tego pana on i brat jego wychowani byli. Od lat kilkunastu pan łowczy, niegdyś zawołany dworak Augusta II, a ninie zaszczycony szczególnemi względy Augusta III, osiadł był w Toporzyszczach blizko Żytomierza, w swoim zamku, z którego rzadko kiedy się wydalał. Żył w nim z małym dworem, ciągle powtarzał, że jest jak na dyszlu, i że temi dniami wyjeżdża do Warszawy, a nie ruszał z miejsca. U sąsiadów nie bywał, ani ich ugaszczał u siebie, a żył tak oszczędnie, że uchodził za skąpca między szlachtą przywykłą do hojności panów, i która pod tym tylko warunkiem robiła dla nich jakieś ustępstwo z téj równości wszystkich ze wszystkiemi, owego węgielnego kamienia ducha dawnéj ustawy. Pan łowczy zajmował się zarządem swoich obszernych dóbr, i synem swoim jedynym Augustem, który miał rok dwudziesty drugi, a że na

nim kończył się dom Kierdejów, ku niemu był obrócił wszystkie swoje nadzieje.

Zadziwiało to niemało, że pan łowczy, przywykły żyć albo w stolicy, albo za granicą, nawet noszący się po francuzku, dla którego obyczaje prowincyi nie mogły mieć powabów, zakopał się w zapadłém Polesiu, pośród chłopów w chodakach, gdzie zamiast śpiewaczek i baletniczek mógł spotkać tylko co najwięcéj kontuszowego szlachcica, z głową jak pałka bernardyńska, lub jakąś obywatelkę wprawdzie czasem czarującéj urody, ale ze zmatroniałą surowością zasad chrześciańskich. Różne wyszukiwano przyczyny tego jego oddalenia się od dworu. Między obywatelami kursowało, że z żalu po żonie, która w kwiecie wieku przeniosła się do tamtego świata, stetryczał i unikał ludzi; ale wiadomo było innym, że jego pożycie z żoną, księżniczką Sołomerecką z domu, było nieosobliwsze, a nawet mówiono w Warszawie o mającéj się między niemi zacząć sprawie rozwodowéj przed samą jéj śmiercią. Były i inne domniemywania, jedne od drugich mniéj podobne do prawdy, bo nikt na prowincyi nie wiedział tego, co żadnemu salonowi warszawskiemu nie było tajne.

Rzecz się tak miała. Pan łowczy miał sobie obiecane od króla generalstwo artyleryi koronnéj, skoro tylko to dostojeństwo, które piastował Wielopolski, siedemdziesięcioletni starzec, zawakuje. Doczekał się tego nakoniec, i tak był pewny siebie, że mundur kazał sobie uszyć i przyjmował powinszowania od wszystkich. Tymczasem hrabia Brühl, który zupełnie był owładał króla, skosił mu trawę pod nogami, bo wyjednał od króla przywiléj na to generalstwo dla swojego syna. Do tego upokorzenia dołączyło się skąpstwo, ostateczna namiętność duszy nieszlachetnéj.

Pan łowczy zirytowany, swoje sługi odprawił, pałac swój wynajął, a biorąc na siebie postać filozofa odczarowanego ze wszelkich ułud świata, jakiegoś sentymentalnego mizantropa, opuścił Warszawę, nie pożegnawszy nawet króla, i udał się do swoich dóbr poleskich, właśnie dlatego, że były najwięcéj oddalone od zgiełku stolicy, i tam zapełniał odtąd swoje worki, pokładając szczęście największe w ich pomnożeniu.

Pan łowczy, oprócz wygórowanéj pychy i popędliwości niczém niepohamowanéj, nie miał żadnéj cechy pana polskiego. Jego ojciec, kasztelan Kijowski, był prawdziwym Sarmatą, i takim chciał mieć swojego syna, bo oprócz niego i córki nie miał innego potomstwa. Oddał go do konwiktu ojców Jezuitów w Żytomierzu, gdzie rektorem był jego brat stryjeczny, który był dla niego wyrocznią. Tam wraz z innemi młody Józio, w kontusiku i z goloną głową, ćwiczył się w naukach, jakie wówczas były dawane, i w pobożności katolickiéj. Ale gdy skończył retorykę, już mu karność jezuicka ciężyła, a z dru-

giéj strony że wiedział, iż ojciec nigdy na to nie będzie wyrozumiały, zmyślił chęć wstąpienia do zakonu, i do niego napisał, prosząc o zezwolenie i błogosławieństwo, aż nadto będąc pewnym, że pozwolenia nie otrzyma. Jakkolwiek kasztelan był mężem wielkiéj pobożności, był przecie możnowładcą. Na samo wspomnienie, że imię Kierdejów wygasnąć może, a jego dobra przejść w inne domy, omal że od rozumu nie odchodził. Kiedy więc odebrał list od syna, wielce się zafrasował, i zebrał do rady najzaufańszych swoich przyjaciół. Wszyscy się zgodzili na to, żeby dla oderwania syna od podobnéj myśli oddać go do dworu królewskiego, a jeżeli po dwuletnim na nim pobycie ta myśl nie wywietrzy mu się z głowy, w takim dopiéro razie nie sprzeciwiać się wyraźnemu powołaniu. Poszedł kasztelan za tą radą, i w ten sposób odpisał synowi. A to było właśnie, czego sobie młody filut życzył.

Oddany do dworu Augusta II, a dobrze opatrzony od kasztelana, który już z dóbr swoich nie wyjeżdżał, a tylko prosił Boga, żeby mógł się doczekać widziéć jedynaka ożenionym, od tego zaczął, że starożytny a narodowy ubiór z siebie zrzucił, a z nim i wiarę i obyczaje przodków, i przekształcił się na dworaka wersalskiego. Wyuczył się akcentu francuzkiego, europejskich tańców i fechtowania, i wkrótce w jednych i w drugiém został mistrzem. Kilka szczęśliwych pojedynków na szpady i pistolety zjednały mu odgłos nadzwyczajnéj waleczności; kilka obałamuconych przez niego mężatek roztrąbiło o nim sławę kawalera pełnego poloru; kilka podróży za granicę i tyleż madrygałów francuzkich, przez niego ułożonych dla pani Orzelskiéj faworyty królewskiéj, dostateczne były dla zapewnienia mu po wszystkich salonach Warszawy sławy wysokiego rozumu i głębokiéj uczoności. I to mu niemało do téj wziętości dopomogło, że był skoligaconym z najpierwszemi domami rzeczypospolitéj, i spadkobiercą ojca starego, właściciela ogromnego majątku, który się ciągle powiększał.

Przy takich zasobach pan kasztelanic został wkrótce głową wszystkich trzepietarzy wyższego urodzenia, a tém samém ważną figurą. Oddany wszelkim rozpustom, ale pełen nieograniczonéj dumy, niczego on nie zaniedbywał dla wyniesienia się; a że poselstwo na sejmie było szczeblem niezbędnym do najwyższych w kraju zaszczytów, o nie oświadczył się na sejmiku w Czersku, w którym powiecie jedynie dlatego nabył wioskę, niezmiernie przepłaciwszy jéj wartość. U tameczńej szlachty znalazł wielkie i słuszne przeciw sobie uprzedzenia; ale jak zaczął się jéj kłaniać, a poić i karmić, a sypać pieniądze, a współzawodników do poselstwa odstraszać od kandydacyi: słabszych, osobistą z sobą czynnością, mężniejszych obawą narażenia się na prześladowanie możnych swoich krewnych, z niemałém zadziwieniem króla, który nawet odradzał mu, jako młodemu, puszczać się

w zapasy z zasłużonemi w ziemi Czerskiéj mężami, jednomyślnie posłem został obrany.

Już był utracił ojca, po którym znaczna spuścizna mu się dostała. Nastąpiło to właśnie w czasie, kiedy się starał o poselstwo; na sejmie bynajmniéj się nie pokazał być zausznikiem królewskim, bo miał dość trafności żeby poznać, iż bez popularności nie można było nic w tym czasie ważnego otrzymać w Polsce. Utworzył ją sobie dość tanim kosztem, bo poznawszy, że poparcie najzbawienniejszych i najsumienniejszych zamiarów rządu zabija ją w społeczeństwie, dla którego oppozycya była celem a nie środkiem, podczas gdy jak najmniéj rozsądny, chociażby nawet zabójczy dla kraju opór widokom rządowym ją zabezpieczał, rzucił się ze sztucznym zapałem w oppozycyę przeciwko dworowi. A że nie umiał pisać po polsku, odczytywał na sesyach sejmowych mowy pełne goryczy przeciwko mężom zaszczyconym ufnością króla, a które pijarowie za pieniądze mu układali, i odczytywał je z deklamacyą francuzką, czém zachwycał damy salonowe. Na żadne podatki nie pozwalał, przeciw możnowładztwu powstawał, czém taką reputacyę patryotyzmu i republikanizmu dla siebie utworzył, że król po skończonym sejmie nie zaniedbał obdarzyć go starostwem.

Tak stanąwszy u celu swoich żądz, umiał poznać, że już w narodzie zaczynało wchodzić w obyczaj ulepianie bałwanów, a wkrótce potém ich kruszenie, i że popularność nie mogła być ani trwałą, ani długi czas korzystną. Przez nią otrzymawszy czego żądał, już mu potrzebną nie była, a dał tego dowód na następnym sejmie, na którym posłował; na nim albowiem uroczyście zerwał z mniemanemi patryotami, i pokazał się gorliwym stronnikiem dworu, czém w jednéj chwili popularność utracił, o którą dbał jak najmniéj, gdyż ona już go była znudziła, do niczego doprowadzić nie mogła, a tylko wydatki pomnażała i nie pozwalała mu wodze puszczać wzgardzie, jaką czuł dla tych wszystkich, co świetnością krwi jemu sprostać nie mogli. Dumny z urodzenia, dumny z dostatków, o ile dotąd widziano go układnym, uprzejmym, o tyle pokazał się wyniosłym, zimnym, niedostępnym, — tém więcéj, że udało mu się powiększyć w trójnasób swoje dostatki ożenieniem się z księżniczką Sołomerecką, z którą żył nie wiedziéć po jakiemu, i postąpić na dygnitarza, z nadzieją jeszcze wyższych zaszczytów.

Pan łowczy był powszechnie niecierpiany, ale wszyscy mu zazdrościli szczęścia. Był wdowcem; ale żona mu zostawiła ogromny majątek i syna, który moralnie i fizycznie był jego wykapanym obrazem. Wprawdzie z łaski hrabiego Brühla poniósł był szwank u dworu, ale z drugiéj strony to mu dawało postać malkontenta, rola w owym czasie ulubiona od pana polskiego, a która dawała sposobność żyć na

wsi i pomnażać zbiory, co aż nadto było pochlebne dla człowieka tak chciwego. Żył więc od lat kilkunastu na wsi w zupełném odosobnieniu, i doczekał się pełnoletności syna, którego pod okiem swojém wychował, nie żałując kosztów na sprowadzenie mistrzów nauk i talentów z różnych części Europy, tak że jego zamek Toporzyski tém jedynie różnił się od akademii, iż tylko jeden uczeń z tego nauczania korzystał.

Kiedy młody August swoje nauki ukończył, i jak drugi Pico Mirandola zdał egzamin de omni re scibili, przed ojcem, który nie bardzo wiedział co się święciło, ten podwójnie się ucieszył, raz, że ma tak mądrego syna, powtóre, że wydatki na nauczycieli przecie się skończyły; bo chciwość i skąpstwo w stosunku z wiekiem się wzmagały. Odtąd już nie mając w domu cudzoziemców, przed którémi mógłby się wstydzić, co rok pokazywał się oszczędniejszym w życiu. Po całych dniach zamknięty siedział, innéj rozrywki nie mając, tylko liczenie i przekładanie worków napełnionych złotem i srebrem. Jeżeli nowy jaki przychód wnosił mu pieniądze, z tych, acz z boleścią serca, przecie czynił jakiś udział dla syna, dla opłaty sług, dla niezbędnych potrzeb domu; ale to, co było zawiązane w workach, było jakby zaklęte; co do nich weszło, z nich wyjść nie mogło; żałował ich dla syna, dla siebie samego; skąpstwo i chciwość, jak wszystkie złe namiętności, nie przeciwważone silném uczuciem religijném, u niego przybrały wszystkie cechy bałwochwalstwa. Tę wiarę, jaką pobożny chrześcianin pokłada w Bogu, on pokładał w swoich skarbach. Co dosłownie był wyznawcą, postnikiem, pokutnikiem mamony.

Z nikim nie żył, jak to się już powiedziało. Ale że pan rejent był sługą spadkowym jego domu, że był jego plenipotentem, i za tę posługę w kapitulacyi trzymał jeden folwark klucza Toporzyskiego, on jeden miał przystęp wolny do niego. Pan łowczy go lubił; ile razy do niego przyjedzie, uprzejmie go przyjmie, przy obiedzie każe postawić na stole butelkę węgrzyna, fundacyi jeszcze nieboszczyka kasztelana, z niéj sobie naleje kieliszek, reszta idzie na pożytek rejenta; ale gdy ją wypróżni, napróżno się przymawia do drugiéj; pan łowczy niby tego nie rozumie. Pan rejent radby go wplątać w jakiś proces, żeby mu się stać potrzebniejszym; ale łowczy przezorny zaraz obejmie zysk czy stratę, jaka ze sprawy wyniknąć może dla niego, i wręcz mu odpowiada, że żadnego procesu z nikim mieć sobie nie życzy, raz, że nie chce sędziom się kłaniać, powtóre że zysk z procesu dopiéro w przyszłości okazać się może, a pieniądze sypać trzeba zaraz, a tych nie ma, i na konkluzyę dodaje: — Na to waść masz moją plenipotencyą, żebyś mię bronił, jak mnie kto zaczepi, a ja zaczepiać nie myślę nikogo. — A kiedy go zacznie namawiać, żeby kupił jakie dobra, ten mu jedno a jedno odpowiada: — A zkąd ja wezmę pieniądze? Ludzie myślą że

je zbieram, a ja goły jak święty turecki. A czy mało wychowanie syna mnie kosztowało? a były jeszcze i stare grzechy w Warszawie, które tu, odejmując sobie kęs od gęby, zaspokoić musiałem. — A na amen podobnych antyfon dawał mu do poznania, że już jemu czas wracać do Żytomierza.

Rejent wszystkie te chimery znosił z uszanowaniem, bo w służebnictwie domu Kierdejów zrodzony, nie przestawał się uważać za kreaturę tego domu. Jaka taka, ale wyłączna ufność, jaką w nim pokładał magnat odludek, potomek tego domu, tyle była dla niego pochlebną, że i bez wsi co ją mu wypuścił, miałby się już za sowicie nagrodzonego. A od jakiegoś czasu, właśnie tego, w którym się zaczynają wypadki, jakie opisywać przedsięwziąłem, ta ufność zdawała się podwajać. Często posłańce przybywali do rejenta; często, czego wprzódy nie bywało, wzywany bywał do Toporzyszcz; zauważano nawet, że rejent bardzo bywał zamyślony po powrocie z każdéj swojéj wycieczki.

ROZDZIAŁ II.

Pan Paweł Bołsunowski, będąc rejentem ziemskim, a do tego patronem wielu obywateli, utrzymywał liczną kancelaryę, która pracując dla publiczności, nie była jednak ciężarem dla kraju. Składała się ona z dependentów, którzy pod jego kierunkiem uczyli się praktycznie prawnictwa, a późniéj sami wychodzili na jurystów. Wielu z takich było synami majętnych obywateli, a wszyscy szlachtą herbowną. U rejenta mieli kwaterę, wikt i światło, tak, że tylko odziewać się musieli ze swojego. Ci, co mieli rodziców funduszowych, od nich pobierali wsparcie; inni musieli poprzestać na tém, co im się udawało zapracować. I tak, że każdy rozpoczynający zawód prawniczy już miał szkolną przynajmniéj do trzeciéj klassy naukę, a tém bardziéj umiał pisać, więc ten temu, tamten owemu pacyentowi przepisywał na czysto pozwy, manifesta i jakieś inne dokumenta, za co mu co tydzień przynajmniéj kilka złotych kapnęło. Późniéj, gdy już się lepiéj obeznał z manipulacyą sądową, robił pacyentom kwerendy, z własnego konceptu redagował pozwy i manifesta, układał summaryusze, czém już znacznie powiększały się jego przychody.

Początki zawodu prawniczego chudego pachołka bez wątpienia były ciężkie. Wielkanoc nie przychodzi, tylko aż po kilkotygodniowym poście. Jednak i wtedy nie zostawał bez jakiéjś pomocy. W palestrze utworzyło się było bractwo pod opieką Świętego Iwona patro-

na jurystów: w kancelaryi każdego mecenasa stała skarbona tego bractwa. Majętniejsi dependenci co soboty, każdy wedle swojéj możności, coś w nią rzucał, a kiedy kto przychodził do kancelaryi w jakimś interesie, temu zaraz podawano skarbonę; trzeba było coś dodać, bodajby trzy grosze. Kiedy szlachcic ze wsi przyjedzie do mecenasa, chociaż bez interesu, zaraz jakiś dependent przynosi jemu skarbonę; już przynajmniéj złotówka przybędzie. Bywali téż i hojniejsi dobrodzieje; co kwartał skarbona się otwierała. Część kwoty w niéj znalezionéj, odnoszono do prefekta bractwa, zawsze jakiegoś weterana palestry, na upiększenie ołtarza świętego Iwona w kościele katedralnym żytomierskim i koszta solennych nabożeństw, które kilka razy na rok przed tym ołtarzem się odbywały. A reszta szła na korzyść dependentów, nie mających z czego sprawiać sobie odzieży, bielizny i obuwia. Kwoty idące takiemu na użytek, były zapisane; a jeżeli biedak stanął na pewniejszych nogach, miał za święty obowiązek zwrócić skarbonie to, co od niéj dostał.

Zresztą u żadnego mecenasa dependenci nie byli utrzymani tak dobrze, jak u rejenta. Tryb ich życia był następny i nigdy rozwolnieniu nie ulegał: wstawać musieli o wpół do szóstéj, o saméj szóstéj szli za mecenasem do kościoła bernardyńskiego na prymaryę i godzinki. Około siódméj wracali do domu, gdzie na nich czekało piwo grzane, lub mleko prażone. Po tym posiłku siadali do pracy aż do pierwszéj po południu; o téj porze był albowiem obiad, składający się z polewy i czterech potraw. Po obiedzie, oprócz dwóch z kolei, którzy musieli zostać w kancelaryi, i być na zawołanie rejenta, innym wolno było w mieście szukać uczciwéj zabawy, ale o pół do ósméj trzeba było wracać na wieczerzę, na któréj zawsze były trzy półmiski; i już bez wyraźnego rozkazu pana rejenta, aż do wczasu nikomu nie wolno było z kwatery wychodzić. O dziewiątéj, czy z panem rejentem, czy sami, odmawiali pacierze, do zwykłych modlitw dołączała się w środę koronka, w sobotę różaniec, a o dziesiątéj każdy musiał być w swojém łóżku. Żyli więc, jakby pod regułą zakonną, i żadnemu z téj młodzieży przez myślby nie przeszło w czémkolwiek z niéj się wyłamać. Rejent z opieką miał sobie nad nią spuszczoną ojcowską władzę, a w potrzebie na jéj poparcie kilka sług, kobierzec i dobrze upleciony batog. Młodzież, jakkolwiek burzliwa, i miłowała swojego mecenasa jak ojca, i bała się go jak ognia.

Były wprawdzie i ciężary palestranckiego żywota. I tak: co soboty suszyć musieli; jeszcze to w zimie pół biedy, bo do chleba dodawano im surową kwaszoną kapustę; ale latem trzeba było poprzestać na grzankach maczanych w podpiwku. Na każdy pogrzeb katolicki, czy zachodniego czy wschodniego obrządku, jeden z kolei musiał asystować, a koléj często przypadała. A co im najwięcéj dopiekało,

etnią porą ze wschodem słońca, czasem rejent ich napędzał do swojego ogródka, dla oczyszczenia sapem ścieżek, i pielenia kwater z kwiatami. Nie mieli prawa się skarżyć, bo rejent z sapem w ręku podzielał ich pracę.

Były téż i kompensaty. Niedziele i święta były wolne od wszelkiego zatrudnienia, i choćby dependent wrócił późną nocą, to mu uchodziło in gratiam dnia świątecznego. Toż samo i w czasie karnawału. We czwartek i na obiedzie i podczas wieczerzy każdy dostawał po lampeczce miodu, w niedzielę szklankę wina; nadto każdemu wolno było trzymać na wikcie gospodarza po jednym wyżle albo gończym, i w czasach wolnych od kadencyi polować w okolicach Żytomierza, a byle pan rejent dostał kilka cyranek i dubeltów, nie żałował grosiwa na proch i ołów'. Był on ostry, ale nie gdéralski; od nikogo nie wymagał pracy nad jego możność. Z budującą cierpliwością poprawiał omyłki w pismach, które mu podawano; ile razy biesiadował u siebie, zawsze do zabawy kielichowéj wezwie któregoś ze starszych swoich dependentów. Nawet na swawole młodzieży był wyrozumiałym, byle tylko pewnych granic nie przekraczała. Nadewszystko umiał do siebie młodzież przywiązywać, i pewny jestem, że niejeden z jego dependentów, zostawszy i możnym obywatelem, i wyższym urzędnikiem, nieraz musiał żałować tych chwil i dobrem i złem przeplatanych, które przepędził w palestrze Żytomierskiéj pod karnością aczkolwiek czasem przykrą pana rejenta.

Dziesięciu dependentów żywiło się u rejenta, i pracowało za jego stołem. Z tych sześciu obywatelskich synów, którzy mieli pomoc z domu; trzech chudych pachołków, z których jeden tylko więcéj wprawiony do rzemiosła, z pracy swojéj się utrzymywał, a dwóch dopiéro rozpoczynających zawód, tak biednych, że obchodziéby się nie mogli bez karbony św. Iwona, gdyby nie szczodrota dziesiątego kolegi, najbogatszego z pomiędzy nich wszystkich, a którego hojność przewyższała dostatki.

Był to Jakób Bokun, siostrzan pana rejenta, o którym już wspomniałem. Sierota w jego domu z maleńka wychowany, jak mówiono powszechnie, był właścicielem znacznego funduszu po rodzicach, którym się opiekowali jego wujowie, a część jemu należnego procentu corocznie opłacali, odkąd skończył lat osiemnaście, a więc od więcéj dwóch lat, gdyż rok dwudziesty pierwszy już zaczynał.

Trzeba wiedziéć, że pan rejent miał brata, który z nim razem przed sześćdziesięciu laty się urodził w dzień Piotra i Pawła. Z tego powodu pan rejent przyjął na chrzcie imię Pawła, a brat jego podczaszy Wendeński, Piotra. Obaj bracia, spadkowi klienci przemożnego domu Kierdejów, wielce się miłowali; jeden przed drugim nie miał nic skrytego, jeden był żywym portretem drugiego. Obaj wy-

chowani byli na koszcie nieboszczyka kasztelana. Pan Paweł poświęcił się jurysteryi, a pan Piotr dworszczyznie w usługach kasztelanica, z którym bądź mieszkając w Warszawie, bądź peregrynując po zagranicach, nie mało poznał świata. Pan Paweł, który był jakby wkorzeniony w Żytomierzu, na miliony gonił; a pan Piotr, chociaż mógłby przywyknąć do wielkiego świata, tak długi czas na nim przepędził, umiał poprzestać na jednéj wiosce o dwie mil od Żytomierza, na któréj pan łowczy dał mu dożywocie za kilkudziesięcioletnie jego zasługi. Na niéj osiadł na starość i tylko gospodarstwem się zatrudniał, a tak stetryczał, że towarzystwa wszelkiego unikał. Co soboty wieczorem przyjeżdżał do brata, nazajutrz asystował całkowitemu nabożeństwu w kościele katedralnym, gdzie często przystępował do tajemnic Pańskich, a ztamtąd prosto wracał do swoich ukochanych Jarkowicz. Był on, jak i jego brat, starym kawalerem, wielkim jak on skrupulatem; w tém tylko się różnił od niego, że rejent był facetus i lubił swoje wesołe rozmowy zakrapiać wytrawnym węgrzynem, a podczaszy pił tylko wodę, był małomówny, a zawsze tak smutny, jak gdyby mu coś ciężyło na sercu. Ile razy był u brata, a jaki gość do niego przybędzie, zaraz wynosi się do alkierza. Jego noga nigdy nie postała w kancelaryi; siedział w izbie jak w norze u brata, tyle tylko, że pośle za Jakóbem, żeby się z nim trochę popieścić. Koledzy Jakóba dociekli, że te pieszczoty kończyły się rozrzewnieniem starca, tak że łzy zakręcały mu się w oczach, po czém dawał mu zawsze jakiś upominek, a rejent, przytomny tym scenom, kazał mu odchodzić.

Pan Jakób był więc siostrzanem, i wedle głosu powszechnego jedynym spadkobiercą tych starych bliźniaków. I był poważany jako expectans magnam successionem, gdyż panowie Bołsunowscy, zwłaszcza rejent, uchodzili za wielkich kapitalistów.

Wszyscy dobrze życzyli panu Jakóbowi, i już poniekąd mógł przyznawać sobie, że jest głową silnéj partyi, gdyż nie tylko jego koledzy, ale omal że nie całkowita młodzież, aplikująca się w Żytomierzu do prawa, ulegała jego wpływom. Wszystko mu do tego sprzyjało; wujowie mu corocznie do rąk odliczali po sześć tysięcy, summa w owych czasach znaczna, a z któréj przyjaciele tyle korzystali, ile on sam. Prócz tego od wuja podczaszego częste przyjmował upominki. Miał odrębną swoją usługę, kilka koni i psów utrzymywał na koszcie rejenta, który niczego mu nie żałował; przytém był zachwycającéj urody, umiał się ubierać kosztownie i do twarzy. Był mistrzem do mazura i krakowiaka, grzecznym dla płci pięknéj, jedném słowem gładkim kawalerem; oprócz tego miał nieustraszone serce, był rębaczem zawołanym, jeźdzcem i myśliwym słynnym w całym powiecie, nie cofającym się przed żadném niebezpieczeństwem, był nawet w potrze-

bie tęgim do kielicha. Cała młodzież była u niego na zawołaniu, bo czuła jego wyższość, i właśnie dlatego pełną ufność w nim pokładała.

Niech jak chcą rozprawiają o postępie światła powszechnego naszych czasów w stosunku upłynionych, ja zawsze utrzymywać będę, że nasi poprzednicy o wiele nas przewyższali i w rozumie i w rozsądku; bo dla pozyskania między niemi wziętości, trzeba było dawać przekonywające dowody hojności, odwagi, szlachetności i poświęcenia się dla swoich stronników. Dziś wziętość, wprawdzie nietrwała, tak tanim kosztem się nabywa, że byle te przymioty były na końcu języka, już te przechwałki publiczność przyjmuje za pieniądz gotowy. Dawniéj człowiek wzięty, miał zaraz swoje stronnictwo, które od niego wiele wymagało, ale nawzajem niemałe mu robiło ofiary. Było komu zajrzéć w oczy, i bez widocznego niebezpieczeństwa nie można było takiemu się narazić. Z tego bywały nawet nadużycia; dziś, jeżeli kto liczy wielu stronników, tak mało ma w sobie zwykle rzeczywistéj wartości, że gdyby swojém położeniem chciał innym zaimponować, śmiech pogardliwy, a nic innegoby nie wywołał. Zawsze do szacunku przywięzuje się uczucie jakiéjś bojaźni, bynajmniéj nie upokarzającéj. I ztąd waleczne dawne nasze społeczeństwo było niewypowiedzianie grzeczne. Dziś, jeżeli, co się nie często zdarza, spotykamy ludzi rzeczywiście grzecznych, to jedynie z nałogu i dobrego wychowania, a nie z potrzeby, gdyż zbyt rzadko im wypada obcować z takiemi, których cnoty mogliby szanować, a odwagi się lękać. Wróćmy więc jak najśpieszniéj do tych szczęśliwych a już zapomnianych czasów, kiedy mężni i roztropni stawali na czele opinii publicznéj, a półgłówki i tchórze jeszcze się nie wdzierali do jéj kierunku.

Co niemało przyczyniało się do wziętości Jakóba u młodzieży, to że ile razy on należał do jakiéjś wspólnéj swawoli, zawsze brał winę na siebie, a swoich towarzyszów oczyszczał. Wprawdzie to mu bezkarnie uchodziło, bo téż pan rejent wszelkie sprężyny umiał poruszać, żeby ta swawola nie miała smutnych następstw. Burdy godził, nawiązki własnym groszem opłacał, obrażonych przepraszał, wszystko żeby ulubiony siostrzan przykrości nie doświadczył. Był tego świeży dowód, kiedy Jakób ze swoimi stronnikami zatamowali sprawiedliwość urzędu odbiciem kryminalisty z rąk kata, i ułatwieniem mu ucieczki. Była to gardłowa sprawa, i dla niego samego i dla jego współtowarzyszy. A jednak powaga i zręczność pana rejenta tyle sprawiły, że nikt delacyi podjąć się nie chciał i szaleńcy zostali spokojni.

To pewna, że pan Jakób zasługiwał na jakieś względy przez osobliwszą swoją zdatność. Był on z liczby tych, co z równym zapałem oddają się pracy, jak i swawoli. Wszyscy mu przyznawali, że między młodzieżą aplikującą się do prawa w Żytomierzu, żaden tak nie był

obeznany ze statutem i konstytucyami koronnemi, tak chyżo nie obejmował interesu, tak szczęśliwych nie miał pomysłów w ułożeniu planu do prowadzenia sprawy, ani tak rozsądnego i wymownego pióra. Niektórych jego merytów za inkarceratami na pamięć uczono się w palestrze; starzy nawet juryści podziwiali zdolności młodzieńca, i często zapraszali go na konferencye. Z tém wszystkiém niemniéj zadziwiało publiczność, iż pan rejent, człowiek ostry, tyle miał słabości dla siostrzana paliwody, że nigdy nawet surowém ofuknieniem go nie zasmucił, i postępował z nim nie jak z siostrzanem sierotą, potrzebującym jego łaski, ale jakby z magnata synem, jemu od potężnego rodzica powierzonym. Wprawdzie obaj jego wujowie, będąc bezdzietnemi, mogli go uważać za syna i ku niemu przenieść wszelkie słabości nierozważnego rodzicielskiego afektu. Pan rejent często powtarzał przed poufałemi przyjaciołmi, że miał jedyną siostrę, która poszła za majętnego Litwina z domu starodawnego, niejakiego Bokuna; że obaj małżonkowie odumarli Jakóba, kiedy jemu dopiéro piąty rok się kończył; że z bratem wzięli go w opiekę; i zwykle dodawał: „Kubuś dziś bez nas mógłby się obejść: ma on z łaski Pana Boga swoich sto kilkadziesiąt tysięcy u księcia Radziwiłła wojewody Wileńskiego, hetmana wielkiego Litewskiego, a procenta, które w jego małoletności narosły, znacznie tę summę powiększyły. Aplikujemy go do prawa, żeby w potrzebie swój majątek i siebie umiał bronić, ale nie myślimy go wykierować na przysięgłego jurystę; bo kto ma chleb gotowy, nie potrzebuje go szukać. Zresztą, jak skończy rok dwudziesty drugi, to i nasza opieka wedle brzmienia testamentu nieboszczyka szwagra się skończy. Niech jeszcze ten rok w karności przecierpi, a potém zrobi z sobą co mu się podoba. Rady nasze będą zawsze na jego zawołanie, ale już mu rozkazywać nie będziemy mieli prawa."

Jednak w Żytomierzu bywali starce, którzy znali od dzieciństwa pana Piotra i Pawła Bołsunowskich, nim ich JW. Kierdej kasztelan Kijowski oddał do szkół, a jeszcze chowali się u ojca ekonoma kluczowego w hrabstwie Toporzyskiém. Otóż oni pawtarzali, że ich było tylko dwóch, a o inném rodzeństwie, ani o żadnéj siostrze nie słyszeli. Że wprawdzie pan rejent przed kilkunastu laty odbył jakąś daleką podróż, jak mówił do Litwy, że ztamąd wywiózł małego chłopczyka, jakoby swojego siostrzana, że niczego nie żałował, aby go jak najstaranniéj wychować pod własném okiem, ale że nie pojmują, zkąd miałby się urodzić ten siostrzan.

Wiele z tego domysłów i plotek wyrosło było w Żytomierzu, zwłaszcza między takiemi, co prawowali się z pacyentami pana rejenta. Nakoniec, między krzyżującemi się domniemywaniami przemogła opinia, że ten siostrzan pana rejenta był jego synowcem, i że pan Piotr, pokutnik, postnik i odludek, nie zawsze musiał być takim. Ale skoro

Jakób dorósł, a kilku zbyt ciekawych o jego rzeczywiste pochodzenie porządnie szablą poobznaczał, wszystkie te gadaniny ucichły, i zaprzestano szperać w tém, co wyłącznie do rodziny Bołsunowskich należało.

ROZDZIAŁ III.

Już dependenci pana rejenta wrócili z nabożeństwa, już posilili się śniadaniem, i każdy siedział przy swojéj robocie. Samego mecenasa nie było, gdyż po mszy z kościoła udał się do jednego ze wsi przybyłego obywatela, który go w kwaterze swojéj oczekiwał. Łatwo można było poznać jego nieobecność, bo lubo zwierzchność nad kancellaryą poruczył panu Rafałowi Świeżawskiemu, najstarszemu wiekiem dependentowi, a który przy końcu kadencyi miał wykonać przysięgę na jurystę, głośna a czasem burzliwa rozmowa przeplatywała pracę młodzieży, czego przykładu nie było w przytomności rejenta.

Pierwszy odezwał się pan Sylwester Bębnowski, podstolic Kijowski, do siedzącego obok siebie ubogiego dependenta, pana Bartłomieja Kałużyńskiego:

— Przecie summaryusz dokumentów téj utrapionéj baby Chaptuszyńskiéj tak dobrze jak skończony, możemy bawić się gawędką. Załuj Bartku, żeś nie poszedł wczoraj z nami na balik wielmożnych podsędków Wiczfińskich, jak cię namawiał do tego pan Jakób. Bawiliśmy się po królewsku.

— Gdzież mnie chudemu pachołkowi was obywatelskich synów podzielać zabawę? Człowiek kontent, kiedy ma jaką parę butów niedziurawych, jaką taką kapotę, którą szanuję jak duszę własną, a jemuby w głowie było zabawy paniczów? Wy poszliście na biesiadę, a ja wyprosiłem się u pana rejenta, że mi pozwolił pójść na Kamionkę do mojéj biednéj matki, żeby ją i moje dwie siostrzyczki pocieszyć. Przyjęła mnie jak mogła w swojém ubóstwie. Wyście mieli marcepany, a ja szczęśliwie zajadałem sobie kluski z serem; a dlaczego śpieszyłem do matki, oto dlatego, że nie ma podszytego futerkiem baweciku, żeby nim pokryć się kiedy wychodzi na podwórze. Jakaż to była jéj radość, kiedy jéj przyniosłem szesnaście złotych! Moja najukochańsza matka będzie mieć przynajmniéj to, co jéj najwięcéj jest potrzebne.

— A zkąd się wzięły u ciebie te szesnaście złotych?

— Zkąd? ja ich miałem dwadzieścia, tylko że cztery zachowałem dla siebie. Jeżeli w tych dniach uda mi się zebrać jeszcze cztery złote, *sprawię* sobie nowe buty, a jeżeli nie będę miał, przynajmniéj pod-

szycie. A moje dwadzieścia złotych, jest-to łaska pana Jakóba. Posłał mnie onegdaj do księdza kanonika Słomowskiego z dokumentami; ten je przyjął, okiem na nie rzucił, i odprawił mnie wtykając w rękę ładunek, w którym było dwadzieścia złotych, o czém aż późniéj się dowiedziałem, bo jaki był, taki oddałem panu Jakóbowi, jedno że mnie powiedział: — zostaw to przy sobie, tobie się to przyda Bartku, a ja jeszcze nie potrzebuję kościelnych pieniędzy. — Kiedym się obliczył, ledwo dusza nie wyskoczyła z radości, że mogę matce się przysłużyć. Jakże wyglądałem poobiednéj pory, żeby się do niéj wysunąć! Wasze biesiady wcale mi nie zaprzątały głowy, chociaż mnie do nich ciągnął mój dobrodziéj pan Jakób.

— Jaki z ciebie gaduła, Bartku — na to się odezwał pan Jakób, który przy obszernym kantorku siedząc związywał plik papierów, a zasłuchał koniec narracyi pana Bartłomieja. — Wolałbyś coś ciekawego powiedziéć, albo przepisywać co ci dano, niż pleść panu Sylwestrowi koszałki opałki, które go obchodzić nie mogą, a tylko go nudzą.

— I owszem, poczciwy Bartek wielce mnie zajął swojém opowiadaniem. Alboż ja nie mam matki? a chociaż chwała Panu Bogu, nieboszczyk ojciec zostawił nam uczciwy szlachecki majątek, my się kochamy jak ubodzy. Cóż może być droższego od matki? a że o tobie wspomniał, panie Jakóbie, za to się nie gniewaj. To dla nas nic nowego; ile razy słyszymy o jakimś czynie szlachetnym, ty zaraz nam w myśli stajesz.

— Wstydź się, panie Sylwestrze! Prawdziwie, gdyby kto z boku nam się przysłuchał, za kogoby nas wziął, że ofiarę dwudziestu złotych, i to nie swoich, mamy za heroizm?

— A czy to na tém koniec, panie Jakóbie? a z czyjéj łaski mam lity pas, że mógłbym się nim czwanić, jak gdybym był synem urzędnika? Wszakże to pierwszy złoty pas w rodzie Kałużyńskich, bo my z dziadów i naddziadów charłaki. Moja matka z ostatniego się ciągnęła, dla utrzymania mnie w szkole; ostatnią kozę przedała, żeby zapłacić dyrektorowi. Gdyby nie to, może byłbym gdzieś kuchcikiem, albo żydowskim pachołkiem, albo co jeszcze łatwiéj, zmarłbym z głodu pod pierwszym płotem. Mam ci ja także kontusinę porządną i żupan atłasowy, na które wy, moi mili koledzy, złożyliście się. Pan rejent, niech mu Bóg da za to czego tylko zapragnie, rzucił wtedy dla mnie dwa czerwone złote; ale ja sobie chodzę w mojéj kapocie, a kontusz i pas to tylko od święta w katedrze, a po skończoném nabożeństwie zaraz to zrzucam z siebie i wracam do swojéj kapoty. Wtedy dopiéro będę śmiało chodził w mojéj paradnéj odzieży, kiedy tyle zachwycę prawa, że już będę mógł sam dla siebie coś zarobić.

— A zkądże ta desperacya? — na to pan Rafał Świeżawski, przy

którym było posłuszeństwo, człowiek pracowity, najlepszego serca, a wielce lubiący wiedziéć o wszystkiém, co się działo w Żytomierzu.

— To nie desperacya, ale głos sumienia; za cobyście mnie trzymali, gdybym się pawił w złocie i jedwabiu, podczas kiedy moja biedna matka i dobrodziéjka sama czasem nie wié, co będzie miéć jutro na wyżywienie siebie i tych dwóch sierot, co przy niéj mieszkają. A jeszcze parę lat, i to daj Boże, trzeba jéj się borukać z nędzą, ale jak Bóg, który sierot nie opuszcza, dopomoże że wyjdę na jurystę przysięgłego, i zostanę rocznym patronem jakiego obywatela, o kapitulacyę się targować nie będę, ale wymówię sobie ordynaryą. Najmę dworeczek na Kamionce, tam przeniosę matkę i siostrzyczki, oddam jéj każdy grosz jaki zarobię, żeby coś zebrała dla córek na wyprawę, a mnie utrzymywała wedle woli swojéj. Mnie niewiele potrzeba; pewnie żadnemu magnatowi nie pozazdroszczę szczęścia.

— Poczciwy Bartek — wykrzyknęli wszyscy, a pan Sylwester: — posłuchaj Bartku, jeszcze chwilkę, a już mój summaryusz będzie gotowy; pójdziesz z nim i z temi dwoma plikami do pani Chaptuszyńskiéj; możesz rachować przynajmniéj na kilkanaście złotych, które tobie odstępuję z całego serca. Ręka rękę myje, a jeżeli wzgardzisz tą przyjacielską przysługą, to niech cię djabli pokąsają.

— Ale nie, mój drogi panie Sylwestrze, strzeż mnie Boże, żebym się twojéj łaski wstydził.

Przez czas krótki milczenie nastąpiło, i każdy zajmował się swoją robotą. Przerwał ją nakoniec pan Romuald Baranowski skarbnikowicz Owrucki.

— Niech Bóg ci tego nie pamięta, panie Bartłomieju, żeś mnie rozczulił w czasie świąt Bachusowych. Podczas zapust co nie śmiech i pustota, to jest grzechem, a mnie z twojéj łaski łzy się zakręciły w oczach. Opowiedz-no nam, panie Sylwestrze, jak téż tam było na wczorajszéj biesiadzie u państwa podsędkowstwa?

— Przedziwnie, przecudownie, gospodarstwo uprzejme, wieczerza obfita, ciasta wyborne, ptasiego mleka tylko nie dostawało; a kobiety ładniejsze jedna od drugiéj. Poważni goście bawili się kielichem, a młodzież w pląsy. Pan Jakób po swojemu dokazywał w mazurze, a w krakowiaku ex abrupto takie wyśpiewywał piosenki, że można powiedziéć, iż był królem biesiady, przynajmniéj wszyscy mu to przyznawali.

— Niczego i waćpanu, panie Sylwestrze; tańcowałeś mazura do upadłego, i dobrze uważałem, jak się zalecałeś pannom.

— Kto wszystkim, ten żadnéj się nie zaleca; tego nie powiem o waćpanu, panie Jakóbie, bo przez cały wieczór tańcowałeś jedynie z JW. Niemierzycówną, naszą podkomorzanką. O krok jéj nie odstąpiłeś, aż do chwili kiedy się mieli rozchodzić; ale prawda że prześli-

czna, bo to oko czarne, pełne ognia, usta jak wiśnie, kibić jak u łani, nóżka zgrabna, a rączka tak biała, tak pulchna, tak drobna, że zaprasza, aby na niéj pocałunek położyć.

— A jaki ognisty w opowiadaniu — wyrwał się pan Szczepan Jurkiewicz, dotąd milczący — jak widzę zakochałeś się, panie Sylwestrze.

— O to także! Dopiéro musiałbym chodzić po głogach i cierniach z panem Jakóbem; albo on pozwoli komu w niéj się kochać? Było widzieć, jak stroił do niéj koperczaki.

— A ona? — zapytał pan Romuald.

— Ona wcale nie była od tego. Owszem, tak wydała się być zajętą naszym panem Jakóbem, że ile razy na chwilę wychodził z sali, zaraz było widać na jéj twarzy jakąś niespokojność. Szczęśliwy z ciebie człowiek, panie Jakóbie, chociaż nie nad twoją wartość, żeś się umiał podobać tak nadobnéj dziewczynie.

— Rada gęba kiedy pan śpi. Czy nie łaska pannę podkomorzankę i mnie najniższego jéj sługę wypuścić z pozwu, a kim innym się zająć?

— A cóż ja mówię przeciwko jéj i twojéj poczciwości? Oboje jesteście wolni, śmiało możecie wzdychać do siebie. Jużci każdy szlachcic niepowołany do stanu duchownego musi się żenić, a lepiéj wcześniéj niż późniéj. A czy to raz pan rejent za stołem się przed nami odezwał, że na nim cięży głupstwo, iż nie dobrał sobie żonki póki pora była? W tém swoich wujów naśladować nie będziesz, panie Jakóbie. Jeszcze trochę poczekawszy, a będziemy cię witać kosmato. A nas, dobrych twoich kolegów, zawsze na twoje rozkazy gotowych, czy do szabli, czy do kielicha, zaprosisz na swoje wesele.

— No i powiedz, panie Sylwestrze, co ci ztąd przyjdzie, że mi dokuczasz? Wiedz że źle o mnie trzymasz, kiedy przypuszczasz że mogę zapomniéć kim jestem, a kim jest pan podkomorzy. Cóż to ja, syn magnata, żebym aspirował do pierwszéj partyi w całym powiecie?

— A dlaczego nie? szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Jabym się nie lękał posunąć do podkomorzanki, gdybym mógł miéć jakąś nadzieję z jéj strony. A cóż dopiéro ty, panie Jakóbie, czoło naszéj młodzieży, a do tego spadkobierca dwóch bogatych a bezdzietnych wujów? Prawda, że panna hoża, wysokiéj krwi, takiéj siedziéć nie dadzą, ale i to niemniejsza prawda, że na szerokim świecie nic lepszego od ciebie jéj zdarzyć się nie może.

— Znam cię, panie Sylwestrze; wiem że kiedy się rozgadasz, nie ma potęgi któraby ci usta stuliła. Gadaj sobie zdrów co ci ślina do gęby przyniesie, ale ja tego słuchać nie chcę i za pozwoleniem pana Rafała odchodzę do mojéj kwatery, i tam skończę remotis arbitris to co mam podać wujowi.

— Czy ty się na mnie rozgniewał, Jakóbie? A toby było grzechem.

— Bynajmniéj, mój Sylwestrze, ale rozmowa bierze tok dla mnie tak niemiły, że za złe wziąść mi nie możesz, iż ani wam nie chcę robić przykrości prośbą, żebyście odmienili dyskurs, ani sobie, żebym się przymuszał słuchać to, czego mi słuchać nie wypada. Zresztą wuj dał mi do wypracowania rzecz bardzo ważną, o któréj wié pan Rafał, i dziś musi być koniecznie wygotowaną. A wy ciągle rozrywacie moją uwagę, kiedy mi ją trzeba jak najwięcéj natężać. Bywajcie więc zdrowi, do obaczyska przy obiedzie!

To rzekłszy, wyszedł z papierami do oficyny, którą omal że nie całą zajmował ze swojemi ludźmi.

Znowu nastąpiło milczenie. Pan Franciszek Łapiński po niejakim czasie tak zagaił:

— Widzę, że nasz Jakób na prawdę się zakochał w podkomorzance; kiedy tak, to ubolewam nad jego losem.

— A to czemu? — przerwał pan Sylwester.

— Temu, że straszny dla niego rywal już jest napięty, ale taki, przed którym placu nie dotrzyma.

— Któż to jest ten rywal?

— O niczém, jak widzę, nie wiecie; pan Mozarowski, rządca dóbr pana podkomorzego; a trzeba wiedziéć, że ma jakieś swojactwo z moim ojcem, mówił mi, że JW. łowczy Litewski, który dotąd ze swoich Toporzyszcz nie wyjeżdżał, przed tygodniem był ze swoim synem na wsi u pana podkomorzego, a ten nazajutrz zrobił mu rewizytę, i był przyjęty z wielką uprzejmością. Coś w tém być musi, a daj Boże, żeby nic złego dla naszego kolegi.

— At! gadasz! Cóż dziwnego, że JW. łowczy domyślił się nakoniec, że mu wypada zrobić grzeczność pierwszemu urzędnikowi powiatu, w którym zamieszkał. Jemu od tego trzeba było zacząć, a lepiéj późno niż nigdy. JW. łowczy wysoki dygnitarz, orderowy pan; w Warszawie może się nadymać przed urzędnikiem powiatowym, ale na prowincyi Princeps Nobilitatis całego powiatu więcéj znaczy, niż dygnitarz, bo więcéj może. Czy my to nie widzieli, jak senatorowie kłaniają się W. Trypolskiemu, naszemu sędziemu ziemskiemu? W Warszawie lada panicz, byle się przyczepił do dworu, daje sobie tony przed szlachcicem; ale na prowincyi rzeczy się mają inaczéj. U nas pan jeżeli coś znaczy, to tylko przez przywiązanie, jakie umiał pozyskać u szlachty. Jeżeli ubogą szlachtę wspiera, obdarza, kieruje, i bogatych miéć będzie po sobie, bo my wszyscy jesteśmy bracią. A w takim razie wszystko od nas otrzyma; ale jeżeli tylko o sobie myśli, to ja pierwszy przed nim czapki nie zdejmę. My przecie żyjemy pod prawem, a nikt mi nie pokaże, ani w statucie Litewskim, ani in Volumi-

nibus Legum, żebym był obowiązany kłaniać się takiemu, którego ani miłuję, ani szacuję, dlatego tylko, że jego antenaci siedzieli w krzesłach i piastowali laski, buławy i pieczęcie.

— A jednak — odpowiedział pan Rafał — panowie u nas robią co się im podoba.

— Ba! ale jacy? tacy, co mają miłość szlachty. Bez nas pan, wiemy o tém dobrze, wysokiego urzędu nie otrzyma, a na djabła mu się przyda pan, który między nami nie utworzył sobie partyi. Dygnitarz i senator nie wyrosł jak grzyb.

Musiał się wprzód pokazać na sejmie jako poseł; a kto posłów wyséła? my. Wszakże i ten JW. łowczy, o którym mówią że nos do góry zadziera, a swoje bogactwa ma tylko dla siebie, musiał się kłaniać szlachcie czerskiéj, żeby mu powierzyła poselstwo; bez tego nie wieleby wskórał u króla, i byłby prostym szlachcicem jak my. Zapewne, kiedy pan nas zobowiąże i łaską i grzecznością, my dla niego w ogień skoczym: dobre za dobre. A czy to my nie chrześcianie, żebyśmy dla naszych dobroczyńców wdzięczności nie dochowywali! Na co daleko szukać? Pan rejent nie pan, zwyczajnie szlachcic, nawet jego ojciec był ekonomem u nieboszczyka kasztelana Kijowskiego, a jednak my jego boimy się, i często znosimy jego chimery, bo jego chleb jemy i pod jego opieką nabywamy możności latania własnemi skrzydłami. Jakoż niejeden z naszych z jego łaski wyszedł na człowieka.

— Wszystko to pięknie powiedziano — na to pan Rafał — jednak nie życzę waszeci narażać się magnatowi.

— Unus nullus — odrzekł pan Sylwester. — Czy pan, czy szlachcic, czy nawet plebejusz, pojedynczo każdego słabszego skrzywdzić może. To się między ludźmi wydarza, i od tego są prawa i urzędy, które je stosują. U nas pan, chociaż potężny, łamie się z prawem, ale nakoniec musi mu uledz; a jeżeli puszcza się na bezprawia i krzywdzi szlachtę, umié ona sobie na to poradzić. A czy to dawno, jak Sapiehowie, że naprzykrzali się szlachcie litewskiéj, od niéj rozsiekanemi zostali pod Olkienikami? Gdybym samopas obraził magnata, a on mi za to kazał wygarbować skórę, może we cztery oczy sambym się przyznał, że w części na to zasłużyłem; jednak i toby mu bezkarnie nie uszło. Jużci gdzie nie ma mężobójstwa, kara śmierci nie może być do winowajcy zastosowaną, a tylko grzywny i wieża. Otóż sami powiedzcie: czy ubogi szlachcic skrzywdzony od magnata miał kiedy odmówioną sprawiedliwość? czy nie doprowadził go zawsze na wieżę? a czy pan, któryby go nie zagodził, mógłby się od niéj wykręcić? bo jużci musi sub pœna infamiæ spełnić dekret, inaczéj jest suspensus ab omni officio. Czy to jeden chudy pachołek na właściciela wioski wyszedł, za to że magnata z poniesionéj od niego krzywdy zakwitował? Niejeden podobny interes przez nasze ręce przeszedł. Ot wie-

cie co? Nasza szlachta ma wielki rozum, chociaż po zagranicach nie peregrynuje, a hreczkę sieje, bo doskonale pojęła swoje położenie w rzeczypospolitéj. Nie zazdrości ona panom krzeseł i dygnitarstw, owszem, sama im do tego dopomaga; ale wara panom od władzy sądowniczéj, tę szlachta przy sobie zatrzymuje, i z rąk nie wypuszcza. Szlachcic pana sądzi zawsze, pan szlachcica nigdy. Pytam się: co wojewoda może zrobić sędziemu ziemskiemu? ale sędzia ziemski dla wojewody jest strasznym, bo go może wyzuć z majątku. A kto u nas tworzy sędziów? magnaci czy szlachta?

— Jak z książki mówi nasz pan Sylwester — wykrzyknęli wszyscy.

Jak się uciszyło, pan Rafał rzekł do pana Sylwestra.

— Cóż konkludujesz z tego panegiryku, coś go dopiéro skończył?

— Co konkluduję? oto, że gdy nasz JW. podkomorzy żadnego nie ma interesu w Warszawie, a więc ani JW. łowczy, ani jego parentela na nic mu się nie przydadzą; ale mu idzie o zachowanie nabytéj wziętości w powiecie. Oprócz córki ma on i syna, któregoby rad promował w obywatelstwie. Mówią, że na przyszłym sejmiku ma go prowadzić na deputata do trybunału. Tu mu pan łowczy nie pomoże ze swojemi dwiema gołemi kreskami, kiedy zechcemy mu szkodzić: ale jeżeli pan Jakób będzie jego zięciem, na trzysta szabel będzie mógł rachować i to lekko. My wszyscy przy nim staniemy, nie tylko my, ale omal że nie cała palestra; dodaj że przy każdym to krewny, to brat, to przyjaciel, to wreszcie ten, co ma sprawy w naszych rękach stanąć musi; a co się nas samych tyczy, trudnoby znaléźć takiego, coby duszą i ciałem nie był przywiązany do pana Jakóba. Mąż tyle roztropny, ile pan podkomorzy, musiał to dobrze wyrachować, i pewnie przekłada zięcia, przez którego rozpościerać będzie swoje wpływy w powiecie, nad takiego którego nikt nie zna. Z czego wszystkiego wnioskuję, że pan Jakób nie ma powodu lękania się iść w kandydacyą małżeńską z panem łowczym, bo go bez najmniejszéj wątpliwości przekréskuje.

— Gadasz, jak niedoświadczony! Czy to się idzie zawsze za głosem rozsądku? czy poduszczenia próżności nie biorą nad nim góry nawet między mężami wzorowéj roztropności? Albo to nie pochlebi dumie starca, mieć córkę synową wysokiego dygnitarza, który na krocie rachuje swoje przychody? Przez to skoligaci się z mitrami i orderami. Wprawdzie Niemierzyce są ze starego gniazda, wysokie urzędy niegdyś piastowali. Kiedyś to od Żytomierza po za Owrucz jechano ciągle Niemierzyczowskiemi dobrami; ale co było a nie jest, nie pisać w regestr. Dziś Niemierzycowie są tylko możną szlachtą; a każdy szlachcic, nawet z takich co to na możnowładztwo najwymowniéj narzekają, woli mieć za zięcia pana, niżeli brata szlachcica.

— Mów sobie co chcesz, panie Rafale, a nie przekonasz mnie, żeby w sprawie zamążpójścia najgłówniejszy autorat nie był przy pannie. A ja dobrze zauważyłem, że panna podkomorzanka kocha naszego Jakóba, i że żadnemu innemu nie odda swojéj ręki.

— At! wola córki jest trzcina, a wola ojca jest wiatr, który ją ugina. Pan podkomorzy zna szacunek dla naszego Jakóba, w zwyczajnym porządku możeby mu córki nie odmówił, i tego nie jestem pewny; ale co wątpliwości nie ulega, niech tylko pan łowczy oświadczy się za synem, panu Jakóbowi zaraz dadzą odprawę. My wszyscy zacni, ale nie wszyscy znaczni.

— A ja tak źle nie trzymam o panu podkomorzym. On jest dobrym ojcem, nigdy córki nie przymusi iść za takiego, który wstręt w jéj duszy ku sobie pobudza. Możeby wolał ją widzieć panią, niż szlachcianką, ale stać się nie może sprawcą nieszczęścia swojego dziecka. A cóż to! czy przez pachołków będzie ją ciągnął do ołtarza? Bo to nadaremno, ona nigdy dobrowolnie nie pójdzie za tego, którego kochać nie może.

— Tarara, że przyjmuje grzeczności gładkiego chłopca i że lubi z nim pląsać, już pan Sylwester widzi w jednéj Leonildę, a w drugim Koloandra; inny świat w książkach, a inny w rzeczywistości. Dziewczynie zachciewa się wielu rzeczy, ale w te serdeczne upały, o których piszą, nie wierzę. Może gdzieś to bywa, ale my żyjemy w Polsce, a u nas zaloty do panny niewiele się przydadzą, jeżeli rodzice albo nawet opiekunowie już mają dla niéj ukartowany projekt. Małżeństwo jest tranzakcyą, która obejść się nie może bez statutu Litewskiego. Rzecz tyle poważna nie opiera się na zachciewaniu młodych głów.

Jeżeli jaki podżyły kawaler posunie się czasem do młodéj panienki, pewnie jéj się nie podoba, ale dlatego rąk nie opuszcza; udaje się do jéj rodziców, a skoro oni osądzą, że to jest z jéj dobrém, jéj nie pytają o zdanie, ale wręcz zapowiadają, żeby uważała siwego pana młodego za przyszłego małżonka. Dziewczyna się rozpłacze, czasem zemdleje; już w to nie wchodzę czy na prawdę, czy at sobie. A jacyby rodzice chimery niedowarzonéj głowy uważali! Ciągną pannę do kobierca, jak cielę na rzeź, ale potém jakoś przywyka do poczciwego męża, i najszczęśliwsze z łaski Pana Boga tworzy się pożycie. Sami powiedzcie, czy u nas inaczéj się dzieje? bo tak być powinno.

— I waszmość to chwalisz?

— A nie inaczéj.

— Nie życzę waszmości z takiemi zasadami zabierać się do stanu małżeńskiego. Zresztą waszmości wolno tak myśléć, bo tak jesteś statecznym w swojém kawalerstwie, że w niém i umrzesz; nigdy nie

widziałem, żebyś się kiedy przybliżył do białogłowy, a cóż dopiéro żebyś się miał jéj zalecać.

— Otóż żebyście wiedzieli, że nim rok upłynie, pożegnam się z mojém kawalerstwem.

— Winszujemy, winszujemy — odezwała się palestra; a pan Franciszek Łapiński dodał:

— A czy się nie dowiemy, jaka szczęśliwa panna, któréj się waszmość zalecasz?

— Otóż jest! Albo ja próżniak, żebym się pannom zalecał? Panu Jakóbowi uchodzi jeść po dwa grzyby w barszczu: i drabować dokumenta i biegać za pannami. Nie każdemu praca przychodzi tak łatwo, a mnie trudniéj niż komu. Wszakże suscepta mi rejent powierzył; a to dopiéro byłby tam groch z kapustą, gdybym się włóczył za dziewczętami.

— Przecież — na to pan Sylwester — waszmość nie jesteś Rabinowiczem, żeby mu rodzice przywozili córki do wyboru. Jużci! jeżeli myślisz o odmianie stanu, musisz szukać takiéj, któraby ci się podobała, a potém przysiedzieć fałdów dla uzyskania jéj wzajemności.

— Nie tak się rzeczy mają; mnie każda panna się podoba, byle była zacna, poczciwa i do rzeczy. Albo ja się ożenię, żeby się cackać z żoną? kto musi pracować na barszcz i obuwie, to mu nie takie bzdurstwa w głowie. Pod koniec kadencyi wykonam przysięgę i pójdę na własny chleb; trzeba będzie myśléć o przytułku i wikcie, a chodząc około cudzych interesów, trudno myśléć o własnych; ale od czegóż żona.

— A więc o nią musisz się starać!

— Jakie tam staranie! Tu omal że nie u każdego urzędnika sądowego jest jakaś panna, bliższa lub dalsza krewna lub na opiece, któréj opiekun nie wyda bez jakiéjś wyprawy i jakich tysiąca złotych na zaprowadzenie nowego gospodarstwa. Cóż! Ja sierota w dorobku; mój ojciec był dyspozytorem w Serbinówce, wsi należącéj do kapituły Żytomierskiéj: a że nie umiał kraść, więc mi z tego niewielka była pociecha, że byłem jedynym jego spadkobiercą. Tyle tylko, że przez wzgląd na jego poczciwość i zasługi, ksiądz Malinowski proboszcz katedralny, kosztem kapituły oddał mię do szkół, a potém do palestry. Otóż, że już jestem w trakcie wyjścia na człowieka, pójdę do niego i powiem mu:—Wielebny ojcze! tobie winienem wszystko, bo bez twojéj łaski mój brzuch byłby czczy, a głowa próżna. Teraz, że jestem pełnoletnim, wybierz mi jaką poczciwą szlachciankę, i ożeń mnie z nią, a wiem że tego mi nie odmówisz.

— I cóż będzie potém?

— A cóż? Ksiądz Malinowski pewnie mnie nie zdradzi, i zrobi wybór, na jaki sambym się nie zdobył. Jest tu kilka panien właśnie

takich, jakich mi potrzeba: w domu pana podstarosty Zytomierskiego jest należąca, toż u państwa pisarstwa ziemskiego, a u pana vicesgerenta Konopackiego są aż dwie krewne, które mają nawet na ewikcyi u pana sędziego ziemskiego Trypolskiego każda po pięć tysięcy. Prawda żem ubogi, bo że kilkaset złotych krwawo zarobionych mam w kuferku, o tém i mówić niewarto; ale ksiądz powie opiekunowi panny, o którą dla mnie się oświadczy, że chociaż jestem chudym pachołkiem, ale bogobojnym, poczciwym, z takich co to żonie przepaść nie dadzą; a wdanie się tak poważnego prałata nie piechotą chodzi. Obaczycie, jak gładko wszystko się ukartuje; może wprzódy, nim następna kadencya nadejdzie. Tyle będę miał kłopotu, żeby zawczasu pomyśléć, gdzie się z żoną wprowadzę od ołtarza, ale chociażbym się i nie żenił, musiałbym myśléć o kwaterze. Nazajutrz po ślubie dla was koledzy sprawię porządną bankę, żebyście moje wesele pamiętali, i choć westchnieniem do Boga przyczynili się do otrzymania Jego błogosławieństwa na nasze stadło. Mam na to odłożonych sto złotych.

— Jasno się tłómaczysz, panie Rafale — na to pan Sylwester; — wiemy, że prałat ugada opiekunów, ale komu dasz plenipotencyą stanąć w twoim aktoracie przed panną?

— Pewnie nie waszeci. Dziwny z waszmości człowiek. Nie ma dnia, w którymbyś kilkanaście razy nie przewracał kartki Volumina Legum i statutu Litewskiego, przytaczasz prawa z pamięci jak pacierz, a jak gdybyś nie wiedział, co tam stoi w konstytucyi pod tytułem: De desponsatione puellarum. Puella sine consensu patris, orphana sine consensu tutoris, nec nolle, nec velle. A co to? rodzice i opiekunowie u nas malowani, żeby nie mieli prawa stanowić o losie dziewki? Matrony bez assystencyi krewnych żadnéj tranzakcyi zawierać nie mogą, a dziewczęta miałyby vocem decisivam w tém, co całkowity ich los ma zabezpieczać, lub psować? A gdzie u nich do tego rozum i doświadczenie? A w coby się obrócił świat, gdyby tym głowom dano wolę?

Tu turkot pojazdu przerwał ich rozmowę. Wszyscy ruszyli się z miejsc do okna, żeby przypatrzéć się nowo przybyłemu gościowi. Ale gdy wysiadał z pojazdu, oparty na ramionach dwóch lokajów, wszyscy poznali znanego im z widzenia Augusta Kierdeja, łowczyca Litewskiego, a już ozdobionego krzyżem Maltańskim na szyi. Pan Rafał, jako zastępujący miejsce gospodarza, wyszedł, żeby szanownego gościa przyjąć na ganku, nie omieszkawszy wziąć z sobą do assystencyi dwóch dependentów, których sam naznaczył.

ROZDZIAŁ IV.

Dumny młodzieniec zmierzył okiem stojącą przed nim szlachtę, trzymającą czapki w rękach w uniżonéj postawie. Potém zawołał:

— Czy jest w domu Bołsunowski?

— Nie ma — odpowiedział z głową pochyloną pan Rafał Świeżawski — ale co chwila go oczekujemy.

— Powiedzże mu waść odemnie, jak powróci, żeby zaraz do mnie przyszedł, i że go u siebie czekam z obiadem. Tylko i to dodaj, żebym nie długo czekał; mam mu do wręczenia list mojego ojca. Nie ma mi po co wchodzić do jego dworku.

To rzekłszy, wskoczył na nowo do swojéj kolasy, i kazał się odwieźć napowrót, nikomu się nie odkłoniwszy.

Pan Rafał ze swojemi dwoma asystentami wrócił do kancellaryi, ale ci co w niéj pozostali, byli przy oknie i na cały ten ustęp patrzyli. A że nic tak nie obraża szlachty, jak wyniosłość możniejszych przed nią okazana, pan Rafał wróciwszy do kancellaryi był powitany powszechném szemraniem młodzieży, że nią dał nauki grzeczności panu łowczycowi, który się nawet mu nie odkłonił. — Co to za grubianin! — odezwał się jeden — a drugi: — Ojciec z zagranicy posprowadzał zawołanych mistrzów, a ci przez tyle lat uczyli go rozmaitych nauk, ale nie nauczyli obcować z ludźmi! — inny: — Z takiém obejściem się pan łowczyc nie daleko z nami zajdzie. — Dość, że każdy coś powiedział przeciwko niemu. Pan Rafał, który był wyrozumiałym na wszystkie wybryki, nie mogące szkody przynieść ani jego kieszeni, ani jego zawodowi, i między wszystkiemi dependentami odznaczał się cierpliwością i umiarkowaniem, usiłował go bronić temi słowy:

— Zmiłujcie się, nie róbcie z komara lwa. On nie jest niegrzeczny z nałogu, ale zwyczajnie nie przywykły chodzić koło interesów, niedoświadczony, a jako dobry syn chcąc polecenie jakie odebrał od ojca spełnić, mogło to go zmięszać, że pana rejenta w domu nie zastał, mógł więc wpaść w roztargnienie, że aż się minął z prawidłami polityki. Nakoniec wiecie co, panowie bracia? Chociażby był i dumnym, jeżeli zresztą ma poczciwe serce, chętnie mu to odpuszczę.

— Otóż właśnie on nie ma poczciwego serca — odezwał się pan Mateusz Kałużyński.

— A cóż ty możesz mieć przeciwko niemu, Mateuszku? — odrzekł pan Rafał.

— Co? a czyście zapomnieli, że on tu był przed nowym rokiem, dla jakiegoś interesu o którym nie wiem. W. rejent zaraz wyprawił umyślnego do pana podczaszego, żeby przyjechał, a sam po uło-

żeniu niektórych papierów i ułatwieniu się w swoim alkierzu, poszedł z atencyą do pana łowczyca, u którego bawił kilka godzin, i tam doczekał się przybycia swojego brata, bo z nim razem powrócił do domu, a powróciwszy rzekł do mnie: — Mateuszku! JW. łowczyc oświadczył mi chęć swoją mienia przez czas swego pobytu w Żytomierzu kogoś z mojéj ręki, żeby był na jego zawołanie. Każdemu, a tém więcéj tobie ubogiemu, trzeba zasługiwać się panom; u nas szlachcic grochowiną, a pan tykiem, około którego się wije; idźże do niego na posługi.—On chciał mi jak najlepiéj uczynić; ja natychmiast poszedłem do kwatery pana łowczyca, i jemu się zameldowałem, kłaniając się jakby przed cudownym obrazem. On ani kiwnął głową, a tak groźnie dawał mi rozkazy, jakbym był jego poddanym. Oprowadziłem go po mieście, a kiedyśmy wrócili, już obiad czekał na niego. On siadł za stołem, mnie do misy nie zaprosił, broń Boże! tylko kazał mi pójść do przedpokoju, gdzie mi z jego stołu lokaj przyniósł co była łaska. Trzy dni trzymał mię przy sobie; co chwila poséłał mnie na miasto z jakimś rozkazem, tak, że parę butów schodziłem na jego posługach, za co nie tylko mi nic nie dał, choćby na obwinienie palca, ale i dobrego słowa nie powiedział. Co to za duma! a jego liberya tak nadęta jak i on sam. Że on wielki pan, czyż on za to ma prawo pomiatać chudym pachołkiem? Wszakże my ludzie i szlachta, jak i pany.

— Dajże pokój Mateuszku — odrzekł pan Rafał — my potulni, bo nie mamy o czém się nadymać. Ty pierwszy, żebyś od urodzenia opływał w dostatkach, a zawsze był otoczony sługami oczekującemi twoich rozkazów, jedném słowem, gdybyś był poczęty i urodzony w państwie, tak byłbyś pyszny, jak wszyscy nasi panowie.

— Otóż z przeproszeniem pańskiém, ja na to się nie zgadzam. U nas nie wszyscy panowie tacy jak pan łowczyc. Przed trzema laty przejeżdżał tędy młody książę Karol Radziwiłł, hetmanowicz Litewski; udawał się na Ukrainę do dóbr swojéj matki, i tu przez kilka dni się zatrzymał. A jaki dwór mu asystował! Byłem wtedy jeszcze w szkołach; książę szkoły tutejsze nawiedził. Radziwiłły większe pany niż Kierdeje, połowa Litwy do nich należy, a reszta ich słucha; a jednak każdemu z nas prawie co powiedział i wesołego, i za serce chwytającego. A że nazajutrz przypadała majowa rekreacya, dla całéj szkoły dał podwieczorek w Krośnie, ale jaki! a on sam, choć potężny magnat, ale prawdziwy szlachcic. Żadnego urodzonego, chociażby obdartego, nie nazywał tylko: panie bracie, albo panie kochanku, i żadnego biednego nie napotkał bez opatrzenia, żeby nikt od niego smutny nie odchodził. Ja sam doświadczyłem jego łaski, bo że widział mnie obdartym, dał mi z czego sprawić sobie opończę. Mówią, że cała Litwa za nim przepada. I cóż dziwnego? Ktoby takiemu

swojego życia pożałował! Ale niech nas Bóg zachowa od takich panów jak pan łowczyc, a jeszcze więcéj JW. podkomorzankę od takiego męża! Jestem charłakiem, a jednak wolałbym chodzić o żebranym chlebie, niż takiemu służyć.

— Pięknie się tłómaczysz, Mateuszku; ale z tém wszystkiém ja zaręczam, że byle JW. łowczy słówko powiedział JW. podkomorzemu za synem swoim, to mu odda córkę z pocałowaniem w rękę.

— Otóż waszmość ciągle swoje a swoje — odezwał się pan Sylwester. — Krzywdę wyrządzasz JW. podkomorzemu, twierdząc, że przemocy użyć się odważy, żeby na przekór jéj skłonności oddać ją temu, którego ani kochać, ani szanować nie może. Ej pfe! słuchać tego nie lubię, żeby dziewczyna z duszą, z sercem, z uczuciami, miała być uważaną od własnego ojca za rzecz, za jakiś towar, mogący być w obieg puszczony.

— Otóż masz! Powiedział co wiedział! Niby ja wymyślił to co się u nas powszechnie z dawien dawna dzieje. Ludzie piszą prawa, ale obyczaje same się tworzą. Ztąd, jakkolwiek jestem czcią przejęty dla naszych praw, że gotów jestem za nie gardłować, obyczaje mam za rzecz jeszcze więcéj świętą niż prawa. A że to, co powiedziałem, jest stosowne do naszych obyczajów, każdy mi to przyzna.

— Pozwól, że w tém musi być wyłączenie dla osób tak ukształconych, jak panna podkomorzanka. Żebyś ją poznał lepiéj, musiałbyś na to się zgodzić.

— Co z innemi, to będzie i z podkomorzanką, jeżeli pan łowczyc o niéj myśli, a to się zgadza z widokami jego ojca. Pan podkomorzy rozważywszy, że miliony rzeczywiste są lepsze niż krocie spodziewane, bez wahania się powié: zgoda. A jeżeli panna podkomorzanka, będzie coś miała przeciw temu, na to uważać nie będzie. Tyle tylko, że jako umiejącéj po francuzku, a już tém samém nie tak cierpliwéj na ofuknienia rodzicielskie, jak nasze szlachcianki po staropolsku wychowane, weźmie się do niéj łagodniéj, ale od swojego nie odstąpi. Nasadzi na nią jéj madam, która ciągle jéj bechtać będzie: że zostanie wielką panią, że dla niéj przyzwoiciéj żyć na wielkim świecie w Warszawie, a nawet jeżeli jéj się podoba za morzami, niż zakopać się w wiosce poleskiéj, między żabami i komarami; że ona nie na to się ukształciła, aby motki rozdawać prządkom, baczyć czy nie zadająją krów, rachować jaja, które się kwoczkom podsadzają i tak daléj, — ale żeby bywać na spacerach, na teatrach, na balach, na asamblach u króla. Wyszydzi nasze poczciwe obyczaje, co się aż nadto chwyci młodéj głowy, a takim sposobem lub inną drogą dojdzie się do mety, stosownie do naszych obyczajów, że ojciec na swojém postawi. Tylko że coś mi się temu nie chce wierzyć, żeby łowczyc o niéj szczerze myślał.

— I daj Boże, żeby o niéj nie myślał — odezwał się pan Mateusz.

Pan Sylwester nic nie mówił, tylko daléj kończył w milczeniu to, co miał wręczyć panu Mateuszowi. Nareszcie skończył i rzekł do ubogiego kolegi:

— Oto summaryusz dokumentów, i opis interesu pani Chaptuszyńskiéj gotowy. Na następną kadencyę śmiało wystąpić może z pozwem po panu Moczulskim; chociaż baba sekutnica, jéj sprawa jak bursztyn, ale nie powiem poczciwa. Tylko co nam w to wchodzić? Statut Litewski za nią jak wół, a to jest dla sędziów sumieniem, bo kiedy prawo gotowe, nikt nie powinien innych praw wymyślać. Jeżeli pan Moczulski sądzić się będzie na następnéj kadencyi, a siebie nie wzda, nie wykręci się od zapłacenia pani Chaptuszyńskiéj trzydziestu tysięcy. Przykro mu będzie drugi raz płacić to, co już jéj zapłacił; ale któż mu winien, że ewikcyonalną summę do rąk jéj odliczył, bez okazania z jéj strony drugiéj ewikcyi? Kto prześlepi okiem, ten dopłaci workiem, drugi raz będzie ostrożniejszym. Ruszaj-że do niéj, Mateuszku, z temi papierami, za pozwoleniem pana Rafała. Pani Chaptuszyńska mieszka na Cudnowskiéj ulicy, w domu Mosza Lejby. Powiedz jéj, żeś odemnie posłany, *sicut alter ego.* Obaczysz, jak będziesz przyjęty.

— Chętnie pozwalam ci wydalić się na parę godzin — rzekł pan Rafał — ale nie zapomnij przybyć na porę obiadową.

Mateusz skłonił się swoim kolegom, a najniżéj panu Rafałowi, jako zwierzchnikowi, i wyszedł na ulicę.

Kiedy odszedł, pan Sylwester odezwał się do pana Rafała.

— Zauważyłem, żeś się z tém dał przed nami słyszéć, że nie wierzysz, żeby pan łowczyc szczerze myślał o pannie podkomorzance. Pozwól waszmość się zapytać, do czego to powiedziałeś?

— Do tego, że wszystkim wiadoma spadkowa duma Kierdejów. Matka łowczyca była księżniczką Sołomerecką z domu, i więcéj niż podwoiła dostatki swojego męża, a jego babka, księżniczka Czetwertyńska, hrabstwo Toporzyskie wniosła w dom Kierdejów. Z okna dopiéro patrząc na to, co się odbywało na ganku, mogliście poznać że młody łowczyc żadnemu ze swoich przodków nie ustąpi w chęci wyniesienia swojego domu, a więc zapragnie miéć żonę równą w znaczeniu i dostatkach matce i babce, ażeby go nie miano za niższego w wartości Kierdeja od ojca i dziada. Bo chociaż nie można zacniejszym się urodzić od Niemierzyców, wszakże oni mitry nad herbem nie noszą, ani prawa mają chodzić w gronostajach, a nadewszystko, że panna nie zamki, nie hrabstwa, ale co najwięcéj parę wiosek-by wniosła. Zresztą pozwolicie mi miéć przekonanie, że podobny projekt miejsca miéć nie może, ile że to mię pociesza, jako przyjaciela pana

— Cóż robić? — na to pan Sylwester. — Każdy z nas chętniéj podzieli zły los przyjaciela, niżby się miał jego zaprzéć.

— Zgadzam się na to z panem Sylwestrem — powtórzyli jeden po drugim każdy dependent.

Na tém się skończyła rozmowa, bo pan rejent pokazał się na progu. Zauważono, że był więcéj zamyślony niż kiedykolwiek. Przezierał pracę swojéj kancellaryi z widoczném roztargnieniem; jakaś niespokojność malowała się na jego twarzy. Od jednego do drugiego dependenta chodził jakby nie swój. Nakoniec powiedział:

— Moi państwo, nic nie ma tak dalece ważnego do roboty w kancellaryi; nie chcę wam kraść zanadto świąt bachusowych, możecie pójść na zabawę. Czyja łaska może obiadek zjeść ze mną, a kto nie chce, może sobie choć całą dobę pohulać; do woli panów to zostawiam.

I opuścił kancellaryą odpowiedzi nie czekając.

Oprócz pana Rafała, który nie chciał korzystać z tego przywileju, co do jednego wszyscy wyszli z dworku, tak, że kiedy przyszła pora obiadowa, chociaż piętnastu przynajmniéj mieliby się czém do zbytku najeść, zasiedli za stołem rejenta tylko on sam, pan Jakób jego siostrzeniec, pan Rafał Świeżawski i pan Bartłomiéj Kałużyński, uradowany, bo od pani Chaptuszyńskiéj dostał trzydzieści złotych, kwotę przenoszącą jego nadzieje. Już on był u swojéj matki, któréj dwadzieścia cztery zostawił, a tylko sześć zachował sobie, a że już wprzódy był przy czterech, więc był pewnym nowych butów, i to mu tak zaprzątnęło głowę, że u stołu na nic i na nikogo nie uważał, tém więcéj, że się dowiedział o uwolnieniu na resztę dnia, daném od rejenta całéj jego kancellaryi. Już mu więc nic w głowie nie było, tylko żeby jak wstaną od stołu polecieć na Kamionkę do matki.

ROZDZIAŁ V.

Nareszcie skończył się obiad. Pan Rafał i pan Bartłomiéj natychmiast wynieśli się z izby: pozostali sami pan rejent z siostrzanem. Ten zabierał się pójść za przykładem kolegów, ale pan rejent zatrzymał go mówiąc:

— Jakóbie, pójdź zemną do alkierza, mam z tobą do pomówienia.

Weszli w alkierz. Rejent usiadł pod oknem w swojém głębokiém krześle, dał znak siostrzanowi, żeby zajął miejsce na blizkim stołku, chrząknął parę razy i tak zagaił:

— Jakóbie, dziś jesteś pełnoletnim, a lubo wedle brzmienia testamentu waścinego rodzica, ja z moim bratem jeszcze blizko roku powinnibyśmy przedłużyć naszą opiekę nad waściną osobą i jego majątkiem, wypadło nam dla przyczyn, o których waści jeszcze nie potrzeba wiedzieć, zrzec się téj opieki i puścić waści na własny chleb. Udasz się jutro do mego brata na wieś, a ten waści wręczy to, co jest jego własnością, alias oblig na stopięćdziesiąt tysięcy na imię waścine, podpisany przez księcia hetmana Radziwiłła, i to co się z procentów téj summy uzbierało w czasie waścinéj małoletności. Kto zaczyna żyć na świecie o swojém, mając około dwóchkroć, taki uskarżać się nie ma prawa na Opatrzność. Nie jestem już w prawie dawać waści rozkazów, ale każda rada moja, jako wuja i byłego opiekuna, winnaby być dla waści rozkazem, jeżeli wdzięczność za nasze trudy i starania poczytujesz być dla ciebie obowiązaniem. A jeżeli nie, zrobisz jak ci się podoba.

— Tę wdzięczność czuję w głębi serca, i w ciągu całego mojego życia będę dawał jéj dowody. Wola wujów dobrodziejów jest dla mnie świętą, i nigdy przed jéj wykonaniem się nie cofnę.

— Tego spodziewałem się po twojém sercu, mój Kubusiu. Otóż ja i mój brat sobie i tobie życzymy, żebyś jak najśpieszniéj opuścił te strony i udał się do Litwy, gdzie w osobie księcia hetmana będziesz miał wsparcie i opiekę na wszelkie niebezpieczeństwa, jakie cię spotkać mogą. Przy tak wielkim panu łatwo wyjdziesz na człowieka, ile że tam nie będziesz miéć na zawadzie nieżyczliwych.

— Czémże miałem nieszczęście narazić się wujom dobrodziejom, że aż mnie oddalacie od siebie?

— Nie, Kubusiu, owszem nam przykro i bardzo przykro rozstawać się z tobą. Jest-to ciężka ofiara, na którą się zdobywamy jedynie dla twojego dobra.

— Nie pojmuję, jakie niebezpieczeństwo mogłoby mi zagrażać w kraju, gdzie za wsparciem wujów dobrodziejów nabyłem i jakieś zasługi, i umiałem pozyskać przyjaciół, na których życzliwość śmiało rachować mogę.

— Mój kochanku, jesteś młodym, a więc zaufanym w sobie. Gdybyś dożył naszych lat, wiedziałbyś, że dziesięciu przyjaciół nie przerobi na dobre, co jeden nieprzyjaciel zrobić może złego, a cóż dopiéro jeżeli ten nieprzyjaciel jest możnym? Ale na co mam taić przed tobą to, o czém wcześniéj czy późniéj musisz się dowiedzieć. Masz przeciwnego sobie JW. łowczego Litewskiego, mojego pana. Wiadomo ci, że mój brat i ja powstaliśmy z jego domu. Nieżyczliwość łowczego lada dzień może wywołać przeciw twojéj osobie jawne z jego strony prześladowanie; pocóż masz się na nie narażać? Zapytuję cię, czy my, twoi wujowie, możemy cię zasłonić od przewagi magnata, którego jesteś-

śmy klientami, a który i ciebie i nas w proch podeptać może? Zapobież, Kubusiu, twojemu, a może i twoich wujów nieszczęściu, wydal się z tych stron pod potężne skrzydło Radziwiłłowskiego domu; — tam tylko znajdziesz tarczę na pociski tych, co czyhać będą na twoją zgubę.

— Prawdziwie, domyślić się nie umiem, czém narazić się mogłem domowi Kierdejów, kiedy nigdy z nim nie miałem żadnych stosunków. Niech wuj dobrodziéj raczy mnie o tém oświecić; jeżeli w czémkolwiek przewiniłem, wszelkiéj poddaję się karze; jeżeli nie, pozwól mi przynajmniéj JMć dobrodziéj usprawiedliwić się przed tym, który czuje się być obrażonym.

— Daj pokój, Kubusiu, i nie martw wuja, który był dla ciebie ojcem. Pozwólmy, że złe usposobienie pana łowczego przeciw tobie jest tylko chimerą pańską, i w takim nawet razie sama roztropność każe unikać jéj skutków. Na tém twoja sława szwanku nie poniesie. Oprócz nas nikt nie wié, ani się dowié, co jest między panem łowczycem a tobą, a z odjazdu twego cóż może świat wnioskować? oto, że musiałeś odjechać do Litwy, bo gdy doczekałeś się pełnoletności, porządek rzeczy wymaga, byś jakiś układ zrobił względem summy, jaką masz u księcia hetmana, a która stanowi cały twój majątek. Wprawdzie wymagamy od ciebie, abyś nie wracał do naszych stron bez naszego upoważnienia, ale ta okoliczność nam jedynie jest wiadoma. Zresztą, kto przewidzieć może, co tobie Bóg przeznacza w przyszłości? Odebrałeś wychowanie przyzwoite, masz rozum otwarty, tak jesteś obeznany z prawem i procedurą, że nie ma jurysty, któremu w potrzebie nie mógłbyś poradzić. Żebyś złamanego halerza nie miał przy duszy, jużbyś umiał dać sobie radę, tém więcéj, kiedy z łaski Opatrzności, a naszém staraniem, masz sowity kawał chleba, jaki i bez trosków mógłbyś pożywać, a cóż dopiéro jeżeli zaskarbisz dla siebie łaskę najpotężniejszego pana w naszéj rzeczypospolitéj! Szczęśliwy u nas ten, któremu się uda wielkiéj klamki trzymać. Bo chociażby i był narażony na nienawiść jakiego przemożnego magnata, czego się może obawiać klient Radziwiłłowskiego domu?

— Moja powinność być we wszystkiém powolnym wujom dobrodziejom. Wszakże chciałbym wiedzieć, czém zasłużyłem na takie poniżenie, żebym aż był zmuszony uciekać z województwa, w którém wychowałem się i wzrosłem, a gdzie umiałem pozyskać przyjaciół życzliwych i jakiś szacunek. Żeby moja przytomność stała się przykrą wujom i dobroczyńcom, do tego stopnia, iż sami wskazują mnie na wygnanie, śmiem przełożyć jegomości, że uczucie własnéj sławy domaga się odemnie, bym się dowiedział, czém na to zasłużyłem. Jako szlachcic pełnoletni, mam do tego wszelkie prawo, a jeżeli prześladowanie mojéj osoby ma być skutkiem czyjéjś chimery, na to jestem spokojny. Gniew bezzasadny bynajmniéj mnie nie przestrasza. Mam

przyjaciół, którzy mnie przy niewinności mojéj nie odstąpią; mam opiekę prawa, a naprzeciwko gwałtu, noszę szablę u boku.

W téj chwili z po za okna alkierza dał się słyszéć początek psalmu:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całém sercem szczerze ufa Jemu,
Śmiele rzec może: Mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.

I na tém pieśń się urwała.

Pan rejent zadrżał pomimowolnie.

— A to bieda — rzekł — przywiodła pod moje okno dziada kościelnego; ktoby powiedział że nas podsłuchał.

— Niech mi przynajmniéj wolno będzie to przyjąć za przyjazną wieszczbę.

— Młodyś, mój kochanku, a więc wszystko na dobre tłómaczysz; posłuchaj mnie starego. Na co daleko szukać przyczyn niechęci domu Kierdejów przeciwko twojéj osobie? Młodemu łowczycowi wpadła w oko nasza podkomorzanka; niepodobieństwo żebyś o tém nie wiedział. Wszakże nie ma domu w Żytomierzu, aby tego nie trąbili, a lubo JW. łowczy radby jeszcze coś świetniejszego wynaléźć dla jedynaka, tak pragnie go widziéć postanowionym, że jego skłonności sprzciwiać się nie będzie. A ja ci przydam pod sekretem, że rzecz już tak dobrze jak ukartowana między obydwoma domami. Przed kilkoma tygodniami byłeś na wsi u JW. podkomorzego, który zawsze był dla ciebie łaskawym. W jego domu spotkałeś się z panem łowczycem; zauważono, żeś postawił się na przeciw niemu sztorcem, jak gdybyś był jego współzalotnikiem do panny. Wiem, że podobnie szalonej myśli do głowy nie przypuścisz, ale pan łowczyc inaczéj to sobie tłómaczyć może, i żalił się przed swoim ojcem, że zawsze ciebie na swojéj drodze spotyka. Pan łowczy z tém się przedemną wymówił; to samo jużby cię skłonić powinno do wydalenia się z tych stron, choćby tylko dla zamknięcia ust gadułom. Co za potrzeba szlachcicowi narażać się na gniew pański? Albo ty dziecko, żebyś nie wiedział czém jest obrażona duma magnata? Ile że w żadnym względzie ani ty dla podkomorzanki, ani podkomorzanka dla ciebie. *Cui bono* nadaremno się wystawiać dla jakichś widzimisię, które w żaden sposób urzeczywistnić się nie dadzą, a cóż dopiéro kiedy jeszcze są inne powody nienawiści, o jakich nie pora tobie wiedziéć? Porzuć to wszystko, ruszaj sobie jak najśpieszniéj na Litwę i nie kładź głowy pod Ewangelią, dopóki jeszcze jest zdrową.

— Niechże jegomość dobrodziéj pozwoli mi się wytłómaczyć. To

prawda, że w domu państwa podkomorstwa spotkałem się z panem łowczycem, ale ani mu drogi zachodziłem, ani względem niego ominąłem się z należną jemu grzecznością. Jakkolwiek okazywał się dla mnie i zimnym i cierpkim, wszystko mimo siebie puściłem; dopiéro kiedy mnie chciał poniżyć uszczypliwym żartem, dałem mu poznać, wszakże bynajmniéj nie przestępując granic umiarkowania, że nie jestem z liczby tych, którychby można bezkarnie upokarzać.

— Otóż postąpiłeś nieroztropnie, bo cię nie bito w ciemię, abyś nie umiał poznać, że jeżeli pan łowczyc bywa u państwa podkomorstwa, to nie bez celu, a że ty podobnego celu miéć nie możesz, więc sama słuszność wymagała abyś ustąpił, a odtąd nawiedzin swoich zaniechał, bo te ani jemu, ani państwu podkomorstwu nie mogą być przyjemne.

— Przyznam się jegomości dobrodziejowi, że będąc szlachcicem niepodległym domowi Kierdejów, ani ubiegającym się o jego łaskę, nie czuję się być w obowiązku odstąpić względem pana łowczyca od téj równości, która mi jest z nim zabezpieczona prawem kardynalném naszéj rzeczypospolitéj.

— I cóż przez to chcesz powiedziéć?

— Oto, że gdybym upatrywał moje szczęście w otrzymaniu ręki panny podkomorzanki, do czego się nie przyznaję, świetność rodu i bogactwa pana łowczyca bynajmniéjby mnie nie odstraszyły od współubiegania się z nim o jéj przyjaźń. Ani jego wiek, ani zasługi nie stawią go w położeniu, by aż miał prawo podobnéj ofiary wymagać.

— Szaleńcze! i tobie emulować z magnatem? A czyś ty oszalał, łowiąc się na literę prawa o równości szlacheckiéj? A cóż ty myślisz? Pan podkomorzy przyjmuje cię z łaskawą uprzejmością, bo ani mu w głowie, abyś mógł oczy podnosić na jego dziecko. Czy ty z po za gór przyjechałeś, żebyś nie wiedział o dumie Niemierzyców? Gdyby panna była podżyła, szpetna, któréjby można powiedziéć: siedź stary grzybie, bo nikt cię już nie zdybie, — i w takim nawet razie twoje do niéj zalecanki przyjęteby były za obrazę. A maż być inaczéj, kiedy wygląda jak pączek róży, a młody magnat, jedyny syn wysokiego dygnitarza, orderowego i milionowego pana, o nią się odzywa? Gdzież rozum? gdzież zdrowy rozsądek? a czy to przelewki dwom domom się narazić? — Mój Kubusiu, ojcowską ci daję radę: wydal się z tych stron jak najśpieszniéj; ani się domyślasz, jakiemi niebezpieczeństwy jesteś otoczony. Gdyby mi było wolno tobie oczy otworzyć... Masz odrzucać moją radę, wolałbyś nóż w mojém sercu utopić.

— Nie odbiegam od uczynienia zadość woli wuja dobrodzieja, ale ubliżyłbym sam sobie, gdybym jak złodziéj uciekał. Pozwól mi jegomość tu zostać do końca zapust; dziewięć dni, i to niewielki wiek, a po

przyjęciu popiołu zaraz opuszczę te strony. Jużci wybrać się trzeba i pożegnać przyjaciół.

— Niechże i tak będzie, chociaż najmniejsza przewłoka napełnia mnie niepokojem. Wierzaj mi, Kubusiu, że kiedy tak cię naglę do odjazdu, muszę mieć do tego ważne pobudki; ale dość o tém, bobym się może z tém wymówił, o czém tobie jeszcze wiedzieć nie trzeba. Kiedy daj Boże by nie na naszą biedę chcesz tu doczekać się końca zapust, dajże mi przynajmniéj rękę, że będziesz unikał JW. Kierdejów ojca i syna, że nawet omijać będziesz te domy, w którychbyś się mógł z niemi spotkać, zaczynając od państwa podkomorstwa.

— Niczém się nie splamiłem, żebym miał przed ludźmi się chować, a źlebym się odpłacił za grzeczność, któréj zawsze doświadczałem ze strony państwa podkomorstwa, gdybym zaprzestał bywać u nich, zwłaszcza wtedy, kiedy może na zawsze rozstanę się z Żytomierzem.

— Mój kochanku, w ich domu odbierasz grzeczności, bo jeszcze do ich uszów nie doszło to, o czém już ludzie mówić zaczynają, a lepiéj samemu odrzec się od najmilszego towarzystwa, niż doczekać, aż dadzą consilium abeundi. Zresztą, nie tyle mnie trwoży co tam ludzkie języki plotą o twoich zalecaniach się pannie podkomorzance; masz z przyrodzenia rozum otwarty, a pewnie nauka prawa i ślęczenie nad statutem Litewskim i dokumentami pacyentów nie zwichnęły go, żebyś nie umiał poznać, że panienka gładka, ale nie dla ciebie, chociażby nawet pan łowczyc nie stał na zawadzie, Ja dlatego odwodzę cię od bywania w tym domu, że tam trudno tobie nie zejść się czy z łowczym, czy z jego synem, czy z obudwoma razem. Mój Boże, aż mrowie przechodzą po mnie, kiedy mi stanie w myśli, że spotkać się możesz z panem łowczym. Co ty sobie wyobrażasz o panu łowczym? Ja szczwany lis, a jego się boję; a ty! wszak on ciebie w proch zetrzéć może, jak się rozdraźni, o co u niego nietrudno. Albo ja go nie znam? W cóż to ty ufasz, biedna sieroto? Zaklinam cię, jako twój przynajmniéj największy przyjaciel, jeżeli coś wyższego za mną nie przemawia, unikaj wszelkiego spotkania z panem łowczym! Nie tylko że ci trzeba omijać domy, w których bywa, ale idąc po mieście patrz przed sobą, a gdy zdala go spostrzeżesz, cofnij się nazad co prędzéj, żeby cię nie widział.

— Rozkazy wuja dobrodzieja będą spełnione, ale sam jegomość dobrodziéj często powtarza, że rozkazać nie sztuka, ale cała rzecz żeby przekonać. Otóż, nie naruszając w niczém winnego mojego posłuszeństwa dla jegomości, proszę najpokorniéj, aby mnie raczył oświecić, w czém JW. łowczy może być dla mnie tak strasznym?

— Gadajże z nim! A czy ty zapomniałeś że nawet w obliczu prawa możesz być zgnębionym? Musisz przecie zastanowić się nad tém, że twoja sprawa o Kulbidę nie tak już utonęła głęboko, żeby jéj nie mo-

żna z pod wody wywindować. A czy to mało miałem kłopotu, aby ją uśpić? Ale ona tylko uśpiona; nie budź biedy, pokąd jeszcze śpi.

— Pod tym względem jestem spokojny. Mój postępek ani jest crimen status, ani krzywdą osobistą wyrządzoną szlachcicowi, żeby ludzie tak wyniośli, jakimi są pan łowczy i syn jego, podjęli się roli delatorów, a narażali się na moją obronę, bo nikomu innemubym jéj nie powierzył. Dopiéro jabym ich w proch obrócił przed publicznością, a wiem że jéj współczucie na wstępie pozyskam.

— Pozwólmy, że oni przez dziesiątą osobę nie zdołają cię zgubić, bo na co mam się z tobą sprzeczać, ale czy ty nie rozumiesz, czém jest gniew i zemsta magnata przywykłego z maleńka, żeby mu się nikt nie sprzeciwiał? Kubusiu, nie ciągnij mnie za język; są rzeczy, o których tobie jeszcze nie pora wiedziéć. Powiem ci tylko, że jesteś otoczony niebezpieczeństwami, że tylko ja i mój brat czuwamy nad tobą. O mój Boże! ty się nie domyślasz, ile masz powodów wdzięczności dla nas, ile nas zdrowia kosztujesz! Na co tu prawo, kiedy i bez niego zemsta i nienawiść w cieniu ukryta mogą cię zaprzepaścić; kiedy miecz zdradziecki, trucizna, kajdany i wszystko, co użyć może ta zemsta, mogą być na ciebie obrócone.

Tu dał się na nowo słyszéć z po za okna już znany śpiew w tych słowach:

Będziesz bezpiecznie po żmijach gniewliwych,
I po padalcach deptał niecierpliwych.

— A to istna sekatura ten żebrak — odezwał się rejent — wyraźnie usiadł pod oknem, żeby się mnie naprzykrzać; muszę się go pozbyć.

Dobył z sakiewki tynfa, otworzył okienko, ale już pod nim żebraka nie było; widać było tylko, jak się oddalał ku wrotom dziedzińca. Rejent zamknął okno, schował tynfa w sakiewkę i odezwał się:

— Przecie ten urwis uwolnił nas od swojego niewczesnego śpiewu.

— Najdroższy wuju dobrodzieju, pozwól mi wierzyć, że to jest głos Boży, zapewniający mnie, abym został bez obawy. Bo już drugi raz ten biedak tak się odezwał do rzeczy, że to bez wyraźnéj woli Pana Boga stać się nie mogło, A więc jestem zupełnie spokojny.

— A to prawdziwie oszaléć trzeba z tym młodzieńcem! Każdą rzecz tłómaczy gwoli swoim zachciewaniom. Wiem, że cię nie przeprę, Kubusiu, ale tego domagam się, abyś jutro przed świtem pojechał do Jarkowicz. Mój brat, a szczególny twój dobrodziéj, będzie może szczęśliwszym odemnie, i zdoła cię zrobić posłusznym głosowi roz-

sądku i prawdziwéj życzliwości, tém więcéj, że ma prawo z tobą otwarciéj mówić. Nieborak pisze do mnie, że czuje się chorym, co mu nie pozwala przybyć jutro do Żytomierza.

— Jakto! mój wuj chory? A czy się godziło zaraz mnie o tém nie zawiadomić? Czy ta niemoc nie jest broń B^że niebezpieczną? Zaraz ruszę do niego!

— Mój kochany, w naszym wieku każda niemoc może być niebezpieczną, ale jeszcze taką nie jest, kiedy mógł do mnie dość długi list napisać. A przy nim jeszcze i drugi, który mnie polecił do wręczenia pewnéj osobie. Baw się dziś poczciwie, bądź i u JW. podkomorzego, kiedy cię zaprosił, a staraj się wszystkim podobać wedle twojego zwyczaju. Z podkomorzanką ostrożnie! o to cię władzą opiekuna napominam. Niech Duch Święty przeważy w tobie zarozumiałość, zwykle towarzyszącą wiekowi młodemu, a jutro z listem moim pośpieszysz do brata.

Jakób ucałował rękę wuja, powtórzył obietnicę, że jego rad usłucha, i dał na to rękę, że jeżeli mu wypadnie być u podkomorstwa, czego nie jest pewny, będzie się kierował roztropnością; że nie tylko uniknie wszelkiéj okazyi narażenia się panu łowczemu i jego synowi, jeżeli tam znajdować się będą, ale nawet po przywitaniu nie zbliży się do panny podkomorzanki, a tylko przystawać będzie z pannami jak najmniéj powabnemi. Tak pożegnawszy wuja, poszedł do swojéj izby, przywołał Artema, wolnego kozaka, którego od kilku miesięcy przyjął był do usług swoich, a który, chociaż przez tak krótki czas mu usługiwał, już był pozyskał jego ufność, i jemu polecił rozporządzenie około swojego wyjazdu do Jarkowicz, a zaraz potém wyszedł na miasto zamyślony, i pokierował swe kroki przez katedralną ulicę ku Kamionce.

Czytelnik już jest uwiadomiony, że rozchodziły się od kilku dni w Żytomierzu wieści, że na jego sercu podkomorzanka głębokie wrażenie napiętnowała, i że ona nawzajem nie była obojętną na zalecania się tak gładkiego kawalera, z czego czyniono rozmaite wnioski o ich przyszłości; ale nikt nie zgadywał, ani się domyślał, co się odbywało w tajnikach jego duszy. Jakób pałał najgwałtowniejszą, a razem najczystszą miłością; nie tą, która próżnością lub niecnemi żądzami karmiona hołduje poziome dusze, ale taką, jaką tylko dusze wzniosłe i szlachetne czuć umieją, a która podnosi umysł, uzacnia serce, usposabia człowieka do czynów wielkich, uzdolniając go do największych poświęceń. Kto nie może czuć prawdziwéj miłości, ten, chociażby posiadał najświetniejsze z innego względu przymioty w zawodzie swoim, przy największém szczęściu nie wzniesie się nigdy nad stopień podrzędny. Miłość, po wierze, jest najpotężniejszą dźwignią czynów wielkich. Wieki średnie są słusznie uznane za erę

bohaterską chrześciańskiego świata, tak dalece że czyny mężów, które w niéj kwitnęły, jakkolwiek rzeczywiste, w naszém zniewieściałém pokoleniu zaczynają uchodzić za bajeczne. Dlaczego? dlatego, ze w tamtych wiekach wiara i miłość były główną sprężyną historycznego, jako i potocznego zawodu. Każdy rycerz miał damę swoich myśli, i dla niéj był zawsze gotów wszystko poświęcić. Miłość przekształcała człowieka w rycerza, rycerza w bohatera, bohatera w olbrzyma, którego zawód rzeczywisty przypomina tych półbogów, jakiemi poezya starożytna otaczała kolebki narodów. Nasz wiek jest mało sposobnym do czynów, bo w nim wiara osłabła, a miłość omal że nie jest zupełnie wygnaną. Jest on wiekiem myśli, a więc jego przedstawicielami nie są bohaterowie ani poeci, ale filozofowie, ludzie jak najmniéj usposobieni do miłości. Miłość jest uczuciem wcale nie racyonalném, i właśnie dlatego do czynów pobudza. Rycerz i poeta mogą być zakochani, a nawet jeżeli niemi nie są, czegoś im nie dostaje, nie są uzupełnieni, ale filozof zakochany byłby istną anomalią.

Jakób nie był filozofem; miał duszę poetyczną, kochał się więc zapamiętale, ale przedmiot jego miłości był wcale inny, niż ten co mu go języki narzucały. Dość obojętnie przyjmował prześladowania kolegów o jego jakby zalecaniach do panny podkomorzanki, bo chociaż lubił z nią rozmawiać i tańczyć, i oddawał sprawiedliwość jéj wdziękom, nie dla niéj biło jego serce. Ale ta obojętność możeby się we wściekłość zamieniła, gdyby jaki jego przyjaciel, a cóż dopiéro obcy, domyślił się o tém, co się w duszy jego odbywało, czyj obraz był w niéj napiętnowany, i z tego powodu odważyłby się jakiś żart ku niemu obrócić.

Przedarł się Jakób przez tłumy powozów i ludzi zalegających ulicę katedralną; niejednego spotkał natręta, który go zniecierpliwił powitaniami i tym napływem czczych wyrazów, które u próżniaków są zawsze na pogotowiu. Nakoniec stanął w Kamionce przed dworkiem, położonym w zatyłku tego przedmieścia, a który był celem jego wycieczki.

ROZDZIAŁ VI.

Ten dworek skromny, jak zwyczajnie dworki szlacheckie na przedmieściach miast prowincyi, niczém od innych się nie odznaczał, a był własnością rodziny miernych dostatków, ale dobréj sławy.

Głową téj rodziny był pan Niekrasa. Tytułowano go panem chorążym, a nikt nie wchodził, w jakiém wojsku otrzymał ten stopień,

tyle tylko o nim wiedzieli, że kiedyś był sługą zgasłego już książęcego domu Sołomereckich, że żył z fundusiku jaki mu zapisała jego pani, nieboszczka łowczyna Kierdejowa, spadkobierczyni tego domu, że był żonaty z jéj niegdyś pokojówką, i że był, jak to mówią, poczciwym i gładkim człowiekiem. Miano go za szlachcica, bo chodził do kościoła i tłómaczył się polskim językiem, a chociaż w mowie swojéj często zarywał ruszczyzny, że to było w zwyczaju między obywatelami Ruskich województw, temu się nikt nie dziwił. Zresztą, że nikomu się nie narażił, o jego szlachectwie nikt nie chciał wątpić. Jego żona była kobieta roztropna, jeszcze pokaźna, chociaż miała córkę na wydaniu, a jako wychowana na wielkim dworze, ukształcona i grzeczna. O szczegółach majątkowych téj rodziny, tyle tylko ludzie wiedzieli, że posiadali dworek na Kamionce, i że pan Niekrasa trzymał w dzierżawie dwie wsie pod Owruczem, należące do opactwa Bazylianów, i że na nich wyrabiał smołę i dziegieć. Sam zajęty gospodarstwem, zwykle mieszkał na wsi; kiedy niekiedy na kilka dni przyjeżdżał do Żytomierza, dla sprzedania swoich leśnych produktów i dla widzenia się z żoną, która dla wychowania córki od kilku lat przepędzała zimę w mieście, bo i ona latem mieszkała na wsi, żeby pomagać mężowi w gospodarstwie.

W rzeczy saméj pan Niekrasa był w najszczęśliwszém położeniu, dla zaskarbienia sobie powszechnéj życzliwości, bo ani był tyle bogaty, żeby aż zawiść pobudzał, ani tyle ubogim, żeby go potrzeba zmuszała stać się komu natrętnym. Zbytnie dostatki i sromotne ubóstwo, te obie kończyny stanu ludzi na tym padole płaczu, zarówną niechęć wzbudzają i wielkich wymagają cnót dla przeciwważenia téj niechęci. Używał téj złotéj mierności, tak zachwalonéj przez Horacego, która ani odstręcza od życia doczesnego, ani téż zbytnie do niego przywiązuje. Każdemu kłaniał się niziuteńko, o nic nikogo nie prosił, ile razy przyjedzie do Żytomierza, od tego zaczyna, że obchodzi domy wszystkich urzędników dla złożenia im attencyi, i na tém poprzestanie, nie szukając z niemi ściślejszych stosunków. Jeżeli kto go nawiedzi, co rzadko kiedy się zdarzało, przyjmuje go na ganku, omal że nie do saméj ziemi przed nim się ugina; wprowadza go do izby, częstuje chociaż nie winem, napojem wedle niego za drogim dla dzierżawcy, ale kilkoletnim miodem, wybornym maliniakiem lub wiśniakiem, urządzonym przez siebie, a o którym mówiono w Żytomierzu, a zwłaszcza w Owruczu. Ci co go nawiedzali, nie mogli się pochwalić, żeby byli z nim w zażyłości, ale każdy oddawał sprawiedliwość uprzejméj gościnności, z jaką się odwdzięczał za łaskawą o nim pamięć. Wszyscy mu byli życzliwi, bo tak był ostrożny w mowie i postępowaniu, że najzłośliwszy język nie mógłby nic krzywdzącego o nim powiedzieć.

Zresztą, jeżeli przy najuniżeńszéj grzeczności zdawał się unikać z ludźmi zbyt poufałych stosunków, i to nawet nie było bez wyłączenia. Żył w przyjaźni z panem rejentem, i miał u niego wielkie zachowanie; całkowite godziny sam na sam z nim rozmawiał, a co dziwniéj jeszcze, brat rejenta, pan podczaszy, powszechnie znany za odludka, który oprócz u brata u nikogo nie bywał, i nikogo u siebie nie przyjmował; tylko dla pana Niekrasy odstępował od prawideł raz na zawsze przez siebie przyjętych. Jak już czytelnikowi wiadomo, co soboty na noc zajeżdżał do pana rejenta, z nim jednym obcował, nikogo oprócz Kubusia do siebie nie przypuszczał, a jednak ile razy pan Niekrasa bawił w Żytomierzu, pan podczaszy w niedzielę po nabożeństwie, gdy wracał do swoich Jarkowicz, zawsze wstępował do jego dworku, i przynajmniéj godzinę z nim sam na sam przepędzał, a nawet często zabierał go z sobą na wieś. A z drugiéj strony dośledzono, że kiedy pan Niekrasa wydalał się ze swojéj dzierżawy do Żytomierza, zawsze nakładał blizko dwóch mil podróży, żeby po drodze wstąpić do pana podczaszego, który go jak najściślejszego przyjaciela, jak rodzonego brata przyjmował i na noc zatrzymywał, co się jemu nie zdarzało nawet z rejentem. Ta uprzejmość tak była niezwykła, że czeladź Jarkowicka od rozumu odchodziła, żeby odgadnąć, na czém się opierały te stosunki między niemi.

Takiemi byli pan Niekrasa i jego małżonka. Zwyczajnie ludzie poczciwi, skromni, na swojéj złotéj mierności poprzestający, nie pnący się do poufałości wielkich panów, ani nawet możnéj szlachty. Dziś mówiliby o nich, jak o osobliwości; dawniéj była to rzecz dość powszechna, bo wielceby błądził ten, coby myślał, że całkowita uboższa szlachta składała się z samych sług i klientów magnackich. Ci tylko, co pragnęli urzędów i znaczenia w narodzie, wstępowali w służebnictwo i klientelą panów; inni, i tych była wielka liczba, mniéj wyniośli w żądzach, mniéj dbali o zaszczyty, w słodkiéj bezzawisłości oddawali się pracy rolniczéj, która ich z rodzinami żywiła.

Tacy, ile razy im się zdarzało powitać możnych, zawsze od nich uprzejmie przyjętemi bywali, właśnie dlatego, że żadnéj ich łaski ani wstawienia się za sobą nie oczekiwali, a tém samém nie wzbudzali zawiści tych co ich otaczali.

Ale w téj rodzinie było coś, co najobojętniejszéj duszy nie mogło nie ściągnąć ku sobie uwagi i uwielbienia. Tym przedmiotem była jedyna córka, którą ją Bóg obdarzył. Helena rozpoczynała wtedy osiemnastą swoją wiosnę; można powiedzieć, iż natura wysila się na ozdobienie przymiotami serca i rozumu tego stworzenia, nie szczędząc tych zewnętrznych ponęt, które jeszcze więcéj niż cnoty przywabiają serca; wzrost, kibić, skład rysów jéj twarzy zbliżały ją do ideału, a wyraz oczów był zachwycający. Téj anielskiéj istoty nie można było

spotkać w towarzystwach żytomierskich, gdyż jéj rodzice do nich nie uczęszczali. Pani Niekrasina nigdzie nie bywała; daleka od szukania dla swojéj Helenki niebezpiecznego współzawodu z córkami możnych obywateli, tam zamieszkałych, trzymała się w ustroniu, by jedynie zająć się jéj wychowaniem. Żyła więc z córką pod strażą obyczajów publicznych, wówczas tak surowych, że niktby się nie odważył wciskać do ich ustroni, ani nawet do nich się zbliżać, żeby choć ukradkiem rzucić wzrokiem na tyle wdzięków. Powaga starszych na wodzy trzymała najburzliwszą młodzież, a najmniejsza obraza niewiasty była uważana za występek, któryby nigdy bezkarnie nie uszedł. Helenka była więc dla młodzieży jakby niebyłą. Tyle tylko, że co ranku można było ją spotkać idącą z matką na nabożeństwo do kościoła katedralnego. Wtedy każdy, czy stary czy młody, który je spotkał, powitał ją i matkę ukłonem pełnym uszanowania, poczém szedł swoją drogą, nie obrażając ich ani przybliżeniem się, ani przesadném wpatrywaniem w skromnéj dziewicy wdzięki. Jednak młodzież i z tych przemijających chwil umiała korzystać, bo dość było raz na nią okiem rzucić, żeby jéj obraz mićć wyryty w duszy. Pogląd na Helenkę trwał jednę chwilę, ale ta chwila była uzupełnioném szczęściem. Cała młodzież szlachecka szła codzień na nabożeństwo, aby spotkać po drodze idącą matkę z córką, i na tę ostatnią spojrzéć; ale wkrótce i to jéj odjęte zostało przez roztropność matki. Bo odkąd codziennie zaczęła się zgromadzać o zwykłéj godzinie, na drodze prowadzącéj od Kamionki do kościoła katedralnego, odtąd pani Niekrasina opuściła kościół katedralny dla bernardyńskiego, a jéj córka pokazywała się tylko z czarnym gazowym welonem, który zakrywał rysy jéj twarzy, i w kościele nie podnosiła go, chyba tylko kiedy przystępowała do tajemnic Pańskich.

Helenka była więc dla wszystkich niedostępną, a jednak szczęśliwy Jakób codziennie prawie część swoich wieczorów u jéj matki przepędzał, był jakby jéj domownikiem i napawał się swobodnie słodkiém obcowaniem z jéj córką. Jakże znalazł dla siebie otwarte wrota domu tak pilnie strzeżonego? Oto dlatego, że nie był dla niego obcym. Państwo Niekrasowie uważali go jako własnego syna. Powiedziałem, że mieli szczególne zachowanie u obudwóch braci Bołsunowskich. To pewna, że obaj starzy kawalerowie, nie mając w domu kobiety, któraby mogła opiekować się chłopczykiem, uprosili ich, żeby Kubusia dzieciństwo wzięli pod swoje skrzydła. Pani Niekrasa chętnie na to zezwoliła, i została dla niego matką, a tak się do niego przywiązała, że własnego syna więcéj miłować nie mogła. Często mawiała, tuląc oboje dzieci do swojego łona:

— Mam syna i córeczkę, czegóż mi więcéj potrzeba?

Oboje kochali się jak brat z siostrą, jeden drugiéj był nieodstę-

pnym towarzyszem. Tak na wsi Poleskiéj przeżyli lata dzieciństwa; pani Niekrasina sama dawała im początkowe nauki. Kubuś łączył do bystrego pojęcia cierpliwość niezmordowaną; o cztery lata starszy od Helenki, wyprzedził ją w przyjęciu pierwiastków naukowych, i te obrócił na korzyść towarzyszki dzieciństwa, bo stał się wielką pomocą dla jéj matki w pierwszém wychowaniu Helenki. Można powiedziéć, że więcéj niż matka wyuczył ją czytać, pisać i rachować. Sam czuł niepohamowany popęd do nauki; było kilkanaście książek w domu, te pożerał, i wkrótce nauczył się ich na pamięć. Późniéj OO. Bazylianie Owruccy, jurysdatorowie pana Niekrasy, uwagę zwróciwszy na zdolności chłopięcia, sami ludzie światli, z księgozbioru klasztornego pożyczali mu książki, które szły jemu na pożytek serca i umysłu.

Tak przeszła pierwsza młodocianość Jakóba. Wioska Poleska, wśród boru położona, była dla niego światem; rodzina państwa Niekrasów ojczyzną; cerkiew wiejska publicznością; obcowanie z przybraną siostrzyczką rozrywką i ukształceniem. Wsi szczęśliwa! drogi pobycie naszych ojców! kto z nas może być nieczułym na twoje powaby? U ciebie natura potokiem wszystkie godziwe rozkosze rozlewa. Drzewa w niéj nie każą sobie płacić za cień i owoce, krówki i pszczółki za mleko i miód, a krew bez kosztu się ożywia balsamiczném powietrzem. Przez wiele to kolei przejść musiał szlachcic polski, nim zezwolił na zamknięcie się w tych nieczystych więzieniach, które miastami nazywamy (*).

Wszakże nie można powiedziéć, żeby pobyt w téj wiosce był zupełnie odosobniony. Ksiądz rektor Bazylianów Owruckich często nawiedzał państwa Niekrasów; nawet opat, u którego ten dom miał wielką łaskę, czasem do nich przyjeżdżał. Dwa lub trzy razy na rok bracia Bołsunowscy, bądź razem, bądź pojedynczo, pokazywali się w tych stronach, żeby przypatrzyć się postępom siostrzana w obyczajach i wzroście. Wielce się niemi pocieszali, tkliwe powtarzali dziękczynienia gospodyni za jéj starania, i zawsze sowite gościńce przywo-

(*) Tu pozwolim sobie zrobić jedną uwagę. Im więcéj ludzie odstępują od prawości, tém większą czują potrzebę skupiać się. Nie miłują bliźnich, a jednak bez ich towarzystwa obejść się nie mogą. — Cnota przeciwnie lubi osamotnienie, bo sama sobie wystarcza, ale zawsze jest gotowa do przyniesienia wsparcia i opieki tym, którzy po to do niéj kołaczą. Ona lubi pola, lasy, rolnictwo, a gwałt poniekąd sobie czyni, jeżeli się wskazuje na pobyt w mieście. Ten zadziwiający wzrost ludności miejskiéj, który od niejakiego czasu spostrzegamy w całéj Europie, wcale nie przemawia za jéj stanem moralnym, ani to mniemanie już wchodzące praktycznie w obyczaj, że przemysł ma wyższość nad rolnictwem. A jednak to pewna, że obywatel pilnujący roli zawsze będzie pożyteczniejszym urzędnikiem, niż człowiek na przemyśle hodowany, lub łokciem i miarką wzbogacony. Najstraszniejsza rzecz, kiedy urząd już nie jest ciężarem, ale korzystnym przemysłem.

zili Kubusiowi, który je podzielał z drogą siostrzyczką. Jakże im było nie kochać chłopczyka zdrowego, urodziwego, a do tego odznaczającego się i dowcipem i pilnością?

Bywał kiedy niekiedy w Hordiówce (tak się nazywała dzierżawa państwa Niekrasów), jednak jeszcze rzadziéj niż wujowie, inny gość, ale dłużéj przesiadywał, bo zawsze przynajmniéj całkowity tydzień w każdych nawiedzinach zabawił. Z początku dzieci go się obawiały, bo był małomówny, ponury i zawsze bez świadków rozmawiał z panem Niekrasą, tak, że nawet żona do ich konferencyj rzadko kiedy przypuszczaną bywała.

Dzieci, przed których wzrokiem nic się nie utai, to zauważyły niemniéj, że w czasie pobytu tego tajemniczego gościa w Hordiówce jacyś nieznajomi przyjeżdżali, jakby umyślnie dla niego: mawiali do niego z oznakami wielkiego uszanowania, a on do nich jakby do podwładnych, i wkrótce ich odprawiał; ale z drugiéj strony, że zawsze im przywoził jabłka i gruszki osobliwsze, jakich ani w Owruczu, ani nawet w Żytomierzu nie widziano, że państwo Niekrasowie nie tylko z uprzejmością, ale nawet z czułością go witali, toż samo kiedy się z nim rozstawali, co zawsze w nocy następowało, więc z nim się oswoili tak dalece, że nawet jego przybycia wyglądali. I to nie uszło uwagi Kubusia, że często, kiedy sam na sam zostawał z nieznajomym, ten go brał na swoje ręce, podnosił go jak piórko, chociaż chłopczyk był niedrobny na swój wiek, przyciskał go do swojego łona, i całując go, zraszał łzami jego twarzyczkę; a potém, jakby się wstydził swojéj rzewności, raptem puszczał go i uciekał jak najśpiészniéj. A że dziecko umie poznać tych co go miłują, wkrótce chłopiec nawzajem go polubił, pomimo blizn i zmarszczków jego ogorzałego oblicza.

Kiedy Kubuś kończył rok jedenasty, a Helenka zaczynała siódmy, oboje doświadczyli niemałego zmartwienia. Jednego dnia obaj wujowie przyjechali razem do Hordiówki, a po zwykłych powitaniach wzięli się do wybadania chłopca z tego co umiał, i niemałe okazali zadowolenie. W saméj rzeczy Kubuś znał doskonale cztery reguły arytmetyki, umiał na pamięć katechizm soboru Trydenckiego, historyą ludu niegdyś Bożego, i był obeznany z historyą swojego narodu, w dziwnym sposobie jak dla dziecka. Do tego tłómaczył się z łatwością w języku polskim i ruskim (*), a nadewszystko okazywał

(*) Wyjąwszy Rusi Czerwonéj, która przyszła pod panowanie domu austryackiego, a która od czasów Kazimierza Wielkiego była wcielona do Polski, wszystkie części Rusi, tak Koronnéj jako i Litewskiéj, zachowywały narodowość i obyczajowość swoją własną, do któréj szlachta polska i litewska w nich osiadła musiała się stosować. Panowie i szlachta aż do ostatnich czasów z upodobaniem mięszali

4*

wielki pochop do prawnictwa, tak że nad statutem Litewskim całkowite godziny przesiadywał; rzecz bezprzykładna w dziecku.

Po skończonym egzaminie rejent i podczaszy spojrzeli na siebie i jeden do drugiego odezwał się: — A co panie bracie? rozum chłopca rozwija się jak z kłębka, brak mu tylko łaciny. Gdyby z nią był obeznany, lubo jeszcze smarkacz, choć dziś możnaby go oddać do palestry. To darmo, szlachcicowi łacina tak potrzebna jak szabla. Nic nam nie pozostanie, jak tylko jeszcze raz podziękować państwu chorążostwu za ich starania około chłopca, nim sam pozna, ile im winien wdzięczności, i zabrać go z sobą, a potém zaraz ulokować w konwikcie OO. Jezuitów.

Jak Kubuś to usłyszał, zbladł; odwaga tak go opuściła, że co mu się nigdy dotąd nie zdarzało, rozbeczał się jak niemowlę. I Helenka się rozpłakała, nawet pani chorążyna ukradkiem łzę otarła. Trwało czas jakiś milczenie, bo jest to w naturze ludzkiéj, że każdy żal, nawet dziecka, wzbudza jakieś pomimowolne uszanowanie. Nakoniec przerwał je pan rejent temi słowy:

— Widzę, że bardzo musiało tu być dobrze Kubusiowi, kiedy ztąd nie chce odjeżdżać. Wiem, że nie nauka go straszy, bo jego postępy aż nadto przekonywają, że ją miłuje. Żal jego i te łzy zaszczyt mu przynoszą, bo mają szlachetne powody, gdyż je wyciskają wdzięczność i przywiązanie, jakie czuje dla państwa. Otrzyj łzy twoje, chłopcze; już my się umówili z państwem, że wakacye będziesz w ich szanownym domu przepędzał. Toż i święta Bożego Narodzenia, i Wielkanoc, a wiem, że jak do twoich dobrodziejów przyjedziesz, pokażesz im, żeś w szkołach nie zapomniał tego, czegoś się w ich domu nauczył. Podziękujże państwu za ich łaskę, prosząc o jéj przedłużenie, na co przy pomocy Boskiéj zasłużysz, i wybieraj się z nami do podróży.

Wkrótce nastąpiła scena aż nadto rzewna przy pożegnaniu, a téj Helenka znieść nie mogła i uciekła zapłakana do piekarni, gdzie z okna wyglądała, jak się oddalała bryka, która braciszka zabrała.

Taka to była pierwsza wielka zgryzota, jakiéj doświadczył Kubuś opuszczając dom, który był dla niego rodzicielskim. Im więcéj się od

---

wyrazy ruskie w mowie polskiéj, co nawet dziś w części zachowuje się między obywatelami tamecznych stron. Dopiéro pod koniec XVII stulecia mowa polska zaczęła się rozprzestrzeniać między szlachtą ruskich prowincyj. Jeszcze za Jana Sobieskiego wszystkie prawne czynności odbywały się w języku ruskim, wszystkie akta przed 1700 rokiem są zapisane bukwami cerkiewnemi. W obecnych czasach element ruski świetnie się objawił w naszéj literaturze. Padura, herbowy szlachcic polski, swoje przecudowne piosnki w języku ruskim utworzył; piosnki, które nasza szlachta na Rusi na pamięć umié. Bogdan, Czajkowski, są to Rusini, którzy po polsku piszą, toż i Grabowski. A znakomitość tych wielkich pisarzy szczególnie się opiéra na zachowaniu żywiołu ich narodowości odrębnéj.

niego oddalał, tém więcéj żal mu serce ściskał, i potrzebował przypominać sobie, że za kilkanaście tygodni powróci do drogiéj Helenki i jéj rodziców z opłatkiem. Nakoniec nadzieja przemogła w nim uczucia żalu, i już na pierwszym popasie przynajmniéj powierzchownie zdawał się być uspokojonym, a na noclegu okazał się nawet wesołym; kiedy niekiedy tylko głębokie westchnienie wydobywało się z jego piersi.

Wiek dziecinny jest poezyą życia, i dlatego radzi jesteśmy przynajmniéj myślą do niego powracać. Szczęśliwy, komu się ona przedłużyła; szczęśliwszy, kto swój żywot skończył, nim został odczarowany doświadczeniem i stosunkami z ludźmi w téj pielgrzymce, któréj chwile są tak długie, pokąd nie upłyną, a tak się wydają krótkiemi, kiedy już zostały pochłonięte w przeszłości. Dawniéj drogi, przez które człowiek przechodzić musi, póki nie dojdzie tam, gdzie się zaczynają tajemnice wieczności, były mniéj cierniste, gdyż ludzie byli lepsi, bo sobkowstwo jeszcze nie było obyczajem, ale było uważane jako przewinienie przeciwko społeczeństwu, i pilnie się ukrywało, żeby jego gniewu nie wywołać; bo namiętności, jakkolwiek burzliwe, nie były podłe, jak w dzisiejszém znikczemniałém pokoleniu, które płynie po falach świata bez igły magnesowéj. Dawniéj wyskoki burzliwych namiętności były przeciwważone przez nadzwyczajne cnoty, o jakich wyobrażenia nie mamy. Prawdziwie litować się trzeba nad naszém pokoleniem. Łaknie korzyści ziemskich, niewiele dbając o dobra moralne, a tych korzyści otrzymać nie może. Wyjąwszy ledwo spostrzeżonéj mniejszości wybranych, wszyscy cierpią niedostatek, bo tego nie chcą rozumiéć, że tylko dobra moralne zapewnić zdołają stateczne korzyści materyalne. Zostawmy na stronie żebraków ulicznych, którzy bynajmniéj nie składają najnędzniejszéj części społeczeństwa. Im się nie marzą bogactwa, a tylko myślą, żeby miéć dzienną strawę i jakiekolwiek pokrycie, i te mają, bo żaden z nich nie jest ani nagi, ani głodny. Ale patrzmy na tych prawdziwych nędzarzy, których spotykamy nawet wśród biesiad. Ciągle myślą to o bogatém ożenieniu, to o posadzie hojnie uposażonéj, a téj odzieży która ich nędzę pokrywa nie mogą nazwać swoją własnością, bo jeszcze nie jest opłaconą, nie wiedzą czém się jutro posilą, a mają wszystkie nałogi, wszystkie potrzeby bogaczów.

I czegóż można oczekiwać z szerzeniem się podobnego pokolenia? Ci ludzie rozprawiają o prawach człowieka, ale o jego powinnościach wiedziéć nie chcą. A jednak jest rzeczą oczywistą, że kto dopełnia powinności człowieka, takiemu prawa człowieka nigdy nie będą zaprzeczone, i że kto żyje po chrześciańsku, temu nigdy zbywać nie będzie na rzeczywistych potrzebach życia. Szukajcie królestwa Bożego,

a resztę będziecie mieli w naddatku, powiedział ten, który nikogo nie zawiódł.

Dawniéj wychowanie na tém się zasadzało, żeby wzniecać od małych lat uczucie powinności, Lex jubet, non disputat, było przysłowiem przez dzieci nawet powtarzaném. Nikt nie myślał wyłamać się z tego ciężkiego prawa, które nas wszystkich wskazuje na przeciwności losu, gdyż to jest warunkiem koniecznym życia społeczeńskiego; ale starano się na dobry użytek go obrócić wprawieniem się do cierpliwości i ufności w Bogu. Skoro człowiek miłujący Boga korzy się przed jego karzącą dłonią, aż do przyzwolenia na przykrości jakich doświadcza, już one są blizkiemi końca. Zwykle nieszczęścia na nas spadające są opłatą za nasze przewinienia, oczyszczeniem duszy z rdzy grzechów, i pod tym względem, o ile słabość przyrodzenia naszego na to się zdobyć może, w obliczu rozumu oświeconego wiarą powinny być uważane za zbawienne, a często więcéj dla nas korzystne, niż uśmiechy pomyślności.

Oddano tedy już mężnie znoszącego swój smutek Kubusia do konwiktu, dla rozpoczęcia szkolnego zawodu. Tęskno mu było za Polesiem a zwłaszcza za Helenką, ale to go nie odrywało bynajmniéj od nauki; było owszem dla niego bodźcem do odznaczenia się między rówiennikami pilnością i pracą, żeby dowieść pani chorążynie, jak się doczekają Bożego Narodzenia, że czasu w szkołach nie skwasił. Wprawdzie z początku miesiące, potém tygodnie, a na końcu dnie, omal że nie godziny, które go przedzielały od świąt stary rok kończących, rachował. Ale wtedy tylko, kiedy dzwonek dawał hasło, że już praca ma być przerwana, a rozrywki rozpoczęte, bo póki siedział na ławie, tylko książką i nauką od profesora daną się zajmował. Podczas rekreacyi nie zaniedbywał on i tych ćwiczeń innego rodzaju, które Jezuici byli zaprowadzili w swoich szkołach, a któremi rozwijały się siła, zdrowie i męztwo młodzi im powierzonéj, gdyż wychowanie wyłącznie zajmujące się kształceniem umysłu, a niebaczące troskliwie nad uprawą fizyczności młodzieńca, zawsze będzie niedostateczne.

Kubuś i jedno i drugie wychowanie zarówno przyjmował. Ledwo kwartał przebył w szkole, a już był niepoślednim w zasłonieniu się palcatem od pocisku, w nacieraniu na przeciwnika, w drapaniu się na niebotyczne lipy ogrodu jezuickiego, w szturmowaniu lub obronie twierdz szkolnych kulami ze śniegu, tak że można było rokować, iż kiedyś zajmie zaszczytne miejsce w tém pokoleniu wytrwałém i waleczném, od jakiego teraźniejsze zniewieściałością swoją tak się oddaliło, że gdyby przodkowie z martwych powstać mogli, własnéj krwi swojéj nie poznaliby i od niéj odwróciliby się z pogardą.

Doczekał się nakoniec nasz młody bohater świąt. Stosownie do

obietnicy wujów, sanki odkryte, parokonne, zajechały na dziedziniec klasztorny, żeby go zawiéźć w ulubione Polesie. Pościel i zawiniątko w tłómoczku podłożyli pod siedzenie, dobrze je pokrywszy sianem. Panicz jak najśpieszniéj pożegnał ojca regensa, i skoczył w sanie jakby z procy. Woźnica zaciął konie biczem; wyruszyli. Trzeba było cokolwiek nałożyć drogi, żeby nie ominąć Jarkowicz, gdzie chłopca oczekiwał wujaszek podczaszy z pierwszym noclegiem. Tam drogi opiekun sierotę napieścił, bo był z nim bez świadków, opatrzył Kubusia porządną cielęcą pieczenią, kilkoma tynfami, rozmaitemi dziecinnemi zabawkami, żeby nie stawił się przed Helenką z gołemi rękoma, swojém błogosławieństwem, i przed świtem wyprawił nazajutrz w dalszą podróż, wręczywszy mu do rąk pismo do pana chorążego.

Z jakiém biciem serca odbywał tę podróż, pojmie każdy, kto myślą się cofnie do szczęśliwéj pory swojego dzieciństwa, tyloma przygodami od jego teraźniejszości przegrodzonéj. Konie nadto powolne były gwoli jego niecierpliwości; zdawało mu się czasem, że się nie przybliża, ale owszem oddala od celu podróży, że do niego nigdy nie trafi. Przed każdą karczemką, a po drodze kogo tylko spotkał, zapytywał, ile ztąd do Hordiówki? Ciągle się ruszał na saniach, a w czasie jednego noclegu, który mu przypadał między Jarkowiczami a Hordiówką, oka nie zmrużył, i nie dozwolił spoczynku staremu kredencerzowi pana rejenta, który mu asystował w podróży, tak że ten niejednokrotnie go ofuknął, bo już z nim rady dać sobie nie umiał.

Ale jakaż to była radość, kiedy przed jego wzrokiem potrójne zielone wieżyce cerkwi Hordiowieckiéj z po nad boru rysować się zaczęły na widnokresie, a cóż dopiéro kiedy już wjeżdżali na dziedziniec dworu! Pana chorążego nie było w domu, bo dnia wczorajszego był wyjechał do Owrucza, żeby opatowi zapłacić tenutę dzierżawy; ale co chwila był oczekiwany z powrotem, tak że kiedy sanie zajechały przed ganek, pani chorążyna z Helenką wybiegły, żeby powitać małżonka i ojca. Nie on to był, a jednak ich zawiedzenie się nie musiało być dla nich przykre, kiedy Kubuś z szybkością błyskawicy wyskoczył z sanek, rzucił się do nóg chorążyny, a zaraz potém chwycił w swoje objęcia kochaną siostrzyczkę, która z wielkiéj radości się rozpłakała. Pani chorążyna go przycisnęła do swego łona, znalazła go znacznie na tak krótki czas podrosłym, i nie mogła dość z nim się napieścić. A ile było zapytań, ile zaleceń, żeby stary kredencerz, woźnica i konie miały wszelkie wygody! Sama wyniosła dla małego pocztu Kubusia flaszkę starki poleskiéj i duży kawał słoniny wędzonéj, żeby miał czém się uradować. Słudzy i sanie z darem gościnności udali się do stajni, a ktoś z czeladki domowéj zabrał tłómoczek i zaniósł go do izby obok sypialnego pokoju gospodarstwa, gdzie pani chorążyna naznaczyła mieszkanie gościowi, bo już usługa jego miała być domową, ile że

kredencerz miał zalecenie zostawić panicza na opiekę państwa Niekrasów i jak najśpieszniéj wracać do Żytomierza.

W parę godzin potém, kiedy jeszcze chorążyna i Helenka nie miały dość czasu nacieszyć się Kubusiem, a on kolejno od matki do córki, od córki do matki biegał, nadjechał i pan chorąży. Żona i córka wybiegły na ganek, a z niemi i Kubuś. Chorąży przyjął go z czułością, ale razem z powagą ojcowską, a kiedy ten oddał mu list pana podczaszego, odtąd przez resztę dnia więcéj był zajęty jego odczytywaniem, niżeli przybyciem swojego małego gościa: ale to nawet uwagi Kubusia nie zwróciło. Był z Helenką, rozkładał przed nią zabawki, opowiadał jéj rozmaite swoje szkolne przygody, uczył ją konjugacyi łacińskiéj: *amo*, *amas*, żądał nawzajem żeby mu zdała liczbę z tego wszystkiego, co się jéj zdarzyło od czasu ich rozstania. Czegoż mu więcéj było potrzeba?

Wszystko to dla nich było dobre: zabawy wiejskie, przypatrywanie się zatrudnieniom zimowego gospodarstwa, poryk krów dojnych, mający swoją harmonię, obcowanie niczém nie zachmurzone tych młodocianych istot. Ale jakież szczęście na tym padole płaczu może być stateczne? Rzeczywiście wakacye Bożego Narodzenia nie trwały nad dni dziesięć. Już czwartego dnia ta myśl, że zbliża się pora odjazdu dla Kubusia, zaczynała ich trapić; to utrapienie rosło z każdym dniem. Odtąd życząc sobie dobréj nocy, zawsze przydawali zasmucające wyrazy: już tylko pięć, cztery, trzy, dwa dni będziemy z sobą, — aż nakoniec doczekali się złowieszczego przybycia starego kredencerza. Wtedy wieczorem, życząc sobie spokojnéj nocy, dodali: jutro już będzie po wszystkiém, i to wyrzekłszy, jeden i druga z oczyma wilgotnemi, udali się do wczasu.

Nadszedł dzień jutrzejszy; ostatnie śniadanie połączyło ich wszystkich około jednego stołu. Helenka miała powieki poczerwieniałe. Kubuś mężniejszy, jak mógł przytłumiał powierzchowne oznaki swojego frasunku; tyle tylko, że nie jadł. Pani chorążyna wstała od stołu, poszła do alkierza, z niego wyniosła pudełko łubiane, naładowane garnkiem świeżego masła, bryndzą owczą, sucharkami, bułeczkami, tłuczeńcami, pierniczkami, makiem i orzechami smażonemi w miodzie. Przyszedł nakoniec kredencerz z oświadczeniem, że już sanie gotowe i czekają na panicza.

Tu męztwo opuściło chłopca; gorzko zapłakał żegnając się z gospodarzem, a co to było, kiedy mu przyszło rozstawać się z Helenką? Ale kredencerz, zimny jak kruszcowe naczynia jego pieczy poruczone, bez ceremonii wziął go za rękę i wyprowadził. Tyle tylko, że mu powiedział:

— Panie Jakóbie, jak Bóg da nam doczekać Wielkiéjnocy, znowu tu przyjedziem.

Cóż na to poradzić? Kubuś tyle miał przytomności, że swoje kilka tynfów oddał czeladzi dworskiéj. Zalany łzami, nic przed sobą nie widział, i w pół martwego posadzili na sanie.

Podobnym trybem szły i wakacye nieco dłuższe świąt Wielkanocnych; cała różnica, że natura więcéj się uśmiechała. Ale co téż to było za szczęście, kiedy się zbliżał tak oczekiwany przez uczniów święty Piotr! Przez osiem tygodni Kubuś się nie rozłączał z siostrzyczką. Powaby pory roku łączyły się z uczuciami ich serc, żeby dla nich wioskę Poleską przekształcić w prawdziwy Eden.

Razem zwykle zbierali grzyby i jagody, szukali młodych ptasząt w ich gniazdeczkach, lub po niwach zbierali bławatki, z których Helenka układała równianki. Wracali do domu aż późnym wieczorem ze zdobyczą, a pani chorążyna zawsze podzielała ich zabawy, żeby ani chwili ich nie spuszczać z macierzyńskiego oka.

W takich kolejach trzy lata upłynęły, w których i te miłe dzieci i ich wzajemne przywiązanie rosły pospołu. Czwartego, nowe szczęście dla nich zabłysło. Pani chorążyna przeniosła się na zimę do Żytomierza, żeby córkę wyuczyć muzyki, do któréj od dzieciństwa pokazywała skłonność i zdolność. Co można było przeciwko temu powiedzićć? Państwo chorążostwo mieli swój własny dworek na Kamionce; ich dzierżawa nie tyle była od niego oddaloną, żeby z niéj nie można było dowozić wiktuałów, a więc to przeniesienie się do miasta bardzo mało powiększyć mogło ich wydatki.

Odtąd Kubuś w każdą niedzielę cały dzień, a w każdy czwartek całe popołudnie bawił u pani chorążyny, i mógł patrzéć na Helenkę. Z wiekiem ich wzajemna skłonność coraz głębsze wpuszczała korzenie w ich sercach. A przy niéj i ta roztropność tajemnicza, która w pewnych obrębach zawsze towarzyszy pierwotnéj miłości. Kubuś jeszcze niezupełnie był wyszedł z dzieciństwa; jeszcze przed sobą nie mógłby zdać liczby ze swojego uczucia, a już przed innemi umiał je ukrywać z troskliwą trafnością, jakiéj większéj najdłuższe doświadczenie daćby nie mogło. Nie tylko że jego nauczyciele, ani wujowie, ale nawet żaden z jego kolegów szkolnych, pomimo przenikliwości, jaką w niektórych rzeczach okazują wyrostki, domyślać się nie mógł tego, co się w jego sercu działo. Wiadomo im było, że często bywał w dworku państwa Niekrasów, że tam przepędzał rekreacye, ale cóżby z tego wnioskować mogli? Któremuż z nich były tajne stosunki, jakie łączyły dom państwa chorążostwa z jego wujami; że jego dzieciństwo, że tak powiem, na kolanach pani Niekrasiny wychowane było; że wujowie upoważnili jego nauczycieli, by mu dozwolili przebywać chwile wolne od szkolnych zatrudnień w jéj domu, tém więcéj, że ile razy ją wspomniał, nazywał ją ciocią. Nakoniec przypisywali tę skwapliwość, z jaką biegł do niéj, kiedy mu to pozwolone było, obowiązkom

wdzięczności, które u nas zwykle w dojrzalszym wieku bywają stargane, ale w dziecinnym są zawsze silnie uczuwane.

Zresztą w owym czasie dzieci najbystrzejszego nawet dowcipu zawsze były dziećmi. I to ich dzieciństwo tryb wychowania ówczesnego przedłużał. Jeszcze tak często dziś powtarzane zjawisko filozofków z mlecznemi zębami nie było znane; jeszcze myślami swemi dzieci nie umiały przekraczać szranek samą naturą określonych dla ich wieku. W domu rodzicielskim, w szkole przez zakonników trzymanéj, była surowość obyczajów, trzeźwość mowy i ostra karność, nie dopuszczająca młokosowi myśli, zwracać ku przedmiotom jemu obcym. Obcowanie starszego wiekiem z młodzieńcem, nawet potoczne, zawsze miało powagę zwierzchnika z podwładnym. Najmniejszéj poufałości między niemi być nie mogło; ztąd często uczeń pod wąsem, a nawet palestrant, wyobrażenia nie miał o stosunkach możebnych jednéj z płci z drugą, a tém samém myśli do tego nie mógł zwracać, bo zkądże o témby się dowiedział?

I tak koledzy Jakóba, świadomi że nawiedzał dworek na Kamionce, mało dla innych dostępny, zazdrościli mu pierników i innych łakoci, które często ztamtąd wynosił, a im samym z nich robił udział; ich myśl daléj nie sięgała. Zresztą, dzieci z sobą niewiele bawiły się rozmową. W chwilach wolnych od nauki, któréj powolne metody nie dopuszczały umysłowi niszczyć równowagi, jaką winien miéć z wiekiem i siłą ciała młodocianego, zajęci byli piłką, palantem, swawolą szkolną, a nie tém, żeby myśli swoje objawiać w rozmowie. Czuli, bo to im było ciągle powtarzane, że kto jeszcze nie ma nic do powiedzenia, z czegoby inni korzystać mogli, takiemu milczenie przystoi. Stary miałby za ubliżenie sobie, gdyby się wdał w ścisłą rozmowę z młodzieńcem. Ten, nawet po skończeniu szkół, przysłuchiwał się rozmowie starszych, odzywając się tylko wtedy, kiedy był o co zapytany; ale przez głowę mu nie przeszło, popisywać się przed niemi ani swoim rozumem, ani wiadomościami, ani nowinami. I tego starzyby nie ścierpieli; co wszystko naszemu dawnemu społeczeństwu nadawało piętno niewypowiedzianéj zacności i godności.

W ostatnich dwóch leciech szkolnego bytu Jakóba, nierównię krótsza niż wprzódy była przerwa w jego stosunkach z domem państwa Niekrasów. Pani Niekrasina, jako się wyżéj powiedziało, zimowała w mieście; dopiéro w pierwszych dniach ruskiego maja (*)

(*) Aż do podziału Polski, kalendarz nowy służył szlachcie w województwach ruskich osiadłéj, jako urzędowy, co do świąt religijnych i czynności prawnych, ale co do rozkładu gospodarstwa, i postanowień prywatnych zawsze się regulowała szlachta wedle kalendarza starego. Można powiedzieć, że nowy nigdy nie był zupełnie wkorzeniony na Rusi.

opuszczała Żytomierz, a zaraz po świętym Piotrze Jakób do niéj odjeżdżał na wakacye. Po wakacyach już po niego kredencerz nie przyjeżdżał, bo pani chorążyna sama go odwoziła do wuja rejenta.

Z upłynieniem tych dwóch lat Jakób skończył szkoły, zdał świetny a przewidziany egzamin z nauk, jakie w nich czerpał, a że miał ochotę do prawnictwa od lat dziecinnych, więc pod kierunkiem biegłego wuja w palestrze rozpoczął nowy zawód, w którym wkrótce jego postępy jeszcze więcéj okazały się zadziwiającemi, niż te, któremi się był wsławił w szkołach. Do pracy, do pojęcia każdego interesu miał nadzwyczajną łatwość; w zręczności i w sile fizycznéj niemniejsze jego były postępy. Nie wspomnę o męztwie, bo sama natura była go obdarzyła taką odwagą, że żadna usilność nie mogłaby jéj powiększyć. Jego szabla, tak jak jego pióro, stały się głośnemi w całém województwie. Co do trybu jego życia, ten tém tylko różnił się od szkolnego, że więcéj jeszcze pracował, i chwile wolne od zatrudnień nie tylko domowi państwa Niekrasów poświęcał, ale uczęszczał i do innych domów obywatelskich, gdzie zawsze z osobliwszą uprzejmością bywał przyjęty. Jednak, póki pani chorążyna bawiła w Żytomierzu, zawsze coś go jakby ciągnęło do dworku, w którym żyły istoty tak drogie dla jego serca. I rzadko dzień jaki przeszedł, żeby choć godziny przynajmniéj w nim nie przepędził.

Jeszcze nie był skończył swojéj retoryki, a już jednego wielkiego zmartwienia doświadczył. Póki on i Helenka byli dziećmi, póty ich wzajemne przywiązanie i poufałość mogły tylko bawić jéj rodziców, ale kiedy oboje już zbliżać się zaczęli do pełnéj wiosny życia, pani chorążyna, lubo miłowała Jakóba jakby własnego syna, nadto była roztropna, żeby miała być na to spokojną. Jakób ją nazywał ciocią, a kiedy rozmawiał z Helenką, oboje do siebie nie inaczéj mówili, tylko: ty. Wszystko to było dobre i zabawne do pewnéj pory; ale kiedy chłopcu zaczął się rok szesnasty a dziewczynie dwunasty, pani chorążyna poznała nieprzyzwoitość podobnéj poufałości i niebezpieczeństwo, jakieby z tego wyniknąć mogło, a więc rozkazała Helence, żeby już odtąd jéj sobie nie pozwalała z młodzieńcem, który chociaż dla nich wszystkich jest drogim, przecie nie tylko że nie jest jéj bratem, ale nawet najdalszego krewieństwa z nią nie ma. Taka zmiana mogła być tylko przykrą dla dziewczyny, przyzwyczajonéj postępować z Jakóbem jak ze swoim braciszkiem. Ale gdyby nawet cienia sprawiedliwości nie było w tém przykazaniu matki, i w takim razie zadośćby uczyniła jéj woli, a cóż dopiéro, kiedy z przenikliwością płci pięknéj, tak wczesną u naszych Polek, umiała poznać że tak powiem instynktowie, całą słuszność, całą przyzwoitość macierzyńskiego zalecenia. Ale kiedy chłopiec po raz pierwszy usłyszał z ust przyjaciółki wyraz *Panie Jakóbie*, *Jespan*, zamiast Kubusiu i ty,

został jakby na wskroś przeszyty. Nie mógł pojąć jaki był powód tak okrutnéj zmiany; myślał że czémś się jéj naraził: łzy mu się zakręciły w oczach i drżącym głosem zapytał Helenki, czém zasłużył na tak srogie z nim obejście? Helenka oczy spuściła i nic nie mogła odpowiedziéć. I tak oboje blizko siebie siedzieli nieruchomie.

To się działo w przytomności matki. Ta koniec położyła téj milczącéj, a jednak tak wymownéj scenie. Powstała, poszła do alkierza, zawołała Jakóba; Helena sama została w pokoju, a jéj matka poważnie temi słowy odezwała się do niego:

— Mój Kubusiu, bo co do mnie, zwłaszcza będąc z tobą sam na sam, zawsze będę poufałą, gdyż do tego mój wiek i moje starania około twojego dzieciństwa mnie upoważniają. Ty o mojém przywiązaniu wątpić nie możesz, bo miałeś jego niepłonne dowody. Ja téż nawzajem jestem pewna twojego, i właśnie dlatego nie przychodzę do ciebie z rozkazem, ale odwołuję się do twojego serca i rozsądku. Tuszę, że nasze stosunki co do istoty nigdy odmiennemi nie będą, ale sposób, w jakim odtąd się wyrażać mają, nie powinien być takim, jakim był dotąd. Już przestajesz być dzieckiem, Helenka także lada dzień niém być przestanie. Zważ sam, czy przystoi, żeby kawaler dorosły i panienka, o któréj postanowieniu jéj rodzice myśléć mogą, z sobą obcowali w sposobie dzieciom tylko właściwym? Ani wasz wiek, ani krwi związki nie upoważniają was do poufałości, która jeszcze nikogo dziwić nie może, ale nadal raziłaby tylko uczciwych ludzi, a nieuczciwych wywołałaby gadania nie przynoszące naszemu domowi zaszczytu. Wiem, że kochacie się z Helenką, jak brat z siostrą, bo wychowaliście się i rośli razem, ale częstokroć następują takie okoliczności, że i to niewinne uczucie ludziom nawet rozsądnym bywa podejrzane. Więcéj ci nie powiem, bo aż nadto jestem pewna, iż tyle masz przyjaźni dla nas, że sam wystrzegać się będziesz tego wszystkiego, coby mogło narazić Helenkę na ludzkie języki.

Tak się przed nim wynurzywszy, wzięła go za rękę i z nim wróciła do pokoju.

Jakób usiadł opodal od Helenki. Jeszcze się nie mógł zdobyć na odwagę, by nazywać panną tę, którą dotąd nazywał siostrzyczką. Siedział smutny i milczący, bo nadto wielką gorycz miał w sercu. Była to pierwsza silna zgryzota, jaką dotąd szczęśliwy doświadczał. Miał duszę nadzwyczajnie szlachetną i energiczną, ale tém samém draźliwą i czułą. Helenka niemniejsze od niego wytrzymała wewnętrzne walki, ale z tą wyższością płci pięknéj nad naszą, cechującą zwłaszcza Polki, umiała tłumić jéj zewnętrzne oznaki, i okazywała się spokojniejszą.

Pani chorążyna szanowała smutek Jakóba; nie usiłowała bynajmniéj zmuszać go do przerwania milczenia. Nakoniec Jakób już dłu-

żéj wytrzymać nie mógł ciężaru myśli, które się w nim tłoczyły. Dusze słabe zwykle szukają w smutku rozrywki: potrzebują towarzystwa, w niém znajdują jakąś ulgę; dusze mocne udzielają się innym w chwilach spokojnych i wesołych, ale skoro brzemię zgryzoty i nieszczęścia je przygniata, wtedy towarzystwo innych jest dla nich ciężarem, a samotność potrzebą niezbędną. W niéj rada się zamknąć dusza, bo tylko w sobie znaléźć może jakąś pociechę.

Jakób powstał, pożegnał matkę i córkę ucałowaniem ich rąk, stosownie do obyczaju ówczesnego. Uczuł drżenie ręki Heleny, kiedy ją podnosił do swoich ust, i opuścił dworek niezupełnie przytomny sobie.

Spiesznie poszedł ponad zmarznięty prąd Teterowa, będąc pewnym, że żadnego natrętnego tam nie spotka, któryby chciał nawiedzić jego malownicze brzegi, odczarowane ostatkami zimy. W saméj rzeczy oprócz kilku rybaków, którzy w toniach z saczkami śledzili ryby, i prostaczków co im z ciekawości asystowali, nie obaczył takiego, któryby mógł jego samotności przeszkodzić. Tam błąkając się, szybkim krokiem mierzył ślizkie skały, ścieśniające łożysko romantycznéj rzeki, rzucając wzrok roztargniony na wszystko co go otaczało; potém co raz wyżéj wdrapał się na piętrzące się granity, nakoniec usiadł na jedném urwisku i zatonął w zadumaniu.

Dzień ten był dla niego stanowczy. Te słów kilka, co mu je wyrzekła pani chorążyna, odkryły przed nim stan jego duszy. Kochał Helenkę, ale ta miłość prawdziwa, któréj zawiązki już w dzieciństwie obojga bytować zaczęły, dotąd przez niego nie była rozpoznana. To uczucie ciągle wzrastające było jemu tém, czém życie, czém zdrowie; było spełnieniem praw jego natury bez współdziałania jego woli. Kochał Helenę, i tak był do tego nawykły, że ani rozbierał, aniby mógł rozbierać natury swojego przywiązania. Rozbiór daje się stosować pomyślnie tylko do uczuć więcéj sztucznych, niż przyrodzonych. Nikt nie zdoła nawet w dojrzałości wieku wyrozumować siły moralnéj, jaką posiada. Jéj samopoznanie tylko przez jakiś zewnętrzny wypadek się wznieca. Zkądżeby go nabył Jakób? nie miał ani brata, ani siostry, owych przyrodzonych przyjaciół, danych nam od Opatrzności, żebyśmy jeszcze przed pierwszém rozwinięciem rozsądku wprawiali się do miłowania z jakąś swobodą, któréj znaléźć nie możemy w nieco poważnych stosunkach z matką, a nawet z piastunką. Tę potrzebę przelania serca w inne serce, jemu odpowiednie, tém silniejsze, o ile mniéj jest zepsute, Helena, i jedna tylko Helena zaspokajała. Jakób ją kochał, ale jakim sposobem, o to się nie troszczył, ani się mógł troszczyć.

Dopiéro pani chorążyna tą przestrogą swoją, któréj całą ważność poznał Jakób pomimo dręczącego wrażenia, jakie na nim sprawiła,

oświeciła go w jednéj chwili. Już zaczął myśléć o możebném rozwiązaniu swojego uczucia; młodzieniec przekształcił się w męża. Odtąd nie sama że tak powiem ślepa skłonność, ale rozwaga i rozsądek kierowały jego postępowaniem; serce zahartowało się w męztwie. Postanowił trzymać się na wodzy w obcowaniu z panią chorążyną, a zwłaszcza z jéj córką, ale przytém niemniéj silne powziął postanowienie zostania jéj mężem i zasłużenia na to szczęście. Nikomu nie dał poznać, co się w jego sercu działo; w tych tak częstych nawiedzinach domu państwa Niekrasów zachowywał przyzwoitą godność, rozmawiał często z Helenką, jak z osobą dobrze mu znaną, i wielce od niego szanowaną, ale najmniejszą poufałością nie obrażał uszanowania, jakie kawaler szlachetny winien okazywać dla zacnéj panny. Gdyby przypadkiem jaki obcy między niemi się znajdował, nigdyby się nie domyślił, że ta para tylko sobą jest zajęta. Bo nie tylko mowa i poruszenia, ale spojrzenia nawet zostawały pod baczném władztwem Jakóba, a przecie, lubo on i Helena nigdy w rozmowach swoich nie dotykali się głównéj strony harmonii ich życia, jednak doskonale się rozumieli.

Nawet pani chorążyna, która na wstępie była odgadła wszystko to, co się kryło w sercu młodzieńca, dała się ułowić tą zmianą w postępowaniu jego. Pomyśliła, że ta młodociana jego miłość wywietrzała mu z głowy, a tylko przyjaźń w niéj pozostała, tak dalece, że częste nawiedziny Jakóba i jego przybliżanie się do Helenki już zupełnie przestały w niéj wzniecać obawy. Do przywiązania prawdziwie macierzyńskiego, jakie dla niego miała, dołączył się szacunek, że młodzieniec jeszcze wiekiem niedojrzały, umiał być tyle posłusznym głosowi rozsądku, że aż uczucie swoje przekształcił.

I jakżeby się nie omyliła tą nadzwyczajną siłą charakteru chłopca, który tak dalece umiał sobą władać, że przez lat kilka, codziennie widząc Helenkę, niczém nie zdradził płomieni ciągle wzrastających w jego sercu? Część dnia poświęcał pracy, która mu zjednała była odgłos wielkiego prawnika, co mu nie przeszkadzało rzucać się w najburzliwsze zabawy, i w nich często dawać świetne dowody odwagi. Nawiedzał wszystkie uczciwe szlacheckie domy w Żytomierzu, wesołością i gładkością przynęcał ku sobie powszechną życzliwość, zalecał się mężatkom i pannom, jak człowiek dobrze wychowany, który swojego serca jeszcze nie oddał, a miał wiele towarzyskości w obyczajach, tak że w młodzieży Żytomierskiéj tyle wówczas licznéj, można było na palcach policzyć takich, coby jemu duszą i ciałem nie byli oddani. Nie tylko że żaden go nie przeniknął, ale nawet rozpowszechniło się o nim mniemanie, które płeć piękną wielce poruszało, że dla niego obcowanie z kobietami jest tylko rozrywką po ciężkiéj pracy, ale że w jego sercu ze stali wykutém, żadna nie potrafi wzniecić

miłości. Wszystkie panny pod wdziękami swemi, jak pod bronią, stały w jego przytomności, każda z nich tusząc, że zdoła o kłamstwo przekonać to rozpowszechnione twierdzenie; ale próżne były te ich zabiegi, lubo niektóre z nich tyle miały powabów, że bez wyraźnego cudu nie można było im się oprzéć. Często zdawało się, że ku téj lub owéj się skłania, lecz niedługo trwała ta opinia. Ale że szlachcic, który się nie przeznaczał do ołtarza, czy był zakochany istotnie, czy tyle tylko, że panna mu się podobała, musiał się kiedyś ożenić, więc z kolei, to jednę, to drugą mu dawano za narzeczoną, lubo ta kolej tak często się odnawiała, że nakoniec te gadania żadnego wrażenia w domach Żytomierskich nie sprawiały.

Jednakże pogłoska, jakoby jego serce miękczyć zaczynało przed wdziękami panny podkomorzanki, zaczynała jakiéjś powagi nabierać, kiedy aż mogła obawę wzniecić w umyśle pana rejenta; a pani Niekrasina była tego tak pewna, że się nawet przed nim wymówiła, ile się dla niego lęka tak niebezpiecznego współzalotnika, jakim był pan łowczyc Litewski; w chwili którą opisuję, wszyscy zostawali w błędzie. Jedna tylko Helena czuciem wiedziała prawdę, i obojętną była na to, co już całe miasto powtarzało.

ROZDZIAŁ VII.

Rozmowa pana rejenta z Jakóbem, któréj czytelnik jest świadomy, bardziéj miłe niż nieprzyjemne wrażenie sprawiła na tym ostatnim. Że go podejrzywał wuj o jakieś zalecanki do panny podkomorzanki, to go przekonywało, że umiał dobrze ukrywać swoje rzeczywiste uczucie, kiedy jego opiekun nawet takim dalekim był od jego odgadnienia. Nie tylko że go nie usiłował wyprowadzić z błędu, ale jak się widziało, w nim go utwierdzał, tak słabo zapierając się tego, o co był posądzony. Bo co się tyczy niebezpieczeństwa, jakiém mu wuj groził od potężnego współzawodnika, już i bez tego niewiele jemu życzliwego, ta okoliczność jak najmniéj zastanowiła jego uwagę. Uczucie bojaźni było dla niego obce; i gdyby nie uszanowanie, jakie miał dla wuja, za pierwszém okazaniem jego obawy dla siostrzana, gniewu łowczego i jego syna, niezawodnie byłby pogardliwym śmiechem odpłacił jego przestrogi.

Jedna tylko rzecz w téj rozmowie na nim zrobiła wielkie wrażenie — oto, że od dnia jutrzejszego będzie zupełnym panem i swojéj woli, i swojego majątku. W jednéj chwili gmach jedynego szczęścia, którego łaknął, stanął przed jego umysłem. Powiedział sobie: jutro będę

mógł sobą rozrządzać; dlaczegoż nie miałbym puszczać wodze nadziei? Helena nie jest ani księżniczką, ani kasztelanką, ani nawet urzędnika córką: jest sobie prostą szlachcianką, jak ja szlachcicem; jéj rodzice, zawsze łaskawi na mnie, wiedzą że lubo jeszcze się nie urodziła taka, któraby wdziękami, pięknością i przymiotami serca i rozumu mogła jéj sprostać, ani rodem, ani posagiem nie może przyciągać możnych do swojéj ręki. A więc, że w położeniu społeczeńskiém ja i ona jesteśmy zupełnie dla siebie odpowiedni, otwarcie będę o nią prosił. Te uwagi w jednéj chwili przed nim się przesunęły, i wznieciły w jego sercu przeświadczenie szczęścia, jakiego pierwszy raz w życiu doświadczył. W takiém to usposobieniu wyszedł z dworku wuja, a na skrzydłach miłości i zaufania w przyszłość, puścił się ku Kamionce.

Ale w miarę zbliżania się do dworku państwa Niekrasów, odwaga jego się zmniejszała. Prawdziwa miłość jest zawsze nieśmiała, i ten młodzieniec, którýby nie wahał się przez tłum uzbrojony przedzierać do mieszkania przedmiotu swoich zapałów, drżał jak listek wiatrem poruszany na samą myśl, że wkrótce będzie musiał stanowczo się tłómaczyć przed panią chorążyną ze swoich uczuć i ze swoich zamiarów. Jak to do niéj przemówić? od czego zacząć? Gdy spostrzegł kominy wydatne dworku, serce mu się ścieśniło; radby go widziéć na przeciwległéj stronie miasta.

Już był w ganku, a czas jakiś wahał się, czyby nie lepiéj wrócić i wszystko na późniejszy czas odłożyć; ale z drugiéj strony, być tylko ścianą przedzielonym od Helenki, a jéj nie oglądać, to także było nad jego siły. Wreszcie cóżby znaczyło stanąć na progu, i z niego się cofać? cóżby o tém myśleli Helenka i jéj matka? Skupił więc wszystkie siły w ognisku swojéj woli, i niewiele przytomny sobie, przez sień wstąpił do komnaty bawialnéj.

Wszedł tak cicho, że matka i córka, siedząc wtedy przy krośnie, nie zasłyszały otworzenia drzwi i ku nim oczów nie zwróciły. Dopiéro kiedy drżącym głosem, wedle starożytnego obyczaju, odezwał się: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! obie niewiasty powstały, odpowiedziały: na wieki wieków! i poszły naprzeciw niego ku drzwiom, by go przyjąć ze zwykłą uprzejmością. Pomięszanie Jakóba było widoczne, i chociaż żywszy inkarnat okrasił jagody pięknéj Heleny, gdy Jakóba powitała, a co jego uwagi nie uszło, jeszcze czas jakiś upłynął, nim zupełnie przyszedł do siebie.

Obie posunęły krosno pod ścianę. Jakób i Helenka tylko okiem na siebie rzucili, a już się porozumieli. Pani chorążyna miłemu zawsze gościowi kazała usiąść blizko siebie; Helenka nieco opodal siadła pod oknem. Walki, które odbywały się w sercu Jakóba, dały się ła-

two spostrzedz chorążynie, a pragnąc dowiedziéć się o ich przyczynie, odezwała się do swego wychowanka:

— Co to jest, panie Jakóbie, żeś się tak zmienił? Czy czasem nie zapadłeś na zdrowiu?

— Nie, droga jéjmość. Śpiesząc do niéj, za prędko biegłem, żeby miéć więcéj czasu do spędzenia w jéj szanownném towarzystwie, a potém i kłopoty wpływ jakiś mogą na mnie wywierać.

— Cóż złego cię spotkało?

— Nic tak dalece złego, ale widzi jéjmość dobrodziéjka, kiedy człowiekowi położenie się zmienia, chociażby nawet na lepsze, jakaś niespokojność pomimowolnie uczuć mu się daje, bo i do najlepszego cokolwiek wdrożyć się potrzeba.

— A, teraz rozumiem, i z całego serca odmiany stanu mu winszuję.

— Co jéjmość przez to chcesz powiedziéć?

— A cóż innego mam rozumiéć, jak że zabierasz się do stanu małżeńskiego, gdyż w twoim wieku odmiana położenia może znaczyć tylko odmianę stanu.

Tu Jakób miał czas spojrzéć na Helenę i zauważyć, że raptowna bladość zaległa jéj lica. — W największém poruszeniu odrzekł:

— Myli się jéjmość dobrodziéjka i bardzo myli, a ta omyłka wielce mnie krzywdzi.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że przez to jéjmość dajesz mi poznać, że myślisz, iż mogę zapomniéć, jakie mam dla niéj obowiązki. Bądź jéjmość pewna, że żadnego ważnego zamiaru-bym nie przedsięwziął bez zasięgnienia jéj rady i proszenia o błogosławieństwo; byłbym potworem niewdzięczności, gdybym kiedykolwiek na chwilę zapomniał, że jéjmość mi jesteś matką.

— Znam twoje serce, Jakóbie — odrzekła, podając mu rękę, którą z uniesieniem ucałował — i wiem dobrze, że żadne nieszlachetne uczucie, nie znajdzie do niego przystępu; ale widząc cię pomięszanym i nieco odmiennym na twarzy, gdyś jeszcze wydał się z tém, że twoje położenie się zmieni, mogłam łatwo pomyśléć, że zabierasz się do stanu małżeńskiego, i właśnie z tego względu przybyłeś do mnie po radę.

— Jeżeli tak, być może że jéjmość dobrodziéjka jednę stronę prawdy odgadła, ale o drugiéj wiedziéć nie będziesz, póki jéj sam o niéj nie oświecę.

— Mówisz do mnie jakimś tajemnym językiem, do którego mnie nie wezwyczaiłeś. Wolałbyś poprostu opowiedziéć mi, co cię dotyka.

— Po to przyszedłem; ale wyznaję, że odwaga mnie odstąpiła tak, że bez jakiegoś zachęcenia jéjmości dobrodziéjki nigdy się nie

zdobędę na powierzenie jéj tego, co całkowite moje szczęście stanowi. Bo gdyby ta ufność, jaką w jéjmości dobrodziéjce pokładam, miała mię zawieść, nicby mi nie pozostało, jak chyba rzucić się w Teterów.

Tu weszła ochmistrzyni domu i coś szepnęła do ucha pani chorążynéj; tym sposobem przerywając rozmowę, pani chorążyna powstała, i rzekła do Helenki:

— Baw pana Jakóba, póki nie powrócę, a niedługo na mnie czekać będziecie. Zwyczajnie, gdzie gospodarstwo tam i kłopot.

To rzekłszy, wyszła z ochmistrzynią, zostawując samych Jakóba i Helenkę.

Ledwo młodzieniec obaczył się sam na sam z dziewicą, przybliżył się do niéj i porwał jéj rękę z zapałem o tyle gwałtowniejszym, o ile dłużéj był wstrzymanym.

— Heleno! — rzekł do niéj — Teraz nadeszła chwila, która musi rozwiązać nasze przeznaczenie. Ty wiesz aż nadto, że kocham cię nad szczęście, nad życie, nad sławę, a ja wątpić nie mogę, że podzielasz moje uczucie; bo wzrosłszy i wychowani będąc razem, wzajemne przywiązanie zwiększaliśmy z każdém naszém tchnieniem. Czyż w paśmie naszego żywota jedno z nas miało jaką myśl, któraby drugiemu była tajną? a jednak w téj chwili tak ważnéj dla mnie, pomimowolnie jakaś trwoga mnie ogarnia; potrzebuję podpory, zachęty, a to znaléźć nie mogę tylko w twojém sercu. Powiedz, powtórz, że mnie kochasz, że mnie upoważniasz do przedsiębrania wszelkich kroków, które mogą przybliżyć nasze połączenie na zawsze.

— Jeżeli ci o to idzie, Jakóbie, możesz być spokojnym; ani przed tobą, ani przed moją matką, nigdy nie taiłam mojego przywiązania dla ciebie. To moje uczucie bynajmniéj mnie nie zawstydza, owszem, w mojém przekonaniu zaszczyt mi przynosi, bo jestem obeznana ze wszystkiemi skarbami twojéj duszy. Mówią, że miłość zawsze jest zazdrosna; a czy uwierzysz, Jakóbie, że kiedy około mnie powtarzano, że myślisz o pannie podkomorzance, że ona twoje zalecania się przyjmuje uprzejmie, moja matka temu wierzyła, ale co do mnie, nie tylko że moja spokojność tém nie była zakłóconą, ale te gadaniny najmniejszego nie czyniły na mnie wrażenia, bo wiem, że mnie kochasz poczciwie, po Bożemu, że nie możesz mnie nie kochać, — że jak twoje serce bić dla mnie przestanie, to już całkiem bić nie będzie, boś ty, ty tysiąc razy to mi powtórzył, a ja nie wiem czybyś nawet moje życie chciał kłamstwem okupić. Zresztą, jakżebym nie miała tobie wierzyć, kiedy sądząc po sobie, czuję, że nie może być inaczéj.

— Droga Helenko! zdaje się, że wszystko nam teraz sprzyja. Od jutra jestem panem mojéj woli i mojéj ojcowizny. To dziś mój wuj rejent mi oświadczył, a jutro jadę do wuja podczaszego, dla odebrania tego, co ma stanowić mój fundusz. Mam uczciwy kawałek szla-

checkiego chleba, który mogę z tobą podzielić. Jesteśmy we wszystkiém, jak to ludzie mówią, sobie odpowiedni, a jednak, kiedy już przychodzi wyraźnie odkryć się z myślą swoją przed twoją matką, nie wiem dlaczego czuję jakiś strach, jakąś nieufność w szczęście, której przed sobą wytłómaczyć nie umiem. Dodaj mi męztwa, Heleno, powtarzając że mnie kochasz, że nigdy się dla mnie nie zmienisz, że pragniesz, by prośba moja o twoją rękę była uwieńczona.

— Nie ma dnia, mój drogi, żebym ci nie powtarzała albo ustnie, albo spojrzeniem, że cię kocham nad wszystko. Czuję, ile mi jest ciężką każda chwila, którą bez ciebie przepędzam; moi rodzice ci sprzyjają. Gdyby nasze połączenie sprzeciwiało się ich widokom, czyżby nie kładli przeszkód naszemu codziennemu widzeniu się z sobą? Bo jużci nasze wzajemne przywiązanie nie może być dla nich tajne. Wszystko więc zdaje się nam uśmiechać, a jednak ci powiem, że z jakąś pomimowolną trwogą oczekuję chwili, w której nasze przeznaczenie ma się rozwiązać. Ufam, że kiedyś będziemy ze sobą na zawsze połączeni, pokładam w tém wiarę ścisłą, i ta niezłomna wiara uprzyjemnia mój żywot, a jednak jakieś mam przeczucie, że z wielkiemi trudnościami łamać się będziemy, nim nadejdzie chwila naszego szczęścia.

— O moja droga Heleno, podzielam twoje trwogi i nadzieje. Od naszego dzieciństwa wszelkie nasze uczucia są wspólne; wszelkie przeszkody, jakie nam postawić może los zawistny, zdołam przemódz, bo wiem, że nasze połączenie jest zapisane w niebie. Być twoim małżonkiem, władcą twoich wdzięków, o! tak wielkiego szczęścia bez nadzwyczajnych ofiar okupić nie można, a gdy mnie kochasz, cóż może być takiego, czegobym znieść nie zdołał. Powinienbym na tém poprzestać; ale przebacz mojéj słabości, że mając tyle powodów ufania w tobie, jeszcze jednéj rękojmi domagać się będę. Poprzysięgam ci na Boga, którego imienia nikt bezkarnie nadaremno nie wezwał, na mój honor, który nie tylko krzywym, ale nawet wątpliwym postępkiem nigdy nie był skalanym, że jakkolwiek los mną rozrządzi, innéj prócz ciebie nie będę miał żony. Czy tąż samą przysięgą raczysz i mnie uspokoić?

— Ach całém sercem, kochany Jakóbie, powtórzę w twojéj przytomności przysięgę, którą tyle razy w samotności w myśli wyrzekłam.

To rzekłszy, powstała i głosem nie wahającym wyrzekła przysięgę jeszcze więcéj energiczną niż Jakóba.

W téj chwili, w postaci, w wyrazie twarzy dziewicy było coś tak uroczystego, tak nadludzkiego, że gdyby anioł stanął w obliczu Jakóba, większego wrażenia na nimby nie sprawił. Uczuł w sercu siłę nadzwyczajną, a przy niéj jakąś błogość, do której porównać można stan, w jakim zostaje wódz wojska, kiedy ma przeczucie pewności

zwycięztwa. Jakób nie umiał sobie zdać liczby ze swoich uczuć, bo był utopiony we wdziękach przedmiotu przez siebie ubóstwionego. Wrażenie, jakiego doświadczał, było tak silne, tak wyłączne, że żadna rzeczywistość nie mogłaby go oderwać od ideału, który go zachwycał.

Jeszcze w niém zostawał, kiedy pani chorążyna wróciła do pokoju. Zastała ich stojących obok siebie; Helena miała oczy podniesione ku niebu, Jakób trzymał jéj rękę w swoich dłoniach, miał wzrok wlepiony w jéj oblicze, a z tym wzrokiem zdawał się przelewać całą swą duszę w duszę Heleny. Ani spostrzegli przybycia matki, dopiéro te słowa głośno przez nią wyrzeczone: — Przepraszam pana Jakóba, że tak długo zostawiłam gościa bez gospodyni — zdołały ich obu zwrócić z wyżyn marzenia na padoł nędznéj rzeczywistości, która śmiertelników otacza.

Na te słowa Helenka siadła pod oknem wziąwszy robotę, a Jakób usiadł na stołku wskazanym mu przez gospodynią, a który był blizko kanapki, na któréj sama zasiadła.

— Na czémże stanęliśmy, Jakóbie? — te były pierwsze słowa pani chorążyny.

Nie tak to długo Jakób zostawał bez pani chorążyny, ale przez te krótkie chwile przeszedł przez tyle wrażeń, że był jakby innym człowiekiem. Dopiéro lękliwy, wahający się, nie śmiał wyraźnie wymówić przed chorążyną tego co miał w sercu, i drżącym głosem zabierał się czynić przed nią wyznanie swoich uczuć; teraz głosem tak męzkim jak jego cała postawa rzekł do niéj:

— Ciociu kochana (bo tak ją nazywał, kiedy byli sami), teraz nadeszła dla mnie chwila, w któréj nie tylko chęć, ale nawet powinność nakazuje mi zupełnie się otworzyć przed nią. Jeżelibym ją opuścił, przez resztę dni moich tobym sobie wyrzucał. Sama ciocia wiesz najlepiéj, że pod jéj pieczą i jéj okiem wzrosłem razem z Helenką. Od dzieciństwa kochałem ją jak siostrę, jak towarzyszkę igraszek; to przywiązanie codziennie wzrastało, chociaż jego natury nie umiałem przed sobą wytłómaczyć. Teraz czuję, że ją kocham z zapałem młodzieńczym, z rozwagą dojrzałego męża, że bez niéj jestem jakby uszkodzoną istotą, dla któréj życie jest nieznośnym ciężarem. I tego przed ciocią nie mam potrzeby taić, że jestem pewny jéj wzajemności. Cóż mi pozostaje, jak tylko na klęczkach jéj prosić o przyzwolenie na nasz związek i o jéj błogosławieństwo.

To wymówiwszy, ukląkł przed chorążyną, jakby oczekując jéj wyroku.

— Powstań, Jakóbie — odrzekła matka — a pomówmy poważnie i roztropnie. Winnam być z tobą równie szczerą i otwartą, jak się być nim pokazujesz przedemną. Twoje przywiązanie do Heleny ujść

nie mogło przed bacznością jéj matki, i wiem dobrze, że jeżeli na jéj wzajemności swoje szczęście opierasz, jesteś zupełnie szczęśliwym. I to wyznaję przed tobą, że znając cię od niemowlęctwa prawie, a ciągle patrząc na twoje postępki, powzięłam przekonanie, że jéj losu w godniejsze ręce nie mogłabym powierzyć; ale niech to co ci mówię, jakkolwiek pochlebne dla nadziei, nie upewnia cię o mojém i mego męża zezwoleniu, żebyś ją otrzymał. Na to są warunki; a czy te mogą być wypełnione? o tém ani my, ani ty nie wiemy.

— Jeżeli kocham Helenkę, jeżeli od niéj jestem kochany, nie pojmuję jakieby być mogły jeszcze warunki do naszego połączenia?

— Młody jesteś, Jakóbie, i dlatego mówisz stosownie do twoich uczuć, zostawując na stronie to wszystko, co się wprost do nich nie odnosi; ale my rodzice powinniśmy miéć i za siebie i za was rozsądek. Zacznę od innego pytania: czy możesz sobą rozrządać? Może ci się zdaje że możesz, ale jestżeś tego pewny?

— Najpewniejszy, ciociu droga, i bez téj pewności nigdybym się nie odważył do tego kroku. Dziś wuj rejent zapowiedział mi, że od dnia jutrzejszego wychodzę z pod jego opieki, że jestem pełnym władcą mojéj woli, że on i drugi mój opiekun podczaszy, nigdy swoich rad mi nie odmówią, ale odtąd jako pełnoletniemu sierocie nie mają nic do rozkazania. Jutro ze świtem, da Bóg doczekać, jadę wedle wujów rozporządzenia do Jarkowicz; tam wuj podczaszy ma mi wręczyć moją ojcowiznę, która dochodzi blizko dwakroć sto tysięcy, a te za powrotem moim złożę u nóg Helenki. Przepraszam ciocię, że wchodzę w takie szczegóły, ale to jest chwila, w któréj wszystko przed ciocią odkryć winienem. Nie mam rodziców, jestem pełnoletnim, posiadam uczciwy kawał chleba; stanowić o moim losie, od nikogo zależéć nie może. A więc w pełném prawie, proszę ciocię o rękę jéj córki, i o wstawienie się za mną przed wielmożnym chorążym.

— Powiedz-że mi, Kubusiu, czy pan rejent kiedy ci oświadczył, że cię wypuszcza ze swojéj opieki, i żadnego obowiązku na ciebie nie włożył? czy nie zażądał jakiéjś obietnicy?

— Żadnéj... Bo jużci to co mi zalecił, i co mu obiecałem dopełnić, bynajmniéj ściągać się nie może do tego, co jest jedynym moim celem. Pragnął, żebym jak najśpieszniéj udał się do Litwy, w czém miał wszelką słuszność, bo mając omal że nie całkowity mój fundusz w rękach księcia hetmana Litewskiego, trzeba przy mojéj pełnoletności jakiś układ o niego zrobić. To jest powód dostateczny dla uczynienia zadość woli mojego wuja. I mógłby sobie oszczędzić innych pobudek, któremi mnie naglił do odjazdu, bo te pod żadnym względem na moje przedsięwzięcie wpływać nie mogły.

— Jakież to były pobudki?

— A to przekładał mi, że miałem nieszczęście narazić się panu

łowczemu Kierdejowi, oraz i jego synowi; że zabierają się mnie prześladować; że szlachcic panu się nie oprze, chociażby w najsprawiedliwszéj sprawie; że nawet bez wystawienia się w postaci prześladowców, a stojąc jakoby za firanką, mogą mnie zgubić uboczném pobudzeniem mojéj sprawy, o wyratowanie Kulbidy od spełnienia na nim wyroku sądowego, i inne podobne rzeczy, do których najmniejszéj nie przywiązuję wagi.

— I na czémże nakoniec między wami stanęło?

— Na tém, że przyrzekłem wujowi, że zaraz po przyjęciu popiołu pojadę do Litwy.

— A więc sam zważ, że do czasu powrotu twojego nie możesz sobą rozrządzać.

— Dlaczego? Ja nie domagam się jeszcze ślubu z panną Heleną, bo wiem dobrze, że na to potrzeba czasu, na którym w teraźniejszych moich okolicznościach właśnie mi zbywa. Ale pragnę tylko jéj, i jéj rodziców obietnicy, że za powrotem moim jéj ręka będzie mi oddaną. Chcę jechać do Litwy nie jak młodzieniec szukający losu, ale jako człowiek zaręczony, rachujący z niespokojnością każdą chwilę, która go zbliża do dnia uroczystego, w którym ta, którą nad życie miłuje, u nóg ołtarza zaprzysięże mu miłość i wiarę. Tego pragnę; zdaje mi się, że mam wszelkie prawo tego pragnąć i otwarcie wyznaję, że będąc pewnym serca Heleny, ani w mojém położeniu towarzyskiém, ani w mojém sumieniu nie poczuwam się do niczego takiego, coby jéjmość dobrodziéjkę upoważniło do odrzucenia ze wzgardą mojéj ofiary.

— Mój kochany Jakóbie, ani przypuszczaj podobnéj myśli, żebyśmy tobą pogardzić mogli; ale zważ sam, czy pomimo najszczerszéj mojéj skłonności, mam ręce tak dalece rozwiązane, żebym ci mogła powiedziéć: — zamień pierścionki z Helenką, a za powrotem twoim z Litwy ona zostanie twoją żoną. A wiesz-li ty sam, kiedy powrócisz w nasze strony? możeszli być pewnym, że kiedykolwiek do nas powrócisz? Tobie się zdaje, że będąc pełnoletnim i właścicielem summy dość znacznéj, już możesz sobą gwoli twoim widokom rozrządzać; a kto wié, czy się nie znajdzie taki, który będzie miał prawo sprzeciwić się twojéj woli? Żeby przynajmniéj twoi wujowie za tobą do nas przemówili, ale oni o tych twoich widokach zupełnie nie są świadomi. Czy moja córka, chociaż dla ciebie zna przyjaźń i szacunek, może zostać twoją żoną jakby ukradkiem? Sam tego pragnąć nie możesz i zanadto ją cenisz, żebyś ją chciał widziéć wchodzącą do twego domu inaczéj jak przyjętą od rodziny twojéj ze czcią i zaszczytem.

— Widzę, że moje jestestwo jest przykryte jakąś tajemniczą zasłoną, którą może w części jéjmość dobrodziéjka odsłoniłaś. Inaczéj *pojąćbym* nie mógł, z jakiego powodu pani zawsze dla mnie tak łaska-

wa, wiedząc o moich stosunkach z jéj córką, odejmujesz mi wszelką nadzieję być z nią kiedyś połączonym.

— Bynajmniéj; i owszem, niczego tylebym nie pragnęła, jak miéć prawo nazwania cię moim synem; ale są okoliczności żadnéj krzywdy nie przynoszące twojéj sławie, a nam nie podwładne, które mnie zmuszają być ostrożną.

— Niechże mnie ciocia przynajmniéj zapewni, że kiedyś mi odda Helenkę, jeśli będę godnym jéj ręki. Jak będę o tém zapewniony, przynajmniéj jakaś nadzieja ochroni mnie od rozpaczy. Niech wiem, jak długo trwać będzie moje oczekiwanie?

— Jakóbie, tyle ci tylko powiedziéć mogę, że nie masz powodu rozpaczać. Bądź pewny, że gdybym nie była tobie przychylną, nie przyjmowałabym cię w moim domku; bo jużci wasza skłonność wzajemna nie mogła się utaić przedemną. A spodziewam się, że nadto znasz Heleny sposób myślenia, żebyś mógł pomyśléć, że gdy tobie oddała swoje serce, może niém rozrządzić na korzyść innego. Bądź pewny, Jakóbie, że jeżeli w tym twoim zamiarze doświadczysz jakichś przeszkód, te nie będą z naszéj strony.

— Jużci one nie mogą być z mojéj.

— Tego ani wiedziéć, ani przewidywać możesz, co ci los przeznacza, i o ile on może przeciwważyć twoją wolę. Kto wié, może za nadto byłam z tobą otwartą; może więcéj tobie powiedziałam, niż było mi wolno. Nakoniec, jestem tylko matką, więc mogę być doradczynią tego wszystkiego, co się dotycze losu mojéj córki, ale nie mam prawa nią rozrządzać, a tém samém czynić ci obietnic, których ziszczenia nie jestem pewną. Ma ona ojca, który ją niemniéj odemnie miłuje, a dla ciebie ma wielki szacunek. Ty wiesz, jak ścisłe związki łączą go z twoim wujem podczaszym. Jeden z nich co powié, pewnie drugi temu przeciwiać się nie będzie. Powiedziałeś mi, że przed świtem udajesz się na jego wezwanie: a więc przed nim otwórz myśl twoją. Jeżeli są jakieś przeszkody dla naszych widoków, on jeden je przed tobą objaśni; jeżeli nie, sam sprowadzi mego męża, lub cię z listem do niego wyprawi, i wszystko się ułatwi. Wybierajże się na wieś do twojego wuja, a bądź pewny, że sam nie pragniesz twojego szczęścia własnego więcéj; zdaje mi się, że to co ci mówię, powinnoby wzniecić dobrą w tobie nadzieję.

Jakób na te słowa skłonił się pani chorążynéj, i wziąwszy jéj rękę, z uszanowaniem pocałował ją na znak pożegnania i wdzięczności; poczém przystąpił do Heleny, żeby ją także pożegnać. Pomimowolnie łzy mu stanęły w oczach, kiedy się do niéj przybliżył; ona dała mu uczuć ściśnienie swojéj białéj rączki i tak była wzruszona, że ani słowa wyrzec nie mogła. Jakób z lubością zauważył, że jéj ręka drżała. Odszedł nakoniec, skołatany rozmaitemi krzyżującemi

się z sobą uczuciami bojaźni, rozpaczy, nadziei, nad któremi górę brała najczystsza i najstateczniejsza miłość, a myśl, że wkrótce powróci, nieco osładzała mu smutek, jakiego doświadczał rozstając się z Helenką.

ROZDZIAŁ VIII.

Kiedy Jakób wyszedł, łatwo domyślić się można, że ani przez myśl mu nie przeszło uczestniczyć w zabawach, które go oczekiwały w domu JW. podkomorzego. Poszedł prosto do dworku rejenta, żeby się wybrać do wuja podczaszego. Zastał rejenta u siebie, bo temu gdy nagła robota przypadła, oświadczył, że z domu nie wyjdzie. Wielce się ucieszył, kiedy Jakób po powitaniu powiedział mu:

— Otóż widzi wujaszek, że nie poszedłem na tańce, ale tu kończę mój wieczór, żeby trochę poukładać papiery od wujaszka mi powierzone, i wybrać się do wujaszka podczaszego stosownie do jego woli.

— Dziękuję ci, Kubusiu, że choć jesteś pełnoletnim, tak gorliwie spełniasz moje zalecenia. Bądź pewny, że w nich nie moją, ale twoją korzyść upatrywałem. Bóg cię pobłogosławi, że jesteś powolny radom twoich starych opiekunów. Na tém więc stanęło, że jutro przed świtem ztąd ruszasz do Jarkowicz. Przed świtem księżyc świeci; sanna wyśmienita, jak wyjedziesz o szóstéj, przed ósmą już obaczysz podczaszego i będziesz na samą kawę. Niech cię Bóg prowadzi, a co ci potrzeba, powiesz Mleczce mojemu, on cię wyprawi, żeby ci na niczém nie zbywało.

— Dziękuję wujaszkowi za jego troskliwość; dwie mile nie taka to podróż, żebym aż miał kogo wyprawieniem mojém zatrudniać. Papiery powierzone mi od wuja dobrodzieja w najlepszym porządku panu Rafałowi Swieżawskiemu złożyłem, a dziś jeszcze skończę meritum sprawy W. Czajkowskiego po W. Ochockim, o potopieniu jego młynów. Już robota na dokończeniu; pół godziny czasu, a będzie gotowa. Prosiłbym wuja dobrodzieja o jednę tylko łaskę.

— Co każesz?

— Oto radbym, żeby wuj mi pozwolił wziąć ze sobą jakiego kolegę; weseléj jechać we dwóch, niż samemu.

— A z miłą ochotą! Z ust mi to wyjąłeś, bo chciałem tobie ten projekt podać, żebyś się nie nudził. Kogoż myślisz wziąć na towarzysza podróży?

— Takiego, który najmniéj jest potrzebnym jegomości, bo tylko co rozpoczyna zawód prawniczy. Bartek Kałużyński jest chłopiec

najlepszy, sam biedny sztukuje się jak może, żeby pomagać jeszcze biedniejszéj matce. Pozwoli jegomość, ja go do siebie zabiorę na noc, a jutro do wuja podczaszego.

— Wiem, że mu pomagasz, i że na twoją przyjaźń zasługuje. Jest to chłopię ubogie, ale dziwnie dobréj krwi, i do ciebie przywiązany, że aż miło. Bardzo dobrze; cieszę się z twego wyboru. Żeby w dobréj myśli wyjeżdżał i nie zatęsknił się za matką, powiedz mu, że jutro z mojéj śpiżarni dostanie po korcu mąki i leguminy, i jednę dzieżkę sera; a teraz niech cię uściskam i ubłogosławię.

Jakób ucałował wuja kolana, a rejent wziął go w swoje objęcia, przycisnął do swego łona, i odprowadził go po za próg swojego pokoju, co było u niego oznaką największéj grzeczności.

Pan Jakób pożegnawszy wuja, wstąpił do kancelaryi, od pokoju wujowskiego tylko sienią przedzielonéj, i tam zastał wszystkich swoich kolegów, oczekujących hasła na wieczorne pacierze. Zaledwo ich przywitał, jeszcze nie miał czasu zapowiedziéć Kałużyńskiemu, żeby się z nim wybrał do podróży, kiedy pan rejent wszedł do kancelaryi, by jéj oświadczyć, że z nią odmówi wieczorne modlitwy; do tego oświadczenia przydał:

— Mości panowie, upraszam was, abyście te modlitwy odmówili na intencyę osoby wielce mnie obchodzącéj, a która zostaje w pewnym rodzaju niebezpieczeństwa.

Wszyscy dependenci skłonili się na znak przyzwolenia, a po kilku chwilach dał się słyszéć głos dzwonka i wszyscy uklękli.

Pan rejent zaintonował:

Zacznijcie usta nasze chwalić Pannę świętą,
Zacznijcie opowiadać cześć jéj niepojętą.

Wszyscy wtórzyli. I chórem melodyjnym zaczęły się wznosić ku niebu godzinki Niepokalanego Poczęcia, owa modlitwa tak miła dla Królowéj naszéj, że nam objawiła iż nic godziwego nie odmówi temu, który ma w obyczaju ją często odmawiać z należytém usposobieniem.

Piękny to był okres w dziejach narodów, kiedy wszystkie czynności przeplatane były modlitwą. Mędrcowie tego wieku nie pojmują siły modlitwy, bo myślą, że istota tak nędzna jak człowiek może ją zdobyć w warunkach swojéj natury. Nie chcą wiedziéć, że cała siła człowieka, rozumié się siła twórcza, wypływa jedynie ze stosunków, w jakich zostaje z Bogiem. A modlitwa jest jedyną potęgą, która nas kładzie w ścisłych z nim stosunkach. Człowiek nie może być mocnym, szczęśliwym, wolnym, tylko w Bogu i przez Boga. Bez niego wszystko jest ułudne, wiotkie, nietrwałe. Im mniéj w narodzie się modlą, tém więcéj w nim nędzy wszelkiego rodzaju. To na-

wet się odnosi i do polityki. W starożytności, jako i w okresie współczesnym, narody najpobożniejsze były i są zawsze najpotężniejsze. Ztąd..... ale to nas zanadtoby oddaliło od materyi. Wróćmy do swojego.

Po odśpiewaniu godzinek, pan rejent wyszedł, a pan Jakób odezwał się do Kałużyńskiego:

— Bartku, zabierz z sobą pościołkę; dziś u mnie przenocujesz w oficynie, a jutro o szóstéj z rana ruszamy do Jarkowicz. No, no, nie ociągaj się! Czekam na waszeci u siebie. Szczęśliwéj nocy wam życzę, koledzy; do zobaczenia!

To rzekłszy, poszedł na swoją kwaterę i zasiadł, żeby ukończyć meritum sprawy wujowi powierzonéj. Taką miał łatwość w pracy, że kwandrans zaledwo upłynął, a już robota była ułatwiona, i kiedy ją skończył, ujrzał przed sobą Kałużyńskiego, który stał wyprężony jak szyldwach i oczekiwać się zdawał jego rozkazów.

— A, to ty, Bartku! — rzekł do niego — Kładź się, żebyś miał czas wypocząć, bo jutro przed zwykłą godziną trzeba ci będzie stanąć na nogach. Zdaje mi się, żem ci powiedział, że jutro będziemy na obiedzie u wuja podczaszego.

— Służę panu; więc trzeba mi będzie jutro wziąć kontusz od niedzieli, i lity pas.

— Nie, nie, zostaw tu swoje precyoza, a mnie pozwól cię ubrać. Jesteś prawie takiego wzrostu i takiéj tuszy co i ja, więc moje suknie na ciebie się przydadzą. Ponieważ wkrótce może na długi czas opuszczam te strony, chcę tobie coś zostawić na pamiątkę. Wiem, że tobie przeszłego tygodnia bardzo się podobałem moim ubiorem; miałem kontusz morelowy, żupan żółto gorący w gwiazdeczki srebrne, i pas srebrny w czerwone goździki; czy pamiętasz?

— A jakże nie? Pan Jakób wyglądał wtedy, jakby jaki wojewoda.

— Otóż na dowód twojéj przyjaźni dla mnie, racz przyjąć na pamiątkę cały ten garnitur, i jutro w nim wystąpić do mojego wuja podczaszego.

— Ja miałbym przyjąć dar tak cenny? czy przystoi mnie chudemu pachołkowi przystrajać się w takie bogactwa? Pamięć twojéj dobroci dla mnie do śmierci zachowam, panie Jakóbie, ale jéj nadużywać nie mogę.

— Otóż jest! Albo te rzeczy kradzione, żebym nie miał prawa niemi rozporządzać? Musisz je przyjąć, chyba że mnie już nie kochasz.

Pan Bartłomiéj skłonił się przed wspaniałym kolegą, chciał mu wynurzyć swoją wdzięczność, coś zaczął bełkotać, ale na tém się skończyło, że się rozpłakał; a pan Jakób:

— Baba z ciebie, Bartku, że z niczego wielkie wyobrażenie sobie

tworzysz. Ot wolałbyś zabierać się do wczasu, żeby nie być zaspanym do rannéj jazdy. Pamiętaj, że trzeba ci będzie pas zawiązywać, a czasu nie będziemy mieli do marnowania. No, nie bałamuć! dobra noc!

A do swojego szatnego, który ciągle mu asystował od jego przybycia do swojéj kwatery:

— Panie Duński, waszeć słyszałeś, że rozrządziłem moim garniturem numero pięć: proszę zaraz go wydać panu Kałużyńskiemu, żeby jutro mógł go wziąć na siebie. Szablę ma swoją, zdaje się, że już mu niczego nie potrzeba. Otóż zapomniałem o ważnéj rzeczy! Potrzeba; żeby obuwie było odpowiednie ubiorowi, mamy dwie pary butów czerwonych, niechże wybierze sobie z nich te, które najlepiéj do nóg mu przypadną. A co do mnie, dasz mi na jutro taratatkę szafirową, pas jedwabny i ten mój pałasz, co go smyczkiem nazywam. Jużci trzeba, żeby w domu mego wuja gość był wykwintniéj ubrany niż domownik. Już mi pas odwiązałeś, Dunisiu, i żupan rozpiąłeś; możesz sobie odejść, — wedle mojego zwyczaju sam się rozbiorę. A zabierz z sobą Bartka, i połóż go w łóżko! Ruszajże sobie, Bartku, a tylko proszę żebyś mnie nie nudził dziękowaniem. Nic dla ciebie nie robię, czegobyś ty dla mnie nie zrobił, gdyby nasze położenia się zmieniły. Dobra noc.

Poszedł Kałużyński uszczęśliwiony z szatnym, i rozebrawszy się, nie położył się w łóżko, aż wprzódy odmówił kilka pacierzy na intencyę swojego dobroczyńcy. Pan Jakób, gdy sam został, nie prędko udał się do spoczynku; rozbierał rozmaite wrażenia, jakich w ciągu dnia doświadczał. Jeżeli z jednéj strony upewnienia przywiązania Heleny i życzliwości jéj matki, jego serce radością napełniały, z drugiéj niemało niespokojności mu przynosiły, i ta chęć wujów, żeby koniecznie się wydalił ze stron ulubionych, i wahania się pani Niekrasinéj, która, jak mu się zdawało, coś wiedziała o jego przeznaczeniu, a przecie z tém się nie wymówiła. Poznał, że jakaś tajemnica niedocieczona otaczała jego życie. Błąkał się w różnych domysłach, na nic pewnego nie mogąc się zdobyć. Po mowie rejenta tyle tylko wiedział, iż jest przedmiotem nienawiści możnego domu, ale to trwożyć nie mogło tak mężnego młodzieńca, tém więcéj że jéj nie mógł niczemu innemu przypisać, tylko rozdrażnieniu miłości własnéj łowczyca mniemanym jego współzawodem do serca panny podkomorzanki. Pomyślał sobie: gniew pana łowczyca nie ma czego mnie przestraszać. Wszakże życzę sobie z całym światem żyć w zgodzie, bo niczyja niechęć zysku nie przynosi; ale jak pan łowczyc stanowczo się przekona, że mi nie w głowie jego Dulcynella, i że do innego przedmiotu serce moje pała miłością, ta jego nienawiść nie przemieni się zapewne w przyjaźń, ale przynajmniéj w obojętność, a ja niczego więcéj dla mojéj spokojności nie żądam. Kocham Helenę nad wszystko, jestem

pewny jéj wzajemności; mam dobre imię i niezły majątek, a do tego przyjaźń jéj rodziców, dlaczegóżby nie mieli mi oddać córki? Z mojemi zamiarami otworzę się przed wujem podczaszym; on mi nie odmówi wstawienia się swojego do pana chorążego. Jeszcze mamy dziewięć dni do popielca, aż nadto czasu dla ściągnienia jego do Żytomierza, a jak przyjedzie zaraz i zaręczyny. Niech już ślub mój będzie odłożony do powrotu mojego z Litwy. Cóż robić? Chęć połączenia się z moją kochaną będzie bodźcem do najrychlejszego ukończenia moich interesów. Niech mnie wuj rejent jak chce namawia, żebym przystał do dworu księcia hetmana; do tego mnie nie namówi. Wolę na własnym chlebie siedzieć, niż pańskie kąty wycierać; a jak obaczę, że na Litwie lepiéj niż na Rusi, a na to Helenka zezwoli, niewielka mi będzie trudność przyjechać do Hordiówki na wiosnę, ożenić się z moją drogą i wywieźć ją na Litwę; z nią wszędzie mi będzie dobrze. Oj! żeby ta noc prędzéj minęła! Jak kania deszczu, tak ja wyglądam jutra, żeby się z wszystkiego co mam na sercu wynurzyć przed wujem podczaszym.

Tak się uspokoiwszy, położył się w swojém łóżku, jednak długo na nim się przewracał nim sen skleił mu powieki.

ROZDZIAŁ IX.

Natura była pogrążona w podwójnym śnie zimy i nocy. Księżyc tylko blade światełka rzucał po tle ciemno-szafirowém, a jutrzenka jeszcze nie zabierała się otworzyć wrót wschodowi, kiedy już wygodne chociaż odkryte sanie pędziły po cichym gościńcu. Cztery konie myszate, dzieci step ukraińskich, ciągnęły te sanie przez bory Starościńskie, przedzielające Żytomierz od gruntów Jarkowicz i innych wsi, osiadłych na wytrzebionych lasach.

Na saniach siedział w tyle pan Jakób, obok niego pan Bartłomiéj, pierwszy w lisiurze, drugi w prostym kożuchu między niemi strzelba dubeltówka, bez któréj nigdy pan Jakób nie jechał, a na koziołku Artem, kozak jego, w huńce obwiązanéj pasem, z po za którego wyglądały dwie kolby pistoletowe.

Czas niejaki trwało milczenie. Przerwał je pan Jakób, odzywając się do towarzysza podróży.

— Bartku, co się zamyśliłeś? Czy ci nie przykro, żem cię wyciągnął z Żytomierza?

— Owszem, bardzo jestem wdzięczny, że mnie pan Jakób uznał *być godnym* jego towarzystwa; zresztą, chociaż mnie korci pokazać się

matce w tym ubiorze, który mam na sobie, i pochwalić się przed nią łaską mi wyświadczoną, nim słońce dzisiejsze zajdzie będę u niéj z powrotem.

— I tam cię jeszcze inna radość spotka. Wuj mój rejent powiedział mi, że dziś jeszcze zrobi dla twojéj matki sowity udział ze swojéj śpiżarni.

— Niech Bóg nagrodzi stokrotnie to, co wasz dom dla nas biednych czyni. Bo tyle doświadczyłem łask waszych, że już za nie i dziękować nie umiem. Ludzie mówią, że szczęśliwy szlachcic, co wisi przy magnacie; a ja mogę powiedziéć, że choć wy nie magnaci, tak jesteście wspaniali, że waszą życzliwość nie zafrymarczyłbym za względy senatorskie. Naprzykład JW. łowczy, pan całą gębą, a jednak wolałbym tobie, panie Jakóbie, służyć za pachołka, niż być w zamku Toporzyskim tém, czém u nas jest pan Mleczko.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że masz serce, a pan łowczy i jego synalek są ludzie bez serca.

— At gadasz! Ja sam do nich niewiele czuję pociągu, a jednak poczciwości ani ojcu ani synowi nie przeczę.

— A ja mam ich obu za ladaco. Pan Jakób za niemi obstaje, a daj Boże, żeby z ich łaski jakieś nieszczęście na niego nie padło.

— I ty także, Bartku, straszysz mnie panami Kierdejami? Radbym wiedział jednak, z czego wnioskujesz ich niechęć ku mnie, i niebezpieczeństwo, jakie z téj niechęci zagrozić mi może.

— Przyznam się, że powody ich niechęci nie są mi znane, ale że ojciec i syn nienawidzą pana Jakóba, o tém aż nadto jestem pewny, a jeszcze pewniejszy, że coś zdradzieckiego na niego knują. Ja nic nie mówię, ale bardzo uważam, co się koło mnie dzieje. Widzę od kilku dni zwłaszcza jakąś niezwyczajną niespokojność w panu rejencie; on czasem dwa razy na dzień powoływanym jest do pana łowczego, a ile razy od niego powraca, wygląda jakby był z krzyża zdjęty. Proszę widziéć, jak on jest niespokojny, kiedy waszmość jesteś gdzie na wieczornéj zabawie, a jak od kilku dni ciągle się narada z Ickiem faktorem, w którego wierzy jak w tęczę, a który u niego wzrasta w cenie w miarę zakłopotania, jakiego doświadcza. Oto pan Jakób nie wié, że dnia wczorajszego po północy Icek wpadł do niego, a waszmość wiesz, że ludzie mają rozkaz puszczać go do pana w każdéj porze. Żyd go obudził i więcéj godziny sam na sam z nim zostawał, a i to trzeba wiedziéć, że słudzy państwa Kierdejów ciągle około naszych się kręcą, częstują ich po szynkowniach, i coraz silniejszą z niemi przyjaźń zawiązują. Albo to mi klina w głowę nie wbiło, że dnia zawczorajszego, idąc na Kamionkę do matki, wstąpiłem po drodze do szynkowni Czortka, żeby kupić pierników dla siostrzyczek.

otóż widziałem na własne oczy, jak w kącie alkierza cicho z sobą rozmawiali Artem, pański pachołek, co siedzi teraz obok woźnicy, i Zacharenko, kozak faworyt pana łowczyca, a między niemi stała butelka wiśniaku i dwie szklanki napełnione. Zacharenko częstował Artema; i zauważyłem w jedném oka mgnieniu wielką między niemi przyjaźń. Panie Jakóbie, bądź pewny, że jakaś zdrada na ciebie się gotuje. Tym panom Kierdejom źle patrzy z oczów; moja dusza ich nie cierpi. Nie godzi się posądzać ludzi bez przekonania, a jednak nikt mi tego z głowy nie wybije, że nie ma niegodziwości, któréjby ojciec i syn się nie dopuścili, jeżeliby ona jakąkolwiek korzyść im przyniosła.

— At gadasz... Że łowczyc swoją dumą cię obraził, już ani czci. ani wiary na nich nie zostawiasz. Wreszcie, gdyby i tak było rzeczywiście, cóż my na to poradzim?

— Nie mnie symplakowi dawać rady mądremu, ale jeżeli mi pozwalasz się odezwać z mojém lichém zdaniem, to mu powiem, że gdybym był na jego miejscu, nie tylkobym się nie ociągał w dopełnieniu woli jego wujów, co do jak najrychlejszego wyjazdu na Litwę, ale tak skwapliwiebym wyruszył, że gdybym oka zapomniał w Żytomierzu, po niebym nie wrócił; bo jużci lepiéj uniknąć biédy póki można, niż ją przewalczyć. Wszakże z podobném zdaniem nieraz dał sie słyszéć pan rejent.

— Jak widać, Bartku, zaczynasz być lękliwym, a to do ciebie niepodobne; bo chociaż jesteś przyrodzenia łagodnego, widziałem cię parę razy dzielnie broniącego się od napaści. Przeszłego roku podczas sejmiku wyskoczyłeś z szablą na ratunek nieznajomego tobie szlachcica, na którego czterech było napadło. Wielki wtedy powziąłem dla ciebie szacunek, żeś siebie poświęcił dla bliźniego, bo zawsze musieliście walczyć jeden przeciwko dwom. Zkądże teraz ci przyszła tak bojaźliwa ostrożność względem mnie?

— Że wmięszałem się do sprawy napadniętego po rozbójniczemu brata szlachcica, to dlatego, że tak Bóg przykazał. Byłbym podły, gdybym inaczéj postąpił, i Bóg téż w osobie twojéj, panie Jakóbie, przysłał nam wybawiciela, bo już djable było kręto koło nas. Jedno, że jak twoja trzecia szabla się pokazała, dopiéro daliśmy radę napastnikom: ale co innego opuszczać bliźniego w niebezpieczeństwie, a co innego nie narażać się na nie, kiedy to można uczynić bez uszczerbku szlacheckiéj sławy. Wreszcie i na dwie i na więcéj szabel mam przecie moją jednę, ale na podłe zasadzki, podejścia, zdrady, cóż mogę wystawić na obronę? Czém się złożę od pocisków nieprzyjaciela niewidzialnego? Ba, żeby to choćby i tysiąc szabel waszmości zagrażało, byłbym o niego spokojny, i mybyśmy jakoś kilkaset zebrali. U kija dwa końce! Ale tu nie idzie o otwarty bój, ale o skryte zamachy na jego *bezpieczeń*stwo, a przed takiemi i najmężniejszy powinien uciekać.

Od napaści czarta możesz się wybawić wodą święconą, ale przeciw zdradzie nie ma obrony.

— Powiedzże mi, Bartku, jak ci się zdaje, zkądby przeciw mnie mogła się wzniecić taka nienawiść panów Kierdejów, których tak dobrze jak nie znam?

— A Bóg święty to wié, czy to wiele potrzeba żeby się narazić magnatowi. Może to pana łowczyca irytuje, że masz więcéj od niego szczęścia do ludzi; może to, że ośmielasz się być jego współzawodnikiem do panny podkomorzanki, jak o tém ludzie mówią; może uważa iż nie dbasz o jego łaskę; może... a kto tam przeniknie to wszystko, co duma może przynieść do głowy takiemu, co nigdy żadnéj przeciwności nie doświadczył. Chimery to pańska rzecz, z rozkoszy sami nie wiedzą co wymyślić; my chude pachołki tego i nie rozumiemy. Wtedy się obrażamy kiedy kto wyraźnie nas chce zadrasnąć, a resztę mimo siebie puszczamy, ale przed możnym z roztargnienia czapki nie zdejm, już kupiłeś sobie wroga.

— Więc i ty mi radzisz ztąd uciekać?

— Co to uciekać! Masz interesa na Litwie; cóż dziwnego, że tam wyjedziesz dla ich załatwienia? Jużci nikt tego ucieczką nie nazwie, chybaby oszalał. A co do mnie, twój pobyt w Żytomierzu, panie Jakóbie, jest mojém szczęściem; ty mnie okrywasz, obdarzasz, jesteś dla mnie więcéj niż ojcem. Jednak, chociaż nie wiem w co się obrócę, kiedy nas opuścisz, będę się miał za uszczęśliwionego, jak się dowiem, że jesteś w Nieświeżu, bo od kilku dni chwili spokojności nie mam, tak się lękam, żebyś nie wpadł w jakąś zasadzkę. O tém żaden z naszych nie wié, ale mnie przywiązanie jakie mam dla ciebie, oświeca. Wierzaj mi, że gdybym od siebie zależał gdyby nie to, że los mojéj matki i moich siostrzyczek jest związany z moim, tobym na klęczkach cię prosił, żebyś mnie wziął z sobą, choćby na pachołka.

— Dobry, poczciwy Bartku!

Na tém się urwała rozmowa. Jakób utonął w zadumaniu, a Bartek także zamyślony, ciągle na niego patrzał. Już brzask dzienny oświecał przedmioty, a promienie młodego słońca przedzierały się już przez gęste gałęzie sosen Starościńskiego boru. Wszystko było milczące; kiedy niekiedy pokazywał się jakiś gajowy na koniu, co już zwiastowało blizkie granice lasu; ten, jeżeli był przy drodze, powitał podróżnych chrześciańskiém pozdrowieniem, i zaraz się oddalał.

Już przebyli las, właśnie kiedy pierwszy promień oznajmił im wschód słońca i odkrył przed ich wzrokiem opodal kurzące się kominy dworu Jarkowickiego. Jeszcze trochę pokłusowały konie; nareszcie zajechali na dziedziniec skromnéj rezydencyi dożywotniego posesora. Stanęły sanie przed gankiem, obaj podróżni z nich wysie-

dli, zrzucili w sieniach pokrycie zimowe, a że służący pana podczaszego im powiedział, że już jego pan śniada, pan Jakób, a za nim pan Bartłomiéj weszli do pokoju.

W nim zastali gospodarza siedzącego w ranném, a raczéj w gospodarskiém odzieniu, to jest w żupanie białym z domowego płótna, a na nim wołoszka bajowa. Siedział przy stoliku, na którym stała waza z owsianką, ale nie sam, bo przy nim siedział jakiś obywatel w pełnym ubiorze, przy pałaszu, z pasem litym. Jego twarz nie zdawała się być obcą Jakóbowi, wszakże nie mógł przypomniéć sobie, gdzie się z nim spotkał. Podczaszy powstał, żeby powitać drogiego siostrzana, nieznajomy nie ruszył się z miejsca.

Podczaszy z czułą uprzejmością podniósł Jakóba, który mu padł do nóg, i uścisnął serdecznie młodzieńca, a kiedy ten mu przedstawił kolegę, który mu się nizko skłonił, a potém stał wyprężony jak świéca, lubo i jemu grzeczność gospodarską okazał, było coś w jego oczach, co okazywało, że nie bardzo rad z przybycia obcego. Poznał to wnet Bartłomiej, i nie chcąc być nikomu na zawadzie, wyszedł zaraz, oświadczając panu Jakóbowi, że nie chcąc być natrętnym dla wuja i siostrzana, którzy muszą miéć wiele do mówienia z sobą, idzie na folwark do podstarościego, z którym ma znajomość, a nawet zmyślił, że ma do niego polecenie od swojéj matki. Pan podczaszy odprowadził go do drzwi z kilkoma ukłonami, ale widać było na nim radość, że się go pozbył.

Gdy zostali sami, Jakób mu wręczył list od rejenta, a ten wziąwszy go w jednę rękę, drugą go zaprowadził do swego gościa, i przedstawił mu siostrzana. Nieznajomy, którego podczaszy tytułował pułkownikiem, był wzrostu dużego, twarzy na któréj nie tyle malowała się surowość, ile ślady długich cierpień i przygasłych prawicą czasu gwałtownych namiętności. Z tém wszystkiém, było w nim coś wielce szlachetnego, coś takiego, że go raz widziawszy, trudno było zapomniéć. Był to człowiek nieco podstarzały, ale rysy jego twarzy zachowywały ślady piękności. Nawet wpatrzywszy się w jego oblicze poorane zmarszczkami, a które kilka blizn bynajmniéj nie oszpecały, można było poznać, że na nich zgryzoty więcéj śladów zostawiły, niż lata. Z jego oczów dużych i czarnych wychodziły czasem przerażające błyskawice, a jednak, kiedy mu podczaszy przedstawił Jakóba, i kiedy na znak przyjacielski podał mu rękę, z tych jego oczów zwykle srogich wyszło spojrzenie tak łagodne, tak za serce chwytające, że Jakób poniewolnie uczuł ku niemu jakiś niewypowiedziany pociąg, który się ciągle wzmagał w téj niezbyt długiéj rozmowie, jaką z nim prowadził, podczas, gdy podczaszy odczytywał list, przysłany przez brata.

Skończył swoje czytanie podczaszy i przybliżył się do nich, prze-

praszając pana pułkownika, że przez tę chwilę nie był zajęty jego osobą. Była to grzeczność zwykła w czasie, gdzie wychowanie głównie się zasadzało na czci Boga i grzeczności dla bliźnich; jednak nie uszło bystréj uwagi Jakóba, że czasem przebijała się niezwykła uniżoność wuja w jego obcowaniu z gościem, tém więcéj zadziwiająca, że urzędnik ziemski wtedy, oprócz hetmańskiemu, żadnemu stopniowi wojskowemu nad sobą wyższości nie przyznawał. Zauważył nawet, że jego wuj poniekąd zmuszał się do zachowania stosunków równości z tym tajemniczym pułkownikiem, i że często przez zapomnienie okazywał mu więcéj uszanowania, niż tamten miał prawa do niego. Czas jakiś trwało milczenie, w ciągu którego spostrzegł młodzieniec, że obaj starzy rzucali na siebie wzroki porozumienia.

Nakoniec podczaszy odezwał się:

— Wielce mnie cieszy, że, o czém się dowiaduję z listu mego brata, przecież skłoniłeś się do naszego życzenia, żebyś jak najśpieszniéj udał się na Litwę, gdzie na ciebie czeka gotowy, a niezbyt szczupły majątek.

— Wola wujów dobrodziejów jest dla mnie świętą, i umówiłem się z wujem rejentem, że zaraz po przyjęciu popiołu opuszczam Żytomierz, jak o tém zapewne musi być wzmianka w liście dopiéro przez wuja odebranym.

— Nie inaczéj. Wprawdzie życzyłbym sobie, żebyś nie wracając do Żytomierza, ztąd mógł prosto jechać na Owrucz, ale wiem, że do tego cię nie skłonię. Wszystkie papiery tyczące się twojéj osoby i twojego majątku, wręczyłem panu pułkownikowi, którego winieneś uważać jako trzeciego twojego opiekuna. Dowiesz się, ile masz powodów czci i wdzięczności dla niego. On ci odda w Żytomierzu to, co mu powierzyłem, a odtąd pamiętaj, że tę powolność, jaką zawsze nam okazywałeś, winieneś przenieść do jego osoby, bo dowiesz się, że do niéj ma większe prawo, niż my.

Skłonił się Jakób przed pułkownikiem, który go przycisnął do swego łona, a potém odwrócił się, jednak nie tak prędko, żeby nie spostrzegł Jakób łzy w jego oku, i sam przez kilka chwil był rozrzewniony, bo, jako się powiedziało, jakiś dziwny pociąg skłaniał jego serce do pułkownika.

Wszyscy trzej zajęli na nowo swoje miejsca, a Jakób głosem nieśmiałym tak się odezwał do podczaszego:

— Mam jedno wyznanie do wynurzenia wujowi dobrodziejowi, a z tego co mi dopiéro wuj powiedział, widzę, że nic takiego co się mnie tyczy, nie powinno być obcém dla pana pułkownika. Więc w jego przytomności tłómaczyć się będę, w nadziei, że jeżeli to co powiem nie zgadza się z przekonaniem wuja dobrodzieja, on zechce się

wstawić za mną, żebym nie został odsunięty od tego, co stanowi jedyne szczęście, jakiego pragnę na ziemi.

— Wymów, Jakóbie, wszystko co masz na sercu: dla twojego własnego dobra nic przed nami dwoma nie powinieneś taić. Masz wiele lat przed sobą, a chociażbyś się doczekał najpóźniejszéj starości, bądź pewny, że w ciągu twojéj pielgrzymki nie znajdziesz dla siebie nigdy serc życzliwszych od naszych.

— Wuj dobrodziéj z tém się wymówiłeś, że byłoby jego życzeniem, żebym nie wracając do Żytomierza, ztąd prosto udał się na Litwę. W każdéj innéj okoliczności ze skwapliwą gorliwością zadośćbym uczynił jego woli, ale teraz rozrządzać sobą, jest rzeczą nad moje siły. Przywiązałem się sercem i duszą do jednéj poczciwéj dziewczyny, i pewny jestem jéj wzajemności. Jéj obraz nigdy z myśli mojéj nie odchodzi; bez niéj nie może być dla mnie szczęścia, życie stałoby się ciężarem, a najniefortunniejsze przygody tego życia będę znosił nie tylko z męztwem, ale nawet z radością, dopóki będę ożywiony myślą, że kiedyś ona będzie moją. W przeciwnym razie żyć nie chcę, bo na cóżby mi się bez niéj życie przydało? Mój los w ręku wuja; od niego zależy mnie uszczęśliwić. Niech tylko za jego wstawieniem otrzymam obietnicę jéj ręki, a spokojnie, gdzie wuj każe, oczekiwać będę chwili chociażby oddalonéj, ziszczenia téj obietnicy.

Pokąd Jakób mówił, obaj starce spoglądali na siebie z niespokojnością. Skończył, a jeszcze czas jakiś trwało milczenie; przerwał go pierwszy pan podczaszy zapytaniem:

— W kimże się, Kubusiu, zakochałeś? Jeżeli to prawda, com zasłyszał od mojego brata, że się zalecasz pannie podkomorzance, to nic na to nie mogę ci powiedziéć, tylko że cię żałuję, i że w takim razie jeszcze więcéj mam za obowiązek naglić twoje wydalenie się z tych stron.

— Myli się wuj i ci wszyscy co powtarzają, że mam jakieś urojone widoki na pannę, którą wuj dobrodziéj wspomniał; bardzo się mylą. Podkomorzanka jest bez wątpienia osobą pełną wdzięków i przymiotów, ale daleko jéj do téj, która opanowała moje serce, lubo jéj położenie towarzyskie nie tyle jest lśniące. Moja dziewczyna nie jest ani bogatą, ani familiantką, ale ma godnych rodziców, poprzestających na swojéj pomierności, a którym prawie od niemowlęctwa jestem obowiązany. A co więcéj, jéj ojciec jest w ścisłych związkach z obudwoma memi wujami, a zwłaszcza z jegomością dobrodziejem.

— A, a, a, rozumiem, pokochałeś się z jedynaczką pana chorążego Niekrasy, mego dawnego przyjaciela.

— Nieinaczéj. I ośmielam się upraszać wuja dobrodzieja, aby raczył oświadczyć się za mnie panu chorążemu, nie o rękę panny Heleny, ale przynajmniéj o obietnicę jéj ręki. Bo sam wiem, że trzeba

mi pomyśléć, gdzie téż zawiozę ją po ślubie, i opatrzyć siebie i ją własnym chlebem. Ta obietnica będzie bodźcem i do mojego wyjazdu, i do pilności w ułatwieniu moich interesów na Litwie. Zdaje mi się, że będąc pełnoletnim sierotą, mam wszelkie prawo obierać sobie towarzyszkę żywota, oraz tuszyć, że wuj mi swego wsparcia nie odmówi.

— Nikt ci tego prawa nie przeczy; jednakże nie myśl, że dlatego iż jesteś pełnoletnim, już nikt nie ma prawa żądać, żebyś mu dał liczbę ze swoich postępków. Oto widzisz przed sobą pana pułkownika, którego miałeś szczęście dopiéro poznać; otóż wiedz, że już nie my, ale on odtąd ma wpływać na twoje postanowienie. To cię zapewne zdziwia, ale jeszcze cię więcéj zadziwi, jak się dowiesz, że choćbyśmy na klęczkach prosili państwa chorążostwa o ich córkę dla ciebie, dopóki pan pułkownik za tobą nie przemówi, daremne będą nasze prośby.

Znowu na siebie spojrzeli starcy; podczaszy zdawał się czytać z twarzy pułkownika myśl jego i oczekiwać jego odpowiedzi.

— Panie Piotrze — rzekł pułkownik nieco zamyśliwszy się — znam dobrze poczciwego Niekrasę, i mam go za wielkiego mego przyjaciela, a więc nic nie mogę miéć przeciwko temu. Słuchaj, Kubusiu, a nie gniewaj się, że do ciebie mówię z taką poufałością; po tém, co ci powiedział pan podczaszy, możesz wierzyć, że mam jakieś prawa do tego. Dodam, o czém musisz wiedziéć zapewne, że pan Niekrasa znachodzi się teraz w swojéj dzierżawie pod Owruczem. Do niego więc udamy się jutro, a ja w tém, żeby pani chorążyna z córką wyjechały do męża. Zdaje się, że wszystko powinno się ukartować stosownie do twojéj myśli. Ale już moje sanie zajechały; muszę jak najprędzéj dostać się do Żytomierza; przed wieczorem i ty, Kubusiu, tam będziesz. Zalecam ci, Kubusiu, żebyś nie wychodził ze swojego mieszkania w Żytomierzu i na mnie czekał. Żegnam cię, panie Piotrze, do zobaczenia, bo nie mam chwili do tracenia. Bądź zdrów, Kubusiu! Wszystko pójdzie dobrze, miéj tylko ufność w Bogu.

To rzekłszy powstał, powstali podczaszy i Jakób; odprowadzili pana pułkownika do sani. Zauważył Jakób, że podczaszy wyprowadzając pułkownika podwajał jeszcze te oznaki uszanowania, których używał z nim obcując, a że ten je przyjmował, jak człowiek do nich wezwyczajony.

Kiedy zostali sami, nadaremno próbował Jakób otrzymać od wuja jakieś wiadomości o tym dziwnym pułkowniku, który wpływał na jego losy, a o którym tyle tylko się dowiedział, że ma do tego prawo. Któż on był taki? Zdawało mu się, że jego twarz nie była mu obcą, że go kiedyś widział, ale jakby przez sen. Gubił się w rozmaitych domysłach, ale niczego wyczerpnąć nie mógł od wuja. Ten, znany z małomówności swojéj, jakby czuł się zmęczonym tém, co mu-

siał w przytomności pułkownika mu powiedzićć, zdawał się to sobie wynagradzać jeszcze głębszém milczeniem niż zwykle. Tyle tylko, że kiedy pan Bartłomiéj powrócił z folwarku przy zbliżającéj się porze obiadowéj, kilkoma grzecznemi słowami odpłacił skromność i dobre wychowanie młodzieńca, który po przedstawieniu swojém na wstępie pomiarkował, że wuj i siostrzan mieli wiele do pomówienia z sobą, a tém samém, że przytomność obcego była im wcale niepotrzebną, i z tego powodu sam wydalił się, żeby nie być natrętnym; ale potém wpadł w zwykłe zadumanie, tak że obiad, odbył się w zupełném milczeniu.

Ledwo obiad się skończył, pan podczaszy rzekł do Jakóba:

— Kubusiu, nie zatrzymuję cię, i chociaż to nie jest rzecz gospodarska, kazałem zajść twoim saniom we wszelkiéj gotowości, żebyś zaraz po obiedzie wracał do Żytomierza; bo chociaż twoja przytomność i tego szanownego twojego kolegi, co mnie zaszczycił swojém nawiedzeniem, wielce jest dla mnie przyjemną, twój odjazd jest dla ciebie tak potrzebnym, że zgrzeszyłbym, gdybym cię do niego nie naglił.

W saméj rzeczy, sanie były gotowe. Jakób chciał paść do nóg wujowi, ale ten tego nie dopuścił, przycisnął go do swego łona, nawet ręki nie pozwolił ucałować, ukłonił się Bartłomiejowi, jeszcze raz dziękując mu, że raczył szukać z nim znajomości, i pomimo próśb Bartłomieja odprowadził ich pod ganek, gdzie już sanie na nich czekały, i dopiéro kiedy w nie obydwaj wsiedli, a woźnica konie zaciął batogiem, wrócił stary do swego pokoju.

ROZDZIAŁ X.

Takim samym porządkiem jak wprzódy, wracali nasi podróżni do Żytomierza, z tą tylko różnicą, że wyjeżdżając do wsi w porze ciemnéj, dążyli ku światłu, a teraz przeciwna strona była pochylona ku zachodowi. Coraz mniéj światła padało przez gałęzie sosen, pod których stopami snuł się szlak, który przebywali.

— Panie Jakóbie — odezwał się Bartłomiéj — czy pan poznałeś się z tym podżyłym obywatelem, co tak bogato był odzianym, a którego zastaliśmy przy śniadaniu z W. podczaszym. Ja zaraz wyszedłem, żeby państwu nie przeszkadzać rozmowy, i dobrzem zrobił, bo gdybym wam nie był niepotrzebny, to pewnie pan podczaszyby mnie zatrzymał, a tu widać że musiał być rad, iż mnie się pozbył, bo zo-

stawił mnie na folwarku, i dopiéro kiedy już obiad był gotowy, oznajmiono mi, żebym poszedł do stołu.

— Musiałeś się nudzić na folwarku.

— O nie! dyspozytorstwo wcale ludzkie. Sam kiedyś bawił się żołnierką i potykał się ze Szwedem; sama, będąc panną po dworach służyła; oboje wiele mają do opowiadania, a z niemi nudzić się nie można, a do tego są tam dwie córki, wcale gładkie panienki, a mnie znane, bo ile razy przyjeżdżają do Żytomierza z rodzicami na jakie nabożeństwo, a potém ich matka robi jakie sprawunki w mieście, lub zatrudnia się jakąś sprzedażą, zawsze zostawia je u mojéj matki na Kamionce, i ztamtąd je zabiera odjeżdżając.

— A więc musiałeś się im zalecać, żeby się nie nudzić.

— Zalecać jak zalecać, ale człowiek rad spotkać się ze znajomemi, kiedy jest za domem. Z tém wszystkiém, ten gość zabił mi klina w głowę.

— A to dlaczego?

— Bo jak widać, musi to być jakiś personat. Raz, że bogato się nosi; powtóre, że zauważyłem z jednego rzutu oka, że pan podczaszy chociaż i majętny, i urzędnik, z nim obcował jakby z wyższym od siebie; potrzecie, że jego służący jest zuchwały, jak pański, a nie jak szlachecki sługa.

— Czyż doświadczyłeś jego zuchwałości?

— I bardzo! zapytałem go, kto jest jego pan? a on na mnie byczą minę nastroił, i śmiał mi odpowiedziéć: a co tobie do tego? Gdyby to nie było pod domem podczaszego, byłbym mu mordę pięścią spłaszczył. Przecie szablę noszę, jestem chudym pachołkiem, ale szlachcicem, i z twojéj łaski, panie Jakóbie, jestem tak ubrany, że ten cham mógł poznać mój stan. Tak mnie rozgniewał, że o mało nie oszalałem ze złości. Tyle mi zostało przytomności, że uciekłem, aby burdy nie zrobić, a tém nie narazić waszeci na wymówki podczaszego, żeś mu przywiózł kłótnika do domu. Pan Jakób musi wiedziéć, co to za jeden.

— Mój wuj mnie jemu przedstawił, rozmawiałem z nim dość długo. Wuj mi powiedział, że on ma wielki wpływ na moje przeznaczenie, że winienem mu we wszystkiém się powodować; ale zabij mię, jeżeli wiem jakie jego nazwisko, i jakie stosunki tak ściśle nas wiązać mogą?

— To dziwna rzecz! bo dyspozytor, który od dwudziestu lat zostaje w obowiązku u pana podczaszego, powiedział mi, ze w pierwszych latach jego służby przynajmniéj raz w roku nawiedzał Jarkowce, że z wielkiém uczczeniem zawsze był przyjęty, ale że od kilku lat już się nie pokazywał, aż dopiéro dnia wczorajszego i to późnym wieczorem, znowu się zjawił; i że jego sługa tak jest milczącym, iż nigdy

od niego nie mógł się dopytać ani jego stanu, ani jego nazwiska, ani nawet gdzie mieszka i zkąd jedzie?

— Wcześniéj czy późniéj o tém się dowiem, bo z nim razem mam jechać na Litwę; a teraz wiem że jest poczciwym człowiekiem, i taki do niego czuję pociąg, iż to wemnie żadnéj nie pobudza trwogi, że mój wuj kazał mi ślepo mu się powierzyć.

Rozmawiali, a słońce coraz niżéj się spuszczało. Wtém zajechali na dwie drogi krzyżujące się z sobą, w prawo szlak do Żytomierza prowadził, a prosto przed sobą droga szła ku Rudomysłowi. Od strony Żytomierza posuwały się obszerne sanie pokryte. a z pod budy pokazał się podróżny, którego odrazu poznali pan Jakób i jego towarzysz: był to pan łowczyc. Przeraźliwie krzyczéć zaczął, i na jego głos kilkunastu kozaków na koniach a dobrze uzbrojonych, wyszło z po za gęstwiny, wołając na woźnicę pana Jakóba: — Stój, stój! ani ruszaj z miejsca, jeżeli chcesz zostać całym! — A pan łowczyc bez przestanku wrzeszczał na swoich kozaków: — „Weźcie, wiążcie, ale żebyście koniecznie żywcem go do mnie przyprowadzili". — A kozacy posłuszni, zbliżali się do pana Jakóba.

Pan Jakób porwał się do swojéj dubeltówki, wystrzelił w kupę kozaków, ale spaliło na panewce; i druga rura tak go zawiodła, jak pierwsza. — Zdrada! — krzyknął — dobył szablę z pochwy i wyskoczył z sani; toż samo uczynił i pan Bartłomiéj, ale wyskoczywszy z sań, rzekł:

— Ponieważ jest zdrada, przynajmniéj zdrajca nie zostanie bez kary, i szablą tak ugodził po łbie Artema, że ten spadł z kozła krwią oblany, jakby już nieżywy.

Obydwa stali za saniami, dla zabezpieczenia się od napadu z tyłu, we wszelkiéj gotowości, aby się bronić do upadłego, a przynajmniéj życie drogo przedać. Wszczął się bój zażarty między dwoma szlachcicami, a dziesięciu najmniéj chamami, którzy coraz silniéj nacierali i ciągle wrzeszczeli: — *Poddajcie się, poddajcie*, bo inaczéj na miazgę was posiekamy! — a jednak taka była straszna machanina szabel dwóch napastowanych, a zwłaszcza pana Jakóba, że żaden napastnik nie śmiał zanadto się przybliżyć. Były to jakby fałszywe ataki. Rachowali na to, że obaj się zmęczą, a wtedy łatwo będzie ich imać. Ale gdy to spostrzegli Jakób i Bartłomiéj, zaczęli sił swoich oszczędzać, by naprózno ich nie trwonić, i spokojnie czekali, aż który się nie przybliży. Wtém jeden ze zgrai napastników zaciął batogiem konie zaprzężone do sani, konie ruszyły, a tym sposobem oddaliły się od nich sanie, które im służyły za twierdzę.

— Obróćmy się tyłem do siebie — krzyknął Jakób do kolegi — a brońmy się każdy ze swojéj strony, dopóki będzie można. Ażaliż kto nie nadjedzie? Wszak to wielki gościniec!

Bój nie ustawał; kozacy pomiarkowali, że straszniejszy opór ze strony Jakóba, niż z Bartłomieja. Podzielili się więc na dwa oddziały z których silniejszy obrócili naprzeciw ostatniego, żeby tego schwyciwszy, tamtemu tył zająć; ale ile razy było zanadto kręto koło Bartka, pan Jakób odmienił front, i tém mięszał ich porządek. Już trwała bitwa około dwudziestu minut bez żadnego rozwiązania; słychać było kiedy niekiedy szczęk szabli, ile razy który się zbliżał do broniących się z odwagą rozpaczy, a ciągle głos zniecierpliwionego łowczyca na swoich ludzi, że do końca nie umieją przyprowadzić roboty.

Nakoniec przyszła szczęśliwa myśl do głowy kozactwu; hurmem pozrzucali z siebie hunki i kożuchy, i temi ciskali naprzeciwko broniących się, i tak ich zaplątali, że odplątać się nie mieli czasu, kiedy ta tłuszcza na nich napadła. Tym sposobem obaj zostali powaleni, rozbrojeni i skrępowani przez umyślnie na to przygotowane powrozy.

Położono ich na tych samych saniach, które ich przywiozły, nawet woźnicę związali; tak rozkazał łowczyc, w obawie zapewne, żeby nie było komu donieść urzędowi o tém zgwałceniu securitatis publicæ. Położono ich wszystkich trzech. Pan Jakób milczał na urągania kozaków; woźnica płakał, prosząc, aby mu życie darowano, a pan Bartłomiéj tyle tylko, że się odezwał: — „Wielka sztuka! was kilkunastu napadło na nas dwóch, i bez zdrady obejść się nie mogli; bo jużci radybyście nam nie dali, gdybyście nie byli nas obrzucili waszemi hunkami. Teraz wasza na wierzchu, ale mam w Bogu nadzieję, że to nie na długo, i że kiedyś się doczekam, że wasz łowczyc dyndać będzie na szubienicy.“

Na to odpowiedział mu jeden z kozaków tęgiém uderzeniem nahaja po skórze, z tym akompaniamentem:

— Oto masz wraży synu za to bluźnierstwo przeciw naszemu panu; jeżeli piśniesz na niego, tak ci wygarbujem twoję szlachecką skórę, że się przyda na pokrycie terlic.

Bartłomiej wrzasnął przeraźliwie, ale odtąd już zasznurował sobie usta.

Sanie otoczone kozactwem wyruszyły z miejsca. Wtém nieprzewidziany ratunek Bóg im nadesłał: kilku kozaków wysunęło się z głębi puszczy, ale obcych. Nim kozacy Kierdejowscy opatrzyli się, czy to swoi, czy cudzy, już ci nowoprzybylce przyskoczyli do sań pana łowczyca, i jego samego porwali. Jego kozacy zabierali się go odbić, ale jeden z tych nieznajomych przyłożył kozik do gardła hrabiego Augusta, że ten przestraszony powtórzył donośnym chociaż drżącym głosem, to co musiał mu szepnąć nieznajomy: — *Pod moją łaską przykazuję wam, żebyście tych podróżnych rozwiązali, ich broń im oddali, a waszą złożyli na ich saniach!*“ — Z początku wierni kozacy wahali się, czy spełnią rozkaz czy nie? a nawet wysunęli się naprzód, żeby pana

swego odbić, ale gdy ten co go trzymał pod nożem krzyknął: — *Jeżeli którykolwiek z was o krok się posunie, wasz pan natychmiast zarzniętym będzie.* — A łowczyc znowu: — *Na miłość Bogą oddalcie się, i to róbcie co wam rozkazałem!* Kozacy radzi nieradzi powiedzieli sobie: *skacz wraże, jak pan każe*, i w jednéj chwili zdradziecko pojmanych jeńców z więzów wyzwolili, i wszelką broń złożyli, którą pan Jakób z towarzyszem swoim zaraz wzięli w opiekę.

Nieznajomy ich wybawiciel swoim ludziom rozkazał zabrać konie kozaków Kierdejowskich, żeby im na myśl czasem nie przyszło dowiedzićć się, w którą stronę się uda, a panu łowczycowi coś szepnął do ucha; poczém powiedział mu głośno, ale głosem znanym od pana Jakóba. *Mości panie, waszeci zostawiam jego sanie, niemi zajedziesz tam zkądeś przyjechał, a jak tam złączysz się ze swoim ojcem, kłaniaj się mu odemnie i powiedz, że jeszcze między nami niezałatwiony rachunek, i że trudno żeby był załatwiony w zupełności, dopóki ja i on będziem gościć na tym świecie.*

Po wyprawieniu takowém pana łowczyca w saniach, a jego kozaków pedibus apostolorum, zbliżył się do wybawionych przez siebie młodzieńców, a obok niego i drugi jeździec przybył. Poznał ich pan Jakób: był to ten sam obywatel, którego przed kilkoma godzinami zastał u wuja, i ten Kulbida, niegdyś od niego wybawiony, a który mu teraz odpłacił usługę, jaką kiedyś mu był wyrządził. Pierwszemu cały poczet, nie wyłączając Kulbidy, wszyscy byli posłuszni. Ten, obracając mowę do niego, rzekł: — *Kulbido, do obaczenia; żebyście zaraz przewieźli mi Jakóba gdzie wiész. Głowa twoja odpowié mi za niespełnienie mego rozkazu. Jak przyjedziecie przed świtem tam, gdzie na was czekają, tego szlachcica co towarzyszy Jakóbowi zostawisz, i dasz mu wszelką możebną łatwość, aby się dostał do Żytomierza. Temu, co jest ranny, obwiążcie głowę naprędce, zabierzcie z sobą, i zawieźcie tam, gdzie trzeba, ażeby czasem nie paplał w Żytomierzu. Bywajcie zdrowi; wkrótce obaczymy się, panie Jakóbie. Bądź we wszystkiém posłuszny Kulbidzie, gdyż to wszystko co zrobi, jest dla twojego dobra. Zresztą wszelki z twojéj strony opór byłby daremnym. A co się tyczy waszeci, radzę mu, jak wrócisz do Żytomierza, żebyś pokrył najgłębszém milczeniem to wszystko, na coś patrzał dopiéro; bo jeżeli z czémkolwiek się odezwiesz, na wielkie nieszczęście się narazisz. Przed jednym tylko rejentem winieneś się otworzyć, i śmiało pójść możesz za jego radą. Młodcy, róbcie waszą powinność! Nie na długo rozstajemy się.*

To rzekłszy, zacisnął konia ostrogami. Koń z miejsca pędem strzały naprzód się wysunął, i wkrótce ze swoim jeździcem zniknął.

Pozostali kozacy wzięli się do spełnienia rozkazów, jakie im dawał Kulbida. Obwiązali głowę Artemowi, który przestraszony więcéj, niż ranny, siedział jakby nieżywy. Potém broń zabraną panu łowczyco-

wi i jego ludziom, jak tylko ten odjechał na swoich saniach, a jego poczet pieszo za nim się oddalił, wynieśli w głąb' lasu, i między krzakami ją złożyli, wyjąwszy kilka sztuk najlepszych, które wraz z końmi zwyciężonych z sobą zabrali. Usadowili panów Jakóba i Bartłomieja na saniach, z Kulbidą w prawo i w lewo utworzyli glejt, kazali woźnicy zaciąć konie, i ruszyć ile tylko mogą wyskoczyć. Wszyscy po trzykrotnie na sobie zrobili znak krzyża świętego, i wyruszyli z saniami nie gościńcem prowadzącym do Żytomierza, jak pan łowczyc, ale tym, który od strony lewéj krzyżował się z wielkim traktem. I tak opuścili miejsce, gdzie się ta cała scena odbyła.

Obaj nasi bohaterowie w ciągu téj podróży siedzieli zamyśleni, nie rozumiejąc, co się z nimi stało. Pan Jakób smucił się nie tyle z utraty wolności, ile że się oddala nie wiedziéć dokąd od drogiéj Heleny. Aż nadto mógł być przekonanym, że zostaje w rękach jemu życzliwych, bo przez nie został wybawiony, nakoniec wszyscy, poczynając od Kulbidy okazywali mu uszanowanie; ale z drugiéj strony to wyzucie się z własnéj woli, to jéj poddanie pod cudzą, ta niewiadomość, dokąd go wiozą i jakie może być jego dalsze przeznaczenie, ta niepewność o dalszym swoim losie, musiały go koniecznie niepokoić. Rozbierał w myśli, jakie mogą być powody nienawiści i prześladowania, których skutków doświadczał ze strony osób tak dobrze jak mu nieznanych, a tém samém względem których czuł się być czystym na sumieniu; tonął w jałowych domysłach o tajemnicach, jakie otaczały jego żywot, a których przeniknąć nie umiał. Wszystko mu się wydawało być marzeniem; jednę tylko czuł ciągle rzeczywistość, że nadzieja połączenia się z osobą, która owładła jego serce, a któréj obraz ciągle stał przed jego duszą, coraz więcéj od niego się oddalała.

Co się tyczy pana Bartłomieja, jego serce było wolne, a tém samém był spokojniejszy. Cieszył się w duchu, że został wyzwolonym od największego nieszczęścia, jakiego kiedykolwiek doświadczył, bo co to było w owym czasie, szlachcicowi być skrępowanym postronkami jak złoczyńca, — niemniéj pewnością, że wkrótce uściska matkę i siostrzyczki. Tyle tylko na sercu mu ciężyło, że chamski nahaj dał się uczuć jego szlacheckiemu grzbietowi, że się nie pomścił nad chłopem. A o resztę niewiele dbał, tak dalece, że gdyby nie pędzili cwałem, to byłby się postarał wejść w rozmowę z jakim kozakiem pocztu, który im asystował.

Więcéj trzech godzin lecieli co konie mogły wyskoczyć, i to drogami ubocznemi. Nakoniec w lesie stanęli przed karczmą, dość późną nocą. Jednak świeczki były jeszcze pozapalane i widać było, że na nich czekano, bo przed karczmą stały trzy sanie, jedne poczwórne z budą porządną, i z tyłu dwie mniejsze odkryte, a przy nich

kilku ludzi w nowych kożuchach, którzy z oznaką najuniżeńszéj podległości przyjmowali rozkazy, jakie im dawał Kulbida.

Wszyscy zsiedli z koni, a Kulbida nizko się skłoniwszy przed panem Jakóbem, zaprosił go do gospody i podał mu rękę, aby mu ułatwić wyjście z sani. Weszli do gospody, a z niemi i pan Bartłomiéj. Stanęli w kącie szynkowni, a Kulbida dał znak; wszyscy się oddalili w przeciwny kąt, było ich z dziesiątek, kazali szynkarzowi żydkowi przynieść gorzałki i miodu, i wzięli się do częstowania kolegów dopiéro przybyłych, bo zaraz można było poznać, że i oni, i ci co ich przyjmowali, byli z jednego sklepu.

Jak tylko Kulbida i nasi bohaterowie zostali odosobnieni, pierwszy odezwał się do pana Jakóba temi słowy:

— Jaśnie wielmożny pan za złe mi nie weźmie, że od niego wymagać będę posłuszeństwa bezwarunkowego. Taka jest wola mego pana, a szanowny wuj pański, pan podczaszy, wyraźnie dziś panu powiedział, że odtąd masz być posłusznym mojemu panu. Winienem panu wszystko, bo życie, którebym haniebnie postradał, gdyby nie męztwo i nie wspaniałomyślność pańska. Jestem więc jemu wielce obowiązany, i właśnie dlatego muszę się sprzeciwić jego woli, tam go dostawiając gdzie sobie nie życzy. Przyszłość mnie przed jego sercem usprawiedliwi, o to jestem spokojny, a tymczasem wola mojego pana musi być dopełnioną. Nic panu nie pozostaje, jak bez oporu dopełnić to co zalecę, bo lepiéj dobrowolnie robić, co silniejsi wymagają, niż być do tego przymuszonym. Mamy świeże konie; nim zorza ranna zawita, daleko ztąd będziemy.

A do biesiadujących ludzi:

— Dosyć téj hulanki; zaraz zaprzęgać!

Ledwo skończył, a już szynkownia była wypróżniona; cała ta hołota w oka mgnieniu zniknęła. Jakób w duchu podziwiał tę karność, o jakiéj zrodzony i wychowany w Polsce wyobrażenia miéć nie mógł.

Daléj tak mówił Kulbida:

— JW. pan zemną prawdziwym i poświęconym jemu sługą siędziesz w głębokie sanie, które na niego czekają, bo nie widzę konieczności, aby ci, co nam są niepotrzebni, nas widzieli. Czterech uzbrojonych kozaków na przodku siądzie, a pański woźnica nasze sanie powozić będzie. To darmo; on musi z nami jechać, bo do Żytomierza go nie puszczę, a że za nami jeszcze dwie sanie pójdą, na jednéj zabiorą pańskiego Artema, aby z nim porachować się, jak staniem na miejscu. Co się tyczy tego pana, co mu towarzyszył w podróży, wiem, że jest ubogim, choć złoto na nim błyszczy, bo dobrze znam jego matkę; a więc wynagradzając przykrości, jakich doświadczał w téj krótkiéj z JW. panem podróży, warto żeby pan go raczył obdarzyć

swojemi saniami, i temi czterema końmi, które je tu przywiozły, bo tam gdzie jedziemy, JW. panu na niczém zbywać nie będzie. a że pan z temi końmi nie prędko się zobaczysz, lepiéj żeby się dostały w poczciwe ręce, niżby miały przepaść, lub nie wiedziéć czyją zostać własnością.

— Chętnie, mój Bartku, ofiaruję ci moje konie — odezwał się pan Jakób nieco zasmucony — bo z tego co dopiéro powiedział Kulbida, pomiarkował, że ani mu myśléć o powrocie do Żytomierza.

Skłonił się na znak wdzięczności Bartek; jednak zawsze przytomny odpowiedział:

— Dziękuję za dar tak wspaniały, bo że nie mnie chudemu pachołkowi utrzymywać konie; gdybym chciał je zmarnotrawić, żydzi Żytomierscy daliby mi za nie tysiąc tynfów, co nie piechotą chodzi. Ale z przeproszeniem państwa, taki dar może mnie zgubić, bo zaprowadzić do grodu, a ztamtąd na rusztowanie.

— A to dlaczego?

— Jużci jak mnie obaczą w Żytomierzu samego, czy podobieństwo aby mnie nie zapytali: — A gdzie pan Jakób i jego sługy? — a że przyznaję sobie własność tych koni, pomyślą że go zarznąłem, aby po nim wziąść spadek. Jak tu oczyścić się z zarzutu? Albo panowie Kierdejowie nie nasadzą naprzeciw mnie świadków, choćby dlatego tylko, aby zgryźć pana Jakóba? Dziękuję ci, panie Jakóbie, ale do tego mnie nie namówicie, abym wracał do Żytomierza na twoich saniach bez ciebie i twoich ludzi. Wolę piechotą tam się dostać, niż zaczepić się o gardłową sprawę.

— A więc dam ci na piśmie cessyę na te konie — rzekł pan Jakób — tym sposobem o nic nikt cię nie zaturbuje.

A do tego dodał Kulbida:

— Mam list od mego pana do rejenta; jak go przeczyta, i cessya ci nie będzie potrzebna. Opowiesz mu tylko jak było, a on bez najmniejszéj wątpliwości ci uwierzy, i zasłoni od wszelkiego prześladowania.

— Dobrze, dobrze, moi państwo; z tém wszystkiém cessya sprawy nie popsuje, i o nią najpokorniéj proszę, kiedy twoja łaska, panie Jakóbie, chce mnie wzbogacić.

— A zkądże tu wezmę pióra i papieru?

— Wszystkiego u nas dostanie — rzekł Kulbida — a chociaż my ani pisać, ani czytać nie umiemy, mamy na doręczu wszystko, co do pisania potrzebne.

To powiedziawszy, krzyknął na ludzi, aby mu podali pugilares, a jak mu go przynieśli, otworzył go, i z niego dobył pióro, kałamarz i papier czysty. Podczas kiedy pan Jakób pisał, Kulbida wziął na stronę Bartłomieja.

— Masz list do rejenta — rzekł — ale czy podejmujesz się jemu go oddać tak, aby nikt o tém nie wiedział?

— Przysięgam waćpanu na moję szlachecką uczciwość, że w całości będzie mu wręczony.

— Dobrze, więc go masz, i schowaj go jak najstaranniéj.

Pan Bartłomiéj zawinął go w papier, który wydarł z książki żydowskiéj leżącéj na oknie, i włożył go w but od lewéj nogi.

— Żydzie — krzyknął Kulbida na arendarza — oto ten pan kupił te cztery konie i sanie co nas przywiozły; ale że woźnicę zabieramy z sobą, więc trzeba abyś natychmiast wynalazł takiego, co tego pana temi końmi dostawi do Żytomierza. Tylko żeby był roztropny, a za to dostanie dziesięć tynfów nagrody; ale tylko aby zaraz.

— Mój syn, jaśnie panie, tego się podejmie z ochotą. Dziesięć tynfów, to piękny zarobek dla młodego chłopca. — I natychmiast przyprowadził żydka.

Tymczasem pan Jakób wygotował świadectwo i wręczył je Bartkowi, który go żegnał ze łzami w oczach, bo nie wiedział, kiedy się z nim zobaczy, a Kulbida wetknął mu w rękę dziesięć tynfów dla żyda. Wyprawili naprzód Bartłomieja, a potém sami się wzięli do podróży. Pan Jakób z Kulbidą siedzieli pod budą, na przodzie dwóch uzbrojonych, trzeci na koźle koło woźnicy Jakóba, aby mu pokazywać drogę, a z tyłu drugie i trzecie sanie, które zabrały rannego Artema i kilku ludzi, równie uzbrojonych jak ci, co byli z panem Jakóbem i Kulbidą.

Szybkim kłusem puścili się w podróż. O jéj szczegółach mówić nie będę, aby nie nudzić czytelników; jakkolwiek musieli się do tego przyzwyczaić czytaniem wychodzących teraz na świat powieści. Powiem tylko, że co mil cztery najwięcéj, znajdywali rozstawione konie, tak, że Jakób rozpatrzyć się nie miał czasu dokąd jedzie i którędy. Siedział obwinięty w swojéj lisiurze, pogrążony w milczeniu, z którego wszelkie usilności Kulbidy wyprowadzić go nie zdołały. Tak było przez dwie doby, w przeciągu których nigdzie nad pół godziny się nie zatrzymali, i to wtedy tylko, kiedy im trzeba było się posilić; zresztą, dzień i noc jadąc, nawet kiedy im przeprzęgano konie, nie wysiadali z sań, a tylko z budy Kulbida dawał rozkazy ludziom.

Nakoniec trzeciego dnia około południa, przed jakąś rogatką zatrzymani zostali; było przy niéj kilkunastu kozaków w pełnym moderunku, i jakiś od nich starszy, mający nad niemi zwierzchność. Ten się przybliżył do sań, ale gdy z pod budy pokazał głowę Kulbida, przyłożył rękę do czapki i stanął w milczeniu, oczekując jego rozkazów.

Kulbida wysiadł z sań, wziął na stronę dowódcę warty, i z nim po cichu czas jakiś rozmawiał. Pan Jakób usiłował wzrokiem przy-

najmniéj rozpoznać gdzie się znajduje; nie widział żadnego domu, tylko ziemianki, z których jak króliki wydobywali się ludzie uzbrojeni po kozacku, i snuli się w blizkości odwachu. Żadna niewiasta się nie pokazała, a narodu płci męzkiéj coraz więcéj przybywało, jakby ciekawi, kto do nich przyjechał. Był tam ruch, ale jakiegoś osobliwszego rodzaju.

Dopiéro kiedy Kulbida siadł na konia, który mu jeden z kozaków przyprowadził, a obok niego jakiś starszy kozak (jak to można było poznać z jego ubioru, cokolwiek różniącego się od ubioru prostych kozaków) z buzdyganem w ręku, a usłyszał w ich rozmowie wyrazy: Attaman Koszowy, pisarz wojskowy — poznał, że się znajduje na Zaporożu, w Siczy, któréj samo nazwisko przestraszało szlachcica na ziemi Ruskiéj osiadłego. — Niech się dzieje wola Boża! — pomyślał sobie, kiedy sanie na nowo posunęły się naprzód w assystencyi kilkudziesięciu jeźdzców.

ROZDZIAŁ XI.

W saméj rzeczy, Jakób znajdował się w Siczy, stolicy Zaporoża i siedlisku jego wyższych władz. Wszystkie stannice, przez które przejeżdżał, począwszy od Gardy, gdzie była granica Zaporoża od zachodu, nie były to ani miasteczka, ani wsie. W nich żaden dom mieszkalny, ani chałupa nie pokazywały się; nazywano je kurzeniami. Były to zbiory ziemianek rzuconych w różnych kierunkach, nad któremi wznosiły się szopy o trzy łokcie nad ziemią. Wszedłszy pod szopę, spuszczać się trzeba było w dół, gdzie były nie tylko mieszkania, ale stajnie, wozownie i śpichrze. Zaporożec, jeżeli był u siebie, żył w ciągłéj ciemności, bo nawet ogień, przy którym warzył swoję strawę dzienną, światła nie rzucał, a tylko tlał i dymił; gdyż, jak wiadomo, na tych stepach jedynym opałem są cegiełki z gnoju bydlęcego, na słońcu wysuszone.

Z tego ciągłego życia w ciemnych ziemlankach, wynikały dwa skutki: pierwszy, że Zaporożec tracił wszelki pociąg do życia spokojnego, bo jego mieszkanie było podziemném więzieniem, gdzie nigdy promień słońca nie dochodził. Jak inny żołnierz w pochodach tęskni za rodzinną strzechą, tak Zaporożec tęsknił w swojéj siedzibie za wyprawą wojenną, bo w niéj tylko używał pełnéj swobody. I w rzeczy saméj, przez połowę roku omal że Sicz i kurzenie od niéj zawisłe nie były puste. Prócz starców, chorych i ludzi niezbędnych dla straży, cała młodzież plądrowała pograniczne części, bądź Rossyi, bądź Pol-

ski, i zapuszczała się nawet dość głęboko w posiadłości lenne, a nawet bezpośrednie wielkiego Padyszacha. Dopiéro w jesieni wracała do swoich legowisk, i tam aż do końca ruskiego maja odpoczywała. W czasie zimowym Zaporożec, póki na niego nie przyszła koléj odbywania służby załogowéj, która dopełniała się z największą ścisłością, nie wyłaził ze swojéj ziemlanki, chyba dla przyniesienia sobie gorzałki, lub aby w cerkwi pomodlić się Bogu wedle obrządku wschodniego. Resztę dnia trawił w swojéj jadźwinie, i zajmował się gospodarstwem, a będąc razem i gospodarzem i gospodynią, sam musiał piec chleb, warzyć strawę, doić krowy i prać bieliznę, bo w całém Zaporożu, kobiety na lekarstwo dostać nie można było.

Drugi skutek takowego trybu życia był, że Zaporożec wielką część roku przywykły żyć w ciemności, nabierał dziwnéj sprężystości w oku. Podczas wypraw, w nocy najciemniejszéj, o kilkadziesiąt kroków przed sobą, jakby we dnie, a może jeszcze wyraźniéj rozpoznawał przedmioty. Niewidziany od pocztów, mógł łatwo wyrachować ilość wojaków, którzy je składali; ztąd nie można było ochronić się od jego napadu, podczas kiedy nie było podobieństwa jego samego podejść. Zaporożce byli to lądowi kawalerowie Maltańscy osobliwszego rodzaju. I trzeba było geniuszu i szczęścia, aby tak prędko i z taką łatwością znieść zgraję odważną, przenikliwą, silną, a przywiązaną do ustaw krępujących wolę osobistą nadzwyczajną karnością, utrzymującą w niéj ducha wojowniczego. Można powiedzieć, że dopiéro od zniesienia Zaporoża, Ukraina zachodnia zaczęła oddychać i bezpiecznie rozwijać w postępie rolnictwo i przemysł.

Oprócz cerkwi, domku księdza, magazynu w którym szafowano kozakom gorzałkę, i kilku domów a raczéj chałup dla różnych urzędników, w żadném kurzeniu budowli widocznéj nie było. A takich kurzeni było czterdzieści. Z każdego pięćset kozaków na wartkich koniach i dobrze uzbrojonych, było gotowych do pochodu na każde zawołanie koszowego, bo takie nazwisko nosiła godność najwyższego naczelnika téj społeczności, a ten nad nią rozciągał samowładną wolę, bo był panem życia i śmierci każdego jemu podwładnego.

Każdy kurzeń składał pułk pod naczelnictwem Atamana, a pod nim Assaułowie i Chorużowie dowodzili oddziałami tego pułku. Kurzenie czyli pułki nosiły nazwiska miasteczek ukraińskich, najczęściéj na prawym brzegu Dniepru położonych, i tak był pułk Korsuński, Smilański, Czehryński i tak daléj. W Siczy była chałupa obszerna koszowego; przy niéj sad i pasieka, wielka murowana stajnia, wiele drewnianych zabudowań gospodarskich i czterdzieści ogromnych karczem murowanych, bo każdy pułk miał swoją karczmę, do któréj oficerowie i szeregowi zajeżdżali w czasie swego pobytu w Siczy, gdzie

zawsze z kolei stał jeden pułk; w téj karczmie szafowano im jadło i gorzałkę.

Te karczmy czworobok obszerny składały, pośród którego stała wielka soborna cerkiew. Jako się powiedziało, Zaporożce publicznie trzymali się obrządku wschodniego, ale o ich religii trudno sądzić. Zgraja wychodźców z różnych narodów, związana dla rabunku, w rzeczy saméj głębokich uczuć religijnych miéć nie mogła. Narody ruskie otaczające Zaporoże wiedziały dobrze, że tego kozactwa cerkwie od żadnéj prawéj władzy duchownéj nie były zawisłe, że żaden pop na Siczy nie był instalowany od biskupa, ale jaki taki unita czy prawosławny, z prawéj lub lewéj strony Dniepru, rozstrzyżony za złe prowadzenie, albo jakiś trochę oczytany awanturnik, włóczęga, którego namaszczenie ulegało wątpliwości. Ztąd lud ruski ich otaczający, w związku religijnym z niemi nie zostawał, za nic do ich cerkwiby nie wstąpił, i brzydził się niemi, dając im pogardliwe nazwanie Roskolników.

W każdym kurzeniu była wysoka mogiła, na niéj szaniec mały czworoboczny, i jedna armata miernego kalibru. Na przypadek napadu, czata najwięcéj na przodzie postawiona dawała ostrzegawczy karabinowy strzał, który się powtarzał aż do kurzenia, a dopiéro armata na mogile, tym sposobem ostrzeżona, dawała ognia. Na to hasło wszystko z pod ziemi wyłaziło, cała ludność kurzenia była pod bronią, i napastnik miał przeciw sobie tysiąc głów przynajmniéj doskonałego żołnierza. Ale takowe napady istniały w podaniach tylko Zaporoża. Ostatni był uczyniony przez Krymskich Tatarów pod koniec XVII stulecia, ale został sromotnie odparty; odtąd nikomu przez myśl nie przeszło szukać Zaporożców w ich legowiskach; każdy rad, jeżeli od nich nie był nawiedzany, a w epoce o któréj piszę, były o to ciekawe układy dyplomatyczne między koszowemi a ekonomiami niektórych magnatów na Ukrainie (*).

Sama Sicz, stolica Zaporoża, przedstawiała obraz miasteczka polskiego, złożonego zwykle z kilku karczem i kilku chałup, noszących szumniejsze nazwisko dworków. Przytém Sicz była gatunkiem twierdzy, bo w około opasana wałem wznoszącym się nad dość głębokim i szerokim rowem, a na wałach były ostrokoły, z po za których wyglądały samopały, a nawet działa. Wśród stepu otoczona kurzeniami, siedzibą bitnego ludu, Sicz była dostatecznie silna, aby się nie bać napadu, ile że nie można było pomyśléć o jéj zdobyciu, nie

(*) Ciekawy traktat tego rodzaju widziałem w archiwum Tulczynieckiém. Był on zawarty między koszowym zaporozkim a W. Łaszczem, gubernatorem włości Humańskiéj. Ze strony ekonomii podpisał się W. Łaszcz, ze strony Siczy pisarz siczowy, gdyż koszowy ani czytać ani pisać nie umiał.

zniszczywszy wprzódy kurzeni okolicznych, czego nie było podobieństwa do skutku doprowadzić.

Wszystko w Siczy oznajmywało lud wojowniczy. Wszyscy byli uzbrojeni; co kroku spotykało się z oddziałami konnemi, przed każdym niemal dworkiem stał szyldwach, a mieszkanie koszowego można było poznać nie tyle przez jego okazałość, ile że dwa szyldwachy stały przed wejściem, a o kilkanaście kroków warta główna, zaciągnięta przez podwójną sotnię. Służba odbywała się z nadzwyczajną ścisłością. Było to widowisko zupełnie nowe dla Jakóba, gdyż nic podobnego nie widział w posiadłościach rzeczypospolitéj.

Sanie, które go wiozły pod konwojem, zatrzymały się przed dworkiem dość schludnym. Jak się pokazało, było to mieszkanie Kulbidy, który z kilkoma innemi doświadczonemi kozakami, był używany do szczególnych poruczeń koszowego. Były to ważne osoby w Siczy, bo pełne zaufanie najwyższego wodza posiadały i składały główną jego radę, a między nimi Kulbida był zaszczycony najszczególniejszemi względami, tak, że w całém Zaporożu mówiono, że koszowy nie miał żadnéj myśli, któréjby jemu nie powierzył.

Gdy więc zajechali przed jego chatę, Kulbida zsiadł z konia, wszedł do izby, i śpiesznie z niéj wyszedł na przyjęcie Jakóba, trzymając misę, w któréj był kawał chleba razowego i sól, stosownie do obyczaju ruskiego w przyjęciu przemożnego gościa. To niemałe wrażenie sprawiło na kozactwie ich otaczającém, i zaraz pomyśleli sobie, że to musi być jakaś znamienita osoba, kiedy wysoki dygnitarz Siczy występuje do niego z chlebem i solą. Mało na tém, ale jeszcze Kulbida podał mu rękę, i z głową schyloną wprowadził go przed sobą do izby.

Tam zostawszy z gościem sam na sam, powiedział mu:

— Panie, oto twoje mieszkanie, w którém już nie jestem gospodarzem, ale pierwszym twoim sługą. Co tylko zażądasz, powiedz mi, a ja wszelkich usilności przyłożę, aby każdy jego rozkaz był spełniony. Teraz muszę odejść do koszowego, aby mu się opowiedzieć z naszéj podróży i przyjąć jego rozkazy. Pan masz dwóch kozaków na swojéj usłudze; radziłbym panu kazać sobie przynieść herbaty, jest-to napój w waszéj Polsce nieznany, a wielce orzeźwiający, kiedy siły po znoju ciężkim omdlewać zaczynają. Pan musiałeś się zmęczyć podróżą kilkodniową bez żadnego spoczynku. Niech pan więc ogrzeje się herbatą, a potém położy; oto jest łóżko posłane, a choć dla nas Zaporożców kulbaka poduszką, ziemia piernatem, a rosa niebieska kołdrą, widzi pan, że naszych gości, zwłaszcza tak szanownych jakim pan jesteś, umiemy przyjąć nieco wykwintniejszą pościołką.

Jakób nic nie odpowiedział, nawet nie wiele uważał co mu Kulbida mówił, a tylko rozbierał w myśli wszystko, co się z nim działo

i jakie być mogło jego dalsze przeznaczenie. Tymczasem Kulbida kazał podać herbatę, nalał dwie spore szklanki, jednę ofiarował Jakóbowi, który ją machinalnie przyjął, a sam niziuteńko się skłoniwszy, kipiący napój trzema haustami wypróżnił, stosując się do obyczaju na Rusi rozpowszechnionego, gdzie gospodarz częstujący gościa, sam pierwéj spożywa czy ze szklanki, czy z misy, część jadła i napoju, ażeby go przekonać, że nie ma zdrady. Pan Jakób poznał się pierwszy raz z herbatą, i chociaż mu się wydała cierpką, taką czuł potrzebę ogrzania żołądka, że rychło poszedł za przykładem Kulbidy.

Ten zawołał kozaka i pokazując go Jakóbowi, powiedział:

— Oto jest na dziś sługa nieodstępny pański; jemu więc dawaj panie rozkazy, a jak odejdzie, jest tam drugi kozak, abyś pan ani chwili bez usługi nie zostawał. Żegnam pana, bo śpieszę do koszowego, który oczekuje przybycia pańskiego; ale jak dobrze wypoczniesz z podróży, będę panu służył. Nie odejdę ztąd, póki pana nie położę w tém łóżku. A do kozaka: — Narużny! rozbieraj pana.

Jakób był jak pijany, bo nie wiedział i zrozumiéć nie mógł, co się z nim dzieje, i co nadal z nim dziać się będzie. Widział około siebie życzliwość, ale niemniéj to, iż użycie własnéj woli jest mu odjęte; zresztą był zmęczony, sen mu kleił powieki. Dał się więc rozebrać jak dziecko, położył się w łóżko, podał rękę na dobranoc Kulbidzie, który ją ucałował z uszanowaniem, i twardo zasnął, nim Kulbida wyszedł ze swojéj siedziby.

ROZDZIAŁ XII.

Już kukułka ściennika Kulbidy pięćkrotnie się odezwała, kiedy Jakób się przebudził. Był to marzec, a więc jeszcze pół godziny trzeba było czekać na wschód słońca. Jakób nie zerwał się z łóżka zaraz po przebudzeniu się swojém, jak to miał w obyczaju; ale przeżegnawszy się, i powitawszy Pana nad Pany dość krótkim pacierzem, odmówionym nawet nie bez roztargnienia, leżąc nieruchomy, zatonął w myślach rozmaitych, które wszystkie się kierowały ku dregiéj jego sercu Helence, a jego każdéj myśli zwrotką było, — ah! kiedyż ją zobaczę? — Tymczasem krzątanie się ludzi, jakkolwiek ciche, dało mu się słyszéć; poznał jednak, że wszyscy mieszkańcy chaty już stoją na nogach, a więc że i jemu pora wstawać.

Czytelnik przypomina sobie zapewne, że Jakób oprócz tego co miał na sobie, nic z domu nie wywiózł, kiedy jechał do wuja podczaszego, i że w powrocie swoim do Żytomierza był z drogi porwany

i wywieziony do Siczy. Zabierał się więc do szukania swojéj szuby, aby ją wziąć na siebie, kiedy z wielkiém swojém zadziwieniem namacał na stołku będącym przy łóżku, chałat jedwabny, i natrafił nogami na meszty tureckie; ale na szelest papuciów drzwi się otworzyły i ujrzał wchodzącego ze światłem w ręku Kulbidę, a za nim dwóch kozaków do jego usług przeznaczonych.

— Sława Bogu! — te pierwsze były słowa Kulbidy.

— Na wieki wieków — odpowiedział Jakób.

— Jakże się spało? — dodał pierwszy.

— Bardzo smaczno; czuję się zupełnie orzeźwionym.

— Czémże pan się chce posilić: czy kawą, czy herbatą? bo u nas wszystkiego dostanie.

— Dziękuję, ale jeżeli łaska, prosiłbym o piwo grzane.

— Narużny, Nielepo, daléj do piekarni, i żeby piorunem nagrzali piwa z serem i śmietaną, stosownie do rozkazów pana.

Kozacy wyszli. Kulbido obróciwszy się do Jakóba rzekł:

— O godzinie ósméj służę panu do koszowego. Z jaką niecierpliwością pana oczekuje! jaka radość że ma go w swoim ręku! Panu Bogu wiadomo, ile pan go kłopotu nabawiłeś.

— Więc wyraźnie mi zapowiadasz, że jestem waszym jeńcem.

— Jeńcem, jeżeli panu się podoba tak się nazywać, ale takim jeńcem, że swoim strażnikom rozkazywać będziesz.

— Ale i takim, który wyjechać nie może.

— Nikt na świecie nie może być bezwarunkowo wolnym. Pan zależałeś dopiéro od swoich godnych wujów, a teraz od tego pana, coś go poznał u pana podczaszego, a którego, może mu to z pamięci wyszło, żeś go w dzieciństwie kilkakrotnie oglądał. Ale o tém powinieneś pamiętać, że jego szanowny wuj podczaszy wyraźnie mu powiedział, że odtąd od niego zależéć będziesz, i że jemu winieneś być posłusznym.

— Powiedz-że mi, Kulbido, jaki być może związek między nim a waszym koszowym?

— O tém pan wkrótce się dowiesz, jak staniesz przed koszowym. Bądź panie pewny, że lepiéj zależéć od najgorliwszych swoich przyjaciół, niż żyć niby swobodnie, ale otoczonym zawzięcie czyhającemi na twoję zgubę wrogami.

— Dziękuję wam za taką przyjaźń. Wolelibyście na mnie samego zdać obronę mojéj osoby, niż mnie szlachcica więzić jak złoczyńcę.

— Panie, serce moje rozdzierasz takim wyrzutem. A cóż to! czy ja panu życia nie winienem, abym miał wchodzić w sprawę, która mu krzywdę może przynieść? Zdaje mi się, że wszystkie pańskie niepokoje rozproszone zostaną jedném słowem koszowego. Bądź panie weselszéj myśli.

Wtém przyszli obaj kozacy, jeden nakrył stół, drugi na nim postawił wazę piwa i dwie misy.

— Niech pan siada — rzekł Kulbida — i pozwoli swojemu słudze z nim zasiąść za tym stołem.—Siedli obaj, i razem śniadali w dobréj komitywie. Jakób milczący, a Kulbida usiłujący go rozerwać rozmową.

— Oto — rzekł do niego — kozacy przydani panu do jego usług, póki z nami raczysz przebywać na Siczy, gdzie może i zostaniesz na zawsze, jeżeli taka będzie wola koszowego i twoja. Ten wyższy wzrostem, który pierwszy miał szczęście służyć panu wczoraj, nazywa się Narużny, drugi Nielepa. Obaj są chłopcy odważni, zręczni, nieposzlakowanéj wierności i przywiązują się wielce do swoich zwierzchników, jeżeli u nich znajdują sprawiedliwość i serce. Zaręczam, że myśli pańskie będą się starali odgadnąć, by zadość im uczynić. Niech pan z niemi wejdzie tylko w rozmowę, a doświadczysz, że w najcięższym smutku zdołają go rozerwać. Nielepa umié na pamięć wszystkie dumki ukraińskie, i dziwnie miłym głosem je wyśpiewuje, a na całém Zaporożu nie ma mu równego do tańcowania kozaka z przysiudem, z teorbanem w ręku. Nieboszczyk koszowy z niemałém staraniem kazał go wychować stosownie do naszych obyczajów. A Narużny, jak go pan widzi, jest wojak niepospolity, zwłaszcza Tatarom Krymskim dał się poznać; żaden z nich jemu nie dotrzyma w pojedynczym boju. Oni obydwaj są rodem z waszych stron, a zapomniałem panu wspomnieć o jednéj niepospolitéj zalecie Narużnego: jest-to zawołany bajarz. Niech pan idąc spać, każe mu bajki opowiadać; przez okrągły rok, co noc nową bajkę powié, i nigdy téj saméj nie powtórzy.

Jakkolwiek Jakób był skołatany niewesołemi myślami, nadto był wykształcony staroświeckiém wychowaniem polskiém, aby okazać się ponurym w przytomności gospodarza, który usiłował go rozerwać jak mógł. Chcąc więc mu okazać, że jego usilności nie były daremne, i że owszem go bawią, zapytał Narużnego:

— Gdzie się urodziłeś, bracie?

— Albo ja wiem? — odparł Narużny. — Mnie dopiéro rok dziesiąty, dawnych rzeczy nie mogę pamiętać.

— Głupiś — na to Kulbida — ale prawdziwa zaporożska natura. —Nie wiesz panie—rzekł do Jakóba— że Zaporożec przed obcym nigdy nie wyda się z tém, co widział i doświadczał wprzódy, niż został Zaporożcem, i że swoje lata rachuje nie od urodzenia, ale od chwili w któréj do nas przystał. Ta ostrożność nie w swojém miejscu, Narużny, bo tu nie ma cudzego tylko swoi. Przed tym panem możesz mówić o sobie śmieléj, niżeli przed prymakiem. Odpowiedz więc na każde jego pytanie, a mów prawdę, jakby przed popem na spowiedzi.

— Kiedy tak, to powiem wszystko: jestem rodem z Humańszczy-

7*

zny, poddany pana Potockiego wojewody Kijowskiego, a że byłem zgrabnym i śmiałym, pan Obuch ekonom Chwaszczowaty, gdzie żyli moi rodzice, wziął mnie do dworu, kiedy jeszcze byłem poganiaczem. Przez kilka lat buty mu czyściłem, ubierałem go, i z nim szczułem zające. Choć całkiem nieujeżdżona szkapa, jak na nią siądę, robi co ja chcę. Wielką miałem łaskę u jegomości, bo grałem na teorbanie, a jednak ta służba dworska niebardzo mi była do smaku, i byłbym uciekł prędko, aby hulać po świecie, ale pokochałem się z Jagusią sierotą, którą się jéjmość opiekowała. Ta mnie trzymała jak psa na łańcuchu; ja ją kochałem tak, że jeszcze i teraz, kiedy przypomnę sobie jéj sine oczy i białe ząbki, to ledwo że nie zapłaczę; jeszcze to nic, kiedy człowiek bawi się wojaczką, albo na stepie leci na wyścigi z wiatrem, bo nie ma czasu myśléć o tém co już minęło. Ale kiedy to w kurzeniu w swojéj ziemlance wypadnie żyć jak palec samemu, że słońca się nie widzi, a cóż dopiéro żywego ducha, to tylko dumać potrzeba, a choćby się dumać nie chciało, myśli same z siebie nasuwają się, jak komary na Polesiu. Ja nie chcę myśléć o Jagusi, ona jakby na złość; wszystko przedemną stoi. Rad nierad muszę się w nią wpatrzyć, to tak się zatęsknię, że zdaje mi się, iż serce zaczyna pękać, a w piersiach coś mnie tak ściska, że odetchnąć nie mogę; czasem się pójdzie do konia, aby z nim rozmawiać, i wtedy uda się zapomniéć o tém, co dopiéro tak dręczyło. Ale często ten obraz tak uparty, że go pozbyć się nie można; wtedy cały ratunek w gorzałce. Jak człowiek połknie parę szklanek, jakąś ulgę poczuje, bo śpi jak zabity, a u nas gorzałki, chwała Bogu, ile się jéj w gardło wleje; gdyby nie to, tobym już oddawna zginął. Ale i Jagusia mnie kochała. Bywało przy obiedzie ona siedzi za stołem, a ja roznoszę misy i odmieniam talerze; byłoby mi markotno tak się poniewierać, ale że Jagusi służyłem, wszystko było miłe. Okiem na siebie rzucim, a tak się rozumiemy, jakbyśmy rozmawiali z sobą. Ona, choć uboga sierota, miała jakieś lackie szlachectwo; wiedziałem że mnie jéj nie dadzą, — aż tu zaczyna się zalecać do niéj jakiś ekonomski syn z Humańszczyzny. Jagusia go nie cierpiała, bo już mnie była oddała swoje serce, ale jegomość i jéjmość sprzyjali mu. Wtedy ja podrwiłem głową; myślałem że panicz miał odrobinę wspaniałomyślności, powiedziałem mu: — Na co się panu przyda zrobić dwoje nieszczęśliwych? choć pan ją weźmiesz, z niéj pociechy miéć nie będziesz, bo my się z nią kochamy. — Albo domaca się serca chłop u lacha! Ledwo się nie rozjuszył ze złości, kiedy to usłyszał: — A chamie! a hultaju! — krzyknął na mnie — tobie oczy podnosić na szlachecką krew? I ty śmiesz potwarzać pannę, chwaląc się, że możesz jéj myśl zwrócić ku sobie? Haki i pale za takie zuchwalstwo! a cóż to? chcesz szlachciankę na poddankę wykierować? Gdybym się nie wstydził powtórzyć przed jéj

opiekunem tego, coś mi dopiéro śmiał powiedziéć, dziś jeszczebyś skonał pod batogami.

O biedny chłopie ukraiński! twój pan magnat, wspaniały i dobroduszny, ale daleko, gdzieś tam w Warszawie dworakuje królowi, albo z nim się kłóci. Jakże trafisz do niego? Twój los w ręku ekonoma, który pana swojego okrada, a ciebie ze skóry obdziera; on jest samowładnym panem twego życia. Gdzie tobie szukać przeciw niemu opieki?

O ile się wymówił ekonomowicz z tém co słyszał odemnie, tego nie wiem, ale to pewna, że i Jagusię i mnie zaczęto miéć na oku. Wszakże byliśmy bardzo ostrożni; Jagusia jak mogła opierała się opiekunom, naglącym ją aby zezwoliła na związek jaki dla niéj obmyślili, ale ja czułem, że nieboga nie da sobie rady. Umówiłem się z nią, że przed rozświtem wejdzie do ogródka, aby się ze mną rozmówić. Dotrzymała słowa. Siadła na ławeczce z murawy; ja ukląkłem przed nią. Rozmawialiśmy z sobą o naszym losie, o naszéj miłości. Skończyło się na tém, że jéj powiedziałem:—Jagusiu! to darmo, ty się nie oprzesz woli jéjmości, ty pójdziesz za tego panicza, ja przepadnę na wieki, ale ty szczęśliwą nie będziesz. Ale jeżeli mnie kochasz, uciekaj ze mną, pójdziemy na tamtą stronę Dniepru, tam skarb monarszy rozdaje ziemię wychodźcom z Polski, który ją chce uprawiać. Kozactwo tamtejsze da nam zapomogę; ja ani tobie, ani sobie nie dam zginąć. Będziemy żyli szczęśliwi, żaden butny Lach nie stanie nam na zawadzie.

Ledwom to wyrzekł, a już byliśmy otoczeni. Jagusia zemdlała, ja bez oporu dałem się związać i zanieść do furdygi, gdzie mnie zaraz w dyby zabito.

Mój Boże! jakże się pastwiono nademną! a najniegodziwszy mój kat, był mój współzalotnik. Co dzień mnie wyprowadzano z furdygi, po pod okna Jagusi, i po dwadzieścia pięć batogów mi odliczano. A ten co mnie zgubił, póki bawił u nas, dopominał się o szczęście ćwiczenia mnie własną ręką. Podły, nikczemny człowiek, katować związanego, a do tych niemiłosiernych razów, jakie obelżywe słowa na przyprawę dodawał?

Biedna Jagusia tego znieść nie mogła; oświadczyła, że odda rękę swoję temu niegodziwcowi, byle mnie z Bogiem puszczono. Umówili się, że zaraz po jéj ślubie wypuszczonym zostanę. Już mnie odtąd bić przestali, tyle tylko, że byłem w dybach, i że nie wypuszczano mnie na wolne powietrze. Gwałtowne cierpienia ciała ustały, ale ból coraz większy ranił serce.

Wypuszczono mnie nakoniec; dowiedziałem się że Jagusię wpół umarłą ciągnęli do ołtarza, że tam nie wiedziéć po jakiemu wymówiła przysięgę, która na zawsze nas rozłączała. Tyle miałem talu, tak sro-

dze chęć zemsty mnie paliła, że skoro wyszedłem z więzienia, chociaż szeląga nie miałem przy duszy, nie pożegnawszy nawet rodziców, tego samego dnia opuściłem wieś, w któréj się urodziłem i wzrosłem. Puściłem się na oślep w świat, bez innego opatrzenia, tylko bochen chleba i kawał sera, co mi ochmistrzyni dała z miłosierdzia.

Idąc przed sobą bez innego celu, tylko żeby jak najśpieszniéj oddalić się od stron rodzinnych, wyszedłem na trakt prowadzący do Lisianki, a w miarę oddalania się mojego, coraz więcéj napotykałem wozów, nawet pojazdów, a zwłaszcza różnego bydła pędzonego przez hajdajów, mnóstwo także ludu piechotą idącego; w tłumie ludzi pieszo wędrujących widziałem dziadów kościelnych, ślepych i kalek wszelkiego gatunku. Domyślałem się że musi być gdzieś odpust albo jarmark. Jakoż jeden z idących, z którym zaczepiłem rozmowę, oświecił mnie, że w Lisiance ma być wielki jarmark, i że naród który widzę, do niego dąży. Pomyślałem sobie: może Bóg da, że tam służbę dostanę. Służba i zawsze służba! Cóż robić, kiedy głód doskwiera? Człowiek Bóg wié co z siebie zrobi, dla kawałka choćby czerstwego chleba.

Doszedłem do Lisianki przed zmrokiem; wszystko się przygotowywało na jarmark jutrzejszy. Na przedmieściu wpadła mi w oczy chałupa z dziedzińcem dość obszernym, gdzie kilka wozów naładowanych i łubem pokrytych stało, a między niemi szatali się jacyś kozacy. Z razu nie można było rozpoznać, czy dworscy, czy wolni. Przybliżyłem się do nich. — Sława Bogu! — odezwałem się. — Na wieki wieków, odpowiedzieli. Jeden z nich zapytał: — Zkąd jesteś i czego chcesz?

— Jestem poddanym z Humańszczyzny, byłem wzięty do ekonoma w służbę dworską, a teraz idę z kijem po chleb. Szukam, czy kto mi nie każe pilnować swoich wozów, za haracz.

— A więc nam posłuż — przedłożył ten sam co się do mnie odezwał — póki jarmark się nie skończy, a my cię przypuścim do naszéj gorzałki, i do naszéj strawy; właśnie trafiłeś na dobrą porę, bo za chwilę będziemy wieczerzać; a był to Siwowron, assauła zawołany na całém Zaporożu.

Wieczerzaliśmy z sobą, a jak się wszczęła między nami rozmowa, od słowa do słowa przyszło do tego, że mu opowiedziałem wszystkie krzywdy jakie doświadczyłem. A on mi na to:—A wiész co, synu, jak masz się wałęsać, a nakoniec doczekać się, że cię pod konwojem dostawią do twéj batkowszczyzny, gdzie pod nahajem będziesz pańszczyznę odrabiał, wolisz odrzeknąć się od ziemi, która cię na świat wydała, do nas przystać, i zostać postrachem Lachów, a nie jak dotąd ich niewolnikiem.

— *A ja* mu:—Z miłą ochotą przyjmuję wiarę zaporozką, jeżeli my-

ślicie, że wam się na coś przydam; ale chciałbym wprzódy skończyć mój rachunek z tym, co mi wydarł moją dziewkę, i jeszcze pastwił się nademną niemiłosiernie, żeby mój ból i mój wstyd do niego samego przyczepił się jak bolączka.

— At, głupiś synu; póki będziesz chłopem, tobie ani myśléć o zemście. Dałaby tobie szlachta, żebyś którego z nich zaczepiał. Jeszczebyś go nie zadrasnął, a jużby cię w dybach zawieźli do grodu, żebyś dyndał na szubienicy: a jak zostaniesz Zaporożcem, jakoś go wytropisz i dasz mu się we znaki; my wszyscy tobie dopomożem. To prawda, że kto chce być naszym bratem, musi zapomniéć, że miał ojca i matkę, a jeżeli żyją, do nich przyznawać się nie może. Koszowy naszym ojcem, a czarna ziemia naszą matką. Ale że ty już dawno odłączony od piersi, tobie innych rodziców nie potrzeba.

— Zgoda — odpowiedziałem — wy moi a ja wasz! — A na znak wierności, po naszemu, połknąłem odrobinę ziemi i zapiłem ją gorzałką za zdrowie koszowego i jego dzieci.

— Już więc mamy cię za swego — dodał assauła — zabieramy cię z sobą do Siczy, gdzie cię doświadczymy, a potém nauczysz się twoich obowiązków. — I zaraz obchodzono się zemną, nie jak z najmitem, ale jak z bratem.

Skoro po wypocznieniu naszém, słońce się cokolwiek podniosło, zatoczyliśmy nasze wozy na targowicę. Te wozy były naładowane rybą soloną, strawą ulubioną ukraińskiego ludu. To téż ledwo się jarmark zaczął, a już wozy stały próżne, bo duszkiem rozkupiono wszystko co na nich było. Co téż tam rubli elizabeckich nie nachwytali nasi! Ale to pewna, że nie wiem, czy choć na pokazanie aby jeden rubel dostał się do Siczy. Wszystko przehulaliśmy na tamtéj stronie. Kto chciał i nie chciał z ludu ukraińskiego, musiał z nami się upić. Gorzałki i miodu co się w gardło wlało; to téż naród tak lgnie do nas, jak muchy do patoki. Zaporożec tylko Lachowi i żydowi straszny, a chłopowi więcéj niż kum, niż brat.

Owóż tedy przechodząc się po targowicy, spotykam tego ekonomskiego syna, co mi duszę skaleczył. On mnie nie poznał, ale ja go od razu. Niecnota targował konie; aż mi krew zakipiała, kiedym jego ujrzał. Zatrząsłem się od stóp do głowy ze złości, jakby ze strachu. Byłem dobrze podchmielony, a na jego widok od razu wytrzeźwiłem się, jakby ręką odjął. Pobiegłem zaraz do assauły i mówię mu co widziałem, prosząc go, żeby mi pozwolił po swojemu z nim pomówić. A assauła do mnie: — a co ty chcesz z nim zrobić?

— Oto chciałbym, żebyście go skłonili, żeby stanął naprzeciwko mnie, a ja z nim spotkam się po Lacku; on nosi szablę przy boku, wy mi waszą pożyczycie. Da Bóg, że się pomszczę nad nim; na całe ży-

cie będzie mi wesoło, a jeżeli jego będzie na wierzchu, niech sobie idzie z Bogiem gdzie zechce, mnie już niczego nie będzie potrzeba.

— A umiesz-że ty robić szablą? Bo u Lachów każdy szlachcic na to majster, u nich dzieci bawią się z sobą palcatami. Zobaczysz, że cię pokiereszuje na kwaśne jabłko.

— Owa! zróbcie tylko, żeby stanął, niech on sobie na mnie naciera swoją krzyżową sztuką i młyńcem, a ja po swojemu. Kto niewinnego skrzywdził, ten Boga mieć nie będzie po sobie.

— Dobrze — odrzekł assauła — jakoś to zrobimy.

A był na przedmieściu kowal; jak się potém dowiedziałem, był on naszym prymakiem. Więc assaułę i jego towarzyszów znał na pamięć. Assauła kazał mi zostać, a sam z dwoma kozakami poszedł do niego; ja sobie przy próżnych wozach stałem, napróżno mnie ciągnęli do szynku, rad byłem żem się wytrzeźwił, a drugi raz w dobie upić się nie chciałem, żeby mając tak ważny interes przed sobą, rozumu nie zaplątać. Chodziłem tylko w blizkości wozów, i zabierałem znajomość z czumakami i różnemi innemi chłopami, którzy sobie kiermaszywali w Lisiance.

Minęła godzina i więcéj, aż tu nadbiega kozak wysłany od assauły, i każe mi iść z sobą do kowala, gdzie i assaułę zastanę. Idę i widzę, jak on przechadza się po dziedzińcu z moim ekonomowiczem. Znowu mnie złość opanowała, ale wstrzymałem się; a trzeba wiedzieć że assauła znalazł go na targowicy, bo tak mu go opisałem, że omylić się nie mógł, ile że chodził w grubéj żałobie, i szablę miał przyczepioną do czarnego pasa.

Widzi assauła, że nie może dobić targu o konia. Przybliża się więc do niego, i mówi mu:—Niechno pan pofatyguje się ze mną do kowala tutejszego, tam stoją moje konie lepsze niż ten, do którego pan się palisz, a jednak za mniejszy grosz nabędziesz takiego, jakiego sam u mnie wybierzesz, bo mi nie wracać z mojemi końmi na Zaporoże.

Jak to usłyszał utrapiony Lach, tak zaraz i poszedł z assaułą. I właśnie zastałem ich rozmawiających. Skoro mnie zobaczył assauła, kiwnął ręką żebym się do nich przybliżył, a obróciwszy się wtedy do mego prześladowcy, rzekł:

— Ja nie na to wprowadziłem waćpana w to miejsce, żeby mu pokazać konie; a o co innego gra pójdzie. Czy waszeć poznajesz tego poczciwego człowieka?

A on to: — A poznaję; to parobek z Humańszczyzny, służył za kozaka u mojego swata. Źle się sprawował, obatożono go porządnie, poczém go z domu wypędzono na wolę, chociaż jako poddanego mój swat mógł go użyć do robót, cięższych niż służba dworska.

Co do mnie, nie posiadałem się ze złości. A assauła mu na to:

— Jest-to poczciwy człowiek; waszeć zrobiłeś go nieszczęśliwym.

Mógłby się teraz pomścić nad waszecią jakby chciał, ale on jest od tego dalekim, i pragnie z waszecią postąpić po waszemu. Waszeć nosisz szablę u boku, a ja mu pożyczę swojéj; waszeć z maleńka przywykły do robienia szablą, waszecina ofiara nie wiem czy kiedy ją w ręku miała, jednak staje do potyczki. Niech Bóg was rozsądzi i da szczęście temu, który na nie zasłużył. Jeżeli go zwyciężysz, wyjdziesz ztąd gdzie się podoba, a nikt waszeci przeszkody nie zrobi. Jeżeli Bóg tamtemu pomoże, będzie miał pociechę, że nie przemocą, nie użyciem dziesięciu na jednego, ale poczciwie za swoje oddał. Nic wam nie pozostaje, jeno dobyć szabel, i w imię Boga iść jeden na drugiego.

— Co, ja mam się z chłopem potykać po szlachecku? — odparł zuchwały Lach — ja mam hańbić mój klejnot herbowy i moję szablę rycerską, bratając się z tym nędzarzem? Na to pozwolić nie mogę.

— Czy tak? — na to assauła — napaść z przemagającą siłą, żeby niewinnego chłopa skrzywdzić, to nie kazi szlachectwa, a wynagrodzić mu tę krzywdę, narażając swoje zdrowie, ma go hańbić? Jeżeli do siły waszeć się odwołujesz, to ja waszeci pokażę, że i my silni. Posłuchaj panie szlachcicu: jeżeli po kawalersku nie zechcesz postąpić z tym, który od waszeci takie okropne krzywdy poniósł, to poprzysięgam na moję wiarę zaporożską, że będziesz położony na ziemi przez moich kozaków, i bez kobierca dostaniesz w skórę, że całe życie będziesz o tém pamiętał. — Szlachcic się zmięszał.

— Zgoda — odezwał się — ale pozwólcie mi iść na targowicę, żebym tam wynalzł brata szlachcica na świadka. Jużci nie wypada mi się bić, nie mając przy sobie osoby mnie równéj, żeby mi przed ludźmi przyniosła świadectwo, że postąpiłem uczciwie.

— To są żarty — odrzekł assauła — nie głupim waszeci wypuścić, żeby potém szukać wiatru w polu. Ja będę wam obu świadkiem, a czy ja szlachcic czy nie, waszeci w to nie wchodzić. Jestem assaułą zaporożskim, a wedle waszych nawet prawideł, oficer, jakikolwiek jest jego ród i wojsko w którém służy, ma wszelkie prerogatywy szlachectwa. Wybieraj waszeć: albo łba nadstawić, albo zabrać ścisłą znajomość z rzemieniem.

Szlachcic przekonany, że się wykręcić nie może, dobył szabli.

Ja dotąd milczałem; wtedy odezwałem się:

— Panie szlachcicu, zapowiadam panu, że nie zejdziem obydwa z bitwy: jeden musi tu koniecznie pozostać. Jeżeli mnie skaleczysz, pamiętaj mnie dobić, bo ja pana, chociaż już leżącego, będę rąbał póki ducha nie wyzioniesz.

— A ja — dodał assauła — poprzysięgam, że ani jednemu ani drugiemu przeszkadzać nie będę. Komu Bóg oddał życie przeciwnika, w jego woli być wspaniałym lub nie, Bóg go osądzi, a nie ludzie.

Ja Lachów nienawidzę, bo nadto wiele od nich krzywd doświad-

czyłem, żebym miał ich miłować, ale byłbym bez sumienia gdybym im sprawiedliwości nie oddał. Lach nie potrafi być tchórzem. choćby w sobie zamorzył wszelkie uczucia; one w potrzebie ożyją i skupią się na końcu jego szabli. Ten niegodziwiec bić się nie chciał, bo jego buta szlachecka miała za hańbę mierzyć się z takim, który mu nie był równy w urodzeniu; ale skoro pomiarkował, że rad nierad przez to przejść musi, dobył szabli i stanął z nieustraszonêm sercem.

Straszna walka rozpoczęła się między nami. Bóg mnie obdarzył taką siłą, że podkowy łamię z łatwością. Ciężka krzywa szablica assauły obracała się w mojéj dłoni jak piórko, ale w każdém poruszeniu spotykała się z szablą przeciwnika. Udało mu się zadrasnąć mnie po twarzy; cięcie było lekkie, ale jak tylko krew zaczęła się sączyć po jagodach, a ja ją uczuł, wściekłość podwoiła się we mnie. Natarłem na niego z taką siłą, że szabla jego zwichnęła się pod razami mojéj. Umiałem z tego korzystać, i jak go uderzyłem po szyi, głowa mu z karku zleciała. Assauła i nasi którzy się tam znajdowali, wydali okrzyk radości; potém naściskali mnie kozacy, mówiąc: — Otóż nasz brat, będzie miało z ciebie pociechę Zaporoże.

Jednak ostatniéj posługi nie odmówiliśmy Lachowi: wykopaliśmy dół, i tam jego zwłoki spoczywają. Pochowaliśmy go na dziedzińcu, z szablą jego u boku; nawet jego kieszenie zostały nietknięte: co było w nich, do sądnego dnia przy nim będzie. Wszystko to ułożył kowal, który był, jak powiedziałem, zaporożskim prymakiem.

Nam nie było czego dłużéj gościć. Jak najśpieszniéj z próżnemi wozami udaliśmy się do Siczy. Kowala trochę turbowano, ale opowiedział się, że Zaporożcy to narobili, i że go zmusili pochować Lacha na swoim dziedzińcu; gród dał mu pokój, bo sędziowie wszyscy właściciele majątków, nie chcieli się narazić na naszą zemstę, która niejednemu tamecznemu obywatelowi dała się we znaki.

Jakem przybył do Siczy, assauła i kozacy jego znaku takie o mnie świadectwo przynieśli, że od razu zostałem zapisany w regestr pułku Śmielańskiego, którego atamanem był wówczas teraźniejszy nasz koszowy. On mnie polubił, bo nie tylko że uznał mnie być zdatnym do wypraw, ale że byłem obeznany z dworską służbą, i kazał mnie douczyć teorbanu, a jak został koszowym, umieścił mnie przy sobie do usług. Takim sposobem wyszedłem na człowieka, że żadnemu szlachcicowi szczęścia nie zazdroszczę, chociażby był wysokim lackim urzędnikiem, i posiadał kilka wsi dziedzicznych.

Jakób, który z początku dość obojętnie słuchał opowiadania Narużnego, stopniami tak się nim zajął, że mu było przykro gdy przestał mówić. Zapytał go z ciekawością:

— Co się zrobiło z twoją kochanką?

— A cóż panie! przez trzy lata po mojém przystaniu do wiary

zaporożskiéj, byłem używany do wypraw na stepy bessarabskie i krymskie, ale na tamtéj stronie Dniepru dopiéro czwartego roku się pokazałem. Dowiedziałem się od prymaków w Humańszczyznie osiadłych, że ona po śmierci męża bardzo była nieszczęśliwą. Krewni męża ją palcem wytykali, że się kochała w chłopie, i była sprawczynią śmierci swojego męża, a szlachta wszędzie to roznosiła; dość że nieboga oczu podnieść nie mogła między ludźmi. Biedowała więcéj roku po sąsiadach, chłopach, bo nawet służby u szlachty dostać nie mogła. Nakoniec jakaś pani kasztelanowa zlitowała się nad nią, a nie zważając na szlachty języki, wywiozła ją z sobą aż do Lwowa, i wkrótce Jagusia, któréj świat obrzydł, wstąpiła do klasztoru, gdzie zapewne musiała już oddawna umrzéć.

— Nielepo — rzekł Jakób — teraz na ciebie koléj przychodzi opowiedziéć, jakie przygody zapędziły cię na Zaporoże.

— Pan z tego co powiem niewiele się dowiesz, bo miałem rok szósty, kiedy się tu dostałem. Przypominam sobie, jakby przez sen, że miałem ojca i matkę Lachów majętnych, bo mieli liczną usługę i dom obszerny. Zdaje mi się że patrzę na cerkiew czerwonemi gontami pokrytą, zaraz za naszym częstokołem. Pamiętam, jak mię nazywano paniczem, ale jak się nazywali moi rodzice, jakie było nazwisko ich wioski, już tego nie wiem, i nigdy tego nie wiedziałem, zwyczajnie dziecko. Tyle tylko pamiętam, że z nią poszedłem po nad staw, jak to często bywało; że wtedy kozacy przechodzący przez groblę do nas się przybliżyli, i jeden z nich, a między niemi najstarszy, kazał swoim, aby mię jemu podali. On mnie wziął na rękę, nahajką zaciął konia i cwałem poleciał, a za nim kozacy; widzę jak niańka załamywała sobie ręce krzycząc; porwano mnie i zawieziono do Siczy. Ten co mnie uchwycił, a był to ataman, wychował mnie w swojéj ziemlance. Ja przez kilka niedziel płakałem za swoją niańką, jak to późniéj mnie mówili starsi, bo tego co się zemną działo, niewiele pamiętam. Jak to bywa, są rzeczy dawniejsze, które utkwią w pamięci, a o późniejszych zupełnie się zapomina. Zwyczajnie dziecko, wkrótce przywykłem żyć w ciemnicy, i jak wprzódy do niańki, tak potém przywiązałem się do atamana, że kiedy go długo nie widzę, za nim płaczę. I to dobrze pamiętam, że kiedy bywało idzie na wyprawę, a mnie powierzy innemu kozakowi który zostanie w kurzeniu, to tak zatęsknę się, że to zawsze przechoruję. Wychowany w Zaporożu, jak zostałem wyrostkiem, co tylko we krwi mogło być Lackiego, zupełnie wywietrzało, że jestem zupełnym Zaporożcem; ani mnie w głowie jacy są moi rodzice, czy żyją czy nie, i komu się dostała nasza wioska. Nie wiem czy mam braci i siostry, czy tylko dalekich krewnych; mój ataman, któryby mnie mógł o tém oświecić, już dawno umarł. Wreszcie na coby to mi się przydało? Gdybym był nawet wojewódzkim

synem, a ojciec do mnie się przyznawał, i chciał mnie zrobić bogatym to z tego większy byłby dla mnie kłopot, niż pociecha; anibym się umiał znaleźć z Lachami, ani dać sobie rady z majątkiem. Cośby za ojcem przemówiło do serca, a z tego byłaby tylko tęsknota, gdyż za nic w świecie nie puściłbym Zaporoża. Bo jakże przenieść się do takich, których ciągle rabowałem, a często krew przelewałem? Pókim żyw, wiary zaporożskiéj nie porzucę, a jak umrę, przynajmniéj będę leżał pod mogiłą, a nie na cmentarzu. Masz panie w mojém opowiadaniu wszystko, co się do mnie ściąga, i nic więcéj o sobie, do tego co powiedziałem, dodać nie potrafię.

ROZDZIAŁ XIII.

Już słońce dobrze przyświecało, oddawna świece były pogaszone. Ledwo Nielepa zaczynał mówić, kiedy przybyły kozak wywołał Kulbidę do drugiéj izby, ale przy końcu jego relacyi powrócił. Dał mu ją dokończyć, poczém rzekł do Jakóba:

— Niech pan się ubiera, bo koszowy kazał nam się stawić przed nim.

Obaj kozacy przynieśli mu odzież i wodę do umycia, i wzięli się do jego ubrania.

Zadziwiło nieco Jakóba, że zamiast jego żupana i taratatki, przyniesiono mu porządny ubiór kozacki, złożony z czarnych sukiennych szarawarów, białego atłasowego żupaniku, i koletu amarantowego aksamitnego z wylotami; a jeszcze więcéj, że stanął przed nim kozaczek wyrostek z mydelniczką i brzytwą.

Spostrzegł Kulbida zadziwienie Jakóba, i rzekł do niego:

— Niech to pana nie dziwi, że będziesz musiał pożegnać się ze swoim lackim ubiorem i swoją czupryną, póki między nami będziesz gościł; u nas trzeba żyć i ubierać się po naszemu. Gdybyś tu zachował cokolwiek nam obcego, témbyś ściągnął na siebie podejrzenie i niechęć całego Zaporoża. Jako mówi przysłowie: Kto na czyim wózku siedzi, tego piosenkę śpiewać musi. Wreszcie tak koszowy rozporządził, a jego wola jest naszém prawem; mowa pańska jest ruska, żaden z nas lepiéj od pana nią się nie tłómaczy. Pan masz dla nas obowiązki, bo bez nas uległbyś przemocy lackiéj. Trzeba panu na jakiś czas zapomniéć, ze jesteś Lachem. Cóżby to znaczyło, gdybyś w powierzchowności swojéj zachował coś Lackiego? Siadaj panie i zgódź się ze swojém przeznaczeniem.

Usiadł Jakób na stołku, i rad nierad poddał głowę pod brzytwę golarza. Zniknęła jego piękna czupryna, tylko mały seledec pozostał na głowie. Poczém obmywszy głowę, ręce i twarz, przywdział za pomocą kozaków jemu do usługi oddanych, nowy swój ubiór. Stanął zupełnym Zaporożcem, i z upodobaniem młodzieńczém przeglądał się w zwierciedle. Jego zbyt krótki seledec trochę się upokorzył, ale cały ten ubiór tak mu był do twarzy, tak odbijał nadobność jego młodocianych szlachetnych rysów, że mógł być z niego zadowolonym. Nic właściwszego dla poważniejszego wieku, zwłaszcza przy dobréj tuszy, jak żupan i kontusz staropolski ściśnięty złotolitym pasem, ale nie jest odpowiedni bystrości lat młodocianych. Naprzykład, jeździec w kontuszu nigdy dobrze się nie wyda; dlatego nasi przodkowie, jakkolwiek przy domowém ognisku nie rozstawali się z kontuszem, przysposobili kurtkę do wypraw wojennych.

Ułan ukazuje nam wzór prawdziwego jeźdzca polskiego. Jest-to miła pamiątka historyi naszéj, przysposobiona teraz przez wszystkie niemal wojska europejskie; jeden tylko kozak może emulować z ułanem w harmonii między koniem a ubiorem tego, któremu musi być posłusznym.

To pewna, że kiedy Jakób stanął w całkowitym moderunku, kiedy pałasz przyczepił, a ładownicę na sobie zawiesił, kiedy wcisnął za pas pistolety, a głowę nakrył kozacką czapką, było w nim coś tak marcyalnego, tak obiecującego, że ani Kulbida, ani przytomni Zaporożce, nie mogli wstrzymać okrzyku podziwienia.

— Pan jesteś gotowy — odezwał się Kulbida — konie wierzchowe już stoją pod gankiem. Ruszajmy do koszowego, który nas oczekuje; służę panu.

Wyszli, siedli na koń, pan Jakób wedle polskiego obyczaju zażył konia z miejsca, potém wstrzymał, osadził i zawrócił, czém do reszty zawojował patrzących na to kozaków.

Stępą daléj postępowali. Jakkolwiek to zupełnie nowe przeznaczenie dawało do myślenia Jakóbowi, wszystko co mu dopiéro opowiadali kozacy jego służby, takie wrażenie na nim zrobiło, że kiedy już za sobą zostawili dziedziniec chaty Kulbidowéj, on przybliżył konia do konia swojego gospodarza, i do niego tak się odezwał:

— Powiedz mi, panie Kulbido, co to ma znaczyć ten wyraz prymak, który kilka razy wyszedł z ust i twoich i naszych dwóch kozaków.

— Ten wyraz ma u nas wielkie znaczenie; prymaki są to ludzie, bez których nasze wyprawy bardzo zły obrótby wziąć musiały. Widzi pan, na Siczy mieszka tylko sam wojowniczy naród; u nas kobietom wszelki przystęp jest zabroniony. Kara śmierci czeka Zaporożca, któryby się ważył tu wprowadzić niewiastę, bo kto żyje z kobietą,

temu mięknieje serce, a jeżeli jeszcze doczeka się dziatek, najczęściéj staje się do boju niesposobnym. Ale jeżeli nasze życie kawalerskie naprzykrzy się jakiemu Zaporożcowi, i oświadczy przed koszowym, że chce się żenić, ten zwołuje radę, a potém albo mu nie pozwala opuścić Siczy, albo się zgadza z jego wolą. W tym ostatnim przypadku osadzamy go na jednym z tych kilku ostrowiów, które posiadamy na Dnieprze; dajemy mu ziemię, zapomogę na wybudowanie chaty i na zaprowadzenie gospodarstwa. Niech sobie zdrów żyje z żoną, jaką dostanie, ale już mu niewolno pokazać się na Siczy; inni za naszém pozwoleniem osiadają bądź w Małorossyi, bądź w Ruskich województwach, bądź na Wołoszczyznie. My dajemy im wszelkie środki na kupno ziemi i bydła, i zabezpieczenia sobie, jak na nasz stan, wygodnego życia. Wielu ekonomów, dzierżawców, a nawet małych właścicieli ze szlachty Polskiéj, wpisują się do naszego regestru. Wszyscy oni należą do naszego stowarzyszenia, i ulegają rozkazom koszowego; nazywamy ich prymakami, nie służą oni czynnie, nawet obcy nie wiedzą, że oni są nasi, ale dla nas są wielce pomocni; oni nam dają wiedziéć, co się w ich okolicy dzieje; ułatwiają nam sprzedaż łupów, które nam wpadają w ręce; u nich przechowują się nasi; zgoła bez nich nie moglibyśmy korzystnie napadać na kraj, w którym mieszkają. Jeżeli ekonom pańskiego folwarku jest naszym prymakiem, jego wieś jest wolną od wszelkiéj napaści. Szczęśliwy szlachcic, którego dyspozytor jest naszym prymakiem; ale za najmniejszą zdradę czeka go okropna zemsta, bo już na całém Zaporożu nie ma pokoju, póki nie wpadnie w nasze szpony. A jak my go dostaniem, skazujemy go na śmierć okropną, bo póty go biją, póki ducha nie wyzionie. Pan będziesz świadkiem tego rodzaju śmierci; dwa, trzy tygodnie nie upłyną, a zawsze znajdzie się jakiś Zaporożec czynny, który jéj ulegnie. Jeżeli pierwszy raz przewini nieposłuszeństwem względem starszego, to mu ujdzie na sucho, drugi raz weźmie w skórę, a trzecie nieposłuszeństwo jest śmiercią karane, chociażby największe miał zasługi; ale odkąd jestem Zaporożcem nie było przykładu, aby jaki prymak nam skrewił, i starsi odemnie zaporożskim wiekiem takiego nie pamiętają, ani o nim słyszeli. Żaden z naszych na niesprawiedliwość skarżyć się nie może, bo nim na wierność przysięże, wié o naszych ustawach i co go czeka, jeżeli przeciwko nim przewini.

Wszystko co słyszał, wielce zajęło Jakóba, ale prawodawstwo obyczaje tego osobliwszego zgromadzenia wstręt w nim obudziły. W saméj rzeczy, nic innego w Zaporożu nie widział, tylko mądrze uporządkowaną zgraję rozbójników, u których karność zastąpiła wszystkie cnoty towarzyskie. Nie dziwił się, że to życie hulackie przynęcało do siebie ludzi nieoświeconych, występnych skłonności, nie lubiących pracy; ale to go wielce zastanawiało, że ludzie dobrze wychowani,

mogący żyć pod prawem ukształconych społeczeństw, mogli z niemi zerwać, by żyć między ludźmi pokłóconemi ze sprawiedliwością ościennych państw, nawykłemi do rozboju, mordów, pijaństwa i najsromotniejszego wszeteczeństwa. I tak: wątpić nie mógł, że ten pułkownik co go poznał u wuja, który miał tak wielkie wpływy wywierać nad jego przeznaczeniem, którego opiece wuj, obywatel spokojny i powszechnie szanowany, jego poruczył, i zapewnił go, że do niéj ma najwłaściwsze prawa, był jakimś zwierzchnikiem w Zaporożu. Zkądże mogły być takie ścisłe stosunki między jego wujem, mężem wielkiéj pobożności i sławy nieskażonéj, a hersztem hultai? Z drugiéj strony, sam ten herszt zdradzał w obcowaniu swojém jakieś wyższe ukształcenie, pewne oznaki szlachetności uczuć, nieodpowiednie trybowi życia, jakie obrał był sobie. Błąkał się Jakób w domysłach, nie mogąc odgadnąć, na czém się opierały stosunki, które go wiązały z tym pułkownikiem zaporożskim; tyle tylko o nich wiedział, że jego los od jego woli zależał, że został przez niego wybawiony, i że nie tylko miał moc, ale nawet jakieś prawo do wymagania od niego posłuszeństwa. Uważał, że chociaż sam miał się za jeńca, wszyscy co się do niego przybliżali, okazywali mu uszanowanie. Nakoniec, będąc nabożnym jak wszyscy jego ówcześni rodacy, pomyślał sobie, że bez woli Bożéj nic złego z nim się stać nie może, a więc że jemu poruczyć się trzeba. Odmówił kilka Aktów Strzelistych do Opatrzności, błagając jéj miłosierdzia, i zaraz spokojniéj mu się zrobiło na duszy.

Zbliżyli się do domku koszowego. Sam koszowy, otoczony wodzami jemu podwładnemi, na wygoniu przed dziedzińcem musztrował spieszony pułk, który stał w Siczy. Skoro go spostrzegł Kulbida, zatrzymał konia, z niego dość lekko jak na starego zeskoczył, i zaprosił Jakóba, aby poszedł za jego przykładem. Kozak za niemi idący wziął konie, a oni pieszo poszli ku miejscu, na którém stał koszowy. Tego można było zaraz poznać po bogatszym ubiorze i po kitce czapléj, która się wznosiła nad jego wysoką kozacką czapką. Jakób i Kulbida postawili się z tyłu, więc Jakób jego twarzy widziéć nie mógł, a on sam tak był zajęty przeglądem pułku, i pieszą mustrą, że był jakby wryty w ziemi; głowy nie zwrócił, tylko każdy obrót komenderował donośnym głosem, i natężał uwagę aby się spełniał co do joty.

Jakób był z krwi rycerskiéj, a więc ten popis nie mógł być dla niego bez powabu. Podziwiał dokładność i szybkość, z jakiemi te obroty się wykonywały, i poznał że można nie tylko zamiłować sławę wojenną, ale nawet przywiązać się z zapałem do tych wszystkich drobniejszych szczegółów wojskowego rzemiosła, które z pierwszego rzutu oka wydają się być pedantyczną śmiesznością, ale w rzeczy saméj ułatwiają poruszenia uzbrojonego tłumu, a tém usposabiają go do nabycia chwały. Odwaga i zapał niewyćwiczonego wojska świe-

tne epizody bezwątpienia wywołać mogą, ale korzystnéj epopei nigdy nie uskutecznią (*). Jakób znał doskonale historyą swojego narodu, ku niéj więc zwrócił myśli swoje, i w tak głębokiém utonął zadumaniu, iż się nie spostrzegł, że już popisy były skończone, i że koszowy do nich się odwrócił i rozmawiał na osobności z Kulbidą.

Dopiéro głos Kulbidy wyprowadził go z krainy marzeń.

— Panie — rzekł do niego — koszowy pragnie, abyś mu był przedstawionym.

Jakób zwrócił oczy ku koszowemu, ale jakież było jego zadziwienie, kiedy ujrzał oblicze tego samego pułkownika, z którym się przed kilku dniami poznał w domu wuja podczaszego, który go potém wyrwał z rąk oprawców łowczyca Kierdeja, a teraz widział go naczelnikiem bitnego i wyćwiczonego narodu.

Na znak dany od koszowego, Kulbida i Jakób przybliżyli się do niego. Koszowy był otoczony starszyzną zaporożską; wszyscy mieli przed nim głowy schylone, a wyraz głębokiego uszanowania i nieco bojaźni okazywał się na ich obliczach. Kiedy Kulbida przedstawił Jakóba koszowemu, ten nie ułagodził bynajmniéj surowości swojego spojrzenia; powiedział mu tylko, mierząc go od stóp do głowy:

— Już nam wiadomo, że pragniesz do nas przystać; ani pierwszym ani ostatnim będziesz Lachem, co swoje zniewieściałe i gnuśne obyczaje lackie chciałby zamienić na nasze twarde i pracowite życie Zaporożskie. Zobaczymy, do czego możesz być nam zdatnym; już nosisz na sobie ubiór zaporożski, pozostaje ci miéć duszę zaporożską. Kulbida, który cię tu przywiózł, zajmie się twojém wychowaniem w tym nowym dla ciebie zawodzie. On cię nauczy naszych ustaw. To wychowanie, przy dobréj twojéj ochocie, nie będzie długie; już mi doniósł Kulbida, że umiesz dobrze używać szabli, to u was Lachów rzecz nie rzadka. Widział jak kilkunastu uzbrojonym naprzeciwko ciebie, umiałeś się opierać; to dobrze, ale jeszcze nie dosyć; wam wszyst-

(*) Żaden naród świetniejszych zwycięztw nad nieprzyjaciołmi nie otrzymał od polskiego, a jednak pomimo tych epizodów omal że nie każdy traktat po wojnie był z uszczerbkiem rzeczypospolitéj, właśnie dla tego braku karności, cechy charakteru narodowego. Na początku wyprawy, Polacy zawsze bili się jak lwy; każda bitwa przez nich wygrana, miała wszystko, żeby zostać stanowczą; ale po kilku niedzielach wojny, ich wojsko pod okiem nieprzyjaciół się rozprzęgało. Gdyby wojna trwać mogła tylko przez kilka tygodni, Polakby zawojował świat; ale co się przedłuża, musi zawsze go znudzić. Co tylko nosi cechę trwałości, stęsknienie w nim sprawuje. Żyje w przyszłości, nigdy w bycie obecnym, a to dlatego, że w bycie obecnym jest sama rzeczywistość niedostępna ułudom wyobraźni. Nie ma plemienia, w którémby fantazya tak była silną jak w polskiém; spostrzegasz ją w każdym niemal warunku polskiego żywota. Ona wszędzie u nas się przebija, wyjąwszy tam, gdzieby była najpotrzebniejszą, to jest w literaturze.

kim na odwadze i zręczności nie zbywa. Trzeba jeszcze, abyś się wprawił do tego, od czego wy Lachy zawsze odbiegacie, to jest do karności, do ślepego posłuszeństwa, bo bez tego wszystkie przymioty rycerskie na mało się przydadzą. Zaporożec musi się zaprzéć swojéj woli, a tylko wolą starszych dopełniać. Lach który do nas przystaje, swoje szlachectwo za Siczą zostawia, i o niém winien zapomniéć; u nas są stopnie wysłużone orężem, ale o urodzeniu ani wiemy, ani chcemy wiedziéć.

Nasi prawodawcy właśnie dlatego znieśli małżeństwo i wszelkim niewiastom przystępu do Siczy nie dopuścili, aby syn atamana albo koszowego nie brał góry nad synem prostego Zaporożca. Bezżeństwo jest jedyną rękojmią naszéj równości. Syn waszego wojewody, gdy zostanie Zaporożcem a coś nabroi, tak weźmie w skórę, jak syn pastucha.

Wreszcie nikogo przemocą nie werbujemy; każdy musi przechodzić przez doświadczenia i dowiaduje się, jakie są nasze ustawy; jeżeli one nie mają szczęścia mu się podobać, mocen jest cofnąć się przed przysięgą i nas opuścić. My go nie zatrzymamy, niech sobie rusza z Bogiem.

Potém koszowy przedstawił Jakóba starszyznie, polecając go ich pieczy, a nakoniec powiedział:

— Ruszaj z Kulbidą do mojéj kwatery; chcę jeszcze pomówić z tobą. Mam tu kilka rzeczy do załatwienia z atamanami; jak to się skończy, do was przybędę. Ruszaj-że zaraz, taka jest wola moja.

ROZDZIAŁ XIV.

Jakób około godziny czekał na koszowego, w towarzystwie Kulbidy. Dom koszowego był wygodny, obszerny, gdyż w nim była sala, a pośrodku niéj stół, za którym kilkadziesiąt osób zasiąśćby mogło; ale jego pokoje ani zbytku, ani wykwintności nie okazywały. Wszystkie sprzęty były z dębowego drzewa, tak jak u szlachty polskiéj; jednak w domach obywatelskich widziéć można było jakieś zwierciadło, firanki przy oknach, obrazy familijne przechowujące rysy przodków, jakąś szafeczkę z książkami. Tu nic podobnego; po ścianach wisiały we wszystkich pokojach kulbaki, kolczugi, strzelby, szable, pistolety; między rynsztunkami pokazywały się rzeczy wysokiéj wartości, naprzykład kulbaki z blachą złotą, nasadzoną drogiemi kamieniami, na rękojeściach niektórych szabel błyszczały dyamenty, ale

to wszystko nie było jak w naszych starodawnych domach, spuścizną przodków, lecz nabytkiem gwałtu, rabunku, zlanym krwią i łzami prawych właścicieli. Niedługo gościł w Zaporożu, ale aż nadto, aby nabrać wstrętu do jego obyczajów i nałogów; a tu słyszy wokoło siebie, że o czém mu się nigdy nie śniło, on sam pragnie być przypuszczonym do tego ohydnego towarzystwa. Gdyby ono było nawet z poczciwych ludzi złożone, samo bezżeństwo, które każdy jego członek ślubował, jużby go na zawsze od niego przegrodziło; a cóż dopiéro koleżeństwo z łotrami, rozbójnikami publicznych gościńców, których całkowita moralność zasadzała się na ostréj karności, gdyż bez niéj nie byłoby porządku, a bez porządku rabunki nawet nie mogłyby być ani długotrwałe, ani korzystne.

Jakób sam nie wiedział jak sobą rozporządzać. Przemyśliwał wydobyć się z téj zgrai hultajów, a przed jego myślą żaden środek ku temu się nie nasuwał. Czuł, że był zabłąkany w jakimś labiryncie, a jego wyjścia upatrzyć nie umiał. Miłość, którą pałał, i jego szlachecka sława zarówno były zagrożone; myślał sobie: — Co powié Helenka, co powiedzą moi przyjaciele, jeżeli dojdzie do nich wieść, żem przystał do Zaporoża, żem został wywołańcem swojéj ojczyzny? A broń Boże jeżeli zechcą użyć do jakiéjś wyprawy przeciwko szlachcie województw Ruskich!

W takich był myślach, kiedy koszowy powrócił nakoniec do swojéj kwatery. Na jego widok Jakób pomimowolnie zadrżał, a jednak nie było w nim nic takiego, coby nie miało ufności pobudzić; w jego spojrzeniu, na jego obliczu, wyrażała się łagodność i najszlachetniejsze uczucia. Już to nie był ten straszny wódz, którego groźne źrenice i marsowate czoło w około siały trwogę. Głos jego przeraźliwy, przybrał jakąś niewypowiedzianą słodycz. Zniknął morderczy koszowy, postrach szlachty Ukraińskiéj, pozostał tylko ten obywatel, któremu był przedstawionym przez wuja, a do którego od pierwszego poznania czuł taki pociąg, że to go bynajmniéj nie zraziło, kiedy mu wuj zapowiedział, że jego przeznaczenie od jego woli odtąd będzie zależało.

W izbie nie było nikogo, oprócz koszowego, Kulbidy i Jakóba. Koszowy więc pokazał się tém, czém był w istocie, a nie takim jakim się pokazywać musiał przed zdziczałym tłumem, którym samowładnie, a jednak nie bezwarunkowo rządził. Wziął Jakóba w swoje objęcia, przycisnął go do swojego łona, i kilka łez czułości uronił na jego czole. Poczém usiadł, kazał Kulbidzie i Jakóbowi zająć blizko niego siedzenie, i wtapiając wzrok pełen miłości w oblicze tego ostatniego, tak przemówił:

— Kubusiu drogi! od twojego urodzenia jest-to pierwsza chwila, która mi pozwala doświadczać uczucia szczęścia bez goryczy, bo

pierwszy raz jestem zupełnie spokojnym o ciebie. Wprzódy nim się jeszcze urodziłeś, już byłeś przedmiotem mojego przywiązania. Chwila twojego urodzenia była chwilą zgonu twojéj matki. Biedna sierota, wziąłeś w spadku po matce potężną nieżyczliwość, która od twojego urodzenia nie przestawała czyhać na twoję zgubę; jeszcze nie przyszła pora, w któréj masz się dowiedziéć, jakie stosunki zjednoliciły twoje z mojém przeznaczeniem, tyle ci tylko powiem, że twoje urodzenie wyzuło mnie z majątku, ze sławy, tak dalece, że osiadłego rzeczypospolitéj obywatela zmusiło przekształcić się w rozbójnika i rzuciło go w wir zbrodni, który zamknął przed nim na zawsze pobyt we własnéj ojczyznie. W jednéj chwili zostałem ubogim, tułaczem, opuszczonym przez tych, z którymi najściślejsze związki mnie łączyły. Jednak nie mogę powiedziéć, abym został bez pociechy; doświadczyłem prawdziwéj przyjaźni tam, gdzie wyznaję z żalem, jak najmniéj mogłem się jéj spodziewać.

Tu podał rękę Kulbidzie, i ścisnął jego dłoń z zapałem, a Kulbida ucałował z uniesieniem rękę mu podaną.

— Jakkolwiek — mówił daléj koszowy — obarczony byłem brzemieniem niedoli. Wszystkie moje nieszczęścia znikały z przed moich oczów, gdyż niebezpieczeństwa, które już otaczały twoję kolebkę, jedynie mnie zajmowały, i powziąłem niczém nie cofnięte postanowienie całkowity mój żywot poświęcić dla ciebie. Bóg jest świadkiem, że od dwudziestu przeszło lat nigdy nad tobą czuwać nie przestałem; dowiesz się wkrótce, jakie cuda wywołać może stateczna a jedyna myśl chociażby nędzarza, jak silna i płodna jest wola pojedynczego nawet człowieka. Wywołanego w Polsce, każdy tameczny mieszkaniec miał prawo mnie imać, wiązać i zawieść do grodu, gdzie śmierć haniebna mnie czekała, a jednak często nawiedzałem ciebie. Jeszcze byłeś niemowlęciem, a coś silniejszego niż głos roztropności, ciągnęło mnie do twojéj kolebki. Jeden twój uśmiech dziecinny wynagradzał wszystkie niebezpieczeństwa, które przebyłem, nim mogłem cię oglądać przez chwil kilka, po których upłynieniu nowe niebezpieczeństwa mnie spotykały.

Zostałeś wyrostkiem, a twoje wychowanie odbywało się pod moim kierunkiem. Chociaż byłem od ciebie oddalonym, nigdy dwa lata nie upłynęły, abym się do ciebie nie dostał, abym przynajmniéj cię chwil kilka nie oglądał choć z daleka. Jakież to było szczęście, kiedy cię mogłem przycisnąć do mego łona! Ty może nie pamiętasz, ile razy umiałem do ciebie się przedrzéć, kiedyś odbywał wakacye w domu państwa Niekrasów. Nigdy cię z troskliwego oka nie spuszczałem; więcéj powiem, jeżeli właśnie to moje przywiązanie dla ciebie zmusiło mnie obrać zawód przeciwny i mojemu wychowaniu i sposobowi myślenia, a który w tobie widoczny wstręt sprawuje, z drugiéj strony

niemniéj mu jestem winien świetność, z jaką ten zawód przebiegłem, a która mnie doprowadziła do tego, iż z posłuszeństwa dla wszystkich doszedłem do tego stopnia, że wszyscy mi są posłuszni, i że rozkazy żadnego mocarza nie są tak gorliwie spełniane, jak te które z ust moich wychodzą.

Wkrótce dowiesz się, Kubusiu, po szczegółach, ile i jakie obowiązki masz dla mnie. Przebaczysz mi, że gwałt muszę uczynić twojéj woli, na jéj przekór wcielając cię w towarzystwo, którém się brzydzisz. Pamiętaj na słowa twojego opiekuna podczaszego, że we wszystkiém odtąd winieneś mi być posłusznym. Bądź pewny, że czuję więcéj od ciebie samego, iż ten zawód który zmuszony byłem przyjąć, nie dla ciebie stworzony; że zanadto masz szlachetne serce, umysł zanadto ukształcony, abyś mógł w nim smakować, — tém więcéj, że od ciebie samego wiem, iż kochasz i jesteś kochany. Ale twoje bezpieczeństwo w téj chwili najwięcéj zagrożone, wymaga abyś czas jakiś uczynił z siebie ofiarę, i przyjął postać tobie niewłaściwą. Miéj ufność we mnie, Kubusiu; od lat przeszło dwudziestu, twoje szczęście jest założeniem mojego żywota. Muszę zapewnić ci szczęście, jakiego sam już nigdy kosztować nie będę; ale zostawszy szczęśliwym twojém szczęściem, będę godnym zazdrości. Wszystko doprowadziłem do tego, aby ci je zapewnić; zbliża się chwila stanowcza, która rozwiąże twoje przeznaczenie. Niech-że się ono przez winę twoję nie rozbije u portu; dla twojego dobra domagam się pełnéj ufności i ślepego z twojéj strony posłuszeństwa. Jako przyjaciel o to cię proszę, jako koszowy zdołam cię do tego zmusić.

Jestem samowładnym wodzem Zaporoża, ale zawsze pod warunkiem, iż stosować się muszę jak najściśléj do jego obyczajów. I tak: lubo chciałbym cię miéć zawsze blizko mojego łona, jednak u siebie umieścić cię nie mogę. Pozostaniesz w domu i na opiece Kulbidy, który ma dla ciebie obowiązki wszystkim wiadome; ale ile mu i ty nawzajem winieneś wdzięczności, o tém wiedzą: ja, twoi wujowie, ojciec twojéj kochanki. Wkrótce i ty się o nich dowiesz, i dopiéro zadziwisz się, ile serca, ile poświęcenia mieścić się może we wnętrzu rozbójnika. On zasługuje na twoję przyjaźń; tyś go wyratował w największém niebezpieczeństwie, w jakiém kiedykolwiek się znajdował, ale trudno wyliczyć, ile razy od twojego urodzenia on swoje życie na losy puszczał, ażeby cię ocalić. Co do mnie, on był moim sługą, ale tyle w nim znalazłem przywiązania, tyle przyjaźni, że jest dla mnie więcéj niż przyjacielem, niż bratem. Jemu wszystko winienem, nawet ten stopień, na który się podniosłem, a który mnie stawi wyżéj od wielu monarchów; za jego tylko staraniem mogę cię teraz swobodnie przytulić do mojego serca; gdyby nie jego życzliwość, nie jego mądra rada, dawnobym upadł pod brzemieniem rozpaczy.

To rzekłszy, zerwał się koszowy ze swojego krzesła, toż i Kulbida; oba rzucili się wzajemnie w objęcia, po kilkakrotnie się uściskali i obfite łzy czułości wylali. Rzewna ta scena przez kilka chwil trwała przed oczyma zadziwionego Jakóba, że ludzie tak krwawi, tyle jeszcze mięsistości serca zachowali.

— Powierzam cię, drogi Kubusiu, poczciwemu Kulbidzie — rzekł koszowy, postępując po téj krótkiéj przerwie w swojém opowiadaniu — on cię uczyć będzie naszego rzemiosła. Jakiekolwiek byłoby twoje przeznaczenie, ta nauka zawsze będzie dla ciebie przydatną; codziennie przynajmniéj jaką godzinę z tobą tu przebędę na osobności, jest-to potrzeba mojego serca. Jeden tylko Kulbida będzie świadkiem naszego obcowania; jak mnie widzisz wylanym dla ciebie, takim mnie zawsze znajdziesz. Wszakże niech to cię nie dziwi, że w przytomności innych będę względem ciebie groźnym i niedostępnym koszowym; wzrok, wyraz mojéj twarzy jest inny między ścianami mojego domu, a inny, kiedy jestem otoczony mojemi podwładnemi. Tam Kulbida nawet nie otrzyma odemnie ani poufałego słowa, ani łagodnego spojrzenia. Taki jest tryb naszego życia; gdyby cień poufałości istniał w naszém stowarzyszeniu między starszym a młodszym, chociażby tylko jednym stopniem, całkowita karność zarazby się rozprzęgła, a bez karności nasze waleczne i swobodne kozactwo przekształciłoby się w chłopstwo niewolnicze, pracujące na korzyść cudzą pod batogiem ekonoma złodzieja, niewiele od niego wyższego w ukształceniu. Zresztą wyznam przed tobą otwarcie, że przywykłem do zaporożskiego życia, i że ten wyraz: rozbójnik, którego nam nie szczędzą, nie tyle mnie razi. W ustach Świętych Pańskich i tych co na ziemi ich naśladują, ta nazwa do nas zastosowana słusznieby nas powinna okryć sromotą; ale kiedy jéj używają w mowie ludzie nielepsi od nas, w czémże to ma nas zawstydzać? Cała Małorosya jest nam przychylną, tam o nas źle nie mówią; to prawda, że na prawym brzegu Dnepru na nas ani czci ani wiary nie zostawią, ale kto? Przebiegnij wzdłuż i wszerz każdą wioskę ukraińską, dwóch tylko naszych nieprzyjaciół w niéj znajdziesz, oprócz nich naród nam sprzyja: mamy przeciw sobie ekonoma i arendarza. Pierwszy okrada swojego pana ciągle, a drugi oszukuje wszystkich, i z tego żyje; obaj ci przybysze łączą się z sobą, żeby ostatni kęs wydrzéć od tubylca przemocnie ujarzmionego, który na nas patrzy jak na swoich mścicieli. Ekonomie Humańskie i Śmielańskie z nami sojusz zawarły; opłacają nam coroczny haracz, to téż od nas najmniejszéj krzywdy nie doświadczają. Od więcéj stu lat na Małoruś nie napadamy, bo tam jest siła zbrojna, z którą niebezpiecznie się mierzyć. Na posiadłości Rzeczypospolitéj często napadamy; gdzie znajdujemy ekonomią, ta musi się nam opłacić, żeby nie zostać zrabowaną z kretesem. Chłopkom nic, bo oni

nasi przyjaciele; postępujemy z wszelką słusznością. Ale kiedy naród, zamiast wyrobienia w sobie nowéj siły, przez nieposłuszeństwo stracił i tę którą kiedyś posiadał, niech się nie dziwi, że zostanie złupionym przez pierwszego który się o to pokusi.

Nie przymawiając tobie, kochany panie Jakóbie, co jesteś wielkim prawnikiem, gdyby zamiast tych szermów językowych, z jakich potém wyradza się olbrzymia gadulia sejmowa, by utworzyć porządek polityczny na samochwalstwie i paplaniu oparty, w poważném milczeniu raczyliście się przekonać, że tylko siła rządu tworzy siłę narodu; ani Zaporożec, ani Nogajski Tatar nie byłby dla was straszny. Nie dość utworzyć sobie cel szlachetny; trzeba wprzódy wyrobić w sobie środki do dopięcia tego celu. Wasz nierząd, wasza krnąbrność, wasze nieposłuszeństwo względem panujących, wasze puste ambicye, niezgody, wzajemne oszczerstwa, aż nadto usprawiedliwiają uciski, jakich i od nas i od innych doświadczacie.

Podczas gdy tak mówił koszowy, widać było w nim mocne wzruszenie. Skończył i uściskał powtórnie Jakóba, i rozkazał Kulbidzie, żeby odprowadził go do swojéj kwatery i od dnia jutrzejszego rozpoczął z nim wychowanie zaporożskie. Dodał, obracając zawsze mowę do Kulbidy:

— Jutro dzień Ś-go Tercatia, patrona pułku Stawiskiego, odbywającego teraz służbę w Siczy. Jutro będzie wielka uczta pułkowa dla wszystkich Zaporożców tu znajdujących się. I Jakób na niéj znajdować się musi, a więc trzeba żebyś go zaznajomił z kolegami. Wiem, że go miłujesz, jakby był twojém dzieckiem; w lepsze ręce nie mógłbym go oddać. Ty wszystko obmyślisz, co tylko być może z jego dobrem.

Kulbida i Jakób wyszli z domu koszowego.

ROZDZIAŁ XV.

Jakób, zmuszony rozpoczynać zawód niemiły, bo przeciwny jego zasadom i nałogom, był rzeczywiście politowania godzien. Czuł bez wątpienia wielki pociąg do koszowego, który mu aż nadto objawiał swoje przywiązanie. Kulbida, jeżeli dla oka ludzkiego okazywał się ostrym i groźnym, kiedy go uczył obrotów wojennych i wprawiał do użycia spisy, to z drugiéj strony kiedy z nim sam zostawał, otaczał go dowodami głębokiego uszanowania i największéj życzliwości. Starał się myśli jego zgadywać, żeby mu uprzyjemnić pobyt w Siczy. Te dowody przywiązania umiał oceniać. Niemniéj pochlebną była dla

niego życzliwość, jaką mu okazywali wszyscy Zaporożce tak wyższych stopni, jako i prostego narodu, bo już była gruchnęła między niemi wieść, że Jakób, nie oglądając się na żadne niebezpieczeństwo, wyrwał Kulbidę z rąk nieubłaganéj sprawiedliwości, co niemałe wrażenie napiętnowało na sercach ludu ceniącego nad wszystko odwagę, a ślepo przywiązanego do swoich starszych. Nawet ćwiczenia wojskowe nie były dla niego niemiłe; owszem znajdował w nich rozrywkę czyniącą przerwę w jego smutku, i w nich robił zadziwiające postępy. Do tego gładkość młodzieńca, nadobność jego oblicza, na którém pospołu wyrażało się i męztwo nieustraszone, i łagodność zniewalająca, wszystko największe robiło wrażenie na umyśle i sercu tego walecznego a razem poetycznego ludu.

Z drugiéj strony, oprócz koszowego i Kulbidy z nikim nie mógł zawiązać ścisłych stosunków przyjaźni, bo te istnieć nie mogą bez jakichś stosunków w wychowaniu, w sposobie myślenia, w obyczajach. Z kimże miał się porozumieć w téj zgrai, gdzie nawet człowiek na wysokim stopniu usadowiony, pysznił się, że ani pisać, ani czytać nie umiał — gdzie nie pojmowano żadnych obowiązków moralnych względem tych wszystkich, co do ich stowarzyszenia nie należeli—gdzie oprócz posłuszeństwa starszym i poświęceń wzajemnych koleżeństwu, żadnéj cnoty upatrzéć nie można było — gdzie każda rozmowa poufała, zawsze się zwracała do mordów, gwałtów, rabunków i okrucieństw, nad któremi natura człowieka cokolwiek ukształconego wzdrygać się musiała? U niektórych Zaporożców przebijały się ślady jakiegoś ukształcenia, jak migania gasnącego światła; ale te dobre rośliny były zagłuszone chwastem nieprawego żywota. Indywidua składające to osobliwszego rodzaju ciało zbiorowe, były albo dzikie, albo zdziczałe; żyć z takiemi ludźmi było dla człowieka szlachetnego ciągłą katuszą, tém dotkliwszą, że trzeba było ten niesmak zachować w sobie, i troskliwie baczyć, żeby go niczém nie zdradzić. Można sobie łatwo wyobrażać, na jakie wewnętrzne walki Jakób był skazany.

Jeszcze to wszystko możeby było dla niego znośniejsze, gdyby nawet w chwilach kiedy nie był zmuszony obcować z temi, do których czuć nie mógł ani pociągu ani szacunku, mógł być zupełnie swobodnym; ale ta myśl, że jest niewolnikiem, że od cudzéj woli zależy, zatruwała jego życie i była największém jego cierpieniem. Niejednokrotnie Kulbida podchodził go w swojéj kwaterze, kiedy siedział przy stoliku z głową opartą na obu rękach i zalewał się łzami. Kulbida go pocieszał jak umiał, usiłował w nim ożywiać wytrwałość i nadzieję, ale zawsze otrzymał jednę odpowiedź:

— Albo zabierzcie mi życie, albo wróćcie mi wolność!

Kulbida często kilka łez swoich dołączał, bo szczerze miłował Jakóba, ale żadnéj nadziei mu nie robił rychłego uwolnienia.

Takim sposobem mijał tydzień po tygodniu; już ich więcéj dwudziestu minęło, a żadnéj odmiany nie doczekał się w swoim nieszczęśliwym losie. On, dla którego w Żytomierzu żaden dzień nie upłynął, żeby w nim kilku godzin nie przepędził w towarzystwie Helenki, żeby się nie napawał wpatrywaniem się w jéj niewinne wdzięki, od tak dawna nie tylko że jéj nie oglądał okiem (bo co się tyczy duszy, jéj obraz przed nią nigdy nie znikał), ale nawet żadnéj o niéj nie miał wiadomości. I to było źródłem najdotkliwszych jego męczarni.

Kulbida był człowiekiem prostym, ale rozsądnym, i nie bez jakiegoś ukształcenia, które troskliwie okrywał obcując z Zaporożcami, ale które Jakób, ciągle z nim żyjąc, umiał odkryć. Z tém wszystkiém to ukształcenie nie było tak dalece rozwinięte, żeby aż zadziwić mogło, iż przywykł do trybu życia zaporożskiego; ale co wielce zastanawiało Jakóba, koszowy, w którym poznał i wiele prawdziwego światła i wysokie ukształcenie naukowe, jak wyraz swojéj twarzy, tak i obyczajowość swoję zostawiał w kwaterze, kiedy z niéj wychodził. Otoczony kozactwem, w rozmowie, w poruszeniach, w zabawach, w niczém się nie różnił od prostego Zaporożca. Widywał go czasem na ucztach bądź pułkowych, bądź przez siebie danych. Jakób, który po każdéj uczcie był jakby z krzyża zdjęty, tak się pasować z sobą musiał, żeby nie zdradzić wstrętu, jakiego doświadczał na widok tego obrzydliwego pijaństwa, téj niedorzeczności w rozmowie, tego hałaśliwego biesiadowania, tego targania wszelkich wędzideł przyzwoitości, jedném słowem téj głupoty poniżającéj godność istoty na obraz Boga stworzonéj; nie mógł pojąć, jakim sposobem człowiek tak światły, tak wysokich pojęć, tak czułego serca, jakim był koszowy, mógł nie tylko podzielać te podłe zabawy, ale nawet w nich znajdować przyjemność.

Te same gorszące niedorzeczności, które kozactwo powtarzało, wychodziły z ust jego; też równie głupie dykteryjki, tak się zapijał gorzałką jak prosty kozak, takie jak on zbrodnicze głosił zasady.

Wprawdzie gdy wracał do siebie, otrząsał się z tego kału, i choć pijany, przecie jak szlachcic, a nie jak tragarz uliczny, jakim był dopiéro. Wszystko to było zagadką niedocieczoną dla Jakóba, który nadto zachował dziewictwa w duszy, żeby zrozumiéć, że człowiek jak Kameleon wszelkie barwy może przyjąć gwoli swoich namiętności.

Nastąpiła pewna okoliczność, która wyprowadziła Jakóba z ostatecznych granic cierpliwości. Czytelnik raczy sobie przypomniéć, że z nim razem przywieziono do Siczy Artema jego kozaka, który porządnie został cięty od pana Bartłomieja, jakoby za zdradę. Skoro tylko jego rana zagojona została, zaraz koszowy rozkazał pisarzowi Siczy zająć się jego sprawą. Wyznaczono sąd wojenny, w którym pióro było naturalnie oddane pisarzowi, jako jedynemu na całém Zaporożu, któremu wolno było umiéć pisać. Śledztwo poszło jak najakuratniéj;

nikt lepiéj od hultajów nie potrafi osądzić hultaja, i nigdy właściwiéj nie usprawiedliwił się ten aksyomat zasadniczy prawa feodalnego: nemo judicandus, nisi a paribus suis. Sędziowie, z których niejeden prześliznął się był przez łapy sądowe za popełnione zbrodnie, aż nadto byli oswojeni ze środkami, jakiemi prawda może się wykryć. W takie obroty umieli wziąć Artema, że ten do wszystkiego się przyznał.

Występek jego był oczywisty: przekonano go, że był w zmowie ze sługami JW. Kierdeja łowczego Litewskiego przeciw swojemu panu; że mu wykręcił kule z dubeltówki, ażeby tém bezpieczniéj mogli na niego napaść. Zdrada była udowodnioną, a nawet ocechowana niewdzięcznością, bo sam wyznał, że lepszego pana nie było na świecie. Mając to wszystko w uwadze, sąd wojenny na śmierć go skazał, a wyrok podpisany przez pisarza odesłany został koszowemu, żeby go potwierdził.

Jak się Jakób o tém dowiedział, chciał zaraz pobiedz do koszowego, żeby wymodlić u niego przebaczenie. Jeszcze tego nie rozumiał, że wyraz przebaczenie nie mieścił się w słowniku zaporożskim. Od tego zaczął, że poszedł do Kulbidy, mając do niego więcéj śmiałości. Kulbida wręcz mu odpowiedział, że wyrok musi być spełniony; że nie było przykładu w dziejach Zaporoża, iżby jaki koszowy odmówił potwierdzenia swojego wyrokowi sądu wojskowego; a więc nie ma podobieństwa, żeby teraźniejszy koszowy dał tak gorszący przykład niedopuszczeniem kary na niegodziwego zbrodniarza; dodał, że dziwi się, że tak uczciwy młodzieniec, jakim jest pan Jakób, może się za nim wstawiać.

— Na to przynajmniéj pozwolisz, panie Kulbido — odpowiedział Jakób zniecierpliwiony — że ten nieszczęsny, czy zbrodniarz czy niewinny, do waszéj juryzdykcyi nie należy, bo jużci on nie jest Zaporożcem, ani był nim kiedykolwiek.

— Juryzdykcya nasza rozciąga się wszędzie, gdzie tylko dosięga nasza władza, a najściślejsza sprawiedliwość jest jéj prawem.

— A więc udam się do samego koszowego.

— To napróżno, panie Jakóbie. Tyle będziesz miał w zysku, że go zasmucisz.

Jakób udał się do koszowego, ale widać, że był uprzedzony może od samego Kulbidy, bo nie dopuścił mu do siebie przystępu, i co Jakóbowi pierwszy raz się zdarzyło odkąd gościł w Siczy, przez dwie doby nie mógł widziéć się z koszowym. Mało na tém. Z rana trąby dają hasło, żeby każdy stanął pod bronią i wyszedł na plac przeznaczony do ćwiczeń wojskowych. Jakób wystąpił także w pełnym moderunku, i stanął w szeregu. Na komendę koszowego, cała ta massa uszykowała się w czworobok otwarty, to jest z trzech ścian złożony; o kilkanaście kroków przed próżną ścianą czworoboku stała kadź na-

pełniona gorzałką i stos kijów, a przy nich słup drewniany w ziemię wbity.

Jakież było zadziwienie Jakóba, kiedy następna scena odbyła się przed jego oczyma. Przyprowadzono Artema; pisarz siczowy dobył z zanadrza jakiś papier i zaczął czytać. Tego dosłyszéć nie mógł Jakób, ale poznał, że to musiał być wyrok; a nim zaczął czytać, już Artem był przywiązany do słupa. Pisarz po przeczytaniu wyroku oddalił się, a pop przybliżył się do Artema i z nim mówił około dwudziestu minut, po czém go pobłogosławił i zostawił. Widać było, że Artem się modlił, bo często robił na sobie znak męki Pańskiéj. Dopiéro na zakomenderowanie, jeden po drugim kozak występował z szeregu, szedł podwójnym krokiem do Artema, z kadzi czerpnął gorzałki, wlał ją w gardło, po czém porywał kij, uderzył winowajcę, kij zostawiał i wracał w szereg. I to powtarzał, ile razy powtórna koléj na niego przychodziła.

Z początku razy były umiarkowane, ale w miarę rozgrzania mózgów rozpalającym trunkiem, pociski się zwiększały, póki nakoniec ducha nie wyzionął. Można wyobrazić sobie, ile ten nieszczęsny ucierpiéć musiał w tém kilkogodzinném konaniu, w którém najprzód mu ciało i kości zbito na miazgę, a nakoniec głowę roztrzaskano.

Jednak jest jakaś czarodziejska siła w téj karności, która obraca żołnierza w szeregu stojącego. Głos natury zostaje zagłuszony głosem komenderującego wodza. W jednéj chwili działanie myśli, czułość serca, nawet fizyczne cierpienia są w zawieszeniu, a całkowita potęga duszy ściska się w uchu, żeby słyszéć komenderówkę i wedle niéj działać. Człowiek raptem przekształca się w machinę, któréj główną sprężyną jest naczelny wódz. Nigdzie massy widoczniéj nie jednoczą się z wodzami, jak w wojsku; podobnéj abnegacyi woli osobistéj, istniejącéj jako fakt, żadną zaspakajającą teoryą wytłómaczyć niepodobna. Jest-to cud oczywisty, wypadek potężnego *fiat* Opatrzności, gdyż bez niego żaden porządek towarzyski dotrwaćby nie mógł, a z woli téjże Opatrzności człowiek może bytować i zachować się tylko w towarzystwie.

I tak: Jakóba dusza się wzdrygała, patrząc na ten ohydny i okropny ustęp; a jednak ile razy przychodziła na niego koléj wystąpienia z szeregu, na przekór jego woli, głos komendy nim poruszał. Zapewne, że jego razy nie musiały być tak silne, jak jego towarzyszy, coraz głębiéj zanurzonych w zapomnieniu; wszakże zdawał się robić to wszystko co inni robili, tak dalece, że pomimo wstrętu jaki miał, nie tylko do użycia gorzałki, ale nawet do jéj woni, przynajmniéj maczał usta w czarze tym płynem napełnionéj, i mało przytomny sobie, nieraz z niéj machinalnie zachlipnął.

Dopiéro kiedy po ukończeniu całéj téj sceny, w któréj sam był akto-

rem, kozactwo już dobrze pijane rzuciło się na resztki gorzałki będącéj w kadzi; kiedy usłyszał krzyki radości, ponure żarty, przeraźliwe śmiechy tego zdziczałego ludu; kiedy w żywym obrazie przedstawiło się przed nim to zaparcie się wszystkich uczuć ludzkości, poznał całą ohydę swojego położenia. Śpiesznie wrócił do swojego mieszkania, tam się rozbroił, zrzucił z siebie ten ubiór zaporożski, który go palił jak koszula Nessussa, a zmęczony na ciele, a jeszcze dotkliwiéj na duszy, rzucił się na łóżko, ażali na niém nie znajdzie snu, któryby przerwę zrobił jego cierpieniom.

Napróżno szukał spoczynku; jego położenie coraz w czarniejszéj barwie przedstawiało się przed jego duszą. Pokilkakrotnie zrywał się z pościeli, przechadzał się szerokiemi kroki po swojéj izbie, potém znowu szukał spoczynku. Całą konwę wody wypił, a nie mógł ugasić ognia, który palił jego wnętrzności. Na szczęście obfite łzy płynąć zaczęły z jego źrenic; to mu jakąś ulgę czuć dało. Położył się, żeby dowoli się napłakać. Tu był nakoniec szczęśliwszym, gdyż sen, na próżno dotąd przywoływany, skleił jego powieki.

Po kilkogodzinnym śnie, zupełnie gorączkowym, w którym najokropniejsze widziadła nie przestawały go trapić, kiedy otworzył oczy, z niemałém podziwieniem ujrzał siedzącego przy jego łóżku koszowego, a za nim stojącego Kulbidę. Jakób chciał się zerwać z łóżka, ale koszowy tego nie dopuścił, a topiąc w nim wzrok pełen miłości, rzekł:

— Kubusiu, ty chory jesteś; przypatrywałem się snu twojemu więcéj godziny. Sen ten był tak niespokojny, takie utrapienie wyrażało się na twojéj twarzy, usta twoje tak są spiekłe, że dotąd czuję się przerażonym. Drogi Kubusiu, powiedz co ci jest?

— Jaśnie wielmożny koszowy! w saméj rzeczy chory jestem, ale więcéj na duszy, niż na ciele.

— Czy może ci być źle między temi, którzy cię miłują? którzyby radzi krwią swoją okupić twoją spokojność?

— Panie koszowy, umiem poznać się na łasce pańskiéj, ale przed nim prawdę muszę wyznać. Ja mojego teraźniejszego położenia znieść nie mogę; chybabym duszę zaprzepaścił na wieki, żebym się zgodził żyć między wami. Wiem, że jestem w waszym ręku, że możecie mnie ukarać za moją otwartość; mniejsza o to co mnie za to czeka, pewnie nic gorszego nad nieszczęście być skazanym żyć między temi, których szacować nie można bez zaparcia się wszystkich uczuć szlacheckiego honoru i prawości obywatelskiéj.

— I cóż cię u nas zraziło?

— Wszystko, na co patrzałem, oburzało duszę moją. Jesteście ludzie bez czucia, bez serca, bez sumienia. Ta wasza karność, z któréj się tak pysznicie, nie jest cnotą, jest tylko uporządkowaniem zbrodni.

widzę was jedno jako bicz od Boga dopuszczony na ukaranie naszych przewinień. Nie jesteście narodem, nie jesteście społeczeństwem, nie macie nawet rodziny, którąby wam przypominała żeście ludźmi, a nie drapieżnemi bestyami. Jesteście zgrają rozbójników, klęską i zgorszeniem dwóch narodów, z których jeden, bo silniejszy, mógł przecie położyć jakąś tamę waszym rozbojom, a drugi, że bezsilny, stał się ofiarą nad którą się pastwicie.

— Panie! — odezwał się Kulbida — wstrzymaj twoje zapędy i pomnij w czyjéj przytomności to mówisz i kogo obrażasz.

— Niczyja przytomność mnie nie odstraszy — odpowiedział Jakób w takiém zapamiętaniu, iż nawet nie spostrzegł znaku danego Kulbidzie przez koszowego. — Panie koszowy! wydajesz mi się być szlachetniejszym od swoich podwładnych; czuję jakiś pomimowolny pociąg ku tobie: być może, że to mnie przed własném sumieniem zawstydza. Posłuchaj mnie, bo jeszcze nie skończyłem. Bóg nas słucha, a jakkolwiek jesteś potężnym, przecie jesteś w jego ręku, jeszcze więcéj niżeli ja w twojém; dlaczego mnie niewinnemu tak sromotną krzywdę wyrządzasz?

— A jakiéjże krzywdy doświadczasz odemnie, którybym rad dla ciebie niebo przychylić? — odpowiedział koszowy głosem drżącym, który zdradzał jego wewnętrzne wzruszenie.

— Czy tém przeciw panu przewinił — dorzucił Kulbida, nie zważając na znaki jakie mu czynił koszowy. żeby milczał, — że z narażeniem swojéj dostojnéj osoby, jego wybawił pod Żytomierzem?

— Panie Kulbido — odrzekł Jakób — byłbym podły, gdybym nie umiał zachować wdzięczności dla przysługi chrześciańskiéj i rycerskiéj, jaką od pana koszowego doświadczyłem, ale czyż dlatego, że postąpił zemną jak każdy szlachetny mąż winien postąpić pod utratą sławy, już tém mnie nabył na własność? Wszakże z niemniejszego niebezpieczeństwa, i niemniejszém narażeniem mojéj osoby nie wahałem się ratować waszmości, panie Kulbido, a czyż dlatego roszczę sobie jakieś prawa do niego? Panie koszowy! odwołuję się do twojego sumienia: jakiém prawem mnie, szlachcica wolnego, zabezpieczonego przysięgą swojego pana, że nie mogę być więziony, dopóki sądownie nie zostanę przekonanym o występek, obracasz w niewolnika? Bądź wspaniałym, panie koszowy, puść mnie, pozwól mi wrócić tam, gdzie mnie ciągnie powinność i uczucie serca, a tém większe i godniejsze ciebie nabędziesz prawa do mojéj osoby, niż te, które przemocą rozciągasz nad człowiekiem niewinnym, który rad cię miłować.

— Szaleńcze! Ty chcesz wrócić do Polski? Czyż nie wiesz co cię w niéj czeka? Czyż wujowie twoi już cię o tém nie oświecili? Wszakże jednego kroku w ojczyznie twojéj nie zrobisz, żebyś się nie pasował z niebezpieczeństwami, które na końcu cię pożyją. Bądź pewny, że

teraz tam nic innego nie znajdziesz, tylko śmierć sromotną, albo niewolę wcale innego rodzaju, niżeli ta, na którą ty się tu użalasz.

— Panie koszowy, śmierci się nie lękam, lubo świeżo patrzałem na sposób, w jakim umiecie ją zadawać. Otóż zapowiadam panu, że żadnéj chwili, którą zmusicie mnie tu mieszkać nie opuszczę, żebym w niéj nie myślał wyrwać się z waszéj ohydnéj niewoli. Wiem, żeście mnie wpisali w waszym regestrze, że w obliczu całéj Siczy jestem Zaporożcem; wiem, jaka kara czeka Zaporożca, który usiłuje uciekać z waszych posiadłości. To wszystko mnie nie zastrasza: ucieknę, schwytanym zostanę, jeżeli broniąc się śmierci nie znajdę. Będę sądzony, skazany na śmierć taką, jaką poniósł dopiéro mój Artem. Twoja powaga, panie koszowy, nie jest zdolną wybawić zaporożskiego zbiega, a jednak poprzysięgam na mój honor szlachecki, że od mego zamiaru nie odstąpię. Wolę skonać pod waszemi razami, niżeli piastować najwyższe wasze dostojeństwa.

— Jakóbie — odrzekł spokojnie koszowy — zapoznajesz najlepszego twojego przyjaciela, krwawisz serce tego, który wszystko poświęcił dla zabezpieczenia tobie pokoju i szczęścia, i ty w jednéj chwili chcesz zniweczyć dwudziesto-kilkoletnie jego usilności! Błagam cię, Jakóbie, nie gub się sam dobrowolnie, połóż ufność we mnie! Niedługo czekać będziesz na pomyślne rozwiązanie twojego przeznaczenia. Czyż twoje serce nic tobie za mną nie przemawia? czy cię nie oświeca, że nie mogę być dla ciebie nieżyczliwym? Bądź cierpliwym przynajmniéj przez czas niedługi, znoś mężnie twoje teraźniejsze położenie! Zaklinam cię na to przywiązanie, jakie masz dla twojéj Helenki, pamiętaj, że tylko twoje ślepe poddanie się mojéj woli może was połączyć.

— Ani chwili, panie koszowy, nie chcę być tobie posłusznym! Czego chcesz odemnie? Jakie prawo masz do mojego posłuszeństwa? Co cię upoważnia, żebyś na przekór mojéj woli miał mnie uszczęśliwiać?

— Co mnie do tego upoważnia? Jakie prawo? Najświętsze ze wszystkich praw, prawo natury.

— Co to ma znaczyć? Nie rozumiem cię, panie koszowy.

— Kulbido! — rzekł koszowy — powiédz mu kim jestem dla niego, kim on jest dla mnie.

— Panie Jakóbie — odrzekł Kulbida — czy nie domyśliłeś się, że koszowy jest twoim ojcem?

— Przebóg! On moim ojcem?

— Nie inaczéj — odezwał się koszowy — wziąwszy go w swoje objęcia. — Synu drogi! widzisz przed sobą tego, który dał ci życie, i który całkowite swoje poświęcił, żebyś mu ten dar nieszczęśliwy przebaczył.

Natura pokazała się tu silniejszą, niż wszystkie uprzedzenia Jakóba. Przytulił się do ojcowskiego łona, potém chciał mu paść do nóg, ale walki, które się w jego duszy w kilku chwilach odbyły, nie przeszły bezkarnie. Bo kiedy padł ojcu do nóg, a ojciec chciał go podnieść, nieczułego wziął w swoje ramiona. Jakób był zemdlał.

ROZDZIAŁ XVI.

Zaledwo koszowy z Kulbidą ocucili Jakóba, gdy wrócił do przytomności, pierwsze jego poruszenie było porwać ojca rękę i przycisnąć ją do ust. Obfite łzy na niéj wylał. Płakał ojciec, płakał Kulbida. Była to scena rzewna, pewnie pierwsza tego rodzaju w Zaporożu. Jakób pokazał się być ślepo posłusznym głosowi natury; przez myśl mu nie przeszło żądać dowodów, któreby poparły słowa uroczyste wyrzeczone przez koszowego. Prosił go jedynie o przebaczenie za zgryzoty, jakich doświadczał z jego powodu, zwłaszcza za ten opór krnąbrny jego woli, jako nieświadomemu związków świętych, które go z nim łączyły. Przyrzekł mu odtąd nieograniczoną ufność i posłuszeństwo, i że póki wola ojca, będzie się starał z największą gorliwością, a nawet z wesołością dopełniać obowiązki Zaporożca, na które pomimowolnie skazanym został.

— Synu! — odpowiedział koszowy — niech Bóg ku szczęściu, na jakie zasługujesz, obróci to ojcowskie błogosławieństwo, które ci daję. Od przeszło dwudziestu lat myśl o tobie nigdy mnie nie opuszczała, nawet w krwawych ustępach mojego rozpasanego zawodu; ale w jednéj chwili wynagrodziłeś mi wszystkie moje cierpienia. Nie ustawaj w ufności jaką mi winieneś. Pełń jak dotąd obowiązki Zaporożca pod pieczą poczciwego Kulbidy, a bądź pewny, że wkrótce wszystko to, czego pragniesz, musi się ziścić koniecznie. Twoja Helenka zdrowa, za tobą tęskni jak ty za nią; jéj ojciec jest moim przyjacielem, i ciągle się ze mną znosi, toż i obaj twoi mniemani wujowie, bracia Bołsunowscy. Ty masz wielkie szczęście do ludzi, Jakóbie; wszyscy twoi przyjaciele żytomierscy ukoić się nie mogą z żalu po tobie. Bartłomiéj opowiedział im, że cię w jego przytomności jacyś uzbrojeni hultaje porwali i z sobą wywieźli, a jego puścili. Wszystko przed niemi wyznał, tając tylko to, co dotykało pana łowczyca; jego nazwiska nawet nie wspomniał, jedynie panu rejentowi z wszystkiego się wyspowiadał. Konie, co je darowałeś Bartkowi, rejent jako swoje sprzedał, ale pieniądze za nie wzięte jemu cichaczem wrócił. Teraz dobrze się powodzi chłopcu i jego matce; ale wart tego, bo do ciebie szczerze

przywiązany, i ciągle za tobą płacze, chociaż go rejent pod sekretem zapewnił, że nic złego tobie stać się nie może. Dotąd w Żytomierzu nie przestają mówić o twojém porwaniu; każdy po swojemu je tłómaczy. Tylko bracia Bołsunowscy, Niekrasa i jego żona wiedzą pełną prawdę, a ten stary niegodziwiec Kierdej cokolwiek jéj się domyśla. Oto masz list do mnie podczaszego; wszystko co ci mówię, znajdziesz w nim szczegółowo opisane; weź i czytaj.

Odczytał list z natężoną uwagą, bo w nim były wiadomości o Helence. Wielu rzeczy w tym długim liście zrozumiéć nie mógł, tyle tylko, że w nim można było poznać wielkie przywiązanie do koszowego i do jego syna. Uderzył go szczególnie jeden okres téj odezwy: „Ojcu wrócić musieliśmy syna, ale ta jego niebytność przy nas jest dla mnie tak ciężką, że jéj przeżyćbym nie mógł, gdyby nie to, że jego życie i szczęście wymagają, by przez czas niejaki wydalił się z Polski, a nigdzie tak bezpiecznym nie będzie, jak w objęciach swojego szanownego rodzica.“

Kiedy po odczytaniu tego pisma zwrócił go koszowemu, ten rzekł do niego:

— Synu! widzisz twojego ojca przed sobą, ale nie wiész kim on jest, a jeszcze mniéj kim była twoja matka. Czas, ażebyś wiedział komuś życie winien, i jakie pasmo okoliczności związało twoje przeznaczenie z Kulbidą, z Niekrasą i z braćmi Bołsunowskiemi. Kulbida dziś jeszcze przyniesie ci rękopis przezemnie ułożony, z którego dowiész się o wszystkiém, co się tyczy twojego rodu, twojego ojca i téj, która dając tobie życie, rozstała się z tym światem. Dowiész się, do czego doprowadzić mogą szlachetną duszę namiętności i rozpacz; poznasz twojego ojca takim, jakim był i jest w istocie, jakim Bóg go zna, bo niczego nie utaiłem. Po przeczytaniu tego pisma osądzisz twego ojca i poznasz, do jakiego stopnia był zawsze przywiązany do ciebie. Pisałem to wszystko, co się mnie dotykało, i to na co sam patrzałem; co się tyczy ciebie, wszystko to czemu nie byłem przytomny, bracia Bołsunowscy i Niekrasa mi dyktowali. Jeszcze sam nie umiałeś rozebrać swoich uczuć dla twojéj Heleny, a ja już o nich świadomym byłem. Nie tylko że nie jestem przeciwny twojemu z nią połączeniu, ale niczego nie zaniedbam, żeby tę chwilę twojego szczęścia przyśpieszyć, i nie wątp, że przez zupełną i nieograniczoną ufność wemnie do niego dojdziesz. Muszę cię zostawić samego, gdyż dziś jeszcze ma się u nas odbyć obrzęd uroczysty, a tym jest postęp niektórych Zaporożców na wyższe stopnie. Sam muszę ich przysięgi wysłuchać; Kulbida będzie przy mnie. Chciałbym, żebyś i ty był przytomny téj uroczystości; ale widzę cię tak wzruszonym, że tego od ciebie wymagać nie mogę. Kulbida wymówi cię przed naszą starszyzną, nieobecność twoją składając na gwałtowną niemoc, która jakoby cię z nóg zwaliła.

U nas innych lekarzy nie ma tylko znachory, rodzaj wieszczbiarzy, którym tu przypisują zdolność usypiania niemocy, jakie mogą dotknąć Zaporożców. Są to ludzie wielce poważani w naszém zabobonném stowarzyszeniu, bo sam mogłeś zauważyć, że u nas zabobony i gusła zastępują wszelkie uczucia religijne. Oprócz znachora, który z mojego rozkazu cię nawiedzi, nikt twojéj samotności nie przerwie.

Przyjm tego znachora uprzejmie, uczyń gwałt twojemu przekonaniu, okazując mu wielką ufność. Jeżelibyś się odważył wyśmiać jego głupotę, témbyś się naraził na całéj Siczy. Zarazby o tobie powiedzieli, że mądrość Lacką chcesz do nas wprowadzić, i że zostałeś Zaporożcem, żeby nas dla swoich Lachów zdradzić; a w takim razie twój ojciec nie mógłby cię zasłonić od skutków nienawiści całego Zaporoża. Nigdzie z taką usilnością nie starają się pokryć złych skłonności, ile u nas oznaki jakiegokolwiek ukształcenia: jest to zadanie każdego, czy Polaka, czy Rusina, czy Niemca, który do nas przystał, i w tym względzie między nami okazuje się uzupełniona tożsamość, lubo w tym tłumie ciemnym i dzikim mieszczą się ludzie nawet wysokiego ukształcenia i wcale innych pojęć.

Żegnam cię, Kubusiu! Nosisz na sobie wieszczbę, że Bóg cię nie opuści nigdy, i do mojego ojcowskiego swoje potężne błogosławieństwo dołączy, a tą wieszczbą, jeszcze ci raz powtarzam, jest szczęście jakie masz do ludzi. Od urodzenia twego jesteś przedmiotem nienawiści przemożnego w Polsce domu; z pisma, jakie dziś jeszcze tobie wręczy Kulbida, dowiész się jakie są przyczyny téj nienawiści. Ale oprócz tego domu, każdy do którego się zbliżysz jest dla ciebie życzliwym, nawet na naszém Zaporożu, gdzie nowoprzybyłemu nie tak łatwo zawiązywać stosunki, jakkolwiek niewiele się ubiegasz o przyjaźń twoich kolegów, po odbyciu obowiązków służby więcéj oddany samotności, niż podzielając ich zabawy. Jednak nie ma na Siczy ani jednego Zaporożca, któryby tobie nie sprzyjał; wszystkich zniewoliłeś swoją powierzchownością, zgrabnością z jaką dosiadujesz konia, a nadewszystko pilnością w służbie, lubo dla ciebie niemiłéj. Każdy ataman radby cię miéć w swoim pułku, a ta powszechna życzliwość napełnia pociechą moje serce, bo mam niezłomne przekonanie, że kto umié pozyskać dla siebie przyjaciół, tego i Bóg miłuje. Ostrzegam cię, że w naszych stosunkach żadnéj nie będzie odmiany. Codzień jak dotąd będziesz przychodził do mnie, codzień przytulę cię do mego łona, a w przytomności innych nie będę ojcem, ale groźnym wodzem, na którego obliczach nie łagodność, ani czułość rodzicielska, a tylko dzikość i ponurość się wyraża. Biada nam obudwom, gdyby się kto domyślił, jakie związki nas łączą. Zaporożec nie powinien pamiętać o niczém, co go dotykało wprzódy, nim został przyjęty do naszego towarzystwa. Powinien się zaprzéć nazwiska, rodziny, wszelkich

uczuć natury, nie żyć innym duchem, jéno tym, który ożywia nasze ustawy.

Żegnam cię nie na długo, najdroższy synu; jutro jak zwykle będziesz u mnie z Kulbidą, on za kilka godzin do ciebie przyjdzie z tym rękopisem, który cię o wszystkiém oświeci. Tam zobaczysz, jak jesteś blizkim teraz tego poczciwego Kulbidy. Rozmyślaj to co ci mówię; nie potępiaj twojego ojca....

Chciał jeszcze dłużéj pomówić, ale rzewność w któréj zostawał, nie dopuściła mu dłużéj tłómaczyć uczucia swojego. Uściskał syna, i jakby nie mogąc wyrwać się z jego objęć, potém raptownie oddalił się, przybrał na nowo wyraz groźny na swojém marsowém licu, śpiesznie z Kulbidą opuścił izbę, i wyszedł oddychać świeższém powietrzem.

Jakób, gdy sam pozostał, długi czas usiłował skupić myśli swoje nad wszystkiém co dopiéro usłyszał; pospołu radość i smutek nim kołysały. Z jednéj strony znajdował ojca, do którego sama natura w nim napiętnowała pociąg; widział go wylanym dla siebie, niczego nie zaniedbującym, żeby mu szczęście zapewnić, i zresztą męża, w którym długotrwały dziki zawód nie zdołał zniszczyć ani szlachetnych uczuć, ani piętna wyższego ukształcenia; ale z drugiéj strony czuł aż nadto, że z nim długo żyć nie może. To z czém się ojciec przed nim wymówił, więcéj niż sam domysł, upewniało go, że musiał się splamić jakąś zbrodnią, która przed nim na zawsze zamknęła ojczyznę. Nakoniec samo to dostojeństwo koszowego nad społecznością z rozbójników złożoną, przekonywało, że chyba pasmem nieprawości mógł się tak wysoko wynieść. Ta myśl, pomimowolnie nasuwająca się przed nim, że zaledwo poznał się z swoim ojcem, a może wkrótce najświętsze obowiązki obywatela i szlachcica każą mu się jego zaprzéć na zawsze, omal że nie do rozpaczy go przywodziła. Czasem przychodziła mu chęć zostania na zawsze Zaporożcem, wywołańcem ziemi ojczystéj, sprawcą przelewu krwi niewinnéj, żeby podzielać los nieszczęśliwego ojca, żeby wywiązać się przed nim z długu, jaki u niego przez całe swoje życie zaciągnął. Napróżno i sumienie i miłość kraju walczyłyby przeciw temu rozpaczliwemu postanowieniu; ojczyznę, szlachecką sławę, sumienie nawet możeby podeptał dla ojca; ale Helenki nie mógł mu poświęcić. Ona odebrała jego przysięgi, jéj jestestwo było zespolone z jego bytem, tak że z nią nie mógł się rozłączać. Podobnéj ofiary nie godziło mu się uczynić, a nawet nie był w możności na nią się zdobyć.

ROZDZIAŁ XVII.

Jeżeli życie ma się mierzyć wedle wrażeń, jakich w niém człowiek doświadcza, to Jakób wiele lat przeżył w tych kilku godzinach, które przeszły między odejściem ojca a przybyciem Kulbidy, kiedy mu wręczył obszerny rękopis z niecierpliwością oczekiwany.

Jakób wziął go w ręce; wahał się czas niejaki nim go otworzył, bo miotały nim pospołu: ciekawość dowiedzenia się, kim byli jego rodzice? jakie nazwisko ma prawo nosić? i bojaźń, żeby się nie dowiedzióć o jakiéjś nowéj zbrodni ojca, którego miłował. Nakoniec złamał pieczęcie koperty, wyjął pismo, i zaczął czytać bez świadków treść następującą:

Moje pamiątki dla syna.

Część pierwsza.

Urodziłem się w ostatnim roku zeszłego stulecia, urodziłem się potomkiem starożytnego domu, dotąd wzrastającego w zaszczytach i dostatkach na Małorosyi. Lubo gałąź tego domu, któréj jestem latoroślą, a która się była spolszczyła, uschła na pniu Rzeczypospolitéj pod ciosem prześladowania, — dom Skoropackich, poniżony w Polsce, jest jednak głośnym w jéj dziejach jeszcze przed wojną Chmielnickiego. Wyniosłość i buta szlachty polskiéj rości sobie jakąś wyższość nad szlachtą ruską, a jednak jeszcze nic wspólnego nie było między Litwą a Koroną. Mazowsze i Podlasie były siedzibą niepodległych Jadźwingów; Krakowskie i Sandomierskie województwa były częścią wówczas królestwa Morawów; a Polska, ścieśniona w zakątku między Odrą i Notecią, zaledwo była dojrzaną, kiedy nasi przodkowie już się wsławili w ogromném państwie rozciągającém się od brzegów Sanu, aż do bezludnych stepów gniłego morza. Wtedy nasz stary Kijów przywabiał na swoje turnieje rycerzy całego chrześciaństwa, i zadziwiał ich swoim przepychem, a potężni władzcy zachodu i południa Europy dobijali się o rękę córek naszych panów. Nasze szlachectwo sięga do owych czasów, i po dziś dzień książęce domy Czetwertyńskich i Ostrogskich, a szlacheckie Niemierzyców, Olizarów, Trypolskich, Proskurów, Jełowieckich, Woroniczów i inne, kwitną w swoich potomkach, jako szczątki żywe naszéj starodawnéj sławy narodowéj.

Jakkolwiek w moim zawodzie zmuszony zostałem zaprzéć się własnego nazwiska, i zapomniéć o sławie moich przodków, cieszę się, żem potomkiem starożytnego domu, nie żebym cenił pamiątki historyczne nad ich rzeczywistą wartość, ale że winienem krwi, która w moich

żyłach płynie, tę dziedziczną waleczność cechującą starożytne rody a która mnie samemu, kiedy już byłem w ostatniém poniżeniu, otworzyła zawód, w którym doszedłem do najwyższego dostojeństwa. Czuję cześć dla nauk i kunsztów, nie pogardzam handlem i przemysłem, umiem oceniać korzyści bogactwa narodowego, ale się nie dziwię, że najwyższe sławy są i będą zawsze sławą wojowniczą, gdyż na nich opierają się byt i potęga narodów. Stan rycerski musi być koniecznie pierwszym stanem w narodzie, póki się nie zaprze swojego powołania, póki, co nie daj Boże, nie rozszerzy się w nim mniemanie, że szlachcic może sobie bez hańby wybrać inny zawód niewojenny. Wojna jest niwą, na której się wyradza i rośnie szlachectwo. Ztąd, póki naród nie dojdzie do tego stopnia podłości, że aż gardzić będzie swemi podaniami historycznemi, póty uważać będzie jako najpierwsze rody te, które dla niego najwięcéj krwi swojéj wylały.

Okropny rozlew islamu wywrócił nasze potężne państwo. Pomimo cudów waleczności w oporze, to samo przeznaczenie, któremu uległy cesarstwo Wschodnie i Hiszpania, spotkało i naszych przodków. Przezsięstojność ruskiego narodu przerwaną została. Wielka Ruś zmuszoną była głowę schylić przed bułatem tatarskim, Ruś Czerwona w zjednoczeniu się swojém z Litwą, a przez nią z Polską, ocaliła swoje ołtarze i ogniska.

Ród Skoropackich wiernie służył przybranéj ojczyznie i posiadał znaczne dobra w okolicach Czernihowa, dobra, które dotąd starsza nasza dzielnica posiada; ale kiedy prześladowania Kościoła wschodniego za Jana Kazimierza wywołały bunt Chmielnickiego, Skoropaccy byli z liczby pierwszych, którzy się z nim połączyli. Z całéj téj rodziny jeden tylko mój pradziad, starosta Niżyński, ścisłą przyjaźnią z księciem Jeremiaszem Wiśniowieckim związany, nie odstąpił chorągwi Rzeczypospolitéj i przeciwko swoim walczył obok tego księcia.

Po kilkuletnich pożogach stanął nakoniec pokój między carem Aleksym a królem Kazimierzem. Ukraina zachodnia, oprócz Kijowa i Wasylkowa, została przy Rzeczypospolitéj, wschodnia wcieliła się powtórnie w to wielkie ciało, od którego zbiegiem okoliczności była odpadła, a klęska, jaką poniosła Polska, dała się uczuć wielu obywatelom.

Wszyscy ci, co współdziałać z Chmielnickim nie chcieli, stracili swoje posiadłości w Małéjrusi. Książę Jeremiasz, właściciel tysiąca wsi i miasta Baturyna, został wyzuty ze swojego majątku; mój pradziad nie tylko że stracił starostwo, ale cała jego ojcowizna dostała się Skoropackim lewéj strony Dniepru.

Sejm był obmyślił jakieś wynagrodzenie dla egzulantów województw i ziem odpadłych, ale że dla księcia Jeremiasza król Jan Kazimierz zawsze był nieżyczliwym, żadnego udziału nie dał mu w tém wynagrodzeniu, nie tylko jemu, ale nawet jego klientom, tak, że mój

pradziad, jako podzielał bogactwa swojego dostojnego przyjaciela, odtąd podzielał jego ubóstwo.

Król Jan Kazimierz, nawarzywszy piwa Rzeczypospolitéj, złożył koronę, przenosząc spokojny żywot w opactwie francuzkiém nad kłopotliwe siadło na tronie polskim. Już mój pradziad nie żył, bo z żalu po księciu Jeremiaszu dni swoje skończył, jakby chciał mu nieskażoną służbę na tamten świat przenieść, ale syn księcia, zostawszy przez wdzięczność narodu wyniesiony do godności królewskiéj, przypomniał sobie zasługi mojego pradziada, i jego synowi nadał prawo dziedziczne na przestronny kawał ziemi spustoszałéj w województwie Bracławskiém. Mój dziad założył na nim osadę z wychodźców małoruskich i wołoskich, którą od imienia swojego nazwał Skoropaty. Tym sposobem utworzył sobie porządny szlachecki majątek, który przekazał synowi a mojemu ojcu. Był-to wielki gospodarz, co mu nie przeszkadzało wsławiać się w rycerskiém rzemiośle, gdyż nawet był z królem Janem na wyprawie Wiedeńskiéj, gdzie otrzymał ranę, z któréj po kilkoletnich cierpieniach i umarł.

Linia książąt Wiszniowieckich, u któréj nasza rodzina miała zasługi, wygasła z królem Michałem. Mój dziad przeniósł do domu książąt Sołomereckich swoje usługi, bo jak wiadomo, większa część naszéj szlachty zmuszoną jest opierać się na klienteli wielkich panów, zwłaszcza w województwach mało ludnych w szlachtę, a ciągle napadanych od krymskich Tatarów i hajdamaków nad-Dnieprowych.

Dom Sołomereckich, jak i nasz, był z czysta ruskiego pochodzenia, i podzielał z książętami Ostrogskiemi naczelnictwo i opiekę nad ruską szlachtą. Mój ojciec był oddany do dworu księcia Hrehorego Sołomereckiego, wojewody Czernihowskiego i wychował się razem z jego synem, który późniéj umarł starostą Bracławskim, a który był ostatnim z swojego imienia, gdyż zostawił jedyną córkę zaślubioną panu Kierdejowi, wówczas kasztelanicowi Kijowskiemu, a teraz łowczemu wielkiemu Litewskiemu.

Żaden kniaź Ruski, osiadły na ziemi Polskiéj, nie zachował tak silnego przywiązania do swojego pierwiastkowego narodu, jak książę starosta: żeby być na jego dworze, lub w jakimś zarządzie jego dóbr, trzeba było koniecznie mieć ruskie pochodzenie; nawet obcując z panami polskimi, przymuszał się do polskiéj mowy, ale w zwykłym trybie życia i ze swojemi zawsze tłómaczył się językiem ukraińskiego ludu. Był z niego pan dobry, szlachetny, ale na nieszczęście słabego charakteru.

Mój ojciec razem z nim się wychował i w szkole OO. Jezuitów w Winnicy, i w zamku Komargrodzkim, gdzie była rezydencya książąt Sołomereckich. Po skończonym wspólnie zawodzie szkolarskim, wojewoda Czernihowski wyprawił syna do Warszawy, ażeby był przed-

stawiony królowi, a ztamtąd za granicę, jak to mówiono: dla poloru. Mój ojciec był towarzyszem jego podróży, i coraz silniejsza przyjaźń między niemi się zawiązała, tak dalece, że jeden bez drugiego żyć nie mogli.

Książę wojewoda z lubością patrzał na te ich stosunki; często powtarzał przed swojemi: — Mój Dymiś i Józefek (takie było imię mojemu ojcu) oba jedynaki. Bóg im nie dał rodzeństwa, w którémby mogli znaléźć przyrodzoną przyjaźń; ale zdaje się, że ich na to stworzył, żeby jeden dla drugiego zastępował rodzeństwo.

Książę Hrehory, gdy doczekał się pełnoletności swojego jedynaka, niczego tak nie pragnął, jak go widziéć ożenionym, żeby dom Sołomereckich z nim nie wygasł. I nie przestawał go o to naglić, nieraz z tém do mojego ojca się odwoływał. — Józefatku! — mawiał — ty bliższy niż ktokolwiek serca Dymisia; nakłoń go, żeby się ożenił, a ja cię zrobię szczęśliwym. Na jego wybór wpływać nie chcę, niech sobie pojmie najuboższą szlachciankę, a ja ją przyjmę jak najwyższą księżniczkę; o świetność krwi nie dbam, byle ta krew była poczciwa; chciałbym, żeby była z ruskiego rodu, jak moja nieboszczka żona, i ś. p. matka, bo swój do swego najlepiéj przystanie; wszakże niech idzie za instynktem własnéj woli, niech sobie wyszuka i Laszkę. Wolałbym go widziéć żonatym nawet z Niemką, niż bezżennym. Niech pamięta, a ty mu to często przypominaj, że na nim się kończy dom kniaziów Sołomereckich.

Mój ojciec nie tylko że skłaniał do tego młodego kniazia, ale wkrótce dał mu z siebie przykład; nie potrzebował szukać dostatków, bo był z siebie bogaty. Posiadał Skoropaty i kilka wsi, które jeszcze jego ojciec otrzymał dożywotniém prawem od księcia wojewody. Przywiązał się do panny bez posagu, ale pięknéj, cnotliwéj, łagodnéj, starożytnéj krwi ruskiéj, bo Halewiczównéj z domu. Była sierotą na opiece u wuja. W jego domu z nią się poznał, i wkrótce otrzymał jéj rękę, a z nią i szczęście pożycia domowego. Książę wojewoda sam sprawił wesele i obdarzył pannę młodą drogiemi klejnotami, a kiedy mój ojciec mu za to dziękował, on mu powiedział: aby tylko Dymiś poszedł za twoim przykładem, a będę zupełnie szczęśliwym; ażaliż widok waszego domowego szczęścia nie skłoni go do naśladowania ciebie?

Ożenienie mojego ojca w niczém nie odmieniło jego stosunków z księciem Dymitrem. Usadowił żonę nie w Skoropatach, ale we wsi, którą dzierżał dożywotnie w kluczu Komargrodzkim z łaski książąt Sołomereckich, a to z powodu jéj sąsiedztwa z zamkiem tych książąt. Książę Dymitr mieszkał przy ojcu, który we wszystkiém mu dogadzał; mój ojciec cały dzień z nim przepędzał, a dopiéro na noc jechał do żony, o pół mili od Komargroda mieszkającéj, a nazajutrz z rana zno-

wu przybywał do przyjaciela, żeby cały dzień z nim bawić; u siebie wtedy tylko podczas dnia gościł, kiedy książę Dymitr do niego przyjdzie. Zresztą dożywocie jakie posiadał, znacznie przewyższało jego majątek dziedziczny, i w niém obszerniejsze gospodarstwo więcéj niż tamten wymagało jego przytomności, a to prawo dożywotnie tak było obszerne, że omal że nie dziedzicznemu sprostało, bo nawet rozciągało się do trzeciego pokolenia po mieczu.

W tym czasie nastąpiło pierwsze rozłączenie młodego księcia z moim ojcem. Nigdy dotąd doba nie minęła, żeby się z sobą nie widzieli; teraz wypadło im przez kilkanaście tygodni żyć w oddaleniu jeden od drugiego. Jeszcze nie byłem na świecie, a jednak temu oddaleniu przypisuję początek moich nieszczęść.

Młody książę i dostojny jego ojciec niczego nie zaniedbali, żeby namówić mojego ojca do téj podróży; ale jakże go do tego można było nakłonić? Jeszcze rok nie upłynął od odmiany jego stanu, a już jego żona, którą nad życie miłował, i do któréj co dzień więcéj się przywiązywał, uwiadomiła go o niektórych oznakach przyszłego macierzyństwa. Mój ojciec nie posiadał się z radości. Gdy taką wiadomość otrzymał, za wszystkie skarby świata od żony na parę dni nie byłby się oddalił, a cóż dopiéro puścić się w podróż na kilka, a może kilkanaście tygodni! Sami książęta dali się przekonać, że do podobnéj ofiary nie można było go obowiązać; tyle tylko, że mu winszowali szczęśliwego zdarzenia.

A książę ojciec, zapewniając spodziewanemu potomkowi domu Skoropackich spadkową przyjaźń kniaziów Sołomereckich, dodał: — Ach, kiedyż o sobie mój Dymiś podobną przyniesie wiadomość! Rad byłbym, żebyś z nim jechał do Warszawy, gdzie się udaje dla podziękowania królowi jegomości za przywiléj zapewniający mu starostwo Zwinogrodzkie po mojéj śmierci; możeby ci się udało wybrać mu żonę na dworze króla, bo wiem, że wszystko możesz mu wyperswadować, i wielce się cieszę, że ma takiego przyjaciela, który tylko dobre i zdrowe rady mu daje. Życzyłbym sobie, żebyś go o krok nie odstąpił. Ale umiem wchodzić w twoje położenie, panie Józefie; to darmo, koszula bliższa od opończy: musisz pilnować młodą żonkę, w pierwszéj jéj ciąży. Zamawiam sobie zaszczyt chrzestnego ojcostwa twojego synka, a na te chrzciny pewnie i mój Dymiś pośpieszy. Muszę chłopca pocieszyć, że bez ciebie będzie podróżować.

Mój ojciec nizko się skłonił, dziękując dobremu panu za tyle łask jego domowi wyświadczonych; a ileż to było łez wylanych przy rozstaniu dwóch dotąd nierozdzielnych przyjaciół! Mój ojciec odtąd ciągle przy żonie siedział; jeżeli jaką godzinkę przebył w Komargrodzie, to już było dla niego niemałą ofiarą, a wyrozumiały książę wojewoda, bo... [illegible] ...az syna, tak, że jeden tylko mój ojciec mógł go roze-

rwać ciągle z nim mówiąc o tym synie, nie wymawiał mu, iż go zaniedbuje, bo i on wielce miłował swoją żonę, tak, że kiedy ją sobie przypomni, to zawsze wzdycha, a czasem i zapłacze.

Już od kilku niedziel mój ojciec tęsknił za swoim przyjacielem, ale co tydzień otrzymywał listy od niego i jego dworzanina, pana Kuleszy, chłopca roztropnego i poczciwéj krwi szlacheckiéj, który się razem z niemi wychował, a synowi od ojca został przydany. Mój ojciec z tych listów powziął wiadomość, że młody książę wszędzie z uprzejmością był przyjmowany, że król jak najlepiéj go uważał, że ciągle bywał na galach dworskich i u magnatów z jego domem skoligaconych. A lubo jako Rusina, kawalerowie wielkiego świata ogłaszali go barbarzyńcem i prześladowali za oczyma, że ukraińskie przysłowia przytacza, i że nawet mówiąc po polsku, często zdarza mu się wyrazy ruskie mięszać do narodowéj składni, przecie ponieważ książę był kawalerem gładkim, a do tego spadkobiercą zamków i obszernych włości na Rusi (*), że był księciem, i miał liczną a spadkową klientelę w szlachcie ruskiéj, matki mające dorosłe córki wyrywały go sobie. Był więc spokojnym o niego, bo był upewniony, że w dobrém zostaje zdrowiu, i jak najmiléj mu czas schodzi.

Późniéj i o innych szczegółach tyczących młodego księcia, mój ojciec się dowiedział. Między wieloma domami, które go ciągnęły, był dom pani Szamotulskiéj, kasztelanowéj Szremskiéj. Była to wdowa podżyła, a wielka intrygantka; mąż jéj zostawił odłużony majątek i pięć córek. Udało się jéj było cztery starsze usadowić w majętnych domach szlacheckich w Wielkiéj Polsce. Ostatkiem goniła, żeby i piątą wydać dobrze, a skoro książę Dymitr przyjechał do stolicy, postanowiła bądź co bądź złapać go dla téj piątéj, jedynéj, która w panieńskim stanie jeszcze zostawała; i swojego celu dopięła, chociaż z początku los nie zdawał się jéj w tém sprzyjać.

Panna Małgorzata nie była piękną, co najwięcéj można było o niéj powiedziéć, że była miłą. I młodemu księciu wcale się nie po-

(*) Do tego wyrazu: pan zawsze w Polsce było przywiązane wyobrażenie posiadania dóbr na Litwie albo na Rusi. Kto posiadał dobra tylko w Wielkiéj i Małéj Polsce, taki nie uchodził za pana; żeby być panem, trzeba było koniecznie miéć kozaków lub tatarów w swojéj milicyi. W koronie była równość szlachecka; dopiéro jéj Unia z Litwą, a przez nią z Rusią, wprowadziła do Polski żywioł arystokratyczny; ale z drugiéj strony, gdyby nie ta Unia, Polacy do trzeciego pokolenia by zniemczeli, tak jak Szlązacy i Pomorzanie, a Polska zostałaby częścią rzeszy niemieckiéj. Kto o tém wątpi, widać że nie zastanowił się nad naszą historyą; dotąd nie mamy napisanéj historyi polskiéj poważnéj a bezstronnéj, i co roku będzie trudniejszą do napisania, bo coraz więcéj się zacierają podania familijne. Są fakta historyczne, które jeszcze temu lat czterdzieści były wszystkim wiadome, a teraz uchodzą za nowości, których prawdziwość jest wątpliwa.

dobała, kiedy rad nierad musiał się przedstawić jéj matce, i ją nawiedzić w jéj domu; ale przebiegła matka bynajmniéj się nie zraziła jego obojętnością. Dobrze nastroiwszy córkę, sama wzięła się do biednego Kuleszy. Wmawiając w niego wielki rozum, wprowadzając go do pierwszych domów, i wszędzie trąbiąc jego sławę, wkrótce do tego stopnia go zawojowała, że już nic nie widział tylko przez jéj oczy.

Powiedziałem, że książę Dymitr był słabego charakteru, chociaż miał wielkie przymioty serca i rozumu. Nieznajomy, albo nawet mało znany, niemiłe na nim sprawiał wrażenie; trzeba mu było przyzwyczaić się do osoby, aby doświadczył swobody z nią obcując. Téj przyrodzonéj nieśmiałości nie umiał przezwyciężyć, ale za to każdy, z którym dobrze się obeznał, i ciągle z nim przestawał, zaraz, byle tego pragnął, otrzymywał wpływy na jego przekonania, — wpływy które z równą łatwością utracał, skoro przez jakiś przeciąg czasu od niego się oddalał, tak dalece, że kiedy powtórnie do niego się zbliżał, musiał poniekąd nową znajomość z nim zabierać- Nikt większym od niego nie był niewolnikiem swoich przyzwyczajeń; co tylko przekraczało tryb jego zwyczajnego życia, zaraz go trwożyło. Każda nowa figura tak go mięszała, że bez uczynienia sobie widocznego gwałtu, nawet kilka słów nie mógł do niéj przemówić. On do takiego stopnia był zamiłowany w tém wszystkiém, do czego się był wezwyczaił, że książę wojewoda, który był żartobliwy, mawiał: — Jeżeli po najdłuższém życiu mój Dymiś dostanie się do czyśca, najgorszą mu zrobią przysługę jego dzieci i krewni, którzy będą pamiętali o jego duszy. Bo byle kilka niedziel w nim przesiedział, bez użycia gwałtu nie można będzie go ztamtąd wyprowadzić. Milsze mu cierpienia, z któremi się obył, niż rozkosze, do których się nie wezwyczaił.

Nic właściwszego nad to orzeczenie jego charakteru; każdy sługa, do którego się przyzwyczaił, z nim robił co chciał. Nie umiał niczego mu odmawiać ; prawdziwém było dla niego szczęściem, że miał przyjaciela w mężu tak cnotliwym, tak światłym, tak dla niego przywiązanym, jakim był mój ojciec, bo ten go umiał prowadzić, i tylko na jego korzyść obracał to ślepe zaufanie, jakie w nim młody książę pokładał; a było przawdziwém nieszczęściem, że nie mógł mu towarzyszyć w jego podróży do stolicy, bo że książę nie umiał sobą rządzić, więc wpadł w ręce pana Kuleszy, swojego dworzanina. Jak się powiedziało, był to chłopiec poczciwy, ale nic więcéj. Sam potrzebował przewodnika raczéj, niżby miał kogoś prowadzić. I w rzeczy saméj, gdy młody książę mu się oddał bez wielkich zabiegów z jego strony, a tylko że przestrzegając swojéj powinności, od niego był nieodstępnym, rzeczywiście nie on nim rządził, ale pani kasztelanowa przez niego.

I tak, jakkolwiek panna kasztelanka mu się nie podobała, umiano

w niego wmówić miłość do niéj, i w najlepszéj wierze zaczął się z nią otwierać przed moim ojcem w listach do niego pisanych, w których nawet żądał, żeby księcia wojewodę przygotował zawczasu do szczęśliwéj dla niego nowiny, że zabiera się prosić o rękę najukochańszéj Małgorzaty. Mój ojciec z samych tych listów umiał poznać, że ta miłość była wmówiona, a więc nie przynosiła rękojmi szczęścia, ile że miał z boku doniesienia, że jéj matka była wielkim filutem, i że szczwani nawet dworacy lękali się jéj jak ognia, gdyż niejednego, który miał nieszczęście jéj się narazić, potrafiła zgubić u dworu. Zwłaszcza na Rusi zła sława rodziców spada na dzieci, i trzeba nie mało dowodów poczciwości, żeby potomek osławionego rodzica wyłamał się z tego u nas zarzutu: „On jest z niedobréj krwi".

Zresztą, lubo w listach pana Kuleszy do mego ojca kasztelanka była wystawiona jako anioł w ludzkiém ciele, jako naczynie wybrane wszystkich cnót, przymiotów i doskonałości: umiał się dowiedziéć ten ojciec przezorny, że cichaczem nie najlepiéj ją wspominano w Warszawie. Mówiono o niéj że była chciwą, gwałtowną, dumną ze swojego staropolskiego rodu, mściwą, a nadewszystko, że pogardzała plemieniem ruskiém, i że niejednokrotnie dała się z tém słyszéć, że Polka z świetnéj krwi, kiedy zezwoli na połączenie się swoje z kniaziem ruskim lub litewskim, nie może tego uczynić bez jakiegoś dla jéj własnego rodu ubliżenia.

Ta ostatnia okoliczność zwłaszcza, wielce była dotkliwą dla mojego ojca; książęta Sołomereccy pospołu z Ostrogskiemi, piastowali patronostwo nad szlachtą ruską. Popularność była więc niezbędnym warunkiem dla każdego kniazia Sołomereckiego, ażeby zachował to patronostwo, na którém opierała się jego potęga w Rzeczypospolitéj, a z taką żoną trudno było ją zachować, gdyż Rusin szczerze się przywiązuje do magnata, który mu serce okazuje, ale niemniéj umie wzgardą wzgardę odpłacić. Lękał się więc słusznie, żeby to małżeństwo nie wyzuło przyjaciela z tego spadkowego przywiązania, jakie cała prowincya miała do jego rodu, bo chociaż jest połączoną z Rzecząpospolitą, składa jednak poniekąd odrębne ciało. Wiadomo, że nasza szlachta przy oddzielnych prawach troskliwie zachowuje przodków obyczaje, i że najmniejsze przeciw nim wykroczenie zaraz ją oburza zwłaszcza w swoim. Znając słabość przyjaciela, lękał się, żeby z takową osobą połączenie, któraby lackie obyczaje do jego domu wprowadziła, gdyż nie taiła swojego wstrętu do ruskich, nie odstręczyło od niego Rusinów, wiernych klientów w nienawistnych przeciwników przekształcając. Ten uprojektowany związek w żaden sposób nie mógł mu się podobać,

Jednak nie odważył się uczynić przeciw niemu jakiegoś kroku, bo chociaż zdawało mu się, że taka żona nie zrobi przyjaciela szczęśli-

wym, z drugiéj strony wiedział, jak stary książę pragnął widziéć syna ożenionym. Byłaby to jedyna pociecha dla sędziwego starca, dla którego mój ojciec tak wielkie miał obowiązki. Zresztą, sam umiał po znać, że trzeba było młodemu księciu koniecznie się ożenić, jako ostatniemu po płci męzkiéj potomkowi domu, od wieków przewodniczącego na Rusi i spadkowo posiadającego jéj zaufanie. Książę Czetwertyński, starosta Trechtymirowski, a wuj księcia Dymitra, razu jednego przed starym księciem, siedząc za jego stołem, powiedział: — U waszeci, panie bracie, jeden tylko syn; jak jewo ne bude, to i kniaziów Sołomereckich ne stane. Grych majete pered Bohom, szczo jewo ne prynukajete, szczoby se szwytko ozenyw, z kim schocze. Lipszeby nam buło hladyty jewo pry kowarnéj zynce, nyz barłakom. — Mniéj więcéj także było przekonanie wszystkich krewnych, przyjaciół i sług księcia wojewody, niemniéj i mojego ojca.

Chciał jechać do Warszawy, żeby się przekonać własnemi oczyma co prawda, a co nieprawda; ale jakże opuścić żonę słabego zdrowia, która coraz postępowała w swojéj ciąży, a która tak była przywiązaną do męża, że jego odjazd zabiłby ją? Po wielu namysłach odkrył nakoniec przed księciem wojewodą zamiary jego syna, nic nie tając przed nim, oprócz tego, coby w złém świetle mogło wystawić przyszłą jego synowę i jéj matkę.

Książę, chociaż mu to było przykro, że syn jego zamiast Rusinki, lub przynajmniéj Litwinki, chciał miéć żonę Wielkopolankę, rzecz bez przykładu w domach kniaziów ruskich, z drugiéj strony tak się cieszył, że przecie może miéć nadzieję doczekania się wnuków, że ucałował mojego ojca za tę dobrą nowinę, którą mu przyniósł, i dodał: — Napisz do Dymisia, że lubo wolałbym, żeby zamiast panny Szamotulskiéj jaką bliżéj nas wybrał żonę, jednak uradowany jestem, że przecie już szczerze myśli o swojém postanowieniu. Że nie tylko, gdy tego zażąda, przyślę mu ojcowskie błogosławieństwo, ale gotów jestem napisać do pani kasztelanowéj, prosząc o jéj zezwolenie na połączenie ich dzieci, i że skoro dzień ślubu będzie przez nią naznaczony, nie omieszkam zjechać do Warszawy, żeby być przytomnym temu obrzędowi, i te dzieci z nią pospołu pobłogosławić.

Mój ojciec to wszystko co słyszał napisał księciu Dymitrowi, a młody książę, chociaż w duchu wcale się nie kwapił do tego stanowczego kroku, i może rad był wycofać się ze swojego położenia, zawsze pobudzony przez Kuleszę pod jego instynktem napisał do ojca w taki sposób, że ten pomyślał, iż musi być szalenie w niéj zakochany, i że każda chwila, która go przedziela od téj, kiedy od nadobnéj Małgorzaty otrzyma przysięgę wierności, jest dla niego torturą. A więc pod takiém wrażeniem porozpisywał listy: do syna, do kasztelanowéj, nawet do kasztelanki. Nie posiadał się z radości, kiedy otrzymał ich odpowiedzi,

a w nich wyczytał oznaczenie terminu, który z powodu wyprawy innych niektórych familijnych okoliczności, dopiéro za kilka miesięcy przypadał.

ROZDZIAŁ XVIII.

Moje pamiętniki dla syna.

Część druga.

W tymże czasie wybiła pierwsza godzina mojego życia i moich nieszczęść. Mój ojciec otrzymał od księcia Dymitra list, w którym mu dziękował, że tak dobrze ułożył to wszystko przed księciem wojewodą, że ten pomimo uprzedzeń, jakie miał przeciwko Wielkopolanom, pierwszy do syna napisał, upoważniając go, żeby się o pannę oświadczył i rachował na jego wstawienie się za nim i ojcowskie błogosławieństwo. List ten wielce uradował mojego ojca, cieszył się, że przyjaciel wkrótce będzie postanowiony, — że krew Sołomereckich, do jakiéj jako Rusin miał już przywiązanie, a cóż dopiéro, tyle łask od niéj otrzymawszy, przecie nie wyczerpie się ze zgonem kniazia Dymitra, bo żona młoda, dobrze zbudowana, jak mu ją opisali, nie mogła zostać niepłodną.

Wprawdzie to co mu donosili o jéj matce, o jéj saméj wychowaniu, o jéj wrodzonéj pysze, któréj nigdy nie usiłowano umiarkować, nieco go zatrważało o szczęście przyszłym przyjaciela. Ale z drugiéj strony pomyślał sobie: żadna panna nie może być tak dalece zepsuta, żeby odmiana stanu nie zdołała jéj poprawić. Ona przywiąże się do męża, do zarządu własnego domu przywyknie, tém więcéj kiedy ją Pan Bóg pobłogosławi potomstwem. Powaby naszéj Ukrainy tak ją zniewolą, że o swoich piaskach Wielkopolskich zapomni. Ona jest dumną ze swojéj staropolskiéj procedencyi, nas Rusinów nie ma za Boże stworzenie; mniejsza oto, jak się z nami obezna, przekona się, że i my jesteśmy ludźmi. Jak zobaczy, że u nas nierzadka rzecz chłopu miéć sto sztuk bydła, a nasz szlachcic żyje w takich wygodach, na jakie w Wielkiéj Polsce, ledwo pan się zdobędzie,—jak się spoufali z naszym ludem, zasłucha jego piosnek, jego powieści, wzwyczai się do jego mowy, przekona o jego wierności, z czasem zostanie naszą Rusinką. Nikt jéj nie przeczy rozumu, a byle był rozum, jakoś z nim do końca trafić można.

Właśnie w tym czasie nastąpiło rozwiązanie ciąży mojéj matki. Chodząc ze mną cherlała, tak że mój ojciec chwili nie miał spokojnéj,

bo bał się, raz żeby nie poroniła, powtóre wątpił, żeby tak słabowite stworzenie przenieść mogło bóle, które ją czekały. Jednak rozwiązanie było najszczęśliwsze; wyszedłem na świat zdrowy, piękny, a co dziwniejsza, z czterema ząbkami, oznaka nadzwyczajnéj siły. Moja matka prawie bez bólu na świat mię wydała, i nigdy tyle zdrową się nie czuła, jak po mojém urodzeniu; mój ojciec tak był uszczęśliwiony, że nic sobie już życzyć nie mógł.

Aż tu drugiéj nocy po mojém urodzeniu, zrywa się okropna burza, z takich, co je tylko na Ukrainie doświadczyć można. Błysk po błysku, piorun po piorunie, a huk grzmotów nie ustający a tak straszny, żeby zagłuszył wszystkie działa w Rzeczypospolitéj, tak w wojsku komputowém, jako i w zamkach panów, chociażby wszystkie razem zagrały. Trwoga była w całym domu; wszystka czeladź zebrała się do izby mojéj matki, i klęcząc odmawiała pacierze z moimi rodzicami.

Wtém trzy pioruny prawie razem uderzyły na dach; w jednéj chwili nasz dom się zajął, i jak słudzy potém mi opowiadali, raptem płomień owionął wszystkie ściany. Tyle tylko było czasu, że wynieśli z izby moją matkę z łóżkiem, i mnie z kołyską; nic więcéj wynieść nie można było.

Mój ojciec, widząc żonę i synka w bezpieczeństwie, o szkody jakie poniósł niewiele dbał, lubo nie pozostało mu nic z ruchomości, tylko to co miał na sobie; a że moją matkę wynieśli w jednéj koszuli, nie miała w co się ubrać nazajutrz.

.Zaniesiono ją do popa wiejskiego, i to nie bez trudności, bo lało się jakby z wiadra, a tylko światło piorunów przyświecało wśród ciemnéj nocy. Popadia odstąpiła matce swoją pościel, i w niéj ją położyli, ale już z niéj nie powstała. Mleko rozlało się na płucach; napróżno sprowadzono lekarza księcia wojewody, Niemca biegłego w swojéj sztuce, a który do końca jéj asystował. W trzydzieści kilka godzin po tym strasznym wypadku, moja matka Panu Bogu ducha niewinnego oddała.

Możesz sobie łatwo przedstawić żal mojego ojca po stracie ukochanéj żony, i to przez wypadek równie okropny jak niespodziewany. Ani go pocieszyć zdołała życzliwość sąsiadów, bo jak tylko gruchnęła w okolicy wieść o tym pożarze, przez kilka dni z całéj okolicy podwody z wiktuałami i z materyałem do odbudowania domu nie przestawały przybywać na nasz dziedziniec. Wszyscy obywatele szli na wyścigi, żeby, ile było w każdego możności, ratować poczciwego sąsiada (*). A książę wojewoda posłał mu przez marszałka swojego dworu

---

(*) Nigdzie obowiązki sąsiedztwa nie są tak głęboko czute i tak ściśle dopełniane, jak dotąd na naszéj Rusi. Nigdy z wdzięcznéj pamięci mojéj nie wyjdzie,

dwa tysiące talarów bitych, na wskrzeszenie gospodarstwa, bo nie tylko nasz dom i wszystko co w nim było, ale gumno, obory, stajnia, jedném słowem wszelkie zabudowania i całkowity dobytek w popiół obrócone były.

Szkody poniesione na majątku, przy protekcyi pańskiéj, a życzliwości szlacheckiéj sąsiadów, łatwo się zapominają, ale strata żony niczém się nie da wynagrodzić. Książę wojewoda dla mojéj matki sam sprawił pogrzeb w Komargrodzie, na który szlachta o kilkanaście mil nawet mieszkająca się zjechała. Mój ojciec, jakkolwiek skołatany swojém nieszczęściem, temu smutnemu obrzędowi do końca asystował. Książę nie puścił go z Komargrodu i mnie tamże sprowadził.

Gwałtowny żal mojego ojca uśpił się nakoniec na łonie przyjaźni, a zwłaszcza przywiązanie, jakie uczuł dla swojego dziecka, przydało mu tyle męztwa, iż pogodził się z życiem. Pozostała w nim boleść tém głębsza, im mniéj zewnętrznie się objawiała, ale która mu nie przeszkadzała dopełniać obowiązków ojca, przyjaciela, obywatela. A jednak wkrótce potém zmuszony został przez czas niejaki oddalić się od tego dziecka, w którém się już ścieśniały wszystkie jego nadzieje.

Przyszła do Komargrodu ekspedycya z Warszawy; przez nią dowiedział się wojewoda o dniu naznaczonym na zaślubiny jego syna. Było tam kilka listów do wojewody: od syna, od przyszłéj synowéj, od pani kasztelanowéj, nawet od króla jegomości, który zapewniał swoją łaskę przyszłemu stadłu, oraz winszował, iż dla pociechy Rzeczypospolitéj ród Sołomereckich nie tylko że nie zgaśnie, ale może puścić wodze nadziei, że będzie wzrastał w pomnożeniu swoich członków. Był także obszerny list księcia Dymitra do mojego ojca, który go wielce rozrzewnił. Każdy wyraz tego pisma tchnął najczulszą przyjaźnią, współczuciem niekłamaném w jego nieszczęściu, i chęcią jego pocieszenia. Nakoniec w nim o sobie, o swojém przyszłém małżeństwie mówił, zaklinając go, ażeby zjechał do Warszawy i był świadkiem jego ślubu.

Książę wojewoda wedle swojéj obietnicy chciał jechać na wezwanie syna, i zaprosił z sobą mojego ojca, który nie mógł nie uczynić zadość woli starego księcia i prośbie młodego. Długo pamiętać będą na wielkim trakcie, idącym z Bracławia do Warszawy, podróż wojewody, oraz panów i szlachty ruskiéj na to wesele. Był to pomnik wziętości domu Sołomereckich w ich prowincyi, i dostatków obywatel-

że kiedy z działu dostała mi się wieś na Wołyniu, w któréj miałem mieszkać, a nie zastałem w niéj domu, mój najbliższy sąsiad, właściciel Dryhłowa, uprawiacz muz ojczystych i wzorowy obywatel, bez mojéj nawet wiedzy, własnym sumptem sprowadził dla mnie materyał leśny do wybudowania domu. Niech ten zacny mąż raczy i teraz przyjąć ponowione moje dzięki za jego uczynność.

stwa tej części rzeczypospolitéj. Więcéj dwustu pojazdów różnego gatunku posuwało się po gościńcu; w przodzie i z tyłu tego taboru, ułani Bośniaki, kozacy dworów pańskich i szlacheckich, na wartkich koniach, dobrze uzbrojeni, glejtowali swoich panów pojazdy. Z takim przepychem odbył się wjazd do stolicy; nie dziwiono się temu w Warszawie, że w Polsce, o ile siła publiczna jest słabą, o tyle prywatna jest potężną.

Przez te kilka dni poprzedzające dzień ślubu, nasi mieli czas poznać tę, któréj Bóg przeznaczył żyć odtąd między nami. Matka, kobieta przebiegła, swoją uprzejmością wszystkim się podobała. Pochlebiało szlachcie, że ich po kilkakrotnie, nie szczędząc ukłonów, prosiła aby byli łaskawi na jéj córkę, i upewniła że ona nieśmiała, jak zwyczajnie panna skromnie wychowana, jeszcze nie umié znaléźć się z niemi, ale że będzie się starała zasłużyć na ich łaskę.

Co się tyczy przyszłéj księżnéj, ta rozmaite wrażenia wzbudziła na tych, którzy ją poznali. Stary książę tak był upojony szczęściem, że wkrótce swojego jedynaka będzie widziéć żonatym i nadzieją świetnych podpór dla swojego gasnącego niemal domu, że w przyszłéj swojéj synowéj upatrywał wszelkie doskonałości.

Mój ojciec, zawsze obojętny dla płci pięknéj, a tém bardziéj po nieodżałowanéj stracie swojéj, niewiele się opatrywał w przyszłą księżnę. Wprawdzie łatwo poznał, że jego przyjaciela afekt do narzeczonéj był więcéj wmówiony niż rzeczywisty, że nawet rzadko kiedy się do niéj przybliżał, ale z drugiéj strony wiedział, że on nie był z takich, co podlegają gwałtownym namiętnościom, że sam z siebie nigdyby wyboru nie uczynił, i że do każdego stanowczego przedsięwzięcia potrzebował obcych wpływów. Za złe miéć nie mógł panu Kuleszy, że korzystał ze słabości jego charakteru, aby mu wmówić ten wybór, ile że nadto był przywiązany do domu Sołomereckich, w którego klienteli wzrósł i wychował się, aby nie wolał widziéć ostatniego potomka tego domu z jakąbądź żonatym, niż bezżennym. Zresztą nie spostrzegł w pannie młodéj nic takiego, coby dało mu prawo rozpaczać o przyszłém szczęściu przyjaciela.

Co się tyczy innych przyjaciół i sług tego domu, między niemi krzyżowały się różne o pannie zdania. Niektórzy oziębłość, jaką dla nich okazywała, kładli na karb skromności i nieśmiałości, jak to jéj matka po kilkakrotnie im powtarzała; ale większa liczba uważała tę oziębłość jako skutek niepohamowanéj dumy, i na jéj ustach spostrzegli jakiś uśmiech pogardliwy, który w ich sercach wzbudza obawę i nieufność; a byli też tacy, którzy ani za, ani przeciwko niéj zdania swojego nie odkrywali, a tylko przed poufnemi, ile razy ci o niéj mówili, powtarzali: — Przed niewodem ryb nie łów; obaczymy co z tego będzie.

Zresztą przyszła księżna w powierzchowności swojéj nie miała nic takiego, coby mogło zbytnie przyłudzić. Nic więcéj nie można było powiedziéć o niéj, tylko że była nie szpetna. Oprócz białości cery, pięknéj talii i jakiegoś uroku, który dziewczynie sama młodość przydaje, ani w rysach twarzy, ani w wyrażeniu oczów, ani w dźwięku głosu, nie miała nic takiego, coby zachwycenie wywołać mogło, a kiedy stanęła przed ołtarzem, przepych jéj ubioru i światło dyamentów, któremi była okrytą, bynajmniéj nie powiększyły jéj wdzięków.

Ślub państwa młodych zgromadził w przyjacielskie grono to wszystko, co mogło być najświetniejszego w polskim, litewskim i ruskim narodzie; sam król zaszczycił go swoją przytomnością, i w dowód swoich pańskich względów, zaraz po ślubie pana młodego obdarzył świeżo zawakowaném starostwem Bracławskiém. Uczty trwały przez dziesięć dni, bo książę wojewoda kilkakroć sto tysięcy przeznaczył na wydatki wesela. To téż na niém można było widziéć wszystko to, co najwykwintniejszego obmyśléć może przepych połączony ze smakiem. Król, który był sposobniejszy do urządzenia balu i uczty, niż do zarządzania państwem, i był mistrzem do wszystkiego zbytku, oddał wtedy sprawiedliwość naszemu księciu, mówiąc, że w smaku można go naśladować, ale przewyższyć nie ma sposobu.

Po tych ucztach, książę wojewoda wrócił do swojéj ulubionéj Ukrainy, i swoje dzieci zabrał z sobą. Pani kasztelanowa niby zabierała się odprowadzić córkę do jéj nowego mieszkania, ale tego zaniechała, składając tę niemożność opuszczenia Warszawy na ogrom interesów, które się na nią od śmierci męża zwaliły. W rzeczy saméj miała długi, których ilość równała się wartości dość miernego majątku, jaki posiadała w okolicach Poznania. Nawet wyprawę ostatniéj swojéj córki sprawiła kosztem swoich krewnych. Wydanie córki za księcia Dymitra wydźwignęło ją, bo swój odłużony majątek jemu oddała, wymawiając sobie jeszcze dożywotnią pensyę, na co wspaniały książę wojewoda bez wahania się zezwolił. Tak uwolniwszy się od natarczywości wierzycieli, a zapewniwszy sobie do śmierci byt przyzwoity, rada że się ostatniéj córki pozbyła, za nicby w świecie Warszawy nie opuściła. Mój ojciec cieszył się z tego dla szczęścia młodego księcia, bo sądził, że im więcéj młoda księżna będzie odosobnioną od swoich, w kraju obcym, tém więcéj i do męża, i do tego kraju się przywiąże. W tém po części się nie omylił, bo na stronie zostawiając jéj przywiązanie dla męża, to pewna, że nasz kraj musiał się jéj podobać, a zwłaszcza towarzyskie położenie, jakie w nim zajęła, kiedy pomimo ciągłych jéj pochwał dla Warszawy i uniesień nad ukształceniem młodzieży żyjącéj w stolicy, a nagan często cierpkich dla obyczajów prowincyi, przecie w ciągu swojego życia jednę tylko kilkomiesięczną podróż odbyła za granicę; ale oprócz niéj, była jakby

tylko przykutą do Ukrainy, a z Warszawą piśmienne zachowała stosunki, bo co tydzień odbierała ztamtąd paki, niekiedy ze strojami w naszych okolicach nieznanemi, a zawsze z listami.

Mój ojciec bardzo właściwie osądził księżnę; nie można było o niéj powiedziéć, aby była złą kobietą; owszem, miała ona cnoty swoje, i wielkie. I tak: żadna nasza matrona nie miała od niéj surowszych obyczajów, ani gorliwiéj przestrzegała ich zachowania w domu. Najmniejsze w tym względzie wykroczenie sługi lub służącéj, od niéj przebaczenia nie otrzymało; obok tego miała chwile wspaniałomyślności, i umiała być hojną dla tych, którzy umieli jéj się zasłużyć. Jednę miała tylko główną wadę, z któréj wszystkie inne się wyradzały, to jest pychę jakiéj nikt nie sprostał, gdyż ta nawet granice zdrowego rozsądku przekraczała. Była dumną ze swojego urodzenia, dumną z licznych koligacyj, z przymiotów osobistych, z mitry swojego męża, z jego bogactw; jedném słowem, ze wszystkiego co się jéj tyczyło. Do téj niczém niepohamowanéj pychy łączyły się te wady, które zwykle jéj towarzyszą, jakoto żądza przewodniczenia wszystkim, i nieubłagana nienawiść dla każdego, ktoby jéj w tém jakieś rzeczywiste lub urojone gwoli jéj podejrzenia stawił przeszkody.

Nietrudno jéj było opanować człowieka tak słabego, jakim był jéj mąż, a co się tyczy księcia wojewody, ten był tyle uradowany nadzieją odrodzenia się przez nią w swoich potomkach, że poczytałby sobie za zbrodnię w czémkolwiek jéj się przeciwić, ile że ta nadzieja zbliżała się ku ziszczeniu, gdyż młoda księżna wkrótce po przybyciu swojém do Ukrainy uszczęśliwiła go wiadomością o swojéj brzemienności. Odtąd została samowładną panią w Komargrodzie. Młody książę w niczém jéj się nie sprzeciwiał, bo nie umiał się sprzeciwiać, a stary książę jéj we wszystkiém dogadzał, w obawie aby najmniejsze umartwienie szkodliwego wpływu nie wywarło na dziécię, które poczuła w swojém łonie.

Przy takiém usposobieniu księżnéj, cierpiéć niemało musieli słudzy, domownicy i przyjaciele domu Sołomereckich, bo im większą dla którego z nich książę okazywał życzliwość, im ściślejszą pokładał w nim ufność, tém na większą narażał go nienawiść księżnéj, która zaraz w nim upatrywała współzawodnika dla niéj niebezpiecznego, i usiłowała mu szkodzić. Udało jéj się kilku zaufanych wydalić bez względu na przykrość, jaką tém wyrządzała mężowi, który pomimo słabości charakteru możeby się zdobył na opór, jedno że stary książę tu popierał synową, przekładając synowi, że w stanie w jakim się znajduje, nie można w niczém się jéj sprzeciwiać. Nagradzał na stronie niesprawiedliwie oddalone sługi, a księżna to robiła co chciała. Nawet Kulesza, dla którego powinna była zachować wdzięczność, nie mógł się utrzymać. Księżna umiała się go pozbyć, jedynie dlatego, że

się z tém wymówił, że bez niego nigdyby księżna nie została tak wielką panią.

Księżna wiedziała o stosunkach, jakie łączyły mojego ojca z księciem Dymitrem; to już było dostateczne, aby jéj niechęć przeciwko niemu pobudzić. Ale mój ojciec, lubo szczerze przywiązany do księcia, tak mało był natrętnym w ubieganiu się o jego łaskę, uczucie tak głębokiego smutku wyrażało się na jego obliczu, tak unikał tego wszystkiego, coby się sprzeciwiało zachciewaniom księżnéj, tak podzielał zdanie starego księcia, żeby w niczém nie opierać się jéj woli, że chociaż nigdy nie przestała czuć do niego jakiegoś wstrętu, wszakże wyjęła go z klątwy rzuconéj przez nią na wszystkich dawnych domowników Komargrodu. Wolała go użyć za narzędzie swoich widoków, niż go prześladować, ile że poznała, iż nie był chciwym, ani zapobiegliwym dworakiem, że czynił z siebie ofiarę, gdy uczęszczał na zamek książąt, że samotność tyle miała dla niego powabów, iż z największą skwapliwością jéjby się zupełnie oddał, gdyby do tego upoważnionym został najmniejszym dowodem oziębłości ze strony księcia Dymitra. Młoda księżna nadto wiele miała przenikliwości, aby nie poznać, że on dla niéj nie mógł być niebezpiecznym; ztąd starała się zbliżać do niego, i okazywać mu coś podobnego do ufności, a jéj mąż miał pociechę, że przynajmniéj jeden, wprawdzie najgorliwszy przyjaciel, umiał się ochronić od nienawiści jego małżonki.

Już wyżéj wspomniałem, że książę Dymitr w dzień swojego ślubu otrzymał był od króla jegomości przywilej na wakujące starostwo Bracławskie. To starostwo było grodowe, i rozciągało juryzdykcyą na szeroki powiat, do którego i Komargród należał. Wedle polskich i litewskich praw, którym i nasza prowincya ulega, władza substytutów starościńskich kończy się z życiem ich mocodawcy; tém samém posady sądowe grodu Bracławskiego od szafunku nowego starosty zależały. Książę, powróciwszy do swojéj ojcowizny, udał się do Bracławia, dla wykonania przysięgi i objęcia juryzdykcyi i dóbr starościńskich, i zaraz instrumentował podstarostą mojego ojca, bez wiedzy jego. Pan Santaman, były podstarosta, usuniętym zostawszy od urzędu, do kórego był się wzwyczaił, udał się do mojego ojca z płaczem na krzywdę, jakąby mu uczyniono bez względu na jego zasługi, instrumentowaniem innego na jego miejsce. Jego pretensya cienia sprawiedliwości nie miała, gdyż i on sam zajął był miejsce żyjącego podstarosty, stosownie do praw istniejących; jednak mój ojciec wcale nieżądny urzędu, uprosił instancyą księżnéj do jéj małżonka, aby mu pozwolił uchylić się od téj substytucyi, a raczył instrumentować pana Santamana, co się i uskuteczniło. Przytaczam to wydarzenie, nie tyle jako dowód rzadkiéj poczciwości i uczynności mojego ojca, ale że ten czyn wspaniałomyślny miał smutny wpływ na moje przeznaczenie.

Pan Santaman został późniéj prześladowcą syna swojego dobroczyńcy. Tymczasem mojego ojca czynności wielce powiększyły szacunek księżnéj dla niego.

Rozwiązanie księżnéj nastąpiło w czternaście miesięcy po mojém urodzeniu; wydała na świat syna. Łatwo wystawić sobie można radość i szczęście księcia wojewody z tego wypadku, a znaczenie księżnéj podwoiło się, że tak powiem. Księżna najszczęśliwiéj odbyła swoję słabość, piątego dnia po swojém rozwiązaniu już stała na nogach i przyjmowała gości; omal że nie cała Ruś zaproszoną była na chrzciny książątka, któremu dano imię Oleg. Uczty z powodu jego urodzenia przedłużały się przez cały miesiąc, a każdy sługa, tak od starego jak i młodego księcia, dostał w darze całoroczny swój żołd, ażeby w wesołéj pamięci zachował ten dzień tak uroczysty dla domu Sołomereckich.

W rok potém Bóg powtórnie pobłogosławił łoże księcia Dymitra. Już nie syna, ale córę księżna powiła, i omal że życiem nie przypłaciła tego swojego powtórnego macierzyństwa. Jéj słabość bardzo była niebezpieczną; kilka niedziel nie wstawała z łóżka i odtąd, pomimo biegłości lekarzy którzy ją otaczali, nigdy w zupełności zdrowia nie odzyskała. Odzyskała wprawdzie cerę i włosy, które w chorobie swojéj była utraciła, ale nie cieszyła się macierzyństwem.

Wkrótce po urodzeniu księżniczki Maryi, książę wojewoda sam zainsynuował synowi, aby, jak on sam wychował się z moim ojcem, tak i dla syna swojego zawczasu starał się o przyjaciela, do czego najlepszym środkiem byłoby, od niemowlęctwa Olega zemną razem wychowywać. Nic dziwnego, że książę Dymitr z największą radością tę chęć ojcowską przyjął, bo nikt od ojca mojego nie był bliższym jego sercu; ale nawet księżna tyle miała dla niego szacunku, że nie tylko iż temu nie pokazała się być przeciwną, ale owszem oświadczyła, że wstyd dla niéj, iż książę ojciec ją uprzedził z tym zamiarem, gdyż czuje że książę jéj małżonek nie może zostawić synowi droższéj spuścizny nad wiernego przyjaciela, zwłaszcza jeżeli syn dla syna będzie takim, jakim ojciec jest dla ojca. Mój ojciec bez trudności przyzwolił na łaskawą dla niego ofiarę, uczynioną mu przez całą książęcą rodzinę, a która go robiła spokojnym o wychowanie swojego jedynaka, w owym czasie tak trudne w naszych zapadłych prowincyach, których stosunki z akademią Kijowską od dawna były przerwane, a gdzie na ogromnéj przestrzeni zaledwo było kilka szkół jezuickich.

Przywieziono mnie do zamku Komargrodzkiego, kiedy książę Oleg zaczynał rok piąty; byłem rokiem starszym od niego, a już sprowadzano z różnych stron nauczycieli, aby zawczasu nas do nauk przykładali. Księżna zanadto była przywiązana do syna, aby go gdzie indziéj wychować, niż pod własném okiem. Za nic w świecie do szkół-

by go nie oddała; pod względem saméj nauki nie miała księżna powodu żałować, że Olega od siebie oddalać nie chciała, bo w żadnéj szkole równie starannych nauczycieli dostaćby nie mógł. Jeszcze nie był skończył lat dziesięciu, a już w kilku językach tłómaczyliśmy się z łatwością, a w naukach nie dalibyśmy przed sobą prymu kilkunastoletnim chłopcom w szkołach publicznych wyćwiczonym. Ale wychowanie nie kończy się na samych naukach. Szkoła publiczna jest razem szkołą świata; chłopiec wysokiego urodzenia i szerokich dostatków uczy się w obszerném koleżeństwie władać sobą w obcowaniu z innemi, miarkować wybryki pychy, gniewu, samolubstwa. Nawyka żyć z równemi, bo nie może być szkoły publicznéj, w któréjby równość nie panowała między uczniami. Stopniowania, do których prowadzi pilność w nauce, a o których zwierzchność stanowi, kończą się na ławach szkolnych; ale to odznaczenie ustaje razem z głosem dzwonka dającego hasło do zabaw, a każdy wraca do stanu równości. Już wtedy między uczniami ani nauka, ani fawor nauczycieli, ani wysłużone nagrody nikomu przewagi nie dają nad innemi. Siła i odwaga wyłącznie ją zapewnić mogą, a pycha i porywczość zawsze w ich obcowaniu znajdują gotową karę. Tych korzyści szkół publicznych nigdy wychowanie domowe nie zastąpi, a książę Oleg służy za dowód prawdziwości mojego zdania.

On był opatrzony od przyrodzenia wielkiemi przymiotami: posiadał umysł bystry, serce szlachetne i wspaniałe, ale po matce wziął pychę, która nie będąc przeciwważoną obcowaniem z równemi, a owszem wypiastowaną, że tak powiem, zaślepieniem matki, pobłażaniem nauczycieli, a pochlebstwami sług, domowników i klientów ojca, rosła z latami i doszła do tego stopnia, że aż zagrażała w przyszłości jego bezpieczeństwu, tém więcéj, że kiedy ta pycha była rozdrażnioną, wściekła porywczość jéj zwykle towarzyszyła.

Byłem szczerze do niego przywiązany, i on nawzajem przyjaźnią i ufnością mi się odwdzięczał. Odemnie jednego przyjmował słowa prawdy z jakiémś umiarkowaniem; nie przewyższałem go zapewné ani w rozumie, ani w zdolności do nauk, ani nawet skłonnościami, tyle tylko, że przez moje położenie wychowany byłem w pewnym stopniu podległości, która od dzieciństwa nie dopuszczała mi wodzów puszczać moim młodocianym namiętnościom. Nie znajdywałem u moich nauczycieli podobnego pobłażania, jakie oni mieli dla mojego współtowarzysza przez obawę narażenia się na gniew księżnéj, tém więcéj, że miałem surowego ojca, który ile razy nawiedzał zamek Komargrodzki, zawsze ich upraszał, ażeby mi w niczém nie folgowali, i najmniejsze moje wykroczenie srogo karali. Domownicy, a nawet słudzy, będący wszyscy stanu szlacheckiego, uważali mnie za równego sobie; ani bojaźni ani nadziei nie mogłem w nich wzniecać,

więc ani chęci, ani potrzeby nie czuli zatruwać mojéj młodości pochlebstwami. Za wspólną swawolę ja zawsze sam jeden pokutowałem, co wszystko szło na korzyść mojego rozsądku, i przytłumiało przynajmniéj powierzchownie namiętności gwałtowne, które się tłoczyły w mojém sercu. Ta moja oględność, to władanie sobą, by nie zdradzać tego, co się w duszy mojéj działo, dały mi przewagę nad młodym księciem, któréj Bóg świadek używałem tylko dla jego dobra. Dawałem mu najzdrowsze rady, dla umitygowania jego pychy i porywczości; on je przyjmował z budującą cierpliwością, zwłaszcza w chłopcu tak popędliwym. Ale cóż? wszystko około nas się spiknęło, aby te zbawienne rady w niwecz obracać.

Tu przytoczę jeden wypadek na dowód téj roztropności, jaką w sobie umiałem wyrobić. Miałem lat czternaście, a już od trzech lat fechtmistrz, sprowadzony z Paryża, wkładał nas do tych szermów, które u nas zaczynały być w modzie. Księżna nas ubierała po francuzku; byliśmy dziećmi, a już nas pudrowano, fryzowano, tapierowano codzień. Była to dla nas męka, ale cóż robić? księżna tak postanowiła, opierał się temu i jéj teść, i jéj mąż, ten ostatni więcéj niż się można było spodziewać po uległości, jaką miał dla żony, ale nastąpiło to przez kompromis pewnego rodzaju. Księżna od swojego zamążpójścia ciągle nalegała na męża, aby się przebrał, a przyjął strój, jaki był używany od większéj części panów królewskiego dworu. Na to nie było sposobu księcia nakłonić; on, jako i jego ojciec, uważali kontusz, żupan i pas za rzeczy nieoddzielne od szlachectwa. O ten szkopuł rozbijała się przewaga księżnéj tak dalece, że kiedy razu jednego z natarczywością tego się domagała, książę, czego nigdy nie bywało, ofuknął ją i rzekł do niéj w gniewie: — Proszę waćpani z tém się do mnie nie odzywać; ja nie myślę się zbłaźnić, biorąc na siebie tę kusą suknię, w jakiéj djabła nam malują. Waćpani sprowadziłaś do mojego dworu dość Niemców i Francuzów, którzy się wiercą między naszemi jak frygi, a którzy, ile razy ich spotkam, zawsze mi humor popsują. Wreszcie Francuz, Włoch i Niemiec niech tak się nosi, jak mu się podoba, ale szlachcic ma swój właściwy strój, którego winien się trzymać; nie tylko że mnie waćpani nie namówisz do pluder, ale każdemu szlachcicowi mojego dworu, który mi się w nich pokaże, dam odprawę, chociażby mi był najpotrzebniejszym, i w tém wola księcia ojca jest zupełnie zgodna z moją.

Uparta księżna nie dała za wygraną; ciągle o to turbowała księcia Dymitra, a zawsze bezskutecznie. Przyszło do tego, że aż chciał wydalić się od dokuczliwéj żony, i przenieść się do dóbr swoich Poleskich, do których co roku zjeżdżał na łowy. I z tém się otworzył przed moim ojcem, ale ten mu to odradził, przekonywając go, że nie godzi się opuszczać starego ojca i dzieci; że księżna, chociaż mu się czasem naprzy-

krza, przecie jest poczciwą żoną, nieposzlakowaną w wierności, pilnującą domu i dzieci; że każdy stan ma swoje krzyże i od tego małżeński nie może być wolnym, ale że je dobry chrześcianin cierpliwie powinien znosić, bo jeżeli na przekór woli Bożéj zrzuci z siebie krzyż, jaki Bóg mu przysłał, niezawodnie jeszcze cięższy będzie musiał dźwigać. „Boha ne perechytrujesz“ jak mówi Rusin.

Bywały o to często domowe kwasy, dopóki książę Oleg nie doczekał się lat siedmiu. Trzeba więc było dziecinne ferezyjki zrzucać, a ubierać się po ludzku: o to znowu niezgoda w domu. Mąż chce mu sprawić kontusik, żona suknie francuzkie; nastąpiła ztąd narada między księciem wojewodą, jego synem i moim ojcem. Ten ostatni tak się odezwał: — Dziecko, czy w polskich hajdawerach, czy w niemieckich pluderkach, zawsze tylko dzieckiem; a więc moja rada, niech książę pozwoli żonie ubierać książątko i mojego chłopca, jak się jéj podoba; skoro dojdą do lat dojrzałych, że sami się odziewać będą, wtedy będzie pora ich namówić, aby wrócili do odzieży, jakiéj używali ich przodkowie. Ale w zamian zezwolenia waszéj książęcéj mości, niechże księżna się zaklnie, że już zaniecha dostojnego męża nakłaniać do téj maskarady, która w jéj głowę wlazła jak fura siana.

Obaj książęta przyjęli tę roztropną radę, i księżna poprzestała na niéj, bo zaklęła się, że mężowi nie wspomni już nigdy o zagraniczném przestrojeniu jego osoby, a jako pani nabożna, przyrzeczenia swojego dotrzymała.

Sprawiono więc nam sutą garderobę francuzką, bo księztwo oboje chcieli, aby żadnéj różnicy nie było w naszym ubiorze. Nosiliśmy się więc odtąd po francuzku, i co nam się podobało, mieliśmy szpadki u boku. Właściwą było rzeczą umiéć użyć tego co się nosiło, i obydwaj zadziwiające robiliśmy postępy w fechtunku. Ta nauka była dla nas najmilszą zabawą; tak dalece, że nawet w chwilach wolnych od ćwiczeń naukowych naprzykrzaliśmy się naszemu fechtmistrzowi, aby się z nami bawił floretem. Potém my sami potykali się z sobą do upadłego. Długi czas byliśmy równéj siły; nakoniec, jakkolwiek książę Oleg był zgrabnym, pokazało się, że zostałem od niego mocniejszym. Otóż jednego razu, gdy wedle swojego zwyczaju wyzwał mnie na te szermy, zdarzyło się, że w przeciągu kwadransa dotknąłem go cztery razy, a on mnie ani razu; zwykle w trzech razach dwa były dla mnie, a trzeci dla niego korzystny.

Ta moja wyższość, do któréj dotąd nie był przywykły, obraziła jego miłość własną; nie chciał poprzestać, i z natarczywością szukał odwetu, ale w miarę jak się zapalał, mniéj mu służyła zręczność w grze, w któréj zimna krew jest najgłówniejszym warunkiem wygranéj. Nacierał na mnie z zapamiętaniem; zawsze był odparty i dotknięty. Zaprzeczał on to oczywiste dotknięcie, ale aż się pienił ze

złości, że nic nie mógł mi zrobić. Przyszło do tego, że namiotawszy na mnie wyrazy najobraźliwsze, cisnął na mnie swój floret, dobył szpadę i z nią rzucił się na mnie z wściekłością.

Nie poszedłem za jego przykładem, a zawsze z floretem w ręku, odpierałem pociski jego szpady. — Dobywaj szpadę, gałganie! — krzyczał w najgwałtowniejszém uniesieniu — bo cię zakolę jak wieprza. — Naturalnie były to proste słowa, ale zapamiętała wściekłość książątka zawsze wzrastała tém, że jego szpada ciągle spotykała mój floret, i dotknąć mnie nie mogła.

Nie wiem, jakby się skończyła dla mnie walka, w której wskazałem się jedynie na odpór, odjąwszy sobie dobrowolnie środki do natarcia. Na moje szczęście ta scena odbywała się w ogrodzie, niedaleko okien księcia wojewody; ten na krzyki księcia Olega wyszedł, a widząc chłopca nacierającego na mnie z bronią śmierciodawczą, a mnie zasłaniającego się floretem, stanął między nami. Oleg przecie na widok dziadka opamiętał się i schował szpadę w pochwę, a dziad mu tylko tyle powiedział: — Wstydź się, Olesiu, to nie po szlachecku z bronią nacierać na takiego, który tak dobrze jak bezbronny. — Poszliśmy obaj na pokoje: Oleg jeszcze nieco rozdąsany, a ja mocno zasmucony obelżywemi wyrazami, których mi dopiéro nie szczędził.

Odtąd postanowiłem sobie nigdy nie potykać się z księciem Olegiem na florety; on mnie przepraszał sa swoje uniesienie, i jak między młodemi, zgoda łatwo nastąpiła, ale od mojego postanowienia nigdy nie odstąpiłem. Napróżno Oleg mnie wyzywał i zaręczał, że unosić się nie będzie; ja zawsze mu powtarzałem jedno: — Kocham cię, Olesiu, ale nie do tego stopnia, żebym aż tobie moją szlachecką sławę poświęcał. Ty w uniesieniu swojém umiész być tak cierpkim, że anielska cierpliwość z tobą nie wytrzyma; nie chcę się tobie narażać, a wiem, że każdy współzawód z tobą twój gniew i twoję popędliwość wywoła, a więc ponawiam ci szlacheckie słowo, że nigdy z tobą nie będę się bawił floretami. Moim jest obowiązkiem unikać tego wszystkiego, coby naszą przyjaźń osłabić mogło; ale zaklinam cię, hamuj twoję popędliwość. Jesteś zręczny i byłbyś strasznym przeciwnikiem na szpady, gdybyś panował nad sobą. Nie mojéj zręczności, ale zimnéj krwi przypisuj moję wyższość nad sobą. Jeżeli tu się nie umiarkujesz, a pójdziesz na ostre, bądź pewny, że słabszy od ciebie, byle miał serce, niezawodnie nad tobą otrzyma zwycięztwo. — I nie zważając na jego nalegania i obietnice, odtąd nigdy mojego postanowienia nie zmieniłem.

Jednak musi być coś szatańskiego w miłości własnéj, kiedy Oleg, lubo mnie bezwątpienia miłował, i z mojéj strony tysiączne dowody w ciągu życia odbierał, nie tylko przywiązania, ale nawet poświęcenia, jednak odtąd nie był dla mnie zupełnie takim, jakim był wprzó-

dy; już-to nie była taka sama ufność. Zapewne, że nikt tego zauważyć nie mógł, ale serce tego co umié czuć przyjaźń, staje się nieomylne. I moje łatwo poznało, że ta myśl: „Jest przecie jedno stanowisko, na którém muszę mu przyznać wyższość nad sobą", stawiła w umyśle Olega jakąś przegrodę między nami. Człowiek pyszny nigdy pełnéj ufności nie da takiemu, który w czémkolwiek zachowuje z nim równość, a cóż dopiéro jeżeli ma jakąś wyższość. W stosunkach swoich otrzymuje więcéj korzyści, niż ponosi strat, bo może miéć wielbicieli a nawet przyjaciół, i sam może być wspaniałym protektorem, dobroczyńcą tego którego polubi, ale jego przyjacielem nigdy nie będzie, bo to święte uczucie wymaga pewnéj prostoty serca, pewnego niedowierzania w sobie, jakiéjś nieufności w swoich zdolnościach, od których samolubstwo, owa podstawa pychy, zawsze będzie dalekie. A jednak gdyby książę Oleg był dla mnie tém, czém ja byłem dla niego, żyłby dotąd, a wiele nieszczęść nie byłoby nastąpiło.

Wkrótce potém doświadczyliśmy wielkiego nieszczęścia, które jak kamień spadło na Komargród. Książę wojewoda po kilkodniowéj niemocy, która do ostatniego dnia nie miała żadnéj oznaki niebezpieczeństwa, dni swoje zakończył, a jednym tygodniem wprzódy, po nieco dłuższéj chorobie, umarł mój ojciec, jakby chciał przygotować mieszkanie nowe dla księcia, u którego się wychował, a który tyle dobra mu wyświadczył. Smutek był nam wielki, zwłaszcza kiedy nas obleczono w żałobę. Książę był powszechnie żałowany, toż samo i mój ojciec; pierwszy był wzorem wielkiego pana, drugi takim, jakim szlachcic być powinien. Można powiedziéć, że obadwaj byli bez żółci.

Mój ojciec zostawił porządny szlachecki majątek: była ogromna wieś dziedziczna, dwie wsie w dożywociu, których prawo rozciągało się i na moję osobę, remanenta znaczne i trochę grosza po ludziach. Przed śmiercią napisał testament, w którym powierzył opiekę nad moją osobą i majątkiem księciu Dymitrowi, a ten ją przyjąwszy, jeszcze, jeżeli to być mogło, pokazał się dla mnie więcéj drugim ojcem, niżeli był wprzódy. Sama księżna, jakkolwiek zdawało się, że uczuła śmierć mojego ojca, nie mogła utaić czasem swojéj niechęci dla mnie, z powodu, iż sprostałem jéj synowi w naukach i zgrabności, a często nawet go przewyższałem; ale książę, mogę to przyznać, od śmierci mojego ojca, żadnéj różnicy nie okazywał w postępkach swoich ze mną a własnym synem, tak dalece, że kiedy na nowy rok lub jaką inną uroczystość, obdarzał syna jakim gościńcem, taki sam i ja odbierałem, co bywało powodem kwasów domowych między księciem a księżną, która w niczém współzawodu z jéj synem nikomu odpuścić nie mogła.

Powiedziałem, że mój ojciec, tak jak to mówią, był zamożnym

szlachcicem; chciał więc ażebym miał moję oddzielną usługę. Póki byłem dzieckiem, zostawił był przy mnie starego sługę, który mnie ubierał, słał łóżko i trzymał moje suknie; ale kiedy zaczynałem rok trzynasty, staremu słudze dał chleb łaskawy, a na jego miejscu przeznaczył dla mojéj służby dwóch braci, z których młodszy o cztery lata był starszym odemnie.

Byli to bracia rodzeni; ich przodek był sługą tego Skoropackiego starosty Niżyńskiego, który z księciem Jeremiaszem opuścił lewy brzeg Dniepru, aby na prawym zachować wiarę królowi Janowi Kazimierzowi. Starosta Niżyński i jego syn, a mój dziad, niemało wycierpieli nędzy, póki król Michał nie nadał temu ostatniemu prawa na ziemię pustą, którą umiał zaludnić, ale Niekrasny (takie było nazwisko poczciwego sługi), ich nie odstąpił i służył im podzielając ich ubóstwo.

Dopiéro kiedy mojemu dziadowi pomyślniejsza gwiazda zaświeciła z daru królewskiego, zrobił z niéj udział dla Niekrasnego, wystawił mu chatę i dał mu prawo do pięciu pokoleń rozciągające się na futor i kilkadziesiesiąt dni pola, a z czasem, jako Skoropaccy podnieśli się po swoim upadku na możną szlachtę, tak i Niekrasni zostali bogatemi włościanami.

Nie można było ich mieć za chłopów; pierwszy z nich, który tu przeszedł z moim pradziadem, był synem sotnika, a sam był pięćdziesiętnikiem. Oprócz tych, było jeszcze w ich rodzie kilku stopniowych. Nie wyrobili sobie przywileju na szlachectwo, o co nie byłoby im trudno, bo w Ukrainie kozak regestrowy był tém, czém jest szlachcic w innych prowincyach rzeczypospolitéj. Jak ten ze swojego szlachectwa, tak tamten jest dumny ze swojego kozactwa. W naszym domu jak ze szlachtą z nimi się obchodzono, a poddaństwo uważało ich nie inaczéj, jak za szlachtę. Wreszcie, jeżeli cnota dziedziczną jest cechą szlachectwa, oni do niego wszelkie mają prawo, bo syn po ojcu mieli i mają serca szlachetne; w tém między niemi nie było dotąd wyrodka.

Był jeszcze inny związek, który mnie jednoczył z braćmi Niekrasnemi: jedne piersi nas trzech wykarmiły. Matka mnie odumarła w kilkadziesiąt godzin po wydaniu mnie na świat; matka Niekrasnych była moją mamką, późniéj mnie wyniańczyła, jedném słowem, moją matkę umiała zastąpić. To téż jéj synów uważałem jako braci. W rzeczy saméj, byli oni moimi braćmi mlecznemi, a wiadomo, że lud ukraiński takowy rodzaj powinowactwa na równi kładzie z bliziém pokrewieństwem.

Ich pochodzenie, jako już powiedziałem, było czysto kozackie; dodam, że wojownicze podania kozaków wiernie w ich rodzinie się przechowały. Zaledwo każdy Niekrasny wychodził z dzieciństwa,

a już jego ojciec wprawiał go do konnéj jazdy, do użycia spisy, szabli, zwłaszcza do doskonałego strzelania; obaj bracia byli w tém mistrzami, chociaż zaledwo nazwaćby ich można wyrostkami. Starszy, charakteru spokojniejszego, więcéj rozważnego, i przenoszący życie pod strzechą domową nad zawód rycerski, przewyższał brata w zgrabności strzeleckiéj. Kiedy ich umieszczono przy mnie, zaczynał rok dziewiętnasty życia, a nigdy nie zdarzyło mu się chybić w lot ptaka, ani pernykozy na stawie. Udawały mu się najniepodobniejsze strzały, czém tak zniewolił księcia starostę, że ten oświadczył mojemu ojcu, iż pragnie z niego mieć sługę dla syna, na co się ojciec zgodził, nie chcąc zatamować mu świetnego losu; ale chociaż on został sługą księcia Olega, ile razy w jesieni książę ojciec wyjeżdżał do swoich dóbr w głębokie Polesie, gdzie aż do zimy zajęty był polowaniem, zawsze go zabierał z sobą.

Młodszy przy mnie pozostał. i nasze dusze zjednoliciły się z sobą od samego dzieciństwa, że bez najmniejszéj przesady powiem, że pomimo różnicy, jaka wówczas była w naszych położeniach towarzyskich, jeden bez drugiego żyćby nie potrafił, a to wzajemne nasze przywiązanie codzień więcéj siły przybierało. To na księciu Olegu, który jako syn potężnego magnata domagał się wyłącznéj przyjaźni, niemiłe robiło wrażenie, i często mi wymawiał z jakimś przekąsem, że wolę prostego chłopa niż jego.

Już musiałeś odgadnąć, że bracia Niekrasni są: starszy tym chorążym Niekrasą, którego córkę pokochałeś, młodszy tym atamanem Kulbidą, który tyle dał tobie dowodów przywiązania, nie dla innéj przyczyny, tylko że jesteś moim synem. Uczucie jakie ma dla ciebie, jest jedynie przedłużeniem tego, jakie zdołałem w nim wzniecić dla siebie samego. Często sobie wyrzucam, że w naszych stosunkach ten godny człowiek tak mnie opodal od siebie zostawił. Kochałem jedyną wprawdzie kobietę, ale kochałem ją wszystkiemi siłami duszy mojéj, a czémże jest przyjaźń w porównaniu z miłością? Jestem ojcem, a syn jest zawsze bliższym serca niż przyjaciel. Kulbida zawsze był obcym miłości; jego serce dla żadnéj niewiasty nie biło. Małżeństwo, ojcowstwo nigdy dla niego żadnego powabu nie miały; wszystkie jego uczucia wyłącznie ścieśniły się w téj przyjaźni, jaką ma dla mnie. On, że tak powiem, całkowite swoje serce mnie oddał za część mojego, i tu wyznaję, że przez niego zostałem zwyciężony. Kulbida nigdy równego sobie nie znalazł w zręczności do szabli i spisy, do dosiadywania, niarzenia i ujeżdżenia choćby najdzikszego konia, do przepływania bystrych potoków, ale za to wszelkie usilności naszych nauczycieli nie mogły go przekonać, aby przynajmniéj nauczył się czytać jak jego brat, który się przykładał z własnéj ochoty do nauk książkowych.

Zawsze jednę otrzymywali odpowiedź: — A na co mi się to przyda, diakiem być nie myślę, a jeszcze mniéj bakałarzem; gdybym nawet posiadał wszystkie wasze rozumy, do tego nie dojdę, do czego u was najgłupszy szlachcic dojdzie. Ja sobie zwyczajny kozak, mnie potrzeba odwagi i zręczności, a nie waszych książek, od których prostego człowieka serce mięknieje. — Mogę wyznać, że on uzupełnił moje wychowanie i w tym względzie ma większe prawo do mojéj wdzięczności, niż ci mistrzowie od których czerpałem naukę. W ciągu mojego życia na bardzo mało mi się przydały zagraniczne języki, które posiadam, nauki filozoficzne i ścisłe, które przebiegłem, dzieje narodów i ich literatury, z któremi się obeznałem, nawet matematyka, lubo jest matką i królową wszystkich nauk, — ale szabla i spisa, przeprawianie się czy pieszo czy konno przez niezgłębione wody, spojenie się z grzbietem wpół dzikiego konia, nieomylność strzału, czy z rusznicy, czy z pistoletu, obeznanie się z temi oznakami, które wśród nocy ciemnéj oświecają kozaka, w którém miejscu się znajduje, że zbłądzić nie może, te mi zawsze posłużyły. Im winien jestem moje powodzenie w zawodzie, który niefortunnemi okolicznościami popchnięty musiałem przebiedz, a to wszystko było owocem starań mojego Kulbidy.

Wspomniałem, że oprócz Olega, księztwo mieli jeszcze córkę. Księżniczka Marya, która późniéj tak wielki miała wpływ na moje przeznaczenie, była towarzyszką naszych nauk i igraszek dziecinnych. Sięgnij pamięcią, synu kochany, do tych chwil pędzonych z twoją Helenką w czasie waszego dzieciństwa. Były one odnowieniem, żywym obrazem tych, które krasiły wiosnę mojego życia. Jak ty kochałem i byłem kochany, kiedy jeszcze nie mogłem wiedziéć, co to jest kochanie. Jednak była w tém między nami różnica: uczucie twoje mogło cię kołysać swobodnie, nic mu obcego do niego przymięszać się nie mogło, byliście z sobą w téj poufałości, jaka przystoi bratu z siostrą, i nikt się nie dziwił. Co do mnie, wszystko w około mnie przypominało mi, że nie jestem równy księżniczce, że może stać się dla mnie panią, dobrodziéjką, ale niczém więcéj. Warunki poufałości wspólnéj dla nas nie istniały.

Księżniczka mogłaby do mnie mówić poufale, jako wyższa do niższego, ale mnie z nią obcując nie wolno było wyzwolić się od tych tak nieznośnych oznak uszanowania, które nic wspólnego z sercem nie mają. Pojmowano, że młody książę mógł być moim przyjacielem; równość szlachecka pozwalała to przypuścić, ale ani krokiem daléj iść nie śmiała. Ani sługom, ani klientom, ani sąsiadom komargrodzkim w głowieby się nie dało pomieścić, żeby księżniczka mogła być przyjaciółką, a cóż dopiéro czém jeszcze ściślejszém zależnego szlachcica.

A jednak my się kochali z księżniczką Maryą; długi czas samiśmy o tém nie wiedzieli, bo któżby nas mógł oświecić? Nie tylko że u nas

wielki pan wierzy, że jego krew jest odmiennéj a wyższéj natury, niż innych ludzi, ale klienci i słudzy, którzy go otaczają, o tém są przekonani. W starożytności najskromniejsze niewiasty rodu patrycyuszów przyjmowały od niewolników swoich posługi, które się nie zgadzały z przyrodzonym wstydem płci nadobnéj; a jednak nie było w tém nic dziwnego, gdyż dla nich niewolnik był istotą innéj natury, z którym żadnych ścisłych stosunków miéć nie mogły, innego wrażenia na nich nie robił, tylko takie, jak piesek lub kotek faworyt. Coś podobnego wystawia nam arystokracya rodu; jéj pycha, opierająca się na przypuszczeniu przyrodzonéj wyższości, jest przynajmniéj więcéj logiczną, niż pychy wszelkiego innego rodzaju, i właśnie dla téj logiczności jest zdolną przybrać kształty nadobne, do których wszelkie inne pychy nigdy podnieść się nie mogą. Pycha z bogactw, z rozumu, piękności, chociaż najstaranniéj ukryta, zawsze się zdradza jakąś stroną poziomą, szyderstwo wywołującą, bo zawsze jest osobistą, opierającą się na rzeczach tylko względnych, a tém samém nie mogących wyrobić jakiéjś stałéj zasady. Nakoniec mniéj jest rażącém pysznić się z zasług swoich przodków, niż ze swoich własnych (*). Ale że pycha rodu jest obyczajem, a nie przybranym osobistym narowem, więc nikomu w głowieby się pomieścić nie dało, że między miernego majątku szlachcicem, w pańskiéj klienteli wychowanym, a księżniczką, możnowładcy córką, mogły być innego rodzaju stosunki, niż z jednéj strony podległość, a z drugiéj łaska.

To właśnie mnie zgubiło, bo gdyby kto mnie był ostrzegł w jak niebezpieczném położeniu zostaję, niezawodniebym się przestraszył; rozwaga górę wzięłaby nad wzrastającą jeszcze skłonnością. Byłbym się opamiętał, a nie puszczał na ślepo w wir namiętności, która późniéj zboczyła moje przeznaczenie. Wszyscy, zaczynając od jéj rodziców, spokojnie patrzali na nasze zabawy i rozmowy; nauczyciele i ochmi-

---

(*) Możnaby dodać, że nic mniéj zasadnego, jak to odróżnienie zasług rodu od zasług osobistych, tolerujące pychę ostatnich, a potępiające pierwszych, jak gdyby zasługi osobiste nie były wypadkiem daru Opatrzności, jak traf świetnego urodzenia. Bez wątpienia nikt sobie nie dał urodzenia, ale równie nie dał sobie rozumu, piękności, zdolności do uzacnienia się w zawodzie publicznym, lub do utworzenia poczciwym sposobem szerokich dostatków. Wszystko to są dary Boskie, otrzymane bez osobistych zasług: przy naszych usilnościach te dary zostają płodne, bez nich jałowieją; ale temu prawu i korzyści z rodu podlegają. Na nic się nie przydadzą dary rozumu i zdolność do wzbogacenia się, jeżeli będą udziałem leniwca, który je odłogiem puści; ale ta sama koléj czeka i potomków świetnych rodów. Wszakże ani ustawy, ani przemoc nie strąciła ich ze stanowiska, jakie ich przodkowie zabezpieczyli byli dla siebie; ale że wzgardzili podaniami rodowemi, przybierając nałogi gminne i sposób myślenia gminny, niech się nie dziwią, że opinia już ich nie odróżnia od gminu.

strzynie na to jedynie zwracali uwagę, żebym nie zapomniał w obcowaniu z księżniczką używać tych okresów, jakie jéj wysokiemu stopniowi należne były, i daléj nie sięgali. Mój Boże! ci biedni ludzie ani się nawet domyśléć mogli, że jest poufałość w myślach dwóch istot mających pociąg ku sobie, daleko niebezpieczniejsza, niż ta, która się słowami objawia.

Księżniczka moja nie była uderzającéj piękności, ale była z liczby tych, których twarz i poruszenia są tak miłe, że raz z niemi się obeznawszy, trudno było o nich zapomniéć. Miała włosy jasne, może zanadto, oczy duże błękitne, czoło wypukłe, usta może za duże, nos trochę szeroki, ząbki prześliczne, płeć białą, ale na któréj piegi były rozsypane; na uzupełnienie obrazu rączkę i nóżki zdradzające jéj ród wysoki, talią zachwycającą, i dźwięk głosu, który wszystkich przyciągał jak wabik. Był z niéj żywy obraz ojca, tak co do rysów twarzy, jako i do duszy. Jak on, była nieśmiała, nie umiejąca opierać się cudzéj woli, ulegająca wpływom wszystkich co ją otaczali; nawet słabszy miała charakter od ojca, który kiedy niekiedy umiał się oprzéć żonie, jakkolwiek jéj się obawiał: raz jako kobieta, powtóre, że była zahukaną od matki, która jéj nie lubiła, bo wszystkie swoje uczucia macierzyńskieześrodkowała wyłącznie w synu, a w córce taką wzniecała bojaźń, że kiedy na nią spojrzy, nieboga drży jak listek wiatrem kołysany.

Ta jéj przyrodzona bojaźń, podniesiona jeszcze obejściem się z nią groźnéj matki, harmonizowała z uległością, w jakiéj z mojego położenia byłem wychowany, i zacierała poniekąd różnicę naszych stanów, lubo mówiąc do niéj, nigdy nie zapominałem, że jestem niższy. Ile razy była zapłakana, z powodu groźnego z nią obejścia się téj matki, bo innych zgryzot jeszcze miéć nie mogła, ja jeden umiałem ją pocieszać. Od dzieciństwa więcéj pokładała zaufania we mnie, niż w bracie, którego porywczość i ślepe do niego przywiązanie matki stawiała względem niéj w jakimś wyższym stopniu, odpychającym zaufanie; więcéj było stosunków między nami, które wypływały z naszego położenia. Księcia Olega wychowano na rozkazującego, a nas na posłusznych, i w tém była wielka omyłka, bo właśnie ten tylko będzie umiał rozkazywać, który od dzieciństwa był wprawiony do posłuszeństwa.

Oleg kochał swoją siostrę i mnie, tak jak mógł kochać, bo rzeczywiście on, jak i większa część młodych panów wyższego rzędu, nikogo nie miłował prócz siebie. Miał on skłonności dobre, serce szlachetne, czułość przyrodzoną, ale żadnéj przeciwności znieść nie umiał. Bez pobudzenia w nim najburzliwszych zapędów, nie można było się opiérać jego woli; był to szlachetny samolub, ozdobiony rozlicznemi przymiotami: byłem do niego przywiązany, ale nie powiem żeby był cno-

tliwym, bo cnota jest siłą, która usposabia do ciągłych ofiar, a do nich Oleg był niesposobnym. Dla najścislejszego przyjaciela nie odstąpiłby od swojéj woli, a od przyjaciół swoich, w jakich rzędzie byłem najpierwszym, wymagania jego były bez granic. W dzieciństwie wiele scen musiałem przecierpiéć, z powodu, iż wedle jego mniemania więcéj lubiłem jego siostrzyczkę niż jego, a przy końcu naszego wychowania kilka razy wymawiał mi z cierpkością, że przekładam Kulbidę chłopa nad ostatniego potomka Sołomereckich domu. Była to dziwna mięszanina w tym młodzieńcu. Był dumny z urodzenia i dostatków, a jednak pierwszy spostrzegłszy pierwiastkowe związki miłości między mną a jego siostrą, kiedyśmy sami jeszcze o nich nie wiedzieli, nie tylko że nie pokazał się obrażanym możnością koligacyi ze mną, klientem jego domu, ale nawet postępował, jak gdyby naszą miłość chciał wziąść w opiekę. Ani ja, ani księżniczka Marya, żadnych w tym względzie powierzeń mu nie robiliśmy, ale sam się o naszych uczuciach domyślił, i razu jednego, kiedy książę starosta u stołu patrząc na córkę odezwał się: — Nasza dziewka już wyskoczyła jak trzcina; pora jéj obdumaty człowieka! — na to książę Oleg odpowiedział: — Niechże jegomość dobrodziéj nie szuka dla niéj pana, ale poczciwego szlachcica, bo między szlachtą najlepsi mężowie. — To księżnę wielce oburzyło, tém więcéj, że jéj mąż nie zdawał się być temu przeciwnym. Odtąd zauważyłem, że księżna miała na baczeniu i mnie i księżniczkę, żebyśmy z sobą nigdy nie byli bez świadków; a ja nawzajem podwajałem ostrożność, żeby rozproszyć jéj podejrzenia.

ROZDZIAŁ XIX.

Moje pamiątki dla syna.

Część trzecia.

Księztwo po skończeniu wychowania ich syna postanowili sami zawieźć go do Paryża, dla dania mu ostatniego poloru. Taka była myśl księżnéj, i choć książę czas jakiś téj jéj woli się opierał, bo nie lubił zgiełku wielkiego świata, ona na swojém postawiła, i książę rad nierad pozwolił na opuszczenie wsi tak dla niego miłéj, i wybrał się na półtora roku za granicę, po upłynieniu których miał powrócić do Komargrodu, a księżna mu przyrzekła, że jak powrócą, już nalegać nie będzie na niego, żeby prowincyę kiedykolwiek opuszczał. Książę rozporządził sam, z jakim dworem podróżować będzie.

Wyjechaliśmy w pierwszych dniach wiosny, książę, księżna, oboje ich dzieci, ochmistrzyni księżniczki, dwie panny respektowe, dwie pokojówki i ojciec Chryzostom, Bazylian, spowiednik księcia; mnie, pomimo młodego wieku, książę powierzył marszałkowstwo podróży nad jego dworem. Naznaczył do podróży jeszcze trzech dworzan, a było z tuzin sług niższych, między niemi Kulbida i jego brat. Wyjechaliśmy więc małym dworem, jak to powtarzał często książę.

Obróciliśmy naszą podróż na Warszawę, gdzie książę chciał kilka niedziel się zatrzymać, dla złożenia królowi jegomości uszanowania i odnowienia stosunków z panami osiadłymi przy dworze. Książę był przyjęty wszędzie z najtkliwszą uprzejmością; dzieci jego powszechne obudziły podziwienie, z powodu i wykwintnego wychowania, jakie na wsi zdołali staraniem rodziców otrzymać, i wdzięków powierzchownych, jakiemi natura je obdarzyła. Król August II-gi przyjął księcia starostę jako syna jednego z najgorliwszych jego stronników w czasie najścia Szwedów. Dla księcia Olega pokazał się wielce łaskawym, księżniczkę Maryę znalazł bardzo piękną, a że to po kilkakrotnie powtórzył, cała Warszawa ogłosiła ją najpiękniejszą panną w całém mieście. Wszystko to nader pochlebiało miłości własnéj rodziców, a co uzupełniło miarę szczęścia księcia starosty, król jegomość wkrótce po jego przybyciu raczył go zaszczycić orderem Orła białego, a syna jego rotmistrzowstwem kawaleryi narodowéj.

Bawiliśmy się w Warszawie około czterech miesięcy. Staliśmy w pałacu księcia na Lesznie, gdzie wszystko było przygotowane do naszego przyjęcia. Księztwo otworzyli swój dom, który był uczęszczany przez tych wszystkich, co najpierwsze zajmowali miejsca w towarzystwie stolicy. Ordery, mitry, krzesła, ciągle siadywały za naszym stołem, a szlachta tak się do nas garnęła jak w Komargrodzie. Co do mnie, byłem młody, bogaty, zgrabny, nosiłem się po francuzku, mówiłem zagranicznemi językami, byłem mistrzem na florety i espadrony, z pistoletu o dwadzieścia kroków wybijałem oczka w kartach, jeździłem konno jak Tatar, tańcowałem menueta z gawotem. Jedném słowem, byłem godnym współuczniem księcia Olega, który w tém wszystkiém celował, a jeżeli jakąś wyższość nad nim miałem, to jedynie przez to, że w niczém zimna krew mnie nie opuszczała, podczas gdy, jako się powiedziało, książę ciągle się unosił, i to mu przeszkadzało korzystać z jego nadzwyczajnych zdolności. Nic więc dziwnego, że młodzież warszawska także i o moją przyjaźń się ubiegała, że mnie wszędzie wabiono, i że byłem przypuszczony do najwykwintniejszych towarzystw.

Wprawdzie nie mogłem się oddać tym towarzystwom tak namiętnie, jak książę Oleg, bo zwierzchność zostawiona mi nad całym dworem książęcym, dawała mi nadto wiele zajęcia, żebym mógł jak on moim

czasem rozporządzać. Rzadko kiedy mogłem towarzyszyć młodemu księciu, który wiele zabrał znajomości o jakich wiedzieć nie mogłem; zauważyłem tylko, że między ścisłemi przyjaciółmi, których sobie w Warszawie zrobił, największy w nim pociąg wzniecił pan Kierdej, kasztelanic Kijowski, a już starosta Kamieńczykowski, i jego wprowadził do domu rodziców, ile że lubo pan Kierdej był jak my Rusinem, miał jakieś swojactwo z domem Szamotulskich, a tém samem nie był obcym dla księżnéj staróściny.

Pan Kierdej i z imienia i z majątku niemałe miał znaczenie między młodzieżą; dla mnie był bardzo grzeczny, i jakby się starał o moją przyjaźń, ale ja czułem do niego jakiś wstręt niewypowiedziany, tak dalece, że kiedy się do mnie zbliżał z przymileniem, tak przykre na mnie robił wrażenie, że musiałem się przymuszać, aby, jak to mówią, oddawać piękne za nadobne. Wyrzucałem sobie często, że bez przyczyny nienawidzę gładkiego kawalera, który zawsze pierwsze kroki do mnie robi. Książę Oleg przeciwnie, tak go polubił, że przez jego oczy tylko widział. Właśnie wtedy pan Kierdej wybierał się do Paryża i był u księztwa z pożegnaniem, prosząc o ich rozkazy; Oleg omal że nie ze łzami go pożegnał; to jedynie go pocieszało, że wkrótce z nim się zobaczy. Późniéj dowiedziałem się, że on Olega wprowadzał w towarzystwa karciarzy, tancerek i awanturnic wszelkiego rodzaju, z któremi związki zawsze workiem, a często zdrowiem opłacać trzeba.

W kilka niedziel potém, i my wyjechaliśmy do Paryża. Oleg nie posiadał się z radości, że uściska wkrótce drogiego przyjaciela. Przytoczę tu jeden szczegół. Pana Kierdeja nieodstępnym sługą był pan Piotr Bołsunowski, człowiek rozważny, małomówny, ostrych zasad, a tak cnotliwy, że jego pan wystrzegał się go, bo tyle go szacował, że nawzajem potrzebował jego szacunku. Pan Piotr nie smakował w towarzystwie trzpiotarzy warszawskich, i dość zimno przyjmował ich grzeczności. Niejeden z nich mawiał panu Kierdejowi, jak może takiego odludka trzymać przy sobie, ale ten za nicby go nie oddalił od siebie, bo mu był nadto potrzebnym, i nigdy się na niego nie skrzywił, gdyż mu wiadome było ułożenie pana Piotra, i jego charakter tak dalece delikatny, że gdyby mu cień nieufności, lub nawet oziębłości okazał, żadne względy nie wstrzymałyby go, i zarazby się od niego oddalił.

Trudno żeby człowiek sam sobie wystarczył; i pan Piotr czuł potrzebę mieć jakieś serce, w którémby jego własne wynurzać się mogło, zwłaszcza w zgiełku wielkiego świata stolicy, gdzie ani miał możności odosobnienia się, ani przezwyciężenia wstrętu, jaki czuł do jałowego obcowania z próżniakami, któremi każde miasto jest napełnione. W takiém był usposobieniu w czasie naszego pobytu w Warszawie.

Wielceby się omylił ten, ktoby bezwzględnie uwierzył w tę szlachecką równość obywateli prawami Rzeczypospolitéj zabezpieczoną,

gdyż żadne ustawy przewalczyć nie zdołają natury rzeczy, a ta natura nie może zupełnéj równości przypuścić między tym, kto z położenia swego może wspierać innych, a takim, który sam bez wsparcia cudzego obejść się nie może; ale i to pewna, że ta zasada równości, jakkolwiek w zastosowaniu swojém daje się miarkować, przecie istnieje i jest wkorzenioną w narodzie. Ztąd w Polsce i prowincyach od niéj zależnych stosunki między najpotężniejszemi magnatami a sługami szlacheckiego stanu, noszą inne cechy niż w obcych społecznościach. Sługa szlachcic ma u nas przystęp otwarty do magnata, siada za jego stołem i widzi swój uniżony ukłon odpłacony braterskiém powitaniem. Najuboższy szlachcic bawiący w Warszawie, miałby za uchybienie prawidłom dobrego wychowania, gdyby nie nawiedził magnata z jego prowincyi przybyłego, będąc pewnym, że przez niego z uprzejmością zostanie przyjętym, a ten, nie wchodząc bynajmniéj w jego położenie, a jedynie dlatego, że jest jak on szlachcicem, zwykle raz na zawsze zaprosi go do swojego stołu.

Taki jest obyczaj narodu; najdumniejszy magnat nie śmié przeciw niemu wykroczyć, a zaledwo książę starosta przybył do Warszawy, pan Piotr Bołsunowski uprosił swojego pana, żeby mu go przedstawił, i książę zaraz oświadczył, że jego przytomność zawsze mu będzie przyjemną, i żeby się odtąd uważał być jego domownikiem. Jakoż pan Piotr zaczął uczęszczać do naszego pałacu, i zabrał znajomość z należącemi do naszego dworu.

Takim sposobem poznał się z braćmi Niekrasnemi. Mój Kulbida, burzliwy, zuchwały, nie ustępujący kroku żadnemu lachowi, zakuty Rusin, nadto był kozakiem, żeby z razu mógł się mu podobać; ale brat jego, którego już na dworze nazywano panem Niekrasą, zaszczycony szczególném zaufaniem księcia, a nawet za jego staraniem nobilitowany szlachcic polski, na nim głębsze sprawił wrażenie. I to nie mogło być inaczéj. Pan Niekrasa (lubo wielce przywiązany do brata, który ze swojéj strony go miłował i szanował jak ojca, i tylko przez niego dawał się mitygować w swoich zapędach), dał się zupełnie spolaczyć. Rozważny, mało-mówny, myślący, sumienny, pobożny, unikający zgiełku i wszelkiego podejrzanego towarzystwa, jedném słowem, drugi tom pana Piotra; nic więc dziwnego, że najściślejsza przyjaźń wkrótce tych poczciwych ludzi połączyła tak dalece, że jeden dla drugiego odtąd nic nie mieli tajnego.

Z taką czułością i tęsknotą, z jaką książę Oleg pożegnał się z panem Kierdejem, pan Piotr Bołsunowski i pan Niekrasa rozstawali się z sobą, i jak księcia Olega, tak i ich ta tylko pocieszała w smutku nadzieja, że wkrótce złączą się w Paryżu. Pan Bołsunowski powziął dla mnie szacunek nad moje zasługi, i to uważam być dla siebie takim zaszczytem, że z upodobaniem o tém wspominam. Bo przecie coś przema-

wia za takim, który umiał pozyskać szacunek i przyjaźń rzeczywiście cnotliwego męża.

Pojechaliśmy do Paryża w rozmaitych usposobieniach: książę Oleg nie posiadający się z radości, że wkrótce uściska przyjaciela, który go tak wtajemniczy do zabaw Paryża, jak go wtajemniczył do zabaw Warszawy; książę starosta markotny, że jeszcze więcéj się oddala od ulubionéj swojéj Ukrainy; księżna jak zawsze zimna na wszystko, oprócz dla swojego syna. Księżniczka, zwyczajnie jak skromnie wychowana panienka, może w duchu uradowana, że nowy świat zobaczy, ale pokrywająca uczucie swoje, a ja uszczęśliwiony, że ciągle patrzéć mogę na moję księżniczkę.

Stanęliśmy w Paryżu dwudziestego dnia po naszym wyjeździe z Warszawy. Umieliśmy po francuzku wszyscy, wyjąwszy naszych sług, którym musiałem służyć za tłómacza. Teper polecił księcia swojemu korespondentowi bankierowi z Paryża, a ten nas pomieścił w swojéj kamienicy, gdzie nam było trochę za ciasno, ale książę za nic nie chciał mieszkać w oberży, mając to za ubliżenie swojéj godności.

Ledwośmy się w domu roztasowali, a już musieliśmy przyjmować nawiedziny, bo bawiło wtedy w Paryżu kilku panów polskich, i wielu z naszéj młodzieży, a każdy chciał się poznać z księciem, albo odnowić dawną znajomość. Wielce go pocieszyło, że przecie ze swojemi żyć będzie, a pan Kierdej nazajutrz po naszém przybyciu złożył mu swoję attencyą, i po najczulszych powitaniach z młodym księciem zabrał go z sobą, żeby mu dać poznać miasto, i musieli się dobrze bawić, kiedy książę Oleg aż późno nocą powrócił do siebie. Wtedy rządził Francyą, jako opiekun małoletniego króla, książę Orleanu. Była to epoka najwyuzdańszego rozpasania obyczajów, do czego dał hasło książę opiekun, pan mądry, uczony, uraz niepamiętny, uczciwy, ale którego rozpusta żadnych granic nie znała. Za przykładem panującego księcia, dwór i całkowite wyższe towarzystwo poszło skwapliwie, jakby sobie wynagrodzić chciało mus, jakiego doświadczało za panowania nieboszczyka króla, który na starość na wszelkie zgorszenia był nieubłaganym. Obie płci współubiegały się o wyższość w rozwiązłości. Stadła po chrześciańsku żyjące stały się przedmiotem szyderstw dla owoczesnego wielkiego świata; żony łamały wiarę małżeńską często żeby nie okryć się śmiesznością nawet przed własnemi mężami; a że tym wszystkim zdrożnościom, do których natura ludzka aż nadto jest skłonna, towarzyszyły i dowcip, ów płód domorosły we Francyi, i najnadobniejsze formy towarzyskie, Paryż dla człowieka nieugruntowanego w religii, niewytrawionego w surowości zasad, był najprzyjemniejszym, ale razem najniebezpieczniejszym pobytem.

Byliśmy wszyscy przedstawieni u dworu. Książęta, jakby książęta pa-

nującego domu, brali pierwszeństwo, zaraz po książętach krwi Burbonów; ja byłem przyjęty jako szlachcic polski starożytnego domu i przyznano mi prawo jechania w karetach królewskich (*), a nawet na balu dworskim miałem zaszczyt tańcować menueta z hrabiną de Sabran, faworytą księcia władającego Francyą. Damy dworu ogłosiły mnie pierwszym tancerzem w Wersalu, co mi nadało pewien rodzaj wziętości, a razem narobiło mi wielu nieprzyjaciół; a jednak nikomu nie byłem solą w oku. Zatrudniałem się domem księcia starosty; w czasach wolnych starałem się uzupełnić nauką to, co nie dostawało mojemu wychowaniu; codzień prawie chodziłem do ludwisarni wersalskiéj przypatrywać się jak leją armaty, a mój Kulbida uczył się z własnéj ochoty puszkarstwa, i tak zostaliśmy biegli w tych rzemiosłach, że późniéj Kulbida wydoskonalił ręczną ognistą broń na Zaporożu, a ja pierwszą zaprowadziłem ludwisarnię. Miłość skromna a stateczna, chociaż nie podsycona nadzieją, którą czułem dla księżniczki, nie dopuściła mi podzielać rozpusty tych powabnych kawalerów wielkiego świata, z któremi się poznałem; nawet w przyzwoitszych towarzystwach arystokracyi francuzkiéj bywałem nie tak często, żebym aż spowszedniał. Im mniéj byłem do nich skwapliwym, tém więcéj byłem od nich pożądanym, a że zdawałem się być obojętnym na przymilania się do mnie nadobnych dam francuzkich, słynąłem w Paryżu i w Wersalu jako istota osobliwego rodzaju. Książę Orleanu raz mi powiedział na balu dworskim:—Panie kawalerze (**), z jakiego kruszcu jesteś wykuty, że pięknych kobiet nie lubisz? — a te słowa zauważane, były wszędzie powtarzane. Damy przezwały mnie „le beau ténébreux“ i odtąd inaczéj mnie nie nazywano.

Książę Oleg, oddawszy się z ślepém zaufaniem panu Kierdejowi, pod tak godnym przewodnikiem rzucił się w odmęt wszelkich namiętności. Wtajemniczony w rozpustę wielkiego owoczesnego świata francuzkiego, został karciarzem, burdą, bezbożnikiem. Całkowite noce przepędzał w towarzystwie podejrzanych niewiast, lub za stolikiem zieloném suknem pokrytym; przypuszczonym nawet został do nocnych uczt księcia Orleanu, i wkrótce przez jego biesiadników został ogłoszony za najwaleczniejszego bohatera do pokątnych miłostek.

Jeszcze w Warszawie, chociaż był go już rzucił na złą drogę pan Kierdej książę zachował jednak dla mnie przyjaźń. Słuchał przynajmniéj

---

(*) Żeby jechać w karetach królewskich, trzeba było udowodnić dwieście lat szlachectwa.

(**) Szlachcica polskiego, który nie był ani księciem, ani hrabią, nazywano we Francyi kawalerem (chevalier), i słusznie, bo każdy polski szlachcic był członkiem rycerskiego stanu.

cierpliwie moich napomnień, nie unikał mojéj osoby; ale w Paryżu zupełnie dla mnie się odmienił. Zauważyłem, że moje towarzystwo mu ciężyło, że bez widocznego przymusu do mnie się nie przybliżał, że przymilenia dam do mnie, i ta sława wielkiego tancmistrza, jaką mi utworzyły, dały mu uczuć jakieś upokorzenie, jakąś skrytą zawiść, jakieś zarodki nienawiści do mojéj osoby.

Jakkolwiek spadkowo obowiązany byłem jego domowi, będąc szlachcicem, nie mogłem poniżyć się aż do nabiegania się panu, który wyraźnie mnie unikał. Oddalałem się od niego w miarę, w jaką on się odemnie oddalał; w domu nie tylko ja, ale jego rodzice nawet rzadko go widzieli. Zwykle przychodził o ósméj z rana, spał do czwartéj po południu, potém się ubierał i zaraz wychodził do ulubionych towarzystw, i to niemal codzień powtarzał. Ta oziębłość przyjaciela mojego dzieciństwa, z którym wzrosłem, jeżeli z jednéj strony przepełniała moje serce goryczą, z drugiéj dawała mi pociechę, iż nie byłem zmuszony znajdować się w towarzystwie, które nie mogło być dla mnie miłe. Zresztą nie ominąłem się z obowiązkami przyjaciela; odważyłem się ostrzedz księżnę o złém prowadzeniu się księcia Olega, którego skutki dla niego stać się mogą wielce niebezpieczne, jeżeli ona sama zawczasu temu nie zapobiegnie. Tém niczemu nie zaradziłem. Matka, przez słabość dla swojego jedynaka, wszystko mu opowiedziała. Młody książę wpadł w zapamiętałość; oświadczył, że gdzie mnie spotka, tam mnie skrzywdzi, nakoniec powiedział matce, że odważyłem się podnieść oczy na księżniczkę, i że uroiłem sobie, że mogę jéj rękę otrzymać.

Tym sposobem pobudził podejrzenie w umyśle księżnéj matki; ale tak byłem ostrożny, że tylko na podejrzeniu skończyło się. Wszakże moje położenie coraz robiło się draźliwszém; unikałem wszelkiego spotkania z Olegiem, nie tyle lękając się ponieść krzywdę, ile obawiając się jéj następstw. Znałem księcia Olega, że jako potomek świetnego rodu nigdy nie odmówił krwi swojéj dla zmycia krzywdy przez niego zadanéj, i w tym względzie mogłem być spokojny; ale jakże mierzyć się orężem z synem swojego dobroczyńcy? Ta myśl odejmowała mi spokojność; czułem się być rzeczywiście nieszczęśliwym.

Bojaźń, żeby podejrzenia rzucone księżnie przez Olega nie zmieniły się w pewność, zmusiła mnie jak najrzadziéj pokazywać się na pokojach, a przynajmniéj jak najkrócéj w nich bawić. Obiadowałem z księztwem omal że nie codziennie, bo taka była ich wola; dwa razy na tydzień sam na sam z księżną ułatwiałem rachunki domowe. Po obiedzie zaraz wynosiłem się z domu, i więcéj niż wprzódy bywałem na wieczorach, czy u dworu, czy u możnych Francuzów, którzy mnie uprzejmością zaszczycali. Często zdarzało się mi spotkać księcia Olega; lecz aż nadto byłem pewny, że w salonach nie ominie się z prawidłami

grzeczności (*). I w saméj rzeczy, zawsze mnie powitał jako szlachcica, z którym zostaje w stosunkach zażyłości; jednak mogłem wyczytać w jego spojrzeniu, jakkolwiek ułagodzoném, że jego uśmiech jest tylko kłamany, że już utraciłem miejsce, jakie miałem w jego sercu, i że odtąd musiałem go unikać.

Tu przychodzę do jednéj chwili, która była dla mnie najboleśniejszą. Przenieśliśmy się do Wersalu od dni kilkunastu, gdzie książę Orleanu dał nam apartament w zamku. Jednego dnia, gdy wedle mojego zwyczaju obiadowałem za stołem księztwa, wpada szatny księcia starosty zmięszany, i mówi głosem drżącym, że młodego księcia przynieśli na noszach, i że mocno jest ranny. Zrywamy się wszyscy od stołu, biegniem do pokoju księcia Olega. Przebóg! zastajemy go na łóżku; bladość śmiertelna zalegała jego szlachetne lica, mowa mu była odjęta, widać jednak było, że przytomność go nie opuściła, bo w jego gasnącym wzroku można było wyczytać wyraz pełen miłości dla rodziców i siostry. I mnie nawet rękę przyjacielską podał; przybiegł nadworny spowiednik, młody książę podał mu rękę i oczy wzniósł do góry.

Był to ostatni zewnętrzny znak chrześciańskiego żalu, że się tyle obrażało swojego Stwórcę. Kiedy kapłan mu czynił ostatnią posługę, już go władze umysłowe były opuściły; we dwie godziny niespełna po jego przyniesieniu, ów ostatni potomek po mieczu starożytnego a wielce ojczyznie zasłużonego domu był tylko trupem. Słudzy wyprowadzili księcia starego nie bez trudności, a samą księżnę wpół umarłą wynieśli, a ja musiałem, sam niknąc w żalu, zamknąć mu oczy.

Późniéj dowiedzieliśmy się, że w wigilią tego dnia, u jednéj słynnéj z piękności i łatwości obyczajów baletniczki, wieczerzał z współtowarzyszami swoich rozpust. Było tam kilku paniczków francuzkich, nieodstępny od niego przyjaciel pan Kierdej i pan Pociej krajczyc litewski, kawaler takiego sposobu myślenia i takiego prowadzenia jak oni wszyscy. Z tym ostatnim pokłócił się o współzawód do baletniczki. Przyszło między niemi do tak cierpkich wyrazów, że lubo to wszystko odbyło się przy kielichu, honor wymagał krwi. Wyzwali się na szpady; przekonałem się późniéj, że pan Pociej dał powód do

(*) Grzeczność jest jedną z głównych cech obyczajów arystokratycznych. Dziś, jeżeli dwóch poróżni się z sobą, a spotkają się w towarzystwie dam i kawalerów wyższego świata, dąsają się jeden na drugiego, nawet nie ukłonią się sobie, chociaż z ich poróżnienia żadne krwawe następstwo nie wyniknie, a może właśnie dlatego. Dawniéj, jeżeli pokłóceni z sobą znajdywali się przypadkiem w jakiémś towarzystwie, największa ich usilność była obróconą ku temu, żeby nikomu nie dać poznać swojego zwaśnienia; rozmawiali z sobą z największą grzecznością, a nazajutrz była między niemi śmiertelna walka.

kłótni. Nazajutrz młody książę, bijąc się z zapamiętałością, która w niwecz obróciła zręczność z jaką władał orężem, pchnięty został w płuca.

Pan Kierdej był przytomny kłótni, ale tak zręcznie umiał się wywiązać, że nie był świadkiem bitwy. Przyleciał tylko najśpieszniéj do księztwa, żeby podzielać ich smutek, a mając łzy na zawołanie, i opłakując z księżną tak drogą stratę, łatwo umiał pozyskać jéj względy; dotąd etykietalnie tylko bywał u księztwa. Księżniczka Marya jego uwagi nie zdawała się ściągać ku sobie, ale już jéj położenie wcale było inne. Nie była to panna mająca prawo do jakiegoś udziału dostatków ojcowskich, ale jedyna spadkobierczyni majątku Sołomereckich. Jeszcze księcia Olega ciało niezupełnie ostygło, a już pan Kierdej ułożył plan zostania panem ręki jego siostry, i całéj jego ojcowizny, a ten plan wykonał z piekielną zręcznością.

Wbiwszy się w zaufanie księżnéj, od tego zaczął, że jéj niechęć przeciwko mnie wzbudził, wmawiając w nią, że ominąłem się z obowiązkami jakie winienem był mieć dla nieboszczyka jéj syna, gdyż go opuściłem w odmęcie burzliwego świata, w jaki jako młody był się rzucił; że gdybym był jego nieodstępnym towarzyszem w zabawach, jakkolwiek dla mnie niemiłych, samą przewagą jaką miałem nad Olegiem, zapobiegłbym temu nieszczęściu, co aż nadto trafiło do przekonania nieszczęśliwéj matki.

Sam książę był zawsze na mnie łaskaw, po kilkakrotnie mi powtarzał, że uważa mnie być drugim swoim synem. Księżna nie zdołała w nim pobudzić żadnéj skłonności do pana Kierdeja, chociaż ten mu się wielce zasługiwał, tak dalece, że nawet zarywał ukraińskiéj mowy z nim obcując i przytaczał ukraińskie przysłowia; ale cóż go miała zastraszać obojętność łagodnego aż do słabości księcia, kiedy już był pozyskał względy wszechwładnéj jego żony?

Moje położenie przybrało barwę dla mnie nieznośną. Księżna kilkakrotnie dała mi poznać, że moja przytomność jéj cięży, a choć książę rad był zawsze mnie widziéć przy sobie, postanowiłem rozstać się z jego dworem. Książę był zawsze dla mnie łaskawym, a ja do niego byłem przywiązany jak do ojca. Kochałem księżniczkę tém gwałtowniéj, im więcéj usiłowałem to uczucie pokryć przed wszystkiemi, przed nią, przed sobą samym. Boleśnie było rozstawać się z tak drogiemi dla mojego serca istotami, ale honor nie pozwalał mi dłużéj pozostać w domu, gdzie mnie spotykały poniżenia; oświadczyłem księciu, że muszę wrócić do Polski, a więc że z Wersalu przenoszę się do Paryża, aby tam przez dni kilka wybrać się do podróży i ułatwić niektóre sprawunki, dziękując mu, że mnie dotąd podejmował, a prosząc, żeby mi pozwolił złożyć zwierzchność nad jego dworem w inne ręce.

Książę pokazał się dla mnie jakim był w istocie, pełnym serca szcze-

tektorem. Powiedział mi, że za kilka niedziel sam opuści Francyę, i że rad iżbym z nim razem wracał; potrącił nawet o rzecz dla mnie najdotkliwszą, że go opuszczam, kiedy on zostaje w smutku. Ale mogłem zauważyć, że dobry książę był turbowany od żony swojéj z mojego powodu, i że pragnąc nadewszystko pokoju, jako człowiek słaby, dla którego wszelki opór był udręczeniem, po części rad był, że ja sam usuwam mojém wydaleniem się powody do niezgody małżeńskiéj. Przestał więc nalegać, bym od mego postanowienia odstąpił, tyle tylko, że mi powiedział: — Spodziewam się, że waszeć nie zapomnisz sąsiedzkiego Komargrodu, gdzie zawsze będziesz przyjęty jak syn, i że tam będziemy wkrótce żyli z sobą po dawnemu.

Skłoniłem się przed moim dobroczyńcą i ucałowałem jego kolana, a przy tém rozstaniu się łez wstrzymać nie mogłem. Byłem téż i u księżnéj z pożegnaniem; jéj oziębienie dla mnie zdało się nieco ją opuszczać. Kiedy ją prosiłem o niewypuszczenie mnie z łaskawéj pamięci, gdyż na nią zawsze starałem się zasłużyć, ona podała mi rękę, którą ucałowałem z uszanowaniem. Pokazałem się mężnym, gdym żegnał księżniczkę, bo niczém nie zdradziłem mego rozrzewnienia, chociaż jéj zmięszanie było widoczne.

Moim zamiarem było szukać pana Pocieja, by na nim pomścić śmierć przyjaciela, albo zginąć jak on z jego ręki, bo już życie było dla mnie ciężarem. Ale te moje wewnętrzne walki, uczucia, zgryzoty, nie przeszły bezkarnie. Już pierwszego dnia po przeniesieniu się mojém do oberży w Paryżu, uczułem się chorym. Wyszedłem z kwatery do sąsiedniego ogrodu Tuileries, żeby oddychać świeżém powietrzem. Czułem duszność dręczącą; jeden mój znajomy Francuz, którego spotkałem w ogrodzie, przestraszył się bladością mojéj cery, i odprowadził mnie do mojéj oberży; bez jego pomocy do niéjbym nie doszedł. Przybywszy, rzuciłem się w krzesło ledwo przytomny sobie. Poczciwy Francuz jak najśpieszniéj wyszedł, a wkrótce powrócił, przyprowadzając jednego z najzawołańszych lekarzy paryzkich; a tymczasem słabość moja coraz się wzmagała. Lekarz kazał mnie rozebrać, położyć w łóżku, i odtąd najtroskliwsze miał o mnie staranie. Zapadłem na zgniłą gorączkę, która nazajutrz się zdeklarowała.

Kulbidy nie było przy mnie; on był zawadyaką, prawdziwa kozacka natura: oprócz swojego pana nie znał nikogo, i nikomu nie ustąpił kroku. W Wersalu była knajpa, do któréj często chodził, i zawsze w niéj około godziny przesiedział przy kuflu wody zmięszanéj pół na pół z wódką francuzką. Był to jego napój ulubiony. Trzeba było takiego wydarzenia, że laufer faworyt młodego króla, zuchwały i zadufany w swojém położeniu, zaszedł do téjże knajpy. Wszyscy przed nim zdjęli kapelusze, a nawet powstali, jeden Kulbida ani zauważył jego przybycia; nie podobało się Francuzowi, że jakiś biesiadnik w oso-

bliwszym stroju czapki przed nim nie schylił. Przybliżył się do niego, i czapkę mu zrzucił z głowy, Kulbida, poruszony tą zniewagą, kuflem tak ugodził Francuza, że aż mu oko wylazło i całkiem krwią się zalał. Wybić laufra królewskiego, było to w Wersalu évènement. Wpadła policya do knajpy, żeby imać zuchwalca; Kulbida dobył szabli, i rozpędził policyą. Udało mu się przerznąć do naszego mieszkania, zkąd przez wzgląd na księcia, gwałtem nie śmiano go wydobyć.

Już tedy nie było czego siedzieć Kulbidzie we Francyi, gdzieby wcześniéj czy późniéj co najmniéj galer się doczekał. Za pomocą paniczów dworu, z któremiśmy byli zaprzyjaźnieni, wywieziony został za granicę państwa, a ztamtąd dobrze przezemnie zaopatrzony pieniędzmi, dostał się do naszéj Ukrainy, którą wkrótce opuścił, bo nie mogąc się mnie doczekać, że już sam sobie oddany, udał się na Zaporoże, gdzie zaraz przyszedł do niemałego znaczenia, a to z powodu, iż tam założył fabrykę doskonałych strzelb i pistoletów, na któréj dotąd zbywało w Siczy.

Przeleżałem bez jego starań kilkanaście tygodni w walce nieustannéj między życiem a śmiercią. Ale nie byłem bez opieki; książę a nawet księżna dowiedzieli się o moim stanie, a brat mego Kulbidy, pan Niekrasa i pan Piotr Bołsunowski mieli o mnie staranie, jak rodzice o dziecku. Każdą chwilę, którą mogli rozrządzać, mnie poświęcali; z kolei to jeden, to drugi nocowali przy mojém łóżku, chociaż moja słabość była zaraźliwą; im dwom winienem życie. Takie to związki łączą mnie z temi godnemi ludźmi, którzy po dziś dzień zachowują dla mnie stateczną przyjaźń, niemałemi ofiarami z ich strony udowodnioną. Ah! czemuż mi nie dali umrzéć?

Wyszedłem z niebezpieczeństwa: natura, młodość, starania moich dwóch przyjaciół, przewalczyły najstraszniejszą malignę, wedle zeznania mojego lekarza, jaką kiedykolwiek leczył. — Przychodziłem już powoli do zdrowia, kiedy pan Bołsunowski przyszedł mnie pożegnać, gdyż nazajutrz z swoim panem miał powracać do Polski, a wkrótce potém i pan Niekrasa z doniesieniem, że za dni kilka księztwo z swoim dworem opuszczają Francyę, i prosto udają się na Ukrainę, z ciałem zabalsamowaném księcia Olega, żeby go złożyć w Dermuniu na Wołyniu w grobie jego przodków; że nawet Warszawę ominąć chcieli, i prosto na Lwów wracać do Komargrodu. Jeszcze nie miałem dość siły, by wyjść z mojéj izby; co mnie najwięcéj rozczuliło, to, że sam książę starosta nawiedził mnie w wigilię swojego odjazdu. Zapytał, czy nie potrzebuję pieniędzy, których gotów mi udzielić i powiedział: — Mój Józiu! masz majątek w mojém sąsiedztwie; jak do niego przybędziesz, będziemy w Komargrodzie żyli z sobą po dawnemu.

Na pieniądzach mi nie zbywało, bo lubo nie byłem magnatem, byłem rządnym, a nawet jak na szlachcica bogatym. Podziękowałem

więc za jego ofiarę, ale ostatnie jego zaproszenie uśmiechało mi się; puściłem wodze jakimś nadziejom, bo chociaż byłem świadomy i uprzedzeń, jakie księżna miała przeciwko mnie, i jéj nieumiarkowanéj dumy, a z drugiéj strony aż nadto mogłem być przekonany, że pan Kierdej zaleca się młodéj księżniczce, pomyślałem sobie: — Kto wié? Niepodobniejsze rzeczy, niż połączenie szlachcica z córką magnata zdarzają się na świecie; księżniczka nie jest dla mnie obojętną, a pana Kierdeja nie może kochać; jestem młody, mam szacunek między ludźmi; dlaczegożbym nie miał czegoś dobrego oczekiwać od czasu?— Takim sposobem sam się odurzałem w mojéj szalonéj miłości, któréj smutnych następstw przewidywać nie umiałem.

Zostałem więc osamotniony w Paryżu, bo moi dwaj przyjaciele odjechali; a lubo często byłem nawiedzany podczas powolnego mego powrotu do zdrowia przez znajomych mi Francuzów, oni pod żadnym względem zastąpić nie mogli tych prawdziwych przyjaciół. Moje serce było napełnione uczuciem jakie w niém wznieciła księżniczka; jednak jeszcze w niém pozostało miejsce dla tęsknoty, jakiéj doświadczałem z niebytności Kulbidy; bo, co jedynie w Polsce widziéć można, w słudze miałem rzeczywistego przyjaciela, a téj naszéj przyjaźni w niczém nie wątliły stosunki, jakie istnieją między rozkazującym panem, a posłusznym sługą.

Dowiedziałem się, że pan Pociej wkrótce po swoim nieszczęśliwym dla domu Sołomereckich pojedynku opuścił Francyą, i że znajdować się musiał w Warszawie. Pałałem zawsze chęcią szukania go, by z niego uczynić błagalną ofiarę domowi, który miał tyle praw do mojéj wdzięczności; ale musiałem jeszcze pokrzepić moje siły po długiéj konwalescencyi i za radą mojego lekarza udałem się do cieplic Bareżskich w Pirenejskich górach. Tam, po kilkunasto-tygodniowym pobycie, wróciłem do pełności pierwotnego stanu zdrowia. Francya dla mnie żadnego powabu miéć nie mogła, a tylko smutne przypomnienia we mnie zostawiła. Opuściłem ją tak śpiesznie, że nawet ominąłem Paryż, i na Szwajcaryą i Wiedeń skierowałem mój powrót do Warszawy.

Trafiłem do niéj w porze zajmującéj wszystkich, sejm albowiem wtedy się agitował. Ze wszystkich części rzeczypospolitéj przybywali senatorowie i posły. Dwór Wersalski nie zdał mi się tak okazałym, jak wtedy dwór naszego króla. We dnie i w nocy toczyły się panów karety po wszystkich niemal ulicach Warszawy, a wszystkie były glejtowane pocztami zbrojnemi szlachty. Przepych uczt i balów był niewypowiedziany, a do nich dawał przykład król, dlatego że przekładał Warszawę nad rodzinne Drezno, gdzie między oszczędnemi Sasami nie mógł się oddać zbytkom, które go otaczały w stolicy polskiéj. Świat wielki niewiele mi smakował; w mojém wówczas poło-

żeniu milsze mi było osamotnienie, niż jego huczne zabawy. Jednak nawiedzałem panów z mojéj prowincyi przybyłych i kilka domów miejscowych, z któremi miałem zaszczyt się poznać podczas ostatniego mojego pobytu w Warszawie, a które taką samą jak wprzódy uprzejmość mi okazywały.

Nigdzie nie zdarzyło mi się spotkać z panem Pociejem; dowiedziałem się, że był wyjechał na wieś do jednéj krewnéj w okolicach Warszawy, ale że codzień jest spodziewany z powrotem. Jeden z trzepietarzy wielkiego świata, z którym miałem znajomość, o tém mi donosząc, dodał: — On musi wkrótce do nas wrócić, jeżeli nie zechce zamorzyć tęsknotą swojéj przyjaciółki, prześlicznéj baletniczki, którą wywiózł z Paryża, a dla któréj zabił ścisłego przyjaciela, młodego księcia Sołomereckiego. — Zadrżałem pomimowolnie na te słowa, i postanowiłem czekać na pana Pocieja w Warszawie.

Od mojego przybycia do Warszawy, codzień około południa chodziłem do sali fechtunków, aby się pobawić floretem. Była to agitacya nader potrzebna dla mojego zdrowia. Fechtowałem się z różnemi bez przymusu, bo jedynie dla ruchliwości orzeźwiającéj członki, a nie w chęci popisywania się; niczém więc szczególném nie odznaczałem się od innych, tyle tylko o mnie mówiono, że się biję dobrze, ale żaden z tych, co się mierzył zemną, nie miał mnie za mistrza pierwszéj siły. O pana Pocieja fechtowaniu wszyscy mówili, jak o ósmym cudzie świata, a jego sława tém więcéj wzrastała, że sala fechtunków co rano była pełna szermierzów i widzów.

Razu jednego, gdy wedle mojego zwyczaju przybyłem na fechty, właśnie kiedy fechtowałem się z samym fechtmistrzem, usłyszałem okrzyki powitania. Obróciłem się ku tym głosom i ujrzałem wchodzącego pana Pocieja, który wkrótce otoczonym został, bo każdy chciał się popisać ścisłą z nim znajomością. Ja fechtować się przestałem; oddałem floret mistrzowi, i usiadłem między widzami. Po odbyciu powitań, po tych wszystkich pochwałach, które przyjmował z zaniedbaniem tryumfatora, przybliżył się do mistrza, który mu przedstawił podróżującego Włocha, jakiegoś margrabiego neapolitańskiego, wielkiego amatora fechtunku, a który tyle słyszał o doskonałości w téj sztuce pana Pocieja, w czasie kiedy sam znajdował się w Paryżu, że miałby sobie za szczęście i poznać go, i z nim się próbować. Po ich poznaniu się z sobą i wypowiedzeniu sobie nawzajem tych grzeczności, jakie są w użyciu kawalerów wielkiego świata, kiedy zabierają z sobą znajomość, mistrz im podał floręty i zaczęli się niemi bawić. Obadwaj byli pierwszéj siły, więc walka przedłużała się z wielką przyjemnością dla widzów; nakoniec pan Pociej zręcznym obrotem, którym się niby odkrył, sparował przeciwnika uderzeniem i pchnął go w pierś.

Wszyscy przytomni, mistrz i sam margrabia przyznali, że cios byłby śmiertelny, a pan Pociej, obracając mowę do margrabiego, rzekł: — Tego ciosu nauczyłem się w ojczyznie waćpana, od sławnego Rozario Urso. Kto z nim jest obeznany, omal że nie jest pewny zwycięztwa; używam go, kiedy biję się na ostre. Udało mi się tym ciosem wyprawić na tamten świat hrabiego de Lixen, ulubionego dworzanina księcia Orleańskiego, a późniéj kniazia Sołomereckiego. Z tym ostatnim żyłem w pewnym rodzaju przyjaźni, jak zwyczajnie rodak z rodakiem za granicą; było to dziecko zepsute przez swoją matkę, która i sama widziała i wmówiła w niego wszystkie doskonałości, a była z niego istna karykatura, bo to szorstki Rusin, otynkowany francuzczyzną. Często wyzywał mnie na floretу; trzeba wiedziéć, że miał się za mistrza pierwszego rzędu. Ja go nie zbijałem z téj opinii o sobie; broń Boże! miałem wielką zabawę, dając się pobić przez niego; owóż tedy panicz zaczął się palić do ślicznéj Koralii, tancerki, którą późniéj wywiozłem z Paryża, a która teraz upiększa mój pobyt w Warszawie. Na jego nieszczęście stanąłem mu na zawadzie; zacięty Rusin tego znieść nie mógł, i wyzwał mnie na szpady. Dotąd nie przypominam sobie téj potyczki bez śmiechu; bałwanowi zdawało się, że na ostre sprawi się jak na florety. Z pierwszego zakładu poznałem, że go mam w ręku; ale że chciałem prędko skończyć, więc użyłem tego samego obrotu, coś go dopiéro doświadczył, mości margrabio, i już było po nim. — To rzekłszy, śmiać się zaczął i wszyscy jego przyjaciele mu wtórzyli.

Tego urągania już było zanadto dla mnie; nie posiadałem się ze złości, i odezwałem się:

— Trzeba być nikczemnikiem, aby zabiwszy takiego, z którym się żyło w przyjaźni, jeszcze urągać ze swojéj ofiary.

Ta moja wycieczka wszystkich zadziwiła, bo nikomu przez myśl nie przeszło, aby kto mógł szukać zaczepki z panem Pociejem. Ten zmierzył mnie dumnym i zagniewanym wzrokiem od stóp do głowy, i rzekł:

— Do kogo to waść mówisz?

— A do nikogo innego tylko do waści.

Wszyscy około nas milczeli. Pan Pociej zbladł ze złości, usta mu się trzęsły.

— A tak jest — odrzekł — przypominam sobie, że waćpana widziałem w Paryżu i Wersalu; zdaje mi się, że wtedy służyłeś we dworze Sołomereckiego.

— Czy służyłem, czy nie służyłem, to do waćpana nie należy; nazywam się Skoropacki, i jestem tak dobrym szlachcicem jak waćpan.

— O czém wątpi Kościół Boży — dodał z szyderczym uśmiechem.

— O tém jutro waćpan wątpić nie będziesz, bo że mówię prawdę,

moja szpada o tém go przekona. Czy waćpan masz dość serca, aby przyjąć moje wyzwanie? Czekam jego odpowiedzi.

— Waćpanu równości z sobą pod żadnym względem nie przyznaję, ale mniejsza z tém; widziałem waćpana kilka razy u rodziców nieboszczyka Olega, przypominam sobie nawet, że z waćpanem siedziałem u obiadu za ich stołem, a kto z kim siedział za stołem, może się z nim bić, nie wchodząc w różnicę urodzenia. Zresztą, nie jest-to w moim obyczaju odmówić komukolwiek, kto żąda mierzyć się zemną; nie pozostaje mi jak tylko go zapytać, gdzie i kiedy mam mu służyć?

— Jutro o samém południu będę miał zaszczyt czekać na pana w oberży pod Bażantem za Wolskiemi rogatkami. Tam będę miał wszystko, co mi będzie potrzeba do naszego tłómaczenia i tam się umówimy.

— Zgoda, do jutrzejszego południa. Chciałbym módz wszystkie moje długi z taką łatwością płacić, jak długi honorowe. Zaręczam panu, że mnie czekać nie będziesz.

To powiedziawszy, obrócił się z uśmiechem do otaczających go kawalerów i dodał:

— Jest w zwyczaju, że w podobnych sprawach, jaka mnie teraz spotkała, dla każdéj strony jeden świadek jest niezbędny; między wami wyboru niepodobna mi uczynić, bo wszystkich was zarówno szacuję i kocham. Pozwólcie więc, aby los tu mnie zastąpił.

Wyjął chustkę z kieszeni, w niéj zrobił węzełek, kilka innych chustek dostał od przyjaciół, wszystkie razem końce połączone podał do ciągnienia téj młodzieży. Węzełek dostał się panu Cetnerowi, staroścícowi przemyślskiemu, mało co mniéj słynnemu od pana Pocieja w fechmistrzostwie.

A ja odezwałem się do koła: — Wiem, że żaden z panów nie radby stanąć z mojéj strony przeciw panu Pociejowi, a więc za złe mi nie weźmie, że uproszę tego margrabiego włoskiego, który podziela nasze zabawy: — i zaraz przemówiłem do niego w języku francuzkim, prosząc go, aby mi téj posługi nie odmówił.

Margrabia przyjął uprzejmie moję odezwę, i poszedł na stronę z panem Cetnerem, zapewne dla umówienia się o czas, miejsce i warunki pojedynku.

Nazajutrz o jedenastéj z rana już byłem z margrabią nie pod Bażantem, ale w Pruszkowie na trakcie do Łowicza, a to z dwóch powodów: raz że przed Pruszkowem kończyła się rozciągłość juryzdykcyi marszałkowskiéj; powtóre aby stropić natrętnych widzów, którzy myśląc, że mamy się zjechać pod Bażantem, tam będą nas szukać, podczas kiedy my rozprawimy się w Pruszkowie.

Czekaliśmy niedługo w austeryi pruszkowskiéj; wkrótce po nas przybyli pan Pociej z panem Cetnerem. Powitaliśmy ich z największą

uprzejmością; oni nawzajem nie dali się zwyciężyć grzecznością. Po zamianie kilku okresów, sekundanci oświadczyli nam, że już pora iść z niemi. Pan Cetner wziął pod rękę margrabiego, a ja zaproszony zostałem przez pana Pocieja, żeby za niemi pójść obok niego. Gdyby kto nas spotkał, nigdyby się nie domyślił, że idziemy na śmiertelną z sobą walkę.

Wybrano nam miejsce w ogrodzie jednego włościanina. Ogród był otoczony wierzbami, chroniącemi od promieni słonecznych; kiedyśmy stanęli, zrzuciliśmy z siebie wierzchnie suknie, świadkowie na krzyż złożyli swoje szpady, a my dobyli nasze. Od tego zaczęliśmy, że jeden drugiego na znak szacunku salutował szpadą, toż i naszych świadków; wspominam o grzeczności, nic nie powiem o odwadze, bo ta jest aż nadto pospolitą w polskim narodzie. Bitwa trwała około dziesięciu minut; nakoniec pan Pociej dotknął mnie lekko w pierś, ale w téjże chwili utopiłem moją szpadę w jego boku, w same krzyże. Pan Pociej upuścił szpadę, zaczął się słaniać, powiedział tylko: — Mój Boże, zmiłuj się nademną! — i padł bez duszy.

Opuściłem jak najśpieszniéj pobojowisko z margrabią, i wróciłem do Warszawy do mojego pomieszkania. Rzuciłem się w krzesło i na próżno na niém szukałem spoczynku. Jeszcze nie byłem zaprawiony w przelewie krwi bliźnich, a choć wszystko się odbyło wedle praw i sprawiedliwości téj szlacheckiéj zasady, którą nazywają honorem, chociaż nie byłem kierowany zemstą osobistą, ale jedynie uczuciem przyjaźni dla nieboszczyka Olega, i wdzięczności dla jego ojca, uczułem coś podobnego do zgryzot sumienia. Biada temu, na którym krew ludzka cięży, taki nigdy spokojnym być nie może; szczęśliwy, jeżeli pierwsze mężobójstwo przez niego wykonane, wcześniéj czy późniéj innych mężobójstw nie wywoła.

Przez kilka dni nie pokazywałem się w mieście. Z rana, kiedy wszyscy byli jeszcze pogrążeni we śnie, chodziłem na przechadzkę do Powązek, bo wiedziałem, że o téj porze nikogo tam nie spotkam. Obiadowałem odtąd u siebie i już nie wychodziłem z kwatery. Jednego wieczora wpada do mnie pan Cetner i mówi: — Panie Skoropacki, powziąłem dla pana wysoki szacunek, i wszędzie przynoszę mu świadectwo, żeś postąpił w tym nieszczęśliwym dla domu Pociejów pojedynku, jak człowiek uczciwy. Winienem więc ostrzedz, że już skarga na niego podana królowi i marszałkowi wielkiemu koronnemu przez krewnych nieboszczyka Pocieja; co tylko jest zacnego i znacznego w Warszawie, jest w powinowactwie z jego domem. Zabierają się pana schwycić, zamknąć w ciemnicy zamku jakiegoś magnata, a tymczasem sprawa zaocznie będzie osądzona; nawet przewidziano, że będziesz się starał ratować ucieczką. Dowiedziałem się z pewnością, że jutro mają rozesłać siepaczy swoich po różnych gościńcach, aby

pana na wypadek jego ucieczki dostać. Pan więc nie masz ani chwili do stracenia; moja rada, żebyś jak najśpieszniéj udał się za granicę, i tam przeczekał, aż te pierwsze wrażenia przeminą. Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, mam przy sobie dwieście czerwonych złotych, które ośmielam się panu ofiarować, a które mi wrócisz, jak się kiedy spotkamy z sobą.

Pieniędzy nie przyjąłem, tém mniéj, że miałem ich podostatkiem, ale z rozczuleniem podziękowałem mu za tę jego uczynność, na jaką nie zasłużyłem, a jeszcze więcéj za przestrogę, jaką mi udzielił. Postanowiłem uciekać na Wołoszczyznę, właśnie dlatego, że w niéj mój pobyt najłatwiéj mógł być ukryty, i że najbliżéj będę moich stron rodzinnych. Nie tracąc czasu, skoro tylko pan Cetner wyszedł, zaraz wziąłem się do wykonania mojego planu.

Jeszcze sklepy nie były pozamykane; wyszedłem więc na ulicę okryty szerokim płaszczem, kupiłem opończę szlachecką, czapkę, buty jałowicze, trzos i perukę. To wszystko zabrałem w dryndę, którą spotkałem na ulicy, i kazałem się zawieźć do siebie. Wszystko com nabył włożyłem pod płaszcz i odprawiłem dryndę. Przyszedłszy do siebie, kazałem się rozebrać, i zaraz wziąłem się do przebrania; sam ostrzygłem moją fryzurę, nałożyłem na głowę gładką perukę, kilkaset czerwonych złotych które miałem, wpakowałem w trzos, wziąłem na siebie opończę, i opuściłem kwaterę tak zgrabnie, że moi ludzie tego nie spostrzegli. Piechotą przez Jerozolimskie rogatki dostałem się do pierwszéj wsi, tam zaszedłem do karczmy, obudziłem żyda, i za cenę jakiéj sam zażądał, nająłem wózek parokonny do Radomia. Tam odmieniłem mój ekwipaż, i nieco porządniejszą bryką dojechałem do Lwowa, gdzie tylko jednę dobę się zatrzymałem, a ztamtąd przez Tyszmieniec i Czerniowce dojechałem do Jass, celu mojéj podróży, gdzie i osiadłem.

Będąc zbliżonym do kraju, w którym leżała moja ojcowizna, nietrudno mi było wejść z nim w stosunki, i już mogłem ułatwiać moje pieniężne interesa. Pan Niekrasa, brat mojego Kulbidy, zawsze w Komargrodzie mieszkający, zawsze ulubiony sługa księcia Sołomereckiego, podjął się miéć oko nad moim majątkiem. Przyznałem mu do tego moc w Jassach, i odtąd mi dosélał moje dochody zawsze przez umyślnych posłańców, a co mnie jeszcze więcéj obchodziło, niż pieniądze mi dosélane i moje wiejskie gospodarstwo, donosił mi o Komargrodzie i jego mieszkańcach.

Doświadczyłem na mojém wygnaniu jednéj wielkiéj pociechy, a ta mi przydała sił do wytrzymania pocisków, które znosić musiałem. Były częste stosunki między Siczą a Wołoszczyzną. Mnóstwo prymaków zaporożskich było w niéj osiedlonych, a że od czasu zawartego przymierza między cesarzem Piotrem a królem Augustem, zwłaszcza po zupełnéj porażce Szwedów pod Połtawą, Zaporożce już większe

uszanowanie mieli dla granic Rzeczypospolitéj, i rzadko kiedy zbrojnie je przekraczali, o tyle częściéj napadali przez stepy Hauskie na Wołoszczyznę, zabierali trzody mieszkańcom, zmuszali miasta do opłacania im haraczu dla uwolnienia się od napadu, nakładali podatki na ekonomie tamecznych bojarów, jedném słowem, obywatele zwłaszcza Mołdawii, nie wiedzieli kogo więcéj mają słuchać: czy swojego hospodara, czy naczelników oddziałów zaporożskich, które ich nawiedzały. A ten stan rzeczy trwa dotąd w téj żyznéj i bogatéj prowincyi.

Jednego wieczora, kiedy wedle mojego zwyczaju, siedziałem u siebie, pogrążony w smutku i tęsknocie za moim rodzinnym krajem, którego byłem tak blizko, a w którym żyć nie było mi wolno; do tego w mojém odosobnieniu nie mając przyjaciela, w którego łono mógłbym przelewać moje zgryzoty, by w jego współczuciu znaléźć dla siebie ulgę, raptem drzwi się otwierają i wpada jakiś człowiek, ubrany jak Ruski markietan. Wpatruję się w niego, poznaję mego najdroższego Kulbidę; takie było nazwisko, które mu dali na Siczy. On chciał mi paść do nóg, ale ja go chwyciłem w moje objęcia; czas jakiś nie mogliśmy się odplątać, tak czułe było nasze przywitanie.

Ten godny człowiek, ten prawdziwy przyjaciel, już był uzyskał wysokie położenie w Zaporożu, bo mu dał to, czego mu dotąd nie dostawało, to jest możność mienia własnéj broni jednego kalibru. W arsenale Siczy przed nim był zbiór broni różnego rodzaju, tak że każdy musiał oddzielnie robić sobie ładunki, które już dla drugiego nie były zdatne. On założył zbrojownię, z dowcipniejszych i pojętniejszych kozaków utworzył puszkarzy, i urządził ogólną fabrykę ładunków, co mu zapewniło nadzwyczajną wziętość w bitnym narodzie. Dodać należy, że opuszczał często swoją rękodzielnię, żeby uczestniczyć w wyprawach wojennych swoich towarzyszy, i w nich zawsze się wsławiał cudami waleczności jako żołnierz, i roztropnością w prowadzeniu oddziałów jemu powierzonych. To wysoką dało mu miłość ludu i taką ufność koszowego, że nic bez jego rady nie robiło się na Zaporożu.

Pomimo okrucieństw, jakich się często musiał dopuszczać w tym swoim wojennym zawodzie, gdzie Zaporożec schwytany żadnego przebaczenia oczekiwać nie może, tak dalece, że okrucieństwo jest poniekąd jedynym warunkiem jego ocalenia, Kulbida zachował, że tak powiem, dziewiczą czułość i prostotę serca. Kto raczéj rozważył jego powolność dla starszego brata, jego troskliwość o los jego córki, świętość z jaką się udziela dla nieszczęśliwych, ten łatwo o tém się przekona. On nie marnował czasu nad wyrobieniem zasad mających go kierować w życiu; być może, że nad tém nigdy się ani jednéj chwili nie zastanowił. Jest to człowiek uczucia a nie myśli; każde jego działanie jest samorzutne, i ta samorzutność objawia się w czynach tak wzniosłych,

tak szlachetnych, że nigdy rozwaga, ani ukształcenie myśli na podobne się nie zdobędzie (*).

Ale najsilniejszém jego uczuciem, jest niezawodnie jego przywiązanie do mnie. Przekonany jestem, że bez wahania się, nawet z radością, życiem swojém opłaciłby, nie powiem moje życie, ale kilka chwil głębokiego zmartwienia; on żyje tylko dla mnie: rozstanie się zemną byłoby dla niego rzeczą do nie przeniesienia. Przekonany jestem, że jeżeli umrę przed nim, on tego ciosu nie wytrzyma, i pójdzie mnie szukać na tamtym świecie, gdyż ten wszelki powab dla niego utraci.

Na cóż mam opisywać jego tłómaczenie się przedemą z wszelkich przygód, przez jakie przechodził, od chwili, w któréj potajemnie opuścić musiał Francyę, aż do téj, w któréj z łaski Boga mógł się znowu złączyć zemną? Wolę jemu samemu zostawić to opowiadanie, i dosłownie przytoczę je tak, jak z ust jego wyszło:

— Pan jeszcze zostałeś u Francuzów z kniaziem starostą i jego rodziną, a ja pokutować musiałem za tego utrapionego laufra, który sam ze mną zaczepki szukał, a potém na mnie tak straszną nagromadził burzę, że gdybym nie był uciekł, byłbym ze wszystkiém zgubiony; ale niewiele na téj ucieczce zyskałem, bo tęskno mi było nawet na Ukrainie bez pana. Próbowałem siedziéć na naszym futorze pod Skoropatami. Jest o co zaczepić ręce, bo i liczna pasieka, i bydła i koni dosyć, ale człowiek w smutku do gospodarstwa wziąć się ani chciał, ani umiał; ani poryk bydła, ani rżenie koni mnie nie bawiły; milszy mi był smętny głos kukułki, bo więcéj odpowiedni mojéj tęsknocie. Chata ojcowska mi obrzydła. Co wart kozak, który nie ma komu być posłusznym? Zacząłem hulać po jarmarkach, raz w Barze, raz w Czeczelniku, często w Hulajpolu lub Kalnibłotach, byle w domu nie siedziéć. Człowiek z tęsknoty został złośnikiem, opryskliwym, kłótnikiem; szukałem zaczepki z Lachami, nieraz udało się skrwawić pancernika. Do czasu dzban wodę nosi; raz, drugi, trzeci poszedł na sucho, nakoniec wzięto się do mnie, i może gniłbym do dziś dnia w turmie, gdybym nie uciekł na Zaporoże. Tam mnie przyjęto ni siako ni tako, tyle tylko, że mnie przynajmniéj wzięto na próbę; ale jak zobaczyli, że nie ma czego mnie uczyć, bo co oni wiedzą, to i ja umiem, a może lepiéj od nich, a jak jeszcze im pokazałem parę pistoletów mojéj roboty, a drugie takie w ich oczach zrobiłem dla koszowego, to mnie wszyscy na rękach nosili.

Próbowali oni mnie i na wojnie z Krymskimi Tatarami i tam

(*) Myśliciele, filozofowie, są zwykle najwięksi tchórze na świecie, i to nie może być inaczéj, gdyż odwaga jest przymiotem samorzutnym, a rozwaga niszczy wszelki zarodek samorzutności.

widzieli, że nie za piecem się wychowałem; ale kiedy im wyuczyłem tuzin mołojców, tak że każdy z nich jako puszkarz mógłby dziś wygodny chléb jeść choćby w Warszawie, i założyłem im fabrykę broni, o jakiéj wprzódy ani słychać było na Zaporożu, choć i dwóch lat jeszcze z niemi nie wysłużyłem, zrobiono mnie atamanem. Cała Sicz tego się dopominała.

Ale co mi było potém, kiedy nie widziałem mojego pana. Doszła do mnie wieść, żeś pan po kawalersku zabił pana Pocieja, i że za to zagrożony gardłową sprawą, wyjechałeś potajemnie z Warszawy; ale dokąd się dostałeś, o tém nie było sposobu się dowiedziéć, chociaż familia pana Pocieja gorliwie się wzięła do szukania pana. Aż tu w jednym z naszych kurzeni, przychodzą podwody czumackie, udające się do Krymu po rybę soloną; czumaki byli z okolic Komargrodu. Przybliżam się do nich z językiem; jeden z nich już stary, wpatruje się wemnie, ja w niego: poznajemy się, był to Ułas Zacharczenko z naszych Skoropatów, bogaty czumak, a mojego ojca kum, do tego jest on naszym prymakiem.

Dopiéro od niego dowiedziałem się, że pan mieszkasz w Jassach, i że mój brat ma oko na jego gospodarstwo, i z nim często się znosi przez umyślnych posłańców, którzy od jednego do drugiego listy przywożą. Jakem się dowiedział, że pan ani za górami, ani za morzami, ale tam gościsz, gdzie za dni trzy można się dostać, tak we mnie wzbudziła się chęć oglądania pana, że ani jeść do syta, ani smacznie zasnąć nie mogłem. Opanowała mnie zupełna tęsknota; chodziłem ze smutkiem jakby odurzony, i byłbym w niwecz się obrócił; ale nasz koszowy, człowiek wielkiéj roztropności, zobaczył żem zmizerniał, że chodzę jak nieswój, i że jak temu nie zaradzi się zawczasu, nikt ze mnie pociechy miéć nie będzie.

Koszowy ma dla mnie serce, gdyż całe Zaporoże wié o moich zasługach. Upoważnił mnie, żebym mu opowiedział, co téż mnie może ku ziemi kurczyć, a ja otworzyłem przed nim wszystkie tajniki mojéj duszy, i skończyłem temi słowy: — Mój pan jest nieszczęśliwy, potrzebuje pociechy, a któż mu ją przyniesie, jeżeli nie brat mleczny, bo on innych krewnych nie ma. Niech pan mnie puści do niego, i niech mu się zdaje, że ja przepadł, a Bóg da, że kiedyś powrócę do Siczy. A jak mnie pan nie puści, ja nie ucieknę, bom ziemię jadł przysięgając wam posłuszeństwo, ale pójdę tam pomimowolnie, zkąd już nie powrócę aż na ostatni sąd, bo mojéj tęsknoty nie wytrzymam.

Koszowy poznał że mam słuszność. Jednak nie dowierzając sobie, zebrał radę. Nasza starszyzna jednogłośnie mu oświadczyła, że najstraszniejsza choroba dla kozaka jest tęsknota, że lepiéj mnie puścić z nadzieją mego powrotu, niż doczekać się, że mnie w mogile zasypią; a że nadto wielkie zasługi mam na Siczy, żeby mi nie dogadzano.

I tak otrzymałem pozwolenie wydalenia się, gdzie i dopóki mi się podoba, z zachowaniem mojego stopnia atamańskiego, jakbym czynnie spełniał jego obowiązki, a do których każdego czasu mam prawo powrócić.

Udałem się prosto na Wołoszczyznę, a że mamy tu mnóstwo naszych prymaków, dopytałem się o pana, któremu przynoszę moje usługi; a jeżeli pan niemi pogardzi, Prut nie najdaléj od Jass.

Łzy moje były jedyną odpowiedzią, i on ją zrozumiał.

Wkrótce przekonałem się, że Opatrzność mną się opiekująca wyraźnie go zaprowadziła do mnie, bo nie upłynęło kilka dni, a otrzymałem taką wiadomość, że gdyby nie starania i pociechy Kulbidy, życiebym sobie odebrał. Przybył do Jass posłaniec z listem od pana Niekrasy, a przy nim i kilka tysięcy, które mu z przychodów moich udało się zebrać. Donosił mi, że lubo pan Kierdej uczęszczał do Komargrodu i zalecał się księżniczce, jéj wstręt ku niemu, jako i zimne przyjęcie księcia, nic pomyślnego nie pozwalały mu wróżyć, ale wsparcie księżnéj, wszelkie przeciwności przemogło. Przy powszechném sług i przyjaciół zadziwieniu, cały dwór zaproszony został do kaplicy, gdzie ksiądz, po odczytaniu indultu, rozpoczął obrzęd małżeństwa między panem Kierdejem a księżniczką starościanką. Wszystko to było jakby uderzenie piorunu: książę był smutny, księżniczka omal że nie obłąkana, słudzy łzami zalani, jedna tylko księżna i pan młody byli weseli, a we trzy dni potém, pomimo nalegań księcia, a nawet saméj księżnéj, państwo Kierdejowie wyjechali do Warszawy.

Wszystko więc było skończone dla mnie. Ten cios poniosłem na pozór spokojnie, ale walki wewnętrzne, które się toczyły we mnie, jeżeli nie zniszczyły mego zdrowia, znacznie wpłynęły na mój charakter. Zdradzony od losu i ludzi, dusza moja na złe się przekształciła, stwardniało serce, łzy cierpiących ludzi, nie tak silnie jak wprzódy, pobudzały moje współczucie, już miałem rzucone nasiona okrucieństwa, mściwości, wzgardy dla bliźnich, a te nasiona wypiastowane długiém pasmem nieszczęśliwych okoliczności, wybujały nakoniec w nędznym żywocie moim.

Przez kilka niedziel nie wychodziłem z mojego mieszkania, i jeden tylko Kulbida miał do mnie przystęp. Po pierwszym peryodzie smutku, zawsze najtrudniejszym do wytrzymania, nie tylko że czułem się być spokojniejszym, ale nawet powziąłem postanowienie na zawsze zerwać z całą płcią niewieścią. Zresztą nie wiedziałem co z sobą zrobić; ojczyzna była dla mnie zamknięta, bo już byli mi donieśli o wyroku zaocznym zapadłym w sądach marszałkowskich, wskazującym mnie na banicyę, z powodu jakobym w przestrzeni ulegléj jego juryzdykcyi, bez względu na blizkość majestatu królewskiego, zabił pana Pocieja ze wzgardą praw kościelnych i świeckich Rzeczypospolitéj naszéj słu-

żących. Zwyczajnie zaoczny dekret, oparty na prawdzie z fałszem pospołu, bo jużci Pruszków nie był w obrębach juryzdykcyj marszałkowskich. Tymczasem familia nieboszczyka Pocieja była tak silną, a tak przeciwko mnie forsowała, że nie było sposobu wyłamać się z pod tego dekretu.

Czasem przychodziło mi do myśli udać się do Carogrodu, tam się zbisurmanić, potém wejść w służbę wielkiego Padyszacha i nasługiwać jego potędze; znowu przez jakąś sprzeczność, brała mnie chętka zostania zakonnikiem, czercem, choćby pustelnikiem, żeby przed czasem opuścić ten świat, od którego byłem odczarowany. Nakoniec stanęło na tém, że uprojektowałem udać się do moich krewnych Skoropackich rossyjskich, i przez nich umieścić się w służbie carskiéj, gdzie cudzoziemcy z otwartemi ramionami byli przyjmowani, ale wprzódy chciałem objechać państwo tureckie.

Wszystko przygotowałem do mojéj podróży, kiedy poczciwy Niekrasa wyprawił do mnie nowego posłańca z pismem, oraz listem żelaznym królewskim, wyjednanym mi przez księcia starostę, a który mi pozwalał wrócić do mojéj ojcowizny. Ten nowy dowód łaski księcia Dymitra wielce mnie rozczulił; wszystkie moje projekta upadły, i nazajutrz z moim Kulbidą już byłem na gościńcu Kamienieckim.

Nigdzie się nie zatrzymując, przybyłem do moich Skoropatów, gdzie mnie słudzy i wieśniacy przyjęli nie tyle jak pana, ale jak swego ojca. Wszystko znalazłem w najlepszym stanie, bo moi poddani mojego dobra pilnowali. Kilka dni z niemi przebyłem, a potém pojechałem do majątków, które dzierżyłem prawem dożywotniém blizko Komargrodu. W nich znalazłem powtórzenie tego co mnie spotkało w Skoropatach; i tam lud był do mnie przywiązany, bo nie był ani przez mego ojca, ani przezemnie obciążony pracą. Woleliśmy miéć mniéj w przychodach, a więcéj w miłości ludzkiéj.

Byłem tylko o pół mili od Komargrodu. Wkrótce w zamku dowiedzieli się o mojém przybyciu, i pan Niekrasa zaraz przyjechał do mnie. Tyle miałem dla niego obowiązków wdzięczności, że łatwo wystawić sobie można, z jaką radością, z jakiém uczuciem go przyjąłem. Obaj bracia, po tak długiém rozstaniu się, nie mogli sobą dość się nacieszyć, a ja między niemi byłem trzecim bratem. Kiedy przed panem Niekrasą oświadczyłem chęć moją, złożenia księciu mego uszanowania, i podziękowania mu, że za jego staraniem otrzymałem pozwolenie żyć w mojéj ojczyznie, ten mię zapewnił, że książę jest zawsze dla mnie takim, jakim był; że mój powrót wielce go ucieszył, że nawet księżna rada mnie widziéć, i że niektóre jéj nieukontentowania ze strony zięcia zupełnie inaczéj ją względem mnie usposobiły, tak dalece, że wstydzi się swoich dawnych przeciwko mnie uprzedzeń, i wyraźnie z tém się

wymówiła, że uważa mnie jak drugiego syna i ma nadzieję, że jak wprzódy, tak i teraz będę uważał ich zamek jako dom rodzicielski.

Nakoniec pan Niekrasa dodał: — Nie ma roku, jak pan Kierdej został zięciem naszego księcia, a już są kwasy między nim a księżną; bo co się tyczy samego księcia, ten nigdy dla niego serca nie miał. Oddanie córki panu Kierdejowi było wymuszone na jego słabości, żeby mieć pokój od żony, tak jak zezwolenie księżniczki było skutkiem strachu, jaki w niéj księżna wznieciła. Księżna teraz sama żałuje, że zrobiła nieszczęście swojéj córki, bo chociaż jest przy nadziei, jednak przekonany jestem, że między nią a jéj małżonkiem nigdy dobrego nie będzie. Pan Kierdej zasługiwał się księżnie, póki się starał o księżniczkę, ale jak tylko ją dostał, zaraz sztorcem stanął. Nasz książę stary; od roku przeszło jego zdrowie w najsmutniejszym stanie pozostaje, więc prosił zięcia, żeby z żoną resztę roku z nim przepędził, żeby przynajmniéj córka go nie opuściła; czy godziło się odmówić ojcu téj pociechy? Bóg święty wié, co tam między niemi, ale to pewno, że pani Kierdejowa często pokazywała się z oczami zaczerwienionemi od płaczu, a listy jakie do księztwa z Warszawy dochodzą, wcale nie robią ich spokojnemi o pożycie dzieci.

Wypocząwszy parę dni w mojéj wiosce, pojechałem do Komargrodu dla złożenia uszanowania księztwu. Zostałem jak najczuléj przyjętym; księżna mi powiedziała przy powitaniu, że ma mnie za najgorliwszego przyjaciela ich domu i że mściciel jéj syna ma najpierwsze prawo do jéj serca. Sam książę tkliwiéjby własnego syna nie przyjął; kiedy ukląkłem przed nim, dziękując mu za mój powrót do kraju, jedynie za jego staraniem wydarzony, on mnie podniósł, przycisnął do swego łona, i rzekł: — O tém nie mówmy, bo jeżeli wpadłeś był w kłopot, to jedynie przez przywiązanie, jakie zachowałeś dla pamięci Olega; ale jeżeli koniecznie chcesz mieć wdzięczność dla mnie, masz porę z niéj się wywiązać. Nie opuszczaj mnie, bądź mi synem, nie długo męczyć się będziesz przy mnie.

Nie mogłem mu odpowiedzieć inaczéj, jak łzami; byłem uprzedzony, że książę zapadł na zdrowiu, ale nie spodziewałem się go znaléźć w tak opłakanym stanie. Twarz jego była wybladła, wychudzona, z trudnością opuszczał swoje głębokie krzesło, suchy kaszel bez przestanku go dręczył, a co było dotkliwiéj, przeczuwał rychły swój skon, i serca nasze rozdzierał, ciągle o tém wspominając. Postanowiłem pilnować go dzień i noc, nie powiem do jego śmierci, ale do końca jego choroby, bo nie mogłem się przyzwyczaić do téj myśli, że wkrótce nas opuści.

Przeniosłem się do zamku Komargrodzkiego, i mogę wyznać, że o krok go nie odstąpiłem. On ciągle przygotowywał się do śmierci: co dzień kilka godzin zamknięty był ze swoim kapelanem; jak ten odejdzie, zajmuje się ostatniém rozporządzeniem, w którém o żadnym

słudze nie zapomniał, i wszystko tak ułożył, żeby ani żona jego od zięcia, ani jego córka od nikogo nie była turbowaną. Pamiętał téż i o swojéj duszy, bo znaczne summy przekazał na kościoły i klasztory, a resztę dnia zajmował się obcowaniem po trosze z żoną i przyjaciołami, którzy go nawiedzali, a zawsze zemną, który tak się mu stałem potrzebnym, że bezemnie obchodzić się nie mógł.

Bawiłem w Komargrodzie około roku, a tymczasem stan księcia coraz się pogorszał. Jego nadworni lekarze już żadnéj nie czynili nadziei. Często wspominał, że radby córce dać ostatnie błogosławieństwo; tymczasem pan Kierdej niespodziewany od rodziców, raptem wpadł do Komargrodu z oznajmieniem, że jego żona mu powiła syna, i że ją na kilkanaście dni opuścił jedynie dlatego, że słyszał, że książę ojciec obłożnie zachorował. Widać, że jakiś sługa księcia, dla zaskarbienia sobie zawczasu łaski przyszłego pana, musiał mu o tém donieść, a on przyleciał, żeby być przytomnym jego śmierci, nie z powodu jakiéj czułości, ale jak mi się widzi, żeby po jego śmierci nie ponieść szkody w ruchomościach, na które patrzał jak na swoją własność. I w saméj rzeczy, zaledwo w kilka dni po jego przybyciu, książę starosta umarł.

Pan Kierdej, bez względu że pozostała po nim wdowa była dożywotnią i oprawną panią na Komargrodzie, nie przestawał na tém, iż inne dobra książęce jeszcze przed pogrzebem księcia kazał objąć w swoje posiadanie, ale nawet o remanenta komargrodzkie tak jéj się naprzykrzał, że księżna mu w przytomności nas wszystkich powiedziała, iż wolałaby mieć zięciem cygana, niż tak chciwego i nikczemnego pana; że może się z nią procesować, ale że dobrowolnie w żaden układ z nim wejść nie myśli. I odtąd, choć jeszcze kilkanaście dni pan Kierdej bawił w zamku, nie pozwoliła mu z sobą się widzieć.

Co do mnie, zaraz po pogrzebie księcia starosty postanowiłem opuścić Ukrainę, która mi tylko smutne pamiątki przedstawiała. Długo się wahałem, w które strony obrócę moją podróż; nakoniec zdecydowałem się jechać do Warszawy. Do tego skłoniła mnie powinność podziękowania królowi jegomości za łaskę jego, która mi dozwoliła powrotu do mojéj ojczyzny, i ułagodzić zdołała zawziętość familii nieboszczyka Pocieja przeciwko mojéj osobie. Jeszcze była inna przyczyna, która szczególnie wpłynęła na moje postanowienie: pan Niekrasa wybierał się do Warszawy. Kilka dni przed śmiercią książę starosta, wynagradzając jego zasługi, dał mu assygnacyę na sześćdziesiąt tysięcy złotych do kassy dóbr swoich poleskich, a oprócz tego zaklął go, żeby jak zamknie powieki, udał się do jego córki, zaniósł jéj umierającego ojca błogosławieństwo, i przeniósł do jéj usługi tę wierność, jaką się zawsze odznaczał dla niego samego. Pan Niekrasa mu przyrzekł, że jeżeli Panu Bogu się podoba powołać go do siebie, on uda się

do jego córki, i choćby największych nieprzyjemności miał doświadczyć ze strony jéj męża, nigdy nie odstąpi córki swojego pana i dobroczyńcy.

Nadto potrzebowałem przyjacielskiéj pociechy, żebym się opierał chęci odbycia téj podróży w towarzystwie tego godnego człowieka, mojego mlecznego brata, a który tyle mi dał dowodów przywiązania. Kiedy mu oświadczyłem, że z nim razem pojadę do Warszawy, poczciwiec aż się rozpłakał z radości. Wybraliśmy się tedy; ja, pan Niekrasa i jego brat, wierny mój Kulbida. Byliśmy u księżnéj z pożegnaniem; przy rozstaniu się naszém, pokazała nam więcéj serca, niż mogliśmy się spodziewać; panu Niekrasie dała list do córki, drugi do niéjże pisany mnie wręczyła, dodając, że wiele ma sobie do wyrzucenia, iż nie umiała się poznać na moim charakterze, wszakże prosi, żebym ją zawsze zachował w przyjaznéj pamięci, przez wzgląd że była żoną księcia Dymitra, i że jest bardzo nieszczęśliwą. Pożegnałem z wielkiém wzruszeniem księżnę, ale postanowiłem, że w Warszawie nie będę się widział z jéj córką, a list od jéj matki powierzę Niekrasie, by jéj go oddał.

Obróciliśmy naszą podróż przez Polesie, gdyż pan Niekrasa śpieszył, żeby z kassy dóbr poleskich odebrać summę, na którą miał assygnacyę, w słusznéj obawie żeby pan Kierdej, objąwszy te dobra w swoje władanie, nie robił trudności w wypłacie téj summy, stanowiącéj cały jego majątek. Tego samego dnia, w którym się odbyło żałobne nabożeństwo po księciu Dymitrze (bo złożenie jego zwłok w grobie Sołomereckich w Dermaniu odłożone zostało do czasu, w którym stan zdrowia pani Kierdejowéj dozwoli jéj zjechać na pogrzeb ojca), opuściliśmy Komargród, pan Niekrasa, Kulbida i ja. Było z nami tylko dwóch sług, jeden mój kozaczek świeżo przyjęty, drugi pachołek pana Niekrasy, i prosto udaliśmy się do Iskorości, stolicy hrabstwa Sołomereckich domu na Polesiu. Tam nas przyjął gubernator tego hrabstwa, niejaki pan Bekierski, zacny człowiek, a ścisły przyjaciel pana Niekrasy.

Pan Niekrasa po przywitaniu się swojém zaraz mu złożył swoją assygnacyę, a pan Bekierski kazał mu odliczyć assygnowaną summę, i w porę, bo już nazajutrz przybył z Komargrodu umyślny, wysłany od pana Kierdeja, do gubernatora Iskoroskiego hrabstwa z rozkazem, ażeby z kassy nikomu żadnego wypłacenia nie robił aż do jego przyjazdu, który za kilka dni ma nastąpić. Gdyby nie pośpiech pana Niekrasy, byłby zmuszonym dochodzić swojéj własności procesem.

Ułatwiwszy więc swój interes, nie było po co panu Niekrasie siedziéć w Iskorościach. Pojechaliśmy do Żytomierza, gdyż pan Niekrasa chciał tam jakoś ulokować w bezpieczne ręce swój kapitał. Zaraz po naszém przybyciu udał się do pana Pawła Bołsunowskiego, brata rodzonego Piotra, swojego przyjaciela od serca. Ten rozpoczynał swój

zawód prawniczy, w którym się póżniéj tak wsławił, i już był generalnym plenipotentem pana Kierdeja; on był uprzedzony przez brata o przyjaźni, jaka istniała między nim a panem Niekrasą, a trzeba wiedzićć, że uległość i cześć jakie miał dla brata, były główną cechą jego charakteru.

Zatrzymaliśmy się przez dni kilka w Żytomierzu. Kiedy pierwszy raz widziałem pana Pawła Bołsunowskiego, wziąłem go za jego brata Piotra, takie dziwne wówczas było między temi bliźniętami podobieństwo. Za staraniem pana Niekrasy zawiązała się między mną a panem Pawłem ta przyjaźń, jakiéj tyle niepłonnych dowodów, bo nawet z narażeniem się na prześladowanie, dał mi w ciągu lat dwudziestu kilku.

Pan Paweł jak najlepiéj ulokował summę pana Niekrasy, a nie tylko że za tę usługę żadnéj nagrody przyjąć nie chciał, ale nawet uczuł się obrażonym, że przyjaciel jego brata mu ją ofiarował. Podczas naszego pobytu w Żytomierzu z nikim nie zabraliśmy znajomości, a tylko żyliśmy z jednym panem Pawłem. Przyjaźń nasza z nim, choć w krótkim czasie, tak głębokie zapuściła korzenie, że z niemałym smutkiem rozstaliśmy się z sobą, a nawet odprowadził nas do pierwszéj stacyi pocztowéj.

Przez te kilka dni naszego pobytu w Żytomierzu, kiedyśmy jedynie panem Pawłem byli zajęci, mój Kulbida ze swojéj strony nie marnował czasu. Zawsze Zaporożec zawiązywał ścisłe stosunki w pospólstwie żytomierskiém, z kilkoma mieszczanami się pokumał, z innemi pobratał, tak, że kiedy odjeżdżał, na kilkudziesiąt z nich mógł śmiało rachować. To przytaczam nawiasem, gdyż te jego stosunki dały mu łatwość do zrobienia mnie i tobie, synu, niemało przysług, o których się dowiész w dalszym ciągu tych pamiątek. Stanęliśmy nakoniec w Warszawie.

ROZDZIAŁ XX.

Moje pamiątki dla syna.

Część czwarta.

Zaraz po naszém przybyciu do Warszawy, pan Niekrasa udał się do JW. Kierdejowéj, aby jéj wręczyć list od księżnéj jéj matki, a przytém i kopią testamentu jéj ojca, w którym między innemi był i ten okres: „Polecam kochanéj mojéj córce Niekrasę, który od dziecka u mnie służył aż do dnia mojéj śmierci. Jest-to człowiek, w którym

największą ufność pokładałem, a on zawsze pokazał się być jéj godnym. Radziłbym téj mojéj córce przywiązać go do siebie, a chociaż tak go opatrzyłem, że ma z czego żyć o własnym chlebie, tuszę, że tyle wdzięczności zachowa dla mojéj pamięci, iż do niéj przeniesie tę samą wierność, któréj tyle mi dał dowodów. Moją córkę poruczam mu, i zaklinam go, aby jéj w żadnéj ciężkiéj przygodzie nie opuszczał, chociażby z narażeniem swojego bezpieczeństwa.“ Oprócz tego, ten testament dowodził wielkiéj niespokojności ojca o los swojéj córki, a razem przezorną pieczę, aby jéj mąż jak najmniéj na ten los wpływał. I tak: Komargród zostawił pod dożywotniém władaniem księżnéj, a wszystkie inne dobra zabezpieczył córce w ten sposób, aby mogła niemi władać sama przez się, bez niczyjéj assystencyi, zupełnie od nich odsuwając jéj małżonka. Ten akt, sporządzony przez najbieglejszych prawników naszéj prowincyi, był tak silny, że dla pana Kierdeja nie pozostawał żaden środek legalny, by się z pod niego wyłamać.

Pani Kierdejowa przyjęła Niekrasę, nie jak sługę, ale jakby krewnego. Znała go od swojego niemowlęctwa i lubiła, zachowując w czułéj pamięci, że on ją na rękach nosił. Uprosiła go, aby zaraz do niéj się przeniósł, i wziął w opiekę ją, jéj dwór i wszelkie jéj przychody, jako sieroty, która sobie rady dać nie może. Odtąd wszystkie jéj interesa opierały się na jego barkach, a że wiernie i poczciwie jéj służył, na to nie potrzeba innego dowodu, jak ten, iż nic z nich dla siebie nie wyniósł, i że dotąd oprócz kapitaliku, darowanego mu przez nieboszczyka księcia, dworku na Kamionce, małego posażku po żonie i jakiegoś dobytku, który krwawą pracą sobie przysporzył, nic innego nie posiada, lubo krocie przechodziły przez jego ręce.

Pan Niekrasa objąwszy zarząd mu powierzony z nieograniczoném zaufaniem swojéj młodéj pani, wkrótce się przekonał, że ona dla swojego małżonka nie miała ani przywiązania, ani nawet szacunku. Jako mężowi przekonania chrześciańskiego, ta niezgoda małżeńska, tajemnicą pokryta, o któréj publiczność jeszcze wiedziéć nie mogła, przykre na nim zrobiła wrażenie, i usiłował zbliżyć jéj serce do serca małżonka, aby żyli z sobą po bożemu, a nie dla oka ludzkiego. Ale ona mu wręcz odpowiedziała, że lęka się cienia zgorszenia; że o ile będzie w jéj mocy, nigdy publiczność się nie dowié, jakie jest jéj pożycie z mężem, i że on nic więcéj od niéj nie otrzyma. Do tego czuje się być obowiązaną, jako matka jego dziecka; ale że żadnych ściślejszych stosunków miéć nie może z człowiekiem, którym pogardza; że ubiegał się o jéj rękę nie miłością, ani nawet przyjaźnią pobudzony, ale jedynie łakomstwem; że dawał tego ciągłe dowody w tém prawie dwuletniém ich pożyciu; że napisze do niego wyraźnie, by się nie wtrącał do jéj majątku, jeżeli nie chce aby z nim urzędownie zerwała;

więc aby, choć pod jednym dachem mieszkając, byli odtąd dla siebie obcemi; a że poczciwy Niekrasa chciał stanąć w obronie jéj męża, ona urwała rozmowę, mówiąc:

— Proszę cię, mój Niekraso, odtąd z niczém podobném do mnie się nie odzywaj.

Niekrasa, który dla mnie i brata swojego nie miał nic tajnego, zaraz to opowiedział, dodając: — Anibym uwierzył, gdybym tego na własne uszy nie słyszał, że pani starościna, owa księżniczka Marya, tak się zrobiła rezolutna, ona, którąśmy znali zawsze tak bojaźliwą, tak ulegającą cudzéj woli. Do tego stopnia jéj przyroda odmienić nie mogła. Widać że musi zostawać pod czyimś wpływem, który jéj postępki kieruje. Jakaż-to osoba ją owładnęła? tego nie wiem, bo o ile w tak krótkim czasie dopatrzéć mogłem, żyje w ścisłéj zażyłości tylko z familią swojego męża, a nie przypuszczam, aby któryś z jéj członków chciał szkodzić krewnemu. Wszakże z czasem i ta tajemnica musi się odkryć przedemną.

To na mnie głębokie wrażenie sprawiło. Już pan Niekrasa opuścił był gospodę do któréj zemną zajechał i przeniósł się do pałacu Kierdejowskiego, a ja, ile razy sam z sobą zostawałem, te jego słowa rozbierałem: — *Musi zostawać pod cudzym wpływem.* Mogłem się przyzwyczaić do téj myśli, że dla obowiązków religią nakazanych musiała o mnie zapomniéć, ale aby kto inny oprócz męża śmiał się postawić między jéj a mojém sercem, ta myśl wściekłość we mnie wzniecała. Chciałem szukać, wynaléźć tego zanadto szczęśliwego rywala, aby z niego zrobić ofiarę moim rozdrażnionym uczuciom. Znowu rozwaga na rozsądniejsze drogi mnie naprowadziła; powtarzałem przed sobą: jakież miéć mogę prawa do zazdrości, do zemsty? Mam wewnętrzne przeświadczenie, że kocham Maryę nad życie, że dla żadnéj innéj kobiety moje serce nigdy nie biło; mogłem pochlebiać sobie, że nie jest dla mnie obojętną; ale czyż to przeświadczenie nie jest ułudą chełpliwości? Czyż kiedykolwiek wyznała przedemną swoję wzajemność? Czyż nawet odważyłem się odkryć przed nią moję miłość? Czegoż mogę od niéj żądać? Jakież mam prawa stawić przeszkody szczęściu, które sobie znalazła, i nienawidzić tego, co jéj to szczęście zapewnia? — Ale te łagodniejsze uczucia wkrótce znów ustępywały wzburzonéj namiętności i najgwałtowniejsze snułem przedsięwzięcia.

Niekrasa wręczył jéj list od księżnéj matki, na moje ręce oddany. Kiedy mnie zdawał z tego sprawę, zapytałem go, co powiedziała ten list odbierając? — Nic innego — odrzekł — tylko że pan niegrzeczny. że sam jéj nie wręczyłeś tego, co mu było powierzone — i odtąd imienia pańskiego nie wspomniała. — Ta obojętność omal że nie odbierała mi przytomności. Chodziłem jak szalony. Kulbida na krok mnie nie odstępował.

Nakoniec zostałem spokojniejszym. Wybryki ludzi zbyt namiętnych, o ile są gwałtowniejsze, o tyle krótkotrwalsze. Zacząłem szczerze myśléć o sobie, o moim losie, o nadaniu sobie jakiéjś wartości przez innych przyznanéj. Byłem szlachcicem majętnym, i gdyby moje usposobienie było takie, jakie jest zwyczajne u naszéj szlachty, poprzestałbym na wygodném życiu między żeńcami i kosarzami, pomnażałbym moje dostatki; kiedy niekiedy, robiąc przerwę moim zatrudnieniom, upijałbym się z sąsiadami dla rozrywki, a gdyby jakaś wyniosłość wgnieździła się w mojéj duszy, jakiś czczy urząd, z łatwością wyjednany, byłby ją zaspokoił. Ale moje przyrodzenie było inne; potrzebowałem rzeczywistego znaczenia, sławy, władzy, a téj, nie będąc panem, otrzymać w Polsce dla siebie nie było podobieństwa.

Postanowiłem wyprzedać się z Polski i przenieść się do ziemi moich przodków, gdzie bez względu na urodzenie, każdy przez zasługi może się wynieść między pierwszemi w państwie; ale że już nowy rok za kilka dni przypadał, że zima trwała w całéj swojéj sile, wszystkie moje zamiary odłożyłem do następnéj wiosny, a póki jéj się nie doczekam, chciałem się oddać zabawom warszawskim, ażali nie znajdę w nich zapomnienia a przynajmniéj ulgi w uczuciu, które mnie opanowało. Postanowiłem unikać wszelkiego spotkania z Maryą, co nietrudne było do wykonania, gdyż z powodu żałoby po ojcu, ani u dworu, ani na teatrze, ani na żadném publiczném miejscu nie pokazywała się. Nie mam prawa skarżyć się na towarzystwa warszawskie; wszędzie byłem w nich z uprzejmością przyjmowany. Byłem przedstawiony królowi jegomości, któremu padłem do nóg, dziękując mu, iż za jego łaską przestałem być wygnańcem. Król przyjął mnie z dobrocią w tém krótkiém posłuchaniu, którém mnie obdarzył. Znacznie go znalazłem zmienionym; nie miał lat sześćdziesięciu, a już nałogi, którym od młodości był oddany, zgrzybiałości piętnem oznaczyły przedwczesną starość. Uczęszczałem do domów panów, które dla mnie zawsze były otwarte. Młodzież lgnęła do mnie; sama odważna, zanadto może ceniła odwagę. Zabicie pana Pocieja nie tylko że mi szkody nie przyniosło, ale dało mi wziętość, na jakąby zaledwo prawdziwy bohater zasłużył (*). Każdy chciałby być na mojém miejscu, a że nasze kobiety mają wstręt nieprzezwyciężony do mężczyzn tchó-

---

(*) Dawniéj młodzież żyjąca w Warszawie wielce była pochopna do pojedyńczych bojów. Jeszcze przed trzydziestoma laty, młodzieńcowi wychodzącemu na świat zdawało się, że mu czegoś nie dostawało, jeżeli się nie wsławił zręcznością i odwagą w pojedynku. Ponieważ każdy szlachcic broń przy sobie nosił, często się zdarzało, że bez wyzywania się broń wydobywali z pochew, i sobie nawzajem zadawali razy. Tego bezwzględnie chwalić nie można, bo jest-to przestąpienie praw religijnych i rządowych.

rzów, a ich serca miękniej ą przy spotkaniu się z mężami słynnemi z waleczności, nic dziwnego, że wabiły mnie czarującym wzrokiem, kraśnym uśmiechem i jedwabnemi słowy (*). Ale ja, mając się za zdradzonego przez miłość, ponowiłem postanowienie moje nie mieć z płcią piękną innych stosunków, tylko takie, które są w życiu towarzyskiém.

Młodzież często mnie nawiedzała i dawała mi dowody swojego szacunku. Nawet krewni nieboszczyka Pocieja do mnie się zbliżyli; jego brat stryjeczny, kawaler pełen szlachetności, robiąc pierwszy krok do znajomości zemną, wyraźnie mi powiedział: — Jeżeli starałem się ile było w mojéj możności, obwinić go przed sprawiedliwością urzędową, to nie z powodu iżbym go nie szacował, gdyż aż nadto byłem zawsze przekonany, że mój nieszczęśliwy brat poległ z jego ręki wedle wszelkich prawideł rycerskich. My wszyscy wojujemy mieczem, więc od miecza ginąć możemy. I w naszym stanie lepiéj jest poledz z ręki szlachetnego męża, niż być pożytym jak baba przez obłożną niemoc; ale coby świat, cobyś waćpan sam powiedział, gdybym ja, będąc spadkobiercą nieboszczyka, obojętnym na jego śmierć się pokazał?

Jednego wieczora zebrało się u mnie kilku z młodzieży; był między niemi i ten pan Pociej. Już karnawał się rozpoczął; po wieczerzy pan Pociej wniósł, abyśmy wszyscy razem poszli na maskaradę. Nigdy nie lubiłem tych burzliwych zabaw, i z początku im odmówiłem mego towarzystwa; ale jak zaczęli na mnie nalegać, a byli chłopcy dobrzy i wylani dla mnie, opór mój zmiękł i poszedłem z niemi.

Zastaliśmy w sali redutowéj pełno masek; moi młodzi towarzysze zaraz zostali okrążeni i oddzieleni odemnie. Mnie dano pokój, a chodząc zamyślony po sali, natrafiłem na próżne miejsce w kącie, i to miejsce najśpieszniéj zająłem. Obok mnie siedziały dwie maski; probowały ze mną wdać się w rozmowę, ale ja, choć grzecznie, dość suche dawałem im odpowiedzi, dając im poznać, że nie jest mojém życzeniem z niemi się zaznajomić; jedna z nich zaczęła rozwijać dowcip podmaskowy, na którym nigdy poznać się nie umiałem. Ta jéj szczebiotliwość tak mnie unudziła, że zabierałem się odejść z mego miejsca, kiedy raptem przybliżył się do nas pan Gurowski kasztelanic Poznań-

(*) Jeżeli może być coś umniejszającego winę kobiety, która zboczyła z drogi powinności, to niezawodnie przywiązanie, jakie w niéj wzniecił człowiek rzeczywiście waleczny. Wierzę w szlachetność uczuć kobiety, która się zapomniała dla rycerza, ale zawsze klejmo jakiéjś nikczemności oznacza taką, która tak dalece poniżyć się mogła, żeby aż zostać kochanką człowieka nierycerskiego sposobu myślenia; a jeżeli tchórz zdołał w niéj wzniecić namiętność, jest w tém oczywisty dowód, że dojść musiała do ostatecznych granic podłości.

ski, który do naszego towarzystwa należał, i z nami przyszedł na redutę; on rzekł do mnie półgłosem:

— Winszuję ci dobrego miejsca i miłego sąsiedztwa; a wiesz kto jest ta maseczka, któréj oczki cię wabią?

Maseczka poruszeniem głowy prosiła kasztelanica, aby jéj nie wymieniał, jak gdyby się tego obawiała; ale kasztelanic mówił na to nie zważając. Siedzisz, mój przyjacielu, obok naszéj Terpsychory, nad któréj zgrabnością unosiłeś się kilkakrotnie w teatrze. Jest-to sławna Zemira; u jéj nóg wzdychało co jest najświetniejszego między młodzieżą stolicy. Zemira, piękna jak Wenera, zgrabna jak Dyana, dowcipna jak Aspazya, obrała sobie za patronkę Danaję. Niejeden musiał się w deszcz złoty przemienić, aby do jéj łaski dostąpić. Szczęśliwy jesteś, że zaniechawszy nas wszystkich jako swoich, na ciebie sidełko nadstawiła; nie chcę być natrętnym, podsłuchując waszéj rozmowy.

— Rozmowa z tym panem niełatwa — odrzekła Zemira — na moje zapytania odpowiada: tak, lub: nie, i rozmowa się urywa; nigdy podobnego upokorzenia nie doświadczyłam.

— Jest-to serce zimne jak lód, twarde jak stal — dorzucił kasztelanic — w tém twoja sława, piękna bogini, abyś go zmiękczyła i rozgrzała. Musisz przecie wiedziéć, że to jest Ukrainiec, który przychody swoje, z samych rubli, mierzy na garnce, bo nie starczyłoby mu czasu na porachowanie; a ziemię swoję nie liczy jak my na włóki i morgi, ale na mile kwadratowe. Pod maską nie możesz mu odkryć swoich czarujących wdzięków; podwójże przynajmniéj twój dowcip, by go nim zniewolić. Idzie o honor naszéj prowincyi, aby ten Scyta swobodnego serca nie wywiózł z Warszawy.

— Już on swojém sercem rozrządzać nie może — odezwał się głos nowy.

Spojrzałem; widzę przed sobą maskę w odzieży Sybilli, która podczas téj rozmowy zbliżyła się do nas, aby nas podsłuchać. Ubiór jéj był jeszcze więcéj gustowny niż bogaty; na głowie miała zawój cechujący sybillę, z dywdyku kaszmirskiego, tunikę białą ogarnirowaną koronką brabancką, przepasaną paskiem czarnym safianowym, na którym dwanaście znaków Zodyaku były wyhaftowane. Nosiła zamiast trzewików koturny, w których piękność jéj nóżek zdawała się wydatniejszą; te nóżki były zamknięte w pończoszkach jedwabnych lyońskich à jour. Przepychowi jéj odzieży mogłaby sprostać Zemira, gdyż za pieniądze mogłaby być nabytą; ale było w jéj poruszeniach coś takiego, co z pierwszego rzutu przekonywało, że Opatrzność ją umieściła w pierwszym rzędzie położeń społeczeńskich.

Kasztelanic na nią patrzał z ciekawością, a ja z zadumaniem; za-

pytałem ją po chwili milczenia, czy mnie zna, i czy może mnie o tém przekonać?

— A kogóżby sybilla nie znała? Jesteś Ukraińcem; w Warszawie zabijasz mężę szpadą, a niewiasty oziębłością; ale ta oziębłość jest kłamaną. Ognie pożerające twoje serce nie przedziurawią téj wierzchniéj powłoki; ale cóż się ukryć może przed badawczym wzrokiem sybilli? Widzę walki, które się w niém toczą; patrzę się z litością na twoję rozpacz.

Na te słowa roześmiałem się kłamanym śmiechem i odrzekłem:

— Zażartowałbym z ciebie, piękna sybillo, gdybym cię prosił o napisanie na mojéj dłoni pierwszéj litery imienia i nazwiska téj mniemanéj piękności, która zniewoliła moje serce.

— Podaj rękę — rzekła uroczyście i skreśliła wyraźnie literę M. dodając: — Oto jest imię; co do nazwiska, masz dwie liter, wybieraj jednę z nich. — I niemniéj wyraźnie skreśliła S, a zaraz potém K. Zadrżałem...

Moje pomięszanie było widoczne: na szczęście kasztelanic, który tylko maskaradą był zajęty, tak że nad niczém się nie zastanawiał ubocznem, do sybilli obrócił mowę wglądając jéj w oczy, ażali przecie jéj nie pozna? — A mnie czy znasz, miła maseczko?

— A któżby cię nie znał, hetmanie brukowych trzpiotarzy! A jestże miejsce w Warszawie, na którémby cię spotkać nie można? Twój ojciec, szanowny kasztelan, zbiera grosz do grosza, ale czego jeszcze nie zebrał, ty już strwoniłeś. Oto masz przed sobą nimfę, która was wszystkich rozpłomienia; usiądź obok niéj na miejscu tego Ukraińca, który ci go chętnie ustąpi. Jego dusza jest zażgniona nadto szlachetnym zapałem, aby jakieś upodobanie znajdował w towarzystwie tych istot, których każde słowo, każdy fawor, ma już oznaczoną cenę; których słabości wyrachowane podtrzymują gorszący zbytek, a które w młodości swojéj pożarłszy dostatki mnóstwa takich jak ty, wysokiego rodu półgłówków, kończą na tém, że w szpitalu, publiczną litością utrzymywanym, znajdują przytułek dla swojéj przedwczesnéj starości.

— A żebym cię nigdy nie spotkał, wieszczbiarko bez litości! Chodź Zemiro, oparta na mojém ramieniu uciekaj od téj sybilli o słowach rażących. Niech sobie z naszym melancholijnym Ukraińcem rozmawia, a my dzieci wesołości, uśmiechów, słodkich igrzysk, idźmy zbierać róże, omijając ich kolce, jak najdaléj od tych co przyszłość usiłują odkryć przed nami.

To rzekłszy, ścisnął mnie za rękę, szepnął do ucha: — Nie zazdroszczę ci znajomości z tą złowieszczbną wróżbitką, chociaż wierzaj mi, że musi być piękną kobietą; w tém spuść się na moje doświadczone oko. — Wziął pod rękę do żywego obrażoną nimfę, i z nią utonął w ciżbie biesiadującéj.

Sybilla, skoro się oddalili, usiadła obok mnie; już nie miała potrzeby zmieniać głosu, bo nie było w blizkości Gurowskiego, owego strasznego dociekacza tajemnic maskaradowych. Przemówiła więc do mnie dźwiękiem srebrzystym, a tak wrażliwym, że ten co go raz tylko usłyszał, musiałby go poznać.

— O synu stepów Ukraińskich! Za niemi tęsknisz, gdyż widzę cię pogrążonego w zadumaniu w siedlisku wesołego szaleństwa.

— Zgadłaś, maseczko, że dumam. Jeżeli tu się znajduję, to jedynie że do tego wciągnięty zostałem przez kilku gości, którzy mnie nawiedzili, a tak usilnie tego się domagali, iż nie odważyłem się zasmucić odmówieniem prośby tych, co zawsze okazują mi życzliwość. Język mój, jak widzisz nie jest redutowy, bo samą prawdę wyraża. Zakrycie swoich obliczów, zmiana głosu, te ciągłe kłamstwa, najmniejszego dla mnie nie mają powabu. Jest-to rzecz tak przeciwna memu przyrodzeniu, że gdybym nawet chciał do niéj się zmuszać, nie potrafiłbym tego dokonać. I to właśnie jest przyczyną mojego wstrętu do tego rodzaju zabaw. Reduta dzisiejsza jest pierwszą i ostatnią, którą widzę tego roku.

— A jednak, mój niby szczery Ukraińcze, już się przyuczasz do obyczajów redutowych, bo kłamiesz.

— A to jakim sposobem?

— Mówisz, że to jest ostatnia reduta, na któréj się znajdujesz.

— Nie inaczéj.

— A ja ci zapowiadam, że będziesz na następnéj reducie.

— Kto mnie do tego zmusi?

— Do tego zmuszać cię nie ma potrzeby; będziesz tu, żeby zemną mówić o téj którą kochasz; zapowiadam ci, że będę tu na następnéj maskaradzie, jedynie aby cię widziéć, a ty aby mnie znaléźć.

— Wielce się zawieść możesz, myśląc że do tego stopnia dam się opanować przez ciekawość, iż dla żartu redutowego mogę odstąpić od mego postanowienia.

— O to jestem spokojna; uczucie serca zawsze przemaga postanowienie rozumu, i to nie może być inaczéj. Bo chociażbyś był najpróżniejszym z ludzi, a wiem że tak nie jest, nigdy nie możesz być pewnym, że masz rozum, tak jak jesteś pewny, że kochasz.

— Powiedz-że, moja maseczko, dlaczego w tym niezliczonym tłumie twoich znajomych, mnie obcego właśnie wybrałaś, aby mnie udręczać bolesnemi żartami?

— Zażartowałabym z ciebie, mój biedny Ukraińcze, gdybym się w téj chwili oddaliła od ciebie; ale ta moja przybrana szata kryje serce nadto czułe, abym się dopuściła podobnego okrucieństwa. Któż może być obojętnym na cierpienia, których sam kiedyś doświadczał? Podaj mi rękę i przejdźmy się po sali, aby z sobą rozmawiać.

Machinalnie, że tak powiem, wziąłem ją pod rękę, i zaczęliśmy się błąkać pośród tłumu. Często niecierpliwiły mnie maski, które mnie zatrzymywały swojemi płaskościami redutowemi, a jeszcze więcéj eleganci wielkiego świata, usiłujący wybadać, kto jest ta sybilla, którą tak jestem zajęty, ja, głośny w stolicy z mojéj obojętności dla płci pięknéj. Moja sybilla odcinała ich czcze koncepta żartami pełnemi dowcipu, od których odskakiwali jakby oparzeni; każdy coś oberwał złośliwego, widać, że wszystkich znała. Co do mnie, tonąłem w domysłach próżnych, kim być mogła ta osobliwsza osoba, która dociekła to, co przed całym światem taiłem — czego się nie odważyłem objawić téj, którą tak namiętnie kochałem, — to czego samemu sobie powierzyć nie śmiałem? A jednak wątpić nie mogłem, że ona była mi nieznaną, gdyż nawet nie usiłowała w rozmowie odmieniać swojego głosu, a ten głos był obcym dla mnie.

Co zachowałem w pamięci z téj rozmowy ciągle przerywanéj, to rzuciłem na ten papier.

— Wzorze stałych kochanków! — rzekła chodząc oparta na mojém ramieniu. — Ty potrzebujesz przyjaciółki, któraby bez twoich powierzeń już wiedziała o wszystkiém, co ciebie dotyczy. Ja chcę być dla ciebie taką przyjaciółką; tém więcéj mam do tego zasobu, że jako we wszystkich tajnikach twojéj duszy czytać umiałam, tak i w Maryi życiu ani jedna chwila nie powstała, któréjbym nie była świadomą.

— Tylko proszę cię, sybillo, nie wspominaj mi tego imiena, które przezemnie, a może i przez ciebie winno być szanowane.

— Wybornie! Ciekawą jestem widziéć, co cię zatrzyma przy mnie, jak o niéj przestanę mówić. Mam dla niéj wielką przyjaźń i nie mam powodu wątpić o jéj wzajemności, a co do uszanowania, powiem ci, że oprócz Bogu i królowi, nikomu go nie winnam, bo moi rodzice już nie żyją.

— Nie chciałem cię obrażać, maseczko!

— Ja téż się nie obrażam, oświecam cię tylko, żebyś się nie pomylił co do mojego stanu. Moje oko jeszcze cię nie widziało, a już posiadałeś mój szacunek. Chcę być twoją opiekunką, żeby zbliżyć do siebie dwa serca nieszczęśliwém przeznaczeniem rozłączone, a które są dla siebie stworzone. Ale nie mogę nią być dla ciebie, tylko pod warunkiem, że się mnie powierzysz z najzupełniejszą ufnością, że we wszystkiém będziesz mi posłusznym. Jeżeli na to przystaniesz, daj mi rękę; jeżeli nie, bywaj zdrów, już mnie nigdy widziéć nie będziesz.

— Ani się waham, i chociażbyś o mnie trzymała, że jestem najlekkomyślniejszym z ludzi, oddając się na ślepo nieznanéj mi osobie, jakaś fatalność mnie porywa lotnym pędem, może do mojéj zguby. Bądź co bądź, nie jestem dość szczęśliwym, żebym wiele dbał o przyszłość; na każdéj zmianie mogę tylko zyskać. Niechże w nagrodę

zaufania, z jakiém się tobie poddaję, dowiem się kim jesteś, ty, co wszystko wiész i wszystko możesz?

— Poczekaj, trochę cierpliwości, a ja sama odkryję się przed tobą. Odtąd wspólny interes nas łączy, tyle tylko ci powiem: na następnéj reducie czegoś się jeszcze dowiész; bądź na tém samém miejscu gdzie dziś do ciebie się zbliżyłam, a ja cię na niém znajdę. Teraz proszę cię, żebyś mnie z sali wyprowadził, bo widzę, że Pociej z Gurowskim mnie ścigają, aby się dowiedziéć kto jestem.

Posłuszny jéj rozkazom, zaprowadziłem ją do bufetu, który był blizko głównego wyjścia. Stanąwszy przy stole cukrami i chłodnikami zastawionym, gospodarzowi sali redutowéj coś do ucha szepnęła. Ten z najuniżeńszą skwapliwością odskoczył, i poleciał do swojego mieszkania, które było za bufetem. Po kilku chwilach czterech mężczyzn grenadyerskiego wzrostu i postawy żołnierskiéj pokazało się za stołem, a między niemi jeden mniejszy, który zdawał się im dawać rozkazy. Wszyscy byli maskowani i ubrani jak janczarowie; moja sybilla obróciła się ku mnie, mówiąc: — Do zobaczenia! — I zaraz lekko wsunęła się między stoły, a ztamtąd w drzwiczki od zatyłka, i w samą porę, bo już panowie Pociej i Gurowski tuż za nią biegli i chcieli się przerznąć przez bufet; ale janczarowie stanęli na przeszkodzie. Jak niepyszni musieli się panicze cofnąć i stanęli przy mnie.

— Winszujemy ci szczęścia, panie Józefie — odezwał się pan Pociej — żeś ułagodził tę dziką piękność. Nam się nie udało; trudno téż zdobyć pozycyę przez gwardyaków królewskich strzeżoną.

— Jakich gwardyaków?

— Albo ja ich nie poznał pod skórą janczarską? Coś za wielkie znaczenie ma ta sybilla, kiedy aż oddziały wojska są na jéj zawołanie. A honorem się klnę, że nie umiem na pewno odgadnąć, kto jest ta sybilla.

— To musi być coś nowego — dodał kasztelanic Gurowski — bo już blizko roku, to jest od śmierci pewnéj pani, o niczém podobném nie było słychać. Wiész-że co, Pocieju? Idźmy na dół, nim się ubierze i dostanie do swojego pojazdu; my ją dopędzim i choćbyśmy mieli stanąć za karetą...

Wtém jeden mężczyzna maskowany, który od kilku sekund stał blizko nich, odezwał się głośno:

— Tego wam nie życzę — i wnet się oddalił.

Obaj młodzi dworacy widoczne okazali pomięszanie, i czas jakiś jak wryci stali w milczeniu. Kasztelanic szepnął coś do ucha Pociejowi, poczém wzięli się pod rękę i szybkim krokiem poszli ku przeciwległéj stronie sali, mnie zostawiając w zadziwieniu. Już dla mnie reduta żadnego nie miała interesu. Wyszedłem na wolne powietrze; mój umysł był tak zmęczony, że tego potrzebowałem. Mój kozaczek

w sieniach czekał na mnie z szubą; kazałem mu odjechać z pojazdem do domu, a sam tonąc w domysłach poszedłem piechotą do siebie przez nieoświecone ulice miasta.

ROZDZIAŁ XXI.

Przyszedłszy do mieszkania, zaraz się położyłem; było po trzeciéj. Odkąd byłem w Warszawie, pierwszy raz mi się zdarzyło tak długo czuwać. To też pomimo myśli, które roiły się w mojéj głowie, i przypomnień tego wszystkiego com doświadczył na reducie, zaledwo położyłem głowę na wezgłowiu, zasnąłem twardo i jednym snem spałem do dziesiątéj z rana.

Skorom się przebudził, zaraz mi w myśli stanęły wypadki wczorajszego wieczora. Jakaż to była sybilla, świadoma tajników mojéj duszy? Zkąd ta jéj nadzwyczajna dla mnie łaska, że chce mnie wziąć w opiekę? Jakąż pomoc przynieść może moim uczuciom? Wszakże Marya jest innego żoną, poddała się obowiązkom, z pod których jéj cnotliwe serce nigdy się nie wyłamie? Czyż ja sam mogę stać się wspólnikiem jéj zbrodni, sprawcą jéj niesławy? Czy taka ma być moja wdzięczność za tyle łask spadkowych, jakie odebrałem od jéj domu? Któż jest ta nieznajoma, która wszystko może, wszystko wié, wszystko ma na zawołanie, która zdołała dwóch jak najmniéj rozważnych kawalerów dworu tak przestraszyć, że zniknęli z przed jéj oczów, a do tego tak dowcipna, tak miła, tak ucinkowa, że raz ją widziawszy, o niéj zapomniéć niepodobna?

Pomyślałem sobie: jest to ułuda, którą odrzucić i sumienie i rozsądek zarówno obowiązują. Świat wielki nie dla mnie stworzony; dopełniłem już mojéj powinności, podziękowałem królowi jegomości za łaskawy dowód jego pańskiego nademną miłosierdzia, nie mam powodu dłużéj siedziéć w Warszawie. Wrócę do mojéj ojcowizny; odtąd za cel życia wezmę uszczęśliwienie moich chłopów.

Byłem dość mężnym, żeby unikać widoku téj, któréj obraz płomieniem jest wyryty na mojém sercu; dlaczegóż miałbym się wahać od niéj się przedzielić szeroką przestrzenią? Tu o niéj ciągle słyszę, co chwila ją spotkać mogę, oddycham tém samém co i ona powietrzem; jakże o niéj zapomniéć mogę? A trzeba mnie o niéj zapomniéć. Jeżeli spełnienie obowiązków, jakie mam dla moich poddanych, jeżeli pobyt wśród czarownéj natury naszéj Ukrainy, nie zdołają przytłumić udręczeń mojego serca, opuszczę na zawsze moją ojczyznę, przeniosę się za Dniepr, tam będę szukał rycerskiéj sławy w niezwalczonych szere-

gach pobratymczego narodu, tam znajdę może zapomnienie moich trosk, albo szlachetny koniec poczciwego jeszcze żywota.

Była chwila, w któréj postanowienie opuszczenia Warszawy jak najrychléj, zdawało się być niezłomne. Chciałem odjazdem moim uprzedzić nawet tę nadchodzącą redutę, na którą sybilla mnie zaprosiła; ach! czemuż nie byłem dość mężnym, żeby wytrwać w mojém przedsięwzięciu? Trzy dni zwłoki zdołały odmienić całkowite mojego życia przeznaczenie, a jednak ta przewłoka nie nastąpiła jedynie wpływem mojéj woli; była to jakaś fatalność, jakieś rozporządzenie wyższéj istoty, pragnącéj mojéj zguby, a któréj nie umiałem się oprzéć.

Przywołałem mojego Kulbidę, zacząłem zdawać na niego staranie, ażebyśmy koniecznie pojutrze z rana mogli się wybrać na Ukrainę. Kulbida nie posiadał się z radości, że zabieram się opuścić Warszawę. Jeszcze z nim nie skończyłem, aż wpada do nas kasztelanic Gurowski, i po dość roztargnionem powitaniu, mówi:

— Panie Józefie, mam do ciebie najważniejszy interes, i do ciebie się udaję w pełném zaufaniu. Możesz-li dać mi na chwil kilka posłuchanie?

Kulbida zostawił nas samych.

— Czego żądasz odemnie, kasztelanicu? — zacząłem.

— Oto zaraz po twojém i po twojéj sybilli zniknieniu, na wczorajszéj reducie, biada na moją głowę spadła, jakby dachówka z dachu. Kiedy z Pociejem zabieramy się leciéć za twoją sybillą, a janczarowie dali nam odkosza, my chcieliśmy wybiedz na ulicę za nią, aż maskowany mężczyzna rzucił nam te słowa: — Tego wam nie życzę. — A wiész kto był ten mężczyzna? Zaraz poznaliśmy go po jego tubalnocharkawym głosie. Był to Przebendowski, wojewoda chełmiński, pierwszy zausznik króla, który mówi po polsku i po francuzku jak Niemiec, zwyczajnie Kaszuba. Aż mrowie przeszły po mnie; ehe! pomyślałem sobie, ta sybilla niebezpieczna zwierzyna, kiedy aż gwardyacy królewscy ją strzegą, a wojewoda chełmiński ma na nią oko. Wolę odszukać moją Terpsychorę, z nią sprawa bezpieczniejsza! Wynajduję Zemirę, prowadzoną na przekór jéj woli, przez dwóch braci hrabiów Einsiedlerów, szambelanów królewskich i pułkowników wojska saskiego, a duelistów z profesyi. Jak mnie spostrzegła moja nimfa, zaczęła się od nich wyrywać; oni jéj nie puszczali. Idę do niéj, a ona mi mówi: — Ratuj mnie od tych Niemców! — Nie można się było cofnąć; biorę ją za rękę, oni jéj nie puszczają; ja do nich: — Co to jest? — A oni: — To jest co widzisz. — Od słowa do słowa, przyszło do tego, że mi powiedzieli: — Uciekaj, jeżeli czegoś gorszego nie chcesz się dowiedziéć. — Krew mi zakipiała w żyłach. — Mam was za nieuczciwych! — rzekłem do nich — jeżeli mi nie dacie z tego, coście śmieli powiedziéć, honorowego zadośćuczynienia.

— Zgoda! — odezwał się młodszy Einsiedler — ale jaką bronią?
— Jaką wam się podoba!
— A więc szpady popróbujemy — rzekł starszy. — Najwłaściwiéj użyć broni, która jest przy boku na zawołaniu; ale zważ, panie Gurowski, że nas dwóch, a ty jeden.
— Licho mi nadało, żem się wyrwał; mniejsza z tém, postąpimy po staremu: was dwóch, a ja dobiorę sobie przyjaciela, którego szpada obok mojéj stanie, a tak gra będzie równa.
— Z miłą ochotą zgadzamy się. Zostawiamy panu trzy dni do wyszukania tego przyjaciela; czy dość czasu dla pana?
— Aż nadto. Więc będziemy wszyscy na reducie następnéj, tam się umówimy o wszystkie szczegóły, a skoro nadejdzie dzień, weźmiemy się do roboty.
— Na wszystko chętnie przystajemy. — I podaliśmy sobie ręce.
— Zważ, w jakim się znajduję kłopocie: nietrudnoby mi było znaléźć między naszą młodzieżą pomocnika, bo każdy Polak lubi łba nadstawić, ale będę miał do czynienia z dwoma najzawołańszemi mistrzami fechtów, jacy się znajdują w Polsce, Litwie i Saksonii. Ja fechtuję zaledwo trochę lepiéj niż miernie; cała nadzieja na dobrym popleczniku, któryby mnie zrównał z mojemi przeciwnikami. Gdyby żył nieboszczyk Pociej, na pewno na niegobym rachował; ale żeś go zabił, winieneś mi restytucyę. Musisz jego miejsce zastąpić; w tobie cała moja nadzieja, a jeżeli uznasz, że ci się godzi tę szlachetną posługę odmówić, to zawczasu przygotuj się zmówić za mnie Anioł Pański; bo choć saska szpada straszna, ja przecie przed nią się nie cofnę, ani myślę naśladować tych ślamazarników, co wybierają ołów dla tego, że nie umieją się obchodzić z szlacheckiém żelazem. Zginę bez żalu; to tylko mnie niepokoi, że mogę wciągnąć z sobą do grobu chłopca więcéj szlachetnego niż zręcznego, bo jużci, jeżeli mi odmówisz, muszę kogoś innego poszukać, a żaden z moich przyjaciół wahać się nie będzie. Jakto! nic nie odpowiadasz?
— Pozwól tylko chwilkę pomyśléć.
Kasztelanic spojrzał na mnie z zadziwieniem. Ja głowę na rękach oparłem; najbojaźliwszy człowiek nie doświadczył takiego wstrętu do ofiarowanéj mu bitwy, jak ja do potykania się z dwoma mężami, do których żadnéj złości czuć nie mogłem, gdyż ich znałem tylko z widzenia, nigdy dwóch słów z niemi nie zamieniłem, a na ich życie trzeba mi było nastawać. Gdyby to chodziło o mnie samego, o moją osobistą urazę, mógłbym przynajmniéj ich oszczędzać; ale tu niewolno mi było być wspaniałomyślnym, bo na tém mógł szkodować młodzieniec, który z pełną ufnością wzywał mojéj pomocy, żebym zrównoważył to, co mu nie dostawało w zręczności przeciwko dwom głośnym kilkokrotnemi zwycięztwami w pojedyńczych bojach. Jakże mogłem

uchylić się od niebezpieczeństwa straty życia? Tego mi honor nie pozwalał.

Już moje milczenie gorszyło kasztelanica. Przerwałem je nakoniec temi słowy:

— Przebacz, kasztelanicu, że zastanawiałem się nieco nad odpowiedzią, jaką mam uczynić na żądanie, które raczyłeś mi oświadczyć. Gwałtowne interesa wymagają rychłego mojego wyjazdu na Ukrainę, i właśnie zastałeś mnie wybierającego się do téj podróży z moim Kulbidą, bo miałem jutro wyjechać. Nad tém przemyśliwałem, jakby dogodzić twojemu żądaniu, a razem nie ponieść szwanku w moim interesie. Koniec końców, gdzie o honor chodzi, wszelki interes inny powinien iść na stronę; więc służę ci, kasztelanicu. Dziś mamy poniedziałek, a reduta maskowa następuje we czwartek; w piątek rano twój, a raczéj już nasz wspólny interes musi być skończony. A więc do piątkowego południa jestem na twoje zawołanie, i masz wszelkie prawo mną rozrządzać.

Uradowany kasztelanic rzucił się na moją szyję; mało mnie nie udusił, okazując swoją wdzięczność. Nakoniec odezwał się:

— Panie Józefie, podczas kiedy my będziemy się bili z braćmi Einsiedlerami, z każdéj strony powinien być widzem jakiś poważny mąż, żeby w potrzebie przyniósł świadectwo, że wszystko się odbyło wedle ścisłych prawideł honoru. Uprosiłem pana Cieleckiego, pułkownika pułku mirowskich, z którym wiem, że masz przyjaźń, żeby raczył być świadkiem z naszéj strony. Od niego właśnie przychodzę, a tak byłem pewny ciebie, że mu zaręczyłem, iż staniesz obok mnie przeciwko hrabiom; dlatego tak zostałem zmięszany twojém milczeniem. Wszystko co było i jak było, opowiedziałem Cieleckiemu; on mi przyznał słuszność; a wiesz, jak jego zdanie w sprawach honorowych jest poważane w opinii publicznéj. Wielce mi winszował twojéj pomocy; podjął się nam asystować, i zaraz pobiegł z moim bilecikiem do naszych przeciwników, żeby się z niemi umówić o szczegóły pojedynku. Rzecz więc na tém stanęła, że pójdziemy razem na czwartkową maskaradę; całą noc przebajdurzemy, a raniuteńko wyjedziemy rozprawić się na umówić się mającém miejscu. Gdy mam cię, już jestem pewny zwycięztwa.

Ja mu na to:

— Wieszże co, mój kasztelanicu? Ponieważ siebie i mnie wplątałeś w kabałę, życzyłbym ci pilnować sali fechtunków, żeby się przez te kilka dni wprawiać; wiele na tém zależy. Ja sam czuję tego potrzebę, bo więcéj roku jak nie miałem floreta w ręku. Trzeba przypomniéć sobie, co się kiedyś umiało. Jedźmy ztąd prosto do sali; o téj porze nie wiele osób w niéj znajdziemy. Zobaczę jak się fechtujesz, bo ta wiadomość jest dla mnie niezbędną, żebym wiedział jak mam się regulować, kiedy pójdziemy na ostre. Pozwolisz, żebym się ubrał. —

Zadzwoniłem. Wszedł Kulbida. — Kulbido! — rzekłem — nasza podróż odłożona. Zawołaj kamerdynera, żeby mnie zaczesał i ubrał, i każ zaprzęgać, bo muszę pojechać na miasto.

Odszedł Kulbida. Wszedł kamerdyner; na prędce mnie ufryzował, ubranie moje nie trwało kwadransa. Opuściliśmy kwaterę; nasze pojazdy były gotowe. Siedliśmy w moim, a za nami próżny ekwipaż kasztelanica. Stanęliśmy przed salą. Tam w saméj istocie nie zastaliśmy nikogo, tylko samego mistrza i trzech oficerów gwardyi koronnéj. Mistrz mnie i Gurowskiemu podał floręty; zaczęliśmy próbować się z sobą; Gurowski nie był mojéj siły, jednak był bieglejszy niż się spodziewałem. Zauważyłem, że w odparciu pocisków okazywał dość zręczności, ale w natarciu był zanadto hazardownym i zaniedbywał się zakrywać. Zrobiłem mu na boku uwagę, żeby w czasie pojedynku nie nacierał, a tylko zasłaniał się, póki mu nie powiem nacieraj, a to z uwagi na własne bezpieczeństwo. Bo na wypadek, gdyby został zabity lub ciężko ranny, byłbym narażony na bitwę z dwoma, wedle prawideł takowego rodzaju pojedynków. Gurowski dał mi słowo, że mojéj przestrogi trzymać się będzie.

Co do mnie, wypróbowawszy się z samym mistrzem, już byłem pewny siebie. Cztery razy go się dotknąłem, on mnie ani razu, a jednak był pierwszéj siły fechtmistrzem. Gurowski na to patrząc, nie posiadał się z radości; cały dzień zajmowaliśmy się naszym pojedynkiem. Obiadowałem u Gurowskiego, a po obiedzie pojechaliśmy razem do pułkownika Cieleckiego, który cały ranek chodził około naszego interesu; opowiedział nam, że był u hrabiów Einsiedlerów, i że wielce mu się podobali układnością swoją. Kiedy im oznajmił, że pan Skoropacki jest pomocnikiem pana Gurowskiego, oni mu odpowiedzieli, że wielce się cieszą, że z tak znakomitym i walecznym kawalerem będą mieli do czynienia. Dodali także, że na świadka wybrali takiego, któremu będzie rad, gdyż z tém się wymówił, że z nim żyje w przyjacielskich stosunkach, a takim był pułkownik Polentz, adjutant króla jegomości. I w saméj rzeczy jest to mąż zacny, waleczny, doświadczony i mający wielkie zachowanie u króla; a w ciągu téj rozmowy on sam przybył i z sobą ułożyli wszystko. We czwartek wszyscy będziemy na maskaradzie, i na niéj doczekamy się białego dnia. Pojedziemy z brzaskiem do Służewca, gdzie się wszystko odbędzie, jak przystoi zacnym kawalerom.

Nadszedł nakoniec czwartek; wieczorem przyniósł on nam oczekiwaną z niecierpliwością przez kasztelanica redutę. Każdy z nas swoją drogą miał przybyć do sali redutowéj; tam mieliśmy się wszyscy złączyć z sobą przy bufecie, i o drugiéj po północy razem wieczerzać i przy świeżych ostrygach czekać przybycia jutrzenki.

W tych dwóch dobach, które nas przedzielały od reduty, nie wy-

chodziłem z mojéj kwatery, tylko albo do sali fechtów, żeby Gurowskiego wprawić jeszcze więcéj do robienia szpadą, albo do Cieleckiego lub Polentza; u pierwszego już miałem zachowanie, drugiego dopiéro poznałem, ale powziąłem dla niego szczególny szacunek. Moje położenie było draźliwe; w mojém przekonaniu między Gurowskim a panami Einsiedlerami, nic takiego nie było zaszło, coby aż przelewu krwi wymagało; ale gdy sam miałem być na tym pojedynku nie widzem lecz aktorem, jakże mogłem nakłaniać do zgody zapobiegającéj niebezpieczeństwu, w którém sam miałem miéć udział? Na to nie mogłem się odważyć, a tylko czekałem, żeby ze strony świadków odezwał się jakiś głos pojednawczy; ale obaj pułkownicy nadto lekko traktowali podobne sprawy, żeby ich przyrodzonemu tokowi jakąś tamę postawić, ile że, ponieważ potyczka miała się odbyć między Polakami a Niemcami, miłość własna narodowa nie dopuszczała im pomyśléć o pojednaniu stron poważnionych. Pojedynek był więc nieodzowny, tém boleśniejszy dla mnie, że obaj bracia Einsiedlerowie, z któremi musiałem się zapoznać, szlachetną grzecznością swoją na mnie niemałe zrobili wrażenie.

ROZDZIAŁ XXII.

Nadeszła nakoniec reduta, przez kasztelanica z niecierpliwością, przezemnie z jakimś wstrętem oczekiwana. Byłem z liczby pierwszych, którzy się na nią udali; to samo miejsce, gdzie mnie sybilla znalazła, było próżne i zająłem je jak najśpieszniéj. A gdy okoliczności mnie niepodwładne, na przekór mojemu postanowieniu, zapędziły mnie na tę maskaradę, wyznaję, że wyglądałem z niecierpliwością téj sybilli tajemniczéj, tak że już o niczém innėm nie myślałem, i doświadczałem bicia serca, ile razy jakaś maska, wzrostem do niéj podobna, ku mnie się zbliżała.

Sala już się napełniła. Siedziałem nieruchomy na mojéj ławie; spostrzegł mnie zaraz wchodzący kasztelanic z naszemi przeciwnikami. Jak się pokazało, spotkali się przy podwojach sali. Powitali się z grzecznością cechującą ludzi wyższego rodu, i razem weszli rozmawiając z sobą.

Niktby się nie domyślił, że z niecierpliwością oczekują chwili, w któréj śmierć będą mogli sobie zadawać. We trzech przystąpili do mnie; podaliśmy sobie rękę, na znak wzajemnego szacunku. Zaledwo kilka słów zamieniliśmy z sobą, a już i pan Polentz i pan Cielecki byli przy nas. Przypomnieliśmy sobie, że mamy społem wieczerzać; młodszy Einsiedler, ten właśnie, z którym za kilka godzin miałem krzyżować

szpadę, oświadczył, że się zatrudni sam tą wieczerzą, będąc sławnym w Dreznie i Warszawie gostronomem.

— A więc — odezwał się pan Polentz — o wpół do czwartéj złączymy się w bufecie; a teraz rozejdźmy się, żeby nie myślano, że my tu robimy spisek.

Ja na to odpowiedziałem:

— Oto przy mnie próżne miejsce, radbym je zachować dla pewnéj damy któréj oczekuję; czy nie łaska którego z was zająć je aż do jéj przybycia? Niedługo na swoje wyzwolenie czekać będzie. — Każdy chciał mi tę przysługę uczynić. Pan Polentz ich uprosił, żeby mu pozwolili siąść obok mnie.

Usiadł; tamci czworo rozeszli się szukać awantur maskowych, ale moja rozmowa z panem Polentz krócéj trwała, niżelim się spodziewał. Zaledwo się zaczęła, spostrzegamy mężczyznę zamaskowanego, w ubiorze pielgrzyma, który prowadził westalkę; on ją do mnie przyprowadził, poczém ukłonił się jéj z oznaką najgłębszego uszanowania, i zaraz się oddalił.

Poznałem moją sybillę w tym nowym stroju. Ubiór był jeszcze gustowniejszy niż poprzedni, bo więcéj wydawał jéj prześliczną talię. Miała tiunikę muślinową, białą jak śnieg, ściśnięta niebieską szarfą niżéj piersi; welon koronkowy spadający z głowy aż poniżéj kolan, a na głowie girlandę z róż, godło kapłanki. Pułkownik Polentz zaraz jéj ustąpił swojego miejsca, za co mu podziękowała skinieniem głowy pełném wdzięku.

Usiadła przy mnie, i zaraz odezwała się:

— A widzisz, że miałam słuszność, kiedym ci powiedziała, że znajdę cię na tém miejscu.

— Chociażbym miał się tobie narazić, jednak wyznam ci szczerze, że nazajutrz po téj reducie, na któréj cię poznałem, byłbym wyjechał. Na nieszczęście był to poniedziałek, dzień do wyjazdu feralny u nas Rusinów. Przez wzgląd na moich ludzi, odłożyłem wyjazd do wtorku. Wtém nadeszły okoliczności nieuległe mojéj woli, które mnie zmusiły jeszcze odłożyć mój odjazd i zapędziły na tę redutę.

— Dziękuję za komplement; i jakież to są okoliczności, które cię zatrzymały w Warszawie?

— Nie takie, któreby zasługiwały na to, bym cię niemi zajmował; zwyczajnie interesa domowe, wymagające mojéj przytomności, jakieś rachunki do załatwienia z bankierami.

— O biedny rycerzu! myślisz że coś się utaić może przed mojém okiem? Wprawdzie już nie jestem sybillą, ale i westalka obcuje z bogami, a oni jéj odkrywają tajemnice najskrytsze tych, których bierze w swoją opiekę. Posłuchaj więc mojéj wyroczni. Interes twój nie

jest z takich, które się złotem lub srebrem ułatwiają; potrzebuje on twojego żelaza.

— Co śmiesz mówić?

— To, do czego honor nie pozwala ci się przyznać. Słuchaj! dla cudzéj sprawy masz życie twoje narażać. Takie są prawa wasze; ale o ciebie jestem spokojną, bo wiem że zgoda nastąpi bez krwi przelewu.

— Nie wiedziéć coś sobie uroiła; z nikim się nie pokłóciłem; o niczém nie wiem, tylko że Warszawa mi kością w gardle staje i że przed południem ją opuszczę na zawsze.

— Dziękuję ci za drugi komplement, mój ty niegodziwy kłamco! Ale cóż? Wy układacie, a ja rozporządzam. Zabieracie się wieczerzać; ja przeciw temu nic nie mam. Przy iskrzącym szampanie macie oczekiwać brzasku dziennego; i przeciwko temu nie myślę stawić przeszkody. Bawcie się dzieci zdrowo! Jak cokolwiek zaświta, macie wyruszyć za miasto, ma być zacięta bitwa między Polakami i Sasami! Darujcie! ale z tego nic nie będzie! bo to się nie zgadza z wolą ani sybilli, ani westalki. Odpowiedz-że teraz, dziki i waleczny Scyto! A widzisz? Języka zapomniałeś w ustach, tak cię biedna niewiasta zmięszała! A czyż nie lepiéj było być z nią szczerym? Nie wstydź się: władza téj niewiasty jest tak wielką, że ulegają jéj wyżsi od was i potęgą, siłą i sławą, a nawet walecznością.

Byłem zdumiony, przerażony; nakoniec zdobyłem się na taką odpowiedź:

— Nie znam potęgi wyższéj od honoru; a chociaż widzę, że jesteśmy zdradzeni, na tém tyle tylko zyskasz, że to co ma być zaraz, na późniéj będzie odłożone. Ale i ja cię ostrzegam, masko, którą spotkałem na moje nieszczęście, która mi pokoju nie dajesz: nie nadużywaj swojéj potęgi, nie sięgaj po mój honor, rzecz jedyną, którą w nieskazitelności jeszcze zachowałem. Wszystko inne możesz mi odebrać, ale bezkarnie ci nie ujdzie najmniejszy z twojéj strony zamach na moją sławę.

— Wybornie! grozisz mi swoją zemstą, a jesteś niewdzięczny. Jeżelim cię szukała, to pewnie nie dlatego, żebym ci chciała szkodzić. Bynajmniéj, nie lękaj się ponieść szwank na swoim honorze; on mi jest tak drogi jak i tobie, bo nie umiem być przez pół przyjaciółką, a potém ty wiész, że człowiek skażonego honoru ani miłości, ani przyjaźni od Polki nie otrzyma. Wszystko mnie zostaw, bo choćbyś mi się chciał sprzeciwić, to napróżno; wszystko musi stać się, jak ja chcę. Ale posłuchaj dalszych moich wyroczni. Ułożyłeś sobie, że zaraz po odbytym pojedynku siądziesz do twojego powozu i ruszysz ku swoim stepom; już na poczcie konie są dla ciebie zamówione i opłacone, żebyś o samém południu mógł wyruszyć; a ja ci zapowiadam, że i za pół roku ztąd nie wyjedziesz.

— Chyba że mnie uwięzisz, nasadziwszy na mnie swoich siepaczy; inaczéj mnie nie zatrzymasz.

— A, broń Boże! nie mam potrzeby gwałtu użyć, ty sam ani pomyślisz o wyjeździe. Za kilka dni twoja Ukraina wywietrzeje ci z głowy, a wiész, że nie kłamię.

— Cóż mnie tu zatrzyma?

— Miłość, miłość twoja dla przywiązanéj do ciebie kobiety, o któréj wiem, chociaż ani ona, ani ty do niéj przyznać się nie chcecie; ale wasze wyznanie dla mnie niepotrzebne, tyle tylko, że dałoby mi dowód waszéj ufności, na którą z każdego względu zasługuję.

— Napróżnobym z tobą nie był szczery. Przyznaję się do tego, o co mnie posądzasz, ale powiedz mi, o to cię błagam, jakąż mieć mogę nadzieję, chociażbym nawet był pewnym wzajemności téj, którą kocham? Znasz ją; powiedz, czy ona jest z takich, któraby się ulotną miłostką bawiła? Czy ja sam mógłbym poprzestać na tak niegodnéj roli? Kocham ją, ale i szacuję, a ten mój szacunek dla niéj jest tak wielki, że gdyby go utraciła, gdyby się pokazała jego niegodną, zamiast miłości, pozostałaby we mnie tylko pogarda dla niéj. Przestań więc mnie łudzić haniebną nadzieją; przenoszę moje własne nieszczęście nad wszelkie rozkosze, którebym okupił jéj niesławą. A jeżeli jesteś jéj przyjaciółką, powinnabyś się rumienić, że mnie nakłaniasz do ohydnego zamiaru sprowadzenia jéj z toru jéj obowiązków.

— Ale nie tak gorąco bierz rzeczy, mój romansowy rycerzu, ani myśl, żebym chciała niesławy najdroższéj naszéj Maryi. Mówisz, jak gdybyśmy żyli we Francyi lub we Włoszech, gdzie dwaj małżonkowie trafem albo przemocą połączeni, ohydnych więzów rozerwać nie mogą, — gdzie młoda kobieta, łakomstwem lub przesądami rodziców poświęcona nikczemnemu okrutnikowi, musi we łzach płużyć nędzny żywot, póki śmierć nie położy końca jéj męczarniom! A jeżeli zrzuci z siebie jarzmo niedoli, już jéj niewolno być żoną, matką, nawet cnotliwą niewiastą. Tyrańskie prawo, obmyślone przez płeć silną na uciśnienie płci słabéj, nie zostawia jéj innéj ucieczki, tylko rozpustę, a nielitościwa opinia potępia w niéj wyboczenia niesprawiedliwością prawa pobudzone. Żyjemy w Polsce. Nie pojmujemy, żeby jakakolwiek umowa mogła obowiązywać stronę, któréj, przy jéj zawarciu odjętą była wola, a czémże jest małżeństwo jeżeli nie najświętszą umową? Marya przez matkę swoję, była zmuszoną zaprzysiądz wiarę Kierdejowi. To może udowodnić, a tém samém w obliczu Boga, prawa i własnego sumienia nie jest jego żoną, a tylko niewolnicą. Możesz więc śmiało puścić wodze nadziei, żadnéj krzywdy nie zrządzisz jéj sławie, ofiarując jéj wolnéj woli to szczęście, z którego przemoc ją wyzuła; a że dopniesz tak szlachetnego celu, masz na to rękojmię w skrytych uczuciach jéj serca, i w mojéj jawnéj dla was przyjaźni.

Nigdy nie zdołam wyrazić wrażenia, jakie na mnie sprawiła ta jéj mowa z zapałem wyrzeczona. Pierwszy raz obraz prawdziwego szczęścia rozwinął się przed wzrokiem mojéj duszy. Te słowa: — Marya może być moją, — z jéj mowy wyciśnięte, napiętnowały się płomienistemi zgłoskami w moim umyśle, a z niemi jakieś przeczucie, które mi wątpić nie pozwalało o skuteczności pomocy mojéj nowéj przyjaciółki. W natłoku uczuć, które w jednéj chwili wzbudzone zostały, przesunęła się i ta myśl, że za kilka godzin pójdę na śmiertelną walkę. Pierwszy raz w życiu mojém doświadczałem coś podobnego do trwogi; nawykły do przeciwności losu, pomyślałem sobie: nadto jestem w téj chwili szczęśliwym, żebym tego srodze nie opłacił. Człowiek pożyty niemocą, często przed samém skonaniem odzyskuje na chwilę przytomność i siłę. Czy czegoś podobnego nie doświadczam? czy to nie jest jakaś ułuda, żebym idąc na śmierć, nie opuszczał bez żalu tego życia, dotąd tak nędznego, a do którego szczęście teraz uśmiechem swoim mnie przynęca? Czułem, że tracę ufność w mojéj sile, w mojéj zręczności, nawet w mojéj odwadze! Na co mam taić przed tobą, mój synu, że pierwszy raz w życiu przeląkłem się śmierci? Poznałem z własnego doświadczenia, że nie ma uczucia więcéj dręczącego nad bojaźń, i że istoty tchórzliwego serca największą litość powinny wzbudzać.

Długi czas milczałem, rozbierając myśli moje. Westalka zdawała się wzrokiem badawczym śledzić w oczach moich tajniki mego serca. Nakoniec odezwała się:

— Czy przyjmujesz ofiarę mojéj przyjaźni? Na znak tego podaj mi rękę.

— Pani! — odrzekłem — oddaję ci się całkowicie, rozporządzaj mną, jak ci się zdawać będzie. Tyś odkryła przedemną szczęśliwe przeznaczenie; jakżebym nie miał tobie ufać? Ale nie śmiem wierzyć, żebym mógł do niego dostąpić. Nadto od urodzenia mojego jestem pokrzywdzony przez los, żebym się przyzwyczaił do jego tak nagłéj odmiany! Nie obrażaj się, pani, moją być może zuchwałością, jeżeli odważę się zapytać: kto jest ten anioł opiekuńczy, który mi dłoń podaje, który w swoję potężną pieczę bierze mój los?

— Ciekawość jest pierwszym szczeblem do piekła, mówi przysłowie. Jednak nie chcę cię zasmucać; dwadzieścia cztery godzin nie upłynie, a będziesz u mnie i zaspokoisz swoją ciekawość, a potém obmyślę, jakby cię zbliżyć do damy twoich myśli. Żądam tylko, i tego się nawet domagam, żebyś pełną ufność we mnie położył, żebyś się niczém nie zrażał, żeby nic takiego, coby przeciwko mnie moi nieprzyjaciele tobie powiedzieli, w niczém twojéj ufności nie cofnęło; żebyś był wyrozumiałym na to wszystko, coby ci się w mojém położeniu nie podobało; żebyś zrazu miał wiarę ścisłą, iż jestem twojéj Maryi najgorliwszą przyjaciółką, a tém samém i twoją. Bez tych wa-

runków nie mogę być wam pomocą, a jeszcze dodam do tego, chociażbym miała w tém ponieść szkodę w twoim szacunku, że nie jestem bezinteresowną w waszém szczęściu, i że owszem, jak się późniéj o tém przekonasz, wspólność interesu nas łączy. Daj mi słowo szlacheckie, że temu żądaniu zadosyć uczynisz; a choć miałabym prawo nie ufać słowu przez ciebie danemu, bo na ostatniéj maskaradzie przyrzekłeś mi, że na następnéj znajdować się będziesz, a przecież nazajutrz wybierałeś się do opuszczenia Warszawy, i pozawczoraj może byłbyś ją opuścił, gdyby Gurowski nie był cię uprosił do swojego pojedynku, jednak spuszczę się tym razem jeszcze na to słowo.

— Pani! — odpowiedziałem z uniesieniem — tyś mnie zniewoliła współczuciem w mojéj niedoli, więcéj jeszcze niż zadziwiła swoją tajemniczą potęgą. Téj potęgi mógłbym się lękać, lecz przed nią nie ugiąłbym kolana; ale współczucie, jakieś mi okazała, jest dla mnie jeszcze wyższą potęgą, niż ta, któréj dałaś mi takie dowody, bo przez nie zhołdowałaś mnie na zawsze. Oprócz twojéj, innéj woli mieć nie chcę; choć cię nie znam, moja dusza odgaduje twoją. Jakaż potwarz, jakaż obmowa zdoła osłabić tę ufność, którą pokładam w tobie, a do któréj tak wielkie masz prawo? Jakiekolwiek byłyby twoje obłędy, ich źródło mogło być tylko szlachetne. Oddaję ci się zupełnie, wspaniałomyślna opiekunko! Rozrządzaj mojém przeznaczeniem, tyś mnie pogodziła z życiem; byłbym nie tylko najniewdzięczniejszym, ale nawet najnierozsądniejszym z ludzi, gdybym tobie nie wierzył więcéj, niż mowom wszystkich ludzi, więcéj niż własnych oczów przeświadczeniu. Poprzysięgam ci na moją cześć szlachecką, na miłość jaką czuję dla Maryi, nieograniczone posłuszeństwo!

To mówiąc, trzymałem jéj rączkę w mojém ręku i uczułem jéj przyjacielskie ściśnienie.

— Mój przyjacielu! — rzekła do mnie — tak się uniosłeś, takeś głos swój dopiéro podniósł, że maski nas otaczające mogłyby cię wziąć za obłąkanego na umyśle; nadto mało sobą władasz, żebym przedłużała z tobą rozmowę o przedmiocie, który ci przytomność odejmuje. Zresztą nie mamy powodów o nim więcéj mówić; powiedzieliśmy sobie wszystko, co nam było potrzebne, resztę jutro dopowiemy. Jutro o pierwszéj po południu, bez wpływu twojéj woli, będziesz mnie widział, bądź tego pewny; masz jeszcze kilka godzin do zgadywania: czy jestem szpetną? czy piękną? dopóki sam się nie przekonasz o rzeczywistości, która rzadko kiedy dla kobiety jest przyjaźniejszą od marzenia. Spuśćmy się teraz z wyżyn uczuciowych na padół redutowy. Na mocy posłuszeństwa ślubowanego mi dopiéro przez ciebie, rozkazuję ci, żebyś na téj reducie już nic nie wspominał takiego, coby się odnosić mogło do damy twoich myśli. Żaden ze znajomych do nas się nie przybliżył; czas rozpędzić tę chmurę, która nas od nich prze-

działała. Weź mnie pod rękę i prowadź mnie po sali; zobaczysz jak będziemy napastowani. A przecie trzeba i poszaléć trochę na maskaradzie.

To rzekłszy, powstała, kiwnęła ręką, a kilkanaście masek, które ciągle przed nami się kręciły, w jednéj chwili się rozsypały i zupełnie odmienne maski przed nami się pokazały.

Podałem jéj rękę i poszedłem z nią naprzód. W saméj rzeczy, co krok byliśmy zatrzymywani, ja przez maski, moja partnerka przez kawalerów wielkiego świata we własnych swoich postaciach, usiłujących zgadnąć, kto jest ta westalka ze zgrabną kibicią, z ostrym dowcipem, z ubiorem bogatym i gustownym.

Pierwszym który do nas przystąpił był pan podstolic koronny, wielki fanfaron. Spojrzał westalce w oczy, uśmiechnął się z miną podbójczą i odezwał się:

— O zgrozo! westalka na reducie jakby bachantka! czy się nie lękasz, aby cię żywcem nie zakopano? Jeżeli senat na to cię wskaże, dobijać się będę o szczęście podzielenia twojéj kary.

— Mój podstolicu — odrzekła — coś podobnego powiedziałeś jednéj sybilli na przeszłéj maskaradzie. Chociaż kradniesz sobie lat dziesiątek, niestety nikogo nie oszukasz; powtarzasz się, a więc widocznie starzejesz.

Podstolic odskoczył.

Po nim przybliżył się starościc Rzeczycki.

— Piękna westalko! — rzekł do niéj — nie wiem czy wyrocznie jakie ogłaszasz, wielki Jowisz ziści; ale gdy patrzę na te czarne oczy, które z pod téj larwy się wydobywają, zaręczam, że jeżeli przyszłość śmiertelników nie jest ci wiadomą, to pewna, że na nią wpływasz.

— To coś powiedział, byłoby niezłe, tylko że niedokładne. Westalka wyroczni nie ogłasza; pomięszałeś westalki z sybillami, a wiesz zkąd to pochodzi? Oto ztąd, że nie douczyłeś się rannéj twojéj lekcyi. Ty masz dwie stare książki francuzkie samych anegdot; codzień kilka kartek z nich odczytujesz, i z nich nabierasz funduszu dowcipu na cały dzień. Pamięć cię zawiodła; drugi raz czytaj z większą uwagą. — Wszyscy parsknęli śmiechem około zmięszanego starościca. A któżby zapamiętał wszystkie wyskoki jéj dowcipu?

Przechodząc po sali, spotkaliśmy kasztelanica Poznańskiego; ten mi szepnął:

— Wieczerza będzie wyborna, my wszyscy prócz ciebie nią się zatrudnili. Będziemy mieli bażanty z Czech sprowadzone, a ostrygi tak świeże, jakby prosto z morza; przyjdziesz do gotowego. A jakie szampańskie wino! już jednę butelkę wypróbowaliśmy z Einsiedlerami i naszemi świadkami; ciebie nie można było wyszukać. Widzę cię z miłą towarzyszką; któż jest ta westalka?

Spojrzał w jéj oczy, i jakby przestraszony, zaraz odskoczył.

Wtém o kilka kroków przed nami postępowała maska ku nam. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, który powoli ku nam dążył. Skoro go spostrzegła moja westalka, odezwała się do mnie:

— Wybacz, mój drogi pupilu, że muszę cię opuścić; to domino, które się do nas zbliża, odprowadzi mnie do domu. A ty ustąp się i baw z twoimi trzpiotami. Bądź tylko wesołéj myśli, wszystko pójdzie jak najlepiéj; moja opieka nikogo nie zawiodła. Do zobaczenia i to niezadługo!

I wyrwała się z pod mojego ramienia, i powierzyła się temu nieznanemu dominu.

Jedna okoliczność wtedy zastanowiła moję uwagę. Książę Radziwiłł, kanclerzyc Litewski, pobudzony ciekawością, zabierał się iść za westalką i jéj przewodnikiem, ażali nie uda mu się ich podsłuchać i tym sposobem ich poznać, bo oni ciągle coś do siebie mówili. Wtém margrabia Wielopolski, marszałek nadworny koronny, uchwycił go za wylot od kontusza, bo książę nosił się po polsku, i powiedział mu cicho, co jednak mogłem dosłyszéć:

— Mój książę, zaniechaj téj westalki i tego domina; wiesz że jestem twoim przyjacielem, możesz mi wierzyć. Otóż radzę ci tu zostać i ich nie zaczepiać. — Coś jeszcze w ucho mu powiedział, ale tak cicho, że tego dosłyszéć nie mogłem.

Książę został obok margrabiego, i z miejsca czas długi nie ruszył.

Co do mnie, byłbym opuścił salę, gdybym mógł sobą rozporządzać, ale byłem poniekąd niewolnikiem Gurowskiego. Tego honor wymagał; wkrótce spostrzegłem go mającego pod ręką tego, z którym za kilka godzin miał się bić do upadłego; wyglądali, jakby byli najściślejszemi przyjaciołmi.

— Co to jest? — odezwał się do mnie — widzę cię bez twojéj westalki? Czy ty ją, czy ona ciebie porzuciła? Jakże rozstaliście się z sobą?

— Musiała miéć dość téj maskarady, bo skoro w dominie przybył jakiś jak widać personat, ona zaraz mnie pożegnała, jemu się powierzyła, i oboje opuścili salę. Rzecz dziwna; książę kanclerzyc Litewski chciał pójść za niemi, ale margrabia Wielopolski od tego go odwiódł.

— Czy tak? jakże wyglądał ten domino?

— Przez chwil kilka mogłem go oglądać; larwa biała zakrywała mu twarz; płaszcz jego czarny był jak najpospolitszy, sam był milczący, niczém się od innych nie odznaczał, tylko nadzwyczajnym wzrostem.

— I mówisz, że margrabia Wielopolski odwiódł księcia kanclerzyca od pójścia za niemi?

— A tak! dopiéro ci powiedziałem, że na własne uszy słyszałem, co pierwszy drugiemu szepnął.

— Wzrost słuszny... Wielopolski tuż przy nim... Westalka póki była jeszcze sybillą, glejtowana przez gwardyaków przebranych po janczarsku... wojewoda przydany jéj do straży... Najmniejszéj nie pozostaje wątpliwości! jestem w domu! To darmo, lew umiera w swojéj skórze. Proszę uniżenie! co ludzie gadają, to i wygadają. A więc tak się rzeczy mają, że po pannach i mężatkach nakoniec złożył serce pod stopami wdowy. Nie inaczéj; to ona opierała się więcej roku, widać że nakoniec uległa. Wierzże kobietom!

— Co ty sam do siebie gadasz jak owaryowany? Wolałbyś mi powiedziéć nazwisko téj westalki, bo co się tyczy tego domina, ten bynajmniéj mnie nie obchodzi!

— Bynajmniéj nie obchodzi! bagatela! a wieszże człowiecze, kto jest ten co ciebie nie obchodzi? Przepraszam panie hrabio, że odchodzę od twego miłego towarzystwa, bo mam do mówienia z panem Skoropackim; złączymy się z sobą niedługo za stołem.

To rzekłszy, wziął mnie pod ramię i jak najśpieszniéj odprowadził mnie do sali bufetowéj. Tam znaleźliśmy kącik próżny, gdzie bez świadków można było z sobą pomówić. Kasztelanic oparł się na mojém ramieniu, i tak zaczął:

— Ten w dominie, który tak mało cię obchodzi, nie jest ni mniéj ni więcéj, tylko król, pan nasz miłościwy.

— Co mówisz?

— Najprawdziwszą prawdę, o tém najmniejszéj nie mam wątpliwości.

— A ta maska, czy znasz ją?

— Nie znam, ale wiem kto ona jest. Wszakże ty musisz ją znać koniecznie, bo ona z waszych stron.

— Daję ci słowo honoru, że ją pierwszy raz w życiu spotkałem w niedzielę na reducie, kiedy pokazała się jak sybilla. Długo rozmawialiśmy z sobą, a że nie odmieniła przyrodzonego swojego głosu, byłbym ją poznał. Jest-to zupełnie nowa dla mnie znajomość; to pewna, że jest świadoma wielu okoliczności tyczących się mojéj osoby, a że, jak mówisz, ona jest z téj saméj prowincyi co i ja, przestaję się temu dziwić: powtarzała to, co o mnie mogła zasłyszéć.

— A mnie to wielce zadziwia, żeś jéj nigdy nie spotkał, bo byłeś wychowany na dworze nieboszczyka księcia Sołomereckiego, a ona jest jedyną i rodzoną siostrą jego zięcia i spadkobiercy.

— Jakto! onaby miała być siostrą pana Kierdeja! to być nie może!

— Nie inaczéj, i za kilkanaście godzin, o tém się sam przekonasz, jeżeli, o czém nie wątpię, wyjdziesz cały z naszego pojedynku, bo

jużci, to szukanie cię dwukrotne, te wasze rozmowy, dowodzą, że chce byś się do niéj zbliżył. Musi w tém być jakiś cel, zimny a zanadto szczęśliwy człowiecze! Jednak radzę ci być ostrożnym, bo to nie przelewki iść w zawód z panem swoim. Można djabelnie się oparzyć.

— Porzuć! mnie nie w głowie podobne dziecińźstwa. Ale najwyższą pobudziłeś we mnie ciekawość; powiedz mi wszystko co wiész o niéj.

— Powiedziałem już, że jéj nie znam. Wszakże żyjąc u dworu, mogłem czegoś się o niéj dowiedziéć. Posłuchaj: Po śmierci pani Orzelskiéj król zdawał się być nieutulonym w żalu. Zabiegi JO. i JW. naszych kandydatek do zajęcia wakującéj posady były daremne. Król zaczynał się rzucać w objęcia dewocyi. Była to zmiana, która nas dworaków wielce zadziwiała. Na assamblach rozmawiał tylko z matronami; po całych godzinach zamykał się z księdzem Darowskim opatem Pelplińskim, który dopiéro został jego spowiednikiem rzeczywistym, bo był dotąd ad honores, jak ci nasi biskupi in partibus infidelium. Tyle tylko, że pił z wojewodą Przebendowskim. Ta jedna słabość dawnego trybu życia w nim pozostała. Zaczynało nam być duszno, bo kiedy król nie ma faworyty, dworaki nie mają co robić.

Trwało to około roku, po czém król już zdawał się być weselszym. Już nie odbiegał od młodych dam dworu, już przestał zamykać się z księdzem opatem; wszystko stopniami wróciło do dawnego. Tyle tylko, że miejsce pani Orzelskiéj nie było zajęte, co tém więcéj zadziwiało wszystkich, że i bez przyjaciółki którąby go bawić umiała, przecie znalazł się jakiś środek do rozpędzenia jego smutku, środek jeszcze tajemnicą pokryty. Ale cóż się utaić może w zupełności przed dworskim wzrokiem?

Zaczęto przebąkiwać u dworu, że przybyła do Warszawy z Wołynia młoda wdowa, pani Krajewska, siostra pana Kierdeja, który był w łaskach u króla; że z bratem zostawała w nieporozumieniu, tak dalece, że nawet z jego strony doświadczała prześladowania, i jakoby przyjechała szukać królewskiéj nad sobą opieki. Miała posłuchanie prywatne u króla; dodawano, że na nim zrobiła wielkie wrażenie i że to jéj sam oświadczył, ale ona pogrążona w tęsknocie po mężu zmarłym w kwiecie swoich lat, bo tylko z nim dwa lata niespełna przeżyła, zalotów króla przyjąć nie chciała; że nikt jéj poznać nie mógł, gdyż nie pokazywała się na żadném publiczném miejscu, z żadnym domem znajomości nie zabierała, rzadko kiedy wychodziła ze swojego mieszkania, tak że ją spotkać można było tylko w kościele księży Augustyanów, gdzie codzień mszy świętéj słuchała, ale zawsze okryta welonem wdowieńskim, który przegradzał jéj wdzięki od zuchwałych spojrzeń. Domyślamy się, że musi być piękną, kiedy tak wielkiemu

znawcy piękności niewieściéj jak król, umiała się podobać. Ale żaden z dworzan nie może się pochwalić, żeby jéj oblicze oglądał. Nakoniec przestano o tém mówić: u dworu niczém nie zajmują się długo. Od miłości króla odwróciła się uwaga dworzan do sukni, którą Ogiński, pisarz polny Litewski, wywiózł z Paryża, a w któréj był przedstawiony młodemu królowi Francuzkiemu. To pewna, że nic bogatszego i smakowniejszego wymyślić nie można.

Ale wracając do naszego, dowiedziano się, że król przywołał na posłuchanie w cztery oczy pana Kierdeja, że pan Kierdej wyszedł z zamku w widoczném pomięszaniu, i że z siostrą skończył zgodnym sposobem. A więc ta siostra, gdy załatwiła to, po co tu przyjechała, powinnaby była wrócić do swojego Wołynia, a jednak siedzi w Warszawie, w niczém nie odmieniając raz przybranego trybu życia. Tak jak wprzódy, codzień jest na mszy w kościele Augustyanów; tak jak wprzódy okryta welonem; tak jak wprzódy nigdzie nie bywa, tylko u bratowéj, która zamknęła dom swój od końca ostatniéj swojéj ciąży, a nierychło go otworzy, gdyż nosi żałobę po ojcu, a tymczasem król coraz weselszy; już ani się odezwie o pani Orzelskiéj, on, który ciągle ją wspominał. I o tém przestano mówić. Jak widzę, teraz zupełnie coś nowego. Ta dzika piękność już bywa na maskaradach; sama zabiera znajomości z gładkim kawalerem i usiłuje mu głowę zawrócić, czego wedle wszelkiego podobieństwa już i dokazała. Nikomu nie szczędzi ucinków pełnych szczypiącego dowcipu, a daje rozkazy gwardyom, i jest zawsze pod okiem jakiéjś straży; aż strach około siebie rozsiewa. Nic dziwnego, kiedy król jak romansowy młodzik przybył w masce, aby ją odprowadzić. Ty jéj widocznie wpadłeś w oko, szczęśliwy Ukraińcze! Jest-to prawo natury niewieściéj: im mniéj kto dba o łaskę kobiet, tém więcéj one lgną. Nasz królewicz Sobieski, ten co się ożenił z Wesslówną, mawiał: — Kochaj, a będziesz kochany. — Przepraszam jego królewiczowską mość, to się stosować nie może do naszych Polek; jeżeli w któréj z nich zakochasz się na prawdę, bywaj zdrów. Będzie mieć ciebie za dudka i nic nie wskórasz. Chcesz ją zająć, udawaj że nią pogardzasz; ale udawaj dobrze, aby się nie spostrzegła, że tylko udajesz, bo ci tego nigdy nie odpuści; a jeżeli dobrze wygrasz swoję rolę, ta dumna piękność zostanie twoją niewolnicą i zrobisz z nią co ci się podoba. Tylko ciebie uczyć nie trzeba jak masz postępować z kobietami; dość cię poznałem na tych dwóch maskaradach, by twierdzić żeś do nich majster. Ale już się zbliża pora do wieczerzy. Przyznam ci się szczerze, że czuję okropną czczość w moim żołądku; zobaczysz, jak się popiszę za stołem. O święte rycerskie żelazo! niczego nie wymagasz od tego, który ma się tobą popisywać przed chwilą popisu. Nie tak jak ten przebrzydły pistolet, co na dwie doby przed pojedynkiem już każe trzymać się

dyety. Dał mi się on we znaki roku przeszłego. Powadziłem się był z najlepszym moim przyjacielem, Strusiem, dworzaninem księcia prymasa. Rzecz poszła o muzykę: Struś gra na skrzypcach virtuoso, a ja tyle tylko, że nogą takty wybijam podczas opery lub koncertu, ale mam odgłos wielkiego amatora. Struś dowodził, że prima donna naszéj opery, Liwia Gintotardi, ma doskonałą metodę, ale głos kozy. Ja utrzymywałem, że tylko Serafin śpiewający u nóg Jehowy, może miéć głos melodyjniejszy; z tego sprzeczka. Ja jestem prędki, a Struś uparty; od słowa do słowa, przyszło do tego, że mi powiedział: — Nie znasz się. — Ja go wyzwał na rękę, on zapytał na jaką broń? ja wyrwałem się jak Filip z konopi: — Na jaką waćpanu się podoba; — on wybrał pistolety. Przyjaciele usiłowali nas pogodzić, ale ani Struś, ani ja nie daliśmy sobie o tém mówić. Sprzeczka była w niedzielę; sekundanci ułożyli bitwę na środę z rana, jeżeli godzi się nazywać bitwą wystrzał. Na moję biedę wybrałem na sekundanta Rotermunda, majora pierwszego pułku łanowego. Podżyły major do chwili spotkania o krok mnie nie odstąpił: po kilka godzin na dzień przymuszał mnie strzelać do tarczy. To jeszcze pół biedy; ale jeść mi nie pozwalał, jakoby kula przez próżne kiszki miała się prześliznąć; ja, choć go w duchu przeklinałem, byłem mu posłuszny, bo jako człowiek doświadczony wziął górę nademną, który pierwszy raz miałem się strzelać. Morzył mnie głodem przez trzy dni, bo tylko waserzupką mię karmił. Ja strzelam jakkolwiek; Struś doskonale. Przyszła nakoniec chwila mojego wyzwolenia. O ośm kroków strzeliliśmy do siebie na komenderówkę, tak postanowiono. Miałem koszulę przestrzeloną, a ja jemu kapelusz obróciłem na głowie, a nam samym nihil. Chciałem, aby powtórnie nabili pistolety, ale sekundanci na to nie pozwolili; pocałowaliśmy się i na tém koniec, a com się wypocił, to mi było w zysku. Na szpady czy pałasze, człowiek przynajmniéj da, lub dostanie jaką pamiątkę; pistolet najgłupsza broń, bo nie jest grą zręczności i odwagi, ale poprostu jakąś loteryą, gdzie tchórzowi może się udać z najwaleczniejszym mężem. Ale czy uważasz jak coraz mniéj osób w sali? Idźmy do naszego gabinetu, ażali tam naszych nie znajdziemy.

W saméj rzeczy zastaliśmy ich za stołem; czekali na nas. Skorośmy zasiedli, podano ostrygi; kilka razy wypróżnione półmiski znowu się napełniały. Zaczęły korki wyskakiwać z butelek i strugi szampana tryskać między biesiadnikami. Zauważyłem, że zanadto towarzystwo się animuje; odezwałem się:

— Panowie! nie zapominajcie, że za kilka godzin największa przytomność nam będzie potrzebną. Cóż bedzie z tego, jak staniemy do walki podchmieleni? Aby czasem nie powiedzieli źli ludzie, że my jesteśmy z liczby takich, co potrzebują do swojéj odwagi adytamentu

z rozpalających trunków. Jabym radził zaniechać butelki, rozpłacić się za wieczerzę, i prosiłbym panów do siebie, a u mnie na sucho czekać pierwszych promieni jutrzenki.

— Zgoda! — odpowiedzieli wszyscy.

— Za pozwoleniem — odezwał się młodszy Einsiedler — skończmy tego bażanta, a na waletę, wypijemy dla strawności po jednym tylko kieliszku szampana, i zaraz potém służyć panu będziemy.

Wszyscy na to zezwolili.

Po ostatnim kieliszku, przywołaliśmy gospodarza do rachunku; jak go nam podał, stosownie do naszéj umowy, bracia Einsiedlerowie, Gurowski i ja ciągnęliśmy na losy, kto z nas zapłaci. Mnie się dostał węzełek; gdy obliczałem gospodarzowi pieniądze, pułkownik Polentz dość niezgrabnie się odezwał:

— Panie Skoropacki, czy nie bierzesz za złą wróżbę, żeś węzełek wyciągnął?

— I owszem — odpowiedziałem — albowiem możeż być lepsza wróżba, jak ta, że mi los przeznaczył częstować tak zacnych i godnych mężów?

Wyszliśmy więc do tego przedpokoju, gdzie byli nasi ludzie z naszemi szubami i szpadami

Przypasaliśmy szpady i zabierali spuścić się do oczekujących nas pojazdów, aleśmy jeszcze nie włożyli na siebie szub, kiedy raptem stanął przed nami pan Poniatowski, szef gwardyi koronnéj. Na widok tego walecznego współtowarzysza Karola XII, stanęliśmy z uszanowaniem. Lecz jakież było nasze zadziwienie, kiedy odezwał się temi słowy:

— Mości panowie pułkownicy! z rozkazu króla jegomości aresztuję was, do nowego jego rozkazu.

Wszyscy czteréj oddali mu natychmiast swoje szpady.

Pan szef do nas dwóch się obrócił:

— Mości panowie! nie mam prawa was aresztować, bo znam jakie są przywileje szlachty w wojsku niesłużącéj; ale oświadczam, że król życzy sobie, abyście dobrowolnie poszli do aresztu. Czy macie zamiar przeciwić się woli królewskiéj?

Ja na to:

— Tyle mam obowiązków dla króla jegomości, najmiłościwszego mojego pana, że byłbym najniewdzięczniejszym z ludzi, gdybym nie miał sobie za szczęście każdy jego rozkaz dopełnić.

A pan kasztelanic Poznański powiedział:

— Nadto czuję się być wiernym poddanym najjaśniejszego pana, abym jakimkolwiek przywilejem chciał się zasłaniać przeciwko jego woli. — I oddaliśmy nasze szpady.

Pan szef rozkazał nam wyjść z nim na dół; dwie karety dwor-

skie już były przy sieniach: na rozkaz szefa, my wszyscy zajęliśmy w nich miejsca. Zauważyliśmy, że pikiet konny glejtował te pojazdy. Konie ruszyły; pojazdy stanęły na dziedzińcu koszar gwardyi koronnéj, otworzono karety. Sztabs oficer, który musiał na to odebrać rozkaz, pana kasztelanica i mnie zaprowadził do jednego pokoju, panów hrabiów Einsiedlerów do drugiego, a naszych świadków do pułkownika gwardyi. Przy naszych kwaterach stanęły szyldwachy, aby nas z niéj nie wypuszczać. W naszéj stancyi były dwie kanapy wygodne; niedługo rozmawialiśmy z sobą o naszéj przygodzie, rzuciliśmy się na nie, a jako obaj zmęczeni bezsennością redutową, do tego trochę przemarzeni szampanem, wkrótce usnęliśmy snem głębokim.

ROZDZIAŁ XXIII.

Zegar wieży koszar gwardyi koronnéj uderzył był dwanaście razy, kiedyśmy się ocknęli. Pierwsze słowa jakie z kasztelanicem wyrzekliśmy do siebie, odnosiły się do naszego położenia. Usiłowaliśmy odgadnąć, co nas może czekać; najmniejszéj nie pozostawało wątpliwości, że mający się odbyć nasz pojedynek ściągnął na nas ten rodzaj prześladowania; że król tego nie chce dopuścić. Co do mnie, z tych słów co mi wyrzekła moja maskowana partnerka już wiedziałem, że będzie przeszkoda naszemu spotkaniu; ale postanowiłem te jéj słowa przy sobie zatrzymać, kasztelanic zaś głowę łamał, aby odgadnąć kto mógł nas zdradzić? Zresztą rzekł do mnie: — Co się odwlecze, to nie uciecze. I my i nasi przeciwnicy zarówno pragniemy pokrzyżować z sobą szpady. A więc w wolnym czasie przyjdzie się do tego. Nam nie wiekować w kozie; my przecie polska szlachta, aresztanci uproszeni, a nie przymuszeni; dziś jeszcze nas wypuszczą, o to pokój. Każdy z nas jest elektorem w Polsce, jak najjaśniejszy pan w rzeszy niemieckiéj. Par super parem non habet potestatem. Tego mnie nauczył mój ojciec, JW. kasztelan Poznański, chociaż jest gorliwym stronnikiem króla. Z tamtemi będzie trudniéj, bo są pułkownikami, a służba wolność traci. Na sercu mi, żem Cieleckiego wplątał w kłopot. Dopóki z niego się nie wyplącze, wolność moja więcéj mi będzie ciężyć od niewoli.

Oj! gdybym mógł się dowiedzieć kto się nam przysłużył? tylko że rozważywszy rzeczy, i naszych pułkowników nic tak dalece złego spotkać nie powinno. Nikt tego nie dokaże, aby szlachta za osobiste krzywdy ciągnęła się po sądach. Byłoby to oblatowanie swojego tchórzostwa; to dobre dla tych, którym łokieć jest orężem, a pie-

niądz honorem, ale niech nas Bóg zachowa od podobnéj sromoty. A co wart szlachcic, który nikogo nie obznaczył, lub sam nigdy nie był obznaczony? Nasz król jest przecież żołnierzem, na to jest wyrozumiałym. Jego dusza nienawidzi ludzi naszego stanu mało odważnych, bo jużci zupełnego tchórza w stanie rycerskim być nie może; my nazywamy tchórzem takiego, co się źle bije, który kiedy ma pojedynek, nie tak wygląda jak zwykle; ale takiego nie znajdziesz, coby odmówił bitwy.

Kasztelanic był w takim sztosie gadatliwości, że nie tak prędko ustaby mu się zamknęły, kiedy drzwi się otworzyły, a pułkownik gwardyi stanął na ich progu. Był to pan Jodko, oficer wsławiony w wojnie przeciw Karolowi XII, a mający zachowanie u króla, który go zawsze zabierał z sobą, ile razy odjeżdżał do Drezna. Był-to człowiek zimny, małomówny, ostry przestrzegacz karności wojskowéj, pełen honoru i grzeczności. Powitał nas uprzejmie, przepraszając za niewygodę jakiéjśmy doświadczyć musieli w domu, gdzie jest gospodarzem.

— Panowie pozwolicie się zaprosić na żołnierski ranny obiadek, który przyjąć możecie za śniadanie. Niedługo pogościcie u mnie, gdyż król jegomość powołuje panów na trzecią po południu do siebie. Panów towarzysze tenże sam rozkaz odebrali, a panowie zaraz zobaczycie się z niemi, jeżeli łaska, przy moim stole. Proszę waszmość panów z sobą.

Przybyliśmy razem do stancyi pułkownika Jodko; zastaliśmy stół już nakryty, i resztę naszéj kompanii, a pani pułkownikowa, dama nie w pierwszéj młodości, ale jeszcze przystojna i dobrze wychowana, jak najlepiéj wywiązywała się z obowiązków gospodyni. Zaprosiła nas do obiadu. Wszyscy znaleźliśmy go wybornym, a prawdę powiedziawszy, wielceśmy go potrzebowali. Rozmowa, przez wzgląd na hrabiów Einsiedlerów i pułkownika Polentza odbywała się w języku francuzkim; każdy swój podatek dowcipu i grzeczności przynosił do spółki, a największy był saméj gospodyni. Wszystkim chwile tak wydawały się miłe, że znak od gospodarza dany, by wstać od stołu, na nas wszystkich przykre sprawił wrażenie.

Niedługo bawiliśmy się po obiedzie. Przyszedł oficer dzienny, wywołał pułkownika Jodko, i coś mu szepnął, czegośmy słyszéć nie mogli. Natychmiast pułkownik do nas się zbliżył i ukłoniwszy się rzekł:

— Przepraszam, że będąc gospodarzem, zmuszony jestem wyprosić tak miłych gości; karety królewskie są gotowe, mam rozkaz zawieźć panów do króla; proszę z sobą. Jednak nie będziecie się przed nim stawiali jako aresztowani, bo wasze szpady będą wam zwrócone. Jeżeli chcecie, możecie się przebrać w waszych kwaterach,

tam już są wasi słudzy ze świeżym ubiorem. Zdaje mi się, że dwadzieścia minut wystarczyć powinno, gdyż fryzyery gwardyjscy już wam włosy uporządkowali, a proszę was o gotowość po upłynieniu tych dwudziestu minut.

Przyjęliśmy nasze szpady, każdy na późniejszy czas odkładając w myśli swojéj ich skrwawienie. Pożegnaliśmy naszą miłą gospodynią, która nam powiedziała:

— Przymuszeni zostaliście panowie mnie poznać, teraz proszę abyście z dobréj woli o nas nie zapominali. Codzień od dwunastéj do drugiéj jestem w domu, a co czwartek zbierają się na wieczór u mnie ci, co na nas są łaskawi, na które to wieczorki, raz na zawsze, ośmielam się wszystkich panów zaprosić.

I tak rozstaliśmy się z tą zacną damą.

Zastaliśmy sługi i świeże ubiory w naszych kwaterach, i przebraliśmy się jak najśpieszniéj. Pułkownik nie miał prawa użalać się na naszą opieszałość, bo ostatni z nas jeszcze dwie minuty przed danym nam terminem stanął przed nim we wszelkiéj gotowości. Siedliśmy do pojazdów wedle porządku, jaki przeznaczył pułkownik. Dwie były karety; w jednéj siadł pułkownik Jodko z panem Polentzem i braćmi Einsiedlerami, w drugiéj Gurowski, Cielecki i ja. Wyruszyły pojazdy, myśleliśmy że nas zawiozą do zamku; zadziwiło nas niemało, kiedyśmy spostrzegli, że wzięły kierunek na Królewską ulicę.

Wjechaliśmy w dziedziniec jakiegoś pałacyku na Królewskiéj ulicy, i na nim zastanowiły się karety. Wysiedliśmy z pojazdów, a pułkownik Jodko zaprosił nas z sobą; przechodzimy przez schody, podwoje otwierają się przed nami. Wchodzimy do przedpokoju, gdzie znajdujemy kilku lokai w liberyi; otwierają przed nami salon bardzo gustownie ubrany. Pułkownik każe nam się zatrzymać, a sam idzie daléj. Niedługo czekaliśmy. Otwierają się drzwi, widzimy wychodzącego króla; prowadził pod rękę damę uderzającéj piękności. Na jego widok skłoniliśmy się omal że nie do ziemi.

Król z uśmiechem pełnym łagodności rzekł do nas:

— Mości panowie! przyjmuję was w cudzém, a nie w mojém mieszkaniu. Od tego więc zaczynam, że was przedstawiam pani Krajewskiéj, gospodyni tego domu.

I jednego po drugim wymienił nasze nazwiska.

— Wszyscy ci panowie — odezwała się — są mi znani, nawet pan Skoropacki, lubo nigdy mojéj twarzy nie widział. Jest-to znajomość redutowa; pod maską niemało go namęczyłam, i wielce się raduję, że go bez maski przyjmuję w moim domu. Spodziewam się, że gdy za pośrednictwem waszéj królewskiéj mości jużeśmy się poznali w naszych własnych postaciach, pan Skoropacki nie zapomni

o bratowéj i ścisłéj przyjaciółce téj, w któréj domu wzrósł i przyjął wychowanie, i że będzie w nim bywać.

Ja się nizko przed nią skłoniłem na znak zezwolenia, bo przez uszanowanie dla króla nie śmiałem wynurzać tego słowami.

Pani Krajewska usiadła na sofie, a król jegomość tak do nas przemówił:

— Mości panowie! przeszkodziłem wam przelewać krew, która jest własnością ojczyzny; was Polaków i Sasów zarówno w sercu mojém noszę. Zjednoczeni pod naszém berłem, winniście się miłować wzajemnie; wiem dobrze, że obraza honoru krwi wymaga, ale wiem niemniéj, że gdzie téj obrazy nie ma, pojedynek jest występkiem. Zdaje się, że w zawodzie długoletnim wojennym zasłużyłem na to, by wszyscy wierzyli w moje siły o sprawach podobnego rodzaju. Hrabiowie Einsiedlerowie, rozkazuję wam, abyście podali dłonie przyjacielskie panom kasztelanicowi Poznańskiemu i Skoropackiemu, a tych ostatnich upraszam, aby to podanie rąk z uprzejmością przyjęli.

Podaliśmy sobie ręce.

— Mało na tém — dodał król. — Trzeba żebyście się uściskali jak przyjaciele i bracia, i dali sobie słowo szlacheckie w mojéj przytomności, że tę przyjaźń i braterstwo wzajemnie sobie dochowacie, bez żadnéj myśli wstecznéj. Nadto wiele daliście dowodów odwagi osobistéj, aby kto mógł posądzać, że przez słabość ulegliście woli waszego króla.

Po wzajemném uściśnieniu rąk, pocałowaliśmy się serdecznie, przyrzekając sobie przyjaźń.

— Skrzywdziłbym was — rzekł król — gdybym wątpił o szczerości waszéj; zresztą nie możecie się użalać, że wam nie dopuściłem zarzynać się, bo przez to waćpan, panie Skoropacki, poznałeś panią Krajewską, a waćpanowie jeszcze raz mogliście oglądać jéj czarujące oblicze. Dłużéj was nie zatrzymuję, ile że sam za chwilę odjeżdżam do Kampinowskiéj puszczy na łowy. Jak dotąd, tak i nadal proszę waćpanów bywać na moim dworze, gdzie zawsze uprzejme znajdziecie przyjęcie.

To rzekłszy, kiwnął ręką, na znak byśmy się oddalili. My powtórnie skłonili się przed królem i przed panią Krajewską, która nas pożegnała ukłonem nieporównanego wdzięku.

Zostawiliśmy króla u damy jego myśli, a sami, na znak niekłamanéj przyjaźni która odtąd miała nas łączyć, poszliśmy na Krakowskie-Przedmieście do Rychtera zgodę naszą zapić. Tam nasza biesiada trwała do północy; dopiéro o téj godzinie przybyły nasze ekwipaże i zabrały nas do naszych kwater.

Gdym przybył do mojéj, Kulbida wręczył mi bilet, który w czasie

mojéj niebytności był mu oddany. Otworzyłem go; na nim zobaczyłem podpis pani Krajewskiéj. Zapraszała mnie na jutro do siebie na obiad o godzinie trzeciéj po południu, aby się zemną nagadać. Czułem potrzebę z nią pomówić obszernie. Te jéj zaprosiny wielce mnie uradowały; wszakże jeszcze trwając w przedsięwzięciu opuszczenia Warszawy, postanowiłem zaraz po obiedzie pani Krajewskiéj wybierać się do podróży, i idąc spać to powiedziałem Kulbidzie, który tylko głową kilkakrotnie kiwnął, dając mi do poznania, że o tém wątpi. To mnie trochę zniecierpliwiło. Położyłem się, z chęcią opuszczenia jak najśpieszniejszego Warszawy, aby już nigdy do niéj nie wracać, a jednak wszystko się zrobiło inaczéj.

ROZDZIAŁ XXIV.

Nazajutrz ocknąłem się, myśląc o mojém zaproszeniu. Zdawało mi się, że wieki mnie przedzielały od chwili, w któréj miałem swobodnie rozmawiać o Maryi z jéj przyjaciółką, i posiadaczką niczém nieograniczonego jéj zaufania. Nigdy czas nie wydał mi się tak długim, a jednak to widzenie się z panią Krajewską, z taką niecierpliwością przezemnie oczekiwane, pomimowolnie coś podobnego do strachu wemnie wzniecało.

Długoletnie moje doświadczenie przekonało mnie, że każdy człowiek ma w sobie coś ostrzegawczego, ile razy jest zagrożony jakąś niefortunną przygodą, póki jeszcze wolną swoją wolą może jéj uniknąć. Jedni to nazywają przeczuciem, ale to jest tylko nazwanie, które w rzeczy saméj niczego nie objaśnia. Drudzy, wedle mnie rozsądniejsi, tę zdolność ostrzegawczą uważają być głosem tajemniczym anioła, każdemu człowiekowi od Boga przydanego na opiekuna. Im człowiek jest niewinniejszy, im więcéj jest posłuszny temu ostrzegawczemu głosowi, tém w ściślejsze stosunki wejść może ze swoim aniołem, a jego głos wyda mu się coraz wyraźniejszym, i coraz więcéj zrozumiałym. A wtedy zostanie coraz doskonalszym, nie tylko w cnotach, ale w zdolnościach duchowych, objawiających się przez najdziwniejsze zjawiska. Lecz z drugiéj strony niemniéj jest mocen pogardzać tym głosem, przenieść nikczemne i ciemne instynkta ciała nad język duchowy, coraz jaśniejszy dla tych co go miłują, opiekuńczego stróża, i długim szeregiem przewinień zupełnie z nim zerwać (*), tak, że nakoniec przestanie do niego przemawiać.

(*) Pozwolę sobie w tém miejscu uczynić uwagę. Materyalizm, panteizm, który jest tylko materyalizmem nieco uszlachetnionym, dopóki zostaje w stanie

I tak: jakkolwiek łaknąłem, że tak powiem, doczekania się godziny umówionéj, w któréj miałem się widziéć z panią Krajewską, o ile się do téj pory więcéj zbliżałem, o tyle ona mi się okazywała straszniejszą. Ach! czemuż nie byłem posłusznym memu aniołowi. Ile nieszczęść, ile przewinień byłbym sobie oszczędził! Niestety, moja wola nie była dość silną, by się mogła oprzéć mojemu przeznaczeniu.

Jeszcze było więcéj trzech godzin do obiadu, czułem się być tak skołatanym, że samotność mi ciężyła, a z drugiéj strony i towarzystwo moich przyjaciół niemniéjby mi ciężyło; oni zwykle mnie nawiedzali około pierwszéj po południu. Ich pustota nie byłaby odpowiednią stanowi mojéj duszy, chciałem ich uniknąć; w rannéj odzieży, okryty płaszczem, wyszedłem na ulicę. Odchodząc zaleciłem moim ludziom, żeby jak kto przyjdzie, powiedzieli, że mnie nie ma w domu, i że dopiéro późną nocą powrócę. Zaleciłem im także, żeby moja kareta była gotowa o trzy kwadranse na trzecią, a sam wyszedłem piechotą z mojéj kwatery, która była na Starém Mieście.

Dobry był przymrozek, na ulicy sucho jak w pokoju, przeszedłem ulicę Freta, Nowe Miasto, Zakroczymską, raz naprzód, potém napowrót, zwyczajnie jak człowiek błąkający się bez celu. Zaszedłem nareszcie na Długą ulicę, i tam wstąpiłem do cukierni Mulfatego, Włocha, z którym miałem znajomość. Tam kazałem się zaprowadzić do osobnego pokoju; i zażądałem czekolady neapolitańskiéj, lodów i wody jak może być najzimniejszéj. Nie długo na to czekałem, pożywałem czekoladę i lody w największém roztargnieniu. Wszystko co się mnie tyczyło, przedstawiło się myśli mojéj w ponuréj barwie. Któż to jest? — mówiłem sobie — ta pani Krajewska, która taki udział bierze w moim losie? Nie mogę taić przed sobą, iż najmniejsza pozostać nie może wątpliwość, że ta osoba tak miła, tak piękna, tak dobra dla

---

teoryi, za pomocą rusztowania rozumowań może przybrać jakieś znaczenie logiczne, ale zastosowany do bytu praktycznego jest zupełnym bezsensem. Materya w swoim bycie normalnym jest nieruchomą, *iners*. Skoro objawia się w ruchu, oczywiście pierwsza impulsya tego ruchu nie mogła być z niéjże saméj, a więc musi być duchową. Ile razy widzimy ciało w poruszeniu, o ile docieknąć możemy, to pierwsza impulsya jego ruchu zawsze się okaże być skutkiem jakiéjś woli, a wola nie może być materyalną. A że filozofii zadanie jest poznanie rzeczy niewiadomych przez wiadome, więc ponieważ pierwsza przyczyna poruszeń ciał, o ile nam jest wiadoma, zawsze okaże się być skutkiem czyjéjś woli, ztąd śmiało wnioskować możemy, że przyczyna nam niewiadoma poruszenia niektórych ciał, musi być koniecznie jakąś wolą. Duch działa na ciało, ale w działaniach zupełnie duchowych potrzebuje także impulsyi, któréj sam sobie dać nie może. Jestem przekonany, że często, kiedy nam się zdaje że my myślimy, w istocie rozmawiamy z dobrym lub złym, ale zawsze potężniejszym od nas duchem. Tém tylko tłómaczyć się dadzą przeczucia, pociągi, wstręty, chwilowe ale nieomylne czytanie w przyszłości, i tyle innych zjawisk czysto duchowych.

mnie, jest następczynią pani Orzelskiéj; a świetność jéj kochanka pokryć nie może sromoty jéj nieprawych wszystkim wiadomych stosunków. Czyż ta jéj przyjaźń dla Maryi nie powinna mnie niepokoić? Może i ta już utraciła dziewictwo duszy swojéj, kiedy żyje w ścisłych związkach z kobietą, która zdeptała prawa określone dla jéj płci, jéj stanu, jéj wiary? Nie, nie! żadnych stosunków nie chcę z nieprawością! Opuszczę dziś jeszcze tę zapowietrzoną stolicę!

W takiém usposobieniu opuściłem cukiernię, i szybko kroki moje obróciłem ku Staremu Miastu; ale w miarę zbliżania się do kwatery, moje postanowienie słabło, a że żaden sofista nie sprosta w zręczności głosowi silnéj namiętności, największe przeszkody do mojego wyjazdu snuć mi się zaczęły przed umysłem. Jakże mam się ominąć z grzecznością należną dla damy? Co świat będzie mówił, jak się dowié, że przyjąłem zaproszenie osoby płci nie mogącéj być znieważoną, bez napiętnowania sromotą tego, który podobnego przewinienia się dopuścił, a cóż dopiéro, jeżeli ta osoba jest wysokiego rodu, wysokiego położenia towarzyskiego? I u dworu, i w wyższém towarzystwie zostanę sponiewierany przez języki ludzkie, będę uchodził za gbura za piecem wychowanego, przed którym domy uczciwe powinny być zamknięte. A choćbym na zawsze zrobił rozbrat z Warszawą, te wyrzuty ścigać mnie będą i na prowincyi, gdzie cechą obywatelstwa jest największa grzeczność dla każdego szlachetnie urodzonego męża, a zwłaszcza dla damy (*). Takiego obrazu przyszłości, jaka mnieby czekała, znieść nie mogłem. Powiedziałem sobie: jestem szlachcicem, więc winienem we wszelkich moich postępkach zachować przyzwoitość szlachecką. Będę na obiedzie u pani Krajewskiéj, ale grzeczność jaką jéj okażę, bynajmniéj nie uszkodzi mojego męztwa. Po obiedzie pożegnam ją z oświadczeniem, że nazajutrz opuszczam Warszawę. Cóż albowiem znaczy przewłoka kilkunastu godzin? — Niebaczny, nie przewidywałem, że ta przewłoka tak krótka, skreśli całkowitą moją przyszłość.

(*) W żadnym kraju, na żadnym dworze nawet, nie było tak wielkiéj grzeczności, jak ta, którą obywatele nasi na prowincyi mieszkający okazywali we wzajemnych stosunkach. Wszyscy obywatele dawnego pokolenia, których znałem, obyczajnością swoją na mnie niezatarte wrażenie napiętnowali. Każdy zdawał się być wychowanym na wielce ukształconym dworze. Było coś dziwnie szlachetnego w jego mowie, nawet w jego układzie i w każdém jego poruszeniu; a zkąd to pochodziło? oto ztąd, że od młodości swojéj był przywykły obcować z takiemi, których musiał szanować. Gdzież młodzieniec teraźniejszy może nabyć takiego poloru, kiedy w towarzystwie w którém żyje, rzadko widzi takiego, przed którymby warto zdjąć czapkę? Gdyby wyobrażenia demokratyczne nic gorszego nie uczyniły nad to, że wszczepiły grubiaństwo w towarzystwo, jużbym je miał w obrzydzeniu.

Wyznaję ze wstydem, że gdym wybierał się do pani Krajewskiéj, pomimo mojego postanowienia, że ostatni raz przestąpię progi, które pierwszy raz przestąpiłem zniewolony przemocą, jednak próżność, owa uparta a dziwaczna towarzyszka niemal każdego człowieka, i wtedy mnie nie opuściła.

Nigdy z takiém staraniem nie kazałem się fryzować, nigdy dłużéj się nie ubierałem. Mój Kulbida uśmiechał się z litością, widząc jak jednę po drugiéj suknie przerzucam, nie mogąc sobie dobrać takiéj, któraby mi się wydała dogodną; jak na wszystkie strony przeglądałem się w zwierciadle, jak się oblewałem woniami. W saméj rzeczy, bez żadnéj korzyści dla siebie, ale jedynie pobudzony uczuciem tak przyrodzoném w człowieku, miłości własnéj i samolubstwa, żegnając ją na zawsze, chciałem w niéj jak najsilniejsze wywołać wrażenie, ażeby przez długi czas o mnie zapomniéć nie mogła.

Dziś, kiedy wiek szronem przypruszył moją głowę, i śmiać się mogę z tych nieroztropnych próżności młodszych lat, mogę powiedziéć o sobie, że byłem ubrany z nadzwyczajnym przepychem, uperfumowany jak sułtanka, błyszczący jak świętojański robaczek. Kiedy wsiadłem w pojazd, który mnie miał zawieźć do nieproszonéj mojéj opiekunki, uprzedzenia, jakie powziąłem przeciwko niéj przez samo zastanowienie się nad jéj sposobem życia, były wielkie, ale zmniejszały się w miarę przybliżania się do jéj domu. Sama uczciwość wkładała na mnie obowiązek, bym będąc gościem, zapomniał o tém, coby mogło być nagannego w postępkach gospodyni, która mnie przyjmuje, a tylko na to zwracał uwagę, coby w niéj było godnego pochwały.

Ten obowiązek z razu zdawał się być trudnym do dopełnienia, a ta trudność trwała jeszcze, kiedym zajechał na jéj dziedziniec; lecz kiedy stanąłem w jéj salonie, kiedy mnie powitała wyrazem przyjacielskim, kiedy mi kazała usiąść blizko siebie, na jéj obliczu, w jéj spojrzeniu, była jakaś szczerość, jakaś prostota, coś tak niewinnego nawet, że wszelkie moje uprzedzenia, jakkolwiek wyrozumowane, w jednéj chwili rozproszonemi zostały.

Jéj pogodnym oczom, jéj dziecinnemu uśmiechowi więcéjbym uwierzył, niż własnym zmysłom, przeświadczeniu własnego rozsądku; było to istne czarodziejstwo, tak dalece, że lubo postanowiłem zaraz po tym obiedzie wybrać się do odjazdu, zaledwo do mnie kilka słów przemówiła, a już to przedsięwzięcie wywietrzało mi z myśli.

— Kawalerze! — rzekła do mnie srebrzystym swoim głosem — prosiłam cię na trzecią, a ty z wzorową akuratnością stanąłeś na termin. Wszakże obiad nieco się opóźni, gdyż oczekuję jeszcze jednéj osoby. Trzymam się zasady starożytnych, którzy utrzymywali, że ilość obiadujących za jednym stołem nie powinna być mniejszą od liczby gracyj, ani przewyższać pocztu muz. Jeżeli sam na sam zemną

czas, acz krótki, będzie ci się zdawał długim, wiem, że mi odpuścisz kilka chwil nudoty, jak poznasz się z osobą, która z nami obiadować będzie.

— Pani wiész dobrze, ile obcowanie z nią ma uroku. W téj chwili nie mogę miéć innego uczucia, tylko szczęścia i wdzięczności, że mnie uznałaś być jego godnym.

— A jednak pragniesz odrzeknąć się mojego towarzystwa na zawsze.

— Wyznaję, że to być mogło przed chwilą; ale odkąd przestąpiłem próg jéj salonu, przestałem o tém myśléć.

— I zkądże była powstała taka niełaska?

— Otrzymałem listy z Ukrainy, które wymagają rychłego mego powrotu.

— Omijasz się z szczerością tobie przyrodzoną, kawalerze! Nic ciebie nie powołuje do twojéj Ukrainy. Jedynie z mojego powodu chcesz się wydalić; póki mnie widzisz, jakiś pociąg, który dusza szlachetna wzniecić koniecznie musi w duszy jéj odpowiedniéj, coś podobnego do ufności w tobie wzbudza; ale skoro schodzę z twych oczów, jakieś czarne wyobrażenia opanowują twój umysł. Jestto koléj zwykła dla tych, którzy doświadczali od losu wielu przeciwności. W tym natłoku wyobrażeń nie ma nic, coby za mną przemawiało. Lękasz się mojéj życzliwości, podejrzywasz moje zamiary, potępiasz jako ułudy te przyjaźniejsze dla mnie uczucia, których doświadczasz rozmawiając zemną; w mojéj przytomności nie umiész się oprzéć pociągowi, jaki najszczersza moja przyjaźń wznieca w tobie, ale skoro sam sobie jesteś oddany, w natłoku twoich myśli nad wszystkiemi górę bierze myśl mnie krzywdząca, a tą jest: Ona nie zasługuje na mój szacunek.

— Jakże pani możesz wierzyć, żebym ja...

— Posłuchaj. Żadna skrytość nie zasłoni cię od mojego badawczego wzroku. Ty czujesz, że mówię prawdę; jakkolwiek twoje mniemanie krzywdę mi przynosi, nie mam prawa się obrażać. Moje dwuznaczne położenie nie może ani szacunku, ani ufności wzbudzić w takim, który mnie jeszcze nie poznał. Zresztą nie mam zamiaru okazać się lepszą, niż nią jestem w istocie. Obojętnie patrzę na ten wielki świat, który może na mnie miota potwarze, a który, gdybym chciała, pełzałby u nóg moich. Jak widzisz, żyję w odosobnieniu od tego świata, nadto mi znanego, żebym nim nie pogardzała; ale mam prawo domagać się od tych, których szacuję, ażeby bez przekonania gruntownego nie odmawiali mi nawzajem szacunku. Od tego prawa nie powinnam, nie mogę odstąpić; sama cię szukałam, bo do tego byłam pobudzoną najświętszém uczuciem, uczuciem przyjaźni; a jeżeli coś jeszcze innego do tego się przymięszało, coś mniéj czystego, coś takiego, coby na jakiś wyrzut zasługiwało, to pewnie nie ze strony

tego, któremu są wiadome po szczególe wszystkie okoliczności mego żywota. Ale że potrzebuję twojego szacunku, żądam od ciebie, ażebyś mnie nie potępiał, póki mnie nie wysłuchasz, i tego mi nie możesz odmówić. Dajże mi słowo honoru, że nie wyjedziesz z Warszawy, póki nie wysłuchasz tego, co ci powiem na usprawiedliwienie moich postępków. Będzie to jakoby spowiedź z całego mojego życia; wtedy dopiéro bez wyrzutu sumienia albo mnie potępisz, albo dasz rozgrzeszenie. Jutro o pierwszéj po południu czekać będę na ciebie; honor wkłada na ciebie obowiązek, żebyś mojéj nadziei nie zawiódł.

Było coś uroczystego w jéj mowie, wyrzeczonéj w najsilniejszém wzruszeniu. Koloryt jéj oblicza zdawał się jaśniéć jakimś niezwyczajnym blaskiem; jéj ognista dusza całkowicie wyrażała się w jéj przenikliwém ale razem nieco dumném spojrzeniu. W ciągu mojego życia nigdy nie zdarzyło mi się spotkać coś równie wrażliwego, jak postać, wyraz rysów i poruszenia téj młodéj kobiety w téj chwili. Jeszcze nic mi nie powiedziała na swoje usprawiedliwienie, a już byłem gotów głowę położyć na zakład mojego przekonania o jéj zupełnéj niewinności. Podałem jéj rękę będąc nie mniéj od niéjże saméj wzruszony, i zdobyłem się na te wyrazy wydobyte z serca:

— Daję pani słowo, że jutro tu będę; nie żebym potrzebował jakichś dowodów uniewinniających cię, bo dość widziéć cię, żeby być przekonanym, iż zasługujesz na cześć, na uwielbienie wszystkich dusz cnotliwych, ale łaknę słuchania twoich powierzeń, jako świadectwa ufności i szacunku, które pokładasz we mnie, a które wywyższają mnie przedemną samym.

Ona wzięła moją rękę, ścisnęła ją z uczuciem, dodając:

— Już posiadasz moją przyjaźń, a wkrótce się przekonasz, że ta przyjaźń ma jakąś wartość.

Jeszcześmy nie zupełnie wyszli z naszego wzruszenia, kiedy drzwi się otworzyły i młoda kobieta, w ciężkiéj żałobie przyodziana, weszła do pokoju. Serce moje zaczęło bić gwałtownie; była to Marya. Obie przyjaciółki rzuciły się z uniesieniem w swoje objęcia. Pokilkakrotnie całując się, powtarzały:

— Marysiu! Kostusiu!

O kilka kroków cofnąłem się, i patrzałem z lubością na tę scenę rzewną dwóch przyjaciółek, które życie razem pędzą, które przed kilkunastu godzinami z sobą się widziały, a tak czule się witają, jakby się dopiéro połączyły po kilkoletniém rozstaniu; a nic w tém nie było wymuszonego, żadnéj przesady, była to sama przyroda dwóch serc tkliwych, potrzebujących kochania, schwycona na uczynku.

Potrzebowałem téj sceny, żeby po tylu wzruszeniach powrócić do zupełnéj przytomności. Jak się damy przestały z sobą witać, pani Krajewska odezwała się:

— Marysiu, przedstawiam ci znajomego tobie pana Skoropackiego. Wiem, że z tobą wychował się w domu twoich rodziców, a jednak chciał opuścić te strony nie pożegnawszy cię; trzeba było aż przywołać sybillę i westalkę, żebyś mogła go oglądać.

Zauważyłem, że Marya zapłonęła karmazynem, kiedym się do niéj przybliżył; ale wkrótce przyszła do siebie, i zdobyła się przemówić do mnie temi słowy:

— Miałabym prawo wiele wymówek zrobić panu Skoropackiemu, że tak dalece o mnie zapomniał, iż nawet listu od mojéj matki, do mnie na jego ręce przysłanego, nie raczył mi osobiście wręczyć, a tylko przez trzeciego odesłał. Ale nie chcę w twoim domu, droga Kostusiu, nic smutnego ani obraźliwego zachować.

I pierwsza podała mi rękę, którą ośmieliłem się przybliżyć do moich ust. Poczém zacząłem coś bełkotać dla mojego usprawiedliwienia, ale tak, że ani ona mnie, ani ja sam siebie zrozumiéć nie mogłem.

Pani Krajewska zlitowała się nad mojém widoczném pomięszaniem, i odwróciła rozmowę do rzeczy obojętniejszych, jako do dworu, do Warszawy, zabaw, do jéj towarzystw, a potém odezwała się do mnie z wdzięcznym uśmiechem:

— Ani Marysia, ani ja, nigdzie nie bywamy; ona z powodu żałoby, a ja z rozmaitych względów, siebie tylko odwiedzamy; nikt mnie w żadnym salonie wielkiego świata warszawskiego nie widział. Jednak między Marysią a mną taka różnica zachodzi, że ona o niczémby nie wiedziała, co się na świecie dzieje, gdyby tego nie dowiedziała się odemnie; a ja przeciwnie, choć nie jestem od nikogo widzianą, na wszystkich patrzę, i nic przedemną utaić się nie może. Miałeś tego dowód, panie Skoropacki, na dwóch ostatnich maskaradach; ile razy to przypomnę sobie, naśmiać się muszę serdecznie. Co który do mnie się przybliży z trzpiotów wielkiego świata, tak go zmięszam wyjawieniem jego nałogów i charakteru, że jak niepyszny ucieka, żeby się gdzieś schować.

— To prawda, Kostusiu, że z ciebie nadzwyczajna kobieta. Wiem, że pan Skoropacki był wielce umęczony od ciebie; widać, żeś szczęśliwa, kiedy umiesz się tak bawić.

— Moja droga, tyle doświadczałam zgryzot, że już mi wolno nakoniec się bawić. Ludzie tyle mi dopiekli, że nikt nie ma prawa mi wyrzucać, iż przynajmniéj znajduję pociechę w odkryciu ich śmiesznéj strony. Innéj zemsty nie pragnę, a ty możesz mi przynieść świadectwo, że na mojém miejscu inna umiałaby nieco ostrzejszéj zemsty się dopuścić.

— Ty jesteś najlepszą, najpoczciwszą istotą na świecie.

— A jednak jak najmniéj poznaną; pierwszy pan Skoropacki przyszedł do mnie z uprzedzeniami największą krzywdę mi przynoszącemi.

— Chociażby tak było rzeczywiście, do czego się nie przyznaję — odrzekłem — to pewna, że na widok jéj oblicza wszystkie te uprzedzenia rozproszone zostały.

— I to nie mogło być inaczéj, bo dość chwilę popatrzyć na moją Kostusię, żeby ją pokochać na zawsze.

— O! to już zaczynacie mnie psuć waszą pochlebną mową. Szczęście, że już obiad gotowy. Panie Skoropacki, podaj rękę towarzyszce twojéj młodości, a ja, jako gospodyni pójdę za wami bez kawalera.

Ten obiad był istném czarodziejstwem. Siedziałem między dwiema kobietami; jednę ubóstwiałem, drugiéj nie mogłem nie uwielbiać. Na obie natura hojnie rozrzuciła swoje skarby, tak duchowe jako i powierzchowne; obu dowcip był czarujący. U Konstancyi okazywał się więcéj porywający, u Maryi więcéj łagodny; pierwszéj piękność była zbliżona do ideału, więcéj uderzająca; drugiéj więcéj i pogodniéj przywiązująca.

Wyraz, który uwydatniał regularne rysy Konstancyi, był wrażliwszy, ale było w nich coś takiego, co pomimowolną bojaźń wzniecało; jakaś wyniosłość na nich się malowała. Marya nie miała tych artystycznych rysów; surowe oko kunsztmistrza mogło w nich jakieś niedoskonałości łatwo upatrzyć, ale nigdyby się nie umiał oprzéć wyrazowi jéj spojrzenia, dźwiękowi jéj głosu, pogodzie jéj uśmiechu.

Pani Krajewska, jak każdy człowiek rozumny, nie tylko że okazać umiała rozum własny, ale pobudzać obcy (*). Jak świece bezpłomienne zażegają się od zapalonéj pochodni, tak i mój dowcip, przygaszony tyloma sprzecznemi myślami, zapalał się światłem jéj mowy. Niekiedy coś i wesołego wychodziło z ust moich, a jak nasza gospodyni umiała to podnosić! jak umiała ożywiać rozmowę! Obiad trwał około dwóch godzin, a zdawało mi się, że trwał nadto krótko. Resztę wieczora przepędziliśmy razem; byłem upojony szczęściem, nadzieją, ufnością w przyszłość. Ukraina, postanowienie opuszczenia Warszawy, szukanie sławy w obcém państwie, jedném słowem, wszystko co nie było Maryą, zniknęło z mojéj pamięci. Nic innego nie pozostało, tylko jéj chęć oświadczenia mi, żebym u niéj bywał. Już była północ, kiedyśmy się rozstali, z postanowieniem widzenia się z sobą jak najczęściéj.

(*) Dwie są cechy odznaczające prawdziwie rozumnego człowieka, a tych umysł mierny nigdy nie zdoła naśladować. Jedna, że umie słuchać najniedorzeczniejszéj mowy, jéj nie przerywając; druga, że umie natchnąć dowcip każdemu, co z nim obcuje, byle w nim się mieściła jakakolwiek jego iskierka. Trzeba niemałéj siły umysłowéj, żeby ciągle obcując z nudnemi miernościami, nie ponieść jakiegoś szwanku w własnym rozumie, jak znów trzeba ogromnego zapasu głupstwa, żeby żyjąc w towarzystwie ludzi światłych, nie zachwycić od nich cokolwiek rozumu.

Wracałem do siebie z uczuciem jakiéjś błogości w duszy, do wyrażenia któréj mowa ludzka nie wystarczy. Pierwszy raz w życiu czułem się być zupełnie szczęśliwym.

ROZDZIAŁ XXV.

Miłość karmiona nadzieją wielce podnosi odwagę. Ztąd nie powinno nas zadziwiać, że w powszechności bohaterowie byli ludzie najpochopniejsi do poddania się na oślep gwałtownéj a razem statecznéj miłości. Człowiek nie mogący kochać, jeżeli z przyrodzenia uposażonym został silną materyalną organizacyą, może miéć ten rodzaj odwagi, która walczy z niebezpieczeństwem, i nad niém otrzymuje zwycięztwo, a niczém inném nie jest w istocie, tylko siłą użyczoną, a nie wydobytą potęgą własnéj woli; ale nigdy nie podnosi się do odwagi moralnéj, która udowadnia w człowieku nieśmiertelnego ducha, i kładzie go na najwyższym szczeblu hierarchii istot na ziemi stworzonych.

Ja sam, z czego bynajmniéj się nie chlubię, mam tyle odwagi fizycznéj, że w ciągu niekrótkiego żywota, jako wódz i żołnierz, widzący śmierć stojącą przed oczyma, nie przypominam sobie żebym kiedykolwiek na jednę chwilę doświadczył jakiegoś wzruszenia z powodu osobistego niebezpieczeństwa, żebym nawet jakąś uwagę ku temu zwracał. Tém mniéj do tego przywiązuję szacunku, że lada przeciwność zraża mnie, odejmuje odwagę i wznieca w duszy niechęć do życia, która właśnie udowadnia braku odwagi moralnéj.

I tak: kiedy jeszcze posłuszny głosowi rozsądku, Kulbidzie uroczyście oświadczyłem mój wyjazd z Warszawy zaraz po tym obiedzie, od którego wymówić się nie mogłem bez zgwałcenia prawideł przyzwoitości, a potém to moje postanowienie odmieniłem; gdybym był w moim przyrodzonym stanie, obawiałbym się spotkania z Kulbidą, znieśćbym nie mógł uśmiechu litości, któryby się na jego ustach pokazał, gdybym mu powiedział, że mój wyjazd jeszcze odłożony. Uciekałbym od tego poświęconego dla mnie sługi-przyjaciela, raczéj zerwałbym z nim na zawsze, niżbym miał się przed nim rumienić; ale po tém upojeniu mojém, kiedy płomień miłości ścieśniony w najtajniejszym zakątku mojéj duszy, zajął i pożerał całkowite moje jestestwo, uczułem się być lepszym. Bo gdy wróciłem do domu, zaraz zapragnąłem przytomności Kulbidy, żeby się przed nim wynurzyć. Nie wstydziłem się jego przenikliwego wzroku; ale skoro przyszedł do mnie, rzuciłem się w jego objęcia, i odkryłem przed nim wszystko, co się działo w sercu mojém.

Powiedziałem mu: — Przebacz przyjacielu! zlituj się nad niemęztwem mojém, ale nie jestem w stanie taki gwałt sobie uczynić, żebym aż szerokiemi przestrzeniami odgradzał się od téj, która istnieje w każdém mojém tchnieniu. Płomień miłości dla Maryi rozżarzył ognisko tlejące przyjaźni. —Kulbida mnie zrozumiał. Najmniejszéj uwagi nie pozwolił sobie, nawet się nie zasępił. Z wesołém obliczem powiedział mi:

— A więc zasiądziem się w Warszawie; co do mnie, z panem wszędzie mi dobrze, a każde miejsce na téj ziemi jest równie blizkie do Boga.

Są pewne delikatne odcienia w postępkach, do których najwyższy rozum nie doprowadzi, a które samorzutnie powstają z serca zagrzanego przyjaźnią, lub pałającego miłością.

Miałem długą rozmowę z Kulbidą; ale niewłaściwie się wyrażam, nie była to rozmowa, bo sam mówiłem, i Kulbida tylko słuchał, a w jego milczeniu przebijała się taka życzliwość, taka gotowość poświęcenia się dla mnie, że chociaż zdawało mi się, iż ten obiad i ten wieczór u pani Krajewskiéj postawiły mnie na najwyższym szczeblu szczęścia, uczułem, że ta godzina, którą przed pójściem do wczasu przepędziłem z Kulbidą, podwoiła we mnie ufność w to szczęście. Udałem się do spoczynku ukołysany najsłodszemi marzeniami, które i w śnie moim jeszcze dobitniéj się powtarzały.

Nie powiem, że po przebudzeniu, z rana pierwsza myśl moja była o Maryi, bo jéj obraz ani chwili zupełnie nie znikał z przed méj duszy, ale pierwsza rzecz, która zwróciła moją uwagę, to że miałem być po południu u pani Krajewskiéj, by przyjąć powierzenia, jakie chciała mi udzielić, dla pozyskania mojego szacunku; chociaż ta rozumna kobieta mogła łatwo spostrzedz, że tak mnie już zniewoliła, iż nie miała potrzeby udowadniać przedemną, że nań zasługuje.

Ledwom się zaczął ubierać, a już mnóstwo miałem nawiedzin. Gurowski i bracia Einsiedlerowie razem wpadli do mnie. Z radością patrzałem na ich dobrą komitywę, i że pogodzili się bez żadnéj myśli wstecznéj; chcieli koniecznie, żebym z niemi obiadował, i ledwo się od tego wyprosiłem. Był i Pociej, który okazał się wielce uradowanym, kiedym mu powiedział, że aż do następnego lata zabawię między niemi. Ten pustak Gurowski chciał koniecznie wyprowadzić mnie do sali fechtunków.

— Sprobujemy się z Einsiedlerami na florety — rzekł — żeby się dowiedzieć, cobyśmy przecie sobie zrobili, gdyby najjaśniejszy pan nie był nas pojednał.

To wszystkim bardzo się podobało, ale ja odpowiedziałem:

— Do tego mnie nie namówicie, bo takie próby tylko miłość własną poruszają, i z żartów bardzo łatwo przechodzi się do prawdy.

Wszyscy dali się tém przekonać i przyrzekli mi, że nigdy nawet żartem z sobą próbować się nie będą. Nakoniec powiedziałem im, że mam konieczną potrzebę być zaraz w pewnym domu. Młodzież wesoła, burzliwa, bitna, ale zawsze pełna delikatności, odeszła nic nie wspominając o mojém spotkaniu się z maską, ani okazując ciekawości, by dowiedzieć się, jakie mogą być moje stosunki z damą, która nie znając mnie, sama mnie szukała i tak wielkie dawała mi dowody swojéj życzliwości. Ci zacni młodzieńcy, z któremi żyłem w przyjacielskiéj poufałości, jak tylko poznali tym taktem przyrodzonym, odznaczającym ludzi światowych, a nie przygłuszonym złém wychowaniem, lub obcowaniem z niewłaściwém towarzystwem, że ta ciekawość może być dla mnie niemiłą, umieli szanować powody, które mi nakazywały w tym względzie tajemnicze milczenie. Żaden z nich ani półsłówkiem nie dotknął téj dla mnie drażliwéj materyi.

I rozstaliśmy się z sobą, żeby się udać oni w swoją stronę, a ja do pani Krajewskiéj.

Kiedy stanąłem przed nią, ona mnie powitała ze zwykłą z jéj strony uprzejmością; w tém tylko znalazłem odmianę, że już nie było z jéj strony tego ucinkowo-wesołego dowcipu, tyle wdzięku dodającego jéj rozmowie, ale coś natomiast poważnego, coś uroczystego, coś takiego, co dowodziło, że nie chciała jedynie zająć, ale i przekonać.

Po tém wszystkiém, co zwykle się mówi przy powitaniu oczekiwanego gościa, pani Krajewska zajęła miejsce na swoim szezlągu, a mnie kazała usiąść naprzeciwko niéj w krześle. Stolik okrągły nas przedzielał, a przed nami gościnny komin, w którym igrał płomień rozmaite kształty przybierający, — komin, który naszéj uwagi nie miał ku sobie zwrócić, a który jednak w samotności zastąpić może towarzystwo. Pani Krajewska tak zaczęła:

— Nadto potrzebuję twojego szacunku, mości Skoropacki, żebym w tłómaczeniu się mojém pozwoliła sobie jakiéjkolwiek obłudy. Powiem ci prawdę, samą prawdę, nic innego tylko prawdę; w niczém się nie oszczędzając, nie będę pokrywać moich wad i moich przewinień, by mówić otwarcie o tém, co może być we mnie dobrego. Sam osądzisz, czy w téj spowiedzi całkowitego mojego żywota w czémkolwiek ominę się z szczerością.

Było nas dwoje u ojca, ja i brat mój, o dziewięć lat odemnie starszy. Już w dzieciństwie swojém ten brat objawiał dumę, chytrość, samolubstwo i nad temi przywarami górujące łakomstwo. Słudzy nasi opowiadają, że kiedy dano mu wiedzieć, że przybyła mu siostrzyczka, ten, lubo dopiéro miał lat dziewięć, przyjął tę wiadomość z widoczném nieukontentowaniem, i zdradził swoją zawczesną chciwość, mówiąc: — Ta siostra na to przyszła, żeby mi część majątku zabrać po rodzicach. — I już od dzieciństwa powziął ku mnie niena-

wiść, która ciągle z wiekiem wzrastała. Tém więcéj że wniosek naszéj matki, księżniczki Czetwertyńskiéj z domu, był znaczny, a do którego równe z nim miałam prawa.

Matka nas odumarła, kiedy rozpoczynałam rok piąty. Mój brat odbywał swój zawód szkolny, a ja wychowywałem się w domu rodzicielskim. Ojciec niczego nie żałował dla mojego ukształcenia, sprowadził wielkim kosztem Francuzkę z Paryża, i mnie jéj powierzył z nieograniczoną ufnością. Można powiedziéć, że ona była panią w domu, przyjmowała i oddalała metrów, opiekowała się bezpośrednio moją osobą; a mój ojciec, słysząc mnie trzepocącą kilkoma językami, kiedy zaledwo miałam rok dziesiąty, cieszył się, że ma córkę tak dobrze wychowaną, i hojnemi upominkami dowodził mojéj ochmistrzyni swoją wdzięczność.

Żyliśmy na prowincyi wedle obyczaju nie scudzoziemczałych panów; sąsiedztwo uczęszczające do nas, lubo złożone z ludzi rzeczywiście po większéj części światłych, unosiło się nad moim rozumem, właśnie dlatego, że on opierał się na wiadomościach zupełnie im obcych (*).

Tłómaczyłam się z łatwością czterema językami, wygrywałam na fortepianie niezgorzéj te sztuki, których się nauczyłam na pamięć; za pomocą metra rysowałam kwiatki naśladujące wcale nieźle naturę. Z tém wszystkiém moje wychowanie było zaniedbane, moja ochmistrzyni, jak zwyczajnie Francuzka, ogładzała mnie powierzchownie, troskliwie przestrzegała, żebym się w niczém nie omijała z manierami przyjętemi w Paryżu, rozpieszczała mnie pochlebstwami, pobudzała moją miłość własną, a mój młodociany umysł karmiła tylko czytaniem romansów francuzkich. Było ze mnie dziecko miłe, dowcipne, skłonne do przywiązania się, ale z tém wszystkiém dziecko zepsute.

Takim sposobem wychowana, doczekałam się lat szesnastu. Kiedy mój brat po skończonych swoich podróżach za granicą, i już dworzanin króla jegomości, przyjechał do rodzicielskiego domu, byłby mnie nie poznał, zostawiwszy mnie dzieckiem, a widząc pannę dorosłą, ukształconą, i jak ludzie mówili, doskonale piękną. Udawał z początku wielkie dla mnie przywiązanie; ale chociaż moje serce było skłonne do kochania, zwłaszcza jedynego brata, czułam do niego jakiś wstręt nieprzezwyciężony.

(*) Przed mniemaném odrodzeniem nauk za Stanisława Augusta, omal że nie każdy obywatel znał doskonale język łaciński, teologię moralną, historyę i prawodawstwo swojego kraju. Był to zapas umysłowy nieubogi. A że ludzie dzisiejsi są otynkowani wielką ilością nauk, z których ani jednéj nie zgłębili, to tylko mają w zysku, że o każdéj z nich mogą jakkolwiek rozprawiać. Wiele słów, a mało rzeczy, maż to być postępem? Odwołuję się do sumienia, czy tak nie jest?

Mój brat zaraz poznał, że chociaż nasz ojciec, jako senator i pan mający udział w możnowładztwie polskiém, miłował w synu spadkobiercę swoich zaszczytów, i przedstawiciela swojego nazwiska, — jako człowiek więcéj miał przywiązania do mnie, bo był przyzwyczajony do mojéj szczebiotliwości, i bawiłam go. Z synem rzadko się widział, a ja byłam od niego nieodstępną; uważał mnie jako gospodynią swojego domu. Jeżeli jaką godzinę z nim nie byłam, już za mną tęsknił. Wszystko to było naturalne; a jednak niechęć, którą od dzieciństwa brat mi okazywał, tém podwojoną została, i już oddawna powzięty przez niego projekt zostania jedynym spadkobiercą naszych rodziców, wzrosł w siłę, bo do jego przyrodzonéj chciwości przyłączyła się zawiść i chęć zemsty.

Od tego zaczął, że wprowadził do domu naszego pana Krajewskiego, młodzieńca zacnie urodzonego i dobrze wychowanego, ale ubogiego, dla którego nasz ojciec, pan popularny, pokazał się wielce uprzejmym. A przytém moją ochmistrzynię i darami i obietnicami tak umiał zobowiązać, że została ślepém narzędziem wszelkich jego planów, tak dalece, że kiedy odjechał napowrót do Warszawy, mógł być aż nadto pewnym, że nikt lepiéj od niéj nie przyprowadzi do skutku tego, co był ułożył na moją zgubę.

Ta niegodziwa kobieta od tego zaczęła, że wzniecila w mojém sercu miłość dla pana Krajewskiego, co nie było trudném z młodą dziewczyną nierozważną, a już obałamuconą czytaniem złych książek. Pan Krajewski z upoważnienia mojego ojca był u nas domownikiem, ciągle go widywałam; młodzieniec przystojny, światły, mógł wrażenie zrobić na młodém sercu wykarmioném romansami, które i naturalnie i sztucznie łaknęło kochania, i oczekiwało tylko przedmiotu, któryby ziścił jego nieskreślone żądze.

Pierwszy któryby mi dał poznać, że mnie kocha, byłby otrzymał moją wzajemność, tak byłam do tego usposobioną mojém wychowaniem, a tém więcéj taki, który miał dość zalet, żeby się i doświadczonéj kobiecie mógł podobać. Na moje szczęście, pan Krajewski był poczciwym człowiekiem. Nigdy podobnéj myśli nie dopuściłby się, żeby pozwolić sobie kochać osobę zależną od jéj ojca, bez jego pozwolenia, ale chytra cudzoziemka, jako we mnie tak i w nim, zdołała zażgnąć jak najnieroztropniejsze płomienie. Jakkolwiek jéj namowy były pochlebne dla moich namiętności, lubo za jéj staraniem pan Krajewski wyznał przedemną miłość swoją, jednak długo opierałam się temu, bym się odważyła przyjmować go potajemnie; ale jak zaczęła mi wmawiać, że moje okrucieństwo o śmierć przywiedzie kochanka, że miłość wszelkie przeszkody zwycięża, że połączenie nasze jest na niebie zapisane, że obowiązki miłością nakazane są silniejsze niż natura, niż ustawy społeczeńskie, że nie ma większego zaszczytu, jak być boha-

terką romansu; zezwoliłam na przyjęcie mego kochanka w mojéj komnacie.

Z początku przyjmowałam go ze strachem, potém z lubością. Nasze schadzki powtarzały się tém łatwiéj, że ja i moja ochmistrzyni byłyśmy paniami w zamku, gdzie wszyscy nam byli posłuszni. Rozmawialiśmy z sobą o naszém połączeniu, układaliśmy najdziwaczniejsze plany, żeby otrzymać pozwolenie mojego ojca, a w czasie tych rozmów, oboje staliśmy na wulkanie.

Wiesz dobrze, jak jest niebezpieczne obcowanie sam na sam młodéj pary, pożeranéj miłością wzajemną. My się kochali w sobie miłością przewyższającą tę, któréj obraz romanse usiłują wystawić, o ile natura przewyższa sztukę. Już zapowiedziałam, że się oszczędzać nie będę, a więc, lubo ze wstydem, wyznaję, że przyszło do tego, iż mój honor wymagał naszego połączenia. Dopiéro ujrzałam przepaść w którą wtrąconą zostałam.

Pierwsze instynkta są zawsze najlepsze, każdy kto zastanawiał się nad przygodami swojego życia, wyznać musi, że ile razy przedsiębrał jakąś czynność, która mu potém szkodę przynosiła, zawsze był ostrzeżony jakimś instynktem, który niebacznie przytłumił. I tak: chciałam paść do nóg ojcu, wszystko mu wyjaśnić i oddać się w jego ręce. I pewna jestem, że ocalenie sławy jego córki byłoby w jego sercu przemogło przesadzone wyobrażenie kastowe. Wreszcie i ta maksyma powtarzana, nie tylko w stanie rycerskim, ale i w senacie: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“, nabrałaby jakiegoś znaczenia w jego umyśle. Na moje nieszczęście, poradziwszy się z moim kochankiem, otworzyłam ten mój zamiar przed moją ochmistrzynią. Ona mnie od tego odwiodła.

— Niech mi pani tego nie robi — rzekła. — Ja znam przesądy, pana kasztelana, takiém wyznaniem pani możesz go zabić.

— I cóż mi pozostaje? — odrzekłam z rozpaczą.

— Niech pan Krajewski opatrzy się indultem, a potém panią wykradnie; kapłan was zwiąże ślubem, a ja tu pozostanę i całą burzę wytrzymam. Bądź pani pewna, że stopniami stary się ułagodzi. Od czegóż wstawienie się przyjaciół? Nie jest on z takich, coby mógł zachować długo sierdzistość przeciw własnemu dziecku.

Poszliśmy za jéj radą; dałam się wykraść. Ciągle stoi przed oczyma mojemi ta chwila, w któréj dobréj nocy życzyłam mojemu ojcu. Kiedy mnie błogosławił, serce się we mnie ścisnęło, coś mnie jakby popychało, abym mu się rzuciła do nóg, i wszystko przed nim wyznała, ale niegodziwa Francuzka z oczów mnie nie spuszczała: skoro spostrzegła moje wzruszenie, porwała mię za rękę, i ledwo sobie przytomną, odprowadziła jak najśpieszniéj do mojéj komnaty.

We dwie godzin potém mój kochanek był przy mnie. Wszystko

było gotowe, za ogrodem czekał nas pojazd. Jeszcze i wtenczas chciałam się cofnąć, ale jak zaczął mój miły padać mi do nóg i ze łzami błagać, abym mu nie odmówiła jego szczęścia, a Francuzka mnie przekonywać, że nic innego już mi nie pozostaje, ostatnia przytomność mnie odstąpiła. Porwał mnie w swoje objęcia, i napół umarłą powlókł mnie przez ogród do swojego pojazdu. Takim sposobem opuściłam rodzicielskie progi.

Kiedy już się od niego oddalałam, dopiéro cała okropność mojego położenia w swojéj nagości przedstawiła się przedemną. Prośby i pieszczoty mojego Edwarda nie mogły utamować łez obficie płynących z moich oczów, a jednak te łzy jakąś ulgę mi przynosiły. Przed wschodem słońca zatrzymaliśmy się przed kościołem pobliskiego miasteczka, gdzie proboszcz już był umówiony, a którego imię było wyrażone w indulcie. Edward, lękając się pogoni, przynaglił księdza, aby jak najśpieszniéj wziął się do obrzędu ślubnego. Dziad i baba kościelni i kilku żebraków, byli naszemi świadkami, a po ślubie zaraz puściliśmy się w dalszą podróż świeżemi końmi.

Zawiózł mnie Edward do małéj wioszczyny pod Krzemieńcem. Ta wioseczka była atencyą starostwa Krzemienieckiego, którą starosta mu wydzierżawił. Zajechaliśmy do domu niewiele wykwintniejszego od chałupy chłopskiéj. Zamiast w zamku, wskazaną zostałam do życia pod słomianą strzechą, już nie jak bogata kasztelanka, ale jak uboga dzierżawczyni. Kochając męża, i w tém smutném położeniu byłabym szczęśliwą, gdybym mogła być spokojną na sumieniu; ale ciągłe jego wyrzuty, że zraniłam serce ojcowskie, ani chwili nie przestawały mnie dręczyć.

W kilka niedziel po naszém osadowieniu na tém skromném gospodarstwie, nastąpiło moje rozwiązanie. Niewdzięcznéj córce Bóg nie pozwolił być szczęśliwą matką; w kilka dni po swojém narodzeniu nasz synek nas odumarł.

Wielkie ubóstwo zaczęło stopniami nam doskwierać; opuściłam dom ojczysty z tém tylko co miałam na sobie. Ani ja, ani mój mąż nie rozumieliśmy gospodarstwa, zresztą nie było na czém gospodarować. Przyszło do tego, że nawet pierwszych potrzeb życia nie można było zaspokoić bez wielkich trudności, i coraz nam szło gorzéj. Szczęście zwykle przybywa samotnie, a bieda zawsze w towarzystwie nas nawiedza. Gradobicia, pomorek bydła, pożar stodoły, przez to wszystko przeszliśmy w ciągu jednego roku. Mój mąż był najpoczciwszym z ludzi, kochał mnie z zapałem młodzieńczym, najokrutniejszą dolę wytrzymałby, ale jakkolwiek udawałam że jestem szczęśliwą, on aż nadto dobrze poznawał, że moja wesołość była kłamaną. Wyrzucał sobie ciągle, że mnie w przepaść wtrącił, gryzł się, miewał często napady rozpaczy, nakoniec zapadł na zdrowiu.

Kilka razy pisałam do ojca żadnéj odpowiedzi nie otrzymałam, a zatrważające wieści do mnie z jego domu dochodziły, z których najstraszniejsza była dla mnie wiadomość, że mój brat wkrótce po mojém wykradzeniu osiadł był w naszym zamku, i już zaczynał się zalecać księżniczce Sołomereckiéj. Przeczułam, że jeszcze nie wychyliłam do dna kielicha goryczy, i że trzeba mi było gotować się do nowych nieszczęść. O jakże srodze to przeczucie się ziściło!

Dotąd karmiliśmy się jakąś nadzieją, że otrzymamy ojcowskie przebaczenie, aż jednego poranku przybywa do nas posłaniec z zamku i wręcza mojemu mężowi opieczętowany pakiet, po czém wychodzi z izby, siada na swojego konia, który był uwiązany do płotu, i cwałem ucieka. Otwieramy pakiet, odczytujemy ekspedycyę; przebóg! był to ekstrakt wyroku mojego ojca, stosownie do statutu Litewskiego. Wyrok przyznany osobiście przed grodem w Żytomierzu.

Tego ostatniego ciosu mój mąż wytrzymać nie mógł; chory od kilku tygodni, uderzony widokiem mojéj rozpaczy, któréj pokryć nie mogłam, położył się w łóżku, z którego już nie powstał, we dwa dni albowiem po tym wypadku, Bogu ducha oddał. Wystaw sobie położenie kobiety dziewiętnastoletniéj, owdowiałéj, sieroty bez przytułku, bez nadziei, a tak biednéj, że nie tylko iż nie było o czém męża pochować, ale nawet nie mającéj co do słowa odzieży przyzwoitéj, w któréjby się pokazać mogła. Zdaje się, że dość było powodów do rozpaczy, a jednak ani się nad tém zastanowiłam, bo oprócz śmierci męża na wszystko byłam bez czucia. Widzisz, przez jakie okropne koleje przechodzić musiałam.

Jednak Bóg, nawet kiedy chłoszcze, nie przestaje być miłosiernym. I kiedy na swoje stworzenie dopuszcza nieszczęście, byle w nim ufność położyło, zawsze je wydźwiga jakąś pociechą, jakimś ratunkiem nieprzewidzianym. Kiedy nam się zdaje, że już przez wszystkich jesteśmy opuszczeni, on nam jest najbliższym, bo nieszczęście z pokorą przyjęte wraca nam przed jego obliczem wszystkie zaszczyty niewinności. Nasza słaba natura ucieka od cierpień, a jednak to pewna, że w nich jest jakaś siła oczyszczająca, która uzacnia serce i podnosi umysł.

Moje położenie dochodziło do ostatnich krańców niedoli. Nieboszczka matka, kiedy miałam rok trzeci, a sama już była blizka skonania, dając mi ostatnie błogosławieństwo, zdjęła z szyi swojéj a zawiesiła na mojéj ten medalionik, wyobrażający Najświętszą Pannę Poczajowską, z tymże łańcuszkiem złotym, wartości jak widzisz kilku czerwonych złotych. Córka po matce w moim rodzie go nosiła, i on mnie nigdy nie opuszczał. Jakkolwiek nędza dawała się nam czuć, za nicbym na świecie z tą pamiątką się nie rozstała. Wyznaję téż, iż to było dla mnie najdotkliwszém utrapieniem, kiedy

zmuszoną zostałam pozbyć się tego drogiego dla mnie upominku konającéj matki; oprócz niego nic nie posiadałam takiego, coby miało jakąkolwiek wartość, a tu nie było czém męża pochować. Udałam się do arendarza wiejskiego, nie powiem; zalana łzami, bo już płakać nie mogłam, i jemu zastawiłam łańcuszek, zdjąwszy z niego medalionik, za złotych sześćdziesiąt, a tym sposobem ostatnią nieboszczykowi mężowi mogłam zrobić posługę.

Tu przerwała mowę Konstancya. To przypomnienie tak rozdrażniło jéj czucie, że musiała czas jakiś odpocząć. Piękną twarz zakrywała chustką, aby łzy swoje utaić; co do mnie, niemniéj od niéj byłem rozrzewniony. Blizko pół godziny siedzieliśmy naprzeciwko siebie, nie przerywając milczenia; nakoniec przyszła do siebie, i spokojnie znowu rozpoczęła przerwane opowiadanie.

— Pierwsza rzecz, którą zrobiłam, gdym powróciła z pogrzebu do siebie, była uklęknąć i błagać ratunku od Najświętszéj Panny, któréj wizerunek, już bez łańcuszka, trzymałam w ręku. Nigdy z równą gorliwością w ciągu mojego życia się nie modliłam, i nigdy nie doświadczałam z modlitwy podobnéj pociechy, która nawet się przedłużyła, kiedy już przestałam się modlić. Już był wieczór; siedziałam z robotą w ręku przy oknie, aby chwycić ostatki światła, kiedy wózek odkryty zajechał przed moją chatę, a z niego wysiadł w prostéj odzieży mężczyzna jakiś, którego z okna, przy świetle wieczorném poznać nie mogłam, i puka we drzwi mojéj izby. Ja mu otwieram; wchodzi, poznaję go: był to Paweł Bołsunowski, od dziadów i pradziadów klient i sługa naszego domu.

Znałam go od mojego niemowlęctwa, i byłam bardzo w dziecińпотwie do niego przywiązana. Jakem go zobaczyła, dom rodzicielski i wszystko co mnie w nim otaczało, stanęło przed memi oczyma. Nic nie mogłam wymówić, tak byłam rozczulona żalem; tylko gorzko zapłakałam i ścisnęłam go w moich ramionach, jakby szukając w nim podpory. I on niemniéj odemnie był wzruszony, i choć jurysta, na widok mojéj nędzy zapłakał.

— Pani! — rzekł do mnie, uspokoiwszy się ze swojego wzruszenia — wiedziałem żeś nieszczęśliwa, ale ani wyobrażałem sobie, abyś pani mogła cierpiéć nędzę, jaka cię otacza; trzeba ją widziéć własnemi oczyma, aby jéj uwierzyć. Mój Boże! potomek tylu senatorów i ministrów, płci słabéj, delikatnéj, do tego stopnia pożyty niedostatkiem, że walczy z pierwszemi, z niezbędnemi potrzebami życia! Twój stan pani woła do Boga o pomstę na tego, który korzystać obmyślił z twojego nierozważnego kroku; ale trzeba ułatwić to, co jest najgwałtowniejsze. Oto z przypadku pani dobrodziejce służę; wyruszyłem z Żytomierza do W. Aksaka, skarbnika Krzemienieckiego, mojego pryncypała. Wiozę mu sześć tysięcy złotych, które dla niego

za dekretem odebrałem od kabału Cudnowskiego. Racz pani tę summę przyjąć, a pani mi ją oddasz kiedy będziesz mogła; lokacya dla mnie aż nadto pewna, o zwrot naprzykrzać się nie będę, a z tego jakoś się wytłómaczę przed panem Aksakiem. To moja rzecz, mamy z sobą nasze rachunki.

— Ale, mój Bołsunusiu — odrzekłam — zkądże będę mogła się tobie uiścić, kiedy jestem wydziedziczoną?

— Daj pani pokój, to moja rzecz; nie jestem z takich, co zaprzepaszczają swoje. Ani trochę mię nie przestrasza wyrok, chociaż sam musiałem go napisać, a może właśnie dla tego samego. Jak to nasi mówią, są opisy, ale są i okpisy; od czego rozum? Tylko między nami sekret; pod tym tylko warunkiem mogę być pani pożytecznym sługą. Niech pani uważa się jako księdzą, a mnie jako grzesznika, który się jemu spowiada. Zapraszam się tedy do pani na noc; bo mam z nią do mówienia. Nikt się nie domyśli, że ja do pani zboczyłem; gdyby pan kasztelanic się o tém dowiedział, byłoby po wszystkiém, przynajmniéj na długi czas.

— Ale jakże u mnie przenocujesz, kiedy nie mam cię czém przyjąć?

— Mnie niewiele potrzeba. Tu jest kątek; mam pościel, a z sobą się wozi to, czém w potrzebie można się żywić. Zresztą, kto ma pieniądze, temu się o nic nie kłopotać. W karczmie znajdzie mój famulus owies i siano dla chabetów; żyd bez masła, jaj i ryby być nie może, wszystko się tu dostawi za rozkazem pani, a teraz pozwoli mi pani kazać tu wnieść moje rupiecie, i jéj odliczyć sumkę, którą pani łaskawa będzie przyjąć na procent od swojego prawdziwego sługi.

I nie dawszy mi czasu do odpowiedzi, wyszedł dawać rozkazy swojemu woźnicy i kozakowi, zostawiając mnie w największém podziwieniu.

Wnieśli jego tłomok i inne jego rzeczy; naznaczyłam mu miejsce w izbie, gdyż sama stałam z chłopianką, która mi usługiwała. W alkierzu zaścielono mu pościel, poczém ludzie odeszli do karczmy; a gdyśmy sami pozostali, od tego zaczął, że wyjął z małego kuferka worek, i z niego odliczył mi trzysta trzydzieści trzy czerwonych złotych hollenderskich, i najskrupulatniéj doliczył z osobnéj sakiewki, którą przy sobie nosił, te kilka złotych, jakich nie dostawało do uzupełnienia okrągłéj kwoty sześciu tysięcy. Z tego samego kuferka wydobył świstek papieru, pióro i kałamarzyk, napisał dokumencik w krótkich wyrazach, odczytał go, i jako człowiek wielce metodyczny, zmusił mnie do przeczytania go saméj, poczém podał mi go do podpisu, a gdy go otrzymał, zamknął papierek w kuferku. Już się dobrze zmierzchało, a ja nie miałam nawet łojowéj świecy, ale on i na to poradził; wyjął z tłomoka lichtarz podróżny i jarzącą świecę,

sam ją za pomocą krzesiwa zapalił, i tak z sobą, on na zydelku, a ja na jego łóżku siedząc, rozpoczęliśmy nader ważną dla mnie rozmowę.

— Pani jesteś aniołem, ale, niech to będzie między nami, jéj brat jest wielkim grzesznikiem, bo jest sprawcą wszystkich nieszczęść, jakie doświadczyłaś pani, odkąd się oddaliłaś z naszych stron. Wszak to nie ma dwóch lat, a pani tak zmizerowana, że jéjbym nie poznał. Stary pan dawnoby się udobruchał, ale jak młody pan nasiadł na niego, do wszystkiego złego go namówił, mając ciągle w ustach ten szumny wyraz: „honor familijny“. Pan kasztelan płakał jak bóbr, kiedy po uczynieniu wyroku wrócił do swojéj kwatery, a pan kasztelanic mu przytaczał przykłady Brutusa i Manliusa. Niech to będzie między nami, ale z przeproszeniem pani, jéj brat jest niegodziwiec, i serce mi się kraje, ile razy pomyślę, że takiemu będę musiał przez całe moje życie służyć; ale cóż robić? syn po ojcu wszyscy Bołsunowscy od około dwóchset lat są przyjaciołmi i sługami domu Kierdejów, a czy podobieństwo zerwać spadkowe stosunki? Tać to ja ukradkiem do pani się dostałem. Niech Bóg broni, aby pan kasztelanic o tém się dowiedział; odjąłby mi sposób służenia pani, wszędzieby rozgłosił, że go zdradziłem, a że świat nie sądzi z dokumentów lecz tylko z prawdopodobieństw, takby mnie ubił na sławie, że żadna nawet przekupka nie powierzyłaby mi interesów; albo mu co trudne?

— I cóż dla mnie obmyśléć możesz, kiedy mój ojciec mnie się zaparł?

— O! wiele i bardzo wiele. Najprzód, po najdłuższém życiu JW. kasztelana, gdyby brat pani i rozpękł się, co z przeproszeniem daj Boże, to jéj nie odsądzi od macierzyńskiego spadku; tyle tylko, że bawić się może po ziemstwach i trybunałach, ale orzeszek za twardy, aby go zgryzł. Choć może wypadnie, że ja za kratą stając, za moim pryncypałem będę dowodził, że pani nic się nie należy; śmiéj się pani z tego, guba truba. Cała moja usilność obróci się na to, abym na śmiech palestry zanadto się nie wystawił, jak się wezmę do otrząsania gruszek z wierzby. O to pokój! A co się tyczy wyroku, jakoby prawomocnego do odsądzenia pani z ojcowizny, bez wątpienia to kęs nielada, jednak i w tém nie ma czego tracić zupełnéj nadziei, jakoby co się zrobiło już się nie odrobi. Cujus est condere, ejus est tollere. Pan kasztelanic odjechał do Warszawy w wesołéj myśli, że tak rozumnie wszystko ukartował, że już jego przytomność w ojczystym domu niepotrzebna. A ja dobrze zauważyłem, że stary pan od jego wyjazdu zaczyna być innym, choć tego jeszcze nie okazuje; ale jak Bóg Bogiem, on panią kocha.

— Co mówisz! onby mógł mi przebaczyć?

— A jużci, jeżeli pani i przewiniłaś, czyż srodze nie odpokutowałaś? Bóg sprawiedliwy. Choć to mówią, że jabłko niedaleko od

jabłoni, jednak wcale inne serce u ojca, a inne u syna. Moja rada taka: pani masz teraz pieniądze i nadal o nic nie masz potrzeby się troszczyć. Jedź-że pani zaraz do Żytomierza, najmij sobie dworek na Kamionce, notabene pod zmyślonem nazwiskiem. Nikt panią nie pozna, ile że nie jesteś z takich, coby lubiły się szastać po ulicach; a potém, kto patrząc na nią dorywczo, odzianą jak uboga szlachcianka, domyśli się, że to jest kasztelanka Kijowska, córka pierwszego na Rusi senatora? Pani jesteś krwią moich panów, jak jéj brat, a nic dziwnego, że jako wszyscy słudzy pana, więcéj jestem przywiązany do niéj niż do jéj brata, bo co innego dopełniać obowiązek, a co innego iść za pociągiem własnego serca. A jednak, jeżeli mi trafi się panią spotkać czy w kościele, czy na ulicy, z przeproszeniem ani się jéj ukłonię, i pani do mnie się nie przybliżaj, interes pani tego wymaga, ale dlatego ja będę miał na nią oko. Oprócz Boga i pani nikt się nie dowié, że w tém była moja sprawa, a jakoś się ułoży, że pani zbliżysz sie do swojego szanownego rodzica. Na tém więc stanęło, że choćby jutro pani wyjedziesz do Żytomierza, i wszystko to wypełnisz, co miałem zaszczyt jéj poradzić, a miéj pani w Bogu nadzieję, że wszystko wyjdzie na dobre; a teraz spokojnéj nocy życzę pani, bo już późno. Jutro ze wschodem słońca wyjeżdżam, a jeszcze nie odmówiłem różańca.

— Dobry, zacny Bołsunusiu! — odrzekłam — ty pierwszy ożywiłeś w mojém sercu nadzieję, ty jesteś moim dobroczyńcą; z takim jak ty, modlitwa nie może nie być miłą naszemu Stwórcy. Pozwól, niech z tobą razem odprawię to ulubione do Najświętszéj Panny nabożeństwo.

Zmówiliśmy razem różaniec, poczém życząc mu dobréj nocy, rzuciłam się w jego objęcia, jakby był moim mnie miłującym bratem, a stał się nim rzeczywiście dobrodziejstwem swojém. On ukląkł przedemną, jakkolwiek temu się opierałam, i zaprzysiągł mi stateczną przyjaźń i pomoc w każdéj okoliczności.

Po świeżéj stracie najdroższego męża, Bołsunowski taką przerwę sprawił w moim smutku, takie na mojém sercu napiętnował przekonanie, że przywiózł mi Boskie błogosławieństwo, iż od dawna tak spokojnego snu nie doświadczyłam jak téj nocy, w któréj pod jednym dachem zemną spoczywał. Kiedym się ocknęła, już go nie było; przykro mi było, żem go nie uprzedziła przebudzeniem.

Pierwsza moja czynność tego poranku była iść do cerkwi, aby Bogu podziękować za ten pierwszy zadatek jego łaski. Poczém rozdałam jałmużny między ubogich téj wioski, bo sama byłam blizko roku tak ubogą, że mogłam się przekonać o wszystkich cierpieniach, jakie towarzyszą ubóstwu. Po uiszczeniu się z tych dwóch obowiązków, czci Boga i miłości bliźniego, udałam się do arendarza, aby

wykupić mój łańcuszek, a przytém najęłam u żyda podwodę do najpierwszego miasteczka. Żyd, choć pilnujący swojéj korzyści, był poczciwym człowiekiem, a nawet kilka razy mi dopomógł udzieleniem jakichś wiktuałów, chociaż żadnéj nadziei nie mogłam mu robić; wszystko to sowicie mu wynagrodziłam. Żyd jak najlepiéj mi usłużył, sam mnie zawiózł o cztery mile do miasteczka, i kiedy mu się zwierzyłam, że pragnę nie być znaną, najwierniéj dochował mi sekretu, i w miasteczku ugodził dla mnie furmana żyda, który mnie pod inném nazwiskiem szczęśliwie dowiózł do Żytomierza. Widzisz, mój przyjacielu, jeżeli mi pozwalasz tak cię nazywać, że byłam należycie wyćwiczoną w szkole przeciwności.

Osiadłam więc w Żytomierzu, odosobniona, zapomniana od świata, bo oprócz jednéj staréj szlachcianki, przez którą znosiliśmy się z Bołsunowskim, i księdza, którego sobie obrałam w kościele katedralnym za spowiednika, z nikim dwóch słów nie zamieniłam. Nie nudziłam się jednak, chociaż nawet książek nie miałam. Żałowałam, że nie mogłam w mojém położeniu przybraném bawić się klawikortem, od którego już byłam odwykła, ale kupiłam sobie gitarę hiszpańską, i bez metra w bardzo krótkim czasie zostałam na niéj mistrzynią. Miałam zawsze zdolność do rysunków; zwłaszcza kwiaty i owoce mi się udawały. Trudno było w Żytomierzu o tusze angielskie; ich nazwiska nie znali, ale w kilka dni po przybyciu mojém przypadał odpust w kościele OO. Karmelitów w Berdyczowie. Chciałam koniecznie korzystać z tego odpustu. Tam, po odbytém nabożeństwie, że właśnie przypadał jarmark, trafiłam na szałas Niemca, który miał rozmaite zagraniczne towary. Znalazłam u niego tusze angielskie i pędzelki; to był dla mnie skarb; zaraz kupiłam szkatułkę z tuszami, i z tak szacowną zdobyczą wróciłam do Żytomierza.

Odtąd byłam spokojniejszą; wśród zgiełku miasta, gdzie często bywały zjazdy obywatelskie, żyłam w osamotnieniu. Oprócz domu Bożego, w żadnym innym moja noga nie postała; z nikim nie miałam żadnego stosunku, tylko z tą starą szlachcianką o któréj już wspomniałam, co mi wynajęła swój dworek. Była to poczciwa kobieta, obowiązana Bołsunowskiemu; przez nią z nim ułatwiały się moje stosunki, bo on zawsze czuwał nademną jak anioł opiekuńczy, i zalecił mi, abym w mojéj gospodyni pokładała zupełną ufność. W mojém osamotnieniu nie doświadczałam nudów; pędzle i gitara aż nadto zastępywały dla mnie towarzystwo. Nie byłam szczęśliwą, bo byłam pod przekleństwem ojca, ale czułam się być czystą na sumieniu, a tak wielką miałam ufność w Bogu, że miałam już przekonanie, iż wkrótce od najdroższego ojca otrzymam przebaczenie.

Zresztą do zaspokojenia moich pierwszych potrzeb, nie zbywało mi na środkach; wszystkiemu zaradzał Bołsunowski, tak dalece, że

nasza powiernica często w jego imieniu robiła mi wymówki, że jestem zanadto oszczędną, że pod pozorem unikania zbytku, ujmuję sobie na wygodach niezbędnych dla osoby mojego stanu, że mu krzywdę tém przynoszę. W istocie na niczém mi wcale nie zbywało. Zachowuję list tego dobrego przyjaciela, w którym wyraża, że całe życie wyrzucać sobie będzie, iż zaniedbał był powziąć dokładne wiadomości o powodzeniu mojém i mojego nieszczęśliwego męża, i że ten rok zupełnego niedostatku, który cierpieć musiałam, cięży na jego duszy jak kamień; że nie śmie oczów na mnie podnieść ze wstydu, że aż przypadkiem dowiedział się o moich cierpieniach.

Jednego poranku zajeżdża przed dworek który zajmowałam, kareta ciągniona przez konie, jakich u nas używają w podróżach nieco dalszych. Furman i foryś byli żydzi, bo jak ci wiadomo, kto zjedzie z jedynego gościńca pocztowego, którym się dostać można do Warszawy, innego środka nie ma do podróży, tylko furmanów żydów; bez nich daleka podróż byłaby niepodobną. Przybliżyłam się do okna, żeby się przypatrzyć téj karecie; jakież było moje zadziwienie, kiedym ujrzała wychodzącego z karety księdza Sozanta Warzańskiego Bazyliana, a kapelana mojego ojca, który mnie uczył czytać, kiedy jeszcze byłam dzieckiem.

Wszedł prosto do sieni i stuknął we drzwi. Ja mu otworzyłam sama. Poczciwy kapłan i ja popłakaliśmy się przy powitaniu. Nakoniec uspokoiwszy się, odezwałam się pierwszą:

— Z czém tu do mnie biednéj przychodzisz, ojcze Sozancie?

— Ze złą i dobrą nowiną; ze złą, bo jegomość zaniemógł obłożnie; z dobrą, bo pragnie widzieć się z panią, ją uściskać, i jak tylko dowiedział się odemnie, że pani bawi w Żytomierzu, już o niczém nie mówił, tylko żeby jak najprędzéj panią tu przywieźć. Choć cały nasz dwór do pani przywiązany, wszyscy tak się boją młodego pana, że mnie uprosili, bym panu kasztelanowi zainstynktował, żeby mnie, a nie kogo innego wyprawił po panią. Bo u nas tylko księża nie boją się magnatów; resztę opowiem w drodze, a teraz proszę pani jak najśpieszniéj wybrać się i siąść ze mną do karety. Wszędzie są rozstawione żydowskie konie, tak że jeszcze téj nocy choć późno staniemy w Kierdejowie, dokąd, jak musi być pani wiadomo, zaraz po jéj wydaleniu się jéj szanowny rodzic przeniósł swoje mieszkanie.

Przygotowania moje do wyjazdu odbyły się w kilku minutach. Siadłam z księdzem do pojazdu, wziąwszy z sobą tylko małe zawiniątko. W ciągu naszéj podróży opowiadał różne szczegóły mnie tyczące się, mianowicie, jakim szeregiem nieprawości mój brat doszedł do tego, że nareszcie wymógł na naszym ojcu, iż mnie wydziedziczył. Jakie podłe intrygi! Poprzysięgłam mu zemstę i wieczną nienawiść; on był sprawcą wszystkich moich nieszczęść. Z jego łaski mój

poczciwy mąż mnie odumarł! O ile było w jego mocy, niczego nie zaniedbał, ażeby mój ojciec pożegnał świat przeklinając swoję córkę. Trzeba było wyraźnego Boskiego rozporządzenia, żeby nie dopiął swojego celu. Nic między mną a nim nie może być wspólnego. Na jego wspomnienie natura moja się wzdryga; żadna potęga nie może pojednać naszych serc, lubo teraz jest między nami niby zgoda; często bywamy on u mnie, ja u niego, i światu najmniejszego pozoru zgorszenia nie dajemy; ani się domyśla o mojéj ku niemu nienawiści. Ja mogłabym jeszcze mu odpuścić, ale on nadto wiele krzywd mi wyrządził, aby mógł dla mnie być kiedykolwiek prawdziwym bratem. Między nami wojna śmiertelna; nie ja, ale on potargał wszystkie węzły natury.

Tu jéj wzruszenie tak się wzmogło, że zmuszoną została powtórną zrobić przerwę. Powstała ze swojego szezląga, parę razy przeszła przez pokój w milczeniu, poczém ulżywszy sobie cokolwiek, wróciła na miejsce, i tak związała przerwaną nić opowiadania.

— Nadto bolesne jest dla mnie przypomnienie pojednania się mojego z umierającym ojcem, którego tyle zasmuciłam, abym rozwodzić się mogła nad szczegółami téj sceny. Ten dobry ojciec wszystkie moje przewinienia odpuścił i tak mnie przyjął jak ojciec ewangeliczny marnotrawnego syna, z tą tylko różnicą, że już nie mógł opuszczać łoża boleści. Znowu byłam jego ulubioném dzieckiem, i zaraz zajął się tém, aby po jego śmierci los mój został zabezpieczony. Przy swojéj niemocy nie mógł jechać, dla cofnienia przed grodem swojego wyroku, ale to cofnienie wyraził w swoim testamencie tak prawomocnie, że mógł być pewnym, iż po jego śmierci będę spokojną. Niedługo Bóg pozwolił mi się nim cieszyć; ósmego dnia po mojém przybyciu skonał na moim ręku. Do jego syna wyprawiono umyślnego w dzień mojego przyjazdu z doniesieniem o stanie ojca. Dworzanie nasi to obmyślili, aby przed synem nie narazić się na podejrzenie, że mi sprzyjając wszystko tak ukartowali, abym ja, wydziedziczona córka, była panią jego chwil ostatnich; ale umyślny nie zastał go w Warszawie, bo on był wyjechał do Gdańska na morskie kąpiele, a kiedy przybył do ojczystego domu, już było po wszystkiém.

Przez te dni kilka, w których po zgonie ojca sama bawiłam w ojcowskim zamku, w samćj rzeczy byłam samowładną panią, a nieszczęścia przez jakie przechodziłam, nadto mi dały doświadczenia, abym z tego nie umiała korzystać. Drogocenne klejnoty, pozostałe po mojéj matce, jako własność moję zabrałam. Testament ojca także, i to wszystko za radą księdza Warzańskiego, złożyłam u pana Rudnickiego łowczego Owruckiego, sąsiada i przyjaciela nieboszczyka ojca, męża wzorowéj cnoty, a który był jednym ze świadków na tym testa-

mencie podpisanych, a to z obawy, aby brat mój za przybyciem swojém nie użył chociażby i gwałtu, aby testament zniszczyć, i klejnoty zabrać, bo jego chciwość wszystkim była aż nadto wiadoma.

Nakoniec przyjechał ten brat, i zaraz zapowiedział, że zemną widziéć się nie chce, a że ojciec urzędownie wyrok na mnie uczynił, więc nie może mnie uważać, tylko jako obcą, zatém wypowiada mi swój dom i o mnie słyszéć nie chce. Po takiéj admonicyi natychmiast wyjechałam do Żytomierza.

Jakże wielkie są u nas obowiązki spadkowe służebnictwa i klienteli! Wszyscy mi sprzyjali, i potajemnie przekonywali o swojéj życzliwości, a jednak żaden się nie odważył głośno za mną przemówić, ani okazać, że jakiekolwiek zemną stosunki zachował. Nawet Bołsunowski, tak gorliwy i doświadczony mój przyjaciel, kiedy wezwany został przez nieboszczyka ojca dla sporządzenia testamentu, rzeczywiście wszystko zrobił, a jednak tak się obawiał narazić mojemu bratu, że zmyślił obłożną niemoc, i przez dziesięć dni z łóżka nie wstawał i głodem się morzył, aby nie widziéć się z moim ojcem; a tylko wyprawił jurystę, któremu z łóżka dyktował wszystko, co było potrzebne, związawszy go przysięgą, że się przed nikim nie wymówi, by on w czémkolwiek wpływał do tych czynności. Mało na tém; kiedy rozpoczęłam proces z bratem, on przeciwko mnie stawał jako jego umocowany, a jednak znajdował środki, o jakich nikt się nie domyślał, aby mnie wspierać swojemi radami i najmniejszéj z mojée strony nie dopuścić omyłki.

Wszczęła się więc w Żytomierzu sprawa, wszystkich nieinteresowanych wielce gorsząca, w któréj brat nastawał na cześć i miano siostry. Publiczność była za mną. Szlachta na mego brata sarkała. Pan Rudnicki wziął się szczerze do mojego interesu, jedynie powodowany szlachetnością uczucia; ale mieliśmy do czynienia ze stroną silną, zuchwałą, na nic nieoględną i na wszelkie bezprawia gotową.

Nie będę się rozwodziła po szczegółach nad wszystkiemi skokami, jakich mój brat się dopuszczał, — aby mnie zgubić jak najprzód pod wątpliwość poddać usiłował autentyczność testamentu, a późniéj jego ważność, nakoniec przedsięwziął znękać mnie przewłokami, które mu nie szkodę, ale oczywisty zysk przynosiły, gdyż był w posiadaniu całkowitego naszego majątku, tak ojczystego jak i macierzystego, podczas kiedy ja innych środków nie miałam, tylko te, które zaczerpnąć mogłam z zaufania moich przyjaciół.

Pod tym względem moje położenie tak dalece było dla mnie dokuczliwe, że postanowiłam bądź co bądź wyjść z niego, i wyruszyłam z Żytomierza prosto do Warszawy, aby polecić się opiece króla. I zaraz to przedsięwzięcie przyprowadziłam do skutku; dziś projekt

się zrobił, a już nazajutrz byłam w pojeździe na gościńcu Warszawskim.

Nikogo nie znałam w Warszawie, niczyjego za mną wstawienia oczekiwać nie mogłam, ale kobieta młoda, przystojna, prześladowana, zawsze spółczucie wszystkich pozyska. Doświadczyłam tego w Żytomierzu, tém więcéj miałam prawo na to rachować w stolicy, gdzie wpływy mego brata nie mogły być tak wielkie, jak na prowincyi. Nadto, w podróży mojéj jeden wypadek pokazał się dla mnie wielce przyjazny. Książę Sasko-Weissenfelski z krwi królewskiéj, gdy powracał z Petersburga do Warszawy, zjechał się zemną na stacyi pocztowéj pod Brześciem. Pierwszy raz widzieliśmy się z sobą, ale książę zbliżył się do mnie, by zemną zabrać znajomość; lubo nie wiedział co ja za jedna, z największą grzecznością do mnie mówił. Nic dziwnego, że się mu podobałam, ale co mi więcéj zaszczytu przynosi, zaraz powziął ku mnie szczególny szacunek.

Na każdéj stacyi wysiadał jedynie aby zemną rozmawiać. Dobrocią swoją tak umiał pozyskać moję ufność, że opowiedziałam mu wszystko co się mnie tyczyło, i że jadę do Warszawy, ażeby u króla ojca wdów i sierot otrzymać posłuchanie, ale że nie wiem, jaką mam iść drogą, by dostąpić tego zaszczytu. Książę zapewnił mnie, iż to wszystko bierze na siebie, dodając:

— Brat pani jest mi znany; nigdy nie miałem dla niego osobliwszego szacunku, jednak nie spodziewałem się, aby do tego stopnia był niegodziwym.

Na ostatniéj stacyi przed Warszawą kazał jednemu ze swoich ludzi siąść za moim pojazdem, aby mu zaraz przyniósł wiadomość, dokąd zajechałam.

Mój brat, jak się dowiedziałam o tém późniéj z listu pana Rudnickiego, wielce został porażony wiadomością, że wyjechałam do Warszawy, tak dalece, że nie tracąc czasu także do niéj się wybrał, dla przeważenia wpływów, jakiebym mogła w niéj uzyskać.

Już był wieczór, kiedy stanęłam w gospodzie na Starém Mieście. Dostałam jakiéj takiéj stancyi dla siebie i mojéj służącéj, a tak czułam się być zmęczoną podróżą, że zaraz udałam się do wczasu.

Nazajutrz z rana wybrałam się do Fary błagać Boga o pomoc i dobre natchnienia w moich przedsięwzięciach, i kiedy wychodziłam ze świątyni, jakieś niewypowiedziane przeczucie pomyślności mię owionęło; jednak cały ten dzień przeszedł nic mi nie przyniósłszy, ale już oczekiwałam spokojnie, co Bóg ze mną rozporządzi. Drugi dzień także spełzł na niczém.

Dopiéro trzeciego dnia, kiedy po powrocie z Fary ułatwiałam z moją pokojówką niektóre rachunki, i obliczałam się z mojemi funduszami, czy mi starczyć będą, czy wypadnie zastawić coś z tych klej-

notów, których miałam podostatkiem, wchodzi służący, Warszawianin świeżo przezemnie przyjęty, z doniesieniem, że książę Weissenfels zapytuje czy go przyjmę, i czeka na odpowiedź u wrót gospody. Kazałam odpowiedzieć że mu służę, i wychodzę na przeciwko dostojnego gościa. Ten wchodzi zemną do mojego mizernego mieszkania, mówi mi:

— Dotąd nie śmiałem pani się pokazać, bo nie miałem jeszcze nic pomyślnego do przyniesienia; dziś dopiéro mogłem do króla przemówić za panią, a król jegomość oświadczył, że jutro o godzinie dziesiątéj z rana czeka na panią w zamku, aby ją wysłuchać, a podziękowawszy najjaśniejszemu panu, pośpieszyłem do pani, aby jéj tę łaskę królewską oznajmić. Więc pani pozwoli jutro po nią tu przyjechać, stosując się do woli króla, i w moim ekwipażu zawieźć ją do zamku.

Więcéj dwóch godzin ten dobry książę bawił u mnie. Od kilku dni go znałam, a byliśmy z sobą jak starzy przyjaciele. Instynktem serca kierowana, położyłam w nim pełną ufność; mogę pochwalić się, że przecie znalazłam prawdziwego przyjaciela. Odtąd ważnego kroku nie zrobiłam, nie zasiliwszy się wprzódy jego radą, i nigdy nie miałam powodu tego żałować. Teraz książę znajduje się w swojém księztwie, a jego niebytność często mi cięży, ale przynajmniéj dwa razy na tydzień odbieram jego listy. W ostatnim obiecuje swój przyjazd do Warszawy; jakże wyglądam jego przybycia!

Oczekiwałam spokojnie tego stanowczego poranku, bo czułam się być czystą na sumieniu. Wszelka słuszność była z mojéj strony; ani wątpiłam, że wspaniałomyślny rycerz, którego miałam zaszczyt być poddanką, zechce mnie zasłonić swoim majestatem od prześladowania i podstępów mojego brata: tém więcéj, że po Stefanie Batorym żaden król polski nie był tak mocnym w rzeczypospolitéj, jak nasz panujący od czasu porażenia ostatecznego Szwedów pod Połtawą i odzyskania od Porty Ottomańskiéj Kamieńca.

Nadszedł pożądany poranek, w którym miałam otrzymać posłuchanie królewskie. Pierwszy raz w mojém życiu trzeba mi było się zbliżyć do potężnego monarchy, i wyznaję, że nie bez jakiéjś trwogi oczekiwałam téj chwili, mającéj stanowić o moim losie. Ubrałam się skromnie, jak przystoi nieszczęśliwéj wdowie, jednak starannie, aby się źle nie wydać przed królem, który znany z namiętnego zamiłowania wszystkiego tego co jest kunsztem, zanadto może ceni smakowną wykwintność ubioru, zwłaszcza w płci naszéj. Obawa moja wzrastała w miarę zbliżającéj się godziny mnie przeznaczonéj, ale na moje uspokojenie, właśnie gdy skończyłam już moje ubranie, przybył książę Weissenfels, który zaraz po przywitaniu unosić się zaczął nad połączeniem skromności z dobrym smakiem mojego ubioru.

Jeszcze więcéj godziny mieliśmy przed sobą. Przyjemne obcowanie księcia, jego dowcip, rozumne rady które mi dawał, a nadewszystko jego dobroć, przydały mi odwagi, i czułam się spokojną kiedy podał mi rękę, oznajmiając że już pora, i wprowadził mnie do swojéj karety, gdzie obok mnie zajął miejsce. Pomimo odwagi wmówionéj mi przez księcia, kiedyśmy wjechali na dziedziniec zamkowy, serce zaczęło we mnie bić tak gwałtownie, że omal nie zemdlałam ale książę był moją opatrznością. Nosił przy sobie woń orzeźwiającą, stosownie do obyczaju ludzi wielkiego świata, i oddał mi flaszeczkę, która dla mnie była skuteczną. Oparta na jego ramieniu, z twarzą zasłonioną welonem, wolnym krokiem przeszłam przez obszerne pokoje zamku. U podwoi gabinetu, w którym król na mnie czekał, przybliżył się do nas szambelan będący na służbie. Książę coś mu szepnął do ucha; ten natychmiast wszedł do gabinetu i drzwi zamknął za sobą. Wkrótce powrócił, drzwi zostawił otwarte, i oświadczył nam, że król kazał wprowadzić nas. Wchodzimy.

Tu mnie odwaga odstąpiła; cała byłam drżąca, i gdyby nie ramię księcia, na nogachbym się nie utrzymała. Król stał przed nami; byłam tak zmięszana, że czas jakiś słowa nie mogłam powiedziéć, ani opuścić ramienia księcia; nawet welonu nie podniosłam. To nie mogło dziwić króla; on mnie wziął za rękę i z największą grzecznością zaprowadził do sofy, prosząc abym usiadła; wtedy dopiéro przyszłam do siebie, zrzuciłam welon, który mi twarz zakrywał i padłam mu do nóg.

Król mnie podniósł, zmusił mnie usiąść, siadł sam przy mnie, i wpatrywał się w moje oblicze jakby z zadziwieniem; byliśmy tylko we troje. Król ciągle na mnie patrząc, rozmawiał z księciem, aby mi dać czas przyjść do siebie.

Ośmieliłam się podnieść oczy na króla; nasze spojrzenia się spotkały, i jak mi późniéj książę powiedział, wtedy bladość znikła z moich liców i ustąpiła miejsca żywym karminom wstydu; dodał, że nie można sobie wyobrazić nic równie pięknego, jak ja pokazałam się w téj chwili; naturalnie to przyjęłam za przesadę grzeczności. Król na mnie wielkie zrobił wrażenie. Wiek jego zbliżony do starości, ale szlachetność jego rysów, ogień błyszczący w jego źrenicach, marcyalność jego bohaterskiéj postawy, harmonijny dźwięk jego głosu, nakoniec urok majestatu wielkiego monarchy, pasterza potężnych ludów, to wszystko jest zdolne pociąg wzniecić w sercu i w umyśle. Zostałam jakby oczarowana, ale tą zmyślnością wrodzoną w każdéj kobiecie poznałam, że i ja na nim sprawiłam jakieś wrażenie.

Ośmieliłam się nakoniec przemówić do niego za sobą. To co ci opowiadałam, opowiedziałam królowi z takiém uczuciem, że często łzy przerywały moję mowę. I spostrzegłam łzy w jego źrenicach.

Moje opowiadanie, często wsparte przymówieniem się księcia, trwało więcéj godziny. Król oka ze mnie nie spuszczając, wysłuchał mnie z największą cierpliwością; jak skończyłam, kilkakrotnie powtarzał:

— Co za niegodziwy człowiek ten pan Kierdej! I mógłżem jego zaszczycać względami! Syn tak cnotliwego męża, mógłże tak dalece odrodzić się od swojéj krwi? Bądź pani spokojną, jéj sprawa jest moją sprawą; obaczymy czy pan Kierdej odważy się sprzeciwić mojéj woli. Mości książę, tobie poruczam opiekę nad tą damą; w godniejsze ręce nie mógłbym jéj złożyć. Upraszam aby na niczém jéj nie zbywało, i proszę aby się do mnie zawsze udawała, jako do najlepszego przyjaciela.

Chciałam powtórnie upaść mu do nóg, on tego nie dopuścił. Kazał księciu odwieźć mię do mego mieszkania, a sam odprowadził do drzwi gabinetu. Pomimo mego oporu, pocałował mnie w rękę. Nie zapomniałam okryć twarzy welonem, przechodząc z księciem przez pokoje napełnione dworzanami, między któremi spostrzegać się dawali pierwsi panowie Polski i Saksonii, którzy na mnie z widoczną ciekawością patrzyli.

Książę odwiózł mnie do mieszkania i w niém krótko bawił, aby mi dać wypocząć po tylu wrażeniach; znalazł jednak dość czasu, aby mię zapytać, jakie są moje środki do utrzymania się w Warszawie. Ja mu odpowiedziałam, że niczego nie potrzebuję, że mam tysiąc czerwonych złotych, wprawdzie zaciągnionych u moich przyjaciół na Rusi, ale którzy o zwrot tych pieniędzy naprzykrzać się nie będą, póki nie będę sama w stanie im się uiścić. Do tego klejnoty mojéj matki, o zwrot których brat mnie już zapozwał. On na to:

— Niechże pani najmie dla siebie porządniejsze mieszkanie; ja sam tém się zatrudnię. Król bez najmniejszéj wątpliwości panią nawiedzi, a sama przyzwoitość nie pozwala go przyjąć w gospodzie.

I już nazajutrz osiadłam w tym pałacu, w którym cię przyjmuję, i który późniéj nabyłam na własność od pana Przebendowskiego, wojewody Pomorskiego.

Książę Weissenfels opiekował się mną, jakbym była jego córką; o każdym kroku uwiadamiał mię. Niedługo czekałam na rozwiązanie mego interesu. Król przywołał do siebie mego brata; tylko książę był przypuszczony do téj konferencyi. Król mówił do brata z wielką żywością. Ostro mu wymówił nikczemność jego postępowania, rozkazał mu mnie przeprosić pod utratą swojéj łaski, a nakoniec zobowiązał go do zapisania się na kompromis. Przeznaczył nam na superarbitra pana Orłowskiego, kasztelana Bełzkiego, męża głośnego w narodzie z rzadkiéj poczciwości i z głębokiéj wiadomości praw nam służących, a który miał wielkie zachowanie u króla. Każde z nas miało prawo wybrać sobie po jednym arbitrze; sprowadziliśmy jak

najśpieszniéj, ja pana Rudnickiego, mój brat Bołsunowskiego do Warszawy, żeby raczyli zasiąść jako arbitrowie, przydani do rady panu Orłowskiemu. Inskrypcya nasza była tak mocnie napisana w kancelaryi królewskiéj, że tylko do Boga strona czująca się być skrzywdzoną mogła się odwołać.

Mój brat przybył do mnie, i przy świadkach przeprosił, a ztamtąd udaliśmy się razem do grodu, dla przyznania osobiście inskrypcyi. Na oko pojednanie nasze zdawało się być niewątpliwe. W jednéj karecie pojechaliśmy do grodu; największą uprzejmość ciągle mi okazywał, nawet wkrótce potém przywiózł do mnie swoję młodą żonę, dla któréj zaraz po naszém pierwszém poznaniu osobliwszy uczułam pociąg, ale w rzeczy saméj, nasze pojednanie było tylko powierzchowne. Mój brat zanadto mnie był prześladował, aby mi mógł przebaczyć, bo prześladowany prędzéj odpuści krzywdy jakie cierpiał, niż prześladowca te, które sam wyrządzał.

Ja z mojéj strony nadto pogardzałam bratem, abym go przyjmowała u siebie, bez uczynienia sobie jakiegoś gwałtu. Jego widok przerażał moję duszę, bo mi zaraz przedstawiał szereg ucisków, które mi dał uczuć, i śmierć mego Edwarda, któréj był istotnym sprawcą: jakaż zgoda mogła nastąpić między dwoma sercami, pałającemi nienawiścią ku sobie i pragnieniem zemsty?

Tymczasem nasz kompromis się agitował: zabawną było rzeczą widziéć, jak Bołsunowski, który mi ciągle sprzyjał z całego serca, zmuszony położeniem swojém pokazać się dla mnie niechętnym, gardłował za swoim pryncypałem; jak usiłował przekonać pana Orłowskiego, że nic mi się nie należy ani z ojczystego ani z macierzystego majątku, i że wyrok na mnie uczyniony przez mojego ojca, żadnym testamentem inwalidowanym być nie może; a Rudnicki, słysząc podobne absurda, wściekał się, nie domyślając się, że Bołsunowski aż do niedorzeczności posuwa swoje wymagania, jedynie dlatego, aby nic nie otrzymać, a okazać się jednak przed panem Kierdejem aż do przesady jego gorliwym poplecznikiem.

Po kilku tygodniach stanął dekret kompromisarski, w którym innego faworu nie znalazłam, tylko że wyzwolił mnie od zdzierczych i przewłocznych form zwyczajnego procederu, a rychło mi wymierzył sprawiedliwość. Przysądzono mi połowę majątku macierzystego, a co się tyczy ojczystego, musiałam poprzestać na dwóchkroć sto tysiącach spłaty, kiedy mi więcéj miliona się należało, a że zabrałam klejnoty mojéj matki, więc mnie odsądzono od wszelkiego prawa do remanentów po ojcu pozostałych, nawet uwolniono brata mego od wszelkiéj kalkulacyi. Z tém wszystkiém zachowuję i zawsze zachowam dla pana Orłowskiego najczulszą wdzięczność, jako dla mego *dobroczyńcy*, bo przez niego odzyskałam z majątkiem zupełną niepod-

ległość w przeciągu kilkunastu dni, a pewnie idąc zwyczajną drogą prawniczą, i za lat dziesięć do tegobym nie przyszła.

Już w ciągu toczenia się mojéj sprawy, król często nawiedzał mnie. Mój książę oznajmił mi, że król we mnie zakochany, jak piętnastoletni młodzieniec; aż nadto dobrze to wiedziałam, bo król u nóg moich zrobił mi wyznanie swoich płomieni. Ja téż nie byłam obojętną na te dowody jego przywiązania; pochlebiały one mojéj dumie i mogłam miéć się za wymówioną przed popiołami mego małżonka, dla którego tyle umiałam cierpiéć, że tylko król mógł zapełnić tę próżnię, jaką on zostawił w mojém sercu.

Król był głośny ze swoich miłostek, a tém samém niewielką wiarę pokładał w cnocie kobiety. Co do mnie, aż nadto jaśnie dawałam mu do poznania, że ulotne jego uczucia bynajmniéj nie kuszą mojéj miłości własnéj. On to uważał być fortelem kobiecym, użytym dla zaostrzenia żądz zakochanego przez wyrachowane odwleczenie niewątpliwego tryumfu na czas późniejszy. Zaczął mi nasełać dary kosztowne; ja jego nawiedziny przyjmowałam, ale dary odsełałam. Król nie był przyzwyczajony do podobnego postępowania, i coraz gwałtowniejszym pałał dla mnie płomieniem, rozżarzonym moją cnotą więcéj, niż wdziękami.

Jakkolwiekbądź, trzeba mi było wyjść z tego niebezpiecznego położenia. Byliśmy razu jednego we troje w tymże salonie; król, książę Weissenfels i ja. Król był więcéj natarczywy, więcéj użalający się na zapoznanie jego miłości, niż kiedykolwiek. Płakał jak dziecko, dopominając się odemnie ofiary, któréjbym mu nie mogła uczynić bez okrycia się hańbą przed własnemi oczyma. Na to mu odrzekłam najspokojniéj: — Wasza królewska mość krzywdzisz mnie, jeżeli myślisz, że mogę aspirować do tak nikczemnéj roli, jaką wygrywały pani Königsmark, de Kozel, Orzelska i tyle innych. Jestem prosta szlachcianka, wielce obowiązana poddanka waszéj królewskiéj mości, bo mu winnam mój byt i wszystko co posiadam, ale nie czuję się być w powinności wywiązać się z wdzięczności winnéj mojemu królowi, kosztem mojéj sławy i mojéj poczciwości, a wielkie serce Augusta podobnéj ofiary nie będzie żądać. Gdybym tego nie była pewną, byłabym przymuszoną z Warszawy się wydalić, aby nie być narażoną na taką obelgę.

Ukracam wszystkie szczegóły téj kilkomiesięcznéj walki, jaką król toczył ze mną i z sobą. Nakoniec oświadczył mi, że chce u stóp ołtarza zaprzysiądz mi wiarę małżeńską, bo żyć bezemnie nie może, ale że interes stanu i położenie jego w Polsce i rzeszy Niemieckiéj nie pozwalają mu ogłaszać małżeństwa z poddanką. Skoro moje sumienie nie mogło mi nic wyrzucać, skoro byłam niewinną przed Bogiem, mogłam obojętną zostać na potwarze ludzi, nie wiedzących o prawych

związkach, jakieby mnie z królem łączyły, ani mogłam być przystępną marnéj chlubie, żeby być uznaną od innych za żonę królewską, tém więcéj że postanowiłam w niczém nie odmienić raz przyjętego trybu życia. Byłoby zbrodnią z mojéj strony, narażać mego króla na krok szkodę mu przynieść mogący. Nakoniec szczerze się do niego przywiązałam, i ani wahałam się zadość uczynić jego woli.

W mojéj kaplicy zaprzysięgliśmy sobie wzajemnie małżeńską wiarę. Spowiednik królewski nas pobłogosławił; książę Weissenfels, wojewoda Przebendowski i pan Poniatowski, szef gwardyi koronnéj, byli świadkami tego obrządku, który dotąd i nadal tajemnicą będzie pokryty. Jednéj tylko Maryi, méj bratowéj, odkryłam ją za zezwoleniem króla. Mój majątek nie jest zbyt wielki, ale aż nadto wystarczający na zaspokojenie moich potrzeb. Żadnych darów od króla przyjąć nie chciałam; żona króla nie mogła iść za przykładem jego faworytek.

Unikam zgiełku wielkiego świata; na żadnym balu nigdy się nie pokazałam, ani chciałam rozszerzać szczupłego kółka moich znajomości. Wieczory przepędzam u siebie, najczęściéj w towarzystwie króla, księcia Weissenfels, kiedy się znajduje w Warszawie, Przebendowskiego, Poniatowskiego i mojéj bratowéj, bo oni wszyscy wiedzą, czém jest król dla mnie, czém jestem dla króla; dla wszystkich innych mój dom jest zamknięty. Ile razy król wyjeżdża do Drezna, o kilka dni poprzedzam jego odjazd, aby mnie tam zastał; toż samo kiedy powraca do Warszawy. W jego sercu do miłości przyłączyła się ufność i stateczna przyjaźń dla mnie, tak że już bez mego towarzystwa obejść się nie może. Co do mnie, żyję jedynie dla niego, do niczego się nie mięszam. Rozumiem moje położenie, wiem że nie jestem ani królową, ani faworytą króla, jestem jego żoną, a więc nie szukam dla siebie żadnego wpływu w sprawowaniu jego rządów. Nie szafuję urzędami i królewszczyznami, jak to robiły jego faworytki, a choć król do tego mnie upoważniał, nigdy za nikim nie przymówiłam się do niego, najmniejszego urzędu nikomu nie wyrobiłam. Żadnéj korzyści, ani dla siebie, ani dla moich nie szukałam z mego położenia.

Jeżeli ubogiego, a obarczonego licznóm potomstwem brata mego pierwszego męża, podniosłam do stanu mierności, to nie groszem rzeczypospolitéj, ale udziałem własnego mojego majątku. Wprawdzie król go obdarzył jakąś niewielką królewszczyzną na Wołyniu, ale bez mojéj wiedzy, i wyznaję, że mu to z żalem wymówiłam. Pałacyk w Dreznie jest jedynym darem, jaki od króla przyjęłam na usilne jego prośby; tego nie mogłam mu odmówić.

Przy pojednaniu się szczerém czy nieszczerém z moim bratem, poznałam się z Maryą i od pierwszego poznania pokochałyśmy się

tak, że wkrótce nic skrytego między nami nie było. Ja przed nią odkryłam naturę moich stosunków z królem; ona nawzajem mi powierzyła swoje nieszczęście, że zmuszoną została przez matkę oddać się człowiekowi, który nie jest zdolny wzniecić w niéj nie tylko przywiązania, ale nawet szacunku. Przyznała się niemniéj, że już swojém sercem rozrządzać nie mogła; z takim zapałem mówiła o twoich cnotach, o nieprzezwyciężonych uczuciach, jakie dla ciebie zachowuje, tak się zalewała łzami, użalając się na twoje o niéj zapomnienie tak dalece, że bawiąc w Warszawie, unikałeś ją, iż nawet list tobie do niéj od matki powierzony przez trzecią osobę jéj wręczyłeś, że wznieciła wemnie gwałtowną chęć poznania cię i przekonania się czy jesteś godnym jéj tak statecznego przywiązania.

Powzięłam postanowienie was połączyć, gdyż nietrudno było dla mnie poznać, żeś umierał z miłości dla niéj. Któż albowiem nie bierze udziału w cierpieniach, jakich sam doświadczał? Zresztą nie chcę się okazać lepszą, niż nią mogę być w istocie; być może, że nienawiść, jaką czuję dla mego brata, wpływała cokolwiek na moje przedsięwzięcie zapewnienia szczęścia Maryi. Trudno rozpoznać wszystkie tajniki własnego serca. Jakkolwiekbądź, to pewna, że Marya zasługuje by była szczęśliwą, a nią nie jest. Gdyby przynajmniéj mogła szacować tego, z którym przemoc ją złączyła, miłość dla ciebie, która ją pożera, możeby została z czasem zwalczoną; ale nie ma nieszczęścia równającego się niedoli szlachetnéj duszy, która zostaje pod władztwem istoty podłéj. Przeszłam przez szkołę bolesnych doświadczeń, cierpiałam nędzę i poniżenia zwykle jéj towarzyszące, jednak nie mogę powiedziéć, abym doszła do ostatecznych granic niedoli. Bo mój mąż nigdy nie stracił prawa do mojego szacunku.

Ty nie pojmujesz, co to jest przebiegłość kobiety, bądź miłością, bądź przyjaźnią zagrzanéj. Umiałam być uwiadomioną o każdym twoim kroku; udałam się do króla, wszystko co się tyczyło ciebie i Maryi przed nim odkryłam, niemniéj i to, że przedsięwzięłam was połączyć, w czém król swoję pomoc mi przyobiecał. Otrzymałam jego pozwolenie zwierzyć ci istotne moje położenie, zaręczając mu, że mogę być pewną, iż téj tajemnicy nie zdradzisz. Potrzebowałam twojéj ufności, bez niéj nie mogłam być dla was skutecznie pomocną; a jakże tę ufność; otrzymać, póki dwuznaczność mego położenia przed tobą usprawiedliwioną nie zostanie?

Wprzód niż przybyłeś do Warszawy, niż nawet pomyślałeś do niéj przyjechać, już najściślejsza przyjaźń zespoliła mnie z twoją Maryą. Gdybym ją mniéj kochała, jużbym starała się być od niéj nieodstępną, aby ją wystudyować. Istotnie ona służyć może za wielką naukę dla tych, którzy myślą że szczęście oprzéć się może na świetności zewnętrznego położenia, a nie na usposobieniu duszy.

Dla kogóż Marya piękna, opływająca w dostatki, rodu wysokiego, ozdobiona przymiotami serca i umysłu, nie może być przedmiotem zawiści? a jednak udręczenia jakich doświadczałam, są niczém w porównaniu cierpień jéj duszy. Mogę pochlebiać sobie, że gdyby nie moja przyjaźń, gdyby nie nadzieja, którą ożywiałam w jéj sercu, gdyby nie przeczucie przyjaźniejszéj doli, którą umiałam w niéj wzniecić, nigdyby nie wytrzymała ciężaru żywota. Wyobraź sobie nienawiść i wstręt przechodzący pojęcie do mego brata, a jednak zachowanie z nim stosunków wszelkich, jakie mogą w jedno jestestwo zjednolicić męża i żonę; możeż być większa tortura dla kobiety, zachowującéj cokolwiek czucia i uczciwości? a cóż dopiéro dla duszy tak wzniosłéj, tak szlachetnéj, jak mojéj niezrównanéj Maryi. Dziécię, które nosiła w swém łonie kiedy ją poznałam, a które późniéj na świat wydała, dziécię nie miłości ale przemocy, mogłoby jakkolwiek rodziców zespolić, gdyby jakiś cień szacunku pozostał w żonie dla męża; ale tu wstręt, jaki zawsze Marya czuła dla swojego, bynajmniéj się nie zmniejszył, a wzgarda dla jego postępków i sposobu myślenia jeszcze się wzmogły.

Tyle jednak zdołałam w niéj wzniecić odwagi, że w części przynajmniéj wyzwoliła się z hańbiącego położenia. Wkrótce po urodzeniu swojego syna oświadczyła swemu mężowi, że jest daleką od dania światu jakiegokolwiek zgorszenia; że dla oka będzie z nim w zupełnéj zgodzie; że odtąd żadnych ścisłych stosunków z nim miéć nie może, i że jeżeli temu jéj postanowieniu zechce stawić najmniejszą przeszkodę, będzie zmuszoną opuścić jego dom i przenieść się do pałacu, który po ojcu ma wziąść w spadku (było to na kilkanaście dni przed jego skonem). Mój brat przyjął to dość obojętnie, bo on nie do jéj wdzięków, ale do jéj wniosku cenę przywiązuje, i zapewnił ją, że w tym względzie jéj wola, acz dla niego twarda, z jego strony będzie zawsze szanowaną.

Dopiéro kiedy po śmierci księcia Sołomereckiego i ogłoszeniu jego testamentu, Marya pod moim wpływem do niego napisała, że nie myśli odrzeknąć się od korzyści, jakie jéj ten testament zabezpiecza, — że odtąd chce bezpośrednio władać swojemi dobrami, i że na wypadek jego oporu, postanowiła chociażby prawnie utrzymać swoje prawa, mój brat przestraszony próbował rozmaitych środków, aby ją odwieść od tego postanowienia, i gdyby nie moje czuwanie, może byłby postawił na swojém. Możeby i nie wahał się dopuścić prawnych kroków, tylko że tu przyjechawszy zaraz poznał, że będzie miał do czynienia ze stroną niebezpieczną. Bo tyle wié przynajmniéj o moich stosunkach z królem, że wiele u niego mogę; wolał więc poszyć się w baranią skórkę i nie narażać się żonie, popartéj tak silną i tak przezorną poplecznicząką.

Wyznaję, że niechrześciańską radość uczułam z powodu, iż dwa razy w krótkim czasie zdołałam porazić tego niegodziwego brata; ale nie na tém koniec. Muszę koniecznie ciebie i Maryą połączyć, i to w jak najkrótszym czasie. Marya, dzięki moim staraniom, już jest spokojniejszą; trzeba jeszcze zapewnić jéj to szczęście, na jakie zasługuje, a które w pełności od ciebie tylko otrzymać może. Winieneś łączyć ku temu twoje usilności z mojemi; w téj wspólnéj dążności prowadzić cię będzie miłość, mnie zemsta, o którą wołają popioły pierwszego męża i przyjaźń, jaka mnie wiąże z Maryą. Cóż może się oprzéć tym najsilniejszym uczuciom w jedném ognisku skupionym?

Temi słowy Konstancya skończyła. Moje przeznaczenie już było skreślone; ukląkłem przed nią, oddając się zupełnie i ślepo jéj woli.

ROZDZIAŁ XXVI.

Odtąd los mój i Maryi zostawał w ręku pani Krajewskiéj. Codziennie widywaliśmy się u niéj, a codziennie nasza wzajemna miłość wzrastała. Nikt z obcych o niéj domyśléć się nie mógł. Marya więcéj niż kiedy unikała towarzystw wielkiego świata; całe jéj jestestwo było oddane miłości i przyjaźni. Żyła z mężem pod jednym dachem, chociaż w osobnych komnatach; jéj mąż był ciągle dla niéj grzecznym, uwielbiał ją przed swojemi znajomemi, ją samą rzadko kiedy widywał, a ile razy to mu się zdarzało, zawsze jéj powtarzał, że czuje iż ani posiadał, ani posiadać może jéj miłości, ale pragnie zasłużyć na jéj przyjaźń i szacunek, i że nigdy opierać się nie chce jéj woli.

Tak dalece pokazał się wyrozumiałym, że kiedy pani Krajewska oświadczyła mu w imieniu Maryi, że ona chce z nim rozpocząć sprawę rozwodową, by szukać w związku z innym szczęścia, jakiego w ich małżeństwie znaléźć dla siebie nie mogła, ten bynajmniéj nie okazał się temu przeciwnym. Tyle tylko iż prosił, by żadnego kroku nie rozpoczęła przed upłynieniem pół roku; że skład jego interesów téj przewłoki wymagał; że tylko jako troskliwy ojciec o dobro swojego syna domaga się, by po najdłuższém życiu pani Kierdejowéj trzecia część jéj wniosku była mu zabezpieczoną, że żadnego kroku prawnego przeciw niéj nie zrobi, a nawet, aby ją w tém ubezpieczyć, przyrzeka, że przed upłynieniem tego półrocza przyzna pełną moc do prowadzenia sprawy rozwodowéj temu, który od niéj będzie naznaczony, a takim sposobem bez żadnéj zwłoki otrzyma rozwiązanie ich małżeństwa. Upraszał tylko, aby przedtém najgłębszą tajemnicą to

wszystko pokryte było, i aby w niczém trybu życia nie odmienili; tego nie mogły obie mu odmówić, bo już o jego szczerości w tym względzie nie wątpiły. A jednak ta przewłoka stała się dla nas źródłem nowych nieszczęść.

Co do mnie i Maryi, codzień widywaliśmy się z sobą u pani Krajewskiéj, która była dla nas ciągle aniołem opiekuńczym. Byliśmy pewni, że nasze związki wkrótce otrzymają sankcyę Kościoła, gdyż sama sprawa prowadzona bez oporu, nie mogła trwać nad kilka niedziel. Mieliśmy więc wszelkie prawo uważać się za małżonków. I pani Krajewska sama nas do tego upoważniła.

Płyńcie zwolna w pamięci mojéj, chwile szczęśliwe a tak w rzeczywistości krótkie, w których miłość wzajemna dusze nasze spajała! Żyliśmy wspólném jestestwem, myśli nasze były zjednolicone, zawsze mieliśmy sobie coś do powiedzenia, a jednak o niczém nie mówiliśmy tylko o naszéj miłości. Wyglądaliśmy z upragnieniem chwili, w któréj nasze stosunki będą uprawnione, a tę chwilę, która w wyobrażeniu naszém nie mogła być oddaloną, przyśpieszaliśmy nadzieją. Żaden wyrzut sumienia nie zachmurzał pogody naszego szczęścia. Doświadczyłem takiéj błogości blizko przez rok, że jeżeli po jego upłynieniu wszystko się dla mnie przemieniło w ciernie i głogi, jeżeli w ciągłém udręczeniu doszedłem do starości, nie mam prawa użalać się na Opatrzność, bo w jednym roku wyczerpałem wiekowego istnienia szczęście.

Jednego dnia Marya mi powiedziała, że ma słuszne powody wierzenia, że już nosi w swojém łonie owoc naszéj miłości. Ta wiadomość taką mnie przepełniła radością, że omal od rozumu nie odszedłem; lecz po tém wybuchnięciu radości zaczęliśmy się zastanawiać nad naszém położeniem. Powierzyliśmy naszéj przyjaciółce, a ta wzięła na siebie mówić z bratem o przyśpieszenie rozwodu. Wkrótce potém przyniosła nam pocieszającą wiadomość, że lubo mu nie wyjawiła powodów, jakie naglą Maryą do otrzymania skrócenia terminu naznaczonego, okazał się więcéj wyrozumiałym, przezeń niż się mogła spodziewać, gdyż oświadczył, że chociaż wedle umowy dopiéro za dwanaście tygodni miała się rozpocząć ich sprawa, jednak gotów jest za dwa tygodnie wszystko do niéj przygotować, warując sobie, aby o tém przez ten przeciąg czasu nie wspominać. Piętnaście dni niedługi czas, a jednak wystarczył, aby nas w przepaść bezdenną wtrącić.

W pięć dni potém przybiegła sztafeta do pani Krajewskiéj, powołująca ją do Drezna, gdzie król od tygodnia bawił. List był napisany przez księcia Weissenfels, w którym jéj donosił, że król zapadł na zdrowiu tak, że do niéj nie może pisać, a tylko ciągle napiéra się jéj przybycia. Pani Krajewska została jakby przeszyta tą wiado-

mością, i w pół godziny po odczytaniu tego listu siadła w pojazd, i ruszyła do Drezna; a tak skwapliwie tę podróż odbyła, że trzeciego dnia już była przy królu. I w porę, bo w kilkanaście godzin po jéj przybyciu król w jéj objęciach Bogu ducha oddał.

Położenie naszéj ukochanéj przyjaciółki zupełnie się zmieniło: młody elektor był przeciwko niéj wielce uprzedzony. Uważał ją jako nałożnicę ojca, bo nadto był dumnym, aby przypuścić iż świętsze związki łączyły poddankę z jéj panem; a że był surowych obyczajów i gorliwéj wiary, żadnego pobłażania nie miał na wykroczenia przeciwko skromności chrześciańskiéj. Kazał jéj natychmiast opuścić Drezno, i posłał jéj z tym surowym rozkazem dość znaczną kwotę pieniędzy; Konstancya téj ofiary nie przyjęła, a zaraz wybrała się napowrót do Warszawy.

Smutne było nasze z nią spotkanie. Zaledwo mogliśmy się poznać po tém krótkiém rozstaniu się, tak ją zmartwienie odmieniło. Zalana łzami nad własném nieszczęściem, nie przestała być wierną przyjaźni, i nieraz z łkaniem nam powtarzała: — O biedni przyjaciele! cóż teraz rozpoczniecie z sobą? cóż mogę dla was uczynić? — Gwałt sobie czyniąc, udała się do brata w interesie Maryi, ale ten już do niéj innym językiem przemówił. O ile nienawiść jego musiała się ukrywać przez bojaźń, o tyle się rozlała przeciw siostrze, która już w nim żadnéj obawy wzniecić nie mogła. Z przekąsem jéj oświadczył, że na rozwód zezwolić nie może; że wedle prawa jest właścicielem wszelkich procentów żoninych; że od tego prawa odstąpić nie chce; że już się odmieniła postać rzeczy, bo czas płaci a czas traci, i że będzie się starał wynagrodzić sobie to, co z łaski żony i siostry przed śmiercią króla ucierpiał. Do tego przydał mnóstwo złorzeczeń na nieboszczyka króla, czém tak zmartwił siostrę, że zaledwo przytomna wróciła do siebie.

Tymczasem bezkrólewie książę Prymas ogłosił, a młody elektor, poparty przez dom Austryacki i imperatorową Elżbietę, oświadczył się o koronę, którą jego ojciec blizko lat trzydzieści nosił. Wszystkie juryzdykcye polskie z powodu bezkrólewia były w zawieszeniu; nie można było myśléć o sprawie rozwodowéj. Konstancya, jakkolwiek obarczona własném nieszczęściem, o nas nie zapomniała. Powiedziała nam, że małżeństwo nasze nie może tak rychło nastąpić, żeby aż byt zapewnić dziecięciu, które Marya w swém łonie nosi, że dla tego dziecięcia nie można jeszcze sprawy rozwodowéj zaczynać, a że trzeba wszystko czasowi zostawić, ile że pomimo odmiany jéj położenia, wszelako rąk nie opuszcza i nie traci nadziei, iż wszystko doprowadzi do pomyślnego dla nas końca.

W czasie bezkrólewia naród się rozdwoił; część znaczniejsza ogłosiła się za elektorem, druga, ułudzona przez Francyę obietnicą

pomocy, oświadczyła się za Stanisławem Leszczyńskim. Dość było dla pana Kierdeja, że elektor nieco za okrutnie postąpił z jego siostrą, aby ku niemu się skłonić. Jakoż, ażeby skwapliwością okazaną odznaczyć się przed królewiczem elektorem, ogłoszonym królem polskim w Warszawie, pośpieszył ku Gdańskowi naprzeciw stronnikom Leszczyńskiego, wspartym przez kilkuset Francuzów, gdyż na tém się skończył tak sumiennie obiecany posiłek przez króla francuzkiego.

Wszyscy moi znajomi byli w partyi Augusta III, poszli więc z bronią w ręku popierać jego sprawę; i mnie do tego namawiali, ale jakże mógłbym opuścić Maryę w stanie w jakim była? Zostałem w Warszawie jedynie nią zajęty, a obojętny na to, komu Bóg przeznaczy być moim panem, co późniéj niemało przyczyniło się do moich nieszczęść. Zbliżała się chwila, w któréj miałeś, synu, wyjść na świat: oczekiwałem jéj z niecierpliwością, ale i z trwogą, bo już cię miłowałem wprzódy, nimeś się urodził. Jako płód związku potajemnego, nieuświęconego powagą praw kościelnych i krajowych, bez imienia, bez bytu społecznego, jakiż los cię czekał? Ta myśl, że może kiedyś będziesz przeklinał twojego ojca, nie przestawała mnie dręczyć. Powierzyłem Konstancyi moje troski; ona mnie pocieszyła zaręczeniem, że moje dziécię będzie miéć imię i byt pewny, i abym co do tego był spokojny.

Moje stosunki z Maryą, a tém więcéj stan w jakim zostawała, były pokryte tajemnicą. Wiedzieli o tém Konstancya, mój Kulbida, jego brat Niekrasa, mający zwierzchność nad dworem Maryi, i ulubiona jéj pokojówka, już z nim zaręczona. Ileż ty i ja mamy powodów wdzięczności dla tych szanownych przyjaciół?

W ostatnim miesiącu swojéj słabości Marya okazywała się ciągle zasmucona, tak że wszyscy byliśmy przerażeni. Zdradzała jakieś czarne przeczucia często zalewała się łzami; codziennie, rozstając się z nami, z taką czułością nas żegnała, jak gdyby ostatni raz nas widziała. Prócz tego nadzwyczajnie zdawała się być czynną, jakby w obawie, aby czasu nie zabrakło do dopełnienia jéj zamiarów. I tak: wszystkich swoich sług opatrzyła, aby im jakiś kawał chleba zapewnić. Przyśpieszyła ślub Niekrasy ze swoją pokojówką, któréj posag, jéj szczodrobliwością naznaczony, gotówką do rąk odliczyła. Suknie swoje między sługi rozdała; ubogich więcéj niż kiedykolwiek obdarzała. Słynne w całéj Polsce srebra Sołomereckich sprzedała, i część pieniędzy za nie wziętych na chwałę Bożą obróciła. Nakoniec wszystkie klejnoty swoje oddała Konstancyi, a z niemi w gotowiznie kilkadziesiąt tysięcy w złocie. A kiedy ją zapytała przyjaciółka, co to ma znaczyć, ona odrzekła:

— Droga Kostusiu, kto przewidziéć może co się zemną stanie i z tém dzieckiem, co je noszę w mojém łonie? Trzebaż przecie cokol-

wiek mu zapewnić środków do życia choć miernego. Powierzam ci to złoto i klejnoty, ażebyś na wypadek mojéj śmierci obróciła to na pożytek mego dziecka.

Możesz sobie wyobrazić, jak te wszystkie szczegóły serce Konstancyi i moje boleśnie rozdzierały.

Chociaż Konstancya niemniéj od niéj była pogrążoną w smutkach, pokazała się przezorną, jak kobieta mocna Pisma Świętego. Umówiła się z Maryą, aby zaraz po jego urodzeniu i ochrzczeniu zabrać dziecko do siebie, bo jużci w pałacu Kierdejowskim nie można go było trzymać. Już mamka w domu Konstancyi czekała na dziecko, a wszyscy ci, co byli przypuszczeni do naszéj tajemnicy, ciągle byli w gotowości wypełnić każdy to, co mu Konstancya przeznaczyła.

Przybyła nam była wielka podpora w osobie Piotra Bołsunowskiego, owego ścisłego przyjaciela naszego Niekrasy, a który tak zarządzał dworem pana Kierdeja, jak ten ostatni dworem swojéj pani; bo chociaż mieszkali pod jednym dachem, każdy z małżonków miał dwór osobny. Pan Bołsunowski był wielkim skrupulatem; przypuszczony do pełnéj ufności pana i pani, wszystko co widział i o czém się dowiedział, przestraszało jego duszę cnotliwą, a nieco skłonną do melancholii; ale Marya na nim nadzwyczajne zrobiła wrażenie. Żałował ją, nie uniewinniał, bo był niedostępnym uczuciom miłości, ale do niéj się przywiązał i pokrywał przed sobą to, co w niéj uważał być ciężkim grzechem. Swojego zaś pana ani miłował ani szacował, i chociaż nigdy o nim źle nie wspominał, postanowił podziękować mu za służbę. Jakoż to i uczynił. Pan Kierdej to przyjął dość obojętnie, tyle tylko, że go uprosił, ażeby wstrzymał się aż do jego powrotu z pod Gdańska i miał oko nad jego domem. Pan Piotr podjął się jeszcze czas jakiś bawić w Warszawie i zarządzać jego domem, ale już nie jak jego sługa, lecz jak szlachcic jemu niepodległy, a tylko obowiązany jego domowi; i wymówił sobie, aby jako mający swój własny kawał chleba, od wszelkiego jurgieltu był uwolniony. Czemu się pan Kierdej nie przeciwił, i owszem, rad był miéć poczciwego człowieka, który w czasie jego niebytności pilnować będzie bezpłatnie jego dobra; a jeżeli pan Piotr wstrzymał swój odjazd do ojczystego Polesia, to jedynie przez przywiązanie, jakie miał dla pani Krajewskiéj od jéj dzieciństwa, współczucie dla Maryi, któremu oprzéć się nie umiał, a nadewszystko przez przyjaźń jaka go łączyła z Niekrasą; bo co się tyczy pana Kierdeja, żadnego powodu nie miał być mu obowiązanym. Miał dożywocie z łaski nieboszczyka kasztelana Kijowskiego, a choć lat kilkanaście wiernie służył jego synowi, od tego nigdy na zawinięcie palca niczego nie dostał. I cieszył się nawet, że nie miał prawa od niego wymagać wdzięczności, odkąd objawił całą niegodziwość serca postępkiem, jakiego się dopu-

ścił względem rodzonéj siostry. Gdy ta przybyła do Warszawy, zaledwo się z nią zobaczył, zaledwo do niego poufale przemówiła, już został od niéj zawojowany, tak dalece, że widział tylko przez jéj oczy, i odtąd był ślepém narzędziem jéj woli.

Przyszedł nakoniec dzień, z taką niecierpliwością, ale razem i trwogą przez nas oczekiwany. Od kilku dni Marya nie wychodziła ze swojego mieszkania, obiadowaliśmy u niéj; za stołem zajęły miejsca pani Krajewska, pan Niekrasa z żoną, pan Piotr Bołsunowski i ja. Marya także z nami usiadła, ale zaraz po polewce wstała i chodzić zaczęła około stołu, skarżąc się, że jéj niedobrze. Po blizko całodziennych cierpieniach, nazajutrz przed samém południem przyszedłeś na świat. Matka twoja wielce była osłabiona. Po rozwiązaniu, przy którém oprócz Konstancyi znajdowali się tylko doktor i baba, zaraz Konstancya wyprawiła Niekrasę, żeby mnie o tém uwiadomił, ale z zaleceniem, bym się nie ważył przychodzić, gdyż Marya tak jest osłabioną, że najmniejsze wzruszenie zabić ją może.

Konstancya rozwinęła wtedy, że tak powiem, cudowną czynność. Tego samego dnia, w którym się urodziłeś, jako ciotka z niebytności pana Kierdeja umiała korzystać. I w saméj rzeczy, ta niebytność wielce jéj posłużyła. Zaraz sprowadziła księdza, żeby cię ochrzcił, jako dziecię chore i niepewne życia; na jéj wezwanie przybył pan Poniatowski, już wojewoda Mazowiecki, a któremu nowo obrany król wyjeżdżając powierzył zwierzchność nad stolicą. Ona z nim zachowała przyjacielskie stosunki, i mogła na niego rachować; zaprosiła go, żeby był ojcem chrzestnym nowo narodzonego jéj synowca, i w liście do niego przez siebie pisanym uprosiła, żeby z sobą przywiózł jaką damę, niezbędną do tego obrzędu.

Byłeś trzymany do chrztu przez pana Poniatowskiego i księżnę strażnikową Lubomirską, synowicę jego żony. Już nazajutrz, za staraniem Konstancyi rozeszła się wieść po Warszawie, że w kilka godzin po twojém ochrzczeniu umarłeś. Zostałeś ochrzczony jako syn pana Kierdeja, a Konstancya postarała się, żeby ekstrakt takowéj twojéj metryki był jéj oddany. Téj saméj nocy mój Kulbida zaniósł cię potajemnie do pani Krajewskiéj, gdzie przebyłeś jednę dobę, bo już w nocy następnéj pan Niekrasa, Kulbida i twoja mamka, któréj los pani Krajewska zabezpieczyła, wywieźli cię na Szląsk i zostawili u doktora zamieszkałego w Lignicy, zawczasu uprzedzonego, a który miał wielkie obowiązki dla pani Krajewskiéj. Poczciwy Niemiec był przekonany, że to dziecię było owocem jéj miłości z nieboszczykiem królem, a rozumie się, że nasi nie usiłowali zbić go z tego mniemania.

Tak usadowiwszy cię w bezpieczeństwie, powrócili do Warszawy; ale już Maryi nie zastali. W kilkanaście godzin po waszym odjeździe, pożegnała ten świat; tylko mnie zastali na łożu boleści. Byłem chory;

chciałem a nie mogłem umrzéć, Kulbida i jego brat nie usiłowali mnie pocieszać, bo wiedzieli, że to byłoby napróżno, ale płakali ze mną, i tém osładzali moje cierpienia.

Pani Krajewska przytomniejsza, chociaż niemniéj cierpiąca odemnie, często nawiedzała nieszczęśliwego przyjaciela.

— Bądź spokojny o los twego dziecka — powtarzała — w obliczu prawa, jest on Kierdejem, spadkobiercą znacznego majątku i świetnego imienia. Zresztą ja sama uważam go za syna, i tak wszystko ułożę, żeby z nikim po mojéj śmierci nie dzielił się moim majątkiem. Wiem, że mój brat wszystkiego gotów się dopuścić, aby się pozbyć tego dziecka, ale ja czuwam nad jego bezpieczeństwem. Wyprawili jego słudzy pod Gdańsk umyślnego, by go uwiadomić o śmierci żony i nowo narodzonego syna. Zapewne wkrótce tu przybędzie; to mię tylko pociesza, że urodzenie tego synka jest urzędownie spisane, a o jego śmierci żadnego śladu nie ma.

W kilka dni potém przybyła znowu Konstancya do mnie, by oznajmić mi, że pan Kierdej dnia wczorajszego przybył do Warszawy, podwójnie uradowany, raz ze śmierci żony, już mu nie stojąca na przeszkodzie do zarządzenia ogromnym majątkiem, zaraz objął w posiadanie, jako opiekun pozostałego syna; powtóre, z świeżo otrzymanego od króla łowiectwa wielkiego Litewskiego. Wprawdzie mogło go zadziwić urodzenie syna z żony, z którą od blizko półtora roku żadnych nie miał stosunków, ale że to dziecko umarło, a więc i te niemiłe dla niego okoliczności pokrywa milczeniem, i przyjmował uprzejme oświadczenia współczucia znajomych, w zgryzotach jakich doświadczać musi z powodu śmierci jednocześnie nastąpionéj żony i syna.

Nikt nie umiera ze zmartwienia; na mnie był tego przykład. Wskazany zostałem żeby żyć, i zdawałoby się, że moje zdrowie wzmagało się w miarę nieszczęść, które na mnie ze wszech stron się sypały. Zacząłem wychodzić na miasto; oprócz Konstancyi, u nikogo nie bywałem. Opinia prawie powszechna była wówczas za Augustem III, a że ja, nie mogąc opuszczać Maryi, zdawałem się być obojętnym na jego przeznaczenie, ogłoszono mnie za stronnika Leszczyńskiego, ci zwłaszcza, którzy powrócili z wyprawy Gdańskiéj, a moi przyjaciele warszawscy byli w tych liczbie. Odwracali się odemnie, jakby mnie nie znali, na co w mojém nieszczęściu nie mogłem być obojętnym.

Z Konstancyą przepędzałem dni moje, przez nią odbierałem wiadomości o moim synie, do którego jednak nie pozwoliła mi jechać, żeby nie zdradzić jego schronienia. Dowiedziałem się od niéj, że pan Kierdej musiał się czegoś domyślać, kiedy starał się o sepulturę mniemanego synka, a tylko jego metrykę otrzymał. I w tym względzie zdradzał przed swemi poufnemi i wielką niespokojność, i jakieś ciemne

— Do tego, że wyrządziłaś mi największą krzywdę, tém większą, że i trzecia osoba niewinnie na niéj cierpi.

— Jaką krzywdę? Prawdziwie nie spodziewałam się, żeby w naszych stosunkach, ktoś mógł ciebie uważać za stronę skrzywdzoną.

— Mówmy otwarcie z sobą. Tyś dziecko mojéj żony po jego ochrzczeniu uniosła potajemnie, a choć mi wiadomo, kto jest ojcem tego dziecka i za czyją sprawą nieboszczka moja żona okryła się przed Bogiem sromotą, biorąc za kochanka prostego kozaka, co niech jéj Bóg odpuści, jednak od moich praw nie odstąpię, i zapytuję cię jeszcze, jak brat siostrę, gdzie się podziało to dziecko? Bo jużci jego metryka dowodzi, że ono jest moje; a zatém nie zmuszaj mnie do ciągnienia cię po juryzdykcyach krajowych i zesromocenia naszego domu, zarzucając ci zabójstwo mego dziecka.

— Na to nie umiem ci odpowiedziéć; masz rozum, nietrzeba cię uczyć. Wiem, że nie poczuwam się ani do złodziejstwa, ani do dzieciobójstwa, a więc spokojna jestem na wszystkie potwarze, jakie na mnie miotać będziesz i u dworu i przed sądami.

— Posłuchaj, siostro! Jakkolwiek mnie nienawidzisz, aż nadto znasz cześć, jaką czuję dla mego imienia, żebyś mogła przypuścić, iż go kazić zamyślam, poszukując na tobie zemsty za podobną zbrodnię. Nie uczynię tego, chyba wyczerpawszy wszelkie inne możliwe środki. Wiem o co tobie chodzi: myślisz, że życie tego dziecka jest mi na przeszkodzie, i że radbym go się pozbyć, bo wedle ciebie nie ma zbrodni, któréjbym się nie dopuścił. Niech i tak będzie; ale przynajmniéj temu uwierzysz, że w dzieciach nie mogę nie widziéć środka do zachowania mego świetnego imienia. Liczna dziatwa jest korzyścią dla chłopa, bo mu przez to przybywa robotników; dla ludzi naszego stanu jest rzeczywistą klęską, bo przez to fortuny drobnieją; ale jedno tylko dziecię jest za mało, gdyż broń Boże nieszczęścia na mojego Augustka, cały majątek Sołomereckich wyjdzie z domu Kierdejów. Dobrze miéć drugiego na zapas, a co mi tam, czy on mój, czy cudzy, dość że będzie się nazywał Kierdejem, i że byt i splendor domu się zachowa. Wszakże oprócz mnie już nie ma Kierdejów; ten intruz, to dla mnie pszeniczka; pilnowałbym go jak oka we łbie. Powiedzże mi, siostro, gdzie on się znajduje, żebym go mógł zabrać do siebie i wychować z moim Guciem. Pewnie naturaby mu nie dała lepszego ojca, niż interes, który mi go każe miéć za syna.

— Dajże mi pokój, bracie, i uwolnij mnie od słuchania twoich osobliwszych powierzeń; o niczém ani wiem, ani chcę wiedziéć; szukaj swojéj zguby gdzie ci się podoba, a bądź pewny, że u mnie jéj nie znajdziesz.

— Czy tak? a więc przygotuj się do tego, że będę nastawał na

twoją cześć i gardło; znasz mnie, nie jestem z takich, coby się cofali przed czémkolwiek.

— Aha! pierwéj prośba, potém groźba! Ale bądź pewny, że jeżeli cię nie miłuję, jeszcze mniéj się lękam. Jużeś mnie ciągnął po juryzdykcyach, usiłowałeś mnie wyzuć z majątku, czci i imienia, ale silna moją niewinnością, tyle u Boga znalazłam wsparcia, że jakoś umiałam się obronić.

— Ba! August II-gi już nie żyje, a u Augusta III-go napróżnobyś szukała to, co u tamtego znalazłaś. Nie wspominajmy o tém; ażeby tę rozmowę skrócić, powiem ci otwarcie, że przynoszę ci pokój albo zgodę, wybieraj!

— Z nikim wojny nie pragnę, i pewnie do niéj nie dam powodu, ale żadnych pogróżek się nie lękam. Myślałam, że twój młodszy synek umarł; jeżeli, jak mówisz, żyje, wielce się z tego cieszę, że wielki dom Kierdejów jest cokolwiek dalszy od wygaśnienia, i że nie będziesz miał potrzeby dla jego poparcia powtórnie się żenić, by nową nieszczęsną zaszczycić tém świetném nazwiskiem. Zresztą niewiele mnie obchodzi przeznaczenie domu Kierdejów, którego przestałam być członkiem. Jestem sobie prostą szlachcianką, i śmiało możesz mnie wymazać z swojéj genealogii, o któréj zaszczyty wcale się nie dobijam. Mości łowczy! nadto dobrze się znamy, żeby słowa wychodzące z jego ust mogły mnie obowiązać lub obrażać; ale z waszmością kłócić się nie myślę, między nami na próżno domacać się do jakiegoś uczucia, na krwi, szacunku lub przyjaźni opartego, ale nie mogę ci być radą w swoim domu, tylko o ile zemną kierować się będziesz prawidłami przyzwoitości. W przeciwnym razie zmuszoną będę go pożegnać.

— Przepraszam panią, jeżelim ją obraził; zdaje mi się, że w położeniu, w jakiém z łaski jéj zostaję, mam prawo w tym względzie do jéj wyrozumiałości; ale wracając do tego, co mnie tyle obchodzi, ośmielam się jéj powtórzyć zapytanie: Czy pani chcesz ze mną wojny czy pokoju?

Na to Konstancya nic nie odpowiedziała, tylko skłoniła się ceremonialnie, jakby chciała odejść, a pan Kierdej natychmiast wyszedł. Konstancya, jak tylko usłyszała tentent jego pojazdu, stuknęła w drzwi gabinetu i mnie przywołała.

Pierwsze moje słowa do niéj były wynurzeniem mojéj bojaźni niebezpieczeństw, na jakie będzie wystawiona. Konstancya mi odpowiedziała:

— Nie mogę przed sobą taić, że będę narażona na wybiegi i potajemne pociski tego niegodziwego człowieka, ale na to jestem przygotowana. Zresztą nie lękam się kryminalnéj sprawy, którą mi grozi; tego nie przedsięweźmie, próbował tylko mnie nastraszyć, żeby się dowiedziéć, gdzie jest to dziecko na które czycha. O dziecię twoje

więcéj się lękam, bo ten człowiek odtąd wszystkie usilności swoje obróci do jego wyszukania. Strzeż nas Boże, żeby miał dojść do tego; ale i ja mam na to baczność. Powiadają, że między kilkoma żadna tajemnica się nie uchowa. Jednakże aż nadto możemy być pewni, że ani Bołsunowscy, ani Niekrasowstwo, ani Kulbida nas nie zdradzą, a owszem nam dopomogą, żeby dni dziecka zachować. Ja chcę być matką twojego dziecka, to obiecałam Maryi przy naszém ostatniém pożegnaniu i mojéj obietnicy nie złamię. Wszystkie moje uczucia, wszystkie moje nadzieje, od chwili jego urodzenia w nim zeńrodkowałam. Chciałabym być tak spokojną o ciebie, jak o siebie, a nawet o to dziecko, dla którego odtąd żyć będę, bo ty jesteś wystawiony na zemstę najstraszniejszego nieprzyjaciela. Z trwogą przewiduję, jak wielkie niebezpieczeństwa cię otaczać będą.

— Byle mój syn uszedł jego zemsty, obojętnym będę na to, co mnie samego czeka. Po utracie Maryi nic mnie zatrwożyć nie zdoła; z lubością nawet gotów jestem wypróżnić do dna kielich niedoli, byle w miarę moich nieszczęść mój syn był szczęśliwy.

Nie mogłem opuścić Warszawy, bo myśl, że jeszcze więcéj przez to się oddalę od syna, przestraszała mię. Jak powiedziałem, unikałem wszelkich towarzystw i zabaw publicznych; u jednéj tylko Konstancyi często obiadowałem, a zawsze wieczory przepędzałem. Tam zdarzało mi się spotykać z księciem Weissenfels, który bawił w Warszawie jedynie dla towarzystwa Konstancyi, bo król dość zimno go przyjmował. Widywałem także u niéj panów Przebendowskiego i Poniatowskiego, którzy dobrze byli położeni u króla, lubo mu były wiadome ich stosunki z panią Krajewską. Wszyscy trzéj zaszczycali mnie łaską; razu jednego, kiedyśmy wszyscy u niéj byli wieczorem, książę z tém się odezwał, że pomiędzy dworakami, o ile mógł zauważyć, ten który najlepiéj zdaje się być widzianym od króla, jest pan Kierdej, łowczy Litewski. Pani Krajewska zapytała, czémże jéj brat pośród tylu innych, więcéj jeszcze zasłużonych królowi, umiał pozyskać takie względy?

Na to pan Przebendowski: — Nic dziwnego; król widzi tylko oczyma królowéj, najpoboźniejszéj pani na świecie; pan łowczy zawsze jest uwiadomiony, w którym kościele będzie na codzienném nabożeństwie, i tam ją uprzedza. Klęczy przed wielkim ołtarzem, ramiona wznosi ku niebu, pada o ziemię krzyżem, policzkuje się, głośno psalmy pokutne recytuje, oznaki wygórowanego aż do fanatyzmu nabożeństwa pokazuje, a królowa na to wszystko patrzy, i jak Orgon Moliera, tak i ona gotowa przysiądz, że ten nowy Tartuffe za życia jest świętym. I królowi trąbi w ucho o jego nadzwyczajnych cnotach; ale do czasu dzban wodę nosi. Człowiek szczery, dobroduszny, choć mu się zdarzy

skrewić, nie przepadnie dlatego; ale byle raz filutowi poślizgnęła się noga, już się więcéj nie podniesie.

Niedługo czekałem na dowody nienawiści pana Kierdeja. Patrz, jak czarnéj, jak okropnéj zemsty na mnie się dopuścił! W kilka tygodni po tym wieczorze odbieram list od rządcy mojego majątku, w którym mi donosi, że pan Santaman, ów szlachcic, który z łaski mego ojca otrzymał urząd, wydał do mnie pozew, zarzucając mi imparitatem, czyli przywłaszczenie godności szlacheckiéj. Jesteś prawnikiem, mój synu; wiesz dobrze, że tym pozwem byłem zagrożony utratą majątku, imienia i bytu cywilnego. Poznałem zaraz pana Kierdeja za plecami pana Santamana, ale przyjąłem ten pocisk dość obojętnie. Czegóż mogłem się obawiać? Moje szlachectwo było dawne ruskie, moi krewni, piastujący w Rossyi wysokie urzędy, mnie się nie zapierali, i miałem tego dowody. Mój ojciec, dziad i pradziad mieli zasługi w Rzeczypospolitéj, i w niéj otrzymali stopnie wojskowe. Naprożno mnie nagliła pani Krajewska, żebym jechał na Ukrainę, ażeby się bronić przed tamecznemi juryzdykcyami; napróżno mnie błagała, żebym tego za lekko nie uważał; tak byłem pewny siebie, tak dalece zaufałem dowodom niezaprzeczonym zacności mojego rodu, oraz sumieniu sędziów, iż wbrew oczywistości sądzić nie mogą, że pierwszy raz nie chciałem iść za jéj radą.

Ale upatrując w tym kroku chęć pana Kierdeja, żeby mnie poniżyć, postanowiłem mieć z nim osobistą czynność. Zbliżyłem się do pana Gurowskiego, i uprosiłem go, żeby raczył być świadkiem rozprawy między nami, i w mojém imieniu wyzwał pana Kierdeja. On się tego chętnie podjął, ale wrócił do mnie nieco zasmucony.

— Nie ma sposobu — rzekł — z tym człowiekiem; wręcz mi odpowiedział, że już niejednokrotne dawał dowody swojéj odwagi, ale że nigdy nie bił się i bić nie będzie z takiemi, co nie mają prawa występować w sprawie honorowéj; że najuboższemu szlachcicowi zadość uczynienia krwią swoją nie odmówi, niemniéj i panu Skoropackiemu, nie wchodząc w słuszność lub niesłuszność jego domagania, byle tylko udowodnił, że jest szlachcicem; ale że ponieważ to szlachectwo jest mu zaprzeczone na drodze sądowéj, a więc za złe nikt mu mieć nie może, że czeka, co wyrok sądowy o tém postanowi. Nakoniec, że nadto siebie szanuje, aby uważać się za tarczę, do któréj pierwszemu lepszemu strzelać wolno.

Wściekałem się złości na takową odpowiedź, ale cóż mogłem przedsięwziąć, kiedy Gurowski wymówił się, że pan Kierdej wedle jego zdania ma słuszność za sobą, że trzeba mieć prawo noszenia broni honorowéj, aby jéj używać w potrzebie, i że radzi mi po przyjacielsku zaniechać pana Kierdeja, dopóki nie oczyszczę się z zarzutu urzędo-

wnie objawionego. I to rzekłszy odszedł, nie ukrywając nieukontentowania, że się mojego zlecenia był podjął.

Opuściłem jak najśpieszniéj Warszawę, żeby się bronić od tak niesprawiedliwéj napaści, nietyle zagrzany żądzą ocalenia mego szlachectwa, ile usunięcia wszelkich przeszkód do przeszycia serca pana Kierdeja; sprawa moja agitowała się w Winnicy. Nie było sprężyny, któréjby naprzeciwko mnie nie poruszono; użyto postrachu na sędziów, przekupstwa na umocowanego przezemnie jurystę, nawet listów królewskich. Kilku senatorów, kolligatów domu Kierdejów, zjechało do Winnicy na kadencyą, żeby przeciwko mnie forsować. Jakich intryg przeciw mnie użyto! Nie chcę rozmazywać tych brudów, wspomnę tylko jeden. Pan Santaman postawił dwóch świadków, którzy pod przysięgą zeznali, że mój ojciec, odstępując podstarostwo na rzecz pana Santamana, gdy ten wymawiał się od przyjęcia onego, i nakłaniał go do urzędowania, miał mu powiedziéć: — Wiesz, że uchodzę za szlachcica nie będąc nim w istocie. Urzędując, zmuszonym być mogę komuś się narazić, a ten łatwo mnie zgubi zapytaniem: jakiém prawem posiadam dobra ziemskie?

Zgoła, wszystkie moje dowody uznał sąd za nieważne, a mnie odsądził od prawa do szlachectwa, i przez rafinowane okrucieństwo przyznał mnie być poddanym świętéj pamięci kniazia Sołomereckiego, a właściwiéj pana Kierdeja, który z mocy opieki przyrodzonéj nad swoim synem, miał w ręku swoim wszystkie dobra po kniaziu, i niemi zarządzał wedle woli swojéj.

Możnaż sobie wystawić, co się ze mną działo, kiedy w jednéj chwili ujrzałem się wyzutym z czci, z majątku, z opieki praw, a do tego poddanym, to jest istotą od swego pana samowolnie zawisłą? Tém więcéj, że ten pan mój był nieubłaganym moim wrogiem, tak dalece, że nie było męczarń i moralnych i materyalnych, którychbym od niego nie mógł się spodziewać.

Kiedy już byłem w ostatniéj rozpaczy, kiedy już do tego przyszło, że nie widziałem nic innego, tylko konieczność zadania sobie śmierci; ręka Kulbidy, ręka świętéj przyjaźni, zatrzymała mnie nad przepaścią.

— Panie — rzekł do mnie — ani chwili nie mamy do stracenia. Już się zabierają nasi dobrodzieje pod konwojem nas odesłać do rządcy pana Kierdeja; tam dopiéro byłoby nam smaczno. Uciekajmy zaraz.

— Dokąd?

— Tam, gdzie nie ma ani dumnych i samowolnych magnatów, ani szlachty, która poczytuje za zaszczyt, być ślepém narzędziem ich samolubstwa; tam, gdzie jest prawdziwa, a nie urojona wolność, jak w Polsce; gdzie wyższość jednego nad drugim nie na urodzeniu, nie na bogactwie odziedziczoném po przodkach, lub własnym przemysłem przysporzoném, ale na waleczności, na szafowaniu krwi swojéj się

opiera; gdzie rolnik, który nas żywi, nie jest uważany za bydlę; gdzie na lekarstwo nie znajdziesz ani szlachcica, ani jurysty, ani kramarza, ani kuglarza, ani papierowego bazgracza, ani pasibrzucha, a tylko mężów dzielnych, co są postrachem ludzi zbabiałych, mężów co ze czcią chwytają żelazo, a złoto rzucają ze wzgardą; którzy się brzydzą miękkością, a nie pojmują, żeby ten co umie robić szablą, był obowiązany zdjąć czapkę przed takim, który się boi jéj połysku. Udajmy się w święte Zaporoże; wszakże i ja Zaporożec. Pana z otwartemi ramionami przyjmą nasi; tam dopiéro obmyślimy zemstę na naszych wrogów. Obaczymy, jak te Lachy, tak skore do mów, do pozwów, pokażą się przeciwko naszym spisom i samopałom. I panu i mnie będzie lżéj, jak się skąpiem w ich krwi.

Poszedłem za jego namową, bo w istocie w mojém położeniu nic lepszego nie pozostawało mi do czynienia.

ROZDZIAŁ XXVII.

W jedném okamgnieniu, że tak powiem, wybraliśmy się w podróż. Była to rzecz dla wszystkich niespodziana, gdyż jeszcze pozostawało mi odwołanie się do trybunału; i kiedyśmy podczas naszéj podróży zajechali byli na popas do jednéj karczmy, znaleźliśmy w niéj dwóch szlachty także popasającéj, którzy słyszeli o téj sprawie, a jeszcze o wyroku nie byli uwiadomieni. Jeden drugiemu mówił: — Ziemstwo winnickie jest całe w ręku pana łowczego Litewskiego, bo sędzia bawi w Warszawie i sprawy sądzić nie będzie. Oczywiście pan Santaman, który jest tylko jasełkiem poruszaném przez łowczego, zje biednego Skoropackiego, którego nie znam osobiście, a który ma być dobrym człowiekiem; a jak niesprawiedliwie! bo on jest starym ruskim szlachcicem. Ale jest u nas przysłowie: gród, smród! ziemstwo, kiepstwo! a trybunał grunt. Obaczysz, że jak go w Winnicy pobiją, we Lwowie się zrelewuje.

Tyleśmy zasłyszeli i nie zabierając z niemi znajomości, puściliśmy się w dalszą drogę; czasem brała mnie chętka wrócić do Winnicy i zanieść apelacyę do trybunału, ale Kulbida od tego mnie odwiódł — Co pan wskórasz od trybunału? Kruk krukowi oka nie wykole. Ten potwór trafi do deputatów, jak trafił do podsędków; na co nam kłaniać się napróżno tym, których na pewno za łeb weźmiemy? — Pojechaliśmy daléj, i stanęliśmy w Siczy.

Kulbidę całe Zaporoże przyjęło jako swojego; jeden po drugim każdy go zapewniał, że całe Zaporoże tęskniło za nim, a że on go nie

był opuścił, tylko za wolą koszowego i radą starszyzny, więc wrócono mu jego stopień, i odzyskał zaraz swoją dawną wziętość. Za jego poleceniem przyjęto mnie do regestru, a poparty przez Kulbidę, wszystkim umiałem się podobać, nie przez słowa, przez gładkość w układzie, przez języki jakie posiadam, ale przez to, że umiałem kłuć i rąbać, i że na całém Zaporożu nie było jeźdzca, któryby mi sprostał w dosiadywaniu konia.

Pierwsza moja wyprawa była na Ruś Polską; dziwny to kraj, który wojska tak dobrze jak nie ma, a chce siłę rządu i bezpieczeństwo mieszkańców oprzéć na pospolitych ruszeniach. Polacy bili się mężnie, cudu przeciwko nam dokazywali, ale to były czyny pojedyncze, bo nigdzieśmy nie spotkali Polaków w sile nam równéj. Było nas wszędzie przynajmniéj dwóch na jednego, i dlatego w dwóch województwach gospodarowaliśmy jakby u siebie; co do mnie, zapalony zemstą za moje urazy, dopuściłem się kilku okrucieństw. Napadliśmy na dom podsędka, który mnie był przeciw Bogu i prawu odsądził od szlachectwa, tam wytropiliśmy jego samego: klęcząc prosił nas o życie, ja go własną ręką zakłułem, a w Kierdejowskiém hrabstwie tameczni ludzie dotąd zapomniéć nie mogą, cośmy wyrabiali. Żebyśmy tam zastali pana Kierdeja, jużby ludziom więcéj nie szkodził; tylko że on wtedy nie był opuścił jeszcze Warszawy, bo był w łaskach u króla, a nie zastawszy pana w swoich dobrach, przynajmniéj jak mogliśmy daliśmy się jemu we znaki. Zrabowaliśmy jego zamek; nasi w nim tak obładowali się srebrem stołowém, że kiedyśmy wracali do Siczy, to w karczmie po drodze kozak za pół garnca gorzałki, dawał łyżkę srebrną, bo jak wiesz, Zaporożec nie lubi schować tego, co mu męztwo przyniosło. Zamek tak od nas uszkodzonym został, że pan Kierdej już odtąd w nim nie mieszkał. Mało tego: gdzieśmy przechodzili przez jego dobra, rozkopywaliśmy groble, wywracali młyny, śpichrze i stodoły, zapędzali przed sobą jego dobytek, zgoła, wyrządzaliśmy mu szkody wszelkiego rodzaju, wyjąwszy, żeśmy mu gumien nie podpalali, bo Zaporoże poczytuje to jedno za ciężki grzech. Moglibyśmy wszędzie podobnie postąpić, bo w całéj Ukrainie lud ruski, od szlachty polskiéj wśród niego osiedlonéj cierpiący uciski, nam sprzyja; a jednak, wyjąwszy dóbr pana Kierdeja, we wszystkich innych postąpiliśmy z umiarkowaniem.

Nie będę po szczegółach rozwodził się nad wyprawami, w których koleją walczyłem jak prosty kozak, sotnik, assauła, ataman, nim po kilku latach jednomyślnie wyniesiony zostałem na koszowego. W moim tym zawodzie więcéj dwudziestu lat trwającym, nigdy nie przestałem się znosić z panią Krajewską, z Bołsunowskiemi, i z bratam mojego Kulbidy, a nigdyśmy do siebie nie pisali, dopóki nie przybyłeś do *Zaporoża, tak dalece* lękaliśmy się, żeby jakiś przypadek, jako naprzy-

kład nagła śmierć, listu nie zawieruszyła, a tém pan Kierdej nie dowiedział się, gdzie się znajdujesz. Nasze stosunki ułatwiały się przez Kulbidę, który dwa razy na rok pod rozmaitemi postaciami udawał się do swojego brata, a przez niego do braci Bołsunowskich i do pani Krajewskiéj.

Wszelkie do tego środki podawali mu nasi prymacy, bo mało jest wsi na Rusi, gdzieby który z nich nie był osiedlony. Jednak każdą taką podróż odbywał nie bez narażenia swojego życia, bo będąc zawziętym wrogiem Lachów, względem nich nieraz dopuścił się okrucieństw, za co zaocznie był dekretowany na wbicie na pal, i była nagroda naznaczona temu, któryby go dostawił do grodu. Wszystko to mimo siebie puszczał przez przywiązanie, jakie ma dla ciebie i dla mnie. W każdéj podróży swojéj ani chwili nie był bezpiecznym, a jednak jego odwaga, roztropność, przytomność, a nadewszystko opieka Boska tak go chroniły, że raz tylko noga mu się powinęła, i trzeba było, żebyś ty właśnie jego wybawił.

Pan Kierdej niczego nie zaniedbał, żeby cię wyśledzić; a że był w łaskach u króla, wszyscy mu do tego dopomagali. I razu jednego wielkiéj trwogi nabawił panią Krajewską. Mamka twoja wróciła do Czerniakowa pod Warszawą, zkąd była rodem. Ta jéj roczna niebytność, i odmiana raptowna w jéj położeniu, bo opuściła była wieś rodzinną uboga, a wróciła do niéj bogatą, między wieśniakami obudziły przeciw niéj podejrzenia. Wymówiła się przed niemi, że jakaś wielka pani powierzyła jéj swoje dziecko do wykarmienia, że z niém musiała jechać za granicę, za co wszystko sowitą nagrodę otrzymała za swoim powrotem.

Zaczęto o tém mówić i w Warszawie, a Konstancya zaraz się dowiedziała, że pan Kierdej codzień bywa w Czerniakowie. Nie tracąc czasu, posłała na Szląsk zaufanego sługę, żeby cię od doktora odebrał. I tak się téż stało, a w porę, bo czwartego dnia po wywiezieniu cię z Lignicy, pan Kierdej tam przybył i był u doktora, ale ptaszka w gnieździe już nie zastał, i od doktora, jakkolwiek gaduły, o miejscu do którego uleciał dowiedziéć się nie mógł, bo on sam tego nie wiedział.

Zawsze lękając się o dni twoje, pani Krajewska przez cały ten rok przenosiła cię z miejsca na miejsce. Nakoniec obmyśliła cię tam ulokować, gdzie nikomu na myślby nie przyszło szukać cię. Oto u generalnego plenipotenta pana Kierdeja, a to tym sposobem: pan Paweł Bołsunowski przyjechał był do Warszawy w jakimś interesie pana Kierdeja, i bawił kilka dni. Wtedy ty zostawałeś od dziesięciu dni w Górze, atynencyi starostwa Warszawskiego, u ekonomowéj wojewody Mazowieckiego, który razem był starostą Warszawskim, bo od niejakiego czasu nigdzieś kąta nie zagrzał. Pani Krajewska przenosiła cię z miejsca na miejsce, żeby jéj brat nie dopytał się o ciebie.

Owóż tedy, Bołsunowski często się z nią widywał, chociaż zawsze potajemnie; ona mu powiedziała: — Weź tego malca do siebie i wychowaj go jak sierotę po zmarłéj jakiéjś twojéj siostrze. Powiedziałeś, że na Litwę obracasz swój powrót do załatwienia interesów pana Kierdeja. Weź sto tysięcy w złocie, które są własnością małego Jakóba u mnie złożoną, ulokuj je u księcia hetmana Radziwiłła, jako jego opiekuna, i pilnuj go jak oka we łbie. Wszystko to jakoś potrafisz ułożyć, a ja na wszystkie potrzeby Jakóba dostarczać będę, bo to jest mój jedyny sukcessor.

Możeby pan Paweł i nierad wmięszać się w podobny interes, ale przychylność jego dla pani Krajewskiéj, a nadewszystko obawa brata Piotra, któryby mu nigdy nie odpuścił sprzeciwienia się woli téj pani, którą ubóstwiał od jéj dzieciństwa, przechyliły na jéj stronę szalę. Przezorność jéj tak była wielka, że kiedy była mowa o nazwisku i imieniu, pod jakiém odtąd miałeś się wychować, zastrzegła, aby imię Jakób, pod którém byłeś ochrzczony, zachowane zostało, a to z uwagi, że jeśliby nieprzewidzianym wypadkiem pan Kierdej, wszędzie szukając dziecka, z jakiém podejrzeniem i na ciebie natrafił, zaraz przyszłoby mu do myśli, że gdyby to był ten kogo szuka, nie tylko nazwisko, ale nawet imię jego byłoby odmienione przez opiekuna, aby niczém tamtego nie przypominał.

Pan Paweł, sam wielki cunctator, nie mógł nie podziwiać głębokiéj przenikliwości pani Krajewskiéj.

Jadąc do Litwy, wszystko tak przygotowaném zastał w Górze, że nad kilka minut w niéj nie zabawił, ale zabrał cię do swojéj bryki, i w ciągu podróży miał pieczę nad tobą, jakbyś był jego, — z początku aby się wywiązać z rozkazu, jakiego się podjął dopełnić, późniéj że twoje wdzięki dziecinne tak go zniewoliły, iż cię zamiłował, jakbyś był jego istotnym synem.

Zbliżając się do Nieświeża, w jednym zaścianku złożył cię u szlachcianki na dni kilka, obiecując jéj znaczną nagrodę, jeżeli za powrotem znajdzie cię w dobrém zdrowiu. Nazajutrz w innéj wiosce zajechał do plebana wiejskiego, prosząc go o gościnne przyjęcie, z powodu że koń mu zasłabł, a karczma tak licha, że w niéj nie może miéć noclegu. Pleban go przyjął; nie mając niby nic do roboty, zaczął przezierać księgę chrztów, i natrafił na metrykę jakiegoś Jakóba Bokuna, ochrzczonego w tymże roku co i ty, ale który w następnym roku umarł. Tego mu właśnie było potrzeba; a że jako sam prawnik, wiesz że w Polsce nemini acta deneganda, więc na żądanie jego, pleban mu wydał urzędową metrykę tego dziecka.

Przybył nakoniec do Nieświeża; przedstawił się księciu hetmanowi, który go przyjął ze zwykłą uprzejmością i poufałością polskiego nie wynarodowionego pana dla brata szlachcica, a które zwłaszcza

w rodzie Radziwiłłowskim były spadkowe. Otrzymał od niego posłuchanie na osobności; tam mu wręczył sumkę, którą raczył przyjąć, napisał skrypt, a raczéj świstek, jak to było na Litwie w obyczaju, na imię Jakóba Bokuna, a książę podpisał. Tak ułatwiwszy się, wrócił na wieś, gdzie cię zostawił, zabrał cię z sobą, a ztamtąd jak najśpieszniéj dostał się do Żytomierza.

Tam po naradzie między braćmi Bołsunowskiemi i panem Niekrasą, obmyślili u tego ostatniego zostawić cię staraniom jego żony. Mówiono w Żytomierzu o świeżo przywiezionym siostrzeńcu Bołsunowskich, chłopczyku czteroletnim dziwnie pięknéj urody, ale żeś znikł z przed oczu gadułom i wychowałeś się pod Owruczem, w zachodniém Polesiu, wkrótce o tobie zapomniano. Dopiéro kiedyś się już zaczynał wsławiać w palestrze, znowu popadłeś pod języki.

Co nam było na rękę, to że kiedy cię przywieźli do Żytomierza, pan łowczy był zamieszkałym w Warszawie, gdzie się upajał faworami dworu. Dopiéro w lat kilka potém osiadł w zamku Toporzyskim, bo koniec końców, książę Weissenfels znalazł porę, że otworzył oczy królowi, a do tego posłużyła mu następna okoliczność: Pan Santaman ze szkodą swojego sumienia podjął się mnie wyzuć z imienia i majątku, co i rzeczywiście dokonał; a do tego był pobudzony przyrzeczeniem, a podobno nawet przysięgą pana Kierdeja, że mu wyrobi u króla posiadanie moich Skoropatów, prawem kaduka. Tymczasem to prawo wyrobił dla siebie samego, i przyłączył tę wieś do swoich ogromnych posiadłości, a że p. Santaman listami dopominał się od niego swojéj krzywdy, a żadnéj odpowiedzi na nie nie otrzymywał, więc udał się do Warszawy, dla skomunikowania się z nim osobistego. Ale pan Kierdej nie kazał go do siebie puścić, i przez kamerdynera mu zapowiedział, że nie ma z nim nic do mówienia, i że natrętnemi się brzydzi. Szlachcic w rozpaczy, z językiem i łzami chodził od domu do domu, użalając się na pana Kierdeja, i opinią publiczną i tak już niewiele życzliwą dla niego podburzył, że był krzyk powszechny u szlachty na prepotencyą tego magnata, który kłaniał się szlachcicowi dopóki go potrzebował i łudził go obietnicami, a późniéj omal że nie kazał go wypchnąć: zaś u panów na jego chciwość i nieuczciwość; tak, że te krzyki obiły się aż o uszy królewskie. Dopiéro książę Weissenfels znalazł sposobność wystawić królowi pana Kierdeja, nie w kłamanéj, ale we własnéj postaci, a przy téj okoliczności nadmieniając o jego postępkach z siostrą, złożył dowody, że ona nie była nałożnicą nieboszczyka króla, ale świętym węzłem z nim związaną; że nigdy ani dla siebie, ani dla swoich niczego nie zarwała ani ze skarbu Polskiego, ani Saskiego; że na domie w Dreznie i jednym szmaragdzie w pierścionku oprawnym, co go król jéj dał z powodu iż rocznica jéj urodzin przypadała w maju, a który bez wątpienia jest

drogocenny, skończyła się oprawa królewskiéj, acz potajemnéj, ale w obliczu Boga rzeczywistéj wdowy. Że dobrze porachowawszy, możeby się pokazało, że upominki które w różnych czasach dała królowi, sprostają wartości tych, co je od niego otrzymała. Dodał, że będąc z siebie bogatą, niczego nie potrzebuje od króla, tylko jego szacunku, na który z wszech miar zasługuje; o czém wszystkiém nie tylko jego, ale i królową przekonał; tak dalece, że królestwo zażądali, aby się im przedstawiła, czemu uczyniła zadość. Wielce łaskawie ją przyjęli, poufale z nią rozmawiali, a nakoniec królowa ją mianowała damą honorową, aby zawsze ją widziéć przy sobie.

Pani Krajewska na wstępie korzystać umiała ze swojego nowego położenia, aby się odpłacić bratu. Król mu był przyobiecał generalstwo artyleryi koronnéj; pan Kierdej tak był pewny otrzymania tego dostojeństwa, iż zawsze chciwy, już wchodzić zaczął w umowę z panem Giżyckim, podkomorzym Wyszogrodzkim, o odstąpienie mu za konsensem króla łowiectwa Litewskiego; nawet kazał sobie uszyć mundur generalstwa artyleryi; ale pani Krajewska tak umiała wszystko nastroić, że to dostojeństwo go ominęło, a innemu się dostało.

Pan Kierdej omal że nie oszalał ze wstydu i zgryzoty. Poznał, że jest ubity u dworu, gdzie jego siostra, a nieubłagana nieprzyjaciółka, coraz więcéj wziętości nabierała; a nie było w Warszawie przed kim narzekać jakoby na niesprawiedliwość króla, bo opinia publiczna była przeciwko niemu za królem. Ta jego pewność przedwcześnie okazana, została przedmiotem żartów wszystkich trefnisiów dworu. Pocieszenia, które mu niby jego przyjaciele przynosili, tak były chytre, że przeniósłby nad ich obłudę wyraźne urąganie; a dobił go Kraśnik, błazen nadworny królewski, który na pokojach zamkowych w przytomności wszystkich powitał go temi słowy: — Rozgadali tu, że JW. pan masz zostać generałem artyleryi. Ubolewałem nad panem. Widzę go co dzień policzkującego się przed wielkim ołtarzem; jakże tak pobożny pan mógłby strzelać do bliźnich? Piąte przykazanie tego nie pozwala. Chwała Bogu, a panu najszczersze powinszowanie, że jak dotąd, tak i nadal będziesz tylko zajęcobójcą, czém zbawienia swego JW. pan nie narazisz.

Dotknięty w miłości własnéj, wyśmiany u dworu, wypadłszy z łaski królewskiéj, świadek powodzenia siostry, pan Kierdej nie mógł dłużéj znieść swojego położenia; opuścił Warszawę i przeniósł się na mieszkanie do swojego zamku Toporzyskiego, w którym unikając wszelkiego towarzystwa, zajmował się jedynie wychowaniem syna, a jeszcze więcéj pomnażaniem zbiorów. Tym sposobem najzaciętszy twój wróg zbliżył się do téj okolicy, w któréj cię przed nim ukrywali.

Nie będę się rozciągał nad szczegółami twojego dzieciństwa i za-

wodu szkolnego i prawnego, jako rzeczy tobie wiadomych. Już byłem koszowym, a lubo wywołany byłem w waszéj rzeczypospolitéj, mimo siebie puszczając niebezpieczeństwa, jakie mnie otaczały, co rok cię nawiedzałem, a mój Kulbida jeszcze częściéj w waszych okolicach przebywał, aby baczyć nad twojém bezpieczeństwem; wszelką ostrożność umieliśmy zachować, co nam było tém łatwiéj, że kraj wasz, a nawet zamek Toporzyski, jest napełniony naszemi prymakami, którzy nam służą jak najwierniéj. Nietrudnoby mi było najść zbrojnie zamek Toporzyski, jakkolwiek on teraz jest obronnym; nie zdołaliby ocalić tego zbrodniarza, ani jego milicya, ani nawet garść pancernych, którychby mu się udało przywołać; ale nie tylko jestem twoim ojcem, i człowiekiem cierpiącym najsromotniejszą krzywdę; jestem naczelnikiem ludu, i mam dla niego obowiązki, jakich mi gwałcić niewolno. Za wolą carowéj iść muszę, a ta mi kazała oświadczyć, że pragnie, bym szanował granice rzeczypospolitéj, i gdybym się w tym względzie czegoś zbyt głośnego dopuścił, naraziłbym się na gniew carowéj, w skutku którego mogłoby nastąpić zniesienie naszego Zaporoża.

Moje ojcowskie serce cieszyło się ciągle, żeś wzrastał w cnoty i wszystkie przymioty ramienia i rozumu; ale co mnie i Bołsunowskich nie przestawało trwożyć, to dziwne twoje podobieństwo do matki, tak dalece, że kiedy razu jednego pan Kierdej spotkał cię na sądach, zadrżał, i zaraz wpadł na myśl, że musisz być jéj synem. O! jakże to jego podejrzenie trwogą nabawiło obudwóch Bołsunowskich i Niekrasę! Kulbida, nie zważając na co się narażał, ciągle odtąd przesiadywał w Żytomierzu z ludźmi ukrytemi, gotowemi na każdy wypadek własną krwią cię zasłaniać, póki nie odjedziesz do Litwy, stosując się w tém do woli pani Krajewskiéj, która była postanowiła, abyś tam jechał i czekał rozwiązania twojego przeznaczenia. Poczciwy Kulbida pod rozmaitemi postaciami ciągle się do ciebie zbliżał. Razu jednego przebrany za żebraka, podsłuchał pod oknem, jak cię Paweł Bołsunowski straszył; tak mu to było przykro, że dla dodania ci odwagi kilkakrotnie odezwał się z psalmem, zawsze stosownie do okoliczności w jakiéj się znajdowałeś.

Co do pani Krajewskiéj, ta ciągle się znosiła zemną i z braćmi Bołsunowskiemi, za przewodnictwem Niekrasy, który po kilka razy na rok potajemnie przyjeżdżał do Warszawy, aby się z nią widziéć i przynieść jéj wiadomość o tobie. Ona ma prawdziwie serce macierzyńskie dla ciebie, chociaż dla własnego twojego bezpieczeństwa, od twojego niemowlęctwa cię nie widziała i niczego tyle nie pragnie, jak ciebie oglądać. Już byliśmy uwiadomieni o twojém przywiązaniu do Helenki. Nie tylko, że mu się nie sprzeciwiamy, ale cieszymy się, iż w żonie nie szukasz ani dostatków, ani imienia, ani świetnych sto

sunków, ale szczęścia domowego, które tylko cnoty i wzajemne a nie wmówione przywiązane utwierdzają.

Wiadomo ci, dlaczego podróż twoja do Litwy nie doszła do skutku. Uwiadomiony zostałem przez Kulbidę, że pana Kierdeja podejrzenia zamieniły się w pewność, że zupełnie cofnął i tak dość wątpliwą ufność, jaką miał w panach Bołsunowskich, a panu Pawłowi nawet wymówił, że ciągle go zdradzał dla pani Krajewskiéj, tak że obaj bracia są w największéj obawie jego zemsty, a zwłaszcza lękają się o dni twoje.

Kulbida dał mi także wiedziéć, że uwiadomiony został przez naszych prymaków, będących w służbie pana Kierdeja, że ten gotuje się ciebie porwać, i że na to ma ludzi przygotowanych. Natychmiast udałem się w wasze strony, nie zaniedbawszy środków do odparcia napaści. Przyznaję się, że w Żytomierzu chciałem go uprzedzić, ale on się miał na ostróżności; nie wyruszył z miejsca bez straży, a w mojém położeniu trzeba mi było unikać widocznego gwałtu. Kulbida wyznał przedemną, że chciał zgładzić jego syna, a tém mu odpłacić wszystkie jego niegodziwe czynności, i że niby mu nie było łatwiejszém, ale zawsze stawała mu przed oczyma Marya, do któréj tak wielkie czuł przywiązanie, któréj tak czcił pamięć, iż nie mógł się odważyć rąk maczać we krwi jéj syna.

Ukryty w Żytomierzu dowiedziałem się, że ten syn gotuje się napaść na ciebie, i że jego kozacy ukrywają się w lasach starościńskich, dla spełnienia jego zamiarów. Między niemi było dwóch naszych prymaków; o każdym kroku, że tak powiem, o każdéj myśli młodego Kierdeja byłem uwiadomiony. Niczego z mojéj strony nie zaniedbałem dla ocalenia ciebie; udałeś się do Piotra Bołsunowskiego, żeby go pożegnać wybierając się do Litwy, i mnie u niego zastałeś. Już o Litwie nie można było myśléć, a tylko na Zaporożu mogłeś znaléźć bezpieczeństwo.

Młody Kierdej ze swojemi ludźmi czatował, aby cię schwycić, kiedy z Jarkowicz będziesz wracał do Żytomierza; ale moi, przebrani za budników, z oka ich nie spuszczali. Wszystko, jakeś doświadczył, było przygotowane, aby cię wywieźć do Siczy. Nie było chwili do stracenia; ty się jeszcze bawiłeś u twojego mniemanego wuja, a ja wróciłem do moich ludzi, aby się na rozstajnéj w lesie drodze doczekać spotkania twojego z temi rozbójnikami.

Tam dowiedziałem się od prymaków naszych, że młody Kierdej wymówił sobie u ojca, iż dni twoje szanowane będą, że w zamku Toporzyskim będziesz zamknięty, ale na życie twoje żadnego nie dopuści zamachu, i że ojciec mu to zaprzysiągł. To mnie podwójnie pocieszyło; raz, że jakaś kropla krwi mojéj Maryi nie dopuściła *jéj synowi* być zupełnym zbrodniarzem, jak jego ojciec; powtóre,

że już byłem spokojny o życie twoje, i mogłem pozwolić sobie przypatrzyć się twojemu męztwu.

O! Jakże rosło moje rodzicielskie serce, jakem cię zobaczył walczącego z nieustraszoném sercem przeciwko przemagającéj o tyle razy sile napastników. Jakże moi Zaporożcy unosili się, a Kulbida aż płakał z radości; nareszcie dostałeś się w ich ręce. Trzeba było temu koniec położyć; młody Kierdej siedział w swoich saniach, i przypatrywał się twojemu oporowi. Wtedy ja się pokazałem, kazałem go z sani wyciągnąć, i wiesz, jak jedném słowem mojém nachodźcy rozbrojeni zostali.

Nimeście wyruszyli z Kulbidą, powiedziałem twojemu przyrodniemu bratu: — Auguście, dziękuj Bogu, żeś nie był żądny krwi Jakóba; gdyby jedna jéj kropelka przelaną była, kazałbym ci wydrzéć życie w okropnych męczarniach; resztę ci przebaczam. Powiedz ojcu swojemu, że widziałeś Skoropackiego, który mu wieczną nienawiść i zemstę zaprzysiągł; że ziemia dla mnie i dla niego jest za ciasna, byśmy obydwaj na niéj w bezpieczeństwie żyć mogli. Nie chcę myśli mojéj zatrzymywać nad tym podłym zbrodniarzem, ale ty, Auguście, nie idź za jego przykładem, a więcéj niż ktokolwiek staraj się być czystym na sumieniu, pomnąc, że Bóg na dzieciach często karze występki rodziców.

Tak nastraszywszy Augusta, puściłem go z Bogiem, a zdawszy o tobie staranie Kulbidzie, jak najśpieszniéj wróciłem do Siczy, gdzie cię oczekiwałem z największą niecierpliwością. Przybyłeś nakoniec już poprzedzony sławą, a od czasu twojego pobytu umiałeś pozyskać szacunek całego Zaporoża.

Byłem ciekawy spotkania się ojca z synem po tym strasznym dla tego ostatniego ustępie. Pan Paweł donosi mi, że nie wiedzą co między niemi było, ale to pewna, że młody Kierdej znacznie się odmienił w obejściu swojém z innemi, że go już ta dawna jego zarozumiałość i duma opuściły, i że z zadziwieniem wszystkich już się stara pozyskać życzliwość tych, z któremi obcuje, a nawet zaczyna nabywać miłość ludzką.

Teraz, że już tu jesteś, śmiało koresponduję z panią Krajewską. Co tydzień odbieram od niéj list; zawsze mowa tylko o tobie. Gorliwie pracuje, abyś był w stanie z korzyścią zapozwać pana Kierdeja o zwrot tobie należnéj połowy majątku twojéj matki, i o przyznanie cię za syna, i już jest względem tego na dobréj drodze. Jeszcze trochę cierpliwości, a wkrótce będziesz miał zapewniony i byt twój cywilny, i rękę twojéj drogiéj Helenki. W ostatniéj swojéj odezwie donosi, że takich umiała ci pozyskać popleczników, iż ma nadzieję, że nie przyjdzie do tego, byś miał potrzebę dochodzić praw twoich drogą sądową, gdyż tego pan Kierdej nie dopuści, a będzie się starał skoń-

czyć zgodnym sposobem; przynajmniéj wszystko każe tak wnioskować. Dodała i to, że wkrótce spodziewa się oglądać cię w Warszawie, i że niczego nie zaniedbuje, abyś mógł do niéj bezpiecznie przyjechać.

Z tego coś przeczytał, dowiedziałeś się o wszystkiém, co cię dotykać może. Wiesz kim jesteś i jacy byli twoi rodzice; możesz osądzić twojego ojca. Miéj politowanie na jego obłędy, które może aż nadto gorzko opłacił, a przynajmniéj obwiniać go nie będziesz, żeby był złym ojcem.

Koniec pamiątek koszowego.

Jakób, skończywsay to czytanie, tak był wzruszony, że czas jakiś przyjść do siebie nie mógł, a potém we łzach znalazłszy ulgę, poszedł do Kulbidy, i nic mu nie mógł wyrzec, tylko rzucił się w jego objęcia. Trzymał w ręku rękopism; Kulbida zrozumiał, zkąd ta czułość młodzieńca. On nawzajem przycisnął go silnemi ramiony do swoich piersi, i ten srogi ataman, nieubłagany krwi lackiéj przelewca, jak dziecko się rozpłakał.

— Stryju — rzekł do niego Jakób — pozwól, niech przyszły małżonek twojéj synowicy tego drogiego nazwiska odtąd z tobą używa. Tobie winienem tylokrotnie moje ocalenie; dopełnij miary twoich dobrodziejstw i przyśpiesz moje połączenie z Helenką.

Kulbida nic mu nie odpowiedział z razu, ale zlitował się nakoniec nad młodzianem i rzekł:

— O tém mi nie mów; masz ojca, który niczego nie pragnie, jeno twojego szczęścia. Masz w pani Krajewskiéj prawdziwą matkę; możesz więc śmiało spuścić się na nich, że wszystko obmyślą, co jest na twoje dobro.

Jakób uprosił Kulbidę, aby z nim poszedł do koszowego. Kiedy stanął przed nim, zwracając rękopism, padł mu do nóg, ponawiając obietnicę posłuszeństwa i nieograniczonéj ufności.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Od tego czasu, blizko dwóch lat upłynęło. Pan Niekrasa, bojąc się na prowincyi zemsty pana Kierdeja, przeniósł się był z żoną i z córką do Warszawy pod opiekuńcze skrzydła pani Krajewskiéj, od któréj odtąd Helena była nieodstępną. Pani Krajewska otworzyła swój dom; co tylko było świetniejszego u dworu i w stolicy, u niéj

zbierało się na wieczorach, a tych Helena była największą ozdobą. Jéj wdzięki, jéj skromność, jéj pobożność zwracały ku niéj oczy i serca wszystkich tych, co uczęszczali do domu jéj dobrodziéjki. Nawet królowa, tyle o niéj słysząc, chciała ją widziéć, i za jéj rozkazem pani Krajowska ją do niéj przywiozła. Królowa, która już była uwiadomiona o niéj, powiedziała że chciałaby, aby jéj córki były do niéj podobne; a te słowa powtarzane po salonach Warszawy, taką jéj dały wziętość, że nie było w Warszawie młodzieńca wyższego tonu, któryby sobie nie poczytał za zaszczyt być jéj przedstawionym, tak dalece, że biedna dziewczyna pokazać się nie mogła, aby roje młodzieży jéj nie otaczały. Każdy jéj chciał coś powiedziéć, żeby inni widzieli że jest jéj znany; każdy do niéj występował z jakąś grzecznością, z jakimś panegirykiem jéj wdzięków, co wszystko było dla niéj uciążliwém, gdyż ten sposób obcowania nie był jak na prowincyi, staropolskim, ale naśladowaniem dowcipu i kortezyj francuzkich, które już uzyskiwały prawo obywatelstwa na naszym wyższym świecie, a do których skromna dziewica nie mogła się wezwyczaić.

Zresztą nadto była zajętą swoim Jakóbem, aby to się jéj podobać mogło. Pomimowolnie robiła porównania między nim a temi paniczami, co się jéj zalecali w stolicy. Jakób, kiedy z nią rozmawiał, nie sadził się żeby ją zadziwiać swoim dowcipem; o sobie zupełnie zapominał; wszystkie myśli jego jedynie ku niéj były obrócone. Nie starał się jéj bawić, ale zasługiwać na coraz większy jéj szacunek. Każde jego słowo wychodziło z jego serca, i dlatego téż do jéj serca trafiało. Gdyby nawet to serce było wolne, żaden kawaler salonów Warszawy na niém wrażeniaby nie zrobił; ta czczość uczucia przy nadobności form, — to niemiłosierne lekceważenie, którém dowcip wykwintny nie przestaje razić tych, co z nim na równi stanąć nie mogą, — to szyderstwo tém więcéj jadowite, im zgrabniéj pokryte formami kłamanéj grzeczności, — ten brak miłości bliźniego, cechujący mowę, myśli i uczynki ludzi wielkiego świata, — wszystko to wzniecało postrach w jéj poczciwéj duszy; czasem siebie zapytywała, czy żyje w społeczności chrześciańskiéj? Razu jednego odezwała się z tém pytaniem do pani Krajewskiéj; ta jéj odpowiedziała:

— Zachowaj jak najdłużéj, moja Helenko, tę prostotę duszy, która się trwoży tém wszystkiém co Boga obraża. Nigdy ten wielki świat dla mnie nie miał powabów; jestem jak ty wieśniaczką, i radabym na wsi życie moje przepędzać. Okoliczności niepodwładne méj woli rzuciły mnie w ten odmęt, wcale nieodpowiedni memu usposobieniu. Jednak i w tym zgiełku umiałam się osamotnić, poprzestając na obcowaniu z małym pocztem dusz cnotliwych, które nadto mi dały dowodów przyjaźni, abym się od nich odosobnić miała. Oprócz téj małéj liczby wybranych, dla wszystkich mój dom był zamknięty.

Ten tryb życia, raz przyjęty za nieboszczyka króla, i po jego śmierci był przezemnie zachowany; jeżeli z niego wyszłam, jeżeli w dojrzałości wieku zdaję się skłaniać ku temu, od czego wstręt w młodości mojéj czułam, bądź pewna, że to jest ofiara, którą robię dla twego i Jakóba dobra. Otworzyłam dom mój, w nim staram się przywołać zabawy wszelkiego rodzaju, nie żebym w nich smakowała, ale żeby pozyskać dla Jakóba protektorów w téj sprawie, którą rozpocząć musi o swój byt i swoje imię. Celem mego życia jest, by ją doprowadzić do pomyślnego końca, a skoro tylko wasze szczęście, wasza spokojność będą zapewnione, znowu zasklepię się w ciasném kole tych moich kilku przyjaciół, którzy w złéj jako i pomyślniejszéj dobie, zawsze dla mnie byli jednakowi. Co roku do was przyjeżdżać będę, aby z wami pospołu oddychać wiejskiém powietrzem; ale zawsze moja stała siedziba będzie w Warszawie. W niéj mogę swobodnie odosobnić się od zgiełku zepsutego świata. Żyjąc na wsi, byłabym otoczoną poczciwemi sąsiadami, ale chwili wolnéj nie znalazłabym dla siebie. Każdy nawiedzinami swojemi chciałby mi dowieść niekłamanéj życzliwości, a wszelkie liczne towarzystwo mi cięży. Wszelkie zdrożności, wszelkie przywary ześrodkowały się w stolicy, ale jeszcze w niéj zachowują się formy, które stoją na straży, aby zepsucie wielkiego świata nie pokazało się w całéj swojéj ohydnéj nagości. Nie daj Boże! aby to zepsucie zaraziło nasze jeszcze dobroduszne prowincye, bo jak to nastąpi, wszystkie nikczemne namiętności stolicy rozleją się na szerokiéj przestrzeni, ale obnażone z tych form nadobnych, cechujących ukształcone towarzystwa. Wszakże trzeba przyjąć świat jakim jest, litować się nad jego zdrożnościami, oddać sprawiedliwość temu, co w nim jest dobrego, a nadewszystko zachować wśród najniebezpieczniejszych przykładów nieugiętość zasad chrześciańskich.

I to rzekłszy, pocałowała Helenkę w czoło.

Dom pani Krajewskiéj stał się najświetniejszym w Warszawie. Sama była jeszcze piękną, a kogoby ta piękność nie przynęcała, tego zniewalał jéj rozum, a zwłaszcza łagodność jéj obcowania. Taki umiała nadać ton swojemu salonowi, że nikt w nim się nie odważył wystąpić nie tylko z potwarzą, ale nawet z obmową, a jednak nigdzie lepiéj się nie bawiono. Wszystkim były wiadome stosunki, jakie ją łączyły z rodziną królewską, o czém ani sama nigdy nie mówiła, ani nawet pozwalała aby jéj o nich wspominano. Pewna młoda obywatelka z prowincyi przybyła, razu jednego w jéj salonie napełnionym gośćmi, oświadczając jéj głębokie uszanowanie, jakiém jest przejętą dla jéj osoby, zabierała się już do tłómaczenia powodów tego uszanowania, ale pani Krajewska przerwała jéj mowę temi słowy:

— Niech pani nie wspomina o uszanowaniu; winnaś mi go chyba

dlatego, że około dwudziestu laty jestem od niéj starszą, a pani jesteś nadto grzeczna, żeby mi to przypominać.

Taką to skromnością umiała, nie dopuszczając do siebie poufałości, zadowolić każdą osobę, bez względu na jéj wiek, płeć i położenie towarzyskie.

Postawieniem siebie i domu swego na takiéj stopie, a do tego, jako się powiedziało, uzyskaniem względów królowéj, miała w Warszawie taką powagę, że już bez obawy o jego bezpieczeństwo mogła Jakóba sprowadzić do stolicy. Opatrzony błogosławieństwem ojca i groszem aż nadto dostatecznym do przyzwoitego utrzymania w stolicy, Jakób opuścił Sicz, z wielkim żalem swoich kolegów, których szacunek umiał pozyskać w kilku wyprawach, gdzie dał znakomite dowody odwagi i roztropności, tak dalece, że kiedy ojciec wyniósł go na stopień atamana, nie tyle może był do tego skłonny afektem rodzicielskim, ile głosem powszechnym swoich towarzyszów broni.

Udał się więc do Warszawy, gdzie go z równą niecierpliwością oczekiwały i miłość i przyjaźń. Wkrótce miał się złączyć ze swoją Heleną i poznać tę, która jak Opatrzność od jego niemowlęctwa opiekowała się jego losem, i nie przestawała czuwać nad jego bezpieczeństwem. Jakób po drodze wstąpił do Żytomierza, aby powitać swoich dobroczyńców, braci Bołsunowskich, którzy go przyjęli jak syna. Pan Piotr był jeszcze więcéj stetryczał, niż kiedy go pożegnał przed dwoma laty. Nawet na mszę nie przyjeżdżał do Żytomierza, chyba na jakieś wielkie święto, a u siebie wystawił kaplicę i trzymał kapelana, który codzień czytywał mu mszę świętą. Co się zaś tyczy rejenta, Jakób go zastał takim zupełnie, jakim był wprzódy, zawsze czynnym, zawsze wesołym, zawsze zajętym swoją jurysteryą, a chociaż był wypadł z łaski pana łowczego, czuł się być tak mocnym w obywatelstwie, że to niewiele zdawało się go obchodzić. Nawet kiedy przy cofaniu plenipotencyi pan łowczy odjął mu wieś, którą trzymał w kapitulacyi, przyjął ten pocisk z sercem stoickiém. Przez wzgląd na dawne obowiązki, jakie zaciągnął był w domu Kierdejów, najmniejszego nie pozwolił sobie narzekania na ten postępek swojego dawnego mocodawcy; tyle tylko, że kiedy w jego domu kto wspomniał jego nazwisko, on zręcznie zwracał rozmowę ku innym przedmiotom, a sam tego nazwiska nigdy nie miał odtąd w uściech.

Ale wynagrodził sobie tę wstrzemięźliwość z Jakóbem, bo ciągle w rozmowach, jakie z nim sam na sam prowadził, przez te kilka dni które u niego przepędził, pan Kierdej był na placu.

— To jest niegodziwy człowiek — mawiał mu kilkakrotnie,—wierz mi, Kubusiu, że choć miałem z jego łaski dobrą wioszczynę, przecie rad jestem że mi ją zabrał, uwalniając mię z posług, jakie musiałem mu czynić; bo jestem czystym na sumieniu, a z takim pryncypałem, duszę

bym własną zaprzepaścił. Bo jużci ciebiebym nie mógł opuścić, a jakże tu poczciwie służyć dwom panom, wojującym z sobą? A trudno było mu podziękować za służbę, by przenieść się do obozu jemu przeciwnego; jakoś to między ludźmi bojącemi się Boga, a oględnemi na sławę, nie uchodzi. Przecie sam mi rozwiązał ręce; nie tém, że mi dał odprawę, bo jużci słudze nie przysięga się jak żonie, że go nie opuszczą do śmierci; ale że mnie pozbył się jako złodzieja. Gdyby się był zemną po ludzku rozstał, nie byłbym zapomniał, że za wsparciem jego ojca wyszedłem na człowieka; ale tak postąpił zemną nieuczciwie, że śmiało i otwarcie stanę za tobą przed kratami. Ja jego się nie boję, i chwała Bogu człowiek ołysiał i zęby zjadł na prawnictwie. Wystaw sobie, że udał się do pana Nietykszy, aby mnie w łyżce wody utopić; i patrz, jaką od niego otrzymał konferencyę: oto pozwał mnie do przysięgi, czy nie zatrzymałem na jego szkodę jakiego dokumentu z jego archiwum? Powiedz-że, Kubusiu, ty co znasz prawo, czy jest tu rozum? Dzieci wiedzą, że w sprawach sąd nakazuje zaprzysiężenie komportacyi dokumentów; ale żeby strona o to pozywała, taki koncept mógł powstać tylko w sercu pana łowczego, a głowie pana Nietykszy. A to piękna rzecz byłaby, gdyby pierwszy lepszy miał prawo szlachcicowi urzędownie zapowiedzieć: — Zeznaj pod przysięgą, żeś nie ukradł, nie zabił, nie podpalił. Jak przysiężesz toś pan, jak nie przysiężesz to choć szubienica; a czy siak? czy tak? mnie nic. — Hola, moi państwo! Nastawać na cudzą sławę bez narażenia swojéj, to może uchodzi w statucie cygańskim, ale nie w Litewskim.

A czy to pan łowczy z takich, co wypuszczają dokumenta z archiwum bez wzięcia rewersu? Cóżto? Pan łowczy miał jaką stratę z mojego powodu? czy aby jednę sprawę mnie powierzoną przegrał? Jakież to dokumenta mogłem zatrzymać na jego szkodę? Ale dałemże im obudwom w moim odpozwie. Mnie w ciemię nie bito; zawiązałem im łyka takiego, że zjedzą kadukа, jeżeli go rozwiążą. Jeżeli się w nie wdadzą, to na następnéj kadencyi pan łowczy, choć magnat, będzie skazany na wieżę i grzywny; w tém moja głowa. Będzie on koło mnie skakał o te pozwy. Odczytaj, Kubusiu, mój repozew; takem i pryncypała i plenipotenta wygził, że się naśmiejesz. Ta sprawa dla mnie ważna, bo każdemu honor miły, ale pan łowczy mniéj o nią dba, zwyczajnie magnat w swoich bogactwach zaufany. Dopiéro kiedy się z tobą spotka w nuncyaturze, podrapie się w głowę; znajdzie on tam i mnie. Będzie musiał za syna cię przyznać, a co gorsza, oddać ci połowę majątku świętéj pamięci twojéj matki. Od tego się nie wywinie, chociażby mu sto Nietykszów asystowało, a sam miał łeb Salomona. Metryki twojéj od przeszło lat dwudziestu niezaskarżonéj w kaszy nie zje; dziś jeszcze będziesz się widział z podczaszym: nieborak jeszcze więcéj ztetryczał, niż kiedyś go pożegnał, bo często

zapada na podagrę. Trzeba ci się i dla wypocznienia i ze składu interesów kilka dni zatrzymać w Żytomierzu, a potém wyprawimy cię do Warszawy, do twojéj dobrodziéjki pani Krajewskiéj; o! to pani! hic mulier! Dałby mi Bóg, tak trząsać grodem żytomierskim, jak ona Warszawą. Jéj brat miał kiedyś rozum, ale to zero w porównaniu siostry: „Kudy kuciomu do zaycia“? Za jéj pomocą tak zjeździsz pana łowczego, że aż miło.

Rozgadał się pan rejent o tém, co było na jego sercu. Pan Jakób go słuchał nie przerywając, ale kiedy mu zapowiedział, że za kilka dni trzeba mu jechać do Warszawy, by sądownie się rozpierać z panem łowczym, jakieś wahanie się wyraziło na jego twarzy, co nie uszło uwagi rejenta. Spojrzał mu w oczy z zadziwieniem i odezwał się:

— Cóż-to, Kubusiu! ktoby pomyślił, że nie życzysz sobie udać się do Warszawy?

— I owszem, drogi wujaszku! Jakżebym nie był rad widziéć moją najdroższą Helenę po tak długiém rozstaniu się? Jakżebym nie pragnął poznać się z moją dobrodziéjką? Ale kiedy pomyślę, że na to mnie sprowadzacie do Warszawy, abym wstąpił w prawne zapasy z panem Kierdejem, abym się narzucał na syna temu, który nie jest moim ojcem, z krzywdą jego własnéj krwi; że dobrowolnie mam się zaprzéć tego dobrego ojca, danego mi przez naturę, który tyle ucierpiał dla mnie, a którego jestem jedyną pociechą, wtedy wszelkie nadzieje szczęścia, nawet obraz ukochanéj mojéj Heleny znikają z przed oczów moich: moje serce, przygniecione brzemieniem zgryzoty, nie czuje nawet pociechy, iżby w zupełności było czyste na sumieniu.

— I cóż z tego wnioskujesz?

— Oto, drogi wuju, powiem ci, że jeżeli mi wolno być otwartym w moim własnym interesie, majątek jaki mam z waszéj łaski aż nadto jest dostarczającym dla skromnych moich żądz. Niechaj bogactwa, które pan Kierdej ogarnął po mojéj matce, będą dla niego błagalną ofiarą za krzywdę, jaką od niéj poniósł. Niech je posiada, bez przeszkody z mojéj strony w ich użyciu. Tém i dusza mojéj matki będzie uradowaną, i ja sam bezpiecznym będę na sumieniu.

— I cóż myślisz z sobą zrobić?

— Oto chciałbym pojechać do Warszawy, ale nie w innym celu, tylko aby podziękować mojéj dobrodziéjce za te wszystkie łaski, jakie od niéj odebrałem, ożenić się z Heleną, a potém z nią pracować na moim funduszu, aż nadto wystarczającym dla naszych potrzeb.

— Szaleńcze! cóż-to? Chcesz być jak święty król Melchizedek bez ojca i matki urodzonym? A czy ty nie odczytał przedostatniego artykułu statutu Litewskiego o dzieciach nieprawego łoża? Co to sobie myślisz? Czy to tylko o spadek po twojéj matce rzecz chodzi? Tu idzie o twoje nazwisko, o twój byt, żebyś był człowiekiem, a nie

ruchomością. Cóżto! czyż się na to od dzieciństwa do prawa przykładałeś, żebyś nie wiedział, że u nas „Spurius non tam vilis quam nullus?“ A czyby oszaleli państwo Niekrasowie, żeby wydali córkę za takiego co ni szlachcic, ni mieszczanin, ni chłop, a podlejszy od cygana, bo i ten przecie jest swoim u swoich? Co tu ma sumienie do twojéj sprawy? Co tobie wchodzić w szperania? Każdy z nas o swojém urodzeniu to wié, co mu powiedziała jego metryka. A cóż to! Ludzie bezsumienni albo półgłówki pisali prawo kanoniczne? A czy to prawo pozwala wchodzić w tajemnice hańbiące rody? Natura wielka rzecz, ale musi ustąpić pierwszeństwa prawu, bo jużci człowiek nie bydlę, żeby nie iść za prawem. a tylko się prowadzić własnym instynktem. Więcéj ci powiem: na stronie zostawiwszy i prawo kanoniczne, i volumina legum, i nasz statut, wedle prawa natury nawet jesteś spadkobiercą połowy majątku twojéj matki. A kto cudzego nie pragnie, a o swoje się upomina, ten chwali Boga.

— To wszystko prawda, kochany wuju; ja sam widzę, że nie pozostaje dla mnie inny środek, tylko rozpoczęcie gorszącego procesu, który, jeżeli nawet pomyślnie dla mnie się skończy, zawsze napiętnuje mnie jakąś niesławą, tak dalece, że trzeba będzie wynieść się z własnego kraju, albo ciągle być narażonym na poniżenie. Jeszczebym może to przeniósł; ale kiedy pomyślę, że zmuszając człowieka którego szacować nie mogę, do przyznania mnie za swojego syna, zaprę się własnego ojca, który tyle ma praw do mojego przywiązania, do mojéj wdzięczności, — wtedy czuję jakby wyrzuty sumienia, że dla bogactw, dla miłości, nie chcę podzielać jego losu. Ta myśl jest tak dręcząca, że wszelką odwagę mi odbiera.

— Otóż coś nowego! Posłuchaj mnie starego, Kubusiu: chcesz-li być poczciwym człowiekiem, trzymaj się zawsze litery prawa jak pijany płotu, a nie upadniesz. Jak tylko rzecz prawna, to i poczciwa, bo jużci sumienie narodowe lepsze, niż człowieka choćby najcnotliwszego; ani konstytucye koronne, ani statut litewski nie mogą być w kontrowersyi z Boskiemi i kościelnemi przykazaniami. Wiara i prawo, są to dwie siostry w najściślejszéj zgodzie ze sobą żyjące. Kto się trzyma litery prawa, ten zawsze będzie poczciwym. Mnie kiszki bolą, kiedy słyszę: „Ta sprawa prawna, ale niesprawiedliwa“; z takiém absurdum półgłówek wyrwać się może, ale nie prawnik. Wyrok sądowy może być w formie prawny, a w istocie niesprawiedliwy, kiedy sędzia jest bezsumienny; lecz sama prawda nigdy. Twoja sprawa jest i prawna i sprawiedliwa. Dla ciebie nie ma środka: albo jesteś synem pana łowczego, albo synem, i to nie wiedzieć jakim, jego poddanego; wybieraj! Tu żadnéj zgody być nie może; jak cię przyznają być jego synem, i połowę posagu twojéj matki tobie przysądzą, a pluniesz mi w oczy, jeżeli tak nie będzie, ożenisz się z twoją

bogdanką, i da Bóg, że będziecie w Polsce szczęśliwi, mając po sobie miłość ludzką. A jeżeli wam będzie ciasno między nami, możecie wedle woli przenieść się choć za góry i morza, i tam przy pieniądzach wam źle nie będzie. Zaś co się tyczy twojego prawdziwego ojca, on całe życie swoje poświęcił na to, żeby ci zapewnić to, od czego zdajesz się wzdrygać. Odczytaj jego listy do mnie pisane, a zwłaszcza ten, który tobie wręczył rozstając się z tobą. W nim wyraźnie stoi, że jak tylko sąd cię uzna być synem pana Kierdeja, a tém zapewniony miéć będziesz byt między naszą szlachtą, wtedy dopiéro umrze spokojny. Zresztą my certujemy de lana caprina, bo już sprawa rozpoczętą została, i sam przyznałeś się do aktorstwa.

— A to jakim sposobem?

— A czyś zapomniał, że przed pół rokiem byłeś z JW. koszowym w Kijowie? Że stosując się do konferencyi, jaką jemu nadesłałem przez Kulbidę, wymógł na tobie, żeś przyznał plenipotencyę na imię pana Rafała Świeżawskiego, niegdyś mojego dependenta, pod którym pracowałeś, a ninie przysięgłego jurysty, żonatego, i wziętego w naszém obywatelstwie, który bez mojéj rady ani kroku nie robi. Plenipotencya, choć w cudzym kraju zeznana, prawomocna, bo akta aktom wierzą, i pan Nietyksza na przeszłéj kadencyi przeciwko niéj nie umiał ani słowa powiedziéć. Owóż tedy, na téj plenipotencyi podpisałeś się Jakób Kierdej. A co mówi statut o tych, co własne swoje czynności zaskarżają? Toć to nie przelewki, piwa nawarzywszy odstąpić, i zaprzéć się własnego podpisu; dopiérobyś wpadł w sprawę kryminalną, z któréjby i święty Iwon cię nie wybawił, bo owszem samby na przeciwko tobie wyrok podpisał. Rzecz się doskonale ukartowała; pan Rafał w swoim pozwie do pana Kierdeja w żadne ustępy niepotrzebne się nie rzucił; można go ścisnąć w kilku słowach: — Panie ojcze, składam metrykę mego chrztu na dowód, że jestem twoim synem spłodzonym z księżniczki Sołomereckiéj, twojéj małżonki, a że nie masz dożywocia na majątku mojéj matki, więc proszę mi oddać to co jest mojego. — Cóż przeciwko temu powiedziéć? Przed kadencyą opinia powszechna prawników była, że pan Kierdej sądzić się nie zechce, i dopuści na siebie kondemnatę; jakież było nasze zadziwienie, kiedy pan Nietyksza po zapisaniu komparycyi stanął do sądu, a sprawa wprowadzoną została. Zaręczam, że pan Rafał był dobrze poradzony; cała publiczność zachwycona była jego induktem, bo to bez żadnych skoków, bez żółci, bez przycinek, ale sama prawda jak wół. A pana Nietykszy odpowiedź same lezje, paszkwil, argumenta bez najmniejszego związku. Mnie serce rosło, słysząc podobne baśnie; zaprzeczył ważności metryki, zadał tobie nieprawność urodzenia, zaczepił o sprawę twoję z powodu wyrwania Kulbidy z egzekucyi wyroku na niego zapadłego w grodzie, jakby ta sprawa od dawna nie była umorzona,

a skończył szumnym panegirykiem wielkich cnót JW. łowczego. Na śmiech publiczności siebie i swego pryncypała wystawił, i to ma być jurysta! A pan Rafał zabił go w swojéj replice, bo stanął jak niewinny baranek, wszystkie łżenia mimo siebie puścił, ubolewając z największém uszanowaniem na niełaskę drogiego zawsze ojca, a wszystko z taką pobożną czułością, że łzy wycisnął z oczów słuchaczy, zwłaszcza naszéj palestry tak do ciebie przywiązanéj. Po wysłuchaniu sprawy, sąd ziemski dwie doby siedział na namowie, ale téż unieśmiertelnił się swoim wyrokiem. Odsunął kwestye de legitimitate, jako niewłaściwe juryzdykcyi świeckiéj, wedle kanonów Soboru Trydenckiego, a połowę posagu twojéj matki kazał ci zwrócić. Pan Nietyksza odwołał się do trybunału koronnego. Jużci i dzieci wiedzą, że ziemstwo nie jest ostateczną juryzdykcyą, a onegdaj otrzymałem list od pani Krajewskiéj, w którym mi donosi, że już poszła skarga pana Kierdeja do nuncyatury, i że sam jest spodziewany w Warszawie, żeby tam forsować w swojéj sprawie. Pobiliśmy go na głowę w ziemstwie; zaręczam, że trybunał powié to samo co i ziemstwo. Pan łowczy mnie samego tam znajdzie. Da Bóg, że jeszcze lepiéj go pobijemy w nuncyaturze. Zważże teraz, czy ci się godzi iść przeciwko woli twojego własnego ojca, i nas prawdziwych przyjaciół w błocie pogrążyć? Ale napróżno ci perswadować; masz tyle rozumu przecie, że wiesz co uchodzi, a co nie uchodzi. Kilka dni zabawisz w Żytomierzu, a potém pojedziesz do Warszawy, gdzie cię prowadzić będzie pani Krajewska, jak matka swoje dziecię. Pod szczęśliwą gwiazdą się urodziłeś, że masz taką dobrodziéjkę, a w tém moja głowa, żebyś tam bezpiecznie zajechał, bo masz do czynienia z takim ptaszkiem, że gotów na ciebie po drodze zrobić zasadzkę. Dla niego nie ma nic świętego; to jest diabolus incarnatus, — im starszy tém gorszy.

Taka była rozmowa między Jakóbem a panem rejentem. Jakób poznał, że trzeba mu się oddać z zupełną ufnością, i że nie było sposobu wyzwolić się ze sprawy już rozpoczętéj, któréj rozwiązanie miało mu zapewnić imię, byt, majątek, a nadewszystko rękę Helenki, albo téż okryć go sromotą i pogrążyć w największe nieszczęście.

ROZDZIAŁ XXIX.

Jakób bawił jeszcze dziesiątek dni w Żytomierzu, gdzie czas swój przepędzał z braćmi Bołsunowskiemi, którzy się jego losem zajmowali, jakby był ich synem, i z dawnemi swojemi kolegami, zawsze statecznemi w przywiązaniu, jakie u nich był pozyskał. Pan Rafał Świeżawski,

jak się powiedziało, już zawołany mecenas, wstępował w ślady rejenta i na publiczny szacunek zasługiwał. Jakób miał dla niego wielkie powody wdzięczności, za gorliwość jaką się odznaczał, chodząc około jego interesów, nie oglądając się na gniew i pogróżki pana łowczego.

Największa pociecha dla człowieka szlachetnych uczuć, jest stateczna przyjaźń tych, z któremi przepędzał w zażyłości chwile błogie swojéj pierwszéj młodości. I w dojrzałości wieku mogą się utworzyć stosunki na wzajemnym szacunku oparte, ale nigdy nie będą tak ścisłe, jak te, które się zawiązały w wiośnie życia. Koleżeństwo obozowe, palestry, zawodu usług publicznych, a zwłaszcza szkolne, miało w zeszłém i schodzącém nawet pokoleniu coś świętego, nakładało wzajemne obowiązki, których zgwałcenie wywoływało powszechne zgorszenie. Biada człowiekowi przypruszonemu szronem starości, który przeżył swoich przyjaciół. Ta strata już niczém wynagrodzoną nie będzie (*).

Napawał się Jakób drogim napojem przyjaźni przez te kilkanaście dni pobytu swego w Żytomierzu. Koledzy jego szli na wyścigi, żeby go przekonać, ile go miłują, i że nieobecność jego bynajmniéj nie umniejszyła ich przywiązania; każdy rad był go ugościć, wedle obyczaju staropolskiego. Codziennie do pory obiadowéj zajęty był obcowaniem z wujami, gdyż dnia nie przepuszczał, żeby z rejentem nie zrobić wycieczki do Jarkowicz, gdzie na widok Jakóba schorzały podczaszy zdawał się ożywiać, a cały wieczór zawsze był oddany kolegom, z któremi trzeba było zakrapiać do późnéj nocy przyjaźń. Ten zbytek w napoju, uszlachetniony świętém uczuciem przyjaźni i szacunku, bynajmniéj nie wątlił potężnéj natury mężów dawnego pokolenia, nie uszkodzonéj ani temi naszemi wygódkami, które już dziś stały się niezbędną potrzebą, ani przewinieniami innego rodzaju, jakich zwykle się dopuszcza nasza młodzież, zaledwo wyszedłszy z dzieciństwa (**).

Ale jeżeli podzielał swoje serce między przyjaciołmi szkoły i palestry, największy udział w niém miał Bartłomiéj Kałużyński, z którym to był w takich opałach, kiedy na nich kozactwo pana łowczego na-

(*) Za dawnych czasów, kiedy obywatel chwalił współobywatela, zawsze od tego zaczynał: — On ma wielu przyjaciół. — Obok téj pochwały wszelkie inne wydawały się blade, ale téż rozumiano istotne znaczenie tego wyrazu. Przyjaźń dwóch obywateli była pewnym rodzajem pokrewieństwa, które spadało i na potomków. Obywatel mógł umiérać spokojnie, opuszczając drobną dziatwę, bo był pewny, że jego przyjaciele wezmą ją w opiekę. Dotąd w niektórych prowincyach zachowuje się ten obyczaj, acz mniéj rozpowszechniony.

(**) Nałogowe pijaństwo za dawnych czasów było rzeczą niesłychaną w obywatelstwie; upić się z przyjaciółmi każdy uważał za obowiązek; ale za to, kiedy się z niemi nie spotkał, pił tylko wodę, a żyjąc na wsi w trudach rolniczych, najczęściéj bywał osamotniony.

padło. Poczciwy Bartek rozbeczał się jak dziecko, kiedy go pierwszy raz ujrzał po tak długiém rozstaniu się. Oprócz tych uczuć przyjaźni, jemu wspólnych z jego kolegami, miał jeszcze obowiązki wdzięczności. Już był spokojny o los swojej matki z łaski Jakóba; za konie i inne jego podarki utworzył dla niéj mały kapitalik, który ją postawił w możności najęcia obszerniejszego dworku i utrzymywania w nim uczniów. Już tedy miała sposób do życia zapewniony, kawał chleba chudopacholski, ale uczciwy. A on sam już obyły z prawem, czynił rozmaite posługi obywatelom, które mu tyle przynosiły zysku, że mógł się utrzymać przyzwoicie, i nikomu nie być ciężarem. Był téż swojego dobroczyńcy towarzyszem nieodstępnym.

Nadeszła nakoniec chwila, w któréj trzeba było Jakóbowi znowu rozstać się z przyjaciołmi. Obaj wujowie zapowiedzieli mu, żeby się wybierał do Warszawy, tém więcéj, że świeżo otrzymali od pani Krajewskiéj listy, któremi ich nagliła, żeby wyprawili Jakóba do niéj, oraz zapewniała, że najmniejszéj wątpliwości nie ma o powodzeniu jego sprawy. Były w nich rozmaite szczegóły, tyczące się Helenki, jéj przywiązania do Jakóba, a zakończenie jednego listu było w tych słowach:

„Dla mojéj Helenki czuję taki afekt, jaki matka miéć może dla swojéj córki. Ona i Jakób są to dwie istoty, w których środkują się wszystkie moje nadzieje. O! jakże łaknę pociechy przyciśnienia Jakóba do mego serca; im bliższą jestem téj pożądanéj chwili, tém gwałtowniéj pragnę ją miéć przyśpieszoną.

„Dzień, który te drogie dla mojego serca istoty połączy nierozerwanym związkiem, sowicie mi wynagrodzi wszystkie cierpienia mojego życia. Niech tylko ujrzę Jakóba mężem Helenki, bez żalu rozstanę się z tym światem.“

W wigilię jego odjazdu była tajna konferencya między nim a jego wujami, z któréj wypadło, żeby nie jechał zwykłym traktem na Lwów, ale na Brześć Litewski, a to z obawy, żeby w podróży nie został napadniętym od siepaczy pana Kierdeja. Przykro było Jakóbowi używać takich ostrożności dla swojego bezpieczeństwa, uważał w tém jakieś poniżenie; jednak i tu uledz musiał woli swoich opiekunów.

Ale kiedy Bartek dowiedział się, że pan Jakób jutro z kończącym się wieczorem zabiera się do podróży, tak mu smutek serce ścisnął, że wyglądał jakby był okradzionym, a po długiém pasowaniu się z sobą, przystąpił do pana rejenta, i padł mu do nóg.

— Czego chcesz? — rzekł do niego zadziwiony.

— Panie! nie wstanę, póki nie otrzymam pańskiéj instancyi do pana Jakóba, żeby mnie wziął z sobą, oraz pana, mojego dobroczyńcy najgłówniejszego, zezwolenie i błogosławieństwo. Ja wiem, że po

odjeździe pana Jakóba tak się zatęsknę, że pan ze mnie pociechy miéć nie będziesz.

Pan rejent podniósł rozrzewnionego chłopca, a Jakób, w którego przytomności ta scena się odbywała, odezwał się:

— Mój Bartku, ja sam chciałem cię uprzedzić z prośbą do wujaszka, żeby ci pozwolił zemną jechać do Warszawy, ale nie śmiałem tego uczynić. Jakże miałbym się odważyć żądać od ciebie tak wielkiéj ofiary, żebyś dla mnie opuścił matkę, siostrę, potrzebujące twojéj opieki? Wszakże wkrótce masz zostać jurystą przysięgłym. Czy podobieństwo, żebyś przy porcie swoją łódkę odwinął? żebyś odrzekł się świetnego zawodu, który i tobie i twoim stateczny los zapewni? Czy będę w stanie tobie się za to odwdzięczyć? Czy mogę być pewnym, że idąc w zapasy z tak potężnym przeciwnikiem, zdołam go zwyciężyć? A jeżeli przegram sprawę, wiesz co mnie czeka. Bez imienia, bez czci, nic mi nie pozostanie, tylko wynieść się z kraju, żeby gdzieś w dalekich stronach ukrywać moją hańbę. Jakieżby było wtedy twoje przeznaczenie? Oto zostać współtułaczem, współwywołańcem!

— Otóż na ciebie zawiał znowu wiatr melancholii, kiedy możesz wątpić o twojéj sprawie! Aż mi wstyd, żeś się uczył podemną jurysteryi, kiedy nie widzisz czarno na białém, że twój interes czysty jak bursztyn. Pokonaliśmy pana łowczego w ziemstwie, i to w jego własnym powiecie, a nie mielibyśmy go pokonać w trybunale i w nuncyaturze? Te twoje powątpiewania tylko mi krew psują. Czy wiesz co? Oto przykro mi, że ciebie miłując jak własne dziecko, nie mogę ci tego okazać, jakby się należało. Ja lubię miéć w rękach sprawę zawiłą, wątpliwą, żeby to jakoś pokazać, że człowiek głowę nie dla ozdoby nosi; a tu sprawa taka, że i baba z pod kościoła potrafi ją prowadzić. Wielce pochwalam Bartka, że chce do ciebie przystać; chłopiec ma rozum, widzi rzecz, jak się ma w istocie. Ty będziesz panem, Kubusiu; połowa majątku kniaziów Sołomereckich, to nie piechotą chodzi, a do tego jeszcze expectans successionem, bo po najdłuższém życiu pani Krajewskiéj, wszystko co dziś posiada będzie twoje. I to smaczny kęs; ani się spodziewałem, że Bartek tak mądry, że przekłada trzymanie się wielkiéj klamki nad ślęczenie nad dokumentami. Na naszym chlebie mało miéć rozum, trzeba miéć szczęście; a czy to nowalia, że partacza w jurysteryi opinia ogłosi wielkim człowiekiem, a prawdziwego łebaka nie ma za Boskie stworzenie? Niech doktorowi przypadkiem uda się kuracya takiego, co ma język dobrze zawieszony, ani się spostrzeże, jak zostanie wielkim człowiekiem. Toż i jurysta; na naszym chlebie, między dziesięciu sławami może jedna się znajdzie prawdziwie zasłużona. Na co daleko szukać? W naszym Żytomierzu możebym ci parę takich jurystów pokazał, że jak go widzisz, teki za niemi nie wart nosić pan Nietyksza, a nikt o nich nie wspomni, bo

z naszą publicznością nie potrzeba zasługi, ale szczęścia. Mówią: u nas każdy jest prawnikiem. Jest w tém coś, ale nie ze wszystkiém. Co innego liznąć prawa, a co innego tak się z niém obeznać, żeby umiéć osądzić zdatność prawnika. Jurysta musi szukać szczęścia; a być dworzaninem u pana, to szczęście gotowe. Dobrze sobie poradziłeś, Bartku, że chcesz być sługą pana łowczyca wielkiego księztwa Litewskiego, bo nasz Jakób nim jest. Sąd ziemski za takiego go uznał, kiedy mu przysądził połowę majątku pozostałego po jego matce JW. z książąt Sołomereckich Kierdejowéj, jak wiesz o tém, bo i ty za panem Rafałem dzwoniłeś na to kazanie, a i trybunał i nuncyatura za takiego muszą go uznać, albo powiedziéć, że statut litewski i prawa kanoniczne są tylko bajeczką przez nas wymyśloną. Jeszcze raz winszuję ci; wolisz chleb pewny u Jakóba, niż szukać wątpliwego w naszym zawodzie.

— Wielmożny rejencie dobrodzieju — odrzekł Bartłomiéj — ani mi w głowie szukać majątku u pana Jakóba! A na coby on mi się przydał? Moja matka już ma zapewniony kawałek chleba chudopacholskiego, i na nim poprzestaje, nie potrzebując mojéj pomocy. Ja chcę służyć u JW. łowczyca, nie żeby sobie zapewnić los, ale że go kocham, że bez niego chodziłem tu jakby nie swój. Nadto jestem do niego przywiązany, żebym mu nie miał życzyć najświetniejszego przeznaczenia, o czém nie wątpię że nastąpi, ale z niego dla siebie niczego wynieść nie pragnę. Chcę podzielać jego los, chociażby miał być najsmutniejszym; za wszystkie skarby świata go nie odstąpię, byle mi tylko pozwolił być jego sługą.

— Nie sługą, ale najdroższym przyjacielem chcę miéć cię, mój Bartku — odezwał się Jakób — bo prawdziwy przyjaciel jest szacowniejszym nad wszelkie skarby. Kiedy takiego znajduję w tobie, już o moją przyszłość się nie lękam; bądź pewny, że i ja nawzajem nigdy cię nie odstąpię. Jedźmy razem do Warszawy, a kiedy umiałem wysłużyć u Boga takiego przyjaciela jak ty, śmiało rokować mogę sobie w przyszłości wszelką pomyślność; idźże, mój poczciwy Bartku, do twojéj matki, żeby cię opatrzyła swojém błogosławieństwem, i wręcz jej odemnie ten mały upominek, który jéj przydać się może. Jutro wybieraj się do podróży, a teraz nic ci nie pozostaje, jak otrzymać od pana rejenta, naszego wspólnego dobroczyńcy, jego błogosławieństwo.

— Ale daję go z największą ochotą. Niech ci Bóg da, Bartku, choć w części to co ci życzę, a będziesz szczęśliwym. Winszuję ci pana, a tobie, Kubusiu, sługi; nie dziwuj się, żem z tobą tak poufały, bo chociaż lada dzień będziesz magnatem, zawsze dla mnie będziesz Kubusiem, moim siostrzanem, a nawet czémś ściślejszém; bo mój brat i ja nigdyśmy cię nie uważali inaczéj, tylko jak naszego syna.

— I nigdy nim być nie przestanę, najdroższy wuju. Przy twoich błogosławieństwach jeszcze jedno przydaj; oto pobłogosław naszą przyjaźń, żeby zawsze była stateczną.

— Całém sercem.

Jakób i Bartłomiéj uklękli przed sędziwym rejentem, który w największém rozrzewnieniu przywołał opiekę Boską na tę przyjaźń, którą obaj młodzieńcy sobie zaręczyli.

Nazajutrz rejent dał wielki obiad na pożegnanie Jakóba; wszyscy jego przyjaciele nań byli zaproszeni, i podczaszy na niego zjechał. Od kilkudziesiąt lat nie zdarzyło mu się biesiadować, a co więcéj, on, który tak dobrze jak nie znał smaku wina, jeden kielich wypróżnił za zdrowie Jakóba. Przyjaciele jego tak się rozochocili, że uczta przedłużyła się przez całą noc. Już jutrzenka otworzyła była wrota dniowi, a kolejny kielich jeszcze krążył między przyjaciołmi. Tak byli wszyscy poruszeni przyjaznemi uczuciami dla Jakóba, że dla okazania mu życzliwości nie tylko winem, ale trucizną by spełniali kielichy. Nakoniec trzeba było się rozstać wśród największego rozrzewnienia. Jakób zaledwo przytomny sobie, a Bartek bez żadnéj przytomności, położeni zostali, że tak powiem, w bryce, która oddawna stała zaprzężona. Takie było powtórne rozstanie się Jakóba z Żytomierzem.

ROZDZIAŁ XXX.

Przenieśmy się teraz do Warszawy, dokąd dążącego zostawiliśmy Jakóba. Była godzina 10 z rana. Pani Krajewska, w pięknym saloniku obok sypialnego pokoju, siedząc na szezlągu piła kawę, podczas kiedy francuzka garderobiana układała w warkocze jéj rzęsiste włosy. W saméj rzeczy, te włosy były głośne w Warszawie, i niejedna młoda elegantka wielkiego świata stolicy zazdrościła jéj téj ozdoby, którą czas szanował. Ubranie głowy było wówczas solenną chwilą, która przynajmniéj parę godzin się przedłużała. Zwykle damy wielkiego świata, poruczając głowę mistrzyniom lub mistrzom kunsztu perukarskiego, obracały ten czas na czytanie nowości literackich francuzkich, które jeszcze nie pobudzały do ich naśladowania naszych poważnych pisarzy (*), ale pani Krajewska do nich najmniejszego nie miała pociągu.

(*) Z pomiędzy tylu romansów rozlanych od lat kilku na naszą publiczność fantazyi właściwéj do wysłowienia spółczesnych naszych obyczajów, a jednak szczero-

Podczas kiedy garderobiana układała i pudrowała jéj nadobną czuprynę, ona spożywała kawę, i zdawała się być jedynie zajęta Helenką, która siedząc na przeciwko niéj, haftowała szlareczki mające służyć na ogarnirowanie jéj sukienki. Skromna i pracowita dziewczyna miała oczy spuszczone nad robotą, kiedy jéj dobrodziéjka do niéj odezwała się temi słowy:

— Moja Helenko, czy bardzo kochasz Jakóba? Czy czasem o nim myślisz?

— Czasem o nim nie myślę. Pani wiadomo, że pókiśmy byli dziećmi, on był mi bratem, a kiedy wyrosłam, przyzwyczaiłam się do téj myśli, że będę jego żoną. Pani robisz mi zapytanie, które mię przestrasza, bo wiedząc o wszystkiém, co się mnie tyczy, o mojém przywiązaniu do niego wątpić nie możesz. Czy nie dotknęło go jakie nieszczęście, do czego pani chcesz mnie przygotować?

— Nie, mój aniołku, mówię ci to, żeby cię przygotować do wielkiéj radości. Lada chwila będziesz oglądała twojego Jakóba.

— Czy podobna?

— Nie inaczéj! Wczoraj, kiedy już spoczywałaś, odebrałam list od Pawła Bołsunowskiego, w którym mi donosi, że nasz Jakób od dni kilku bawi w Żytomierzu dla ułatwienia swoich interesów, ale że się wybiera do Warszawy, dokąd lada chwila go wyprawią. Wedle mojego wyrachowania, dziś a najpóźniéj jutro stanie przed nami, i już odtąd nie rozłączymy się z sobą. Poczciwy rejent tak się o nim rozpisał, że chociaż od trzeciego dnia jego urodzenia nigdy go nie widziałam, zdaje mi się, że mogłabym go odmalować. Najmniejszego szczegółu nie opuścił. Sama przeczytaj!

Tu podała jéj pismo na czterech stronicach bitym charakterem zapisane.

Dziewica je wzięła ręką drżącą, i po cichu zaczęła czytać ostatnią stronnicę, którą pani Krajewska jéj wskazała. Inne stronnice wyłuszczały tylko chód interesów Jakóba; ostatnia jego samego opisywała z najdrobniejszemi szczegółami, ale tak, że pani Krajewska przy pierwszém z nim spotkaniu mogłaby go poznać od razu, lubo go nigdy nie widziała.

Helena napawała się temi szczegółami; zdawało się jéj, że z nim obcuje. W owym czasie najmniejsze stosunki między młodzianem a dziewczyną były pod surową strażą. Narzeczony do swojéj narzeczonéj rzadko kiedy otrzymywał pozwolenie pisać, a narzeczona w do

---

polskiéj, mamy wzór w dwóch ustępach powieści pana Kraszewskiego: *Dziwadła*, i w całkowitym romansie pana Korzeniowskiego: *Kollokacya*. To ostatnie dzieło, jeszcze niedość ocenione, na mnie sprawiło wielkie wrażenie. Wszystkim rozpoczynającym zawód powieścio-pisarski radzę ten utwór studyować.

mach szlacheckich tak skromnie była chowana, że za nic w świecie nie odważyłaby się nie tylko czynić pytania o swoim narzeczonym, ale nawet wspomniéć jego nazwisko. Aż do chwili, w któréj sobie przysięgali wzajemną wiarę, przyszli małżonkowie w obliczu widzów pokazywali się jakby byli obcy dla siebie, a to pokrycie uczuć serca, jakkolwiek prawych, wchodziło do prawideł dobrego wychowania szlachetnych par. Ojciec Helenki nigdy przed nią nie mówił o Jakóbie; matka pozwalała sobie wspominać go przed córką, ale z wielką wstrzemięźliwością. Z jedną tylko panią Krajewską obszernie mogła się rozwodzić z swojemi uczuciami, i słyszéć ciągle wspominane imię Jakóba, i dlatego obcowanie z nią sam na sam było dla niéj milsze nad zabawy wszelkie.

Gdyby jaki obcy mógł niewidziany podsłuchać ich rozmowy, zadziwiłby się wielomówstwem dziewicy skromnéj i tak trzeźwéj w mowie, ile razy się znajdowała w towarzystwie nawet dobrze jéj znanych osób; a gdyby, jak to często bywa na wielkim świecie, przy ognistym dowcipie miał serce zimne, znudziłby się zapewne ubóstwem jéj wyobrażalności, wyszydziłby w duchu monotonię jéj rozmowy, zawsze około jedynego przedmiotu krążącéj. Ale taki, u którego fibra uczuciowa jeszcze nie zlodowaciała, który raz przynajmniéj umiał kochać prawdziwie, taki z natężoném uchem, w słodkiém zadumaniu słuchałby mówiącéj dziewczyny, rad ani półsłówka nie utracić z ustępu ubarwionego poezyą żywotną najpoetyczniejszéj płci i najpoetyczniejszego wieku; czerpałby pożywny pokarm dla własnéj duszy z tego malowniczego obrazu miłości, omal że nie przy kolebce zawiązanéj, ściśle spojonéj z życiem i z niém postępującéj.

Z tych szczegółów nauk, igraszek, sprzeczek, zazdrości, a wkrótce potém pojednań dziecinnych, miałby obraz rzewny, luby, zajmujący, ale na który tylko duszom wybranym pozwolono patrzyć z upodobaniem.

Pani Krajewska miała taką duszę, ztąd najmilszém było dla niéj zajęciem słyszéć z ust Helenki te szczegóły ciągle powtarzane, a jednak zawsze w świeżéj barwie przedstawiane. Ciągle przerywane były te opowiadania jakąś samorzutną pieszczotą. Jéj dusza przepełnioną bywała taką rozkoszą, iżby znieść nie mogła, żeby jéj nie przycisnąć do swojego serca. Wtedy na chwil kilka następowało milczenie, a tylko obie uśmiechały się do siebie łzami.

W takiém były usposobieniu po odczytaniu listu pana rejenta. Helenka powtarzała pani Krajewskiéj po tysiąc razy swoje zwierzenia, a ta z równém współczuciem, z równą uwagą ją słuchała, i to się przedłużało aż zbliżyła się pora obiadowa, a zupełnie zapomniały, że już im pora wziąć na siebie suknie. Dopiéro kiedy pani Krajewska

przypadkowo okiem rzuciła na zegar, stojący na gzémsie pokojowego komina, spostrzegła że już po pierwszéj. Wtedy się odezwała:

— Widać, moja Helciu, że czas musi nam mile schodzić, kiedy dotąd nie jesteśmy ubrane. To jeszcze szczęście, że przynajmniéj nasze głowy już są zaczesane.

Weszła garderobiana z ubiorem, ale z nią jednocześnie pokazał się na progu przeciwległych drzwi lokaj, z oznajmieniem, że jakiś pan nieznajomy, ale jak mówi, z prowincyi jaśnie pani przybyły, kazał się zameldować; dodał, że ma list, który tylko osobiście jaśnie pani złożyć może i czeka w przedpokoju.

— Może to jaki nieszczęśliwy potrzebujący wsparcia?

— A gdzie tam, jaśnie pani. Przybył do nas wprawdzie najętym, ale wcale porządnym pojazdem, a ubrany kosztownie, bo ma na sobie pas lity i spinkę brylantową. Mnie się widzi, że to musi być możnego obywatela ukraińskiego syn.

— Więc jest młodym.

— Młodym, jaśnie pani, a tak przystojnym, że mi było miło na niego patrzéć, bo to i ubiór do twarzy, a jaki grzeczny! Nie tak jak tutejsi panowie, co tylko do siebie po ludzku mówią, a sługi nie mają za Boże stworzenie, dobrego słowa mu żałują, a tylko krzyczą: —Hej, nuż, idź! — Ten pan, bo to pana po cholewach poznać, nie kazał mi meldować go pani, ale o to poprosił: — Pójdź, bracie — powiedział, — a ja tu na ciebie poczekam,

— Czemużeś się go nie zapytał, jak się nazywa?

— I owszem, jaśnie pani, powiedziałem mu: — Niech jaśnie pan pozwoli się zapytać, jaki jest jego honor?

— A on co na to?

— Odpowiedział: — Mój bracie, chcesz wiedziéć jakie moje nazwisko, a ja ci się przyznam, że sam nie wiem.

Tu Helence zaczęło serce bić gwałtownie.

— Niewątpliwie — rzekła pani Krajewska — to on. Niech wnijdzie, niech wnijdzie! Żebym miała tylko jednę izbę, i ta zawsze będzie dla niego otwartą. – A gdy spostrzegła, że Helenka wątpliwym krokiem zabierała się wyjść z gabinetu....

— Siedź tu, Helenko — rzekła — jużci trzeba żebyś mnie z nim poznała.

Zniknął lokaj; a w chwil kilka potém wszedł Jakób, i stanął jak wryty. Helenka zrobiła parę kroków z szybkością ku niemu, poczém zastanowiła się raptem. Jakób czas jakiś stał nieruchomy, jakby się wahał, którą ma pierwéj powitać. Była to walka między miłością a wdzięcznością. Sama przyzwoitość rozstrzygnęła tę walkę na korzyść drugiéj. Nic nie mógł wymówić, tylko się rzucił do nóg pani Krajewskiéj, która go podniosła i w niemniejszém wzruszeniu wzięła

go w swoje objęcia, i wpatrując się w jego oblicze, po kilkakrotnie odezwała się:

— To żywy obraz najdroższéj mojéj przyjaciółki; kto tylko ją parę razy widział, musi przyznać, że Jakób jest jéj synem. Jakóbie drogi, jesteś sierotą, ale ja byłam i zawsze chcę być twoją matką. Poprzysięgłam mojéj siostrze, mojéj przyjaciółce konającéj, że nią będę; jak i widzisz, dotrzymuję mojéj przysięgi. Powitajże twoją narzeczoną.

Jakób przybliżył się do Helenki, porwał jéj rękę z uniesieniem, i spoił z nią przez czas jakiś swoje usta. W Helence miłość toczyła walkę ze skromnością; gdyby jéj wolno było, rzuciłaby się w jego objęcie; umiała jednak panować nad sobą. Ścisnęła tylko jego rękę w swojéj i utopiła w nim wzrok, w którym jéj przywiązanie objawiło się wymownie. Jakób zrozumiał całkowite znaczenie tego spojrzenia, i w téj chwili, którąby rad zamienił w wieczność, uczuł się być najszczęśliwszym z ludzi.

Pani Krajewska w milczeniu, ale z lubością, przypatrywała się temu powitaniu dwóch istot przejętych wspólną miłością, a które po długiém rozstaniu się z sobą, łaskawsze przeznaczenie jednoczyło.

— Dzieci moje — odezwała się nakoniec — Bóg dobry dość długo was doświadczał; odtąd te cierpienia, które na was dopuszczał, wynagradzać będzie statecznie, gdyż odtąd będziecie nierozdzielni. Przyjm, Jakóbie, moją wróżbę, że pomyślnie skończysz sprawę, która ma ustalić twoje przeznaczenie; rok ten nie upłynie, a ta, którą kochasz nad życie, u stóp ołtarza będzie ci oddaną. Wiem dobrze, że każdy dzień, który was przegrodzi od téj chwili, stanie się dla was wiekiem; jednak pospołu oczekując téj chwili, w nierozerwaném odtąd towarzystwie, nie będziecie nieszczęśliwi. Spodziewam się, Kubusiu, że ponieważ masz tu ciotkę i opiekunkę osiadłą, do niéj się przeniesiesz. Coby świat powiedział, gdybyś gdzieindziéj niż w jéj domu obrał dla siebie mieszkanie?

— Pani!

— Obrażasz mnie, panie Jakóbie, nazywając mnie panią; czy zapominasz, że jestem twoją ciotką. Nawet interes, który cię tu sprowadził, wymaga, żebyś tak zimno zemną nie postępował, tém więcéj, że wątpić nie możesz o mojém przywiązaniu.

— Ciociu kochana, ponieważ mi pozwalasz dawać ci to słodkie nazwanie, przyznam ci się, że sam tu nie przybyłem; mam z sobą kolegę szkoły i palestry, przyjaciela, który nawet życie swoje za nic ważył, stając w mojéj obronie, kiedy byłem napadnięty od przemagającéj siły. Poczciwy Kałużyński, który w niebezpieczeństwie mnie nie odstąpił, znieśćby tego nie mógł, żebym się od niego odłączył.

— Uważam, Kubusiu, że mój dom musisz mieć za bardzo ciasny, kiedy myślisz, że w nim oprócz ciebie, już nikogo umieścić nie mogę.

Już twój Kałużyński jest dla mnie drogi, tém samém, że dawał ci dowody życzliwości i przyjaźni. Dopominam się od ciebie, żebyś zaraz posłał mojego sługę do gospody gdzieś zajechał, z karteczką do twojego przyjaciela, żeby natychmiast zabrał się z waszemi rzeczami do mojego pałacu, gdzie wszelkie znajdzie wygody, bo ciebie nie puszczę. Siadajże więc, Kubusiu; masz wszystko co ci potrzeba do pisania, a nie zapomnij mu dodać, że poczynając od dzisiejszego dnia, i on i ty miéć nie będziecie innego stołu oprócz mojego, a więc czekam na niego z obiadem. Zostań się tu z Helenką; macie zapewne wiele do powiedzenia sobie, a ja tylko rozporządzenia moje porobię dla twojego przyjęcia, żeby tobie i twojemu dworowi u mnie na niczém nie zbywało, i przyślę ci służącego, któremu karteczkę do Kałużyńskiego wręczysz. Za pół godziny najdaléj powrócę, a wiem, że będąc z sobą razem, nie będziecie za mną tęsknili.

Jakób kilka słów napisał do Bartka, oddał list służącemu, który już czekał przy drzwiach, a skoro odszedł, wstał z krzesła i przybliżył się do Helenki stojącéj przy oknie.

— Helenko — rzekł do niéj — bo już mi wolno mówić do ciebie z tą poufałością. Jakże ty jesteś piękną! Jakże jestem szczęśliwy, że cię znajduję dla mnie niezmienioną. Wszakże to więcéj dwóch lat, jakeśmy się z sobą ostatni raz widzieli; pamiętam jak dziś, kiedy to w waszym dworku na Kamionce twoja matka pozwoliła mi cieszyć się nadzieją, że będę twoim mężem; o to jéj tylko chodziło, żeby wujowie na to zezwolili, o czém nie miałem najmniejszéj wątpliwości; a kiedy ciebie pożegnałem, byłem pewny, że nazajutrz będę znowu u nóg twoich, że odbędą się nasze zrękowiny, a potém, stosując się do woli wujów, miałem jechać do Litwy, i ztamtąd po załatwieniu się z księciem hetmanem, jak najśpieszniéj przybyć do opactwa Owruckiego, żeby się z tobą ożenić i zabrać cię tam, gdzie mi Bóg żyć przeznaczy, bo w jakiémkolwiek miejscu by to było, jakakolwiek dolaby mnie spotkała, ty dla mnie każde miejsce i każdą dolę upiększysz. Aż tu na wielkim gościńcu zostaję napadnięty; sługa mnie zdradził, tylko ten przyjaciel o którym słyszałaś dopiéro, stanął przy mnie. Otoczeni, po daremnym oporze, dostaliśmy się w ręce najezdników. Potém Bóg nam zesłał wybawicieli, ale pomimo moich próśb już mnie nie puścili do Żytomierza, ale zabrali z sobą daleko. I odtąd więcéj dwóch lat minęło; ja kiedy niekiedy miałem o tobie wiadomości, które mi ustnie przywozili moi towarzysze broni Zaporoża, bo może o tém nie wiész, że byłem Zaporożcem, a nawet między niemi w krwawém rzemiośle dosłużyłem się stopnia atamańskiego. — Droga Helenko, nie pogardzaj mną, że zmuszony byłem być rozbójnikiem, bo nasza szlachta nie inaczéj nazywa Zaporożców.

— Nie, mój Jakóbie, nie do mnie należy ich sądzić, ani wchodzę

w ich postępki. Tyle wiem o nich, że mam stryja między niemi, który posiada przywiązanie moich rodziców, a zresztą, nadto mi jest znana szlachetność twoich uczuć, żebym przypuścić miała, żeś się mógł skojarzyć z towarzystwem podłém.

— Czy dochodziły do ciebie, Helenko, wieści o twoim przywiązanym bracie, bo mi niewolno było do was pisać. Tak nagle zostałem porwany i wywieziony, że byłem w niemożności otrzymać od rodziców twoich pozwolenie pisania do ciebie, a gdybym nawet to otrzymał, nie mógłbym z takiego pozwolenia korzystać. Na całém Zaporożu jeden tylko pisarz wojskowy pisze za wszystkich; koszowy, jako władca samowładny, pozwala sobie kiedy niekiedy w kałamarzu umoczyć pióro, i to ostrożnie, aby się o tém nikt nie dowiedział, — a inny Zaporożec, chociażby i przyjął przyzwoite wychowanie, nigdy się nie przyzna że umie pisać, aby nie pójść w pogardę u towarzyszów broni. Bo na całém Zaporożu jest przekonanie rozpowszechnione, że pióro i szabla nie mogą być z sobą w zgodzie, i że kto się bawi pisaniem, musi być koniecznie tchórzem. Ta myśl, że nie wiesz co się ze mną dzieje, była na wygnaniu największém dla mnie udręczeniem.

— I owszem, o każdym szczególe ciebie dotyczącym, uwiadamiała mnie moja kochana matka. Cieszyłam się sławą, którą zyskiwałeś między swojemi towarzyszami broni; drżałam nad niebezpieczeństwy, które cię otaczały; krzepiłam w sobie nadzieję, że doczekam się twojego powrotu. Od kilku tygodni mam z tobą wspólną matkę, a z nią o niczém nie mówię tylko o tobie. a mam tu i moich rodziców, którzy tu w tym pałacu mieszkają. Pani Krajewska jest wielką panią, a my chudopachołki, a jednak mogę powiedzieć, że składamy jednę rodzinę. Teraz widzę cię, odtąd z nami mieszkać będziesz, — cóż może nie dostawać do mojego szczęścia? A jednak i do tego szczęścia przymięszała się jakaś trwoga, któréj przezwyciężyć nie umiem.

— Jaka?

— Nasza dobrodziéjka często mi powtarza, że wkrótce zostaniesz wielkim panem; że będziesz się nazywał Kierdejem, że będziesz posiadaczem połowy dostatków rodu książąt Sołomereckich, a spadkobiercą całkowitego majątku pani Krajewskiéj. Jeżeli to jest potrzebne dla twojego szczęścia, nie mogę się nie cieszyć; ale przyznam ci się, że ten rodzaj szczęścia oparty na wielkościach, na bogactwach, bynajmniéj nie jest odpowiedni ani mojemu przyrodzeniu, ani wychowaniu jakie mi dali rodzice. Ja jestem ubogą dziewczyną, nizkiego rodu, ty będziesz w swojactwie z całą polską magnacyą. Twój związek zemną będzie uważany jako poniżenie twojego położenia towarzyskiego; między nami zawsze będzie jakaś nierówność, która ciebie samego nakoniec udręczy. Nasza miłość, nasza wzajemna ufność na tém ucierpią; zawsze będę niespokojną, bo pomimowolnie w obawie, żebyś

kiedy nie pożałował, iż wziąłeś żonę nieodpowiednią twojemu stanowi.

— Ach! moja droga — odrzekł Jakób, porwawszy ją za rękę z uniesieniem — czy podobna myśl mogła powstać w tobie? Czyż już masz tak mało szacunku dla mnie, żebyś aż podejrzywała, iż mogę kiedyś żałować, że wziąłem za towarzyszkę żywota moją siostrę, moją przyjaciółkę, dla któréj jedynie moje serce biło, która jest najdostojniejszą połową mojego jestestwa? Do jakiegobądź powołania jestem przeznaczony, dla mnie nie ma innego środka, tylko być twoim małżonkiem, dzielić z tobą złą czy pomyślną dolę, albo wrócić na Zaporoże i szukać tam końca żywota, a z nim i końca moich cierpień. Wierz mi, Heleno, że żadnego nie upatruję szczęścia w tym blasku, którym mnie usiłuje otoczyć wola innych, a któréj ślepo ulegać muszę. Jeżeli te świetności mogą miéć dla mnie jakiś powab, to jedynie ten, że postawią mnie w możności posiadać ciebie; byt mój zależy od pomyślnego rozwiązania sprawy, którą się brzydzę; jeżeli ją przegram, twojéj ręki trzeba będzie się wyrzec.

— Nie rozumiem cię, Jakóbie.

— Posłuchaj mnie, Heleno! Żeby przeznaczenie moje kartowało się wedle woli mojéj, bądź pewną, iż nieporuszyłbym popiołów mojéj matki sprawą, która zawsze niesławę przyniesie jéj pamięci. Majątek jaki posiadam, jest aż nadto dostatecznym dla naszych potrzeb. Marzeniem mojego życia było zawsze ożenić się z tobą, nabyć wioseczkę, czy w Litwie czy na Polesiu, uszczęśliwiać z tobą naszych poddanych i służyć szlachcie, zwłaszcza ubogiéj, mojemi radami w prawnych i sprawiedliwych interesach. Mojéj doli z żadną inną natenczasbym nie zamienił; ale pan Kierdej i tego skromnego szczęścia mi nie pozwala, nastawał na moje życie, teraz usiłuje go shańbić, obrócić w poddanego, odjąć mi byt cywilny. I postawił mnie w takiém położeniu, że jeżeli go nie zmuszę uznać mnie za syna, żaden ksiądz nie odważy się połączyć z tobą człowieka bez metryki, wyrzutka społeczeństwa. Będę zmuszony skryć się przed tobą, przed wszystkiemi, z któremi jakikolwiek miałem stosunek, uciekać w jakąś oddaloną stronę, by tam zapomniéć o ojczyźnie, o wszystkiém co mogło być dla mego serca drogiém, czyli szukać śmierci, — bo żyjąc, jakżebym o tém zapomniał?

— Mylisz się, mój drogi! Jeżeli ci się nie powiedzie, chociażby ciebie wszyscy odstąpili, twoja Helena zawsze tobie pozostanie. I to ci mówię zgodnie z wolą moich rodziców. Nasza dobrodziéjka, choćby ci i najgorzéj pójść miało, zawsze będzie dość mocną, żeby cię wywieźć tam, gdzie już nikt prześladować cię nie zdoła, a dokądkolwiekbyś się przeniósł, i moi rodzice i ja przybędziemy do ciebie, żeby się z tobą nigdy nie rozstać.

— O najdroższa, moja Heleno! — rzekł Jakób, uk nią

i trzymając jéj rękę w swoich dłoniach. — Poznaję twoją szlachetną duszę, czuję się najszczęśliwszym z ludzi. Odtąd oczekiwać będę z obojętnością, co Bóg mi przeznaczy; niech ludzie o mnie stanowią jak się im podoba, kiedy jestem pewny ciebie, pewny, że żadna potęga nas nie rozdzieli, czegóż mi więcéj potrzeba? Już jestem zupełnie szczęśliwy!

Wtém weszła pani Krajewska, a widząc Jakóba u nóg Helenki, rzekła:

— Co tak, to ale, Kubusiu! Czasu nie tracisz. Na chwil kilka wyszłam, a już cię znajduję u nóg twojéj narzeczonéj; wstań jednakże, bo jeszcze nam ubrać się trzeba; już pora obiadowa przeszła, czekam z obiadem na ciebie i twojego towarzysza, którego dopiéro poznałam, bo już on gospodaruje z twojemi rzeczami w mieszkaniu, które dla was przeznaczyłam w prawém skrzydle mojego domu. Tam będziesz stał obok państwa Niekrasów. Idźże do nich, łaknących widzenia się z tobą, a jak ci znać dadzą, że obiad gotowy, przybywaj z twoim wiernym Achatesem. Jeżeli obiad będzie przestałym, w tém wina twoja.

Jakób powstał nieco zmięszany, ucałował rękę Helenki, potém pani Krajewskiéj, która mu położyła pocałunek na czole, i rzekł:

— Pójdę powitać rodziców Helenki; oni już byli mojemi wprzódy, niż wiek mój pozwalał myśléć o ich córce. U nich czekać będę na rozkaz cioci. — I śpiesznie wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ XXXI.

Takie było pierwsze spotkanie Jakóba z Warszawą. Przyjął je za wróżbę dalszych powodzeń. Zwracał czasem z tęsknotą myśl ku swojemu dobremu a prawdziwemu ojcu; niekiedy wyrzucał sobie, że idąc za jego wolą, usiłował zastąpić związki natury przez związki umówione prawami towarzyskiemi, gdy dobijał się o synowstwo tego, który w nim nie mógł wzniecić uczuć ani przywiązania, ani szacunku, a nie bez słuszności odpierał jako napaść te usilności. Nakoniec z trwogą widział zbliżającą się chwilę, w któréj będzie wystawiony na widowisko publiczności, w sprawie z natury swojéj gorszącéj, rażącéj obyczajowość ówczesną, a w ciągu któréj strona jemu przeciwna w każdym względzie zdoła mu dać wypić aż do dna kielich goryczy i poniżenia; będąc albowiem sam doświadczonym w szermach prawniczych, wiedział dobrze, że sprawy podobnego rodzaju są jedyném polem dla jurystów złośliwych do rozlania żółci zaprawionéj dowcipem na nieszczęsnego, który im w ręce wpadnie, żeby jego kosztem zabawić

publiczność, zawsze pochopną do słuchania przycinków, przymówek, szyderstw, skoro te nie są przeciwko niéj saméj obrócone. Gotował się do położenia tém draźliwszego, że stawiąc się jako syn, błagający ojca żeby się go nie zapierał, a wrócił mu należny afekt rodzicielski, niewolno mu będzie odpierać pocisku pociskiem, a tylko z cierpliwością i z kornóm sercem przyjmować rzeczywiste obelgi, jako od irrytowanego ojca, który jakkolwiek zaślepiony i zapamiętały, nie traci prawa do uszanowania i jakiéjś uległości syna.

Wszystko to miotało duszę Jakóba, ale z drugiéj strony znalazł w pani Krajewskiéj matkę tak czułą, tak wylaną, tak zapobiegliwą o jego dobro, tak zręczną w pozyskiwaniu mu przyjaciół i protektorów, niemniéj w wystawianiu go w pomyślném świetle przed publicznością, że natura lepszéjby mu dać nie mogła; on téż, mieszkając ze swoim Bartkiem w jéj domu, ciągle z nią obcując, po kilku tygodniach pobytu tak się do niéj przywiązał, że wolę własną złożył u jéj stóp, by zostać bez najmniejszego oporu jéj ślepém narzędziem.

Wszystkie czyny, wszystkie myśli pani Krajewskiéj zdawały się byćześrodkowane w Jakóbie. Namiętna w miłości, namiętna w nienawiści, namiętna w przyjaźni, została równie namiętną w przywiązaniu do przybranego syna; ale że do nadzwyczajnego rozumu, łączyła głęboką znajomość ludzi, doświadczeniem nabytą, ta namiętność nigdy nie zdołała jéj doprowadzić do jakiegobądź fałszywego kroku; tyle tylko, że wzniecała w niéj potęgę woli i siłę, którym nic się oprzéć nie mogło. Nieoględna ani na narażenie się na żadną nieprzyjemność, ani na wydatki, ani na pomawianie o natrętność, ani na żadną uboczną okoliczność, którąby ją oderwała od celu raz przez siebie założonego, z rozwagą męzką, z przebiegłością niewieścią do tego celu dążyła. Taka potęga woli, taka niezmordowaność w działaniu, zdołałyby może państwo wywrócić, a cóż dopiéro pokonać magnata, wprawdzie możnego, gotowego wszystko, aż do sumienia poświęcić, byle postawić na swojém; posiadającego ogromne skarby, co już przynęca stronników, a do tego obdarzonego niepospolitym rozumem (*), i posiadającego licznych wprawdzie popleczników opłaconych, ale który już był zaleźał pole długiém mieszkaniem na wsi, tak dalece, że był tak dobrze jak zapomniany u dworu i stolicy, gdzie trzeba mu było odnawiać dawne stosunki przeciwko siostrze, która zostawała w ich pełném posiadaniu.

(*) Potęga złota jest tak wielką, że ten co je posiada, nie potrzebuje go nawet użyć dla pozyskania stronników. Niech tylko gruchnie po świecie, że u tego pana są pieniądze, już będzie miał roje nadskakujących mu dworaków. Temu przypisać należy, że każdy chce uchodzić za bogatego, i że między ludźmi ugęszczającemi salony, mało się znajdzie takich, coby nie woleli przyznać się do wy*stępku,* niż do ubóstwa.

Pani Krajewska, jak się powiedziało, urządziła była swój dom na wielką skalę, a od czasu przybycia Jakóba podwoiła w nim zabawy. Co czwartek dawała bal. przynajmniéj dwa razy na tydzień wielki obiad, oprócz tego, że wieczorem nie wychodziła, lecz u siebie przyjmowała gości, tak że co wieczór u niéj zbierało się towarzystwo, które znajdywało w jéj domu przyjemności wszelkiego rodzaju, jako: koncerta, dowcipne gry towarzyskie, wieczerzę obfitą, a prócz tego, jako się powiedziało, co czwartek był bal, tém tylko różniący się od codziennych wieczorów, że zamiast koncertu i gier były tańce, które się przedłużały aż do trzeciéj po północy. Wszystkie te zabawy gospodyni zaprawiała swoją uprzejmą grzecznością, tak dalece, że w Warszawie, gdzie wyższe towarzystwo było od innych odcechowane, i z niemi nie miało stosunków, najwięcéj mówiono o domu pani Krajewskiéj, a każdy mu przyznawał wyższość nad innemi. O młodzieńcu, który bawił w Warszawie, mówiono: on bywa lub nie bywa u pani Krajewskiéj. I to znaczyło: on jest przyzwoity, gładki, lub téż nie stworzony do dobrego towarzystwa.

Na tych wieczorach pani Krajewska niczego nie zaniedbywała, żeby dobrze wystawić Jakóba i robić mu przyjaciół, a że on powodował się jéj radami, — tam bywał, gdzie mu bywać kazała, — unikał tych, dla których nie miała szacunku, — a był grzeczny, przed nikim prymu brać nie usiłujący, dobrze tłómaczył się nawet po francuzku, lubo w tym języku zachowywał akcent polski; przytém przystojny, zgrabny, mistrz w kozaku, mazurku i krakowiaku, jeździec zawołany i mający piękne konie. wkrótce pozyskał wziętość u publiczności. Nawet ustępy awanturnicze jego żywota, ten jego pobyt na Zaporożu, sława którą w tém kozactwie był pozyskał, jego atamaństwo, to wszystko przydawało mu blasku w narodzie, nad wszelkie cnoty i przymioty ceniącym osobistą odwagę. Porównywano go do tego protoplasty wielkiego domu Wielopolskich, który od zaprzania się braci przybrał był nazwisko Zaprzańca. Nie szczędzono wyrzutów łowczemu wielkiemu Litewskiemu, że zapiera się krwi swojéj, płynącéj w żyłach młodego bohatera, przez ślepe przywiązanie do starszego syna, żeby go kosztem i widoczną krzywdą młodszego wzbogacić. Damy zwłaszcza powstawały na tego niegodziwego ojca, który w zaślepieniu swojém odrzekał się tego, któryby taką świetność przydał jego domowi. Nawet ten napad Jakóba na orszak prowadzący Kulbidę na rusztowanie, wystawiano jako czyn bohaterski. Zgoła, szczęśliwy Jakób zniewolił ku sobie opinią publiczną, i pozyskał dla siebie współczucie powszechne.

Ale czém najwięcéj wszystkich zadziwiał, to stateczném przywiązaniem do swojéj Helenki, które go robiło nieczułym na wdzięki tylu dam usiłujących zniewolić jego serce. Najpowabniejsze piękności

stolicy niczego nie zaniedbywały. żeby wzniecić ku sobie zapał w jego sercu; on był dla wszystkich grzecznym, umiał je bawić, zajmować, ale zdawał się nie rozumiéć czego one żądają od niego, gdyż między niemi żadnéj różnicy nie robił. Oprócz pani Krajewskiéj i rodziców Helenki, nikt się nie domyślał nawet, że już jego serce nie było wolne, bo niczém nie zdradzał przed obcemi swoich uczuć. W towarzystwie okazywał jéj obojętną grzeczność, rzadko kiedy się przybliżał do niéj, i to nie na długo. Zdawał się z nią być w zwyczajnych stosunkach osób uczciwych, pod jednym dachem mieszkających.

Żadne podejrzenie z tego względu na niego paść nie mogło. Wiedziano, że pani Krajewska lubiła Helenkę, jéj saméj wdziękom umiano sprawiedliwość oddawać, ale Helenka w obliczu nawiedzających jéj dobrodziéjkę gości była w stanie uległości, córką ubogich rodziców, którzy cokolwiek się podnieśli służebnictwem w jéj domu, była w rzędzie jéj sług, poufnych, ale zawsze sług. Jakże można było przypuścić, żeby Jakób, młodzieniec możnego plemienia, gdyż o wygraniu przez niego sprawy już nikt nie wątpił, mógł o niéj pomyśléć? lub żeby jego ciotka, pani szerokich dostatków, trzymała przy sobie córkę sługi, bez posagu, bez związków krwi, któraby się poważyła oczy podnieść na jéj przybranego syna, na jedynego spadkobiercę jéj majątku? To było tak niepodobne, że ani chwili nad tém niczyja myśl się nie zastanowiła. Czemu innemu oziębłość jego dla płci pięknéj przypisywano. Piękności salonów warszawskich przekonane były, że skromna niewinność Jakóba przegradzała go od wszelkich poufalszych stosunków z niemi, a to mówiąc, niejedna dodawała z westchnieniem:

— Jakób od pierwszéj młodości wprawiony to do pracy umysłowéj, to do znojów rycerskich, jeszcze kochać nie umie, ani czuje potrzeby kochania. Niech tylko dłużéj posiedzi z nami, a lody jego serca powoli stopnieją. Szczęśliwa, która pierwsza to serce rozżarzy, bo jak się zakocha, ta miłość postanowi o całém jego przeznaczeniu.

I w rzeczy saméj nie myliły się, tylko nie wiedziały, że już był oddał to serce istocie, z którą żadna z nich porównania wytrzymać nie mogła.

Płynęły Jakóbowi dnie swobodne, dnie błogie, gdyż nawet jego sprawa rzadko kiedy jego uwagę zwracała ku sobie. Co do jéj chodu mógł się spuścić na rozum i przebiegłość swojéj dobrodziéjki, a mając tylu przyjaciół za sobą, obelgi strony przeciwnéj słaboby go zranić mogły, tém więcéj, że w naszym narodzie zawsze prepotencya mocnego nad słabszym publiczność oburzała. Zresztą widział Helenę, rozmawiał z nią, jakby z sobą samym, był pewny jéj serca, zaś Helena mu ciągle powtarzała, często w przytomności swoich rodziców, a więc za ich zezwoleniem, że jakikolwiek losby go spotkał, ona go podzielać będzie. Nawet pani Krajewska często w swojém kole dawała się z tém

słyszéć, że sprawa Jakóba jest tak sprawiedliwa, iż wątpić nie może o jéj pomyślném dla niego rozwiązaniu; wszakże gdyby zabiegi pana Kierdeja zdołały wyjednać niesprawiedliwy wyrok, ona wyniesie się do Saksonii ze swoim siostrzanem i ze swoim majątkiem, i bez powrotu opuści ojczyznę. Czegóż więcéj Jakóbowi potrzeba było?

Przybył nakoniec pan rejent do Warszawy, więcéj niż kiedykolwiek rozjątrzony przeciw panu łowczemu, i z wszelką gotowością do bronienia Jakóba w nuncyaturze. Przyjeżdżał wprost ze Lwowa, gdzie agitował się trybunał koronny.

Gdy wprowadzoną została sprawa apelacyjna pana łowczego o skasowanie dekretu ziemstwa żytomierskiego, przysądzającego Jakóbowi połowę spadku po matce, wniesienie pana Nietykszy, który stawał jako umocowany pana łowczego, było istnym paszkwilem, wymierzonym nie tylko przeciwko Jakóbowi i pani Krajewskiéj, ale nawet panu Pawłowi Bołsunowskiemu, lubo ten wprost nie brał udziału w tym interesie, przez wzgląd na swoje dawne stosunki z panem łowczym, a tylko ubocznie pomagał Jakóbowi. Przymówki pana Nietykszy były tak cierpkie, tak uszczypliwe, w tak ohydnym dniu go wystawujące, że pan Paweł już wyszedł sam z granic cierpliwości, i z przerywczym aktoratem przymówił się w obronie swojéj, tém zjadliwiéj, że pan łowczy był przytomny téj sessyi. I on i jego umocowany przechodzili, jakby przez rózgi, przez pociski ostrego języka. Nigdy pan Paweł nie pokazał się równie wymownym, i podobnego wrażenia nie sprawił w publiczności. W aktoracie na pozór nie mającym stosunku z głównym interesem, w jéj opinii pobił na głowę pana łowczego i jego umocowanego, że nawet w sędziach umiał wzbudzić przedwczesne współczucie dla Jakóba. Odtąd miał ręce rozwiązane i wstępnym bojem szedł przeciw dawnemu swojemu pryncypałowi. Pan Rafał Świeżawski, jako umocowany Jakóba, bronił urzędownie jego sprawy przed trybunałem; wedle swojego zwyczaju bronił jéj zręcznie i uczenie, ale z największém umiarkowaniem względem osoby przeciwnika. Na wszystkie obelgi rzucane na swego mocodawcę, składał się uszanowaniem syna dla ojca niesprawiedliwego, które mu nakazuje skryć żałość w tajnikach serca, a z pokorą przyjąć te obelgi na niego miotane, tusząc, że tu pokora posłuży do ubłagania zagniewanego ojca, i do zwrócenia go do uczuć natury, których bezkarnie zgwałcić nie można.

Ale za to pan rejent nie przestawał drażnić pana łowczego: po każdym indukcie, po każdéj replice, występował ze swojém przymówieniem. Nie było broni, któréjby nie użył przeciwko niemu. Wyszydził jego żywot, jego mniemane zasługi w kraju, jego skąpstwo, chciwość, jego pychę, a dobił go temi słowy:

— W naszym narodzie nie można być potężnym, tylko o ile umiało

się pozyskać przyjaciół i stronników; a ci przywilejami i urzędami przodków się nie nabywają, lecz tylko okazaniem im równego poświęcenia dla nich, jakiego się od nich wymaga. Nie inna jest podstawa arystokracyi polskiéj, zawsze od nas szlachty szanowanéj, bo zasługuje na nasze uszanowanie. Ale pan łowczy Litewski jakiémżeby prawem do niéj należał? dlaczego nami pomiata? i z jakiego powodu szlachcic, choć ubogi, dobrowolnie odstąpiłby od praw równości jemu ustawami naszemi i przysięgą królów zabezpieczonych, na korzyść samoluba z zimném sercem, z dłonią ściśnioną, który w ciągu więcéj niż dwudziesto-letniego pobytu w naszéj prowincyi, ani jednego człowieka nie uszczęśliwił? To téż w swojéj prowincyi najmniejszéj cząstki nie zachował tego znaczenia, jakiém się cieszyli jego ojcowie i jego przodkowie. Wszakże jest u nas w zwyczaju, że kiedy pan obszernych włości, a do tego dygnitarz, jedzie atentować sprawie w najjaśniejszym trybunale, mnóstwo współobywatelów wraz z nim przybywa, dla okazania mu przed publicznością niekłamanéj życzliwości; a czy jest aby jeden posessyonat bene natus, aby jeden szlachcic niepodległy, któryby z jego prowincyi przybył, żeby za nim przemówił? Całkowita partya tego dumnego magnata składa się z pana Nietykszy; tego przy nim utrzymuje nadzieja nagrody, która nieomylnie go zawiedzie. Unus nullus, znamy to najemne przywiązanie; a zresztą cały nasz powiat możecie przetrząść, i pewnie ani jednego dobrego słowa o nim nie wytrząśniecie.

Cała publiczność z widoczném zadowoleniem tym słowom potakiwała. Pan Kierdej blady, z trzęsącemi się usty ze złości, im się przysłuchiwał.

Wszystkie zabiegi jego, aby uchylić dekret sądu ziemskiego, były nadaremne. Trybunał go potwierdził, tyle tylko, że zawiesił jego egzekucyę aż do ogłoszenia wyroku nuncyatury. Dekret wielce sprawiedliwy, a który zmartwił strasznie pana łowczego, bo jeżeli go do czasu zostawiał przy posiadaniu majątku jego nieboszczki żony, z drugiéj strony, na wypadek niepomyślnego dla siebie wyroku nuncyatury, żadną dalszą przewłoką już nie mógł oddalać chwili, w któréj miał być wyzutym z tego posiadania. Wyjechał do Warszawy zaraz po ogłoszeniu dekretu trybunalskiego. Wyjechał i pan Paweł Bołsunowski: — pierwszy, upokorzony podwójnym szwankiem, jaki go spotkał i w ziemstwie i trybunale, i zawiedziony w téj zasadzie, na któréj wszystkie swoje nadzieje opierał: że w Polsce nic się oprzéć nie może takiemu, co może bez liku szafować pieniędzmi; drugi z pogodą wodza, który w dwóch bitwach poraziwszy nieprzyjaciela, nie wątpi, że jeszcze świetniejszemi zwycięztwy uwieńczy koniec wyprawy.

Obadwaj omal że nie jednocześnie przybyli do kresu podróży. Pan łowczy z synem Augustem i ze swoim dworem, już znaczni

powiększonym, zajął swój pałac, a pan Paweł Bołsunowski zajechał do pałacu pani Krajewskiéj, która go z niecierpliwością oczekiwała. Po czułém ale krótkiém powitaniu, stary prawnik wziął się do sprawozdania interesu; nawzajem pani Krajewska objaśniła go o nadziejach, jakie miała w nuncyaturze, i o wszelkich krokach szczęśliwie przez nią robionych, by do pomyślnego końca doprowadzić ich przedsięwzięcie. Ta rozmowa wielce ich zadowoliła, a na tém się skończyła, że pan Paweł, który czasu nie lubił marnować, upominał się, by najrychléj sprowadziła swoich prawnych doradców Warszawskich, gdyż musi z niemi miéć konferencyę, ażeby odtąd działać z niemi wspólnie.

Pan rejent był w swoim żywiole. Prowadzenie sprawy ważnéj, rodzaju rzadko wydarzającego się w Polsce, stanowiącéj poniekąd dla niego zawód nowy, było mu rajem. Wyuczył się prawa kanonicznego na pamięć, a jako jeszcze przed kilku miesiącami w potocznéj nawet rozmowie ciągle przytaczał na poparcie zdań najobojętniejszych, to statut Litewski, to konstytucye Koronne, tak teraz ciągle miał na ustach wyjątki prawa kanonicznego, nadając im formę bądź aksyomatów, bądź przysłowiów. I po ciosie jaki go świeżo dotknął, było to dla niego rzeczywistém szczęściem, bo odwracało myśl jego od najboleśniejszéj dla jego serca straty.

Przed kilkunastu tygodniami, właśnie kiedy się wybierał do Lwowa w interesie Jakóba, o którym już czytelnika uwiadomiłem, pan podczaszy Bołsunowski, oddawna chory, w jego przytomności, bo z nim rozmawiając, padł uderzeniem apoplektyczném i skonał nagle, jeżeli można nagłą śmiercią nazywać zgon człowieka, który co tydzień się spowiadał i zawsze był w pogotowiu stanąć na zawołanie swego Stwórcy. Jeszcze rokiem przed śmiercią, rejent był napisał mu testament, w którym robił brata legataryuszem swoim, a razem egzekutorem ostatniéj woli swojéj. Cały majątek, wynoszący przeszło dwa kroć, jemu przekazywał. Żadnych pobożnych legatów w tym testamencie nie było, bo za życia jeszcze znaczne kwoty porozdawał na klasztory i ubogich, toż samo i sługom swoim, a tylko sześćdziesiąt tysięcy od pozostałego po nim majątku wyłączył dla Jakóba, — w ten sposób, że ponieważ jego sprawa z panem Kierdejem nie była jeszcze rozstrzygniętą, zapisywał tę summę pani Krajewskiéj, a do niéj saméj zostawił list własnoręczny, w którym jéj oświadczał, że ta kwota ma być wręczona Jakóbowi, którego nazwiska dla przyczyn jéj wiadomych wymienić nie mógł w testamencie.

Pan rejent na wskróś przeszyty został tym pociskiem, on co tak był przywiązany do brata. Podczaszego pogrzeb dotąd pamiętny w Żytomierzu, gdyż rejent niczego nie żałował, aby okazać przepychem cześć, jaką w sercu nosił dla brata, a którym sam się zajął,

poczytując za przewinienie użycie obcéj pomocy, choćby do najdrobniejszych szczegółów tego obrzędu. W téj czynności znalazł jakąś ulgę dla zbolałego serca.

Po skończonym pogrzebie, na stypie tak z żalu uraczył się serdecznie, że czego nigdy nie bywało, nieprzytomnego sobie przywieziono do dworku. Nazajutrz przez cały dzień ust nie otworzył; ani jadł, ani pił, ani posłuchania nie dał nikomu. Ale sprawa Jakóba górę wzięła nad jego zgryzotą; już się zaczął wybierać do dalszéj podróży, bo z tém się oświadczył, że wedle wszelkiego podobieństwa ze Lwowa uda się do Warszawy. Wszystkie i swoje własne i jemu powierzone interesa zdał na pana Sylwestra Bębnowskiego, niegdyś swego dependenta, a teraz przysięgłego i wziętego jurystę. A tak załatwiwszy się z panem Rafałem Świeżawskim, wyruszył do Lwowa, na spotkanie się z panem łowczym Litewskim przed trybunałem.

Z tego wszystkiego opowiedział się pani Krajewskiéj, i wręczył jéj list od zmarłego brata, oraz summę w złocie, jaką znalazł w szkatułce braterskiéj z napisem dla Jakóba. Wziął tylko od niéj rewersik na świstku, a raczéj cedułkę z wyrażeniem, że go kwituje z summy jéj zapisanéj przez W. Bołsunowskiego, podczaszego Wendeńskiego, oraz upraszał ją, aby przygotowała Jakóba do tak smutnéj dla niego nowiny, bo i jéj wiadome jego przywiązanie do tego drogiego opiekuna; a salwował sesyą temi słowy:

— Pozwól mi pani pójść do izby, którą mi z łaski swojéj przeznaczyłaś; tam przez chwil kilka się roztarasuję, a potém pobawię się jeszcze prawem kanoniczném, żeby przygotować się do konferencyi, któréj z niecierpliwością oczekuję.

ROZDZIAŁ XXXII.

Śmierć podczaszego niemałym była ciosem dla Jakóba. Ciągle stawała przed jego myślą dobroć tego starca, któremu tyle był winien, a którego wzwyczaił się uważać jako ojca; te rozliczne dowody jego przywiązania, nawet ta pamięć o nim w jego ostatniéj woli wyrażona. Pogrążony w smutku, przez kilka dni nie pokazywał się na pokojach ciotki, a tylko wychodził ze swojéj izby do mieszkających obok państwa Niekrasów, aby z niemi pospołu płakać i rozmawiać o ukochanym wuju; a udział, jaki brała Helenka w jego smutku, robił go znośniejszym, nawet przydawał mu jakąś przyprawę rozkoszy, którą współczucie ukochanéj osoby zawsze przynosi dla tkliwéj i szlachetnéj duszy.

Jakób namiętnie lubił muzykę. Helenka obdarzona była z przyrodzenia nadzwyczajną zdolnością, która dała się rozwinąć nawet w małém miasteczku prowincyonalném, gdyż zdolność prawdziwa a niekłamana, pobudzająca silną wolę, zawsze i wszędzie da się wykształcić. Wielce się mylą ci, co myślą, że tylko doskonale urządzone szkoły oświecić mogą naród, który do tego przyrodzeniem swojém nie jest usposobiony, i pobudzić w nim zdolności jeszcze nie istniejące. Doskonałość zakładów naukowych jest skutkiem oświecenia narodowego, ale pod żadnym względem nie może być jego przyczyną (*). Helena celowała w kunszcie muzycznym, lubo oprócz natury i organisty katedralnego żytomierskiego kościoła, innych nauczycieli nie miała.

Pan rejent obojętnił swój smutek niezmordowaném zajęciem się sprawą Jakóba. Jakób téj pociechy nie miał. Owszem, gdyby bezwzględnie był panem swojéj woli, odrzekłby się od wszystkiego, nie kłóciłby pana łowczego, nie opierałby się jego pysze i łakomstwu, ale zabrałby w cudze kraje z sobą Helenkę i jéj rodziców, ożeniłby się z nią, i w łonie téj rodziny, na ograniczonym ale wystarczającym na ich potrzeby majątku, czekałby starości z pogodném sercem. Tego żądania do skutku nie mógł doprowadzić, ale przynajmniéj we własnym interesie, który tak gorliwie zajmował rejenta i panią Krajew-

---

(*) Nauka szkolna według nas jest co najwięcéj nauką nauczania się i nic więcéj. Wielu to było uczniów celujących w szkołach, którzy potém na świecie nawet do mierności podnieść się nie mogli, a znowu nieuków, którzy na świecie okryli się sławą. U nas i mówią i piszą ciągle od pół wieku o Alwarze, jako o największém głupstwie, a w mowie i pod piórem naszych uczonych Alwar nic innego nie wyraża, tylko metodę naukową jezuitów; bo co się tyczy samego Alwara, pokazałoby się, że żaden z powstających przeciwko niemu nigdy go w ręku nie miał, że wielceby każdego z nich zmięszał taki, któryby go zapytał, jaki jest format Alwara? Jakaż była metoda naukowa szkół jezuickich? Oto oparcie ogólnéj instrukcyi na głębokiém pojęciu języka i literatury łacińskiéj, a że Alwar pod tym względem był wielce pożyteczny, na to nie trzeba innego dowodu, jak ten, że odkąd został wywołanym, z nim razem łacina w Polsce upadła; tak dalece, że między nami taki, co choć miernie posiada język łaciński, stał się już rzadkością. Co do saméj téj metody, nie myślę rozbierać jéj zalety lub wady, niemniéj reformy téj metody; wyznaję że toby było może nad moję zdolność. Pozwolę sobie tylko uczynić jednę uwagę. Aż do drugiéj połowy ostatniego stulecia. stara metoda naukowa, którą u nas nazywają jezuicką, była przyjętą we wszystkich szkołach publicznych Europy katolickiéj, nawet dotrwała w protestanckiéj Anglii, bo tam ona żadnéj reformie nie uległa. Dlaczegóż ta jednostajna metoda w każdém państwie zupełnie inne miała miała wypadki? Wszakże przypisują szkołom wpływ w ukształceniu narodów; tożsamość założenia wywołaćby powinna tożsamość wypadków; dlaczegóż, lubo wszystkie te narody wedle wspólnych im prawideł przyjmowały wychowanie, tak dalece różniły się między sobą? I tak Anglia zawsze celowała w naukach dokładnych, Hiszpania w teologii, Włochy w kunszcie, Polska w prawie i wymowie, Francya w literaturze nadobnéj i w ogładzie obyczajów. Chciałbym, aby jaki uczony badacz raczył mi to wytłómaczyć.

ską, żadnego nie brał udziału, a nawet jak najmniéj o nim myślał. Ten go od smutku nie mógł odrywać. Innéj więc musiał szukać pociechy, i tę znalazł, całkowite godziny przepędzając przy klawikorcie Helenki, i napawając się melodyjnemi dźwiękami, które z niego najukochańsza wydobywała, jakby natchniona jego przytomnością. Jakób tonął w tych dźwiękach, w których dusza Helenki się wydobywała, i w słodkiém zadumaniu o niczém inném jak o niéj myśléć nie umiał; a nawet w tém milczeniu z nią rozmawiał, bo każdy akord przynosił mu jakiś objaw myśli kochanki, a smutek jego znikał powoli wśród tkliwszych jeszcze uczuć.

Tymczasem pan rejent zajmował i zadziwiał publiczność swojemi wniesieniami Cycerońską łaciną wyłuszczonemi, które odczytywał Jakóbowi codziennie, a ten ich słuchał z budującą cierpliwością. Nie tyle pocieszała rejenta sława, jaką zjednał sobie swojemi wymownemi replikami, ile gniew pana łowczego, którego złość poruszała się każdém pociągnieniem jego pióra. Co kroku jego duma obrażaną była; wylewał rozdraźnione uczucia groźbami i złorzeczeniami na pana rejenta, przed każdym który go nawiedzał. Razu jednego pani Krajewska kazała Bartłomiejowi Kałużyńskiemu wręczyć mu od niéj list, w którym go namawiała, aby zgodą uprzedził wyrok nuncyatury, który w każdym względzie jakąś plamę rzuci na jego dom. List, rozumie się, był napisany w najgrzeczniejszy sposób, zwyczajnie jak siostra do brata, lubo z nim w poróżnieniu zostająca.

Pan łowczy przyjął pismo, odpowiedział nań w przyzwoitych wyrazach, wszakże odrzucając wszelką propozycyę pojednawczą; ale wręczając odpowiedź listowną Bartkowi, nie omieszkał mu powiedziéć:

— Powiedz waść swojemu mecenasowi, że ja jemu nigdy nie zapomnę jego przeciw mojéj osobie zuchwałości. Choćbym miał cały majątek stracić i pójść z torbą, nauczę go, co to jest porwać się na mnie. Pokażę mu czém jestem, a kim jest nikczemny służalec, którego z gnoju wydobyłem, — ta gadzina, którą rozgrzałem. Nie umrę spokojny, aż go zgubię, i jego i tego intrusa, w którym tyle ufa; zanurzę ich w tym kale, zkąd się wyrodzili. Waść możesz to im oświadczyć odemnie.

Bartek na to odpowiedział:

— Jaśnie wielmożny panie! Mój mecenas, którego chleb jadłem, chociaż był ubogim, jest szlachcicem każdemu równym, jest urzędnikiem w całém naszém województwie poważanym, bo żadna plama na niego nie padła; jako dowodził swoją wdzięczność JW. panu, pokąd od niego krzywdy nie doświadczył, tak téż czuje się być w stanie odpłacić wzgardę wzgardą, i odeprzéć pociski tarczą swojéj dobréj sławy, a co się tyczy jego pryncypała, nie do mnie należy się odezwać w obronie syna przeciw ojcu.

Na te słowa tak pan łowczy się obruszył, że oniemiał; a Bartek korzystał z téj chwilowéj niemocy, żeby jak najśpieszniéj wyjść z jego pałacu.

Skoro powrócił Bartek do pałacu pani Krajewskiéj, zaraz po oddaniu jéj odpowiedzi brata, poszedł do pana rejenta, i jemu co do słowa opowiedział wszystkie szczegóły swego spotkania z panem łowczym. Ta relacya rozjaśniła oblicze starego jurysty.

— To pszeniczka — odrzekł z uśmiechem zadowolenia — widać że mu się łamią szyki, kiedy taki zły. Nie bój się! będzie on jeszcze więcéj się wściekał, takiego sadła mu zaleję; a co do obelg na mnie, at! ktoby na nie uważał? Czy to przez takie człowiek przechodził ciernie? Kto przegrał sprawę, lub jest blizkim jéj przegranéj, ten psy wiesza na tego, co w niéj przeciwko niemu stawał; byle mój pacyent mnie nie przeklinał, a cudzy jeszcze i owszem. Wszakże dziękuję ci, Bartku, żeś się ujął za swoim dawnym mecenasem, ale to niepotrzebnie; bo na cudzym dziedzińcu i wiory biją. Prawda, iż na wypadek krzywdy byłbym cię wykierował, że musiałby tobie taki basarunek zapłacić, że za niego mógłbyś wziąć w dzierżawę jednę i drugą wioskę, a wieżę swoją drogą odsiedziałby. Ale ty tego nie potrzebujesz, bo z łaski mojego Kubusia, alias JW. łowczyca Litewskiego, i bez tego miéć będziesz dość smaczny kęs chleba.

Rejent tak był uradowany, że przy obiedzie ciągle i panią Krajewską i jéj towarzystwo zajmował wizytą Bartłomieja u pana łowczego, ile za stołem nie było cudzego, a mówiąc o tém, wyglądał jakby jaki laureat.

— To darmo! Pan z panów nie może być wyrozumiałym na to, że ubogi szlachcic, syn i wnuk sług jego domu, i sam tak długi czas jego sługa, śmie mu się sprzeciwiać. Niech mu Bóg i za to wieku przydłuży. Jego życie bynajmniéj nie jest mi na zawadzie, chociaż onby rad mnie widział na haku. O! jakież u niego poczciwe serce, choć to z przeproszeniem pani, jest jéj bratem, a JW, łowczyca mojego łaskawcy ojcem; ale ten, lubo przez synowskie uszanowanie z tém się nie wymówi, jednak w duchu czuje, że jabłko wcale nie blizko jabłoni. I że tu przysłowie wielce się omyliło, sam przyznaj, panie Jakóbie. A wiecie państwo dobrodziéjstwo, że pan łowczy do nowego procesu mnie zmusza? Chwała Bogu nie jestem z takich, coby się pieniactwa bardzo bali. I owszem, czém więcéj spraw, tém więcéj zajęcia, a próżniactwem się brzydzę. Wystawcie sobie państwo, że dostałem list od Świeżawskiego, w którym mi donosi, że pan łowczy via facti kazał mi odebrać Jarkowicze, nie czekając św. Wojciecha, terminu wyrażonego w prawie dożywotniém danėm mojemu bratu, nie przez niego; — a kto tam kiedykolwiek coś od niego dostał? — ale przez świętéj pamięci JW. kasztelana Kijowskiego, jego

ojca. Moi ludzie bardzo rozumnie poradzili sobie; żaden gwałtowi się nie opierał, tyle tylko, że uciekli do Żytomierza, gdzie zanieśli przed grodem manifest o expulsyę. Mam go w kopii; ale jaki! pan Rafał go ułożył. Można się z niego i nauczyć i zabawić. Pan Rafał mojéj szkoły; popisał się, że aż mi serce rośnie. Remanenta, krescencyą, co tylko było w stertach, śpichrzu i stodole zabrali, nawet sprzętom domowym nie darowali; ani się spodziewał mój biedny brat tak wielkiego zaszczytu, jaki miał go spotkać po śmierci, że aż dygnitarz i orderowy pan postawi się jako spadkobierca tego, co krwawą pracą przysporzył sobie; ale niech JW. pan nie krzyczy hoc, póki nie przeskoczy. Coś tam leży w statucie Litewskim o ekspulsyach. Nabiczujemy na niego nawiązki, że mi cielę wyjdzie na wołu. Za pozwoleniem pani, podświnek na kubana, owies na żyto, a pszenica na imbir, jakoś to będzie; a jeżeli oprócz tego wywinie się od grzywien i wieży, to jakem Sodalis, pójdę do pana Nietykszy, jego mądrego doradcy, i powiem mu: — Przystaję do waszmości na dependenta; naucz mnie prawa, bo pokazuje się że go nie rozumiem, kiedy nie wiedziałem że ekspulsya, najazd, to niewinna igraszka pana ze szlachcicem, za którą powinien być owszem wdzięczny, że przecie o nim pamięta. Na następną kadencyę, pójdzie mój chudopacholski pozew po potężnym magnacie. On się wda, wiem o tém, i druga kadencya spełznie na niczém, aleć mniejsza z tém; na trzeciéj tak mu się dam we znaki, że całe życie będzie mnie pamiętał. Widzę, że mam łaskę u Pana Boga, kiedy mnie podobną sprawą obdarzył; to złoto w sztabie. Żeby mnie zgodnym sposobem dziś dawał sto tysięcy odczepnego, jakem katolik, wziąłbym to za dictum acerbum; a co to! miły grosz plewa, żeby go wyrzucić? Zobaczymy, niech-no się skończy w nuncyaturze, a pokażemy co umiemy w ziemstwie. Jak się wyłowią szczupaki, przyjdzie pora na płocie. Nemo sapiens nisi patiens.

W ciągu obiadu pan rejent sam tylko mówił; nikt mu nie przerywał. Jakób ciągle zajęty Helenką, obok któréj siedział, najmniejszéj uwagi nie przykładał do jego słów; tylko pani Krajewska go słuchała, śmiejąc się w duchu z tego jurystowskiego gniewu, który tak naiwnie się objawiał, ale razem ucieszona, że ta nowa krzywda jemu zadana była bodźcem dla niego w sprawie, która ją wyłącznie obchodziła, a któréj dawał kierunek. Wiedziała albowiem, że nasz rejent był z liczby tych, których zdolności wzrastają w mocném a nawet gwałtowném wzruszeniu. Gniew mu zawsze przynosił szczęśliwe natchnienia. Jakkolwiek zagrzany przywiązaniem swojém do Jakóba, miał jego sprawę za swoją własną chęć pomszczenia się nad panem łowczym, — odtąd mogła być pewną, że jego gorliwość już została podwojona.

I w saméj rzeczy, po skończonym obiedzie, lubo pani Krajewska,

jako uprzejma gospodyni, upraszała pana rejenta, aby nie opuszczał jéj towarzystwa i raczył z nią zabawić; on przy wielolicznych ukłonach z tego się wymówił, powtarzając:

— Pani, radbym obok niéj wiekować, ale w tak miłém obcowaniu nie tylko o sprawie, ale o duszném zbawieniubym zapomniał. Nie teraz dla mnie pora się bawić; trzeba mi myśléć o interesie pana łowczyca, i koło niego popracować. Muszę jeszcze odczytać wniesienia pana łowczego do nuncyatury, Nietykszowską łaciną popisane: choć to się tyle rzeczy czytało, że człowiek omal na pamięć się nie nauczył, ale djabeł nie śpi; czasem jedno słówko się prześlepi, to i źle. Pani się nie śmiéj. Jurysta z dokumentami, to jak kochanek z kochanką, którzy ciągle z sobą rozmawiają, a przecie nic innego nie mówią, tylko że się kochają i z tém im dobrze. Toż i jurysta czyta i czyta te same dokumenta, a zawsze coś nowego w nich upatrzy. Niechno pani się zapyta swojego godnego synowca, który tak się zna na tém, że czasem mógłby i mnie staremu poradzić; on jéj powié czy mam słuszność. Tylko że mu w głowie panna Helena więcéj niż jurysterya, niż własna sprawa; otóż to właśnie dlatego, że o sobie nie może myśléć, potrzeba aby my za niego myśleli. Wierz mi pani, że jeżeli przypominam sobie ten ucisk, jaki poniosłem świeżo od pana łowczego, ten rozbój, hanc violationem securitatis publicae (jeszcze zobaczymy, czyja będzie na wierzchu); jeżeli się rozgadam o mojéj osobistéj krzywdzie, to tylko nawiasem, kiedy biesiaduję za stołem, ale kiedy jestem w izbie, co ją mam tu z łaski pani, pfe, pfe! ani wiem o tém. Co się nie odnosi wprost do sprawy pana Jakóba, to już dla mnie śniegiem przeszłorocznym. Moja własna sprawa wisi na kołku; odczepię ja ją swojego czasu. Jak postawię na nogach moje dziecko, bo pan łowczyc się nie obrazi, że w ten sposób o nim mówię, dopiéro pokażę co umiem kiedy o własną skórę chodzi, nie wprzódy; dam panu łowczemu takie zalecanie, że przez całe życie będzie spazmować, ile razy obije się o jego uszy ten wyraz: ekspulsya.

To rzekłszy, najśpieszniéj opuścił salon pani Krajewskiéj.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Wiadomo czytelnikowi, że i pan łowczy przyjechał był do Warszawy, z synem swoim Augustem i z kilkoma jurystami z różnych stron sprowadzonemi, a między któremi pan Nietyksza rej wodził. Jeden, a może najgłówniejszy powód, jaki miał pan łowczy do oddania się w jego ręce, był ten, iż doskonale wiedział o nienawiści, którą miał do

pana rejenta, nienawiści, która z zawiści powstała, a wypiastowana była kilkodziesięcio-letnią emulacyą.

Pan Nietyksza był biegłym w prawnictwie, i niemało interesów przeszło przez jego ręce, ale zaślepiał się nad swoim rozumem, ile razy trzeba mu było działać w nieco zawiłym interesie. Zresztą nie do zbytku go obchodziło, czy jego pryncypał wygra lub przegra sprawę; w każdym względzie już miał za nią zabezpieczoną sobie nagrodę. Nawet przewidywał po pierwszych swoich krokach w nuncyaturze, że sprawa nie skończy się pomyślnie dla pana łowczego, bo mógł zauważyć, że w opinii publicznéj już był na głowę przegrał. Jednak bezprzestannie nowe projekta podawał swojemu pryncypałowi na codziennych konferencyach; wzniecał w nim najpiękniejsze nadzieje, poruszał w nim wszelkie sprężyny pychy i zawziętości, i tak dalece umiał go zaślepiać, że największy w Polsce skąpiec pozwalał mu czerpać ze swojéj kassy kwoty, któremi pan Nietyksza niby przekupywał sędziów, a które zamykał w swoim kuferku, a potém na procenta je oddawał panom z Rusi przybyłym, ewikcyi najbezpieczniejszéj, ale którzy oddaleni od dóbr swoich, przy nierządzie rodzinnym ciągle potrzebowali kredytu (*).

Nie ma człowieka tak dalece zepsutego, aby w nim jakaś fibra moralna nie zachowała żywota. Zdarzało mi się spotykać ludzi podłych, którzy dla nikczemnego zysku byli gotowi wszystko poświęcić, — którzy, jeżeli nie zostali istotnemi zbrodniarzami, to jedynie przez brak odwagi, a jednak i tacy zdradzają jakieś uczucie moralne. Widziałem ich przywiązanych do żon i dzieci, nawet do jakiegoś szlachetnego wyobrażenia, i gotowych podnieść się dla nich aż do ducha ofiary. To przynosi zaszczyt przyrodzeniu ludzkiemu, że każdy człowiek zachowuje szczątek jakiś swojego Boskiego pochodzenia, i powinno pogodzić mędrca z ludzkością; bo kto jeszcze umié kochać, o takim rozpaczać nie trzeba.

Z takich-to ludzi był i pan łowczy. Skąpy, chciwy, mściwy, zawzięty, jedném słowem samolub zatwardziały, którego złe namiętności w ciągłéj były z sobą walce, częstokroć obojętniły siebie wzajemnie, i tak w chwilach kiedy pycha brała górę nad skąpstwem, sypał pie-

(*) Rządność i skąpstwo nie mają z sobą nic wspólnego. Pierwsza dowodzi pewnego hartu umysłu, drugie słabości duszy. Czy mało jest przykładów ludzi brudno skąpych, w których ręku znaczne majątki nie wiedzieć jak znikły, tak dalece, że nie było za co ich pochować? a jeszcze więcéj ludzi, którzy niczego sobie nie odmawiając, i aż do hojności udzielając się bliźnim, ciągle wzrastali w dostatkach? Skąpstwo samo przez się nie wyłącza przeciwności, choć ciernistą drogą doprowadzić może do bogactw; ale jeżeli do niego przyłączy się niepohamowana chciwość, *rzadko kiedy* trwały majątek utworzy się z tych zabiegów.

niądze jak plewę, a znowu skąpstwo wzbudzało go do imania się najnikczemniejszych środków, by wynagrodzić sobie wydatki poniesione przez żądzę zemsty, a nad temi wszystkiemi zdrożnościami występnych namiętności wznosiło się jego przywiązanie do syna, ciągle, zwłaszcza od niejakiego czasu wzrastające.

Młody August musiał mieć dobre skłonności, ale wychowany przy ojcu, ciągle otoczony złemi przykładami, słysząc tylko to co mogło w nim wzniecić pychę, zarozumiałość i lekceważenie bliźnich, zaledwo wyszedł z dzieciństwa, już był wiernym odblaskiem swojego ojca, który widząc w nim jedynego spadkobiercę swojego imienia, swoich zwiększających się dostatków, w nim ześrodkował wszystkie nadzieje przewagi swego nad innemi domami. To podobieństwo jego do ojca, nie tylko z twarzy, ale i ze sposobu myślenia, wznieciło przeciw niemu niechęć powszechną przy pierwszych jego krokach w towarzystwie, tak, że mógł zauważyć, iż młodzież u nas, tak pochopna do zawiązania stosunków z takiemi, których pierwszy raz widzi, widocznie od niego stroniła. On téż dumą odpłacał jéj nieżyczliwość, pokazując się na to obojętnym, czém ją jeszcze więcéj rozdraźniał, tak dalece, że oburzała się na samo jego nazwisko. I poszedł pod ludzkie rozjątrzone języki, że, jak to mówią, nikt o nim poczciwego słowa nie wyrzekł, a ojciec się cieszył, że syn z nikim nie miał ścisłych stosunków, i powtarzał mu często:

— Synu, bogatemu przyjaciel nie zysk ale szkodę przynosi. Niech się ubogi stara o przyjaciół; goły nie boi się rozboju, ale bogaty na jakiego djabła ma się kłopotać ich szukaniem? Pan Bóg a mieszek, to przyjaciel prawy, a reszta wszystko tylko dla zabawy: — tak napisał Kochanowski, i w tém się nawet omylił, że im przyznał że bawić mogą; kto ma u nas pieniądze temu nie szukać, ale opędzać się od przyjaciół. Żaden z nich swojego nie przyłoży, a każdy rad tylko coś dla siebie urwać. Czasem oni u nas się zdadzą, ale nie na długo a tak łatwo ich dostać takiemu, u którego zwietrzą pełnię w szkatule, że nie ma potrzeby zawczasu myśléć o ich nabyciu. Dziś ich zapotrzebujesz, jutro ich dostaniesz, a pojutrze z nimi jak z jurystą po sprawie. Żeby o co dobrego tak łatwo było! Albo ja przez to nie przechodził? Wszakże dwa razy byłem posłem. Miałem roje tych przyjaciół, którzy u mnie jedli, pili, i na wieczne nieoddanie zaciągali pieniądze; jakem dostał starostwo, z nadzieją wyższych zaszczytów, zaraz się opatrzyłem, że przyjaciele w domu, to szczury w śpiżarni. Ani ich znać chciałem, ani puszczać do siebie, i z tém mi dobrze, że aż serce rośnie, kiedy się dowiem, że na mnie w publiczności czci i wiary nie zostawują, i że nikt za mną się nie ujmuje, bo to jest dowód, że z moich bogactw oprócz mnie samego nikt nie korzysta. Kogo wszyscy chwalą, widać, że w nikim nie pobudza zazdrości dziękuję-

łaskę. Na ciebie czeka ośm kroć sto tysięcy intraty, co najmniéj. Jakże tobie nie mają zazdrościć, kiedy się na to nie zanosi, byś miał kiedyś swoją ojcowiznę puścić między ludźmi? Mój kochany, jak poznasz lepiéj nasz świat, czy to stołeczny czy prowincyonalny, jeszcze się gruntowniéj przekonasz, że u nas nie ma środka dla pana; trzeba mu miéć dużo przyjaciół, a być źle w interesach, albo nie miéć ani jednego przyjaciela, a miéć pieniędzy do zbytku, jeżeli w tém być może zbytek. Ja o nic Boga nie proszę, tylko aby mnie ochronił od przyjaciół, a nieprzyjaciołom sam dam radę.

Takowe nauki aż nadto chwytały się jego głowy. W kwiecie wieku, w porze kiedy każdy ukołysany ułudami młodości marzy o doskonałości rodu ludzkiego, wierzy w przyjaźń, w miłość, w poświęcenie się dla bliźnich, — August dostrzegał tylko złą stronę wszystkich, których zdarzało mu się widziéć, i rozpoczynał zawód towarzyski oparty na zasadach nielitościwych, z których logiczne konsekwencye wyprowadzał. Nauki które przyjął, nie tylko że nie ułagodziły tych szkodliwych zasad, ale owszem utwierdziły w nim wzgardę, jaką czuł dla wszystkich ludzi bez wyjątku. W nic nie wierzył, tylko w siłę, i jéj przypisywał całkowity porządek społeczeński.

Żaden ucisk go nie oburzał; silny, czy to położeniem swojém towarzyskiém, czy to władzą jaka się dostała w jego ręce, czy bogactwami, miał wedle niego prawo domagać się wszystkiego, co jego siły nie przechodziło, a słaby musiał wszystko znosić, bo słaby; żadnych obowiązków moralnych między niemi nie przypuszczał. Wedle niego namiętności gwałtowne i namiętności podłe były to osie, na których toczyły się koła przeznaczenia ludzkości, i nic innego nie upatrywał w historyi. Był przekonany, że każdy człowiek tylko siebie samego rzeczywiście miłuje, a więc że jeden dla drugiego nie ma innych obyczajów, tylko takie, do których jakaś siła go zmusza, a wszystkie prawa moralne są wymysłem ludzi słabych, aby jakkolwiek ułagodzić możnych, od których doświadczyć mogą ucisku; lecz w duchu sami z tych praw szydzą, że bezkorzystna miłość bliźnich jest w skutkach swoich nienawiścią siebie samego, a tém tamém szaleństwem. Twierdził, że o ile człowiek możny udziela się słabszym, o tyle własną siłę umniejsza, — a że przez sposób, w jakim się urządziło społeczeństwo, bogactwa najpotężniejszą otrzymały siłę, więc ku ich nabyciu i rozszerzeniu wszystkie myśli rozsądnego człowieka powinny być skierowane.

Takowe teorye z wykładów ojca wywiązane, już w kwiecie wieku zrobiły z Augusta systematycznego samoluba; a że z przyrodzenia miał wiele odwagi osobistéj, a z wychowania nadzwyczajnéj zręczności w użyciu każdéj broni, czy ręcznéj czy ognistéj, był nieznośnym dla wszystkich tych, którzy mieli nieszczęście do niego się zbliżyć.

Jako się wyżéj nadmieniło, jedno chwilowe doświadczenie zdołało

w nim obalić te straszne zasady, które zresztą są tak przyrodzone w człowieku, że tylko silne uczucia religijne są zdolne je przeciwważyć; a właśnie wychowanie Augusta zupełnie naukowe, najmniejszego wyobrażenia religijnego w nim pobudzić nie mogło. Ale kiedy napadł ze swojemi siepaczami na Jakóba i jego przyjaciela, dzielna obrona pomimowolny dla nich szacunek w jego sercu wznieciła. Daléj niespodziewany posiłek, który mu wydarł zwycięztwo, w jednéj chwili go przekonał, że przyjaźń i życzliwość ludzka nie są rzeczami do pogardzenia; że bywają okoliczności, w których one są rzeczywistszém i bezpieczniejszém bogactwem, niż ten kruszec w kufrach zamknięty; a kiedy w ręku koszowego miał gardło pod jego nożem, raptem oświeconym został tym blaskiem moralnym, który zwykle spływa na człowieka, kiedy już stoi, że tak powiem, na progu wieczności.

Była to chwila stanowcza dla Augusta, bo mu dała opamiętanie i od razu go przekształciła w innego człowieka. Stopniami wszystkie zaródki cnót, jakie od przyrodzenia otrzymał, dotąd zagłuszone chwastem zasianym przez fałszywe wychowanie, rozbujały w jego duszy. W nieskazitelności jedno tylko uczucie szlachetne w nim się było zachowało: był odważny; a że wszystkie uczucia szlachetne są z sobą w powinowactwie, dziwić się nietrzeba, że ta osobista odwaga usposobiła go do obrócenia na pożytek nauki, jaką Opatrzność na niego dopuściła.

August został poczciwym człowiekiem, i zaczął się sam brzydzić temi zasadami, które dotąd uporczywie wyznawał. Jego słudzy pierwsi uderzeni byli tą nagłą zmianą. Odtąd obcował z niemi jak z ludźmi, nie jak z niewolnikami; zamiast téj dumnéj szorstkości, w jaką się uzbrajał względem swoich niepodwładnych, których zdarzało mu się spotkać, okazywał się dla nich uprzejmym, łagodnym, przywiązującym cenę do ich życzliwości. Obudził w sobie hojność dla potrzebujących wsparcia, nawet skłonił się do dopełnienia nie tylko obowiązków, ale i praktyk religijnych, od dzieciństwa zaniedbanych, tak że wszyscy wydziwić się nie mogli, iż ten, którego ogłosili gorszym od ojca, dawał przykład najrzadszych cnót, i wszystkich zniewalał słodyczą swoich obyczajów i swojego obcowania.

Rzecz dziwna, wszakże łatwa do wytłómaczenia: o ile oddalał się obejściem i postępkami od swojego ojca, o tyle tamtego przywiązanie zdawało się wzrastać. Miłował go dotąd, jak możnowładca miłuje podporę swojego imienia; odtąd miłował go dla niego samego, a jako w człowieku, który nigdy nie walczył z żadną swoją namiętnością, to przywiązanie przybrało cechy najdziwaczniejszéj egzaltacyi. Przytomność syna go zachwycała; jego nieobecność, jakkolwiek krótka, niemal że o rozpacz go nie przyprowadzała. Skąpiec z przyrodzenia, skąpiec z zasad raz na zawsze poślubionych, wprzódy targował się

z nim o każdy grosz niezbędny na jego potrzeby, i jeszcze chciał uszczuplić jego i tak oszczędne wydatki. Teraz niemal że nie z rozrzutnością obsypywał go pieniędzmi; co więcéj, ten człowiek tak podejrzliwy dał mu wstęp doswoich skarbów, pozwolił mu z nich czerpać, ile mu się podoba. Nawet póswięcił mu zamiłowanie w samotności i wstręt jaki miał do wszelkiego towarzystwa, gdy na jego żądanie przeniósł się do Żytomierza, i w nim dom swój otworzył. Wprawdzie rzadko kiedy się pokazał gościom, którzy zaczęli do domu jego uczęszczać; ale syn jego był gospodarzem, i wszystkich przynęcał w téj nowéj fazie swojego istnienia. Ojciec tyle tylko, że opłacał rachunki jemu podane, bez szemrania, a wkrótce nawet dał zalecenie wszystkim swoim oficyalistom, aby wszystko co od nich zażąda, tak spełniali, jakby jego własne rozkazy.

Czego tylko zażądał August, ojciec był zawsze gotowy zadość uczynić jego woli. Jeden tylko był wyjątek: skoro upatrywał w jego żądaniu szkodę dla jego osoby, był niezachwiany w odmowie. I tak, napróżno się od niego domagał, aby jakiś krok uczynił do położenia końca gorszącéj sprawie, którą upierał się prowadzić przeciw Jakóbowi

— Miły ojcze — mawiał mu — jakże mam ufać w łaskę twoją, kiedy usiłujesz hańbą pokryć pamięć mojéj matki? Czyż majątek, który dzierżysz, po twojém najdłuższém życiu dla mnie nie wystarczy? Ciotka moja już oświadczyła, że mnie oddali od spadku po sobie. Jeżeli się lękasz, żeby Jakób nie był kiedyś bogatszym odemnie, zaręczam, że się odrzeknie przy zgodzie od spadkobierstwa twoich własnych tak szerokich dostatków; ale dlaczegóż go wyzuwać z połowy matczynéj, z imienia, z bytu? Czyż to nasze imię może być splamione przez niego? czy owszem obdarzony tak rzadkiemi przymiotami nie przyda mu blasku? Najmilsza chwila mojego życia będzie ta, w któréj mi pozwolisz w twojém imieniu przynieść mu słowa pojednawcze. Ojcze drogi! zrób tę ofiarę ciężką dla twojego serca, ale podług mnie niezbędną dla naszego szczęścia; nie wywołujmy kary Bożéj na nasz dom za znieważenie popiołów mojéj matki, która, chociaż może i wykroczyła, przecie przez nas szanowaną być powinna. Nie kalajmy naszego gniazda, i nie wydawajmy na świat sromoty, która nas z tak blizka dotyka.

— Młody jesteś (odpowiadał mu ojciec), tych rzeczy jeszcze nie rozumiesz. Słyszéć nie chcę o żadném pojednaniu; wszak ci ja jego nie zaczepił, ale on mnie. A cóż to? ja jestem podrzutek, żebym się przyznał do krwi związków z tym bękartem, i czyim jeszcze, oto mojego poddanego, który żeby pańszczyzny mi nie odrabiać, uciekł i przystał do Hajdamaków? takiego, który kiedy nogę położy na *gruncie rzeczyp*ospolitéj, do pierwszéj szubienicy przyczepionym zosta-

nie? A to dopiéro pokazałbym się wylanym ojcem dla ciebie, gdybym pozwolił złodziejowi nazwać się twoim bratem i współdziedzicem dóbr domów Kierdejów i Sołomereckich; albo dobrze ojczyznie życzącym obywatelem, gdybym dopuścił, by siermięga wdarła się do karmazynu stanu rycerskiego. A czy to imię Kierdejów już tak poniżone, że aż jakiś szubienicznik bezkarnie może je wziąść na siebie? Między nim a mną żadnéj nie może być zgody; choćby miał mnie pokonać w sądach, do czego jeszcze daleko, nie będzie się cieszył długo swoją wygraną. Świat za ciasny dla nas dwóch: albo ja, albo on z niego musi ustąpić. Synu, ani mów mi o tym hultaju! Postąpię ja z nim wedle jego wartości. Mnie to zostaw, a jeżeli jeszcze raz wystąpisz do mnie z podobnemi projektami, to powiem, że nie mam syna, i że ty takim samym sposobem urodziłeś się, jak ten za którym obstajesz; a wtedy dopiéro będziecie braćmi między sobą.

Ojciec zawsze ojcem. August umilkł i odtąd o tém jemu nie wspomniał. Ścisnął tylko żal w sercu, i smutne przeczucia, bo on dość jasno dał mu poznać, czego się dopuścić może. Z jakiéjkolwiek strony spoglądał na przyszłość, ona równą obawę w nim wzniecała. Nic jego smutku rozerwać nie mogło; skłonność, jaką miał dla panny podkomorzanki, usiłował podnieść na stopień gwałtownéj miłości, i wmawiał ją w siebie jak mógł, jedynie aby wyzwolić siebie od innych dręczących uczuć. Bo mu było wiadomo, że prawdziwie zakochany jest zimnym głazem dla wszystkiego, co się nie odnosi do przedmiotu, który w nim miłość wzniecił; ale w rzeczy saméj podkomorzanka w nim nie pobudziła innego wrażenia, tylko jakiego zwykle osoba piękna i dobrze wychowana ma prawo oczekiwać od młodzieńca. Ona posiadała szacunek Augusta, umiał oddawać sprawiedliwość jéj wdziękom, chętnieby połączył swój los z jéj losem, w przekonaniu, że lepszéj od niéj żony dostaćby nie mógł; ale jakże to było daleko od tego uczucia, które zjednolicało duszę Jakóba z duszą Helenki.

Obcowanie z podkomorzanką było dla Augusta przyjemne, jednak nie było zdolne rozpędzić posępnych chmur, któremi go smutne przeczucia otaczały. Zresztą uprojektowany związek przez wszystkich oczekiwany, jeszcze nie był tak blizkim swojego kresu. Wiadomo było, że miał za sobą życzenie rodziców stron obojga; jednak więcéj dwóch lat upłynęło od pierwszych zalecań kawalera, a publiczność żytomierska ich zaręczyn doczekać się nie mogła. Zawsze jakaś niespodziewana przeszkoda tę chwilę uroczystą odwlekała, a najgłówniejsza tych przewłok przyczyna była ta, że pan łowczy chciał przed wszystkiém sprawę swoją ukończyć. Całkowite jego jestestwo zdawało się być zespolone z tokiem interesu, który go zajmował. Często powtarzał:

— Niech-no zabezpieczę byt mojego chłopca, a dopiéro go ożenię.

niczém odrywać się nie mogę od sprawy, w któréj idzie o majątek i honor mój i mojego syna.

A pan podkomorzy był na to wyrozumiały, i obaj ojcowie żyli z sobą w stosunkach niby przyjacielskich.

Ale odkąd pan łowczy poniósł szwank w ziemstwie Żytomierskiém, zauważono wielką oziębłość między nim a panem podkomorzym. Łowczy, wedle obyczaju samolubów, którzy lubo dla nikogo na najmniejszą ofiarę zdobyć się nie umieją, przecie u innych nieograniczonego poświęcenia się wymagają, wymówił podkomorzemu dość cierpko, że wyraźnie albo nie umiał, albo nie chciał mu pomagać, kiedy w powiecie któremu przewodniczy, niepomyślny a tak niesprawiedliwy wyrok zapadł na niego.

Podkomorzy, choć niższy dostatkami od łowczego, ale nie ustępujący mu w zacności krwi, i niemniéj od niego dumny, pocisk na siebie wymierzony równie ostrym pociskiem odpłacił, i rozstali się z wzajemną na siebie sierdzistością, a to nieporozumienie rodziców, nie mogło nie wywrzéć wpływu i na stosunki ich dzieci, tak dalece, że kiedy łowczy oświadczył synowi, że zabiera go z sobą do Lwowa, a ztamtąd do Warszawy, gdzie postanowił przenieść swoje mieszkanie, i że życzy sobie, aby mu późniéj towarzyszył w podróży, jaką zamierza zrobić za granicą przynajmniéj na parę lat: August nie ze smutkiem, ale owszem z wdzięcznością niekłamaną to przyjął; a w kilka dni potém już siedział obok ojca w karecie, bez żalu opuszczając Żytomierz.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Przybywszy z ojcem do Warszawy, August musiał przez czas jakiś przechodzić przez ciernie i głogi, bo jego przybycie poprzedzone było odgłosem dla niego niopochlebnym. Obywatele prowincyj ruskich w Warszawie złą sprawę o nim roznieśli; opisywali go takim, jakim był wprzódy, to jest pysznym i nieużytym jak jego ojciec, który ani w stolicy, ani na prowincyi nie miał przyjaciół; a chociaż obywatele późniéj przybyli wspominali, że August z wad swoich się poprawił, że się zrobił z niego ze wszech miar zacny młodzieniec, i że już zaczyna nabywać wziętości w obywatelstwie, wiadomo że dobra sława żółwim postępuje krokiem, a ludzkie obmowy są rącze jak strzały. Zgoła, niemało uprzedzeń musiał przewalczyć, nim się z nim oswoiły towarzystwa stolicy.

Wedle ówczesnego obyczaju, uszanowanie dla starszych krewnych było wielkie, i obowiązywało do niektórych form, z któremi niewolno

było się omijać bez narażenia się na krzyki. Krewni zawziętym procesem poróżnieni, musieli bywać u siebie, a przytłumiając sierdzistość, która ich żółć wzburzała, starownie pokrywać jéj ślady jak najczulszą na pozór uprzejmością. Z tym obyczajem, który tylko w zupełnie zepsutéj społeczności znika, nawet pan łowczy nie śmiał się ominąć. I jakkolwiek nienawidził siostry, jakkolwiek radby ją wyzuł z majątku, czci i spokojności, wszakże nazajutrz po przyjeździe swoim do Warszawy pierwsze jego nawiedziny były dla niéj.

W téj pierwszéj wizycie przedstawił jéj swojego syna, prosząc, aby na niego, jako krew swoją, była łaskawą, i pozwoliła mu bywać często w jéj domu. Pani Krajewska niemniejszą grzecznością odpłaciła jego grzeczność. Przywitała brata jak siostra, synowca jak najtkliwsza ciotka. Nikt, patrząc wtedy na nich, aniby się domyślił, że tak zażarcie z sobą się prawują.

Nazajutrz pani Krajewska odwiedziła brata, a ten aż do sieni wyszedł na jéj przyjęcie; o żadnym interesie z sobą nie mówili, unikając tego wszystkiego coby ich poruszyć mogło. Nie omijali się ani na jednę chwilę z temi prawidłami przyzwoitości, które cechują osoby odznaczające się dobrém wychowaniem i znajomością świata.

August zaczął bywać u ciotki swojéj, a tém samém zbliżył się do osób jemu niechętnych, a które składały jéj poufałe towarzystwo. Pani Krajewska miała przeciwko niemu wielkie uprzedzenia. Nienawiść jaką czuła dla brata, nie mogła w części przynajmniéj nie spaść na jego syna; August umiał przeniknąć wstręt ciotki do swojéj osoby, pomimo grzeczności nieco wymuszonéj, jakiéj w jéj domu doświadczał, i na to był przygotowany. To go nie zraziło, bo był względem ciotki czystym na sumieniu; takiego świadectwa nie mógł dać sobie względem Jakóba. Tu zasługiwał na wyrzuty, których sam sobie nie oszczędzał. Czuł się obowiązanym do zrobienia pierwszych kroków pojednawczych, i postanowił wszelkie usilności obrócić ku otrzymaniu przebaczenia od brata, a potém pozyskania jego przyjaźni. Chodziło mu tylko o zbliżenie się do niego, bo nadto był pewnym szlachetności uczuć Jakóba, aby wątpić o pomyślnym skutku swoich zabiegów pojednawczych i o przebaczeniu niektórych czynności, jakich kiedyś dopuścił się przeciwko niemu; ale właśnie do tego przybliżenia się znajdywał niemałe trudności ze strony jego protektorki.

Pani Krajewska, jakkolwiek uprzejmie przyjmowała Augusta, a nawet umiała sprawiedliwość oddać delikatności w obcowaniu tego młodzieńca, jednak widziała w nim syna prześladowcy ulubionego siostrzana, a jego samego miała za udowodnionego tegoż siostrzana nieprzyjaciela. Nie mogła wiedzieć o poczciwém usposobieniu Augusta dla brata, gdyż przez samą przyzwoitość unikała z nim wszelkiéj rozmowy, którąby choć ubocznie potrącić mogła sprawy, jaką prowa-

działa przeciwko jego ojcu. Nie dowierzając roztropności młodzieńców, tak wszystko rozporządzić umiała w swoim domu, że jéj siostrzany nigdy się z sobą spotkać nie mogli. Ile razy August był przez nią zaproszony na obiad, za stołem widział państwa Niekrasów i piękną Helenę, a tych znał zaledwo z widzenia: z panem rejentem co innego, bo był kiedyś plenipotentem jego ojca, a tém samém jego znajomym. Witał więc go zawsze jak dobrze znajomego, a ten mu się kłaniał z uniżonością niższego.

Pani Krajewska ze strony rejenta nie miała powodu lękania się kłótni, bo wiedziała, że on nadto miał wiele rozsądku praktycznego i dworszczyzny, aby nie ustąpić panu łowczycowi, nawet gdyby ten go zaczepił, a cóż dopiéro, aby sam miał wszczynać rozmowę, którąby młodzieńca oburzyć mogła; ale czy to na obiedzie u ciotki, czy na wieczorach w jéj domu, pomimo najgwałtowniejszéj chęci, August nigdy nie spotkał się z bratem.

Po jakiémś wahaniu się, postanowił bądź co bądź z nim się poznać. Polecił swojemu poufnemu słudze dowiedziéć się, gdzie jest mieszkanie Jakóba, a gdy ten dobrze się sprawił, kazał mu tamże się zaprowadzić. Była ósma z rana, był zatém pewny, że znajdzie go u siebie i w tém się nie omylił. Kazał siebie zameldować za obywatela z Rusi przybyłego. Jakób pomyślał, że to musi być jakiś kolega ze szkoły lub palestry, i kazał go prosić.

Jak tylko wszedł August do izby, zaraz go poznał, i nieco się zmięszał tak niespodzianą wizytą, ale zaraz przyszedł do siebie. Skłonił się nizko przed gościem, oświadczył mu wdzięczność za uczyniony mu zaszczyt, i skończył zwykłém wyrażeniem:

— Czém panu służyć mogę?

August na to:

— Panu służyć? pan? sługa? takowy sposób obcowania nie nam właściwy; niech ludzie stanowią co zechcą, a tego nie dokażą, żebyśmy nie byli braćmi. Powiem ci otwarcie, Jakóbie, że pragnę byś mnie uznał być twoim bratem, i nie w innym celu do ciebie przychodzę, tylko aby otrzymać twoje przebaczenie za wszystkie moje przeciw tobie przewinienia.

Jakób spojrzał mu w oczy z zadziwieniem. Nie mógł ani słowa wyrzec przez kilka chwil; nakoniec zdobył się na podanie mu swojéj ręki.

— Nie śmiem przyjąć twojéj ręki, bracie — dodał August — bo może to jéj podanie jest zbytnią ofiarą dla ciebie. Bądź pewny, że chcę zasłużyć na twoją przyjaźń, nie wchodząc w sprawę, jaką masz z moim ojcem, sprawę zresztą, w któréj niewiele bierzesz udziału. Co nas młodych ma to obchodzić? Jakiby los cię miał spotkać, poprzysięgam ci, że zawsze we mnie znajdziesz przywiązanego brata. Jeżelim

przeciwko tobie wykroczył, wstydzę się moich przewinień i żałuję szczerze, żem się ich dopuścił; był to błąd młodości, który dość gorzko opłakałem. Mam nadzieję, że kiedyś się przekonasz, że nie jestem tak zepsutym, jakim mnie przed tobą wystawili, i że zajmę miejsce w twojém sercu.

W wyrzeczeniu tych wyrazów było coś tak szczerego, coś tak otwartego, że serce Jakóba nie mogło się oprzéć. Wszystkie krzywdy, jakich kiedyś od niego doświadczył, znikły mu zprzed oczu. Wziął jego rękę, ścisnął w swojéj, i odpowiedział:

— Nigdy nie wspominajmy o tém co było, a tylko pamiętajmy, żeśmy oba z jednego wyszli łona. Przyjaźń którą mi ofiarujesz, przyjmuję jako zakład przyszłego szczęścia. Pragnę być twoim przyjacielem; natura utworzyła między nami związek, który starganym być nie może bez zbrodni. Cokolwiek o mnie postanowią, tego nie dokażą, bym przestał cię uważać jako najbliższego krwi mojéj. Więcéj ci nie powiem, bo pewny jestem, że twoje serce mnie rozumie.

Obaj bracia rzucili się w swoje objęcia, i kilka słodkich łez porosiły ich jagody. W téj chwili tak uroczystéj, Jakób uczuł się zupełnie szczęśliwym.

Jakób wziął brata za rękę i zaprowadził go do pani Krajewskiéj. Ona go w każdéj chwili przyjmowała, i nie miał potrzeby przez sługi oznajmiać jéj swojego przybycia. Wszedł więc prosto z Augustem do jéj gabinetu, gdzie ją zastali przy kawie z nierozdzielną od niéj Helenką. Pierwsze jego słowa były:

— Ciociu droga, nie czułbym mojego szczęścia, byś go zemną podzielać nie chciała. Znalazłem brata i prowadzę go do ciebie.

Na te słowa wyraz zadziwienia okazał się na obliczu pani Krajewskiéj.

— Nie inaczéj — odezwał się August z uniesieniem. — Jakób jest moim bratem; co natura złączyła, tego rozdzielić nie w mocy ludzkiéj. Ślubowaliśmy sobie dopiéro wiarę i miłość braterską, i przy tobie, ciotko, poprzysięgam na Boga i na moją cześć szlachecką, że je dochowam aż do zakresu dni moich, i że nie tylko nigdy nie będę korzystał z jego krzywdy, ale o ile jest w mojéj mocy, na nią nie pozwolę.

To mówiąc, jakiś niewypowiedziany blask cnoty rozjaśnił rysy szlachetnego młodzieńca.

— Bracie! — odpowiedział Jakób — i ja tę samą przysięgę w duszy mojéj powtarzam; nic dla ciebie tajnego miéć nie chcę. Oto obok mojéj dobrodziéjki, mojéj opiekunki, widzisz moją narzeczoną. Jéj wdzięki są najmniejszym jéj przymiotem. Nasze wzajemne przywiązanie, którego zarodki zasiane były od jéj niemowlęctwa, wśród przeszkód jakie nam los stawił ciągle wzrastało i wzrasta. Ta niewinna

miłość przechodziła przez ciernistą drogę, a dotąd jest naszą jedyną pociechą; ciągle los zawistny nas rozdzielał, ale dusze nasze ani chwili nie przestały być spojone. Teraz, kochana Helenko, kiedy widzisz tkliwego brata, w tym cośmy go dotąd mieli za nieubłaganego wroga i prześladowcę, możesz to przyjąć za nieomylną wróżbę pomyślniejszéj przyszłości, — za przedwstęp do tego szczęścia, które zawsze się od nas oddalało.

— Tak jest — odezwał się August z uniesieniem — jakikolwiek los dotknąłby nas, będziemy pospołu go znosić. Brzydzę się pomyślnością w któréjbyś ty nie miał udziału, a że jesteśmy pewni naszego niczém nierozerwanego przywiązania, a więc śmiało możemy przyjąć z twoją piękną Heleną, którą już kocham jak drogą siostrę, wieszczbę przyszłego szczęścia.

To rzekłszy August, rzucił się w objęcie Jakóba, i obaj bracia w wzajemnych uściskach wystawiali ustęp tak czuły, że trudnoby było widzowi téj rzewnej sceny oprzéć się jéj urokowi.

Helenka powstała; nic wyrzec nie mogła, a tylko rękę wyciągnęła do Augusta, który ją ścisnął z uniesieniem ciągle wzrastającém.

Pani Krajewska jedna umiała władać sobą. Nadto wiele w ciągu życia swojego doświadczyła zgryzot ze strony ludzi, nadto znała złą stronę ich serca, żeby się poddawać z ufnością wrażeniom, jakie szlachetniejsza część ich natury wzniecać może. Trzeba było przyzwyczaić ją do siebie, żeby jéj pełny szacunek pozyskać; w każdym, z którym się dobrze nie obeznała, podejrzywała zdradę, chytrość, samolubstwo. Było coś w jéj duszy przemawiającego za Augustem, coś takiego co ją przekonywało, że w nim nie ma żadnéj obłudy, i że jego słowa z głębi serca szlachetnego były wydobyte; ale nie śmiała oddać się tym uczuciom przychylnym dla niego, nie mogła wzwyczaić się tak prędko do myśli, żeby syn łowczego Kierdeja, którego pierwsze kroki na świecie były tak naganne, miał zostać raptownie cnotliwym młodzieńcem. Potrzeba było czasu, żeby rozproszyć te uprzedzenia opiekunki troskliwéj o bezpieczeństwo swego przybranego syna. Walka toczyła się wewnętrzna między jéj rozsądkiem, a poniewolną skłonnością serca, podczas téj sceny, na którą patrzéć jednak nie mogła bez lubości.

Poznał to August, skoro z uniesienia swego wrócił do stanu spokojniejszego, i powiedział jéj:

— Ciotko moja, widzę że mi nie dowierzasz i to mnie bynajmniéj nie zadziwia. Czuję, iż nadto przewiniłem względem Jakóba, byś mogła wierzyć, że raptem zostałem jego kochającym bratem i cnotliwym człowiekiem; ale na to jestem spokojny. Pewny jestem, że czas pozwoli mi pozyskać twój szacunek. Moje położenie jest trudne, i umiem na nie zapatrywać się z rozwagą, bo byłbym najpodlejszym z ludzi,

gdybym przestał miłować mojego ojca. Jakiekolwiekby były jego przewinienia przeciwko wam, zawsze na nie zamykać będę oczy. Mam wszakże w Bogu nadzieję, że w tak drażliwém położeniu, użyczy mi łaski swojéj, bym mógł pogodzić obowiązki jakie mam dla ojca, z uczuciem, które mnie spaja z moim bratem.

Te słowa wyrzeczone szlachetnie przechyliły szalę ku niemu, chociaż zwycięztwo jeszcze nie było zupełne. Pani Krajewska podała mu swoją rękę, dodając:

— Auguście, chciałabym być twoją ciotką, jak nią jestem dla Jakóba, i radabym cię jak najczęściéj widzieć, żeby coraz lepiéj cię poznać. Bywaj u mnie; zawsze ci będę rada, jednakże uczęszczaj do nas tylko o ile tém się nie narazisz twojemu ojcu, lubo możesz być pewnym, że w moim domu nigdy nie usłyszysz nic takiego, coby szarpać mogło jego sławę. Jeżeli nieszczęśliwa sprawa między mną a moim bratem rozdziera w nas krwi związki, rozjątrzeń naszych nie bierzcie w spadku. Jakób bynajmniéj nie przeciwi się mojéj woli, najmniejszego nie biorąc udziału w tych krokach, jakie dla niego przedsięwzięłam; wielką jest dla mnie pociechą, że widzę i ciebie téj drogi się trzymającego. Nigdy z Jakóbem nie mówię o jego sprawie, i ty, Auguście, nie omijając się z uszanowaniem, jakie mieć winieneś dla twojego ojca, możesz unikać rozmowy, która mogłaby cię tylko udręczać. Ile razy on dotknie się téj struny, uzbrój się korném milczeniem i nie bierz udziału w téj rozmowie, a twój ojciec, który ciebie jedynego miłuje na świecie, jak zobaczy, że z niéj doświadczasz przykrego wrażenia, sam z siebie jéj zaniecha. Zostawcie nam te ciernie i głogi, a odwracając myśl waszą od tego, co tylko kazić może wasze dusze, w miłości braterskiéj czekajcie cierpliwie tego co wam Bóg przeznaczy.

Taki był koniec téj sceny, która promień radości rozlała na całą rodzinę.

ROZDZIAŁ XXXV.

Odtąd bracia żyli z sobą w coraz ściślejszych stosunkach. August nie mógł u siebie przyjmować Jakóba, ale codzień bywał u niego. Pani Krajewska z lubością patrzała na tę ich wzrastającą skłonność wzajemną; jéj uprzedzenia przeciwko Augustowi powoli znikały, a tkliwsze uczucia stopniami wzniecały się w jéj sercu. Żal za nierozważne czynności nosi na sobie urok niewinności, a nawet poniekąd większy jeszcze od niéj pociąg uzyskuje, gdyż ten co jest nim przejęty, mniéj

jest niepodległym, sam potrzebując przebaczenia. Niewinność zupełna razi słabość naszą, jak każda wyższość, a tylko szlachetne dusze, których tak mało, znieść umieją wyższość w jakimbądź zawodzie, a cóż dopiéro czuć pociąg do tego, który na niéj stoi?

August miał sobie wiele do wyrzucenia, a to mu dawało jakąś nieśmiałość, która za nim przemawiała. Miłość ludzka nie uzyskuje się ani nadzwyczajnemi cnotami, ani potęgą umysłu, które owszem zawiść pobudzają. Mąż uposażony temi boskiemi dary może pozyskać szacunek ziomków, ich ufność, nawet w okolicznościach danych ich ślepe posłuszeństwo, ale nigdy nie będzie popularnym w całéj rozciągłości tego wyrazu, a to dlatego, że jego sława nie jest darem publiczności, ale owszem na niéj zdobytą, że mu nie może być odjętą, że czuje się być niezawisłym od swojéj społeczności; a samopoznanie swojéj niepodległości czyni go mało sposobnym do tych zabiegów, jakiemi zręczna mierność umie zaskarbiać sobie przemijający odgłos w otoczeniu.

Publiczność ma pewny rodzaj władztwa, a przy niéj i wady, którym częstokroć podlegają dzierżyciele władzy. Potrzebuje miéć dworaków, faworytów, pochlebców jedynie od niéj zawisłych; lubi im dawać to tylko, co każdego czasu im odebrać może, stawia ich na postumencie bardzo wysokim, bo wie dobrze, że od jéj woli zależy strącić ich z niego. Jakżeby mogła skłaniać się ku temu, który z niczego jéj nie jest dłużnym, gdyż sam sobie utworzył piedestał, na nim stanął, a z wysokości swojéj z niéj szydzi, bo wie, że wszystkie jéj usilności nie zdołają zniżyć go aż do niéj?

Nic pocieszniejszego dla światłego i rozważnego myśliciela, nad widok téj walki między mężem posiadającym rzeczywistą wyższość a jego społeczeństwem; on niezmordowanie służy temu społeczeństwu, lubo ani go miłuje ani szacuje. Służy mu istotnie, chociaż ciągle je drażni, bądź ostrém wyszydzeniem jego nałogów i kierunku, w jaki się rzucił z sztucznym zapałem, bądź pogardliwém milczeniem, a rozdrażnione społeczeństwo niczego nie zaniedbuje, żeby przygłuszyć jego sławę głośniejszą, niżeli wszystkie te krzyki zawiści. Tego doświadczają szczególnie pisarze, gdy to społeczeństwo wynajduje utalentowane mierności, żeby je wystawić naprzeciw geniuszowi, ażeby w nim pobudzić takąż samą zawiść, która pożera jego ulubieńców.

Odwróćmy oczy od tych ustępów słabości ludzkiéj, ile że ona w skutkach swoich wielkiéj szkody przynieść nie może, gdyż czas, będący prawym ministrem Boga w departamencie interesów tego świata, jak to pięknie powiedział jeden głęboki filozof naszego stulecia, potrafi zasłużone, jako i przywłaszczone sławy na właściwém miejscu położyć, — a zwróćmy naszą uwagę na to, co jest dobrego w naturze ludzkiéj.

Publiczność, zwłaszcza nasza, chociaż jest skorą do gniewu i pod

jego wpływem dopuszcza się niesprawiedliwości, jest wyrozumiałą na błędy i lubi im przebaczać. Złożona z ludzi na obraz Boga stworzonych, nosi coś Boskiego w sobie; ztąd jest skłonną serce otworzyć żałującemu grzesznikowi, i uwierzy w jego poprawę, byle się uzbroił skromnością i nie obrażał jéj okazaniem jakiegoś lekceważenia jéj sądów.

Pod tym względem August pokazał wiele trafności, bo słodyczą swojego obcowania, uprzejmością jaką dla wszystkich okazywał, staranném unikaniem wszystkiego coby razić mogło każdego do którego się zbliżał, oskarżaniem siebie samego, nie tylko że pokonał słuszne uprzedzenia, jakie znalazł przeciwko sobie, ale pozyskał powszechny szacunek, do czego mu najwięcéj dopomogły przyjaźń, którą zawiązał z bratem, i życzliwość, którą mu okazywała ciotka ulubiona w publiczności stolicy. Bo chociaż przez wzgląd na ojca, August trzymał się na wodzy z oznakami przywiązania dla Jakóba, ile razy z nim się znajdował w towarzystwie obcych, przecie w mieście nic ukrytém być nie może. Wiedziano, że co dzień bywał u niego, i zawsze kilka godzin z nim przepędzał, a kiedy ojciec myślał, że tylko etykietalnie nawiedzał ciotkę, a unikał wszelkich stosunków z nienawidzonym od siebie Jakóbem, we wszystkich towarzystwach mówiono o wzorowéj miłości braterskiéj tych dwóch zacnych młodzieńców, którzy w niéj znajdowali w swojém nieszczęściu jedyną pociechę, bo ich obudwóch uważano jako ofiary niesprawiedliwości ich ojca.

W postępkach Augusta najmniejszéj nie było obłudy. Zbliżył się był do brata, powodowany jedynie uczuciem powinności, a poznawszy go dobrze, powziął do niego przywiązanie noszące cechy wygórowanéj egzaltacyi. Ciągle się lękał o jego bezpieczeństwo, czuwał nad nim jak matka nad dzieckiem. Jego troskliwość dla innego mogłaby się stać dokuczliwą, ale Jakób niemniéj go miłował, i za nic w świecieby nie odpłacił najmniejszą oznaką niecierpliwości tę jego zbyteczną troskliwość, gdyż ona była świadectwem jego uczuć.

Jednego razu będąc u niego wedle swojego zwyczaju, bo poranki swoje zawsze przepędzał u Jakóba, powiedział mu:

— Bracie, dajmy sobie słowo, że jakibądź wyrok o nas nastąpi, on dla nas żadnéj wagi mieć nie będzie, i że jako bracia podzielimy się i ojcowizną i matczyzną.

— Poznaję twoje serce, bracie, ale gra między nami nadto nierówna, żebyśmy wchodzili w spółkę, gdzieby cały zysk był dla mnie, a cała strata dla ciebie.

— A to dlaczego?

— Mój drogi, widzę z radością, jak cię mało musi obchodzić sprawa, chociaż ona dla twojéj korzyści się toczy, kiedy nawet zdajesz się nie wiedziéć o naszém położeniu. Chociażbyś na głowę ją przegrał,

zawsze jesteś spadkobiercą połowy téj fortuny, i nic nie będę mógł ci uczynić, czegoby ci i prawo nie zapewniło. Ja zaś powtarzam, iż na wypadek przegranéj, nawet z twojéj łaskawéj ofiary nie będę mógł pod żadnym względem korzystać. Bo mało na tém, że odsuniętym zostanę od wszelkiego spadku, ale utracę mój byt, będę poddanym twojego ojca, i oddanym na pastwę jego samowolności. Wszakże ci wiadomo, że opieka praw, a nawet ludzkości, nie rozciąga się do stosunków, jakie być mogą między panem a jego poddanym; w takim razie twoje dobre chęci dla mnie na tém się skończyć muszą, że będziesz się starał wyjednać mi od twojego ojca libertacyą. I czegóż innego w mojém nieszczęściu będę mógł się spodziewać?

— Bracie kochany, rozdzierasz mi serce tak okrutną mową. Stokroć wolę umrzéć, niż takiego wyroku się doczekać.

— Posłuchaj mnie, Auguście! Bądź pewnym, że gdyby to odemnie jedynie zależało, anibym pomyślał stanąć twojemu ojcu na zawadzie; moje żądze są nadto ograniczone, żebym sięgał po obszerny majątek, po wielkie imię, po wysokie położenie towarzyskie. Mierność nie przekracza kresu moich życzeń, a jestem tyle szczęśliwy, że moja Helenka w tém najzupełniéj podziela mój sposób myślenia. Mam z łaski mojéj dobrodziéjki aż nadto dostateczny fundusz dla naszych potrzeb, ale muszę ulegać woli téj dobrodziéjki, któréj wszystko, nawet życie winienem. Ty sam najwłaściwiéj osądzisz moje względem niéj obowiązki, ty, który tyle szanujesz twojego ojca. Gdyby nie to, dawnobym opuścił te strony z moją Heleną; każda ziemia będzie mi ojczyzną, i nie wpadłbym w sprawę, która mi co kroku każe się rumienić. Gdyby twój ojciec chciał być, nie powiem sprawiedliwym, ale wyrozumiałym, jaki łatwy byłby koniec między nami! Wszak wiem o co mu chodzi; o to, żeby najmniejszego ohłamku nie utracić z dóbr Kierdejowskich i kniaziów Sołomereckich; ażebyś ty jedynym ich został spadkobiercą. Niechże mnie uzna za syna, i koniec położy téj gorszącéj sprawie, któréj skutek dla niego jest jednak wątpliwy, a ja ci zrobię ustępstwo tego, co ma na mnie przypaść w spadku po naszéj matce, i urzędowe zrzeczenie się spadku po twoim ojcu, i wyznam ci, że chwila, w któréj ten układ zawiązanym zostanie, będzie uważana przezemnie za jednę z szczęśliwych mojego życia.

— I myślisz, żebym korzystał z twojéj krzywdy? żebym przyjął odrzeczenie się twoje? Dopiérobym stracił bez powrotu ten jakiś szacunek, co go z taką trudnością nabyłem w Warszawie.

— Tu nie masz wyboru. Jakąś krzywdę zawsze ponieść muszę, lepiéj mniejszą niż większą. To co ci mówię zresztą jest próżném marzeniem; z kim innym byłoby to jakimś przedwstępem do pojednania się; z twoim ojcem podobne otworzenie się nie tylko że na nic się nie przyda, ale nawet gniew jego wywoła, a zawziętość podwoi, tylko że

nie ma przyczyny tego się lękać, bo ta zawziętość już jest tak wielką, że podniesioną być nie może.

— Otóż ja się postaram, żeby ten projekt dopiéro przez ciebie podany był mu przedstawiony; ale daj mi słowo, że późniéj porachujemy się z sobą, i że nie będziesz wymagał odemnie, abym dał się poniżyć twojemi darami.

— Do woli twojéj, Auguście; ale co do mnie, nigdy nie sięgnę ręką po to, od czego się odrzekłem. Zawsze wiele zyskam, kiedy mi to szlachectwo, które z krwią dziedziczę, a z którego tak przemocnie mój prawdziwy ojciec został wyzuty, będzie mi wrócone, a z niém możność bez niczyjego oporu poprzestania na własnym moim okrągłym chlebie, gdzieś na prowincyi oddalonéj od Warszawy. Tylko to są marzenia, bo twój ojciec żadnéj zgody nie przyjmie, a nawet, jeżeli z mojéj strony wyjdzie pierwszy krok do niéj, przyjmie to jako dowód, iż przewiduję zupełną moję przegraną. Kilkoletni mój zawód prawniczy dał mi poznać ludzi, tak że rzadko kiedy mylę się w moich sądach o nich, więc nie przewiduję możności, mając do tego na względzie naturę naszéj sprawy, żeby ją ukończyć zgodnym sposobem.

— A ja nie tracę nadziei. I zdaje mi się, że zdołam zwrócić mego ojca do łagodniejszych uczuć. Przemówię do niego w imię rozsądku i przywiązania synowskiego; powiem mu, że tym tylko sposobem zapewnić mi może spokojność. Będę twoim patronem, a tyle znam twoje serce, że ufam, iż swojego czasu pozwolisz mi pokazać się twoim prawdziwym bratem.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Resztę dnia tego August u siebie przepędził. Obiadował z ojcem, który mu się zdawał więcéj skołatany wewnętrznym niepokojem niż zwykle. Prócz tego tak zdawał się być rozdrażnionym, że żaden sługa nie mógł mu dogodzić; ciągłe im dawał rozkazy, zawsze z akuratnością spełniane, a jednak zawsze im miał coś do wymówienia w sposób cierpki, a niekiedy nawet gwałtowny. August bał się ojca; poznał więc, że nie pora z nim mówić o tém, co mu leżało na sercu, i postanowił czekać pomyślniejszéj chwili.

Pan łowczy zwykle lubił rozmawiać z synem, a w dniu tym ledwo mu kilka słów powiedział przy powitaniu. Przy obiedzie przerywał milczenie jedynie, żeby ofukiwać sługi swoje, a gdy wstał od stołu, tyle tylko, że się przybliżył do syna, uściskał go czule, wszakże nie przerywając milczenia, i poszedł do swego gabinetu, którego drzwi za

środka na klucz zamknął, co było oznaką, iż z niego nieprędko wyjść zamierza.

August także opuścił salę, poszedł do siebie, a kiedy marszałek dworu go zapytał, na którą godzinę każe, żeby kareta była gotowa, odpowiedział, że tego dnia nie myśli wyjechać z domu, i dał pozwolenie swojemu kamerdynerowi wyjść na cały wieczór, a tylko żeby Węgrzynek siedział w przedpokoju na każdy wypadek.

Tak tedy rozporządziwszy się, czas jakiś chodził po swojéj komnacie, mierząc ją krokami wzdłuż i w szerz w posępném zadumaniu, tworząc rozmaite plany do ułagodzenia ojca, aż nakoniec znużony myśleniem wybrał z szafy książkę francuzką, świeżo puszczoną w obieg, zagłębił się w swojém krześle, i rozrywki zaczął szukać w jéj czytaniu.

Była to rozprawa Jakóba Rousseau o nierówności stanów między ludźmi, rozprawa, która nadzwyczajne wrażenie sprawiła w całym ukształconym świecie. W niniejszym okresie są pisarze, którzy powstają na błędny kierunek, jaki przybrała cywilizacya, i w imieniu religii wołają, żeby położyć koniec jéj nadużyciom. Rousseau w téj rozprawie wymową czarującą potępiał jéj zasady, wszystkie nieszczęścia trapiące ludzkość saméj cywilizacyi, a nie jéj nadużyciom przypisywał, i w imieniu filozofii błagał ród ludzki, żeby się od niéj odrzekł, żeby opuścił mieszkania ręką ludzką wzniesione, żeby zniszczył kunszta, nauki, prawa, życie towarzyskie, i wrócił do leśnych żołędzi, by żyć swobodnie pod jedyną pieczą natury.

August z początku czytał z roztargnieniem to osobliwsze pismo, gdzie głębokie prawdy są przeplatane z najdziwaczniejszemi sofizmatami, ale wkrótce to pismo uwagę jego zajęło, i wczytał się w nie tak, że już nic oderwać go nie mogło od książki. Sam jęczał pod brzemieniem ustaw społeczeńskich; obowiązki dla ojca i miłość dla brata toczyły w jego umyśle dręczące walki, a podstawa, zarodek jego nieszczęśliwego położenia, czémże były w istocie? Oto duma rodu i przywiązanie ślepe do nędznych dóbr ziemskich, oba uczucia nie z natury, ale z cywilizacyi wydobyte; znajdował więc pewną harmonię między stanem swojéj duszy, a wymowną deklamacyą przecznika wszystkich korzyści życia społeczeńskiego.

Żeby czytać z upodobaniem jakieś pismo, trzeba koniecznie, żeby wyobrażenia czytelnika były w jakiémś powinowactwie z myślami pisarza. Jest to tak dalece niezaprzeczoną prawdą, że każdy z nas nieraz doświadczył, że ta sama książka, która w pewnéj epoce wielce mu się podobała, w innéj epoce naszego życia wstręt sprawiała. Mniéj więcéj sądy nasze o utworach pisarskich, mających rzeczywistą wartość, są zawsze subjektywne, dlatego téż rzadko kiedy sprawiedliwe. Możnaby wiele o tém powiedziéć, coby posłużyło do objawienia przyczyny często nadzwyczajnego powodzenia niektórych pism mniéj niż

miernych w publiczności nawet dość ukształconéj, ale ta dygressya już i bez tego jest aż nadto długą.

Godziny mijały, a August nie mógł się oderwać od swojego czytania, a czytając z uwagą, z współczuciem, po kilka razy jeden okres odczytywał. Jeszcze niezupełnie skończył książeczkę, kiedy kamerdyner jego ojca wszedł do jego komnaty, z oświadczeniem, że jegomość go powołuje. August powstał z krzesła, i bez zwłoki poszedł do ojca.

Zastał go samego w swoim gabinecie, siedzącego przy kantorku; zbliżył się do niego, pocałował go w rękę i oświadczył, że przybył spełniać jego rozkazy. Alteracya, którą wyczytał na twarzy ojca, mocno go wzruszyła. Widać było, że jakaś smutna nowina robiła go niespokojnym; jednak widok ulubionego syna zrobił przerwę jego dumaniu. Kazał mu przybliżyć się do siebie, przycisnął go do swojego łona, pocałował go kilka razy i okazał w sobie coś podobnego do rozczulenia.

— Synu! — rzekł — siadaj, mam z tobą do mówienia.

August przybliżył krzesło do kantorka, przy którym siedział ojciec, i z oznaką głębokiego uszanowania czekał co mu powie. Pan łowczy tak zaczął:

— Miły synu, do ciebie się udaję w zgryzocie, która mnie pożera; wynurzyć chcę przed tobą jednym to, co się dzieje w méj duszy, by tém ulgę znaléźć. Ty wiesz najlepiéj, że od urodzenia twego byłem dla ciebie ojcem i matką, że wszystkie moje przedsięwzięcia, prace, nawet myśli, nie miały innego celu, jak tylko zapewnić ci szerokie dostatki, któreby podparły wielkie imię, jakie nosisz, a to imię zachować od wszelkiéj skazy. Będąc przy schyłku dni moich, niewiele mi potrzeba; ale ciebie wzwyczaiłem się uważać, jako przedłużenie mojego bytu, i niczego nie zaniedbałem, żebyś po mojéj śmierci był możnym, a nawet potężnym w naszym narodzie. Każdy grosz, który zmuszony byłem wydawać, zdawał mi się z twoim uszczerbkiem. Największą moją zgryzotą było słyszéć, że są magnaci u nas, którym nie będziesz mógł sprostać w bogactwach; nienawidziłem ich jedynie dlatego, iż przewidywałem, że ich dzieci będą kiedyś jeszcze bogatszemi niż ty, a tém przeważą cię w narodzie. Odejmowałem sobie, że tak powiem, kęs od gęby, żeby coraz więcéj przysparzać dostatków, których byłeś jedynym spadkobiercą. Ta myśl, że z nikim dzielić się nie będziesz po mojéj śmierci, ubarwiała przedemną jéj przerażający obraz. Zakopałem się na wsi, zerwałem wszystkie moje stosunki, tyś dla mnie został dworem, stolicą, światem. Żyłem jak szlachcic miernego majątku, skazałem się na pustelnicze niemal odosobnienie; innéj zabawy nie miałem tylko liczenie pieniędzy, które mi z moich dóbr napływały; zamykając je w kufrach, mawiałem do siebie: to wszystko dla mojego

jedynaka, a to mówiąc, czułem się być czyściejszym na sumieniu i szczęśliwym.

Jedna okoliczność nie dopuszczała mi używać w pełności mojego szczęścia i nie przestawała mnie udręczać. Dowiedziałem się, że żyje jakieś dziecię nieprawéj i sprośnéj miłości, które podli protektorowie podszyli pod nasze nazwisko, skłamali mu metrykę, żeby kiedyś wydzierał prawemu synowi połowę majątku obojga rodziców. Wszystko to ci jest wiadome, niemniéj, że niczego nie zaniedbałem, aby wynaléźć to niecne narzędzie hańby naszego domu, a twojego w przyszłości złupienia. Wszystkie moje zabiegi były daremne, bo zostałem zdradzony przez własne sługi, okryte mojemi dobrodziejstwy, których z kału podniosłem, a którzy pod kierunkiem mojéj niegodziwéj siostry związali się z hajdamakami na naszą zgubę.

Dziwna rzecz! Kiedy ja szukałem po całéj Polsce, a nawet za granicą naszego wroga, zawsze bezskutecznie, on blizko mnie mieszkał, wychowywał, a nawet pełności lat doczekał się w domu mojego plenipotenta, który dopiéro teraz zrzucił z siebie maskę, a którego miałem tak długo za wiernego i poczciwego sługę.

Przez lat kilka umiał mnie uśpić ten podły Bołsunowski, którego zgubić muszę koniecznie. Bo już miałem podejrzenie, że ten Jakób Bokun jest to ów intruz, który póki żyw, zawsze zagrażać będzie naszemu bezpieczeństwu. Nakoniec, wyszukując po całéj Koronie i Litwie ślady pochodzenia tego Bokuna, aż nadto przekonałem się, że on jest tym, którego tak długo szukałem. Kim on jest rzeczywiście, o tém wiedziéć nie chcę. Nie przypuszczam, żeby miał być synem twojéj matki, i w ciągu sprawy, którą prowadzę, ani śladu podejrzenia na nią nie rzuciłem. Nie wierzę, żeby tak dalece się zapomniała; to co niektórzy przebąkują o jéj jakoby związkach ze swoim poddanym, mam za potwarz obmyśloną przez złośliwych, dla pohańbienia naszego domu. Prędzéjbym skłonił się do wierzenia, że ten chłopiec jest owocem skrytych miłostek mojéj siostry, która w zaślepieniu macierzyńskiém chce naszą krzywdą uszczęśliwić tego podrzutka. Bo czegóż się nie może dopuścić kobieta chytra, któréj pierwsze kroki zesromociły starego ojca, kiedy się dała wykraść z jego domu przez jakiegoś nędzarza, — która przez szlak rozpusty i nieprawości doszła do najwyższych faworów, dla mojego i twojego nieszczęścia.

Zresztą, co mam wchodzić, czyim on jest synem, byle tylko siebie nam nie narzucał, byle nie sięgał po nasz majątek, po naszą sławę; tych będę bronił do upadłego. A jeżeli komu się uda przyprowadzić mnie do ostateczności, niech sobie samemu przypisuje następstwa, jakie ztąd wyniknąć mogą dla niego.

Wiesz dobrze, że usiłowałem jeszcze nim była wzmianka o chęci toczenia ze mną téj gorszącéj, a nawet bezprzykładnéj w naszém pra-

wnictwie sprawy, przydusić jéj zarodki. Chciałem porwać to dzisiejsze narzędzie cudzéj zemsty i cudzego łakomstwa, wprzód niż był świadomym kim jest, i jakie mu obmyślają przeznaczenie. Byłbym go osadził w jednym z moich zamków, gdzieby na niczém mu nie zbywało; tyle tylko, że oprócz z jednym moim odźwiernym, któremu w pełności zaufać mogę, a który ma zarząd tego zamku, z żadną żywą duszą nie miałby najmniejszego stosunku, i w więzieniu swojém nigdyby promienia słońca nie ujrzał. Było to prawem konieczności, honor nasz tego się domagał. Swojego czasu, jakby to się pogodzić dało z naszém bezpieczeństwem, byłbym go puścił, nawet obdarzył; zresztą, co tak dalece za nim przemawiało? Już zdradzał niegodziwe skłonności, już był zbratany z rozbójnikami, kiedy aż jednego z nich, z narażeniem własnego życia, ze wzgardą prawa i sprawiedliwości, zasłonił od kary, która mu była należną.

Ty to uczułeś, synu, i sam z wielką moją radością podjąłeś się na czele moich kozaków schwycić go na gościńcu publicznym. Tyle tylko, że wymówiłeś sobie, by mu nie tylko życia nie odjęto, ale nawet kalectwa nie zadano. Ta zbyteczna dobroć twoja przyniosła ci szkodę, omało żeś jéj życiem nie przypłacił. Dałeś czas rozbójnikom, jego przyjaciołom, przyjścia mu w pomoc, sam wpadłeś w ręce ich herszta, pod jego nożem dać musiałeś rozkaz wiernym naszym kozakom, żeby się rozbroili, a tak wydarto ci zwycięztwo, i z niém utworzono dla nas pasmo przygód, których jesteśmy ofiarą.

Rozbójnicy, z którémi, jak widać, był ściśle sprzymierzony, wywieźli go z kraju; już nie było sposobu ztamtąd go wydostać. Żył w towarzystwie najwłaściwszém dla siebie. Rozbijał z przyjaciołmi do niego podobnemi; zaczynałem być spokojniejszym, cieszyłem się nadzieją, że da Bóg, w jakiéjś złodziejskiéj wyprawie znajdzie koniec zbrodniczego żywota. Tymczasem zrobiło się inaczéj; wszystkie jego rozboje, w których tak umiał się popisywać, że pozyskał odgłos w Zaporożu, uszły mu na sucho. Obładowany łupieztwem, obryzgany krwią niewinną, wywołany prawami Rzeczypospolitéj, przybył do niéj, żyje w jéj stolicy z czołem podniesioném, prowadzi ze mną sprawę, by mnie zmusić do przyznania go za syna. I rodzona moja siostra, Kierdejów krew, zapalona zemstą i zawziętością na mnie, zapomniawszy co winna sobie i swojemu domowi, robi się ciotką podłego hultaja, ulicznego złodzieja, prostego chłopa do siermięgi i batogów stworzonego. Ten istny potwór w spódnicy, na hańbę naszego domu urodzony, który postępkami swojemi śmierć naszemu ojcu przyśpieszył, a mnie pragnie zgubić na majątku i na sławie, jak już mnie zgubił u dworu, tak umiał ukartować swoje intrygi, że temu łajdakowi zjednał opinią publiczną i wszystkim zdołał wmówić, że ten szubienicznik jest moim prawym synem.

Ciebie, mój Auguście, mam za podporę i nadzieję mojego domu. Jesteś ostatnim żyjącym Kierdejem, bo mnie już nie ma czego liczyć, a jednak, gdybyś się dopuścił wyrywać złodziejów z rąk sprawiedliwości, a potém lat kilka był Zaporożskim hajdamaką, tobym się ciebie zaparł, wyrokbym z ciebie uczynił, woląc widziéć moje imię zgaśnięte, niż noszone przez zbrodniarza. A miałbym przyznać za moję krew hultaja z rodu, z powołania, z postępków, któryby dawno wisiał, gdyby w rządzie naszym była jakakolwiek sprężystość? Wszakże on w każdym kroku udowadnia nikczemność swojego pochodzenia; dowiaduję się, że czeka tylko wyroku, który mu zapewni prawo do noszenia naszego nazwiska i do spadkobierstwa po mnie, żeby się ożenić z córką libertowanego poddanego niegdyś mojego teścia. Patrz, do jakiego zaślepienia doprowadzić może chęć zemsty! Moja siostra, robiąc się jego ciotką, sama dopomaga temu związkowi.

Ona wszystkich służących moich ujęła. Takie umiała w nich wzniecić wyobrażenie o swojéj potędze w narodzie, że już mnie za nic mają. Mój umocowany Nietyksza ciągle mnie zdradzał; to co u mnie dostawał na obowiązanie sędziów, przy sobie zatrzymywał, usypiał mnie nadziejami, jakie mi wmawiał o ich przychylności sowicie opłaconéj, a tymczasem pani Krajewska ich zobowiązała dla siebie tak, że zostali ślepém narzędziem jéj woli. Dziś odpędziłem Nietykszę, a na późniéj odkładam karę, jaką temu infamisowi przeznaczam.

Nieprawość zuchwałą głowę podnosi. Żadnéj nadziei już nie mam w nuncyaturze. Ten rozbójnik będzie uznany za mojego syna. Ale niechaj się nie cieszy wygraną! Słuchaj, synu, jeżeli jak wprzódy, czujesz się być prawdziwym Kierdejem, jeżeli czułym jeszcze jesteś na honor twojego ojca i twojego domu, będziesz współuczestnikiem mojéj zemsty; jeżeli zaś twoje serce tak daleko zobojętniało, że obojętnie patrzyć możesz na twoją i twojego ojca krzywdę, pamiętaj, że pod błogosławieństwem ci przykazuję, byś niczém nie zdradzał téj ufności jaką w tobie pokładam. Ty mnie rozumiesz; nie śpiesz się z odpowiedzią, daję ci czas do namysłu. Jutro rano mi powiesz, czy jesteś jeszcze tym samym Kierdejem, który usiłował porwać tego podłego przywłaszczyciela naszego imienia? lub czy tak dalece twoje przyrodzenie się odmieniło, że przeciw własnemu ojcu chcesz zostać jego obrońcą? Masz wybór do uczynienia. Zostaw mnie; tak czuję się wzruszonym, tylu pociskami jestem rażony, że potrzebuję być samym, ażali spoczynek nie zrobi przerwy cierpieniom mojéj duszy, i nie użyczy mi siły do wytrzymania zgryzot, któremi jestem obarczony.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Łatwo wyobrazić sobie, co się dziać musiało w duszy Augusta, kiedy powrócił do swojéj komnaty; znając ojca, nie mógł wątpić, że życie Jakóba w największém zostawało niebezpieczeństwie. Jakkolwiek jego serce brzydziło się współuczestnictwem zbrodni, jakkolwiek był przejęty namiętną niesprawiedliwością ojca, nie nasuwał się przed nim środek do ocalenia brata. Ojciec jest zawsze ojcem, a August był w tém smutném położeniu, że lubo nie mógł zamykać oczów na wybryki jego ponuréj duszy, jednak miłował go z całego serca, i tylko ubolewał nad jego zapamiętałością, pokrywając ją jak mógł swojém przywiązaniem. Najmniejszém ostrzeżeniem nie mógł ratować Jakóba, choć za nim silnie przemawiały i głos natury i szacunek, jaki był powziął dla jego cnót. Ostrzegając brata, mógł zgubić ojca, bo mu wiadomo było, iż Jakób nic nie miał skrytego dla pani Krajewskiéj, jak ten jego o tém sam upewnił. A niemniéj wiedział, jaką straszną broń przeciwko ojcu miałaby kobieta niemniéj od swojego brata zawzięta, a jeszcze pobudzona namiętném przywiązaniem do przybranego syna. Nakoniec zaklęcie ojca ani pomyśléć mu nie pozwalało o wyjawieniu tajemnicy, o któréj rad był zapomniéć.

Było coś podobnego w położeniu obu braci; i Jakób miał ojca wywołanego z kraju za zbrodnie, którego miłował do najwyższego stopnia, a dla którego z ochotą życie swojeby poświęcił. Wprawdzie ten ojciec z wypadku został zbrodniarzem, i miał szlachetną duszę, w czém przywiązanie do niego na nieco gruntowniejszéj opierać się mogło podstawie; ale z drugiéj strony, w obliczu prawa pan łowczy był niewinny, jeszcze się mógł cieszyć dobrą sławą, wolno mu było oddychać ojczystém powietrzem. Dlaczegóżby syn nie miał ukrywać przed sobą wad ojca, jeszcze w czyny nie zamienionych, i odmawiać szacunku temu, który jeszcze posiadał szacunek praw swojéj społeczności; gdyż na stronie zostawiając to co o nim nieprzyjaciele mówili, żadnéj rzeczywistéj zbrodni nie można było mu zarzucić. Nie był zbrodniarzem, jak ojciec Jakóba, co najwięcéj mógł być złym człowiekiem, a tego synowi nie godziło się widziéć, bo tém nie tracił praw do jego przywiązania.

Ostatnia mu pozostawała nadzieja w ofierze, jaką mu zrobił Jakób, zrzeczenia się wszelkiego spadku po rodzicach obojgu. Widział, że ojciec już nie spodziewał się pomyślnego wyroku, a że ten wyrok był ostatecznym, i nie było środka z niego się wyłamać, więc pomyślał sobie: może mój ojciec przyjmie na uwagę, że czy tak, czy inaczéj, a Jakób będzie uznany za jego syna. Jeżeli to nastąpi za wyrokiem nuncyatury, będzie musiał mu natychmiast zwrócić połowę majątku

mojéj matki, a więc lepiéj ocalić ten majątek, i okazać się wspaniałym, uprzedzając ogłoszenie wyroku. Ta myśl wzniosła się nad innemi myślami, i z nią zasnął uspokojony.

Nazajutrz powołany został do ojca, który rzekł mu :

— Czy widzę w tobie prawdziwego Kierdeja, gotowego na wszystko się odważyć, by to imię tak świetne zniweczoném nie było? lub téż człowieka słabego, skorego do przebaczenia największéj obelgi, nie cofającego się przed hańbą, nie widzącego nawet jéj tam, gdzie krokiem śmiałym i stanowczym przychodzi ją odpierać? Mów, synu, czego mam się spodziewać po tobie?

— Ojcze drogi! wszystko przenieść wolę, niż użyczyć mojego współdziałania ku czynności, którąby przez resztę dni, jakich mi Bóg dożyć pozwoli, sumieniu mojemu ani jednéj chwili spokojnéj nie zostawiła.

— Nie zawsze, mój synu, miałeś sumienie tak draźliwe.

— Prawda, że stosując się do woli twojéj, ojcze, nastawałem na wolność tego, który wówczas nie dał nam żadnego powodu, byśmy go prześladowali. Życie i zdrowie jego miały być ocalone, a jednak podobne odjęcie wolności niewinnemu jest wielkiém przewinieniem i srodze udręcza napastnika. Doświadczyłem to aż nadto, kiedy byłem pod nożem tego, który mu przybył na ratunek. Miły ojcze, nie możesz sobie wyobrazić, przez jaką okropną chwilę przechodzić musi ten, który nie będąc czystym na sumieniu, widzi śmierć tuż, tuż przy sobie stojącą. Wszelka odwaga wtenczas mnie odstąpiła, trwoga mnie ogarnęła, w jednéj chwili zostałem podłym tchórzem, tak, że jak niewolnik swojemu panu, tak byłem posłuszny temu, od którego woli zależało albo mnie puścić, albo życie odebrać. Ten wypadek posłużył mi za naukę; postanowiłem odtąd szanować cześć i bezpieczeństwo bliźnich, woląc stokrotnie sam cierpiéć krzywdę, niż ją wyrządzać komubądź. Moje przeznaczenie w ręku Boga; wedle sprawiedliwéj i wszechmocnéj swojéj woli niech niém rozporządza, a co tylko o mnie postanowi, chcę to przyjąć, będąc czystym na sumieniu.

— A więc odstępujesz ojca, żeby się łączyć z jego nieprzyjaciołmi? Chcesz na pośmiewisko wystawiać jego starość? Kiedy mnie wszyscy zdradzili, pocieszałem się tém, żeś ty przynajmniéj pozostał. Teraz dopiéro czuję osamotnienie mojéj duszy.

— Ojcze kochany, rozdzierasz moje serce tą niezasłużoną wymówką! Bądź pewny, że mój los jest ściśle z twoim związany; jakikolwiekby był, od niego się nie oddzielę, ale zawsze z czystém sumieniem.

— Idźże, synu, do pani Krajewskiéj, ostrzeż ją, że póki będę żywym, nigdy jéj protegowany bezpiecznym nie będzie, ażeby zapobiegając niebezpieczeństwu, uprzedziła je moją śmiercią.

— Nie, mój ojcze, nigdy z ust moich nie wyjdzie nic takiego, coby

ci mogło nie tylko niesławę, ale nawet najmniejsze podejrzenie pobudzić. Siebie mogę narazić, ciebie nigdy; ale na cóż mamy się dopuszczać myśli tak ponurych? Czyby nie można łagodniejszym sposobem dojść do celu?

— A to jakim sposobem?

— Uprzedzając zgodą wyrok sądowy, w którym sam pokładasz tak mało nadziei.

— Na jakichże warunkach podobna zgoda zawiązać się może?

— Oto uznaj za syna tego, którego prześladujesz, a on się zrzecze wszelkiego spadku i po tobie, i po naszéj matce.

— Ja, żebym go przyznał być krwią moją? To być nigdy nie może. Czyżby on sam na to się zgodził? czy tego pani Krajewska dopuści?

— Nie inaczéj, i pewny jestem, że z radością, ze skwapliwością na to przyzwoli. Tym sposobem ocaliłbyś sławę mojéj matki, bez uszczerbku twoich dostatków, koniec kładąc gorszącéj sprawie, która tyle nieżyczliwości na nas wywołała.

Pan łowczy zamyślił się, i długi czas pozostał w milczeniu. August z biciem serca, z uchem natężoném, czekał skutków tego zadumania. Doczekał się nakoniec tych słów:

— Nie, to musi być jakiś podstęp, chyba że wątpią o wygranéj; inaczéj byłaby to rzecz niepojęta. Milionów nikt nie wyrzuca. Jest w tém jakaś tajemnica, którą koniecznie odsłonić muszę! Niestety, nie mam się kogo poradzić; syna dusza, od mojéj się oddala, a żadnego nie umiałem sobie zrobić przyjaciela. Łaknę szczęścia, pokoju, a nie mogę go znaléźć! Jestem ubogim wśród moich bogactw, poniżonym obok zaszczytów, które mnie otaczają! głodnym wśród przesytu tego wszystkiego, co pochlebiać może zmysłom i wyniosłości! jestem najnieszczęśliwszym z ludzi; chciałbym umrzéć, a śmierci się lękam!

To rzekłszy, wziął głowę w obie ręce i oparł ją na krawędzi kantorka, przy którym siedział.

— Ojcze kochany! — rzekł August, uklęknąwszy przed nim. — Będziesz szczęśliwym, przyjm ofiarę Jakóba, a Bóg cię obdarzy tym wewnętrznym pokojem, bez którego ani wielkości ludzkie, ani bogactwa, ani nawet władztwo najwyższe nie uwolnią od udręczenia, jakiego doświadczamy, kiedy mamy coś do wyrzucenia sobie. Wielką naukę Bóg na mnie dopuścił, kiedy mi połamał szyki w czasie mojego napadu na Jakóba. W jednéj chwili oświecony zostałem; poznałem, że człowiek nie na to stworzony, żeby łaknął bogactw wyniesienia się nad innych w tém nędzném kole, co go nazywają wielkością ludzką! Szczęście jest wewnątrz człowieka, a wszystkie korzyści świata nie przeważą boleści zadanéj od skażonego sumienia. Poznaję, że szczęśliwszy los skrzywdzonego, niż tego, który krzywdę wyrządza bliźnie

mu; a odkąd złożyłem gniewliwe serce, odkąd umiłowałem bliźnich, a ograniczyłem moje żądze, nabyłem jakiegoś błogiego przeświadczenia wewnętrznego pokoju, o którym wprzódy wyobrażenia nie miałem, a którego napróżnoby oczekiwać od potęgi i od skarbów ziemskich.

— Dość tego, synu — odpowiedział ojciec — zostaw mi czas do namyślenia; młody ulega pierwszemu wzruszeniu, stary musi prowadzić się rozwagą. Całe moje życie było na to poświęcone, żebyś miał czém utrzymać w świetności wielkie imię, które z krwią otrzymałeś odemnie. Biada człowiekowi wysokiego rodu, który nie z własnéj ochoty, ale z potrzeby musi piędzią się mierzyć. Młody jesteś, a więc nie pojmujesz, na jakie poniżenie on jest wystawiony pośród zawistnych którzy go otaczają, a w których wzniecić nie może ani bojaźni, ani nadziei. Jakże chcesz, żebym w jednéj chwili odmienił przekonanie nabyte doświadczeniem sześćdziesięcioletniém? Wierz mi, synu, że w naszéj społeczności bogactwa są wszystkiém; kto ma pieniądze, ten wszystko może i wszystkiemu zdoła zaradzić. Zostaw mnie, synu, a spuść się na ojca.

Odszedł August zasmucony, ale nie bez nadziei; lecz ta niepewność, jakie będzie postanowienie ostateczne ojca, była może więcéj dręczącą niż rozpacz; wywarła ona wpływ na jego humor. Najśpieszniéj poszedł do brata; często przytulał go do swojego łona, czasem łzy wydobywały mu się z oczów. Jakób widział, że go jakaś zgryzota trapi, bo rzadko kiedy usta otwierał, a ciągle był zasmucony; nie śmiał go wyciągać na słowa, żeby poniekąd nie podchodzić jego ufności, tylko czekał, dopóki sam z siebie nie otworzy się przed nim.

Co jeszcze więcéj robiło Augusta niespokojnym, że od trzech dni po ostatniéj swojéj rozmowie z ojcem widzieć go nie mógł; pan łowczy, zamknięty w swojéj komnacie, miał ciągłe konferencye to ze swojemi jurystami, to ze sługami świeżo przybyłemi z jego dóbr, a tylko syna nie kazał puszczać do siebie. Kazał mu tylko powiedzieć, że tak jest zajęty, iż nie może ani jedną chwilą rozporządzać, ale że za kilka dni będzie wolniejszy, że go przywoła do siebie, i że mu zaleca bywać na wielkim świecie i szukać wszelkich rozrywek. To niemało zwiększyło syna niepokoje.

Jednego poranku przyszedł do niego kassyer ojca, stary i zaufany sługa.

— Co mi powiész Budaresiu? — rzekł mu August, który go lubił.

— Oto z rozkazu jegomości przychodzę do JW. łowczyca. Jegomość zauważył, że już dawno pan niczego z naszéj kassy nie czerpnął, a więc kazał mnie JW. pana zapytać, co to jest? Nie żałuj nas, panie, z łaski Pana Boga nasza kassa jest pełna, żeby się było o co kłopotać. Dnia wczorajszego świeży grosz nam przybył z Gdańska za klepkę i potaż; dziesięć tysięcy czerwonych złotych z pod jednego

stempla, jak obszył; tak błyszczą, że aż miło. Niech JW. pan weźmie z tysiąc na swój użytek, tém pocieszysz jegomości, który wyraźnie mi powiedział: Mój Gucio, z przeproszeniem pańskiém, za bardzo oszczędza naszą kassę, jakby to co moje, nie było jego. Wszakże człowiek nie dla siebie pracuje, ale dla niego. A kiedyż będzie używał, jeżeli nie w młodym wieku? bo nam starym niewiele potrzeba. Namów go, żeby przynajmniéj tysiąc czerwonych złotych obrócił na siebie. Przytém dowiaduję się, że chłopiec smutny; niech zdrów rozrywki szuka, a za pieniądze ją znajdzie; stary niech się smuci, a młody niech się bawi. I ja kiedyś się bawiłem.

— Dobry, kochany ojciec! On chce, żebym się bawił, kiedy sam przewidując, że sprawa na którą zjechał do Warszawy źle pójdzie, tak jest zasmucony, że nawet zemną widziéć się nie chce.

— Jakto przewiduje! To JW. pan chyba o niczém nie wiesz. Dziś o szóstéj z rana przynieśli mu kopią rezolucyi dnia wczorajszego zapadłéj w nuncyaturze. Ja zaraz poznałem, że musi być nic potém.

— Biedny ojciec! jakże to musiał uczuć, on, który z taką troskliwością jéj pilnował.

— Otóż nie bardzo. Póki człowiek spodziewa się biedy, póty ona go trapi, a jak na niego uderzy, to mu lżéj. Zresztą większy szwank poniósł w ambicyi, niż w majątku. Zapewne, że wypuścić z rąk połowę dóbr świętéj pamięci JW. łowczyny, to twardy kęs do zgryzienia, ale czy mało mu pozostaje bogactwa? Cała massa Kierdejowska, z pod Żytomierza aż po za Owrucz własnemi dobrami jechać, to nie piechotą chodzi, a połowę Sołomereczczyzny na Pobereżu, gdzie step jak morze, a dwa starostwa intratne, nawet w Mazowszu ma kawałek, coby poczciwemu szlachcicowi do śmierci wystarczył. A co gotówki, o tém tylko Bóg i ja wiemy. Jeżeli mu narzucili syna, o którym nie wiedział, to może cokolwiek mu pomięszać szyki, ale cóż robić? Ja wierny a stary sługa waszego domu, z przeproszeniem JW. pana, więcéj się tém cieszę niż smucę. Bo jużci lepiéj, żeby było dwóch Kierdejów, niż jeden. JW. pan nie żonaty, a broń Boże nieszczęścia; albo domy nie gasną w Polsce? A gdzież są Sołomereccy, Zbarazcy, Rużyńscy, Wiśniowieccy, Korjatowicze i inne mitrowane głowy Ruskie i Litewskie, na które my starzy w naszéj młodości patrzali? Aż serce boli, że z tylu kniaziów na naszéj Rusi, jedni tylko Czetwertyńscy pozostali. Co mam gadać? Jak mnie JW. pan żywego widzisz, tak widziałem, że jegomość ten pocisk przyjął z mężném sercem, a jak jeszcze zobaczy, że JW. jego syn nań patrzy spokojnie, to i sam się zupełnie uspokoi, i wesół powróci do swojego dziedzicznego zamku na naszém Polesiu, bo jemu nie w mieście żyć. Tu dla niego nie ma rozrywki; on wkrótce każe JW. panu przyjść do siebie, a tymczasem niech pan weźmie ten worek zapieczętowany, co go trzymam w rękach. Jego-

mość będzie się cieszył, że jego ofiara dla syna nie jest odrzucona, i mnie za to podziękuje, a gdybym nie z próżnemi rękoma do niego powrócił, wiem żeby mnie kwaśno przyjął. Niech JW. pan raczy mi kwitek podpisać, żeś odebrał tysiąc czerwonych złotych; możesz JW. pan je przeliczyć.

— Mój Budaresiu, tyś się nigdy nie omylił w rachunku.

A po krótkiéj pauzie, napisawszy kwitek, rzekł do niego:

— Oto masz kwitek; podziękuj jegomości odemnie i powiédz mu, że czekam by mi pozwolił u nóg jego sam złożyć podziękowanie.

— Ale, ale! Oto zemnie cap! Tak się zabałamuciłem to tém, to owém, że zapomniałem o najważniejszéj rzeczy, przynajmniéj jak to się zdaje mojéj ubogiéj w rozum mózgownicy, a wiem, że JW. pana ucieszę. Oto JW. podkomorzy Niemierzyc z żoną i córką wczoraj wieczór przybyli do Warszawy, i stanęli w lewém skrzydle Prymasowskiego pałacu, bo jak wiadomo JW. panu, on ma wielkie zachowanie u księcia Prymasa, a nawet jakąś z nim kolligacyą. Kto wie? może się ściele, żeby ukartować to, co już od tak dawna się kartuje. Jakby to nastąpiło, jegomość takby był uradowany, że i przykrość jaką ponosi teraz z głowyby mu wywietrzała. Kiedy syn choć nie jedynak, ale starszy się żeni, wielkie szczęście dla ojca; bo co się tyczy majątku, to co JW. pan straciłeś nie zasługuje, żeby o tém wspominać. Połowę majątku macierzystego stracić, prawda że szkoda, ale jegomość jakoś załata tę dziurę, a pewnie że oprócz tego JW. pan z nikim dzielić się nie będziesz tém, co się zostanie po najdłuższém życiu JW. łowczego. Albo nie dość? A dla Boga, a dla Boga! Niech JW. pan tylko najprędzéj się ożeni, a wszystko pójdzie jak z kłębka; powiem jegomości, że pana bynajmniéj nie zmięszałem niepomyślną wiądomością o jego sprawie w nuncyaturze. Wiem, że jegomość dobrze to przyjmie i zaręczam, że on więcéj się kłopocze z powodu JW. pana, niż z siebie samego.

To wyrzekłszy stary poczciwy gaduła, odszedł nakoniec z kwitkiem Augusta.

Nie na długo go samego zostawił, bo wkrótce powrócił z uwiadomieniem, że ojciec go powołuje do siebie.

August odpieczętował worek, wyjął z niego garść złota do swojéj kieszeni, nie przerachowawszy jéj ilości, z niemałém zgorszeniem Budarowskiego; resztę włożył w szufladę od kantorka, i poszedł do ojca, którego znalazł spokojniejszym niż się spodziewał, bo niebardzo się spuszczał na to, co mu powiedział Budarowski o usposobieniu jego ojca.

Przyszedł tedy do jego komnaty; w niéj zastał ojca, który jeszcze odczytywał jakieś pismo, zapewne kopię wyroku, który miał być ogłoszony. Pan łowczy, skoro zobaczył syna, odłożył pismo na stronę, by

go powitać. Ten pocałował go w rękę, dziękując za upominek dopiéro mu wręczony przez Budarowskiego.

— Synu! — rzekł mu ojciec — o tém nie mówmy, chociaż już nie jesteś jedynakiem, odkąd intryga przemogła prawo i sprawiedliwość; Bóg da, że zawsze zdołam uprzedzić twoje potrzeby.

— Ojcze drogi! lubośmy ponieśli szkodę, ona tém mniéj zmartwienia mi przynosi, iż mam zapewnienie Budarowskiego, że ojciec dobrodziéj ją ponosisz spokojnie. Co do mnie, zawsze uważałem straty pieniężne jako najmniéj dotkliwe, gdyż one łatwiéj od wszelkich innych dają się wynagrodzić. Lękałem się przegranéj jedynie z tego względu, żeby nie przyniosły zbytniego smutku ukochanemu ojcu; jakże jestem uszczęśliwiony, że go widzę przyjmującego ten cios z pogodą duszy.

— A cóż mam robić, synu? Niech i tak będzie, byłem do tego przygotowany. Nie pierwsze to upokorzenie, którego doświadczam w Warszawie. Bylem tylko załatwił się z tym, który tobie wydziera połowę majątku twojéj matki, opuszczę to obrzydłe miasto, gdzie moja noga nigdy już nie postanie, i wrócę na wieś, któréj do śmierci nie opuszczę. Daj Boże, żebym cię widział postanowionym, nim zamknę powieki. Pan podkomorzy Niemierzyc od dnia wczorajszego z rodziną swoją przybył do Warszawy. Między nami zaszła oziębłość; jednak gotów jestem kroki uczynić do odnowienia z nim dawnych stosunków. Wiem, że masz skłonność do jego córki; odwlekałem chwilę oświadczenia się o jéj rękę, bo chciałem wprzódy koniec położyć naszemu nieszczęśliwemu interesowi, ale gdy doczekałem się tego końca, jakkolwiek niepomyślnego, niczego nie zaniedbam dla przyśpieszenia waszego związku. Szczęśliwym będę widziéć was oboje na wsi, odemnie nierozdzielnych; tylko już teraz nie jesteś tak bogatym jak wprzódy. Może pan podkomorzy nie zechce miéć zubożałego zięcia.

— Co téż jegomość dobrodziéj mówisz? Dom pana podkomorzego, do którego uczęszczałem, starając się o przyjaźń jego córki za zezwoleniem ojca dobrodzieja, jest tak uczciwym, że nie tylko ta mała nasza strata u niego szkody nam nie przyniesie, ale nawet gdyby do stanu mierności mnie zniżyła, toby jego szacunku dla mnie nie zmieniło, tém więcéj że czuję się być godniejszym ręki jego córki, niż byłem nim wprzódy.

— To téż tylko tak się mówi, aby pożartować w nieszczęściu. Jeszcze ci wystarczy dla utrzymania żony; przecie wszystkiego nie wydarli. Jakoś to będzie! jednę rzecz tylko ci zalecam. Bywasz u pani Krajewskiej; możesz jéj odemnie powinszować wygranéj, a nawet oświadczyć, że głowę schylam przed jéj rozumem i przebiegłością, ale powiédz jéj, żeby na tém poprzestała, a zaniechała tych wszystkich scen romansowych i usiłowań, by mnie zbliżyć z jéj ulubieńcem.

Co mi każą mu oddać, oddam; proszę tylko żeby mnie unikał. Ja go widziéć nie chcę! Jego protektorka ma wielu przyjaciół; nietrudno jéj wybrać takiego, coby umiał zemną się porachować, byle tylko nie szubienicznika Bołsunowskiego; niech się nie spotyka z moim wzrokiem, na témby źle wyszedł. Ty nie pojmujesz, co to jest złość djabła, kiedy weźmie na siebie spódnicę. Ja wiem, czego ona chce; oto temi dniami, gdy już utworzyła sobie Kierdeja dla pohańbienia naszego domu, a więc sprawi mu wesele z swoją libertowaną poddanką, na które całą Warszawę zaprosi, żeby się pastwić nad nazwiskiem, którego się haniebnie wyrzekła. I jeszcze mnie zaprosi, żebym mniemanemu mojemu synowi dał błogosławieństwo ojcowskie. Powiédz jéj, niech się tego nie waży uczynić, bo mogłaby utonąć u portu. Co temu łotrowi podobni jemu łotrzy przysądzili, to oddam, nie jednę, ale obie poły oderznę sobie, byle o nim nigdy nie słyszéć, ani o jego protektorce. Niczego nie pragnę, jak skończyć najśpieszniéj, żeby się jak kret w swojéj ziemi zakopać. Niech mi o żadnéj zgodzie, o żadném przybliżeniu się nie wspominają; niech się cieszą tém, co na mnie zrabowali. Dziś zawieźć się każę do pana podkomorzego, i z nim skończę, a potém nie wyjdę z domu, dopóki nie będę mógł siąść do pojazdu, który ma mnie wywieźć do mojego Polesia. Powiédz więc pani Krajewskiéj, że czekam z niecierpliwością ich umocowanych ad hoc, ażeby wszystko między nami się skończyło, i żebyśmy o sobie zupełnie zapomnieli.

Na tém się skończyła ich rozmowa, która niemiłego wrażenia wcale Augustowi nie sprawiła, gdyż w usposobieniu ojca nic tak dalece zagrażającego nie upatrzył.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

August jak najśpieszniéj pobiegł do brata, żeby mu z całego serca powinszować wygranéj. Nie zastał go w jego komnacie, ale słudzy mu powiedzieli, że jest u pani Krajewskiéj; do niéj więc się udał. Przedpokojowy zameldował go pani, a ta kazała go puścić.

Gdy wszedł do jéj gabinetu, zastał ją rozmawiającą z Jakóbem i panem Bołsunowskim. Pierwsze co zrobił wszedłszy do izby, była rzucić się na szyję Jakóba, uściskać go w swojém objęciu, oświadczając mu tym sposobem swoją radość z szczęśliwego wypadku, jaki mu się wydarzył.

W tém jego poruszeniu było coś tak samorzutnego, tak szczerego, że serce pani Krajewskiéj nie mogło się oprzéć zadziwieniu, a razem

rozczuleniu. Powstała ze swojego miejsca, podała mu rękę, i pierwszy raz w życiu przycisnęła go do swego łona, i pocałowała go w czoło. Wszyscy tak byli przepełnieni czułością, że przez jakiś czas nie byli w stanie słowa wymówić. Jeden tylko rejent pozostał takim, jakim był zawsze, to jest zimnym i rozważnym widzem każdéj sceny, która się przed nim odbywała.

W saméj rzeczy, kilkudziesięcioletnia nauka prawa i praktyka prawnictwa tak dalece w nim zobojętniły wszelkie inne zdolności duszy, że był jakby skamieniały na to wszystko, co się wprost do nich nie odnosiło. W towarzystwie zwykle żadnego udziału nie brał przy rozmowie, lecz był cierpliwym, a tém samém bardzo wygodnym słuchaczem tego co mu kto mówił; a że roztargnienie, jakiego doświadczał, umiał pokrywać pozorem natężonéj uwagi, każdy gaduła pochlebiał sobie, że to, iż najmniejszém słówkiem nie przerywał napływu jego wielomówności, było skutkiem zajęcia, jakie w nim umiał obudzić. Dopiéro kiedy kto się odezwał o swojéj, czy o cudzéj sprawie, cała energia duszy rejenta występowała na wierzch. Wtedy okazywał się mownym, ognistym, czasem szczytnym. W innych materyach często przyznawał się do zupełnéj nieświadomości, i tém zwłaszcza robił sobie przyjaciół, bo to jest w przyrodzeniu ludzkiém, że każdy lubi innych nauczać tego co sam umie, lub co mu się zdaje że umie. Pod tym względem pan rejent był nieoszacowanym słuchaczem choćby najniedorzeczniejszéj gadatliwości; myślał o jakiéjś sprawie, podczas gdy mu pleciono androny, a tém samém wolne pole zostawiał niezmordowanemu gadule. Jakże nie miał go zawojować?

Wedle swojego zwyczaju patrzał w milczeniu na ten rzewny dramat familijny, myśląc o czém inném. W głowie mu było śpieszne połączenie dekretu trybunalskiego z wyrokiem nuncyatury, i czyby nie można pociągnąć pana łowczego do kalkulacyi z tak długiego posiadania połowy majątku ś. p. pani łowczyny, już przysądzonego Jakóbowi, albo przynajmniéj tém go nastraszyć. Była mu na sercu ekspulsya, jakiéj pan łowczy dopuścił się na niego, a lubo umiał władać sobą i zawsze przybierał postać uciśnionego przemocą szlachcica, niedopuszczającego się słowa żalu przeciwko prześladowcy możnemu, był mściwym i zawziętym do najwyższego stopnia.

W takiém będąc usposobieniu, nie brał udziału w tém, co się przed jego oczyma odbywało, a tylko różne projekta tworzył, żeby dokuczyć łowczemu. Z obszarów myśli przeszedł do krainy rzeczywistości, kiedy pani Krajewska odezwała się:

— Powinszuj mi szczęścia, Bołsunosiu, że mam tak poczciwych synowców. Patrz jak się kochają; chociaż była między niemi sprawa, poznać niktby nie potrafił, który z nich ją wygrał, a który przegrał, bo nic przerwać nie może ich braterskiéj jedności.

kamień z głowy spadnie, bo póki on bawić będzie w Warszawie, ani jednéj chwili spokojnéj mieć nie będę; zawsze lękać się będę waszego spotkania się z sobą. Przebacz, Guciu, że to mówię w twojéj przytomności o twoim ojcu; ale tobie wiadomo, jak często się odgrażał na twojego brata, tak żeś sam nieraz ucierpiał z jego powodu. Jestem kobietą; nie wymagaj odemnie mężkiéj odwagi. Otwarcie wyznaję, że kiedy rzecz chodzi o bezpieczeństwo tego, którego kocham jakby mojém własném był dzieckiem, ledwo że cieniu się nie lękam.

Bracia obaj splotłszy się ramionami, wyszli, zostawując ciotkę z Bołsunowskim. Jakób zaprowadził Augusta do swojéj kwatery i powiedział mu na wstępie:

— Mój Guciu, przedewszystkiém chcę, żebyś mnie szacował. To co wyszło z ust moich, to powinno być dotrzymane; wyrok nuncyatury w niczém naszego wzajemnego położenia nie odmienił. Oświadczyłem się przed tobą z tém, że bogactw nie pragnę, a jeszcze mniéj takich, które tobie przynoszą szkodę. Dziś, jako właściciel połowy majątku naszéj matki, mam wszelkie prawo nim rozrządzać, a więc nie pozostaje mi, jak tylko zrobić z niego reces na twoję korzyść. Tym sposobem gniew twojego ojca się ułagodzi, a chociaż to się nie zgadza z widokami naszéj ciotki, wiem że się da przekonać, jak jéj powiem, że bojaźń o moje bezpieczeństwo zmusiła mnie do tego kroku bez czekania jéj zezwolenia. Moja Helena od dawna jest uwiadomioną o tém mojém postanowieniu, i z radością zgadza się z moją wolą. Zostaw mnie mojéj mierności przyjm na swój pożytek to, co z mojéj strony żadną nie może się nazywać ofiarą, i oświadcz twojemu ojcu, że nic z bogactw swoich nie utraci, a więc nie ma żadnego powodu mnie nienawidzić.

— Jakóbie, nie znasz mnie, jeżeli myślisz, że mogę dary przyjmować nawet od ciebie; muszę cię kochać, kiedy się nie oburzam na krzywdę, jaką mi wyrządzasz, robiąc mi ofiarę, którą tylko podły człowiek mógłby przyjąć. W imię naszéj przyjaźni, naszego braterstwa, cośmy je sobie zaręczyli wprzódy, nim jeszcze sprawa o nas a bez nas rozwiązaną została ostatecznie; nie powtarzaj mi nigdy tego, coś dopiéro powiedział. Dość będzie téj rany, którą mi zadałeś, a którą aż nadto boleśnie czuję.

— Ale, mój Guciu, zważ sam....

— Dość tego, Jakóbie, zbyt jesteś dla mnie drogim, żebyś mnie mógł obrazić, ale gotów jestem na klęczkach cię prosić, iżbyś mnie nie krzywdził. Pożegnać cię trzeba, bo musisz się udać do pana kasztelana, a ja w swoją stronę, choć prawdziwie nie wiem, gdzie się udać, bo wszędzie się nudzę, gdzie cię nie spotykam.

— Poczekaj jeszcze, Guciu, muszę się przebrać, to cokolwiek czasu

zabierze, a nie chciałbym ani jednéj chwili twojego towarzystwa stracić.

I w przytomności brata, chłopiec węgrzynek zaczął go ubierać pod baczném okiem szatnego.

— Napatrzyć się nie mogę na twój ubiór — odezwał się August po krótkiém milczeniu. — Jakaż to suknia poważna, a razem wrażliwa! jak ten pas, i ten z lamusu żupan gustownie odbijają szkarłat kontusza! Albo te buty żółte, czy mogą z niemi wytrzymać porównanie nasze zasprzączkowane trzewiczki? Odzież polska jest odzieżą pańską, a nasza niemiecka, kusa, co najwięcéj jest odzieżą dworaków, którzy muszą się krótko nosić, żeby byli zwinniejsi do posług. Zazdroszczę ci, Jakóbie, twojego ubioru.

— A któż ci broni ubierać się jak ci się podoba?

— Ja téż myślę przebrać się po waszemu. Nawet przyrzekłem to kiedyś mojéj bogdance; jakoś nie przyszło do tego. Czy wiesz, że ona tu z ojcem i matką przyjechała wczorajszego wieczora? a ja jeszcze jéj nie widziałem?

— Jak widzę, twoja miłość nie w gorącéj wodzie skąpana. Napraw-że swoją winę i ruszaj do niéj zaraz; ja cię podwiozę.

— Nie! nie dziś jeszcze z nią się będę widział, aż jutro dopiéro wieczór uklęknę przed nią.

— A to dlaczego?

— Widzisz, nasi rodzice z sobą coś się pokwasili, a wszystko złe co nas dotyka, zawsze początek bierze z téj nieszczęśliwéj sprawy, która chwała Najwyższemu już się przecie skończyła. Ojciec, który pragnie mnie widziéć jak najprędzéj ożenionym, postanowił pierwsze kroki zrobić do odnowienia dawnych stosunków z podkomorzym; jak mi drogę utoruje, dopiéro po niéj pojadę. Dziś mój ojciec wszystko ułatwi, a jutro wieczorem wystąpię osobiście do państwa podkomorstwa, nie wprzódy. Bądź zdrów, Jakóbie, już zajechała twoja kareta, ruszajże sobie zdrów do kasztelana, a ja tymczasem będę się starał udobruchać ojca. Nasza ciotka zanadto źle o nim trzyma; jego serce nie tak twarde, jak się jéj zdaje, a mam w Bogu nadzieję, że in gratiam moich zaręczyn zupełnie zmięknie.

August powrócił pieszo do siebie, a Jakób kazał się zawieźć do kasztelana.

Niedługo bawił u niego. Stary przyjaciel pani Krajewskiéj, skoro odczytał jéj list, powiedział Jakóbowi:

— Proszę oświadczyć szanownéj ciotce, że zawsze jak byłem, tak jestem gotów wypełniać jéj rozkazy; nic jéj nie odpiszę, gdyż za godzinę najdaléj sam jéj służyć będę.

Jakób po takiéj odpowiedzi pożegnał senatora i wrócił do ciotki, żeby jéj się opowiedziéć ze swojego posłannictwa.

Zastał ciotkę wraz ze swoją Helenką. W kilku słowach oznajmił jéj, że pan kasztelan podejmuje się pośredniczyć między jéj bratem a jéj synowcem, i że lada chwila jéj służyć będzie. Pani Krajewska podziękowała mu skinieniem głowy, poczém rzekła, podając Jakóbowi jakiś papier:

— Kubusiu, i ty, kochana Helenko, po tylu przygodach stanęliście nakoniec u portu. Kubusiu, odczytaj ten papier głośno, żeby twoja narzeczona wiedziała co w nim stoi.

Jakób wziął się do czytania; był to indult. W nim termin ślubu był naznaczony na ostatni dzień zapustu w Częstochowie.

— Tak jest, moje dzieci! Od jutra za tydzień, przed cudownym obrazem Najświętszéj Panny zaprzysiężecie sobie dozgonną miłość i wiarę. Pojutrze pojedziemy do Częstochowy, nikt z nami nie będzie, tylko rodzice twojéj przyszłéj żony i twój opiekun, poczciwy nasz rejent. Skończymy nasze zapusty pod opieką Matki Boskiéj. Jeżeli twój brat zechce poświęcić wam zabawy stolicy, możesz go uprosić, żeby był towarzyszem naszéj podróży. Jednak zachowajcie to co wam mówię w tajemnicy, bo wcale sobie i wam nie życzę, żeby ta nasza wycieczka roztrąbiła się po Warszawie. Nic mi teraz nie pozostaje, jak dać wam moje błogosławieństwo, nim je powtórzę w Częstochowie.

Jakób i Helenka uklękli przed tą prawdziwą matką, która zalana łzami radości, ich pobłogosławiła, a potém oboje przycisnęła do swojego łona.

— Moje dzieci! — rzekła — teraz uściskajcie się jak małżonkowie, bo niemi jesteście w obliczu Boga.

Jakób na te słowa wziął w swoje objęcia drżącą z radości i wstydu panieńskiego Helenkę, i położył na jéj purpurowém licu pocałunek przeciągły, ognisty, jaki tylko najczystsza miłość dać może.

— Moje dzieci! — mówiła daléj pani Krajewska — rodzice Helenki wiedzą o wszystkiém, i na wasz związek oddawna zezwolili. Pójdźcie teraz do nich po błogosławieństwo. Nasz rejent pisze intercyzę. W niéj wyczytacie, że wam zapisuję trzy części mojego majątku, na czém waruję sobie dożywocie. Czwartą częścią rozporządzę tak, żeby i poczciwy August miał w niéj swój udział. Nie żeby tego potrzebował, gdyż jego ojcowizna, która w całkowitości go nie ominie, postawi go między najmożniejszemi panami w Rzeczypospolitéj, ale żeby się przekonał, że i on ma miejsce w sercu ciotki, bo na nie zasługuje. — Idźcie więc, dzieci; a jak przybędzie mój kasztelan, poszlę po ciebie, Kubusiu, żebyś przyszedł z intercyzą, na któréj on się za świadka podpisze.

Powtórnie ta piękna para padła do nóg pani Krajewskiéj, poczém Jakób, wziąwszy pod rękę swoję narzeczoną, poszedł z nią do jéj rodziców.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Jakób uszczęśliwiony szybko przebiegł ze swoją oblubienicą przez dziedziniec pałacu do tego skrzydła, gdzie mieszkali rodzice Helenki, obok których i jego samego było mieszkanie. Pierwszy raz w życiu czuł się zupełnie szczęśliwym, a cała natura harmonizowała z błogością jakiéj doświadczał, bo wiosna w tym roku nadzwyczajnie wcześnie zawitała.

Było to w pierwszych dniach marca, a już liście wydobywały się z gałęzi drzew, i wzrok pieściły swoją papuzią rozweselającą barwą. Słońce podnoszące się po niebie przezroczysto, najmniejszą chmurką nieskalaném, rozpędzało ostatki zimy ciepłem majowém. I w porze kiedy zwykle zasmucona nasza ojczysta ziemia zakrywa się grubą białą powłoką, pod którą zdaje się zasypiać, przebudzona i wesoła, już wypuszczała ze swojego łona zieleniejące płody. Jak dusze Jakóba i Helenki, tak wszystko około nich się uśmiechało.

Młoda para tak sobą była zajęta, że uwagi nie zwróciła na to miłe widowisko, roztaczające się przed ich oczyma. Oboje łaknęli błogosławieństwa rodzicielskiego, i udzielenia im obojgu wiadomości tak długo oczekiwanego szczęścia, które nakoniec Bóg im oddał w posiadanie; oboje weszli w wązkie sionki, przedzielające komnaty Jakóba od komnat państwa Niekrasów. Już byli przed progiem rodzicielskim. Jakób, widząc się bez świadków, jeszcze jeden pocałunek położył na wiosennych usteczkach Helenki, która już słabo się wzbraniała od natarczywości przyszłego męża, tyle tylko, że karmin jéj liców nieco wyrazistszą przybrał barwę, a ogniste jéj źrenice kilka iskierek zdały się wyrzucać.

Oboje weszli do izby; drzwi nie były zamknięte ze środka. Widać że to poważne stadło, żyjąc w odosobnieniu pośród zgiełku stolicy, nie miało powodu zabezpieczać się od nawiedzin osób obcych ich sercu. Jednak nie mało zadziwiło Jakóba, kiedy szybko przebiegłszy dwa próżne pokoje, w trzecim zastał towarzystwo liczniejsze, niż się tego mógł spodziewać.

Siedzieli: pan Nietyksza, jego żona i pan rejent, trzymający jakiś papier zapisany; widać było, że przerwał jego głośne czytanie. Domyślił się Jakób, że to musiała być intercyza dla niego przygotowana,

ale co go mocno zadziwiło, spostrzegł dwóch Philiponów, którzy się zerwali ze stołków za jego przybyciem. Zkądże ci ludzie obcy, nizkiego stanu, mogli być przypuszczeni do konferencyi familijnéj?

Podczas kiedy Jakób rozmyślał co to być może, pan rejent powstał, szybko wyszedł z pokoju, zamknął ze środka drzwi od sieni, i z niemniejszym pośpiechem powrócił na swoje miejsce.

Milczenie trwało czas dość długi, a Jakób wpatrywał się w oblicze tych Philiponów. Przerwane nakoniec zostało wykrzyknikiem: — Ojcze! — Synu! — które po kilkakrotnie się powtarzało we wzajemnych uściskach Jakóba z temi osobliwszemi gośćmi. W saméj rzeczy był to koszowy i jego wierny Kulbida.

— Co tu robisz, ojcze drogi? — rzekł Jakób, łzami zalewając rękę koszowego — i ty, Kulbido, poczciwy mój przyjacielu, a przyszły stryju? Jakżeście się odważyli pokazać w stolicy kraju, który was wywołał, w któréj co kroku spotkać możecie śmierć haniebną, albo przynajmniéj utratę wolności? Teraz chwili nie będę miał spokojnéj, ciągle lękając się o tak drogie dla mnie głowy.

— Nie bój się, synu; jesteśmy tu bezpieczniejsi niż na prowincyi. Mamy tu naszych, którzy nad nami czuwają. Od trzech dni w Warszawie jesteśmy, a żaden nam niepotrzebny nie wié o naszém przybyciu. Byłem w pałacu Kierdeja z towarami; między jego najwięcéj zaufanemi sługami mamy naszych prymaków, ci o każdym kroku ich pana nas zawiadamiają. — Wszakże i ty, synu, jesteś naszym; wiedziéć powinieneś, że Zaporożec, to lis ostrożny, nieprędko da się złowić. Na Koziéj ulicy jest dość Philiponów handlujących pod protekcyą księcia prymasa; od jego jedynie juryzdykcyi zależą, opłacają mu czynsz, a za to mają pokój, i nikt nie ma prawa o nic ich pytać. I my między niemi żyjemy, a że jednę wiarę z niemi wyznawamy, oni nas uważają za swoich. Kruk krukowi oka nie wykole. Gdyby nas jakie niebezpieczeństwo miało spotkać, oni wszyscy stanęliby w naszéj obronie. Potęga koszowego nie jest ścieśniona porogami Dniepru; rozciąga się ona po całéj Polsce. Przybyłem tu, żeby tobie i twojéj narzeczonéj dać ojcowskie błogosławieństwo, a razem czuwać nad twojém bezpieczeństwem, które więcéj jest zagrożone niż moje. Póki żony nie wywieziesz do swoich dóbr Ukraińskich, nie opuszczę Warszawy. Wiem, że jesteś nieustraszony, i gdybym nie był przekonany o twojéj waleczności, mniéjbym cię miłował; ale pani Krajewska, któréj wolno być bojaźliwą, niech będzie spokojną. Kto ma za sobą koszowego i pierwszego atamana Siczy, ten pośród najstraszniejszych nieprzyjaciół jest bezpieczny.

— Ojcze drogi, czy wie pani Krajewska, że tu się znajdujesz?

— Na jéj i pana rejenta wezwanie tu stanąłem. Już dwa razy z nią rozmawiałem; biedna kobieta tak się kłopotała o ciebie, tak się

lękała, żebyś nie padł ofiarą jéj brata, że kiedy pierwszy raz mnie zobaczyła, dopiéro duch w nią wstąpił. Przybliż się, moja Helenko! Tobie poruczam przyszłe szczęście mojego syna, bo pomimo wszystkich wyroków nuncyatury, on nim być nie przestanie, ani się zaprze ojca w głębi serca swojego. Muszę téż mojéj synowéj dać upominek na pamiątkę; — i dał jéj otwarte pudełeczko, w którém były cztery sznurki pereł wysokiéj wartości, z brylantowym fermuarem. Poczém Jakób i Helenka uklękli przed nim, rodzicami Helenki i Kulbidą, nawet przed rejentem, i od nich wszystkich otrzymali błogosławieństwo. Wszyscy popłakali się z czułości; nawet pan rejent trochę się rozrzewnił.

Gdy się to wszystko odbyło, Kulbida się odezwał:

— Jakóbie nasz, przyjm moję uwagę: ciebie zakorci bywać u ojca, a naszego koszowego. Pamiętaj, żebyś nigdy pokąd nie zmierzchnie, nie pokazywał się na Koziéj ulicy; nasze bezpieczeństwo tego wymaga. Mój brat ciebie do nas zaprowadzi, dobrze po zachodzie słońca. Teraz trzeba nam was opuścić; niemało zajęcia zwaliło się na mnie. My nikogo nie chcemy zaczepiać, ale biada panu Kierdejowi, jeżeli się odważy sięgnąć po twoje zdrowie. A wy z intercyzą pójdziecie do pani Krajewskiéj, która was musi oczekiwać.

To powiedziawszy, wyszedł z koszowym, nie zapomniawszy zawiesić na plecach pudło z towarami. I obaj z ulicy Królewskiéj, przez Krakowskie-Przedmieście puścili się ku Koziéj.

Jakkolwiek Jakób czuł się uszczęśliwionym, że już się zbliżała chwila, w któréj miał się połączyć ze swoją Heleną, pobyt jego ojca w Warszawie do tego uczucia przydawał niespokojność o jego życie; a chociaż siedząc obok swojéj narzeczonéj, wtapiał się w jéj wdziękach, i pochłaniał, że tak powiem, każdy wyraz, który z jéj ust wychodził; ta niespokojność była widoczną, a Helena ją podzielała i zręcznie umiała zwracać rozmowę do błogich obrazów ich przyszłego pożycia. Układali pospołu plany dalszego prowadzenia.

— Nigdy — rzekła Helena — wsi nie opuścimy, ani pomyślimy o Warszawie. Rodzice moi będą przy nas mieszkać; pan rejent w czasach kadencyów będzie jak dotąd żył w Żytomierzu, ale jak kadencya się zamknie, sam z tém się oświadczył, że u nas będzie przesiadywał. Długi czas, Jakóbie drogi, jego chléb jadłeś; jakaż to będzie nasza radość, kiedy Bóg ci pozwoli swoim własnym go poczęstować. A nasza dobrodziéjka, pani Krajewska, przyrzekła mi, że jak osiądziem na wsi, co roku lato u nas przepędzi, a tylko w zimie mieszkać będzie w Warszawie. O! to dopiéro szczęście wiosna nam podwoi, jak pospołu będziemy ją otaczać naszém staraniem. Jestem przy niéj, na pamięć umiem jéj gusta, jéj przyzwyczajenia; w naszym domu utworzymy gabinet zupełnie taki jak ten, w którym większą część dnia tu przepędza. Takie same sprzęty w nim znajdzie; ja sama tém się zajmę.

zaręczam, że o najmniejszym szczególę nie zapomnę; sprowadzimy to wszystko z Warszawy. Jaka to będzie dla niéj niespodzianka, jak się zadziwi, kiedy w naszéj zapadłéj prowincyi znajdzie się jak u siebie! jak pozna swój szezląg, swoje zwierciadło weneckie, swój kantorek paryzki, swoję arfę, swoję szafeczkę z temi samemi książkami! To będzie istne czarodziejstwo. Może Bóg da, że się jéj odechce zimować w stolicy; zobaczysz, jak ja to doskonale ułożę.

— Dobrze, moja droga, tobie oddaję się z tém wszystkiém co jest mojego; zawsze chcę być najpierwszym i najposłuszniejszym twoim sługą. Mamy ziemię w bogatéj Ukrainie, mamy kawał i na Polesiu; do ciebie należy postanowić, gdzie mamy obrać nasze mieszkanie.

— Piękniejsza Ukraina, ale ja wolę nasze Polesie. Wśród sosnowych lasów się urodziłam, w nich zaczęliśmy się kochać, a kiedy? Tego nie pamiętamy. Jeszcze mówić nie umiałam, a już umiałam płakać, skoro braciszek wychodził z izby. Z tobą wszędzie mi będzie dobrze; ale zdaje mi się, że najlepiéj wśród borów, świadków pierwszych zawiązków naszéj miłości, po tylu przygodach blizkich uwieńczenia.

— Tak jest, najukochańsza Heleno, żyć będziemy w tém Polesiu, które tyle drogich pamiątek nam przynosi; w naszym majątku ukraińskim osadzimy poczciwego Bartka, jemu powierzymy zarząd tych dóbr. Szczęśliwy, kto w słudze ma przyjaciela! Od szkół znamy się, i kilka lat kolegowaliśmy z sobą w palestrze, a jakie mi dawał dowody przywiązania, ty sama najlepiéj wiesz o tém. Nieborak jak nie swój chodzi, tak się nudzi w Warszawie; wczoraj pierwszy raz był na reducie maskowéj, ja go do niéj wyprawiłem, żeby miał o czém mówić na prowincyi. Dziś rano powiedział mi, że mu się zdawało, że jest w szpitalu obłąkanych, i że drugi raz za nic nie pójdzie na redutę. Wielce się uradował, kiedy mu oświadczyłem, że go zabieram do Częstochowy, żeby był świadkiem naszego ślubu.

Gdy tak z sobą rozmawiali, usłyszeli stukanie we drzwi. Pan Niekrasa wyszedł, żeby otworzyć, i wkrótce powrócił z Augustem.

— Przepraszam państwa, żem tu wszedł; chciałem się widzieć z bratem i do niego zaszedłem na przeciwko. Zastałem tylko Kałużyńskiego, który długi czas nie mógł się zemną oswoić, ale odkąd widzi, że pozyskałem szacunek Jakóba, zaczyna być dla mnie łaskawym. On mi powiedział, że brat jest u państwa na konferencyi familijnéj, a że ja do waszéj familii należę, ośmieliłem się szukać brata u państwa.

— Zawsze pan łowczyc jest dla nas miłym gościem — odezwała się pani Niekrasina — wszakże byłam wierną sługą świętéj pamięci jego matki, która na moich rękach Panu Bogu ducha oddała.

— Przybiegam do ciebie, bracie, żeby się dowiedzieć, coście uradzili z kasztelanem?

— Podejmuje się chętnie iść do pana łowczego, żeby się z nim układać. Dałby Bóg, żeby to był przedwstęp do zupełnéj zgody. Oświadczyłem JW. kasztelanowi, że nie ma ofiary, którejbym nie był gotów uczynić dla jéj pozyskania, ale wyznaję, że mam słabą nadzieję, by te moje najszczersze chęci były dobrze przyjęte, i żeby jego serce dało się ułagodzić.

— A ja mam lepszą nadzieję: dopiéro widziałem się z ojcem, i znalazłem go więcéj wyrozumiałym jeszcze, niżelim się spodziewał; reszty czas dopełni. Bądź pewny, Jakóbie, że nasz ojciec nie jest tak zawzięty, jak wam się zdaje; codziennie odbieram dowody jego przywiązania, a więc jego serce nie jest kamienne. On mnie kocha, a więc będzie kochać i tych, których kocham. Jest to tylko zadanie czasu, bo wszystko cierpliwością przemódz można.

— Wszystko w ręku Boga, kochany bracie; teraz bądź świadkiem szczęścia mojego, za dni kilka Helena będzie moją żoną, nasza ciotka i jéj rodzice tak postanowili. Nasz ślub odbędzie się w Częstochowie. O! jak byłbym szczęśliwy, gdybyś ty mógł mi ją przyprowadzić do ołtarza; wszakże o to cię proszę, byś tego nie czynił bez zezwolenia ojcowskiego.

— I otrzymam je, bądź pewny, ale nawzajem i ty mi powinszuj. Nasz ojciec i pan podkomorzy pojednali się i już ułożyli mój związek z podkomorzanką. Pojutrze z rana odbędą się nasze zaręczyny; nie jestem jak ty, Jakóbie, zakochany, ale tyle mam szacunku dla mojéj narzeczonéj, że bez żadnéj myśli wstecznéj powierzę jéj moje szczęście. Czy uwierzysz, że odkąd przybyła do Warszawy, nie byłem u niéj? Wszystko bezemnie się ułatwiło.

— A więc zaraz ruszaj do niéj, aby nie myślała, że ulegasz jedynie woli ojca, bez rzeczywistego do niéj przywiązania; nie godzi się ranić niewinne serce.

— Nie! drogi bracie, dziś nie wypada mi być w ich domu; nagrodzę sobie późniéj czas utracony. Jeszcze ty nie możesz być na moich zaręczynach, ale jutro muszę cię mojéj pannie przedstawić, jako jéj dawnego znajomego. Dziś mój ojciec wieczór u nich przepędza; będą umowy, których nieradbym był świadkiem. Jutro wieczór ojciec ze swojego pałacu nie wyjdzie. Pójdziemy razem do państwa podkomorstwa bez obawy, byśmy go tam mieli spotkać. Będą to pierwsze moje nawiedziny; przy tobie będę śmielszym. Więc taka umowa, że jutro przed wieczorem czekasz u siebie na mnie; ja przychodzę, zabieram cię z sobą, możemy wziąć i twojego Kałużyńskiego dla asystencyi. Wy, trochę posiedziawszy u państwa podkomorstwa, mnie samego tam zostawicie, a pojutrze już bez was odbędą się nasze zaręczyny. Czy mi odmawiasz swojego towarzystwa?

— Drogi bracie, wiesz, że niezupełnie od siebie zależę. Dziś

jeszcze poproszę ciotkę, żeby na to pozwoliła, a jutro rano dam ci wiedzieć, co pod względem tego ona postanowi.

— A więc wszystko jak najlepiéj. O! jakaś kareta zachodzi na dziedziniec; nie moja, bom pieszo przyszedł; to musi być kasztelan. Już ja wam niepotrzebny, zostawiam was, a koło ojca niezmordowanie pracować będę. Do zobaczenia, kochany bracie! Pozwól, przyszła siostro, bym na twojéj pięknéj rączce pocałunek zostawił. Moje uszanowanie składam państwu chorąztwu, i Wpanu dobrodziejowi, mości rejencie.

Gdy odszedł, pan rejent się odezwał:

— Proszę, mościwi państwo, jaki gładki chłopiec zrobił się z pana łowczyca? choć go do rany przyłóż; a jaki to był dumny kawaler, jaki nieznośny, kiedy pierwsze robił kroki na świecie; prawdziwie nie poszła w las nauka, jaką mu dał nasz koszowy. Chwała Bogu, że ją przyjął; wszyscy go teraz kochają, że aż miło.

— A jak jest przywiązany do Jakóba — dodała Helenka. — Na jego przyjaźń całe życie śmiało możemy rachować. Daj Boże, żeby w pożyciu ze swoją przyszłą żoną znalazł to szczęście, na jakie zasługuje, a które nas czeka, drogi Jakóbie.

— I znajdzie je — na to Jakób. — Jest to panna tak dobra, tak dobrze ułożona, że o tém wątpić nie można; miałem czas ją poznać w Żytomierzu. Kto nie zna Helenki, ten nie może się nie unosić nad przymiotami i wdziękami mojéj przyszłéj bratowéj.

— O! prawda — rzekła pani chorążyna — patrzałam na jéj pobożne uczynki. Cały wielki post szyła koszule dla ubogich i roznosiła je na Kamionce; biedni ją miłowali jak matkę i błogosławili ją. Ja ją tylko z daleka widywałam, anim się ośmieliła do niéj zbliżyć, ale ją kochałam zawsze z całego serca. Jak takiéj nie kochać?

— Bo téż to poczciwa krew Niemierzycowska — odrzekł rejent — oni wszyscy, syn po ojcu, więcéj myślą o innych niż o sobie, dlatego téż ledwo szczątki im pozostały z tych niezmierzonych dóbr, jakie posiadali ich przodkowie. Ale Bóg to im wynagrodzi na tamtym świecie; nie zapomni, że dom Niemierzyców trzynaście kościołów jemu wystawił.

Tak ze sobą rozmawiali, to jest: państwo Niekrasowie i rejent, gdyż Jakób i Helenka wkrótce przestali brać udział w téj rozmowie, i usiedli pod przeciwną ścianą; bo cóż oprócz ich samych mogło ich zajmować? Siedząc obok siebie i oni rozmawiali, a wiadomo, że dwaj kochankowie, ciągle rozmawiając z sobą, zawsze mają coś do powiedzenia sobie. Pora obiadowa widocznie się spóźniła; żołądek pana rejenta, gdyby mógł przemówić, przemówiłby, że konferencya między kasztelanem a panią Krajewską jest nieco za długą. I już czmychał, co było u niego oznaką zniecierpliwienia, kiedy przecie kareta pana kasztelana z nim

odjechała, a zaraz potém marszałek dworu pani Krajewskiéj oznajmił im: że obiad na stole.

Poszli więc wszyscy na górę. Kałużyński do nich się przyłączył, a pan rejent oddał mu intercyzę, żeby ją za nim nosił, póki jéj nie odbierze, by ją wręczyć pani Krajewskiéj do podpisu. Zebrali się więc w sali jadalnéj. Kiedy rejent jéj złożył intercyzę, ona mu powiedziała, że jéj czytać nie potrzebuje, gdyż tyle mu ufa, że aż nadto jest pewna, że jéj nie ma co ująć lub dodać. — Po obiedzie podpiszę ją — rzekła — a jak kasztelan tu przybędzie na wieczór, jak mi to obiecał, on podpisze się na świadka.

Siedli do stołu. Pani Krajewska była weselszą niż zwykle; oświadczyła Helence, że po jéj ślubie odprowadzi ją do ich dóbr, i z niemi aż do środka jesieni na wsi przemieszka. — Radabym być pierwszym gościem, na którym zaczniesz nowy zawód gospodyni.

Odpowiedzią Helenki był całunek na ręku swojéj dobrodziéjki. — Jednak my licznym taborem ztąd wyruszym na Ruś — dodała pani Krajewska. — Jakób z żoną, Niekrasa z żoną, ja tylko samą będę, zwyczajnie biedna wdowa. Rad nierad, tobie wypadnie, Bołsunosiu, siąść zemną w mojéj karecie, żeby miéć o mnie staranie i stanąć w mojéj obronie na wypadek napadu mojego brata; bo ja nie wierzę, żeby ułagodził swoje serce, jak to powtarzał August. To mu zaszczyt przynosi, że się zaślepia nad ułożeniem ojca, ale ja nie mam obowiązku zaślepiać się nad jego wadami. Znam go aż nadto, jest to potwór; nie ma zbrodni, któréjby nie był gotów się dopuścić dla dogodzenia swojéj mściwości, i dlatego, kiedy Kubuś znika mi z oczu, nie możesz sobie wyobrazić, Bołsunosiu, co się wtenczas zemną dzieje. Truchleję z bojaźni, żeby go przez swoich siepaczy nie kazał zamordować; każdy dzień, który nas przedziela od dnia przeznaczonego na ślub tych dzieci, wydaje mi się wiekiem. Jestem jakby w oczekiwaniu jakiegoś wielkiego nieszczęścia; nie będę spokojną, póki ta uroczystość się nie odbędzie.

— A! moja mościa dobrodziéjko, to tylko smutne marzenia, które jéj życzliwe dla Kubusia serce rozwodzi. Nigdy nie byłem rycerzem, szabli mojéj odkąd żyję nie wydobyłem z pochwy, a jednak gniew pana łowczego mimo siebie puszczam. On na wspomnienie mojego nazwiska od siebie odchodzi; przed swojemi sługami odgraża się, że jak wpadnę w jego ręce, to mi duszę wypędzi batogami, a ja z tego żartuję. Strachy na Lachy! zwyczajnie chimery pańskie. Chodzę sobie piechotą po mieście, nawet nie omijam ulicy, na któréj w swoim pałacu mieszka ze swoim dworem. Zrobić na kogo zasadzkę w lesie, to inna, a napaść na szlachcica w mieście, gdzie na krzyk ludzie wysypują się z kamienic, jak pszczoły z ulów, to znowu inna. A jéjmość

dobrodziéjka tém więcéj o zdrowie synowca powinnaś być spokojną, że mu przybyli opiekunowie, którzy go z oka nie wypuszczają.

— A czy wié o tém Kubuś?

— Jakże nie ma o nich wiedziéć? Przed godziną widział i popłakał się z tym, który jedynie dla niego żyje.

— A nawet, ciociu kochana, od dnia dzisiejszego wszystkie wieczory u niego przepędzać będę; on tego żąda, a ciocia wiész, że nic stargać nie może posłuszeństwa, którego ma prawo odemnie wymagać.

— Jestem spokojną; bo kiedy cię oczekuje, pewnie wszystko opatrzył dla twojego bezpieczeństwa.

— Jeszcze mam prosić ciotkę dobrodziéjkę o jedno pozwolenie. August jutro wieczorem ma być w domu swojéj narzeczonéj; będzie to jego pierwsza wizyta, odkąd jest w Warszawie; chce koniecznie, żebym z nim razem do pana podkomorzego poszedł.

— Ale czy tam się nie spotkasz z moim bratem?

— O nie, August mnie zapewnił, że cały dzień jutrzejszy pan łowczy nie wychodzi ze swojego pałacu. Dopiéro pojutrze będzie u pana podkomorzego ze swoim synem, bo w tym dniu mają się odbyć jego zaręczyny, których niewolno mi być świadkiem. Jużci wypada mi jakieś życzenia przynieść téj, która ma zostać moją bratową, ile że jeszcze w Żytomierzu zawsze doświadczałem uprzejmości ze strony pana podkomorzego.

— Dobrze, Kubusiu, tylko zaklinam cię, żebyś na wypadek niespodziewanego przybycia mojego brata do domu podkomorzego, zaraz wyszedł, unikając z nim spotkania.

A to rzekłszy, wstała od stołu, podała rękę panu Niekrasie, i z nim na osobności zaczęła rozmawiać.

Pan Niekrasa i Helenka pozostali, a tamci rozeszli się, widząc panią Krajewskę zajętą.

ROZDZIAŁ XL.

Jakób zaszedł do siebie; pierwsza rzecz którą zrobił, była napisać bilecik do brata w tych kilku słowach:

„Drogi bracie! Otrzymałem pozwolenie od ciotki. Jutro o ósméj godzinie wieczorem będę służył JW. podkomorstwu. Przywiązany brat ściska cię serdecznie.“

Tak był przejęty swojém szczęściem, że jak najśpieszniéj napisał, aby co prędzéj wrócić do towarzystwa Helenki; nawet bileciku nie zapieczętował, tylko złożył go, i wręczył pierwszemu swojemu służą-

cemu, który wpadł mu pod oko, każąc odnieść panu łowczycowi Litewskiemu, w pałacu jego ojca, niewiele oddalonego od pałacu pani Krajewskiéj; a tak się zbywszy, poszedł naprzeciwko do państwa Niekrasów, gdyż każda chwila w któréj swojéj Helenki nie widział, lub przynajmniéj o niéj nie mówił, wrażała w jego sercu tęsknotę.

Sługa poszedł gdzie był posłany; w sieni spotkał wychodzącego marszałka dworu Kierdejowskiego. Ten się zatrzymał i zapytał go, co on za jeden, i z czém przychodzi?

— Jestem sługą JW. Krajewskiéj i przychodzę z pismem do JW. łowczyca.

— Pana łowczyca nie ma w domu, przed chwilą wyjechał do biskupa Kijowskiego, dostojnego swojego krewnego, u którego obiaduje; nie wróci jak wieczorem. Oddajże mi twoje pismo, które mu złożę za powrotem.

Sługa mu oddał list, i nizko skłoniwszy się, tam powrócił zkąd wyszedł.

Marszałek z listem poszedł do swojego pana, gdyż o każdéj rzeczy trzeba mu było donieść pod utratą służby, i złożył mu bilet.

Jako się powiedziało, bilecik nie był zapieczętowany. Pan łowczy go odczytał, kazał marszałkowi na nowo go złożyć, poczém powiedział mu dość obojętnie:

— Dobrze, jak mój syn powróci, waść mu oddaj, a nie masz potrzeby mu donosić, że był w moim ręku.

Tymczasem pan kasztelan, który już był pożegnał pana łowczego, wprzódy niż wszedł do niego zwierzchnik jego dworu, już był u pani Krajewskiéj i zdawał jéj liczbę ze swojego posłannictwa.

— Anim się spodziewał po tém co słyszałem o panu łowczym, znaléźć go tak łatwym w interesie. Mąż światły, obejmujący każdą rzecz z pierwszego rzutu oka; a jaki porządny! wszystkie inwentarze dóbr żoninych jak najakuratniéj spisane, aż miło! Zemną pospołu ułożył dwie schedy, oto je przywożę z sobą; patrz jéjmość dobrodziéjka, że obie są stwierdzone jego podpisem. Do woli młodszego jéj synowca wybrać jednę lub drugą. Niech się poradzi świadomych przyjaciół i wybierze tę, która mu się wydawać będzie dogodniejszą. Potém sporządzimy tranzakcyą dzielczą, a pan łowczy bez najmniejszéj trudności przyzna ją przed aktami; mam na to jego słowo.

— Mój zacny przyjacielu, ile masz prawa do mojéj wdzięczności, Bóg to widzi, i pewnie to ci wynagrodzi w twojém potomstwie.

— Moja mościa dobrodziéjko, ani mów mi o tém! Jakiżby zemnie był przyjaciel, gdybym jéj gorliwie nie służył? Wszakże nasze stosunki nie dziś się zawiązały?

— O nie, mój kasztelanie! Nie wzbraniaj mi wynurzyć przed tobą wdzięczności za tyle łask, jakie od ciebie doświadczyłam. Kto

w Polsce nie wie, że jesteś opiekunem wdów i sierot? O jednę jeszcze łaskę proszę, podpisz się na świadka na téj intercyzie, żeby mój Jakób miał na całe życie pamiątkę życzliwości najcnotliwszego męża.

Kasztelan zadość uczynił jéj żądaniu.

Jakób przez ten czas bawił u rodziców swojéj narzeczonéj, i ją tylko tam widział. Jéj rodzice cieszyli się, patrząc na to ich przywiązanie wzajemne. Kiedy przyszedł służący, żeby mu opowiedziéć, iż list jego oddał, ale że samego pana nie zastał, a marszałkowi go wręczył, Jakób to przyjął z roztargnieniem, gdyż myśl jego zajęta była jedynie tym przedmiotem, od którego ani oczów, ani myśli oderwać nie mógł. Powiedział słudze: — Dobrze; — i skinieniem ręki dał mu znak żeby odszedł.

Jednak czasem zwracał rozmowę ku prawdziwemu swojemu ojcu. Helena, która podzielała wszystkie jego myśli, lubiła z nim rozmawiać o tym ojcu, tém więcéj, że on i w sercu jéj saméj niepoślednie zajmował miejsce. Godziny upływały w tém słodkiém obcowaniu dwóch istot zjednoliconych jedną prawdziwą a prawą miłością, tak że ani spostrzegli się, że już od dawna słońce zaszło, że kir nocy już zaczynał się spuszczać na ziemię, i że zbliżała się pora, w któréj miał nawiedzić ojca.

Dopiéro pan Niekrasa to przypomniał Jakóbowi, a Helenka swoim srebrzystym głosem dodała:

— Idź, Jakóbie, gdzie natura i obowiązki iść ci każą, i gdzie jesteś oczekiwany niecierpliwie. Idź, a pocieszywszy ojca, wracaj do téj, która niemniéj od niego jest do ciebie przywiązaną.

Jakób przycisnął do serca swoję ulubioną, i razem z panem Niekrasą poszedł na Kozią ulicę.

Helena z tęsknotą czekała ich powrotu, bo chociaż obawy jakich doświadczała, umiała zachować w głębi serca, więcéj jeszcze niż pani Krajewska była niespokojną o Jakóba. Zdawało się jéj, że co kroku są zastawione zasadzki na życie jego, że siepacze pana Kierdeja są rozsypani po całém mieście, że kiedy ją żegna na jaką godzinę, jest to może ostatnie pożegnanie, bo lada chwila, a przyniosą go we krwi zbroczonego. Te jéj niepokoje tém więcéj dręczące, że z niemi przed nikim otworzyć się nie chciała, za każdém oddaleniem Jakóba się wznawiały. Wzdychała za pobytem wiejskim, znienawidziła Warszawę, gdzie tyle zgryzot doświadczyła, i rada była, że pani Krajewska postanowiła, by jéj ślub z Jakóbem odbył się w Częstochowie, a nie w Warszawie, bo żadnéj miłéj pamiątki nie chciała wywieźć z Warszawy, któraby mogła ją przypominać, kiedy już na swojém Polesiu osiędzie.

Dano wiedziéć zasmuconéj Helence, że już goście zbierają się na

górze, i że pani na nią czeka; ale się z tego wymówiła i uprosiła pana rejenta, który się tam wybierał, aby zaniósł jéj tłómaczenie się przed panią Krajewską, że taki cierpi ból głowy, iż ubrać się dotąd nie mogła, i jest w niemożności pokazania się przyzwoicie w jéj salonie. Została więc u matki, coraz niespokojniéj oczekując powrotu Jakóba i ojca.

Nakoniec około jedenastéj obaj wrócili. Helenka, jak wstąpili na próg, nie mogła nie wydać krzyku, i nie wyskoczyć ku nim; dopiéro kiedy się już do nich przybliżyła, rzuciła się na szyję ojcu, i zrazu chciała ukarać Jakóba za niepokoje, które z jego powodu doświadczyła, okazując mu oziębłość; ale jego widok zaraz ją rozbroił. Podała mu rękę, mówiąc:

— Niech ci Bóg nie pamięta strachu, jakiegoś mnie nabawił przez cały ten wieczór, a który co chwila tak wzrastał, że już dłużéj wytrzymaćbym nie mogła. Gdybyś jeszcze przez godzinę się nie pokazał, nie wiem coby się zemną stało. Wiem, że wola twojego ojca, byś u niego co wieczór bywał; mniéjbym cię szacowała, gdybyś zadość téj świętéj woli nie uczynił; ale, drogi Jakóbie, przez wzgląd dla twojéj Heleny staraj się wcześniéj powracać.

Przyciśnienie Heleny do serca było jedyną odpowiedzią Jakóba.

Kwandrans nie upłynął od jego powrotu, a już przybiegł kamerdyner pani Krajewskiéj z oświadczeniem, że pragnie, by Jakób i Helenka do niéj przyszli. Helenka w jednym pokoju z nią stała; jeszcze nie była nadeszła pora, w któréj do niéj wracała od rodziców, bo co wieczór prawie pani Krajewska miała u siebie gości, tak że nigdy przed północą nie udawała się do wczasu. Helenka zawsze przed jedenastą opuszczała salon, i czekała na nią w jéj sypialnym pokoju, ale pani Krajewska tak była tego wieczora żądna widziéć się z Jakóbem, że pod pozorem bólu głowy prędzéj odprawiła zebrane u niéj towarzystwo, a porę, w któréj zwykle Helenka udawała się na spoczynek, przyśpieszyła.

Jakób i Helenka czule pożegnali rodziców, i śpiesznie poszli do ciotki oczekującéj ich niecierpliwie. Tam dopiéro nastąpiły troskliwe zapytania, na które z najdrobniejszemi szczegółami musiał odpowiadać Jakób.

— Powiedz mi, Kubusiu — rzekła do niego jakby z dyskursu, — czy na téj Koziéj ulicy nie zauważyłeś jakichś nieżyczliwych figur blizko siebie?

— Owszem, kochana ciociu; byłem, nie powiem ścigany, ale glejtowany od kilku Philiponów, bo ich pełno na Koziéj ulicy; z początku miałem ich w podejrzeniu, ale zaraz poznałem, że byli dla mnie życzliwi. Niech ciocia będzie pewna, że mój dobry ojciec wszystko

opatrzył dla mojego bezpieczeństwa, lubo nie wierzę, żeby to mogło być zagrożone.

— Młodyś, moje dziecko! a do tego zakochany, widzisz tylko dobrą stronę natury ludzkiéj. Coby to było z tobą na starość, gdybyś w kwiecie wieku już był podejrzliwym? Żyjąc z Helenką między poczciwemi wieśniakami, tam długo zachowasz te cnotliwe ułudy, któremi się karmi wiosna naszego życia.

Mieszkając w mieście, wskazawszy się na ścisłe stosunki z ludźmi wielkiego świata, wkrótce zostałbyś odczarowany.

To rzekłszy głęboko westchnęła.

Pani Krajewska przeszła była przez doświadczenie namiętności. Wiedziała, że kochankowie z sobą lubią rozmawiać, i tego co się do ich miłości nie odnosi, słuchają z tęsknieniem, a że była pełna téj delikatności, która umié zgadywać co może być przykrém dla tych, z któremi się żyje, zadzwoniła na garderobianę i do niéj rzekła:

— Przebierz mnie w nocną odzież, a wy, moje dzieci, rozmawiajcie z sobą na drugim końcu pokoju, póki się nie położę; macie czas wiele sobie powiedziéć, ile że z Helenką już po obiedzie odmówiliśmy wieczorne pacierze.

Podczas kiedy pani Krajewska powierzała garderobianny grzebieniowi swoje włosy tak piękne, a których najmniejszy szron jeszcze nie skaził, Jakób i Helena, siedząc w oddaleniu, cichym głosem posélali sobie do serca wyrazy, i prócz siebie samych niczego nie widzieli. Lotnym pędem czas dla nich uciekał, a jednak każda jego chwila była całkowitém istnieniem. Ani się spostrzegli, że pani Krajewska już była w łóżku, i na nich patrzała z lubością; ani pomyśliła im przerwać tak miłych chwil. Helenka pierwsza się opamiętała, i uwagę narzeczonego zwróciła ku ciotce. Jakób przybliżył się do jéj łóżka, i nogi jéj ucałował, przepraszając za to swoje zapomnienie.

— Mój kochany — odrzekła ciotka — i ja przez to kiedyś przechodziłam. Dobranoc, kochany Kubusiu; jeżeli cię nie zatrzymuję, to jedynie dlatego, żeby jutro Helenki oczki nie były podsiniałe z niewczasu.

Już było około trzeciéj z rana, kiedy Jakób odszedł do swojéj kwatery. Najmilsze marzenia kołysały go, kiedy się umieścił w swojéj pościeli, nim sen mu skleił powieki. Zadziwiło go, kiedy się przebudził, że on, nawykły i w palestrze i w zawodzie rycerskim, żeby być na nogach przed szóstą, tak głęboko mógł się zaspać, że jedenasta zastała go jeszcze w łóżku. Nieco zawstydzony, wziął się do ubrania.

Jakób miał różne sprawunki do załatwienia, a nadewszystko chciał spełnić zalecenie ciotki, aby udać się do pana kasztelana, dla podziękowania mu za jego zajęcie około jego interesu, który przez jego wdanie się był tak dobrze jak skończonym, oraz za podpis jego

nazwiska na intercyzie ślubnéj. Jak mógł najśpieszniéj się ubrał, a wziąwszy z sobą Bartka i jednego służącego, żeby sprawunki odniósł do domu, poszedł na miasto około pierwszéj po południu.

Ułatwił się w sklepach, odprawił służącego, a sam z Bartkiem udał się do pana kasztelana, który mieszkał na rynku Starego Miasta w swojéj własnéj kamienicy. Pan kasztelan przyjął ich najuprzejmiéj, i nie chciał ich puścić od obiadu. Bartek się wymówił przekładając, że pani Krajewska będzie niespokojną, jak synowca nie zobaczy w porze obiadowéj, a więc że potrzeba jéj oznajmić, że pan łowczyc obiaduje u pana kasztelana, a to żeby na niego nie czekała. Pożegnał więc Bartek JW. kasztelana, oraz i swojego protektora.

Przybyło do kasztelana kilku gości zaproszonych, wszyscy życzliwi dla pani Krajewskiéj, a tém samém i dla Jakóba. Musiał więc przyjąć ich powinszowania z powodu pomyślnego wyroku, jaki w nuncyaturze otrzymał, a kiedy wszyscy zasiedli do stołu, cobiad się cokolwiek przedłużył, bo chociaż z umiarkowaniem, kielichy jednak krążyły, gdyż za zdrowie gospodarza i każdego gościa po jednym kielichu się wypróżniło, — tak że dopiéro przed czwartą mógł Jakób wrócić do ciotki, któréj także zdrowie gospodarz i biesiadnicy wypili, prosząc go, aby raczył ją o tém uwiadomić.

Już Jakób nie ruszył się z miejsca, bo oczekiwał chwili, która mu była naznaczoną na Koziéj ulicy; przypomiał sobie także, że miał się udać z bratem do rodziców jego narzeczonéj. Postanowił więc z bratem nawiedzić państwo podkomorstwo, ale u nich jak najkróciéj bawić, a zostawiwszy Augusta i Kałużyńskiego, samemu pójść do ojca.

Chciał więc u ciotki czekać na brata. Wtém wszedł kamerdyner i zameldował jéj przybycie dworzanina królewskiego, który w imieniu króla chce z nią pomówić. Pani Krajewska kazała go prosić. Wszedł dworzanin, trzymając w ręku list opieczętowany kilkoma pieczęciami. Powitawszy go, przyjęła pismo, uprosiła go aby przy niéj usiadł, a obróciwszy się do Jakóba, rzekła:

— Kubusiu, chcę się rozmówić z tym panem; odprowadź-że Helenkę do jéj rodziców, a mnie zostawcie samą.

Jakób z Helenką udali się do państwa Niekrasów; już zmierzchać zaczynało.

Zaledwo się rozgościł Jakób, a już przyszedł służący, by mu donieść że pan łowczyc starszy czeka go w jego komnacie. Pożegnał na chwilę Helenkę i jéj rodziców, i wyszedł na przeciwko. Znalazł brata i Bartka, który jako gospodarza zastępujący przyjmował gościa; uściskali się bracia. Zadziwił się Jakób, widząc brata nie jak zwykle z upudrowaną fryzurą, ale gładko ostrzyżonego, i w całém zaniedbaniu rannéj odzieży.

— Co to jest? — odezwał się — nie poznaję cię; czy myślisz tak się pokazać twojéj narzeczonéj i jéj rodzicom?

Rozśmiał się August.

— Bracie — rzekł — przyszła wesoła myśl do mojéj głowy. Jeszcze w Żytomierzu, kiedy razu jednego unosiła się przedemną podkomorzanka nad pięknością stroju polskiego, oświadczyłem jéj, że niezadługo uczynię rozbrat z elegancyą niemiecką, a wcześniéj czy późniéj pokażę się jéj w kontuszu i żupanie. Chciałem sobie sprawić polską garderobę, ale toby się zaraz rozgadało po mieście; o témby się ona dowiedziała, a nie byłoby zapustowéj niespodzianki. Jesteśmy równi z sobą i wzrostem i tuszą; twoje suknie na mnie najakuratniéj przypadną, więc ubierz mnie po polsku, ale z taką wykwintnością, jakiéj dla siebie używasz, i wybierz ze swojéj garderoby dla mnie to, co uznasz że najwięcéj się podoba mojéj bogdance.

— Przedziwna myśl. A wiesz co? Widzisz ten ubiór, który mam na sobie; czy nie piękny? kontusz aksamitny pąsowy, żupan złoty w srebrne kwiateczki, pas lioński srebrny; co powiesz, bracie?

— Ubiór prawdziwie królewski; w całéj Warszawie podobnego nie znaléźć.

— A jeszcze ci dodam, że w Żytomierzu w nim pierwszy raz przedstawiłem się państwu podkomorstwu, i jakem się późniéj dowiedział, wielce się podobał podkomorzance. Ja go zdejmę z siebie, ty w niego się ubierzesz, mój szatny wybierze ci parę butów żółtych, które na twoje nogi przypadną, i jak obaj staniemy w paradzie, razem pójdziemy do Prymasowskiego pałacu. Weźmiemy z sobą i Kałużyńskiego; ty, Bartku, co prędzéj ubierz się w co masz najlepszego, bo to przecie nasz podkomorzy.

Bartek odszedł, Jakób zaczął się rozbierać, a gdy się już rozebrał, szatny mu przyniósł drugi garnitur, także bogaty, jednak nie tyle ile ten, który przeznaczył bratu.

Przystąpili obaj bracia do roboty: szatny Jakóba wziął się do Augusta, a służący poniższy, ale wprawny, do Jakóba. Obaj bracia stanęli wkrótce prawie ubrani, bo tylko pas nie dostawał. Jakób już i pas miał na sobie, bo nim August zaczął się ubierać, felczer nadworny pani Krajewskiéj musiał mu głowę podgolić i kłamane wąsiki przyprawić; a że Jakób już był gotów, stanął w pomocy szatnego, żeby bratu pas zawiązać.

Wiadomo, że najzmudniejszą częścią polskiego ubrania jest zawiązanie pasu, i że do tego potrzeba i cierpliwości i zręczności. Już byli obaj w pełnéj paradzie; August po kilkakrotnie przeglądał się w zwierciadle, zawsze z wielkiém upodobaniem, a Jakób w niego się wpatrywał z uwagą, ażali czegoś mu nie dostaje. Przybył i Kałużyński *w gotowości.*

Nakoniec Jakób się odezwał:

— Nic nie ma opuszczonego w twoim ubiorze, Guciu: już i szablę masz przy boku. Teraz weź na siebie moję delię aksamitną popielicami podszytą, a ja wezmę wołoszkę z perwistkami. Na dworze chłodek niewielki; lekkie futerka aż nadto dostateczne, a już pora wyruszyć; idziemy piechotą, a jest kawał drogi do Prymasowskiego pałacu. — Grzesiu, podaj nam sukienne berlacze, aby nasze safianowe buty zachowały się w świeżości, chociaż tak sucho na dworze, że moglibyśmy się i bez nich obejść. Wszakże lepiéj je miéć na sobie, ile że nie ciężą. — Grzesio nałożył berlacze, podał jednemu delię, drugiemu wołoszkę, a Bartek wziął na siebie huńkę, i zabierali się opuścić kwaterę.

Ale kiedy już byli przy drzwiach, one się otworzyły, a pan rejent zastąpił im drogę.

— Pozwól — rzekł do Jakóba — mości szambelanie, bym pierwszy powinszował ci tego nowego zaszczytu, któryś odebrał dopiéro z łaski najjaśniejszego pana. Szanowna ciotka pańska poséła mnie do niego, bym go w jéj imieniu uprosił, byś do niéj natychmiast się udał. Kazała zajść swojéj karecie, bo ma jak najśpieszniéj jechać do zamku, i zabiera z sobą pana szambelana, by podziękował królowi jegomości za zaszczyt od niego otrzymany, a który jest jakoby szczeblem do wyższych jeszcze zaszczytów, które go czekają.

— Oto jest! — rzekł Jakób do Augusta. — Widzisz bracie, że ci nie mogę służyć, ale u króla posłuchanie niedługie. Czekaj na mnie u państwa podkomorstwa, a nasza ciotka po odbyciu moich podziękowań królowi, odwiezie mnie do was, wracając do siebie. Bartek pójdzie z tobą i pewnie mój przyszły teść; bo on mi zapowiedział, bym mu dał znać kiedy wyjdziemy, gdyż miał pójść z nami, mając po drodze znajomego, u którego koniecznie dziś być musi.

— Pamiętajże, Kubusiu, abyś jak możesz najśpieszniéj do nas przybył.

Jakób odszedł z panem rejentem, wstąpił do pana Niekrasy, opowiedział mu się, że musi jechać z ciotką do króla, a więc że z niemi nie pójdzie na miasto, ale że August i Bartek czekają, by z niemi przynajmniéj część przechadzki podzielił. Pan chorąży wziął na siebie lisiurę i poszedł naprzeciwko, a że ich zastał wychodzących, do nich się przyłączył, i z niemi razem poszedł ku Koziéj ulicy, gdzie już miał ich pożegnać.

Poszli więc rozmawiając z sobą. Szczęśliwie przebyli Krakowskie-Przedmieście; niebo było zachmurzone, ciemno było na dworze. Na Krakowskiem-Przedmieściu spotkali dwóch chłopców z latarkami. August ich zawerbował, aby im przyświecali. Wchodząc do połowy ulicy Koziéj, właśnie przy kamienicy w któréj kwaterował koszowy,

a gdzie pan Niekrasa miał ich opuścić, zastali ulicę jakby zatarasowaną przez rozmaite fornalki, przy których mnóstwo ludzi się szastało, tak że bez trudności nie można było iść daléj. Zaczął krzyczéć Bartek, żeby im miejsce zrobiono: jeden z tych ludzi przyskoczył do niego z podniesioną pałką; zaledwo miał czas odskoczyć, pójść pod ścianę i dobyć szabli. August także wyjął swoją z pochwy, i w porę, bo po świetle latarek postrzegł, że się ku nim przybliżają ludzie nie tylko z pałkami, ale i z bronią. Latarniki zaraz uciekli z ulicy, a pan chorąży już nie był między niemi.

August i Bartek pomiarkowawszy, że wpadli między szukających kłótni, postanowili drogo życie przedać. Ściana zabezpieczała im tył; ufali w szable swoje, że z przodu odeprą napaść; można było rozpoznać jakkolwiek przedmioty, bo chociaż noc była ciemna, kilka świateł z po za okien kamienic, blade światełko rzucały. Najmniejszéj nie pozostawało wątpliwości że natknęli się na zasadzkę już przygotowaną, zasadzkę straszną, bo o ile mogli sądzić, z kilkunastu hultajami mieli do czynienia.

Rozpoczęła się bitwa. Tłum na nich się walił, oni we dwóch tylko go odpierali. Krzyżowały się szable, szelest obijał się o uszy, iskry sypały się przed oczyma. Jednak cóżby waleczność zrobiła, mając do czynienia z tak licznym motłochem? W tém z drzwi téj kamienicy pod którą stali, kilku ludzi wyszło z dobytemi szablami, prosto na szelest, i krzyknęli: „A zasie łajdaki!“ Bitwa zrobiła się żwawsza; było jeszcze nierównie więcéj napastników niż obrońców; jednak korzystając z nocy, i dzielnéj pomocy nowych sprzymierzeńców, zwycięztwo byłoby się przechyliło na stronę napadniętych, ale tamci wypalili z ognistéj broni do ściśnionego pod kamienicą pocztu obrońców Augusta, a tak szczęśliwie, że dwóch od razu położyli. Nadto było jeszcze ciemno, aby od razu poznać, kto został trafiony. Na huk wystrzału mnóstwo Philiponów uzbrojonych w pałki wysypało się na ulicę. Bitwa zrobiła się zażartą, tak, że Philiponom udało się odpędzić przeciwników, gdy raptownie ogień wybuchnął. Widać że ktoś z tamtych zapalił słomę na jednym wozie; płomień z jednego do drugiego szybko zaczął się szerzyć, tak że wkrótce rozjaśniło się jak wśród dnia, a od strony Senatorskiéj ulicy pokazał się hufiec konny, i powstały krzyki: — Oto gwardya królewska przychodzi! — Na ten krzyk rozpierzchli się Philipony i zniknęli z ulicy, uciekając do domów, a napastnicy wracali na stanowisko z którego byli odparci.

Dopiéro Bartek poznał stojącego obok siebie koszowego, który unosił Kulbidę śmiertelnie rannego: kilku z jego podwładnych, nie dawszy Bartkowi czasu rozpatrzenia się, gwałtem porwali go, wtrącili we drzwi za koszowym, za sobą raptem drzwi zamknęli, i zaprowadzili go przez schody do obszernéj izby, w któréj już leżał na łóżku

Kulbida bez przytomności; koszowy z felczerem zaporożcem już zabierali się opatrywać jego ranę. Jeszcze nie odpruli jego sukien, a ten już ducha oddał w ich ręku. W téj saméj izbie opodal siedział pan Niekrasa, załamując sobie ręce nad stanem swojego brata; dopiéro się opatrzył Kałużyński, że nie było z niemi Augusta, który nie wiedziéć gdzie się podział.

Powstał koszowy pogrążony w smutku, ucałował skrzepłe oblicze wiernego atamana, i rzekł:

— Dzieci, straciliście waszego atamana, a ja najściślejszego mojego przyjaciela. Szczęśliwy on jest, bo spoczywa w Bogu, poległszy śmiercią walecznych. Jutro wyruszymy z jego zwłokami na Zaporoże. W Siczy oddamy mu ostatnią posługę, tam usypiemy mu mogiłę, pod którą na mnie czekać będzie. Już nie jestem potrzebnym w Warszawie; nasz młody ataman nie ma czego się lękać. Bóg ukarał jego prześladowcę, bo siepacze, których na niego nasadził, jego własnego syna zamordowali. Biédny starzec! okropnych względem mnie dopuścił się postępków; niech Bóg mu je odpuści, jak ja z całego serca mu odpuszczam. Wielkie ma grzechy na sumieniu, ale kara która na niego padła, jeszcze cięższe grzechy zmazaćby mogła. I miłosierdzie i sprawiedliwość Boska, niechaj na wieki pochwalone będą!

W téj-że saméj chwili patrzmy na to co się obok działo. Nie była to gwardya koronna, przed którą Philipony uciekali, byli to kozacy pana Kierdeja, a on sam z niemi przybiegał, aby nasycić się widokiem zemsty, o któréj nie wątpił. Zsiadł z konia i przybliżył się do swoich, którzy otaczali nieżywego Augusta, i już zaczynali go rozbierać, by bogatą jego odzież wziąść po nim w spadku. Wtapia wzrok w jego zgasłe oblicze..... przebóg!..... poznaje własnego syna.

Pióro mi wypada z ręki.....

EPILOG.

Pan Kierdej po tém okropném wydarzeniu wpadł w pewien rodzaj obłąkania. Opuścił miejsce, na którém ojciec był sprawcą śmierci własnego syna, chąc przelewem obcéj krwi zabezpieczyć mu szczęście, które tylko w bogactwach upatrywał; ale zabrał z sobą ciało tego drogiego syna, który już był tak godnym powszechnéj miłości. Przybywszy do swojego pałacu, nie mógł się odłączyć od tego ciała. Ciągle trzymał je w swoich objęciach, oblewał łzami skrzepłe jego oblicze, jakby je niemi chciał ogrzać. Jego słudzy zmuszeni byli użyć siły, żeby go od niego oderwać. Nawet mu nie dopuścili odprowa-

dzać zwłok syna do kościoła, a to przez wzgląd na jego sławę, gdyż pogrążony w rozpaczy, powtarzał jakby spowiedź całego życia. Głosił, że jest największym zbrodniarzem, i wyjawiał rozmaite zbrodnie, jakich w życiu całém się dopuszczał, a o których nikt nie wiedział: między innemi, że matka jego żony została przez niego otrutą. Słudzy truchleli, słysząc podobne zeznania; a zamknąwszy pana, aby obcego nie mógł widziéć, udali się do pani Krajewskiéj, aby raczyła obłąkanego brata wziąść w opiekę.

Pani Krajewska sprawiła synowcowi pogrzeb okazały, na którym cała Warszawa się znajdowała, bo o ile jego ojciec był nienawidzony, o tyle syn był pozyskał powszechny szacunek. Mnóstwo było ubogich, których August utrzymywał, a pani Krajewska zastępstwo wzięła swojego synowca, i nadal im do śmierci zapewniła to, co od niego pobierali. Dziwna rzecz: ta właśnie, którą pan łowczy nienawidził, prześladował, usiłował wyzuć z majątku i sławy, została jedyną jego opiekunką; otaczała go swojém staraniem. Umiała zwrócić go do rozsądku, a nawet do praktyk religijnych przez niego od młodości zaniedbanych. Jéj tylko towarzystwo było dla niego znośne, innych unikał.

Pani Krajewska chciała Jakóba zbliżyć do niego, i wymogła na bracie, że go przyjął, ale wkrótce zauważyła, iż to na nim tak przykre wywierało wrażenie, że odtąd przez samo uczucie ludzkości już nigdy nie pozwoliła im z sobą się widziéć.

W czasie największego jego obłąkania, to jest w kilka dni po téj strasznéj katastrofie, pani Krajewska na krótki czas opuściła brata, poruczając go aż do swojego powrotu pieczołowitym rękom na które mogła rachować. Musiała na parę dni oddalić się do Częstochowy na ślub Jakóba z Helenką. Zaraz po odbytym obrzędzie powróciła do potrzebującego jéj starań brata, i państwa młodych zabrała z sobą. Usadowiła ich w swoim pałacu, a sama przeniosła się do brata, z pełném poświęceniem zajmując się jego wyleczeniem. Jéj zamiarem było sprawić dzieciom huczne wesele, ale przez wzgląd na stan, w jakim brat pozostawał, musiała to zaniechać. Jakób z Helenką pragnęli jak najśpieszniéj osiąść na Polesiu, ale pani Krajewska z niemi rozstać się nie mogła, a za nic w świecie brata opuścić nie chciała. Ile razy oni jéj wspominali o swoim wyjeździe, ona łzami się zalewała. Przez wdzięczność dla niéj uczynili z siebie ofiarę. Pozostali w Warszawie przez cały rok, ciągle tęskniąc za wiejskiém ustroniem. Wyprawili swoich rodziców, rejenta i Kałużyńskiego, żeby objęli dobra Sołomereckich, których Jakób był już jedynym właścicielem, a przez ten rok żyli w Warszawie w odosobnieniu od wszelkich towarzystw, jedynie sobą i panią Krajewską zajęci, coraz

szczęśliwsi, coraz więcéj zakochani w sobie. Oczekiwali tylko chwili, w któréj ciotka im pozwoli na zawsze osiąść na wsi.

Pan Kierdej stopniami odzyskał czerstwość umysłu, ale tém więcéj był nieszczęśliwy. Sprawiedliwość ludzka go nie ścigała, ani się znalazł przeciw niemu delator. Ale wszystkim było wiadomo, jakie okoliczności kres położyły dniom Augusta. I to się powtarzało po mieście.

Te gadania dochodziły czasem i do pana Kierdeja, i rozdzierały mu wnętrzności, a nad wszystkie męczarnie zgryzoty sumienia bez przestanku czuć mu się dawały.

Szukał religijnych pociech, a Bóg zawsze miłosierny dla najzatwardzialszych grzeszników pozwolił mu je znaléźć. Natura jego zupełnie się odmieniła: ten możnowładca tak dumny, tak porywczy, zrobił się w obcowaniu ze swojemi sługami cierpliwym, łagodnym, nawet pokornym. Nikogo z obcych nie przyjmował, tylko zakonników, z któremi rad był rozmawiać. Oprócz nich i sług swoich każdego przytomnośćby go zawstydziła; a do siostry tak się przywiązał, że zgadywał jéj chęci, by im najśpieszniéj zadość uczynić. Jak wprzódy był chciwym i skąpym, tak zrobił się hojnym i udzielającym się dla ubogich, i znaczne summy pozapisywał na kościoły i klasztory. Po długich z sobą walkach sprowadził do siebie prawnika, i kazał mu napisać donacyę całego swojego majątku na rzecz siostry; przyznał ją przed aktami trybunału Piotrkowskiego, dokąd mu się udało wyjechać bez siostry, która na jego szczęście możebne zupełnie nim władała. Ztamtąd jéj odesłał donacyę, a sam nie powrócił. Tyle tylko o nim dowiedzieć się mogła, że udał się za granicę, ale tam wpadł jakby w wodę, żadnego śladu o sobie nie zostawił. Mówiono, że gdzieś zamknął się w jakimś surowym klasztorze, w którym zapomniał o świecie, a tylko myślał o Bogu i odpokutowaniu swoich grzechów, ale to były tylko domysły.

Koszowemu udało się ze swojemi ludźmi i z ciałem Kulbidy powrócić do Siczy. Tam jemu sprawił okazały pogrzeb, na którym ani Jakób, ani pan Niekrasa nie mogli się znajdować, co wielce ich zmartwiło. Ale potém ze dwa razy pospołu nawiedzili Sicz, by uczcić jego mogiłę.

Pani Krajewska opuściła Warszawę, w któréj trochę szczęścia, a wiele zgryzot doświadczyła. Osiadła na wsi na łonie rodziny, którą przysposobiła. Skołatana wiekiem, przyśpieszonym tak silnemi wrażeniami, po dwóch latach pobytu na wsi, na rękach Jakóba i Heleny zasnęła w Bogu. Rodzice Heleny w tymże samym roku opuścili dzieci dla lepszego świata.

Jakób po tylu spadkach został niezmiernie bogatym, a chociaż posiadał przytém najmilszą żonę, która go nad życie kochała, a do

